

Stanisław Mierzeński - Amerykanie

Od autora

Reportaż niniejszy napisałem po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywałem to latach 1959—1960. Ilość poczynionych obserwacji, zanotowanych faktów i zebranych materiałów była tak wielka, że zmieszczenie wszystkiego w jednej książce okazało się niemożliwe.

Szereg ważnych tematów świadomie pominąłem wychodząc z założenia, że powierzchowne ich potraktowanie byłoby niewskazane i mogłoby zostać fałszywie zrozumiane. Dlatego też Czytelnik nie znajdzie w tej książce nic na temat gospodarki amerykańskiej, bezrobocia, ruchu robotniczego, działalności związków zawodowych itp. Takie zaś problemy, jak sytuacja ludności murzyńskiej lub indiańskiej, i inne zostały z konieczności potraktowane dość powierzchownie. Poruszyłem je, by Czytelnik mógł się zorientować chociaż najogólniej w tych sprawach. Na każdy bowiem z wymienionych tematów można by napisać oddzielną książkę tej samej objętości co „Amerykanie” i tylko wówczas byłoby możliwe przedstawienie ich w sposób wyczerpujący i we właściwym świetle.

Z powyższych względów postanowiłem reportaż ten ograniczyć do zagadnień najprostszych, z jakimi przeciętny obywatel amerykański spotyka się co dzień. Starłem się też dać możliwie wierny obraz społeczeństwa Nowego Świata, ukazując jednocześnie w formie skrótowej historyczne etapy rozwoju tego kraju.

S.M.

Spis rzeczy

Pielgrzymi

ŚWIATŁA I CIENIE

Wstęp do Ameryki

Pierwsze wrażenia..... 16

Przeszłość i przyszłość..... 19

Exodus..... 22

Miasta i miasteczka..... 26

Światła wielkiego miasta..... 34

Miasteczko w Massachusetts..... 37

Dom na farmie..... 41

Wojna o niepodległość..... 45

DEKAMERON NOWEGO ŚWIATA..... 48

Szczęście utajone..... 48

Uciekinierzy..... 49

Mężczyzna ujarzmiony..... 53

Don Juan spętany..... » 58

Gwałciciele..... 61

Kobiece rewolucje..... 68

Kariera pewnej pani..... ^3

Rodzina..... 77

Miłość według receptury..... 81

Debiutantki — relikw z ubiegłego wieku..... 89

Miłość za dolary..... 91

Wnioski..... 95

Jak rozrastało się USA?..... 99

MŁODA GENERACJA..... 102

Teens..... 102

Fakty..... 103

Dzieci w amerykańskiej rodzinie..... 105

Postrach Manhattanu..... HO

W hiszpańskim Harlemie..... 115

Chłopcy z Pensylwanii..... 119

Ankieta..... 122

„Beat generation” ... 126

Młodzież miejska i dzieci farmerów..... 132

Zdobywanie Zachodu..... 137

SPOŁECZEŃSTWO..... 147

Ocena Adama Gurowskiego..... 147

Babbitt wśród Babbittów..... 151

Joiner..... 156

Babbitt i jego sakiewka..... 163

Middle-class — trzon społeczeństwa amerykańskiego . 166

Bumy, ludzie z marginesu życia..... 175

Najcięższa wojna Stanów Zjednoczonych . 181

| | |
|--|---------|
| SPRAWY DNIA CODZIENNEGO | 186 |
| Postęp a żołądek | 186 |
| Menu Amerykanina..... | 193 |
| Barbeque | 19g |
| Psychoza szczupłej linii..... | 199 |
| W gabinecie eskulapa | 202 |
| W dżungli lecznictwa i przemysłu farmaceutycznego . | 207 |
| Koszmar szpitala | 213 |
| Hades skomercjalizowany..... | 219 |
| Zamach na prezydenta Abrahama Lincolna | 223 |
| FABRYKA DOLARÓW | 230 |
| Kredytowe szaleństwo..... | 230 |
| Stoliczku nakryj się | 233 |
| Magia czerwonych i zielonych znaczków..... | 241 |
| Władcy myśli i pragnień..... | 245 |
| Kulisy telewizji w Stanach Zjednoczonych . | 251 |
| W bardzo dziwnym domu towarowym | 256 |
| Rdzeń amerykańskiego businessu | 262 |
| Prasa w Stanach Zjednoczonych..... | 264 |
| Gdy zepsuje się pralka..... | 269 |
| Rolnictwo zindustrializowane | 273 |
| Podatkowe kłopoty | 284 |
| Dzieje | zagłady |
| ARKA NOEGO | |
| Indianie | 298 |
| U Indian Nawaho..... | 309 |
| Amerykański kocioł narodowościowy..... | 312 |
| Murzyni..... | 316 |
| Nowojorski „Toto-Lotek”, czyli rzecz o nadziei | 324 |
| JohnBrown..... | S29 |
| POLACY NA DRUGIEJ PÓŁKULI..... | 332 |
| Początki polskiej emigracji w Ameryce..... | 332 |
| ■Historia pewnego chłopca polskiego..... | 345 |
| O prasie polskiej w Stanach Zjednoczonych | 350 |
| Gangsterzy SPRAWY WSTYDLIWE | |
| Gangsterskie podziemie..... | 379 |
| Złoto ze śmietników | 383 |
| Prawo i sprawiedliwość | 387 |
| Przestępczość w cyfrach i kategoriach | 393 |
| Era „payoli” | 395 |
| Van Doren — żywy przykład payoli..... | 400 |
| Sprawa Chessmana | 406 |
| „Żelazna maska” amerykańskich więzień | 411 |
| Jak się rabuje banki w Ameryce? | 417 |
| Czy lincz jeszcze istnieje?..... | 420 |
| Po raz pierwszy w historii USA. | 427 |
| WSZYSTKIEGO PO TROCHU..... | 439 |
| Koczownicy..... | 439 |
| Życie na austostradzie..... | 441 |
| Zwycięskie motele | 446 |
| Śmierć czyha na hłghwayach | 448 |
| Staruszka kolej — wciąż nieodzowna | 452 |
| Samochodowe przeobrażenia | 456 |
| SzaJ turystyczny..... | 461 |
| Good-bye America!..... | 464 |
| TROCHĘ CYFR O USA | 457 |
| STANY..... | 479 |
| INDEKS SZCZEGÓŁOWY | 49Q |
| BIBLIOGRAFIA..... | gjj |
| INDEKS | gj2 |

bizonów

PIELGRZYMI

Trzy 1 pół wieku temu płynął przez Atlantyk statek. Podobno nazywał się „Mayflower”. Podobno, nie jest to bowiem rzecz w pełni stwierdzona. Wiadomo jedynie, że był taki żaglowiec i że tylko przypadek

zawiódł jego pasażerów-„pielgrzymów” (tak się tę grupę pasażerów nazywa) ku brzegom Ameryki. Dzieje owych „pielgrzymów”, zdesperowanej garstki ludzi, która odegrała wielką rolę w tworzeniu Nowego Świata, są nader ciekawe i godne przypomnienia. Wędrowka ich rozpoczęła się już w 1607 roku, kiedy to garstka purytanów zmuszona była ująć z Anglii przed prześladowaniem. Schronili się początkowo w Holandii, lecz i tam spotkali się z nieprzyjaznym przyjęciem. Kiedy więc doszła ich wieść, że Kompania Londyńska poszukuje robotników do zamorskiej kolonii, zdecydowali się na wyjazd. Niedawno w Indiach Zachodnich, w Wirginii, założono kolonię, nazwaną Jamestown, i stamtąd zaczęły nadchodzić do kraju transporty tytoniu. Właśnie wtedy palenie fajek wchodziło w modę, dlatego też tytoń stał się drogim i poszukiwanym artykułem. Zapotrzebowanie na siłę roboczą rosło, lecz niełatwo było znaleźć amatorów zamorskiej podróży. Dotkliwy brak robotników sprawił, że zaczęto ludzi porywać przemocą i wysłać na nowy kontynent. Nie rozwiązywało to jednak trudności. Z ochotą więc przyjęto ofertę heretyków. Byli też jedynymi, którzy dobrowolnie godzili się na tę podróż. Sprawa jednak komplikowała się. Chcieli jechać, lecz tylko z rodzinami, a to bardzo wydatnie podnosiło koszty. Koszt przewiezienia przez ocean jednego człowieka wynosił wówczas tyle, ile obecnie przejazd dwóch pasażerów, i to pierwszą klasą, w komfortowych warunkach.

Wszystkie jednak trudności pokonano i jesienią 1621 roku „pielgrzymi” wyruszyli w drogę. O tej porze roku ocean jest już bardzo burzliwy, a kapitan statku nie zaliczał się do najwybitniejszych żeglarzy. Zmylił trasę i zboczył na północ. Wreszcie jednak statek, i wyczerpaną załogą i nie mniej utrudzonymi „pielgrzymami”, dobił do lądu. Nie byli już w stanie dłużej żeglować. I oto znaleźli się w okolicy zupełnie nie znanej; wiedzieli tylko, że są w Ameryce. Mimo to postanowili tu pozostać. Założyli osadę i nazwali ją Plymouth, jako że większość przybyszów pochodziła z miasta w Anglii o tej samej nazwie.

Wytrwałość i pracowitość to walory niewątpliwie cenne i pożądane w podobnych okolicznościach, na tym wszelako straszliwym pustkowiu nie na wiele by się zdały „pielgrzymom”. Już pierwsza zima mogła przynieść katastrofę pozbawionym zapasów żywności śmiałkom. I gdyby nie ocean, nie mieliby żadnych szans przetrwania. Lecz z opresji wybawiła purytanów wielka obfitość ryb w morzu, zwłaszcza dobrze nam znanych dorszy. W późniejszych czasach te same ryby stały się źródłem dobrobytu ludności Nowej Anglii. Europa w XVII wieku była wygłodzona. Suszone ryby były więc w cenie, tym bardziej że można je stosunkowo długo przechowywać bez obawy zepsucia. Pierwszym produktem, jaki „pielgrzymi” wysłali do Starego Świata, były właśnie suszone dorsze. W ciągu jednego roku wysłano z Plymouth do Europy trzysta ton tych ryb. W zamian koloniści otrzymywali z Europy metale, broń, narzędzia i inne potrzebne przedmioty. Przez szereg lat dorsze i futra, kupowane od Indian, stanowiły podstawę egzystencji kolonii i jej rozwoju.

Wieść o dobrobycie panującym w osadzie dotarła do Anglii i zwabiła nowych osadników. Kraj ten jednak nie nazywał się jeszcze Nową Anglią. Ochrzczył go tak John Winthrop, który przybył z Anglii w 1630 roku i u ujścia Charles River założył miasto Trimontaine, późniejszy Boston. Cały ten rejon należał do Indian z plemienia Peguotów i Massachusettsów; od tych ostatnich wzięli swoją nazwę stan Massachusetts.

W osiem lat później (1638) w osadzie Cambridge, na przedmieściu Bostonu, został założony uniwersytet Harvard, co na długie lata przesądziło, że Nowa Anglia stała się w Ameryce ośrodkiem kultury i nauki. Dopiero po pierwszej wojnie światowej utraciła prymat.

Rozwój Nowej Anglii sprawił, że wzdłuż wschodniego wybrzeża zaczęły powstawać nowe kolonie. A więc katolicka Maryland, kolonia lorda Baltimore, Pensylwania, Wirginia, Delaware, New Amsterdam, Karolina i Georgia. Zakładali je przybysze z Anglii (New Amsterdam założyli Holendrzy), ludzie podobnego pokroju, eo nie przeszkodziło, że stosunki gospodarcze w poszczególnych koloniach układały się nader odmiennie. Gdy więc na Południu głównym źródłem zysków i utrzymania było wyłącznie rolnictwo. Ba Północy rozwijało się rybołówstwo, handel i drobny przemysł. Duże znaczenie miało również budownictwo okrętowe. Budowano żaglowce na eksport do Anglii; sama Nowa Anglia na początku XVIII wieku posiadała już 190 żaglowców handlowych. Na Południu powstawała feudalna arystokracja ziemiańska, na Północy zaś bogate mieszczaństwo.

Anglicy, którzy znakomicie organizowali swe kolonie na kontynencie północnoamerykańskim, nie byli tam jednak pierwszymi. Przed nimi usadowili się na tych terenach Hiszpanie, którzy zajęli rozległe obszary na południu i na zachodzie kraju. Najstarsze w USA miasto St. Augustin na Florydzie zostało założone przez nich w 1566 roku. Amerykę kolonizowali również Francuzi. Przybysze z Francji zajęli Kanadę i tereny środkowe wzdłuż Missisipi aż do ujścia tej rzeki do Morza Karaibskiego. Poza tym na kontynencie amerykańskim zakładali swe kolonie Holendrzy, Norwegowie i Szwedzi.

Angielskie kolonie były stosunkowo niewielkie, ludność ich jednak odznaczała się swoistą dynamiką i siłą, której brakowało wszystkim innym. Osiedleńcy z Anglii nie myśleli tylko o szybkim wzbogaceniu się i powrocie do kraju. Przyjechali tu z zamiarem pozostania na zawsze. Organizowali więc życie nie tylko dla siebie, lecz i dla przyszłych pokoleń. Innych gnała jedynie żądza zdobycia bogactw, Anglicy zaś myśleli o stworzeniu nowej, szczęśliwszej ojczyzny. To decydowało. Kolonia Jamestown w Wirginii nie odegrała prawie żadnej roli, była bowiem tylko agencją handlową. Rozpadła się i nie pozostało po niej nawet śladu. Dopiero kilka lat temu osiedle zrekonstruowano. Jest tam między innymi huta szkła, wzniesiona ongiś przez dwóch Polaków, a teraz odbudowana.

Zarówno „pielgrzymi”, jak i osadnicy, którzy zjawili się później, byli purytanami. Do Ameryki przybywali prześladowani sekciarze, a więc metodyści, baptyści, prezbiterianie i kwakrzy, wyznawcy purytańskiej filozofii życia, życia pojmowanego według wskazań Biblii i surowych zasad moralności. Uważali, że życie składać się powinno wyłącznie z obowiązków — pracy, oszczędności i gromadzenia pieniędzy. Za grzech pocztywali wszelkie wygodnictwo życiowe, rozkosze doczesne.

Jak wyglądało życie w purytańskiej rodzinie, i to w niedawnych czasach, opisuje znany amerykański dziennikarz James Reston w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Time”:

„Rodzice moi byli bardzo pobożni. W każdą niedzielę cała rodzina udawała się do daleko położonego kościoła prezbiteriańskiego. Tego dnia jadało się jedynie wcześniej przygotowane zimne posiłki, czytało się na głos Biblię, śpiewało psalmy i deklamowało poezję. Nic więcej robić nie było wolno. Nawet na zabawę nam, dzieciom, nie pozwalano. Gra w karty była w domu zawsze surowo zabroniona. Rodzice nie byli zamożni, gdyż ojciec pracował jako maszynista kolejowy. Jednakże ambicją rodziców było, aby wykształcić dzieci. Matka była pracowita i bardzo oszczędna. Chcąc oszczędzić piętnaście centów lub mniej nawet, potrafiła wędrować milę i dalej do sklepu, w którym było nieco taniej. Dzieciom zawsze powtarzała: «Być biednym nie jest grzechem, lecz grzechem jest pozostawanie w biedzie*». Nie jest to bynajmniej wyjątek. Podobnych rodzin w Stanach Zjednoczonych żyją jeszcze tysiące. Oszczędność w tym bogatym kraju jest równie zastanawiająca, jak i skromność w codziennym życiu bardzo wielu rodzin. Oczywiście, bywa różnie, gdyż ludność jest tu bardzo różnorodna. Jednak emigranci dość szybko przyjmują tę kategorię myślenia. Filozofia purytańska jest w Ameryce wciąż żywota i wyciska swe piętno na mentalności i życiu jej mieszkańców.

Światła i cienie

Wstęp do Ameryki

Zbudziło mnie światło, otworzyłem oczy i przez chwilę patrzyłem nieprzytomnie. Pasażerów z górnych łóżek już nie było w kabinie. Niemiec, który spał naprzeciw mnie, zbierał się do wyjścia. Wsadził na głowę beret o kolorach tęczy, kiwnął do mnie dłonią i wyszedł. Przypomniałem sobie. Dziś, o trzeciej rano, mamy dotrzeć do celu podróży statku — Ameryki. Szybko zerwałem się z postania.

Na korytarzach stopy waliz, w barze smętnie. Kelner jeszcze sprzedaje papierosy i tytoń fajkowy, lecz sprzedaży alkoholu stanowczo odmawia. Senni pasażerowie snują się bez celu, jakby zdziwieni, że tak wcześnie opuścili kabiny. Na kanapce drzemie *young angry man* — brytyjski egzystencjalista. Wsiadł na statek w Southampton i stanowił przez cały czas podróży sensację klasy turystycznej. Brodaty, niechlujnie ubrany, dziwaczny w obejściu. Z nim kobieta, również inna niż wszystkie. Mieli dziwny zwyczaj. Gdy silniej kołysało, układali się na podłodze i tak spał. Steward, Murzyn, parokrotnie starał się im wytłumaczyć, że to nie ma sensu, lecz nie pomagało.

Coraz więcej osób opuszcza kabiny. Wszyscy są zmęczeni kołysaniem, jeszcze bardziej nudą. Nuda na statku jest nie do przewyciężenia. Nie pomaga kino, męczą książki z biblioteki, nie można pisać czy zająć się czymkolwiek. Uczucie senności i rozleniwienia opanowują wszystkich. Znużeni są pasażerowie, znużona służba, oficerowie, a nawet orkiestra. Wielki pływający hotel owładnięty nudą. Nie mogą jej przewyciężyć posiłki ani nawet gra w „bingo”. Wieczorami coraz mniej amatorów tańca i tylko bar cieszył się niesłabnącą frekwencją.

Wychodzę na pokład. Ociepliło się znacznie. Ciemno jeszcze, gwiazdy, w oddali zaś miliony, dziesiątki czy setki milionów światełek. Mrugają, ruszają się, a gdzieś na horyzoncie bije jasna luna. Ktoś mówi: Nowy Jork. Wyjaśnienie zbędne, wszyscy to wiemy. Informacja, że naprzeciw leży Long Island, jest bardziej rzeczowa. Gdzieś w dole ryczą boje i błyskają mdłymi światełkami. Ryczą przeraźliwie i tak dziwnym głosem, że trudno się połapać, co to takiego. W oddali, wzdłuż niewidzialnego brzegu, suną szeregi świateł. Mkną, znikają, ukazują się na nowo. Pochód czy też ich przelot, który trwa bez końca. Jeden z pasażerów wyjaśnia mi, że tam, właśnie biegnie nadbrzeżna autostrada.

Po chwili udałem się na jeszcze jeden spacer po statku, a kiedy wróciłem na pokład, już dniało. Można dostrzec brzeg, przede wszystkim domy. Dużo domów. Kontynent amerykański jest tuż, tuż i zupełnie realny. Za parę godzin postawię na nim nogę.

Pierwsze wrażenia

Wrażenie jest moc i zaczynają się zaraz po zejściu ze statku. Celnik spojrzał lekceważąco na moją walizkę i o coś zapytał, czego nie zrozumiałem. Potem ulica. Trochę dziwna, gdyż nad nią biegnie autostrada. Spojrzenie na Hudson. Imponująca rzeka, szeroka tu jak morska zatoka. Woda ciemna, brudna. W dali drapacze chmur.

Domy z czerwonej cegły. Przyczepione żelazne schody wiszą u ścian na zewnętrznej stronie, robiąc wrażenie zapomnianych pozostałości po rusztowaniach. Później dowiedziałem się, że są to tzw. schody pożarowe. Pożary są prawdziwą klęską miast amerykańskich. Dużo starych domów, całe wnętrza z drewna. Przepisy budowlane wymagają takich schodów na zewnętrznej stronie każdej kamienicy, aby ludzie uciec mogli z płonącego domu.

Im głębiej w miasto, tym domy są wyższe, nowsze, mają większe sklepy. Ósma avenue tętni pulsującym

życiem. Sznury samochodów. Żółte karoserie taksówek, zielone autobusy, zejścia do *subwayu*. Orientacja wcale nie jest trudna. Z numeru ulicy zawsze wiadomo, na jakiej się jest „wysokości” miasta, i o to tylko chodzi. Ulice i avenue to jak gdyby równoleżniki i południki; dzięki nim łatwo określić położenie każdego domu czy instytucji. Gorzej przedstawia się sprawa z koleją podziemną. Potrzeba dużo czasu, by poznać tajniki planu i dojechać tam, dokąd się zamierza. Cztery towarzystwa mają swoje linie. Dublują się, krzyżują lub też obejmują poszczególne dzielnice. Wchodząc do wagonu, trzeba pilnie uważać, by się nagle nie znaleźć na przeciwległym krańcu miasta.

Mimo jednak łatwej orientacji, należy dobrze się zapoznać z tajemnicami miasta, by nie pobłądzić. Ulic i ave-nue o podobnej numeracji jest w Nowym Jorku po kilkanaście. Jest również kilka Broadwayów. Po prostu każda dzielnica powtarza numerację ulic i każda ma swój Broadway. Ten ważny i ogólnie znany jest na Manhattanie.

Ten też właśnie Broadway sprawia w nocy największe wrażenie, zwłaszcza w pobliżu Times Square. Widno jak na dobrze oświetlonej sali. Olbrzymie reklamy zawieszane na domach. Puciołowata twarz wypuszcza kółka dymu, żelazko prasuje, pędzi wóz z piwem, a wodospad na dachu zachęca do picia *pepsi-colu* Biją światłem wystawy; tutaj sklepy są otwarte całą noc Obok wielkich magazynów małe sklepiczki, stare, odrapane, a w nich pocztówki, ordynarne pamiątki i akcesoria do sztuk magicznych. Tłumy. Restauracje, caffeterie, kina, lokale gry w „bingo”, hale automatów, salony okropności. Cielę z dwoma głowami, kobieta z brodą i makiety średniowiecznych narzędzi do tortur. Małomiasteczkowy jarmark tandety w sercu wielkiej metropolii.

Na rogach przecznic stoją kaznodzieje. Rywalizują tu z sobą chyba wszystkie sekty Stanów Zjednoczonych. Obok lokalu, reklamującego atrakcyjne *strip-teasy*, chorągwie z Chrystusem, płomienne kazania z dachu samochodu. Rozdają broszury, kalendarzyki i bilety do kina. Inni zapraszają do kościoła... na kawę i obiecują „paje” (placek z owocami). Orkiestra Armii Zbawienia gra marsza wojskowego. Starsza dama w mundurze coś mówi. Wzywa do pokuty, a potem przypomina, że Armia Zbawienia zbiera używane przedmioty, i nawet sama zabiera je z domów. Módcie się w naszych kaplicach i oddawajcie niepotrzebne rzeczy!

Hałasują przekupnie, dziewczęta spieszą do wielkich hal tańca. Przyjezdni z prowincji gapią się wokoło, cudzoziemcy robią zdjęcia fotograficzne. Ludzie z całego świata, wszystkich ras, kolorów i odcieni skóry. Kłębią się, popychają, wypełniają bary, tłoczą się na chodnikach, spychają na jezdnię.

Przed kinami kolejki, przed innymi portierzy w szkarłatnych liberjach zachwalają filmy i zachęcają do wejścia. Małe bary z napojami. „Coca-cola”, mleko kokosowe i napój z papai. Na szczycie wysokiego budynku „Timesa” mknie świetlna gazeta, której nikt nie czyta. Kino z zapachami, po drugiej stronie piramida gmachu Paramountu. Kioski pełne „girly”- magazynów. Na rogu 42 ulicy policjant kciukiem dłoni w białej rękawiczce reguluje ruch. Przynagla do pośpiechu wolniej jadących. Prędszej jechać, prędszej!

Tłum szczerlnie wypełnia chodniki, ludzka fala przepływa bez końca. Dziwnie brzmiące języki egzotyczne i dziwaczne stroje. Obojętna, obca ludzka masa, żadna rozrywki i coraz nowych wrażeń. Bogactwo blichtru, królestwo sensacji i błyskotek.

Amerykanie zwykle mówią, że Nowy Jork to nie Ameryka. Jestem przeciwnego zdania. Właśnie Nowy Jork jest najbardziej amerykański, najbardziej dla tego kraju reprezentatywny. Tutaj wszystkie obce wpływy kulturalne już się zlały w jedno i wytworzyły bardzo typowy obraz współczesnej Ameryki.

Przeszłość i przyszłość

Drogę Nowy Jork-Boston przebywa się samochodem mniej więcej w pięć godzin. Jedzie się *highwayem*, bez zwalniania i przystanków. Stan Nowy Jork kończy się za miastem. Przedmieścia, potem White Plains z ostatnią stacją *subwayu* i już się wjeżdża do stanu Connecticut. Oprócz tej autostrady jest jeszcze inna, bardzo piękna droga. Nazywa się Merritts Park Way - droga parkowa. Nazwa jest właściwa, gdyż po obu stronach tej autostrady urządzono urocze parki. Nie dla spacerów, lecz tylko dla oka. Kępy drzew, rozkwitłe krzewy i starannie wystrzyżone trawniki.

Nowa Anglia zaczyna się w Connecticut. Bardziej typowa będzie w Massachusetts i dalej na północ. A więc „kolonialna” architektura, charakterystyczna dla tej części Stanów. Wprowadzili ją osadnicy w osiemnastym wieku i od tego czasu panuje niepodzielnie tu i w Pensylwanii. Zresztą domy tego typu spotyka się wszędzie, na całym obszarze Stanów Zjednoczonych. Drewniane, malowane olejno, z ganeczkami, białe kolumnienki, okiennice. Przypominają trochę nasze dawne dworki. Są jednak smuklejsze i zwykle piętrowe. Niektóre miasteczka, zbudowane w tym stylu, wyglądają naprawdę uroczo. W nich zawsze dwa budynki wysuwają się na czoło: Town Hall, coś w rodzaju magistratu

(właściwie budynek do dużych zebrań gminnych), i kościół sekty dominującej w miasteczku. Obydwa te budynki z dużymi białymi kolumnami u wejścia utrzymane są w klasycystycznym stylu. Town Hall posiada zwykle wieżyczkę z zegarem. Przed budynkiem rozległy plac zwany *common*, dawniej centrum osiedla. Odbywały się tam zebrania i zapadały najważniejsze uchwały. Dziś na środku *common* stoi zwykle pomnik Wojny Domowej, wyobrażający żołnierza w kepi. Przy cokole dwie lub cztery armaty z ubiegłego wieku (w ten sposób załatwiono ówczesny demobil). Pomniki te wyglądają standardowo. Wydawać by się mogło, że produkowano je seryjnie w fabryce. Jakiegoś oryginalnego rozwiązania nigdzie nie widziałem. Zawsze ten sam żołnierz w kepi, z karabinem u nogi, a przy cokole armaty. Indywidualizm w USA nie jest popularny, a może nikomu nie chce się wysilać. Podobne domki (ale bardzo ładne), podobne pomniki, Town Halle, wieże z zegarami. Wieś do wioski, miasteczko do miasteczka jak kubek w kubek podobne.

Architektury współczesnej widzi się tu niewiele. Czasem tylko jakaś willa lub pawilon handlowy w centrum miasteczka albo przy *highwayu*. Zdarzają się też nowoczesne osiedla, budowane przez banki lub wielkie firmy. Produkują one domki masowo i seryjnie, tanio i tandetnie. Modernistyczne są również fabryki Przemysł ucieka na prowincję. Nie buduje jednak zakładów produkcyjnych w pięknych starych miasteczkach, lecz na pustkowiu, wśród lasów, gdzie akry ziemi jeszcze dziś można kupić za pięć, a nawet trzy dolary. Fabryki potrzebują wielkich placów do parkowania wozów. W mieście problem ten jest nie do rozwiązania. Jadąc samochodem widzi się nowo wzniesione fabryki - w pobliżu warczą jeszcze buldożery niwelujące teren.

Kraj ten był rolniczy. Był, gdyż dziś rolnictwo tu prawie nie istnieje. Resztki dawnych farm. Wałace się stodoły, zapuszczone pola. W domach dawnych farmerów mieszkają ludzie z miasta. Uprawa roli przestała się już opłacać. Istnieją jeszcze tylko nieliczne farmy mleczne, tzw. *dairy farm*, ogrodnicze i hodowli drobiu. Czasem można zobaczyć łąn zielonej kukurydzy, która po ścięciu pójdzie do silosu. Istnieje jeszcze pewien typ farm charakterystycznych tylko dla Stanów Zjednoczonych. Są to tak zwane *gentlemen farms*. Prowadzą je zamożni Amerykanie dla zmniejszenia swoich dochodów, co im się opłaca ze względów podatkowych. Hodują w nich zwykle rasowe bydło lub konie, jakkolwiek hodowla w Nowej Anglii nie jest opłacalna; farma taka traktowana jest tylko jako „hobby”, koszty jej utrzymania są bowiem bardzo wysokie.

Uprawę zbóż zupełnie tu zarzucono. Nowa Anglia leży na skałach. Warstwa ziemi uprawnej jest bardzo cienka, gleba kamienista, tereny góryste. Dawne pola, grodzone murkami z kamieni — dawnym angielskim zwyczajem — zarastają lasy. Nieco dalej od drogi spotyka się często opuszczone budynki. Nikt tam nie chce mieszkać z uwagi na niedogodny dojazd.

Nie tylko farmy należą do przeszłości. Nad rzeczkami szczątki tam i staroświeckich młynów. Służyły nie tylko do mielenia mąki. Woda była tu kiedyś głównym źródłem energii wykorzystywanej na potrzeby produkcji przemysłowej. W tysiącach małych fabryczek-młynów wytwarzano dawnymi laty wszystko, co było potrzebne. Dziś miejsce ich zajęły fabryki-giganty, które teraz wynoszą się z miast do lasów. Stare *mills*, ocalałe przed ruiną, służą jako miejscowe eksponaty, jako atrakcje dla turystów. Z Nowej Anglii zniknęło już rolnictwo, zniknęło rzemiosło i dawny drobny przemysł. Obecnie panują wielkie fa-bryki. Kraj ten stał się ponadto jednym wielkim osiedlem mieszkaniowym. W najbardziej niespodziewanych miejscach spotyka się domy lub kolonie trajlerów, tj. domów na kółkach. W lesie, w pobliżu drogi, ukazuje się nagle duże centrum handlowe. Jarzą się neony, oświetlone wystawy nęcą towarami, restauracje, bary. A parę kroków stąd — las, skały, pustkowie, gdzie buszują szopy, skunksy i oposy. Dalej znów domy. Pojęcia: miasto, wieś, miasteczko, są tu bardzo względne.

Exodus

Miasta amerykańskie, a szczególnie ich dzielnice o wysokiej i zwartej zabudowie, nie są przyjemne do zamieszkiwania. Mogą imponować ogromem, drapaczami chmur, wielkomięjskim ruchem i powodzią światła. Do stałego pobytu jednak nie zachęcają. Pęd do ucieczki z miast istniał w USA od dawna, zaś w ostatnim dziesięcioleciu bardzo przybrał na sile, stał się masowy i prawie powszechny. Ludzie nie chcą już mieszkać w wysokich kamienicach, w mrocznych klatkach-mieszkaniach. Ideałem stał się domek jednorodzinny, położony za miastem lub w dalszej okolicy. Chodzi o to, aby był oddzielny, miał ogródek i garaż. Oczywiście powinien być ładnie zlokalizowany i mieć „dobre” sąsiedztwo.

W miastach mieszka obecnie ludność najbiedniejsza i bardzo zamożna. Biedni mieszkają w slumsach, w zaniedbanych dzielnicach, w starych domach z ubiegłego wieku. Atrakcyjne są tam tylko niskie czynsze, poza tym dużą rolę odgrywa przyzwyczajenie. Zwykle mieszkają tam emigranci, którzy jeszcze

w Ameryce nie zapuścili mocno korzeni. Dzieci ich wynoszą się za miasto. Starych emigrantów może zmusić do zmiany mieszkania tylko wyburzenie dzielnicy albo pożar domu.

Również mieszkańcy „gett” narodowościowych trzymają się ich kurczowo. „Getta” te nie różnią się właściwie od slumsów, są jednak porządniejsze. Najczęściej spotyka się „getta” chińskie, portorykańskie i murzyńskie. Są jednak również dzielnice włoskie, niemieckie i inne. Wielka dzielnica polska znajduje się w Chicago.

Ludzie jednej narodowości pragną zwykle mieszkać razem. Inni, którzy znajdują się tam przypadkowo, przyjmują język i zwyczaje tej narodowości. W Chicago poznałem kiedyś Murzyna, który zupełnie nieźle mówił po polsku. Sprawa była prosta. Mieszkał w polskiej dzielnicy i uczęszczał do polskiej szkoły parafialnej, gdyż była bezpłatna. Już przedtem znał polski język, gdyż nauczyły go polskie dzieci, z którymi się bawił. Teraz, nadal mieszkając wśród Polaków, często ma okazję mówienia tym językiem.

Inaczej przedstawia się sytuacja ludzi bogatych. Ci zamieszkują oczywiście najpiękniejsze dzielnice, nowoczesne domy. Do pozostania w mieście zmuszają ich zwyczaje, a przede wszystkim snobizm. Jest przyjęte, że ludzie o odpowiednio wysokich dochodach powinni mieszkać w centrum miasta, nawet jeżeli pod miastem mają wytworną rezydencję. Ulica, numer domu i dzielnica są jakby biletem wizytowym mieszkańca USA. Wszystkie te drobne na pozór szczegóły mają w tym kraju doniosłe znaczenie. Ułatwiają życie, a nade wszystko *business*. Gdy ktoś mieszka w Nowym Jorku na Park Avenue, w pobliżu Central Parku, to z góry wiadomo, że musi być bardzo zamożnym człowiekiem. Czynnosc miesięczny waha się tam od 300 do 800 dolarów za przeciętne mieszkanie. Są ludzie, którym przy pewnym poziomie dochodów nie wolno mieszkać taniej. Są też tacy, którzy w ten sposób prowokują niejako fortunę i którym zależy na wrażeniu, jakie przez to wywołują. Snobizm w Ameryce przybrał niezwykle wybujałe formy — mieszkanie na „niewłaściwej” ulicy dyskredytuje człowieka w opinii ludzi z odpowiednich sfer i może poważnie zaważyć na jego karierze lub na interesach.

Middle-class, tj. klasa średnia, najliczniejsza grupa amerykańskiego społeczeństwa, stara się przenieść z miast do podmiejskich osiedli. Ona też w przeważającej większości je zaludnia. W 1953 roku pod miastami mieszkało 30 milionów Amerykanów, dziś znacznie więcej. Statystycznie jest to dość trudne do ujęcia, ponieważ osiedla zwykle należą do miast czy nawet do miasteczek, ludność ich jest więc obliczana razem.

Podobnie jak w miastach, w osiedlach są również dzielnice eleganckie, dostojne, zaniedbane lub podejrzane. Amerykanin, który kupuje nowy domek, musi dobrze wiedzieć, dokąd się wprowadza. Musi przebywać między ludźmi o zbliżonym poziomie zarobków. W przeciwnym razie może nad nim zawisnąć groźba zdeklasowania. Sprawa sąsiedztwa to rzecz niezmiernie ważnej. Lekkomysłność w tym względzie pociąga za sobą zwykle poważne następstwa. Ten, kto mieszka z ludźmi stojącymi niżej klasowo, sam się deklasuje — taka panuje tu zasada. Narazić go to może na trudności życiowe, a nawet na straty materialne. W razie niefortunnego usytuowania się, będzie zmuszony sprzedać dom i kupić drugi, już we właściwym miejscu. Sprzedając swój obiekt niejako pod przymusem, uzyska najwyżej połowę wartości. Przy kupnie domku zważa nie tylko na sąsiedztwo. Zresztą sami mieszkańcy osiedla pilnie baczą, by nie zamieszkały w nim niepożądane osoby, ponieważ zakupienie w osiedlu domku przez rodzinę murzyńską, żydowską czy portorykańską natychmiast obniża ceny domów.

Mimo demokratycznych zasad, szeroko reklamowanych, ekskluzywność pewnych grup społecznych jest w Ameryce obowiązująca i ściśle przestrzegana. To samo w mieście. Obywatele tej samej kategorii mieszkają we wspólnych dzielnicach lub na odpowiednich ulicach. Jeśli się zdarzy, że na taką „solidną” ulicę wprowadzi się rodzina portorykańska, dotychczasowi mieszkańcy zmieniają mieszkania. Snobizm nie pozwoli im pozostać w sąsiedztwie ludności mieszanej. Czynnosc wówczas spadają, mieszkania pustoszeją i zjawia się coraz więcej niepożądanych lokatorów. Z powodu niskiego czynszu właściciele przestają dbać o domy, remontować je i odnawiać. Niedługo porządna ulica stopniowo przekształca się w siedlisko slumsów. Gdy z czasem ulegnie całkowitej dewastacji, zostanie zburzona. Na jej miejscu wybudują nowe domy, czynnosc znów wzrosną i snobizm nowych mieszkańców będzie zabezpieczony i ustabilizowany na dłuższy czas.

Osiedla podmiejskie nie powstają bynajmniej samorzutnie. Oczywiście, istnieją wyjątki, gdy, na przykład, jakaś grupa ludzi upatrywa sobie miejsce i sama się pobuduje. Wiele ludzi dosłownie własnymi rękami buduje swoje domki. Zwykle jednak budowę osiedli inicjują banki lub wielkie firmy budowlane. Wznoszenie osiedli to lukratywny *business*. Kupuje się teren, najczęściej po niskiej cenie, jako iż ziemia w Ameryce nigdzie nie jest droga, po czym buduje się drogę, doprowadza kanalizację, elektryczność i wodę. Kolejny etap to budowa centrum handlowego i szkoły. Jakkolwiek nakłady są duże, nikt nie wprowadzi się na teren nie zagospodarowany. Następnie zaczyna się budowa domków i sprzedaż ich

na raty. Zależnie od tego, dla kogo osiedle zostało przeznaczone, buduje się mniej lub bardziej solidnie, z mniejszą lub większą dbałością o wygodę przyszłych lokatorów oraz ustala się odpowiednio wysoki czynsz. W osiedlu dla zamożnych ludzi założą się park, zbuduje kaplicę i wymyśli dla osiedla stosowną nazwę. Nabywcy, jeśli nawet będą wiedzieli, że płacą powyżej wartości, będą jednak płacić, gdyż tego właśnie wymaga snobizm.

W tanich osiedlach domki są budowane seryjnie z gotowych elementów. Nie dba się tam o centrum handlowe, park czy szkołę. Wyposażenie tych domków jest jednak dobre.

Ceny są bardzo różne, zależne od kosztów placu. Przeciętnie tani domek, cztero- lub pięcioizbowy, kosztuje od 6 do 10 tysięcy dolarów. Droższe kosztują dwa lub trzy razy tyle. Kupno ułatwia kredyt, stosunkowo łatwy do otrzymania. Wystarczy pięćset lub tysiąc dolarów wpłaty; resztę spłaca się tygodniowymi ratami. Raty za domek są na ogół nawet mniejsze niż przeciętny czynsz za mieszkanie w mieście.

Istnieje jeszcze jedna kategoria osiedli, bardzo charakterystyczna dla Ameryki — osiedla trajlerów, czyli domków na kółkach. Kogo nie stać, by wpłacić zadatek za domek, ten kupuje trajler za tysiąc lub 2 tysiące dolarów. Wpłata jest stosunkowo mała, pozostałą zaś kwotę spłaca się systemem ratalnym. Trajler posiada wielkość towarowego wagonu kolejowego, jest tylko trochę węższy. Ma zwykle trzy pokoiki, kuchenkę i łazienkę z ciepłą wodą i prysznicem. Meble zwykle są już wbudowane. Specjalne place służą do ich parkowania. Za stosunkowo niewielką opłatą można trajler podłączyć do sieci elektrycznej, wodociągów i kanalizacji. Ogrzewanie mają własne, centralne, na ropę. Młode małżeństwa zwykle zaczynają swoją karierę życiową w takich właśnie trajlerach. Po paru latach, gdy porosną w pierze, kupują domek, a trajler sprzedają.

Miasta i miasteczka

Trudno mówić o pięknie miast amerykańskich. Są bardzo monotonne, trochę ponure, podobne do siebie i standardowe. Przybysz jest olśniony, gdy znajdzie się w śródmieściu, w centrum handlowym. Zdumiewają pomysłowe reklamy, wspaniałe wystawy, a przede wszystkim prawdziwa orgia kolorowych świateł. Gdy jednak pójdzie do innej dzielnicy, urok pryska. Szeregi podobnych do siebie domów o czerwonych ścianach, z wiszącymi na nich żelaznymi schodami. Królestwo szablonu i praktycznej brzydoty.

Tylko drapacze chmur posiadają pewne cechy indywidualne, poza tym wszystkie kamienice są prawie identyczne, podobnie jak układ ulic, restauracje, kina itp. Gdyby Amerykanina przewieziono z związanymi oczyma do jakiegokolwiek dzielnicy Brooklynu, Detroit lub Chicago, niełatwo by odgadł, w którym z tych miast się znajduje. A cóż dopiero mówić o cudzoziemcu! Nowoczesne budownictwo już nie jest tak jednostajne i monotonne jak dawne, lecz w Ameryce wciąż jeszcze króluje stara zabudowa z ubiegłego wieku.

Są oczywiście wyjątki. Waszyngton jest zupełnie odmienny, gdyż budowano go według określonego planu. Boston, Filadelfia, San Francisco i Nowy Orlean także powstawały w innych warunkach niż pozostałe miasta. Kształt urbanistyczny i architektoniczny nadała im historia, a okres gwałtownego rozwoju wycisnął na nich swoje piętno. Mimo to zachowały one w pewnym stopniu swój dawny swoisty charakter. Pozostałe miasta są szablonowe, nieciekawe i ponure. W epoce, w której powstawały, nikt nie myślał o estetyce. Budował je *business*. Zysk i ciasny praktycyzm rozstrzygały o ich zewnętrznym i wewnętrznym wyglądzie.

Miasta amerykańskie są jeszcze bardzo młode; przed półtora wiekiem większość z nich była miasteczkami, a wielu w ogóle nie było. Według spisu z 1790 roku tylko dwa miasta miały po 25 000 a trzy po 10 000 ludności. W XIX wieku zaznaczył się szybki rozwój miast i proces ten trwa nadal. W 1820 roku Nowy Jork posiadał już 100 000 ludności, a w sześćdziesiąt lat później milion. Dziś liczba mieszkańców tego miasta nie jest właściwie dokładnie znana. Jedni oceniają ją na osiem i pół miliona, inni na trzystaście, jeszcze inni na dziesięć. W zasadzie wszyscy mają rację, zależy tylko, co uważają za Nowy Jork. Miasto to bowiem składa się z szeregu miast i osiedli podmiejskich. Każda dzielnica, jak Bronx, Queens, Brooklyn lub Long Island — a takich dzielnic jest kilkanaście — posiada własny magistrat i tworzy odrębne miasto. Dopiero w ostatnich latach skoordynowano ich pracę. Każde jednak nadal stanowi oddzielną komórkę komunalną. Na przykład Manhattan jest też oddzielnym miastem wśród innych i właśnie do niego tylko stosuje się adres: Nowy Jork. Pisząc do innych dzielnic trzeba adresować bardziej dokładnie, jak do innego miasta, na przykład Forest Hills w stanie Nowy Jork. Zupełnie tak samo, jakby pisząc do mieszkańca Żoliborza w Warszawie, adresowano: Żoliborz, woj. warszawskie. W gruncie rzeczy podział ten nic nikomu nie szkodzi, wprowadza jednak chaos w

obliczeniach. Ile bowiem dzielnic i osiedli podmiejskich zalicza się do Nowego Jorku, tego nikt nie wie. Obecnie w USA pięć miast posiada ponad milion mieszkańców (Nowy Jork, Chicago, Los Angeles, Filadelfia i Detroit). Ponad pół miliona — 20 miast, ponad sto tysięcy — 106. W latach 1940—1955 ludność miast wzrosła z 75 do 89 milionów. Jeśli uwzględnić również miasteczka, ludność miejska wynosi 122 miliony. W największych miastach — według średnich obliczeń — mieszka 17 milionów ludności. W mniejszych, tj. w miastach liczących ponad sto do pięćset tysięcy mieszkańców — 44 miliony, a w małych miasteczkach — 61 milionów. Wszystkie te liczby są bardzo niedokładne i posiadają tylko orientacyjne znaczenie.

Większość miast w Ameryce powstała samorzutnie, żywiołowo i zwykle na skutek koniunktury. Tak więc Los Angeles i San Francisco zawdzięczają swój nagły rozwój gorączce złota, potem kopalniom srebra i szybom naftowym. Ropie naftowej ma do zawdzięczenia swój błyskawiczny rozwój miasto Houston w stanie Teksas. Natomiast Dallas, Phoenix i inne wyrosły dzięki powstałemu tam przemysłowi zbrojeniowemu. *Boom* był twórcą miast i fortun wielu rodzin amerykańskich.

Poznałem w USA pewnego Polaka, który na skutek *boomu* dorobił się pieniędzy w sposób równie przypadkowy, co i nieoczekiwany. Przybył do Ameryki w 1946 roku. Nie znał języka, nie miał znajomości, więc trudno mu było urządzić się w Nowym Jorku czy w jakimś innym większym mieście. W końcu, przez ogłoszenie, trafił jako robotnik rolny do farmy pod miastem Phoenix, w stanie Arizona. Na farmie tej pracował z żoną pięć lat. Farma była biedna i właściciel jej zbankrutował. Mój znajomy zmuszony był przyjąć wynagrodzenie za pracę w postaci ziemi. Wyjechał do Nowego Jorku, a mając już *American experience* otrzymał łatwo pracę i zapomniał nawet, że gdzieś tam w Arizonie posiada kawałek gruntu. W 1959 roku zjawili się u niego pośrednicy z propozycją sprzedaży tej ziemi. Wówczas udał się na miejsce i dowiedział, że jest bardzo bogaty. Tereny, na których przed laty leżała farma, sprzedawano już na stopy po wysokiej cenie. Mała miejscina stała się nagle miastem tętniącym życiem i rozrastającym.

W okresie *boomu* rozbudowa miast prowadzona jest gorączkowo, bez planu i bez dbałości o przyszły wygląd. Trzeba budować szybko, bo na mieszkania czekają ludzie. Trzeba się spieszyć, bo *boom* może minąć i nie będzie zysków. Pospieszne budownictwo, bez planów urbanistycznych, leży właśnie w amerykańskiej tradycji. Tak właśnie powstawały prawie wszystkie miasta i charakter nadawali im przypadkowi ludzie, którzy je budowali. Gdy zaczynał się *boom*, zjeżdżali ze wszystkich stron amatorzy szybkich i pewnych zysków. Kupowano place, a cena ich wzrastała z godziny na godzinę. Tworzyło się handlowe centrum, w pobliżu wyrastały domy mieszkalne, a dalej dzielnice przemysłowe i osiedla robotnicze. Później dopiero zaczynały otaczać miasto pierścieniem solidnie budowane dzielnice mieszkalne dla zamożnych ludzi. Miasto jednak rozrastało się dalej. Zaczynał się napór na piękną parkową dzielnicę mieszkalną. Wystarczyło, że ktoś, znęcony ceną, sprzedał nieopatrznie tylko jeden domek lub pusty plac, a wnet wyrastała wysoka, czynszowa kamienica, co było początkiem końca całej tej pięknej dzielnicy. Posiadacze sąsiednich domków zaczynali się ich gwałtownie pozbywać. Nikt nie lubi mieszkać w cieniu kamienicy, nikt nie lubi, by mu z góry zaglądano do ogródka. Amerykanie są wyjątkowo wrażliwi pod tym względem. Wyrastały więc następne kamienice, czasem nawet zakłady przemysłowe. Pozostawały tylko te domki, których właściciele byli bardziej nieustępliwi i cierpliwie czekali na jeszcze wyższe ceny. Dzielnica jednak traciła swój willowy charakter. Dawni mieszkańcy wyносили się dalej. Tam znów powstawała ładna dzielnica mieszkalna, ale w pewnym oddaleniu. Po paru latach proces ten powtarzał się. Gdy przejeżdża się przez amerykańskie miasta, wszędzie niemal widzi się taką dziwną mieszaninę. Wielkie gmachy, a obok małe domki w stylu kolonialnym, zakłady przemysłowe i pawilony handlowe. Czasem obok willi wysoki komin i olbrzymi czworokąt budynku fabrycznego, warsztat samochodowy lub plac z rzędem używanych samochodów wystawionych na sprzedaż. Nieco dalej kamieniczki, sklepiki i małe domki. Stan taki trwać będzie dopóty, dopóki miasto znów się nie przesunie. Wtedy jakiś bank lub przedsiębiorstwo budowlane wykupi teren i wybuduje szeregi wysokich biurowców, które zamienią ulice w głębokie kaniony.

Jednak i dzielnice o zwartej, solidnej zabudowie czeka często los wcale nie najlepszy. Każdej bowiem ulicy grozi, że stanie się „slumsową”. Nie dotyczy to tylko śródmieścia, gdzie place są zbyt drogie, by nie dbano o domy. „Slumsowymi” stają się najczęściej ulice o domach czynszowych, budowanych jeszcze w XIX wieku. W każdym mieście jest dużo takich domów, a część z nich nie posiada najelementarniejszych urządzeń sanitarnych, nawet takich, jak ustępy i bieżąca woda. Tam, gdzie się to opłacało, domy zostały zmodernizowane, w innych dzielnicach wszystko pozostało po starym. Czynsze w takich domach są bardzo niskie i dlatego chętnie odnajmuje je wszelka biedota. Kalkulacja

jest prosta. Eksploatować budynek bez żadnych nakładów.

Dzielnice slumsowe są w każdym prawie mieście. Brudne, ponure, zatłoczone ludźmi. Wraz z biedotą gnieździ się tam przestępstwo. Właśnie tam jest najwięcej obskurnych szynków, gdzie gromadzą się męty społeczne. Tajne domy schadzek, sklepy, w których można nabyć narkotyki, i całe legiony prostytutek. Najczęściej w dzielnicach slumsowych mieszkają Portorykańczycy i Murzyni. Sporo jednak i białych. Murzyn z Południa, po przyjeździe do któregoś z miast na Północy lub Zachodzie, nie jest na ogół w stanie wynająć oddzielnego mieszkania. Nie zna też miejscowych stosunków, idzie więc do swoich. Odnajmuje kąt w izbie, a w najlepszym razie pokój. Potem, gdy zarobi tyle, by móc opłacić bilety kolejowe, sprowadza całą rodzinę. Zazwyczaj w dzielnicach slumsowych mieszka w jednej izbie cała rodzina.

Murzyni trzymają się slumsów nie tylko z ekonomicznych względów. Nawet gdy stać ich na wyższe komorne, nie mogą wynająć mieszkania w innej dzielnicy. Nikt bowiem nie wpuści murzyńskiej rodziny do domu zamieszkałego przez białych. To prawo zwyczajowe obowiązuje wszędzie, nawet w Nowej Anglii, gdzie teoretycznie nie ma żadnych różnic pomiędzy białymi a czarnymi. W Cleveland, gdzie również nie spotyka się szczególnych przejawów dyskryminacji rasowej, przeprowadzono dokładne badania w tym względzie. Jak się okazało, na 140 000 mieszkań w kamienicach czynszowych w tym mieście zaledwie 500 było dostępnych, ze względów rasowych, dla Murzynów. Jasne więc, dlaczego musieli się oni skupiać w slumsach, niezależnie od wysokości zarobków. Obecnie slumsy są w tym mieście stopniowo likwidowane, lecz tylko dzięki olbrzymim kredytom, jakie miasto na ten cel przeznaczyło, budując dla Murzynów odrębne dzielnice.

W podobnych warunkach mieszkają Portorykańczycy i biali emigranci po przybyciu do Stanów Zjednoczonych.

W Chicago taką właśnie slumową dzielnicę zamieszkiwali Polacy. Obecnie już się z niej stopniowo wynoszą. Slumsów jest w Ameryce dużo. Badania z 1940 r. wykazały, że blisko jedna trzecia kamienic czynszowych w USA znajduje się poniżej przeciętnego standardu. W 1948 roku przewodniczący Izby Handlowej w St. Louis oświadczył publicznie, że 30 procent kamienic w tym mieście nie posiada łazienek, ustępów i innych sanitarnych urządzeń. Domy te, nawet gdy są położone w lepszych dzielnicach, staną się slumowymi. Jeśli zaś wprowadzi się do nich ludność murzyńska i emigrancka biedota, wówczas cała dzielnica zamienia się w zbiorowisko slumsów.

Inne dzielnice są różne. Są dzielnice przeciętne, na dobrym poziomie i wytworne. Różnią się czystością ulic i domów, a nawet elegancją, gdyż kamienice — poza slumowymi — są utrzymywane na ogół bardzo porządnie. Szczególną dbałością otacza się wejścia, nawet w domach należących do średniej klasy czynszowej. Halle, z których prowadzą schody i wejścia do wind, są bardzo starannie urządzone. Istnieje tu nawet coś w rodzaju kultu hallów. Każdy jest zwykle wyłożony dywanem, stoją fotele, biurko, zwykle antyczne, kominek, wazon z kwiatami, czasem jakieś obrazy, figurki lub zegar stojący. W większych i elegantszych domach w hallu urzęduje portier. Jest nim najczęściej Murzyn w ekstrawaganckiej liberii. Od wejścia do kamienicy aż do skraju chodnika stoi daszek płócienny na słupkach metalowych. Ochrona przed deszczem przy wsiadaniu do samochodu. Idąc ulicą, wciąż przechodzi się pod tymi daszkami; również restauracje przejęły ten zwyczaj.

Imponuje również czystość kamienic. Dozorca kamienicy, *janitor*, ma pełne ręce roboty. Funkcja ta stanowi w Ameryce tylko dodatkowe zajęcie, gdyż wynagrodzenie *janitora* jest zwykle bardzo niskie. Dozorca otrzymuje zazwyczaj mieszkanie — i to jedynie ma większe znaczenie. *Janitor* przeważnie gdzieś pracuje, a w domu obowiązki jego — a te nie należą do łatwych — pełni żona lub dzieci. Poza sprzątnięciem schodów i chodnika przed domem, dozorca obowiązany jest co drugi dzień wynieść ze wszystkich mieszkań śmiecie. Gdy dom jest wielopiętrowy, trzeba się dobrze nabiegać.

Czynsze są bardzo różne. W kamienicach z „daszkami” i eleganckimi hallami oczywiście wyższe. Komorne miesięczne za trzy pokoje wynosi średnio około trzystu dolarów. Można mieć takie mieszkanie i za sto dolarów, lecz już w „złej” dzielnicy i w starym domu. W nowych domach i w luksusowej dzielnicy mieszkania są bardzo drogie i wysokość komornego wynosi co najmniej pięćset dolarów.

Nie tylko jednak miasta odgrywają w Ameryce doniosłą rolę. Znaczenie miasteczek jest jeszcze wciąż duże, dawniej było ogromne, gdyż Stany Zjednoczone były właśnie typowym krajem małomiasteczkowym. W porównaniu z dużymi miastami miasteczka amerykańskie są bardziej zróżnicowane, nie tak monotonne i bardziej wesole, jakkolwiek w pewnych rejonach kraju wykazują duże podobieństwo. Na ogół jednak są ładne, a niekiedy prawdziwie urocze.

Dziś miasteczka utraciły swój prymat na rzecz wielkich miast. Do niedawna jeszcze sytuacja

przedstawiała się wręcz odwrotnie, zwłaszcza w dziedzinie kultury. Właśnie kulturalna, jak również pionierska stara Ameryka najdłużej utrzymała się przede wszystkim w miasteczkach. Były one również twierdzą amerykańskiej demokracji (ale nie w znaczeniu demokratycznej partii), ze swoim samorządem i instytucją trzech *s. electmanów*, jak się tam oficjalnie nazywa burmistrzów. Z miasteczek pochodziły wszystkie niemal najwybitniejsze umysły Stanów Zjednoczonych. Większość rodzin prezydentów USA wywodziła się z nich. Przez cały okres amerykańskiej historii aż do początków XX wieku miasteczka przodowały pod względem kulturalnym i stanowiły podstawową komórkę organizacji społecznej.

Od stu lat tracą stopniowo na znaczeniu. Na ten stan rzeczy złożyło się szereg czynników. Samochody, *high-waye*, wielkie supermarkety w miastach i domy handlowe, w których drogą pocztową kupuje się tanio najlepsze towary. Miasta stały się ośrodkami, do których wszystko ciążyło. Ludność też chętnie tam się przenosiła. Od paru lat obserwuje się jednak zjawisko wprost odwrotne. Fabryki coraz częściej przenoszą się na prowincję, a domy towarowe otwierają w nich swoje filie. Właściwie już teraz mieszkańiec najmniejszego miasteczka nie potrzebuje jechać do dużego miasta dla załatwienia swoich spraw. Wszystko ma na miejscu.

Pod względem gospodarczym miasteczka amerykańskie zaczynają odzyskiwać dawne znaczenie, natomiast pod względem kulturalnym i politycznym świetność ich należy chyba do bezpowrotnej przeszłości. Ośrodkiem kulturalnym będzie nadal miasto. To samo dotyczy również polityki. Miasteczka są tylko odskocznią dla debiutujących polityków, ale niczym więcej. Małomiasteczkowi bankierzy, redaktorzy lub adwokaci, którzy dawniej odgrywali znaczną rolę i zajmowali wysoki szczebel w hierarchii społecznej, nie mają już dziś znaczenia i mogą liczyć tylko na miejscową karierę.

Światła wielkiego miasta

Zdarzyło się to po moim przyjeździe z St. Louis do Nowego Jorku, kiedy wysiadłem na dworcu autobusowym — Port Authority Bus Terminal — i zdążyłem do hotelu. Był niedaleko, więc z walizką w ręku szedłem piechotą. Zapadał już zmrok, lecz było jeszcze widno. Nagle zgasły uliczne latarnie i światła wystaw sklepowych. Na ulicy powstało zamieszanie. Samochody zaczęły używać wrzaskliwych klaksonów, ludzie przystawali, w sklepach kręcili się bezradni sprzedawcy. Przyśpieszyłem kroku, jako że powszechne zdenerwowanie również i mnie się udzieliło.

Hotel „New York er” jest olbrzymim gmachem - pięćdziesiąt pięter, a może więcej; miasteczko pełne sklepów, restauracji, barów i oczywiście przyjezdnych. W hallu popłoch. Przestraszone damy, zakłopotani i podnieceni dżentelmeni, świecono elektrycznymi latarkami. Wszyscy komentowali głośno niecodzienne zdarzenie. W recepcji przyjęto mnie bardzo opryskliwie. — Pokój... a jak się pan do niego dostanie. — Nic nie rozumiałem. Gdy zrezygnowany cofnąłem się, by usiąść w fotelu i spokojnie poczekać, aż się zapali światło, wpadła straż pożarna. Jakaś dama krzyknęła przeraźliwie, że się pali. Ludzie zaczęli się pchać do wyjścia, lecz ich uspokojono. Nie o ogień chodzi, lecz o windy. Z dwunastu wind obsługujących hotel, jedenaście było w ruchu w chwili, gdy ustał dopływ prądu. Wszystkie utknęły gdzieś między piętrami i trzeba było uwolnić ludzi, którzy znajdowali się wewnątrz.

Zrozumiałem, że w tym zamieszaniu nie dostanę pokoju, wyszedłem więc na ulicę, by spokojnie poszukać innego hotelu lub udać się do znajomych. Zrobiło się zupełnie ciemno. Błyskały tylko o światła reflektorów samochodowych. Z wyciem syren pędziły wozy straży pożarnej i samochody policyjne. W jakiejś kaffeterii zamigotało światło, wszedłem. Na kontuarze paliły się ozdobne, złożone świece, których się używa przy specjalnych okazjach. Usiadłem przy barze i zapytałem, co można zjeść. Kelner wzruszył ramionami.

- Tylko na zimno, kuchnia jest elektryczna, a więc nieczynna. Nawet kawy panu dać nie mogę, chyba że taką letnią... A może sok pomarańczowy?

Potem jeszcze dodał, że za światło, to jest za te świece, dolicza się do rachunku specjalny dodatek i że chyba rozumiem, iż takie świece jak te, które stoją na barze, kosztują moc pieniędzy. Odpowiedziałem, że można było zapalić zwykłe i że zupełnie nie rozumiem tych wszystkich ceregieli. Zaśmiał się tylko:

- Gdzie pan w Nowym Jorku dostanie zwykłe świece?

Zjadłem coś i wyszedłem na ulicę. Właśnie obok było wejście do *subwayu*. Stali przy nim ludzie, głośno rozprawiając. Oświetlano wejście elektrycznymi latarkami, a z dołu, jak z czeluści, wynurzały się zmęczone postacie. Opowiadano, jak w podziemnych tunelach stanęły pociągi i zapanowała ciemność. Pasażerów ogarnęła panika. Z trudem zdołano uspokoić kobiety. Czekali pół godziny, po czym zaczęli wyskakiwać. Szli tunelami, potykając się o szyny i gramoląc na wysokie perony. Trzeba było przeciskać się między wagonami stojących pociągów i czołgać się pod nimi. Otaczający mrok nie pozwalał odnaleźć wyjścia. Wyniesiono jakąś kobietę ze złamaną nogą. Z dołu ktoś krzyczał: Policja,

policja! i wzywał, by iść i wyprowadzić jakieś dzieci, które się pogubiły.

Ruch na ulicach zamierał. Chciałem jechać taksówką, lecz kierowca odmówił. Woli nie ryzykować. Straż ogniowa i policyjne wozy pędzą jak szalone, a światła na skrzyżowaniach są przecież nieczynne. On sam już widział trzy poważne kraksy. Nawet do garażu boi się teraz jechać i radzi mi, abym poszedł piechotą.

Powędrowałem więc dalej. Przy wielkim supermarkecie tłoczyli się ludzie. Usłyszałem, że rozdają lody. W supermarketach przechowuje się lody w wielkich skrzyniach-chłodniach. Ponieważ panował nieznośny upał, lody zaczęły się szybko topić i zalewać inne towary. Rozdawano też mrożone potrawy, jarzyny i wszystko, co już odtajało.

Do znajomych dobrnąłem dopiero po kilku godzinach, kiedy już była noc. W hotelach portierzy nie wpuszczali do środka, a lokale restauracyjne i sklepy były pozamykane. Chaos w mieście wciąż się potęgował. Widziałem rozbite samochody i autobus, który wjechał na chodnik i uderzył w ścianę domu. Ryk syren pędzących karetok policyjnych (policja w Ameryce spełnia również funkcje pogotowia ratunkowego) wzmagał nastrój grozy i czegoś niesamowitego.

Dzienniki podały później przyczynę katastrofy. Dzień był wyjątkowo upalny. Było gorąco i parno. Mieszkańcy, po powrocie z pracy do domów, uruchomili niemal jednocześnie urządzenia klimatyzacyjne i główne kable nie wytrzymały obciążenia. Dopiero po sześciu godzinach znaleziono uszkodzenie i usunięto awarię. W ciągu tych sześciu godzin miasto było zupełnie sparaliżowane, wyłączone z normalnego życia.

Miasteczko w Massachusetts

Po przyjeździe do Stanów zatrzymałem się na dłuższy pobyt w miasteczku Shirley w stanie Massachusetts. Miasteczko jak tysiące innych. *Main street*, supermarket, bar, restauracja, *drugstore* i trochę innych sklepów. Była tam niegdyś stacja kolejowa, lecz rozebrano ją i na jej miejscu zbudowano stację benzynową. Miasteczko jest schludne. Asfalt, neony, piękne wystawy sklepowe. Dla mnie było o tyle ciekawe, że zarządzali nim moi rodacy. Zgodnie ze zwyczajem jest tu trzech burmistrzów, *selec-tmenów*. Ta sprzyjająca okoliczność, że ojcami miasta Shirley byli Polacy, ułatwiła mi zapoznanie się z gospodarką miejską.

Do miasteczka należą również okoliczne farmy, jakkolwiek nazwa „farma” ma tu już tylko charakter symboliczny. Dwie farmy mleczarskie i jedna drobiu. Pozostałe farmy porzuciły gospodarkę i dziś mieszkają tam ludzie pracujący w mieście. Do farmerskich domów, niekiedy bardzo oddalonych od miasta, prowadzą asfaltowe, oświetlone nocą drogi i rury wodociągów, jak również dwa razy na tydzień przyjeżdża wóz po śmiecie. Wszystkie te urządzenia komunalne zostały zbudowane przez miasto z funduszy publicznych. I wciąż się coś buduje. Asfaltuje się drogi, nawet boczne, układa się chodniki, a na skrzyżowaniach dróg uruchamia świetlną sygnalizację. Miasto zakupiło też maszyny do budowy dróg i wozy dla straży pożarnej. Zastanowiło mnie, skąd się biorą fundusze na tak kosztowne inwestycje.

A teraz trochę informacji. Shirley to małe miasteczko zamieszkałe przez pięć tysięcy Anglosasów, Polaków, Irlandczyków, Litwinów, Włochów i Murzynów. Obecnie grupa anglosaska, potomkowie dawnych osadników, którzy przybyli tu w XVIII wieku i założyli Shirley, znajduje się w mniejszości. W ciągu stuleci Anglosasi sprowadzali tu robotników dla siebie i robotnicy ci już pozostali. „Zapuscili korzenie” i dziś stanowią nie tylko większość, lecz również rządzą miastem. Warto więc dowiedzieć się, jak dzielą fundusze i jak przedstawia się aktualny stan gospodarki miejskiej. Ulice w miasteczku są dobrze utrzymane. W mieście jest biblioteka publiczna, dwie szkoły. Miasto musi opłacać policję i posiada doskonale wyposażoną straż pożarną.

Ogólny budżet miasta w 1959 r. zamykał się po stronie wydatków kwotą 294 tysiące dolarów. Przede wszystkim zainteresowałem się, ile z tej masy pochłaniają pensje stałych urzędników zarządu miejskiego. Otóż na administrację wydaje się 17 tysięcy dolarów, a więc około sześciu procent ogólnej sumy wydatków. Nie jest to wiele, a możliwe jest tylko dlatego, że prawie wszystkie stanowiska w zarządzie nie są płatne, lecz honorowe. Jak już wspominałem, burmistrzów jest trzech. Każdy z nich w okresie kadencji pracuje zarobkowo i tylko pewną ilość czasu poświęca urzędowi. Jeden sprzedaje znaczki w okienku pocztowym, drugi jest robotnikiem w pobliskiej fabryce, trzeci emerytem, i ten ma najwięcej czasu. Burmistrzowie urzędują po dwa dni w tygodniu na zmianę. Co dzień, po południu, jeden jest w urzędzie. Po południu, gdyż do południa wszyscy ludzie są zajęci i nikt wtedy nie przychodzi załatwiać swoich spraw. Raz na tydzień burmistrzowie zbierają się i wówczas zapadają ważniejsze uchwały.

Poza nimi w magistracie pracuje cały sztab obywateli miasteczka, ale wszyscy bezpłatnie: skarbnik, któremu podlega wymiar podatków i do którego należy zatwierdzanie wydatków; „opiekun drzew przydrożnych”, kierownik wydziału drogowego. Ten ostatni, gdy trzeba naprawić drogę lub gdy buduje się nową, siada na maszynę i wykonuje potrzebne roboty, za co otrzymuje dniówkę jak zwykły robotnik. Istnieje również kilka wieloosobowych komisji: szkolna, zdrowia, finansowa, biblioteki, opieki społecznej, budowlana, planowania i nawet rozrywkowa, urządzająca zabawy publiczne. Wszystkie te komisje tworzą właściwy zarząd miasta.

Są jeszcze stanowiska jednoosobowe. Doradca burmistrzów, bardzo ważna osobistość, główny inicjator wszelkich inwestycji, i kilku inspektorów, a więc od parkanów, stawów, spraw weteranów, zadrzewienia i bawełny oraz lodu. Te dwa ostatnie stanowiska są tylko tradycyjne. Chodzi o tytuł i wyróżnienie obywatela.

Wszyscy ci ludzie nie pobierają wynagrodzenia, praca zaś, którą wykonują, uważana jest za zaszczyt. Członkowie komisji są wybierani co roku, każdy na dwa lata, podobnie jak burmistrzowie. Co roku więc jedni odchodzą, a na ich miejsce przychodzą inni. W ten sposób utrzymana zostaje ciągłość pracy.

Na stałej pensji jest w zarządzie miejskim jeden urzędnik. Prowadzi on księgowość, ściągą podatki, wpisuje do księgi zgony i urodziny. Kasa jest w banku. Poza nim pensję pobiera woźny, który utrzymuje w czystości budynki komunalne, oraz trzech policjantów pilnujących porządku.

Praca magistratu jest bardzo uproszczona. Nie widziałem ludzi przychodzących po jakieś zaświadczenia, tłoczących się patentów. Interesanci udają się ze swymi sprawami wprost do *selectmana*, zwykle do jego domu i tam z nim rozmawiają. Czasem tylko trzeba komuś wydać metrykę lub obliczyć podatki.

Największą sumę pochłaniają szkoły, które kosztują miasto rocznie 125 tysięcy dolarów, i drogi, na które wydaje się 48 tysięcy dolarów. Koszty utrzymania straży pożarnej wynoszą 42 tysiące dolarów. Ta ostatnia kwota obejmuje również koszty robót związanych ze znakowaniem dróg. Pozostałe pieniądze przeznacza się na różne inne cele, a więc na bibliotekę, dodatki dla weteranów, utrzymanie parku, cmentarza i drobne inwestycje.

Preliminarz budżetowy ustalają i opracowują komisje, burmistrzowie go tylko zatwierdzają i zlecają wypłatę. Komisje również dopilnowują robót i same często biorą udział w ich wykonaniu. Na przykład w szkole jest kuchnia dla dzieci. Prowadzą ją członkowie komisji, na zmianę. Pracują zaś w niej kolejno, bezpłatnie wszystkie matki dzieci uczęszczających do szkoły. Dzięki ich pracy miasto uzyskuje duże oszczędności i obiady dla dzieci są o wiele lepsze.

Podobnie jest ze strażą pożarną. Należą do niej osoby - oczywiście zatrudnione honorowo - z samego centrum miasteczka. Pieniądze na straż pożarną przeznaczone są tylko na zakup sprzętu, samochodów i instalowanie hydrantów. Pełne uposażenie otrzymują tylko funkcjonariusze policji. Kierownik posterunku, sierżant, jest na pensji rządowej, jako pracownik etatowy. Pozostali trzej policjanci pochodzą z wyboru i otrzymują stałe wynagrodzenie, a po dwóch latach służby wracają do swych dawnych zajęć.

Przejrzałem raz jeszcze budżet, wynotowałem cyfry i zrozumiałem, dlaczego w gminach amerykańskich buduje się bez pomocy finansowej rządu asfaltowe drogi, utrzymuje szkoły i doprowadza rury wodociągowe do odległych farm.

Dom na farmie

W Shirley mieszkałem na farmie, kilometr od miasteczka. Był to dom pionierski, stary. Na belce wyrzeźbiona data - 1716. Dom, jak większość tutaj, drewniany, piętrowy, solidnie zbudowany. Urządzenie wnętrza pozostało bez zmian. Nikt nic tu nie ruszał, wojny nic nie zniszczyły. Oparł się huraganom i uniknął szczęśliwie pożaru. Amerykanie pielęgnują wszystko, co zostało po dawnych osadnikach. Wprowadzono jedynie pewne ulepszenia, bez których nie można sobie wyobrazić współczesnego życia. Wstawiono więc elektryczną kuchnię — elektryczność została doprowadzona już bardzo dawno — lodówkę i skanalizowano dom. Wbudowano wanny, założono prysznice, a dawną studnię zamieniono w szambo. Pozostały natomiast w izbach stare kominki z szerokimi paszczami okopconych palenisk. Z boku żelazne krany. Na nich zawieszano niegdyś kociołki do warzenia stawy. W kociołkach tych (jeden taki jeszcze tu pozostał) duszono potrawy z wiewiórek, ulubiony przysmak purytańskich osadników. Dziś się już tej potrawy nie jada, dzięki czemu wiewiórki mogły się rozmnożyć. Na kominkach jednak ogień pali się często. Gdy w dzień bywa gorąco, wieczorami zaś chłodno, a czasem nawet zimno, wówczas roznieca się ogień i pali wielkie bierwiona. Dokłada się je bez miary, jako że drewno jest tu tanie, właściwie nie ma żadnej ceny. Dla takiej przyjemności nikt tu nie żałuje

swojej fatygi.

Domy zbudowane z drzewa pomalowane są na biało lub kremowo, okiennice zaś na czarno, zielono, rzadziej na kolor niebieski, natomiast zabudowania gospodarskie na farmie lśnią czerwoną farbą. Ściany domów obrasta nie znana u nas zupełnie pnąca roślina — *trumpet cree-Per*, o czerwonych, dużych kwiatach, które są ulubionym przysmakiem kolibrów. Lubilem rankiem obserwować, jak się zlatywały i trzepocząc skrzydełkami niczym owady zapuszczały długie dziobki w głąb purpurowych kielichów.

Przed domem starannie strzyżona łączka-trawnik. Dalej bagienko porosłe karłowatą olszynką, strumyk i basen kąpielowy. Bez basenu na wolnym powietrzu Amerykanin czułby się bardzo nieszczęśliwy i pokrzywdzony przez los. Brak basenu zastępuje kadzią z plastyka.

Dalej lasy, dosłownie wszędzie. Kiedyś, na początku XVIII wieku, były tu tylko lasy, które z trudem wykarczowano. Potem zbudowano budynki i uprawiono pola. W niespełna dwieście lat wszystko zaczęło powracać do pierwotnego stanu. Leżące ugięte pola zaczęły zarastać krzewami, stare zabudowania gospodarskie murszały i waliły się. Dziś nic z nich nie zostało, poza kamiennymi fundamentami. Gnieźdzą się w nich *chipmunki* — coś w rodzaju wiewiórek — i duże, czarne węże, które na nie polują. Na polach szumią drzewa. Nikt ich nie wycina, nikt nie pielęgnuje — drzewo jest zbyt tanie, a robocizna droga. Pól się nie uprawia, bo i któż mógłby tu konkurować ze Środkowym Zachodem.

Pośród krzewów tui, sosenek i smukłych klonów rosną gdzieś tam stare, zupełnie zdziczałe drzewa owocowe. Ongiś na tej farmie były duże sady. Z jabłek wyrabiano świetny jabłecznik i *apple jack* — lekkie wino, narodowy napój dawnych Amerykanów. Do wyciskania soku z jabłek służyła wielka prasa, która stała w osobnym budynku. Zarówno z prasy, jak i z budynku nie zostało już ani śladu. Sady zmarniały, większości drzew już nie ma, a pozostałe rodzą małe i cierpkie jabłka. W innej części farmy dziki chmiel pną się po drzewach. Kiedyś był tu duży chmielnik i suszarnie chmielu, gdzie go także siarkowano. Chmiel zdziczał lub wyginał, suszarnię zaś, mocno nadwerżoną, przewrócił huragan. Dziś trudno nawet znaleźć te miejsca. Trochę resztek węgla czernieje wśród trawy, i nic więcej. Aż dziw, jak natura potrafi prędko odebrać człowiekowi to, co jej kiedyś wydarł. Nie tylko odbiera, lecz starannie zaciera ślady ludzkiej gospodarki.

Wszystko się tu dokładnie wie, gdzie, co i jak było. W długie zimowe wieczory pionierzy skrzętnie spisywali swoje dzieje. Następne pokolenia przejęły ten zwyczaj. Przechowały się więc różne pamiętniki, notatki robione na marginesach starych Biblii lub listy do sąsiadów, długie i po staroświecku wyczerpujące. Wojna o niepodległość szkód nie wyrządziła, inne tu nie dotarły. Amerykanie lubią się grzebać w swej krótkiej historii, jak również w historii każdej miejscowości. Małe Shirley posiada dwie obszerne monografie. Obie bogato ilustrowane przedstawiają z kronikarską drobiazgowością i pedanterią dzieje miejscowości.

Dom otoczony jest lasami. Stare, mroczne, gęste lasy. Pierwotna puszcza. Wielkie pnie leżą zwalone jedno na drugim. Przez próchno leżących kłód pną się gęsto w górę młode drzewka. Gąszcz. Jak gdyby stopa ludzka nigdy tu nie stanęła. Radzono mi nawet, bym tam nie chodził, gdyż można się natknąć na grzechotnika lub poparzyć liśćmi *poison ivy* i długo potem chorować.

Od domu prowadzi dróżka w górę do asfaltowej drogi wiodącej do miasteczka. Droga, a właściwie ulica. Po obu jej stronach lampy elektryczne i skrzynki pocztowe, umieszczone na słupkach w taki sposób, by listonosz, jadąc samochodem, mógł nie wysiadając umieścić w niej listy. Potem unosi blaszaną chorągiewkę na znak, że w skrzynce jest poczta. Kiedy szedłem do skrzynki po listy, spotykałem wóz mleczarza, a po chwili żółty autobus. Autobusy te również stanowią specyficzny rys tego kraju i są wyrazem dbałości o dzieci. Przywożą je do szkoły i odwożą po lekcjach do domu. Tylko dzieci mieszkające w bliskim sąsiedztwie szkoły chodzą do niej pieszo. Ta komunikacja autobusowa posiada specjalne przepisy i przywileje. Wozy malowane są na kolor żółty, aby były dobrze widoczne i odróżniały się od innych.

Gdy stoją na przystanku i dzieci wsiadają lub wysiadają, nie wolno ich mijać. Ilekroć żółty autobus gdzieś się zatrzymuje, natychmiast ustaje ruch na ulicy. Są to — moim zdaniem — zbyt przesadne środki ostrożności. W miastach, gdzie na ulicach w pobliżu szkoły panuje duży ruch samochodowy, w godzinach rannych jest czynna specjalna policja, zazwyczaj kobieca. Jej obowiązkiem jest wyłącznie opieka nad dziećmi przechodzącymi przez jezdnię. Policjantki zbierają dzieci, wstrzymują ruch, a potem je przeprowadzają na drugą stronę.

Autobus odjeżdżał, a ja wyjmowałem listy i wracałem do domu. Wystarczyło tylko trochę oddalić się od drogi, by wejść w świat pierwotny i dziki. Po drzewach skaczą szare wiewiórki, gwizdzą ostro *chipmunk*,

a przez dróżkę przemyka szary królik. Wieczorem spotyka się myszkujące skunksy lub siwego lisa. Wyjrząwszy nad ranem przez okno, można zobaczyć na łączce jelenie, zwabione świeżą, soczystą trawą. Zwierzęta są tu ostrożne, lecz nie płochliwe. Nawet chuligani — tych nigdzie nie brakuje — mają tu wpojone przekonanie, że zwierząt się nie straszy, nie gnębi i nie goni.

Wojna o niepodległość

Wszystko zaczęło się od herbaty. Gdyby bostończycy jej nie lubili, nie wiadomo, jak by dziś wyglądał amerykański kontynent. Oczywiście, powyższe zdanie zawiera sporą dozę przesady, niemniej jednak ów egzotyczny krzew przyspieszył niewątpliwie wyzwolenie amerykańskiej kolonii. Właściwie przyczyniła się do tego zachłanność londyńskich kupców i angielskiego skarbu.

Kupcy angielscy posiadali różne przywileje, lecz przede wszystkim wyłączne prawo handlu z zamorskimi koloniami. Przynosiło im to profit niemały. Za cukier pobierali prawie trzykrotnie wyższą cenę, a za herbatę żądali bajońskich sum. Lecz nie dość na tym; rząd angielski nałożył specjalny podatek. Nie był duży, wynosił tylko trzy pensy od funta, lecz dla oszczędnych pury-tanów było to za wiele. Zawrzało. W pierwszym, choć krótkotrwałym odruchu postanowili powstrzymać się od picia herbaty. Anglik może odmówić sobie wszystkiego, ale nie herbaty; ci zaś w koloniach byli wówczas tylko Anglikami. Znaleziono wyjście. Statki z Bostonu pozęgłowały na Curacao i wróciły wyładowane holenderską herbatą. Tanią i doskonałą. Fakt ten ogromnie podniósł bostończyków na duchu. Postanowili angielskiej herbaty więcej nie kupować i ogłosili jej bojkot. Kupcy w Bostonie bogacili się szybko, ludność zaś cieszyła się łatwym zwycięstwem. Uczucia patriotyczne gwałtownie przybierały na sile. Gdy do portu w Bostonie zawinęły trzy statki z angielską herbatą, młodzież wtargnęła na ich pokład i wrzuciła do wody cały ładunek (343 skrzynie). Nazwiska młodzieńców stały się sławne. Oburzeni Anglicy, zwłaszcza zaś sfery kupieckie, zażądali ukarania winnych. Zgodnie jednak z prawem przestępca musi być sądzony przez miejscowy sąd. Młodzi sprawcy stanęli więc przed sądem w Bostonie. Sędziowie bostońscy wydali jednak wyrok uniewinniający.

Spór ten nie zakończył się jednak. Podekscytowana młodzież zaczęła napadać na domy angielskich urzędników skarbowych. Niszczono dokumenty, a nawet podpalano domy. W Nowej Anglii stacjonowały tak nieliczne garnizony wojska, że władze okazały się zupełnie bezsilne. Ograniczyły się tylko do wysyłania na ulice patroli, lecz gawieź niewiele sobie z nich robiła. Pewnego dnia w Bostonie uczniowie obrzucili patrol kulami ze śniegu. Żołnierze nie wytrzymali, dali ognia. Było trzech zabitych i ośmiu rannych. Incydent ten przeszedł do historii pod nazwą „bostoń-skiej masakry”.

W Anglii lekceważono te wydarzenia. Właściwie nawet nie interesowano się nimi. Wysłano tylko więcej wojsk, by poskromić krnąbrnych farmerów i ukarać winnych. Król i parlament nie chcieli zajmować się tą sprawą. Kolonistów osiadłych po drugiej stronie oceanu traktowano niezmiennie jak rdzennych Anglików, podobnie jak tych, którzy na wyspach brytyjskich poddawali się posłuszenie wszystkim zarządzeniom i z uległością znosili ucisk, wyzysk i biedę. Na tym polegała zasadnicza pomyłka.

Kolonisci w Ameryce byli Anglikami, lecz ze starą ojczyzną łączyły ich tylko bardzo złe wspomnienia. Pamiętali też o ciężkich warunkach, jakie musieli znieść podczas podróży. Przepelniony statek, głód, choroby. Potem wyczerpująca praca ponad siły na miejscu, praca za grosze. Następnie chatka z trudem przez siebie zbudowana i kawał lasu, który trzeba było wykarczować. A do tego jeszcze Indianie, moskity i węże. I kiedy zaczęło się im lepiej powodzić, nagle rząd angielski, dotychczas daleki i prawie zapomniany, daje znać o sobie. Powstała obawa, że Anglia zamierza wprowadzić takie porządki, jakie panują w starym kraju.

Nie byli już bezbronni. Poza bronią palną mieli uniwersytety i kadry wykształconych ludzi, doskonale zorientowanych w sytuacji. Na ich czoło wysunęli się w tym czasie dwaj Adamsowie. Z inicjatywy Johna Adamsa odbył się w Filadelfii tzw. „kongres kontynentalny”, w którym wzięli udział przedstawiciele ludności trzynastu ówczesnych stanów. Kongres ten uchwalił „Deklarację praw” i postanowił działać. Zresztą niezależnie od tych uchwał wypadki potoczyły się swoim torem.

W kwietniu 1775 roku oddział Anglików, w sile około tysiąca ludzi, wymaszerował z Bostonu do miasteczka Concord. Według wiadomości, jakie Anglicy uzyskali, miał się tam znajdować dnzy skład broni zgromadzonej przez farmerów. Celem ekspedycji było zlikwidowanie tego składu i aresztowanie działaczy, którzy zbyt śmiało sobie poczynając podburzali miejscową ludność. Droga prowadziła przez Lesington. Mieli właśnie już wkroczyć do miasteczka, gdy na moście zastąpił im drogę tłum farmerów, zbrojnych w muszkiety i rusznice. Padły strzały; ośmiu Amerykanów poniosło śmierć. Jednakże Anglicy postanowili przezornie się wycofać i wrócić do Bostonu. Powrót zakończył się tragicznie. Do koszar dotarło zaledwie 273 żołnierzy. Tak się zaczęła wojna, zwana amerykańską rewolucją.

W maju tego roku zwołany został drugi kongres, również w Filadelfii. Zapadła na nim historyczna uchwała zrzucenia angielskiego jarzma. Dowództwo nad formującą się armią kongres powierzył obywatelowi o nazwisku George Washington.

Z pomocą amerykańskim rewolucjonistom pierwsza pospieszyła Francja. Wspomagała ich dostawami broni, pieniędzmi i ludźmi. Markiz Lafayette i Kazimierz Pułaski stali się głównymi bohaterami wojny wyzwoleniczej. „Pułaski day” jest świętem narodowym, podczas którego odbywa się zawsze rewia wojskowa. Wśród innych bohaterów tej wojny znaleźli się: Tadeusz Kościuszko, Johann Kalb i generał von Steuben.

W 1783 roku wojna została zakończona. Stany Zjednoczone uzyskały wolność.

DEKAMERON NOWEGO ŚWIATA

Szczęście utajone

W żadnym chyba kraju ludzie nie zaprzatają sobie głowy miłością w takim stopniu, co właśnie w Ameryce. Miłość i szczęście w pożyciu małżeńskim oto dwa zagadnienia, nad rozwiązaniem których wciąż się biedzą Amerykanie. Nigdzie na ten temat nie mówi się tak wiele, nigdzie też atmosfera nie jest tak nasycona erotyzmem, jak właśnie w Stanach Zjednoczonych. Miłość jest tematem wszystkich niemal piosenek, filmów czy utworów literackich. Miłość jest również częstym przedmiotem rozważań ludzi nauki.

Rezultaty tych wysiłków są bardzo mizerne, nigdzie bowiem nie spotyka się tyle zawiedzionych kobiet i tylu mężczyzn spragnionych wzruszeń miłosnych. W intymnych rozmowach kobiety zwykle oskarżają mężczyzn, a mężczyźni kobiety; obie płcie żywią do siebie wzajemne urazy. Często zdarza się, że Amerykanie przywożą sobie żony z Europy lub z innego kontynentu i znajdują szczęście w pożyciu małżeńskim z cudzoziemkami. Podobnie też i Amerykanki, które wyszły za obcokrajowców, chwala sobie małżeństwo z nimi. Czym wytłumaczyć to dziwne zjawisko?

Niełatwo jest znaleźć odpowiedź na to pytanie, to znaczy bardzo trudno jest wskazać przyczynę tego stanu rzeczy. Aby zorientować się w tej materii, trzeba się przyjrzeć z bliska zarówno mężczyznom, jak i kobietom, ich wzajemnym stosunkom, a więc sprawom — siłą faktu — intymnym, o których się bardzo mało pisze, a jeszcze mniej mówi. Trzeba spojrzeć na życie, i to z bardzo bliskiej odległości. Może wówczas otrzymamy odpowiedź na interesujące nas pytanie?

Uciekinierzy

Amerykańskie małżeństwa nie mają opinii zbyt trwałych. Separacje i rozwody są tu bardzo częste i nie dziwią nikogo. Nie jest to jednak jedyna bolączka amerykańskiej rodziny. Jest ich więcej, a wśród nich jedna mało znana, lecz dla amerykańskich stosunków bardzo charakterystyczna. Oto milion mężów rocznie opuszcza swe żony. Milion kobiet w Stanach Zjednoczonych popada co roku w dość dziwną sytuację — nie są bowiem ani wdowami, ani rozwódkami, ani też żonami. Mężowie, o których mowa, po prostu uciekają. Znikają bez śladu, porzucając raz na zawsze rodziny. Nie chcą kłopotać się o rozwód lub też o inne prawne uregulowanie swego stanu.

Zjawisko masowego porzucania przez mężczyzn żon i rodzin stało się problemem nie tylko społecznym, lecz i finansowym. Porzucone mężatki kosztują skarb państwa rocznie miliard dolarów. Tyle bowiem wynoszą zapomogi wypłacane co roku „osieroconym” rodzinom. Jest to suma olbrzymia i dlatego zbiegowie są zawsze poszukiwani „z urzędu”, bardzo często jednak bez rezultatu. W USA nie ma obowiązku meldowania się, jak również nie istnieją dowody osobiste, wobec czego odszukanie zbiega w tak olbrzymim kraju, jak Stany Zjednoczone, nastęrcza poważne trudności. Tylko połowa ogólnej liczby uciekinierów jest odnajdywana i zmuszana sędownie do utrzymywania swych rodzin. Również i żony czynią poszukiwania własnymi środkami. Powstał nawet nowy zawód - „poszukiwaczy” zbiegłych mężów. Istnieją obecnie specjalne biura i agencje oferujące usługi porzucenym żonom. Odnalezienie zbiega kosztuje dość drogo, mimo to klientek wciąż przybywa.

Ucieczki mężów z ogniska rodzinnego są chorobą społeczną, zjawiskiem groźnym, gdyż masowym i wykazującym stałą tendencję wzrostową. Władze są bezsilne, nie wiedzą co robić, tym bardziej że przyczyny tej niedomogi życia społecznego są skomplikowane. Znam wypadek, kiedy człowiek zamożny, stateczny i zrównoważony wstał pewnego wieczoru od telewizora i oświadczył rodzinie, że idzie kupić lody. Wyszedł i dopiero w pół roku później odnaleziono go w odległym stanie Iowa. Po powrocie jednak nikomu nie wyjawiał przyczyny tak nagłej ucieczki z domu.

A oto inny wypadek, nie mniej dziwny i niepojęty. Dyrektorem „National City Bank” w Nowym Jorku był niejaki Richard Crowe, człowiek zamożny, opanowany, doskonały finansista. Posiadał dom pod Nowym Jorkiem, dwa samochody, łódź motorową i pokaźny kapitał na koncie. W życiu rodzinnym wydawał się być szczęśliwy. Miał przystojną żonę, z którą żył dobrze, i dwoje ładnych dzieci. Pewnego dnia przyszedł mu do głowy niezwykle pomysł. Wziął z kasy banku blisko 900 tysięcy dolarów i znikł bez śladu. Niezwykłość owego „pomysłu” polegała na tym, że pozostawiony przez niego majątek wielokrotnie przewyższał wartość zrabowaną w banku kwotę. Po paru miesiącach znaleziono go w Miami. Zwrócił wszystkie pieniądze w nienaruszonym stanie. Indagowany, powiedział: „Czułem się zmuszony uczynić coś niezwykłego. Nie można przecież ciągle tkwić w tak monotonnym i uregulowanym życiu. Myślę, że takich jak ja jest w Stanach Zjednoczonych wielu...”

Inny uciekinier, E.J. Meukel, był człowiekiem zamożnym i zdolnym wynalazcą lotniczym. Nagle znikł i po

dłuższym czasie został odnaleziony na bezludnej wyspie na rzece Trucee, w stanie Nevada. Chociaż znaleziono go w sytuacji godnej pożałowania, odmówił stanowczo powrotu do domu.

Sprawa masowych ucieczek mężów już od dawna interesuje i zaprzęta umysły psychiatrów, psychologów i psychoanalityków. Dodajmy, że uciekają prawie wyłącznie mężczyźni. Porzucanie rodziny przez kobietę należy do rzadkości.

Są też prowadzone studia w tym zakresie. W czasie rozmów ze zbiegami psychiatrzy starają się skłonić ich do szczerych wyznań i podania prawdziwych pobudek, które zmusiły ich do nagłej ucieczki z domu. Dotychczas jednak nikt nie chciał albo nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to zrobił. Dr Hugo Engel, szef wydziału psychiatrycznego służby zdrowia armii amerykańskiej, długo zajmował się tą sprawą i po wieloletnich badaniach ogłosił, że przyczyną ucieczek jest choroba woli. Twierdzi on, że ludzie nagle porzucający swoje rodziny mają takie same problemy życiowe, jak wszyscy. Nie są jednak w stanie rozwiązać ich tak, jak to czyni większość. Ludzie ci są bezwolni, niezdolni do wysiłku i nie potrafią pokonać nawet drobnych przeciwności życiowych. Próbują więc uciec od rzeczywistości, aby zacząć życie od nowa, z nadzieją, że ułoży się ono dla nich pomyślnie, bezkonfliktowo. Swoją tezę dr Engel opiera na tym, że niejednokrotnie stwierdzał, iż przyczyną ucieczki była jakaś drobnostka, na przykład zatkany zlew w domu, sprzeczka z żoną albo krnąbrne dziecko. Bywają mężczyźni, którzy uciekają z powodu długów, niekorzystnego kupna domu lub samochodu. Dr Engel zbyt mało jednak poświęca uwagi przyczynie dość powszechnej, o której dość często wspomina. Przyczyną tą jest brak harmonii w pożyciu małżeńskim, chęć rozejścia się z żoną przy jednoczesnym braku odwagi, by jej to wyznać.

Inny amerykański psychiatra, dr Earle Eubanks, naczelny psychiatra wydziału opieki społecznej w Chicago, podzielił typy uciekinierów na pięć grup. Do pierwszej zaliczył mężczyzn, którzy zbyt lekkomyślnie i niefrasobliwie zawarli małżeństwo i którzy, uginając się pod brzemieniem obowiązków, decydują się na porzucenie domu. Mężczyzna taki ucieka w poszukiwaniu swobody i bez troski, a więc tego, czego odczuwał brak w dotychczasowym życiu. Do drugiej należą wyjeżdżający z domu za pracą. Z czasem odzwyczajają się od swych rodzin, tracą z nimi kontakt, a często nawet żenią się po raz drugi, nie przeprowadzając rozwodu z dawną towarzyszką życia. Zdarza się, że opuszczają także te drugie rodziny. Do trzeciej grupy zaliczył mężczyzn porzucających rodziny tylko na pewien czas. Ci zazwyczaj powracają, jakby nic się nie stało. Przyczyną takiego „czasowego” porzucenia żony bywają najczęściej jakieś nic nie znaczące błahostki: sprzeczka, niesmacznie przyrządzony posiłek lub irytacja wywołana przez dzieci. Czwarta grupa jest najliczniejsza. Są to uciekinierzy, którzy nie widzą innego sposobu odzyskania utraconej swobody.

W Ameryce ludzie żenią się w bardzo młodym wieku, często bez zastanowienia. Po ślubie zaś poznają swoją pomyłkę. Wiele małżeństw jest zawieranych nie tylko z braku należytej rozwagi i znajomości życia, lecz wskutek nacisku rodziny narzeczonej lub nawet pod groźbą rewolweru. Młody człowiek godzi się wówczas na małżeństwo, by po pewnym czasie porzucić swą żonę.

Do piątej grupy, również bardzo licznej, należą mężowie, którzy po wieloletnim pożyciu czują nagle silną, nieodpartą potrzebę zmiany otoczenia. Ci pozostawiają zwykle dość liczne rodziny i oni też narażają państwo na największe koszty.

Cała ta klasyfikacja nie wyjaśnia jednak, dlaczego właśnie zjawisko to jest typowe dla Stanów Zjednoczonych i dlaczego w innych krajach jest prawie nie znane. Przyczyny tego muszą tkwić gdzieś głęboko, może w specyfice stosunków społecznych i rodzinnych w USA, może w charakterze mężczyzn lub kobiet?

Amerykanie chwalą się, że rodzina amerykańska jest najnowocześniejsza na świecie. Istotnie, jest ona nowoczesna, lecz również daleka od doskonałości, a przynajmniej od takiego typu rodziny, jaki zwykło się uważać za wzorowy. Nawet przytoczone wyżej fakty świadczą, że rodzina w Ameryce przeżywa kryzys, i to niewątpliwie głębszy niż w starej Europie.

Mężczyzna ujarzmiony

Zacznę od anegdotki o królowej Wiktorii i jej małżonku, księciu heskim, Albercie. Po jednej ze sprzeczek małżeńskich zirytowany książę Albert zamknął się w swoim pokoju. W chwilę później usłyszał pukanie. — Kto tam? — zapytał. — Królowa! — odpowiedziała pompatycznym tonem Wiktorja. — Kto? — zapytał Albert znowu, jakby zdziwiony, że ktoś taki może się tu w ogóle znajdować. Królowa powtórzyła odpowiedź, lecz książę małżonek nie raczył się nawet odezwać. Królowa nie przestawała jednak pukać i wołać. Mimo to zawzięty mąż pozostał głuchy na jej wezwania. Nagle, po chwili ciszy, znów usłyszał jej słowa, tym razem wypowiedziane głosem cichym, a nawet pokornym: Albercie, otwórz... to ja, twoja żona... — A, to co innego... — powiedział, otworzył drzwi i wpuścił królowę do pokoju.

Anegdotkę tę przeczytałem w Ameryce i pomyślałem z ironią o amerykańskich małżonkach. Bez złośliwości, raczej ze współczuciem. Scena z anegdotki w amerykańskim małżeństwie jest nie do pomyślenia. Hierarchia w rodzinie jest tam mniej więcej taka: na pierwszym miejscu dzieci, potem żona jako „głowa” domu, a na końcu mąż, pozbawiony prawie autorytetu. Jest „księciem małżonkiem”, lecz bez owych uprawnień, jakimi się cieszył książę Albert, małżonek potężnej monarchini.

Nie ma w tym przesady, tak jest rzeczywiście. Dr Otto Mering, profesor antropologii na uniwersytecie w Pittsburghu, tak określił pozycję męża we współczesnej rodzinie amerykańskiej:

„Mężczyzna stał się właściwie zbędnym członkiem rodziny. Jest kimś trzecim, kogo żona i dzieci tolerują o tyle, o ile regularnie przynosi pieniądze, pracuje i — co najważniejsze — nie wtrąca się do niczego”. W Ameryce krąży popularne powiedzonko, że mąż jest od „przynoszenia pieniędzy i wynoszenia śmieci”. Powiedzenie o tyle nieścisłe, że mąż jest jeszcze od wszystkich cięższych robót w domu. Jest, że użyję nieco wulgarnego określenia, „wołem roboczym”, eksploatowanym bez miłosierdzia i uznania przez całą rodzinę.

Normalny dzień żonaty mężczyzna spędza w Ameryce bardzo pracowicie. Rano zrywa się wcześnie, gdyż do Jego obowiązków należy często przygotowanie śniadania dla całej rodziny. Potem pędzi do pracy i wraca o szóstej albo nawet później. Obiad i potem zaczynają się główne obowiązki. „Pan” domu zawija rękawy koszuli, wkłada fartuszek i zmywa naczynia. Dobra żona pomoże przy wycieraniu talerzy. Następnie trzeba wynieść śmiecie, coś naprawić, odnowić, pomalować. Wszystkie te czynności wykonuje sam. W Ameryce usługi rzemieślnicze są zbyt drogie, by wzywać fachowca do każdej drobnej naprawy. Wiosną i latem dochodzi jeszcze praca w ogródku. Strzyżenie trawy, angielskim zwyczajem, trwa od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Wieczorem zaś żona oświadcza, że idzie do przyjaciółki, do klubu kobiecego lub do kina. Cały dzień przecież siedziała przy dzieciach i ma tego dość. Jeśli nawet w domu jest niemowlę, mąż da sobie radę, większość bowiem amerykańskich małżonków ma ukończone kursy pielęgnacji „baby”. Tego narzeczone teraz wymagają.

Nawet pranie w wielu rodzinach należy do obowiązków męża. Sytuację ma tylko o tyle ułatwioną, że nie potrzebuje sam prac. Zbiera po prostu bieliznę do torby lub worka, bierze książkę i idzie do tak zwanej *loundronette* lub *loundromatu*. Są to lokale podobne do sklepów, wyposażone w automatyczne pralki. Wrzuca się do niej 20 centów, wkłada bieliznę — i to wszystko. Na środku lokalu stoją drewniane stoły i ławki. Mężczyzna siada na ławce, wyciąga gazetę i w ten sposób skraca sobie czas oczekiwania. Cała manipulacja trwa pół godziny, zanim bielizna zostanie wyprana i wyżęta z wody. Jeśli chce ją dokładnie wysuszyć, wrzuca 10 centów do innego automatu i wkłada do niego na dziesięć minut bieliznę.

Gdy wieczorem jedzie się ulicami podmiejskich osiedli lub choćby Nowego Jorku, tylko w pewnym oddaleniu od śródmieścia, widzi się wszędzie takie *loundronetty* i mężczyźni przy stołach pograżonych w lekturze gazety. Czasami można tam zobaczyć kobiety, lecz mężczyźni w tych lokalach zwykle przeważają.

Przeciążony tyłoma obowiązkami, mężczyzna nie ma czasu na rozrywki, przyjaciół lub czytanie książek. Książki w Ameryce czytają kobiety, emeryci i studiująca młodzież. Żonaty mężczyzna nie ma czasu na osobiste przyjemności. Praca, dom, rodzina i tylko rzadko kiedy udaje mu się uszczknąć sobie godzinkę na spotkanie w klubie.

Jedyną odprężeniem przynosi mu... praca zawodowa. W niej może się wyżyć i dowieść przed innymi swej męskości i energii. Tylko tam żonaty mężczyzna posiada jeszcze autorytet i coś znaczy. Jednak to odprężenie jest tylko częściowe i problematyczne. Pościg za karierą, wspinanie się po drabinie zarobków z upływem czasu wyczerpują zasób sił fizycznych i odporności psychicznej. Pod tym względem żony są wymagające. Ambicje Amerykanek sięgają zawsze wysoko. Cóż bowiem wart jest mąż, który nie może niczym zaimponować i którym przed nikim nie można się pochwalić. Powinien mieć dom w przyzwoitej dzielnicy, drogiej oczywiście, gdzie mieszkają tacy jak on lub nawet „wyżej” postawieni. Musi mieć drogiej marki samochód, a dzieci powinny chodzić do „dobrej”, to znaczy drogiej i ekskluzywnej, szkoły. Trzeba zarobić na etolę z nerek dla żony (marzenie każdej zamężnej Amerykanki) i na pobyt rodziny na Florydzie. Wypada też przynajmniej raz na parę lat pojechać do Europy. A przy tym wszystkim trzeba stale i stale zwiększać konto bankowe, jako że tylko stanem konta ludziom się imponuje. Trudno się więc dziwić, że każdy zarobek jest za mały.

Pogoń za pieniędzmi i troski domowe wyczerpują mężczyznę. Wyniszczają przede wszystkim jego system nerwowy. Daje się zaobserwować już nawet typowo męskie choroby — zawały serca i owrzodzenie żołądka lub dwunastnicy. Nie ma w tym nic dziwnego. Wiecznie zaaferowany i czymś pochłonięty, Amerykanin żyje w ciągłym napięciu nerwowym i w obawie, że jego zabiegi i starania, plany

i zamierzenia coś mu nagle pokrzyżuje. Współczesny Amerykanin różni się diametralnie od owego wytrwałego pioniera, silnego i pewnego siebie. Wielu dzisiejszych mężczyzn w Ameryce cechuje wrodzona nieśmiałość i brak pewności siebie. Często brak tych cech starają się nadrobić pewną siebie miną. Głównym przedmiotem trosk i wysiłków mężczyzny jest pragnienie zdobycia trwałego zabezpieczenia i ustabilizowania swego życia. Problem *security* ciąży nawet na młodzieży. Antropolog Geoffrey Gorer jest zdania, że pęd do wczesnego zawierania małżeństw jest spowodowany między innymi instynktownym szukaniem spokojnej przystani, stabilizacji i zabezpieczenia. Zdaniem tego uczonego jest to τ = zultat braku zaufania we własne siły.

Jeśli nawet mężczyzna w swej pracy zawodowej odnosi sukcesy i ma powód do dumy, to pozycja w rodzinie musi wpływać deprymująco na jego samopoczucie. Nie tylko u swej żony, lecz również i u dzieci nie cieszy się zwykle większym szacunkiem. Po prostu nikt w domu nie traktuje go zbyt poważnie. Postać ojca bywa często obiektem żartów. „Tata-niezgrabiasz” stał się w amerykańskich „comicsach” postacią popularną, wzbudzającą wesołość, szczególnie wśród dzieci, i bohaterem wielu humorystycznych filmów rysunkowych. Zazwyczaj pokazuje się go jako pracowitego, ale niezręcznego opiekuna niemowlęcia lub kuchcika domowego. Co chwila powoduje drobne katastrofy, z których ratuje go zmyślna młoda żona. Niedościgła małżonka nie tylko ratuje w porę męża-niedorajdę z opresji, ona wszystko wie i wszystko potrafi.

W ciągu ubiegłych lat trzydziestu lub nawet czterdziestu zmieniły się w Ameryce obyczaje. Zmieniły się zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Zmierzchowi powagi i autorytetu mężczyzny w społeczeństwie amerykańskim poświęcono już niejedną książkę; oto dwa znamienne tytuły: „Kryzys męskości w Ameryce” i „Upadek amerykańskiego mężczyzny”. Znany psychoanalityk, dr Edward Strecker, stwierdza w swoich pracach, że męskie cechy u amerykańskich mężczyzn zostały unicestwione właśnie przez kobiety. Amerykanki, jego zdaniem, chcą mieć za mężów „pantoflarzy”, posłusznych na każde skinienie, lub „muskularnych byków”, by móc się nimi chwalić.

Jednakże wszystko wskazuje na to, że mężczyźni na ogół nie czują się zbyt dobrze w tej nowej roli czy — jak kto woli — sytuacji. Są bezradni i starają się wmówić sobie, że taki jest właśnie nowoczesny i słuszny model rodziny, że inaczej być nie może i nawet nie powinno. Poddali się matriarchatowi, oddali kobiecie inicjatywę i władzę w rodzinie. Czy ktoś na tym coś zyskał — bardzo wątpliwe. Wydaje się raczej, że poszkodowani są wszyscy — mąż, żona i dzieci.

Don Juan spętany

Po przyjeździe do USA jeden z moich przyjaciół ostrzegł mnie w rozmowie: Uważaj z kobietami! Bardzo łatwo można tu wpaść w tarapaty.

Mój przyjaciel miał rację. Wystarczy było oskarżenie, a sąd amerykański zawsze stanie po stronie kobiety. W Stanach Zjednoczonych łatwiej można zostać zasądzonym na płacenie alimentów niż na pięć dolarów kary za jakieś drobne naruszenie przepisów drogowych. Wystarczy, gdy oskarżająca kobieta wskaże palcem „winnego” i powie, że to on jest ojcem jej dziecka. W żadnym z pięćdziesięciu stanów prawo nie wymaga od niej przedstawienia dowodów, świadków czy jakiegokolwiek potwierdzenia wysuniętych zarzutów. Sąd zawsze bierze kobietę w obronę, wychodząc z założenia, że lepiej, gdy dziecko ma ojca nieprawdziwego, niż gdyby go w ogóle nie miało.

Sześćdziesiąt lat temu dr Charles Landsteiner podzielił krew ludzką na cztery grupy: A, B, AB i O. Trzydzieści lat później ten sam uczoney, wespół z innym, odkrył, że każda z tych grup dzieli się jeszcze na trzy dalsze typy — M, N i MN. Próba krwi stanowi dowód wszędzie, lecz nie w Ameryce. W Stanach Zjednoczonych tylko ustawy trzech stanów (Nowy Jork, Maine i Massachusetts) zezwalają na włączenie do akt sprawy świadectwa stwierdzającego przynależność krwi matki, dziecka i domniemanego ojca do określonej grupy. Nie znaczy to wcale, by wynik tej próby — we wspomnianych trzech stanach — miał rozstrzygające znaczenie. Może mieć tylko pewien wpływ na wyrok. W innych stanach takiej próby nie bierze się wcale pod uwagę. Można ją przeprowadzić tylko wtedy, jeżeli oskarżająca niewiasta wyrazi swą zgodę. Zmusić jej do tego nie można. Oczywiście większość woli nie ryzykować i odmawia.

Jak mały wpływ ma wynik próby krwi na sprawę, dowodzi historia z Chaplinem, sławny aktor filmowy, mieszkając w Kalifornii, został pozwany przez pannę Joan Berry o ojcostwo jej dziecka. Panna Berry wystąpiła o wysokie odszkodowanie, jak również o alimenty. Chaplin zdołał ją jednak nakłonić do dokonania próby krwi. Powódka wiedząc, że nie umniejszy to w niczym jej szans, zgodziła się. Zaryzykowała, lecz „wpadła”. Okazało się bowiem, że krew panny Joan jest grupy A, jej dziecka — B, krew zaś Chaplina — O. Sprawa była oczywista. Chaplin triumfował. Mimo to artysta skazany został na

płacenie pannie Joan Berry 75 dolarów tygodniowo na utrzymanie jej dziecka. Chaplin zaapelował. Sąd wyższej instancji rozpatrzył sprawę i wyrok zatwierdził.

A oto inny, jeszcze bardziej jaskrawy przypadek: Pewna mieszkanka New Jersey oskarżyła mężczyznę, który mieszkał w jej domu, że jest ojcem jej dziecka. Na tej podstawie zażądała, by się z nią ożenił lub płacił na utrzymanie dziecka. Badanie krwi wykazało, że w żadnym razie nie może być matką tego dziecka. Wzięła je na wychowanie lub po prostu wypożyczyła. Jakkolwiek sąd zdawał sobie sprawę, że oskarżenie jest z gruntu fałszywe i pozew zakrawa na zwykły szantaż, mimo to przyznał jej alimenty. „Biorąc pod uwagę, iż mężczyzna ten mieszkał w tym samym domu, co powódka, nie jest zatem wykluczone, że jest ojcem jej dziecka” — tak brzmiało uzasadnienie wyroku.

Nawet w stanach Nowy Jork, Maine i Massachusetts oskarżenie przez kobietę jest zawsze niebezpieczne, chociaż mężczyzna ma tam większe możliwości obrony. Jeśli kobieta wniesie skargę, a oskarżony odmówi płacenia, wówczas ma prawo zażądać, by go uwięziono. Do rozprawy będzie pozostawał w więzieniu, chyba, że złoży odpowiednią kaucję. Prawo to w rezultacie stwarza poważne możliwości nadużyć — szantażu i bezpodstawnych oskarżeń.

Przed paru laty zdarzył się wypadek, szeroko komentowany w prasie. Pewna młoda dziewczyna z Nowego Jorku wniosła sprawę o ojcostwo przeciw niejakiemu Williamowi Personowi, zamieszkałemu na zachodnim wybrzeżu. Oskarżony był znanym finansistą, człowiekiem bogatym i cieszącym się ogólnym szacunkiem i dobrą opinią. Aby uniknąć skandalu, przystał na jej żądania. Zapłacił dziewczynie pięć tysięcy dolarów i zobowiązał się płacić siedemset dolarów miesięcznie na utrzymanie dziecka. Po dwóch latach dziewczyna uznała jednak, że otrzymane odszkodowanie jest niewspółmiernie niskie do wyrządzonej jej „krzywdy”. Zwróciła się więc do Person z żądaniem zapłacenia 80 tysięcy dolarów, grożąc, że w razie odmowy skieruje sprawę do sądu. Person przybył do Nowego Jorku, by się z nią ułożyć. zaproponował mniejszą sumę, lecz dziewczyna nie ustąpiła. Gdy Person odmówił, wystąpiła z wnioskiem o uwięzienie. Wybuchł skandal. Person złożył kaucję i został zwolniony. Na rozprawie sądowej powołał świadków-lekarzy, którzy stwierdzili, że przed 20 laty przeszedł operację, która uczyniła go bezpłodnym. Dowód był tak niezbity, że pretensje powódki zostały oddalone. Mimo to młodej szantażystki nie pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

Tragicznie skończyła się sprawa Hugh'a Caseya, słynnego gracza w *baseball*, ulubieńca Brooklynu. Fałszywie oskarżony przez kobietę i zagrożony więzieniem, popełnił samobójstwo.

Sidney B. Schatkin, który przez wiele lat był ławnikiem nowojorskiego Paternity Court, tj. sądu rozpatrującego tego rodzaju sprawy, ogłosił pracę na ten temat. Wieloletnia praca na tym stanowisku pozwoliła mu gruntownie zapoznać się z omawianym problemem. Według niego 30-40 procent mężczyzn, zasądzonych w Nowym Jorku na płacenie alimentów, jest na pewno niewinnych. W innych stanach sądy jeszcze bezwzględniej ferują wyroki. Ogółem w USA wpływa rocznie do sądów około dziesięciu tysięcy spraw o alimenty. Zdaniem Schatkina połowa tych oskarżeń jest bezpodstawna; w rezultacie pięć tysięcy mężczyzn zmuszonych jest do utrzymywania cudzych, nieślubnych dzieci.

Cyfra ta też nie daje pełnego obrazu. Schatkin twierdzi, że tysiące mężczyzn dobrowolnie płacą miesięczny haracz w obawie wywołania skandalu, utraty dobrej opinii i możliwości dalszego awansu lub kariery.

To jeszcze nie wszystko, co w Stanach Zjednoczonych może grozić mężczyźnie. Bardzo niebezpieczne są również sprawy o tak zwane „obietnice małżeństwa”. W tym wypadku wystarczą tylko pozory. Kino, wspólny spacer autem i już może być kłopot, jeśli się trafi na „przedsiębiorczy” typ kobiety. „Zdeptaną godność” kobiecą sąd zawsze respektuje. Z reguły chodzi o dolary. Gdy kobieta przedstawi w sądzie jakieś listy z miłosnymi wyznaniem, sprawa może przyjąć nieprzyjemny obrót, zwłaszcza jeżeli mężczyzna jest żonaty. Odszkodowanie, a może nawet więzienie.

Mężczyzna w Stanach Zjednoczonych musi być ostrożny. Przelotna miłostka może mieć nadzwyczaj poważne konsekwencje. Nie zawsze kończy się zadośćuczynieniem w postaci pieniężnej. O ile jest żonaty, aby uniknąć skandalu i dalszych konsekwencji, ma tylko jedno wyjście — rozwód i nowe małżeństwo. Opinia jest tu surowa i wymaga zachowania pozorów. W dziedzinie seksualnej wciąż jeszcze panują tu purytańskie tradycje. Ciążą nad prawem, zwyczajami i całym społeczeństwem.

Gwałciciele

Byłem wtedy na Middle West w stanie Illinois. Nocowałem w hotelu. Portier był Polakiem i do tego dość gadatliwym. Wypytał mnie, skąd przyjeżdżam i jak jest teraz w Polsce. Potem pokazał gazetę. Gwałt w miejskim parku. Wielki tytuł na czołowym miejscu. Wzruszyłem ramionami i chciałem już odejść, ale mnie zatrzymał. - Niech pan przeczyta... to już drugi wypadek w tym miesiącu. Spojrzałem na szpalty.

Artykuł sążnisty, fotografia delikwentki, jej męża, mieszkania, psa i samochodu.

Zgwałcono bibliotekarkę, pięćdziesięcioletnią kobietę, żonę powszechnie szanowanego obywatela. Wracła z pracy wieczorem do domu, później niż zwykle, więc skróciła sobie drogę przez park. Było ciemno, paliły się lampy. Szła ścieżką w pobliżu ulicy. Nagle wynurzył się z krzaków jakiś podejrzany mężczyzna. Zaraz też, bez namysłu, zaczęła uciekać w głąb ogrodu. Wkrótce jednak dopadł ją, zaciągnął w krzaki i uderzył silnie pięścią w głowę. Z bólu i strachu straciła przytomność. Gdy się ocknęła, napastnika już nie było. Na wszczęty alarm, nadbiegła policja; zaczęły się dochodzenia.

Wyjechałem z miasteczka i w Bostonie znów przeczytałem w gazecie wiadomość o gwałcie.

Szofer, taksówka i młoda niewiasta. Następnie inny wstrząsający wypadek. Chłopiec zamordował dziewczynę, zgwałciwszy ją uprzednio. Zainteresowany tym problemem sięgnąłem do statystyki. Okazało się, że gwałt jest w USA przestępstwem dość pospolitym. W 1951 roku miało miejsce 16 800 wypadków, w 1957 - 19 695, a w 1958 - 20 000. Z powyższych danych wynika, że co dzień zdarza się około 60 wypadków gwałtu. Mimo znacznej liczby ludności w tym kraju, cyfra ta jest zastanawiająca.

W Ameryce między kobietą a mężczyzną zachowywany jest pewien dystans. Zawarcie przygodnej znajomości na ulicy, w kawiarni czy w *subway* jest nie do pomyślenia. Mężczyzna nie odważy się na ulicy zaczepić kobiety. Taka lekkomyślność mogłaby pociągnąć za sobą bardzo przykre następstwa. Kobieta na ulicy na mężczyznę nie spojrzy. To nie wypada, a nadto może być poczytane

za śmiałą prowokację. Mogłoby to, na przykład, zwrócić uwagę policji. Nawet na zabawie lub na sali balowej zawarcie nowej znajomości nie jest rzeczą łatwą. Na dancingu w nocnym lokalu nikt nie poprosi do tańca nieznaną kobietę. Nie można podejść i po prostu się przedstawić; ten towarzyski zwyczaj jest tu zupełnie nieznany. Mężczyźni są w pewnym stopniu jakby izolowani od kobiet, i to wszędzie, z wyjątkiem wyższych uczelni. Tam młodzież płci obojga uczy się wspólnie i stale przebywa razem. Tylko na uniwersytecie młody człowiek zażywa pełnej swobody, tam zwykle znajduje sobie narzeczoną i z nią się żeni. Potem nie powinien już więcej myśleć o kobietach, tak samo jak i jego żona o innych mężczyznach. Jest to tylko teoria, w którą nikt nie wierzy, choć wszyscy traktują ją poważnie.

Przy całej tej pruderii i pozornej surowości obyczajów panuje w Ameryce atmosfera erotyzmu i obłej zmysłowości. Zdumiewająca jest ta dwoistość obyczajowa, ta symbioza pruderii i jawnego rozwydrzenia seksualnego. Obok kanonów cnoty - zalew pornografii, i to nie tyle perwersyjnej, ile raczej naiwnej. Nie jest ona tu produkowana na zewnętrzny użytek, dla przyjezdnych turystów, jak we Francji. Pornografia amerykańska jest przeznaczona wyłącznie na zaspokojenie „potrzeb” krajowych.

Przeciętny Amerykanin, nawet w średnim wieku, mało zna kobiety. Właściwie nie zna ich wcale. Stąd też bierze się nieustanne zainteresowanie nimi. Każda kobieta to wielka atrakcja. Gdy nie posiada się jej w „naturze”, to chociaż na obrazku. To jest zapewne przyczyną „rozkwitu” pornografii, w każdym niemal kiosku, drugistorze lub księgarni można nabyć tzw. girly-magazyny. Strony pełne fotografii dziewcząt w kąpielowych kostiumach, kusych i oszczędnych. Na więcej cenzura nie pozwala. Są jednak magazyny z bardziej zachęcającymi zdjęciami. Lec i inne przedmioty codziennego użytku ujawniają w większym lub mniejszym stopniu wdzięki niewieście. Wizerunki nagiej lub półnagiej kobiety można znaleźć na papierosnicach, wiecznych piórach, zapalniczkach, kartach do gry itp. Dużo jest zwłaszcza pornograficznych filmów wąskotaśmowych. Dorośli mężczyźni i młodzież chłoną to łapczywie. Golizna święci tu prawdziwe triumfy.

Kiedyś w Nowym Jorku, w pobliżu Times Square, zobaczyłem na wystawie coś w rodzaju plakatu. Postać kobiety wydrukowana na papierze. Wielkość naturalna, druk wielobarwny, biust nader wydatny. Nagość skażona przepaską na biodrach. Wyglądało to właściwie bardzo prymitywnie. Zastanawiałem się wówczas, do czego „to” służy, nie przypuszczałem bowiem, by takim obrazem ktoś upiększał mieszkanie. Później dowiedziałem się, że tego rodzaju twórczość cieszy się dużym powodzeniem.

Poza pornografią jawną, oficjalnie kolportowaną, jest jeszcze inna, bardziej „doskonała”, dostarczana pocztą do domów. Przez pocztę też reklamowana. W USA wysyła się co dzień dwieście tysięcy druków reklamujących pornograficzne książki, filmy wąskotaśmowe i zdjęcia. Ministerstwo Poczty USA obliczyło, że dochód z tego źródła wynosi rocznie około pół miliarda dolarów. W 1961 roku 50 tysięcy rodziców zgłosiło petycję o skonfiskowanie podobnych przesyłek i wprowadzenie cenzury druków reklamowych. Niestety, petycja nie odniosła skutku. Na przeszkodzie temu stoją prawa. Druki te bowiem są wysyłane tak zwaną pierwszą klasą pocztową, podobnie jak zwykle listy, których tajemnica jest zastrzeżona ustawą. Tylko w jednym stanie Kalifornia obowiązuje ustawa ostro zwalczająca pornografię pod wszelkimi postaciami. Jak na ironię jednak w tym właśnie stanie (w Los Angeles, Hollywood i San Francisco) znajduje się centrum „przemysłu” pornograficznego. Gdy rodzice ze wszystkich stron kraju

zaczęli protestować przeciwko zasypywaniu młodzieży pornograficzną lekturą pochodzącą z tego stanu, wydano surowe zarządzenia. Przede wszystkim wydano nakaz kontroli wszystkich bez wyjątku przesyłek pocztowych. Wówczas przedsiębiorcy zaczęli przewozić swój materiał reklamowy samochodami do sąsiednich stanów i stamtąd wysłać go pocztą. Policja urządziła więc zasadzki na drogach. Połów był obfity. Na jednej autostradzie, w pobliżu Los Angeles, skonfiskowano jednej nocy przeszło dziesięć ton listów reklamowych i znaleziono listę adresów przeszło czterystu tysięcy młodych ludzi.

Oferty są wysyłane często jako listy pisane indywidualnie. Jeden taki list kiedyś nawet czytałem. Oto jego treść. „Na imię mi Mary i mam wrażenie, że pragniesz czegoś. Jestem modelką pozującą do zdjęć nago. Myślę, że chętnie obejrzysz mnie i moje przyjaciółki w pozach specjalnie dla Ciebie skomponowanych. Mieszkamy w Hollywood w przyjemnym mieszkaniu i powinienes zobaczyć, co się u nas dzieje, gdy zasłony na oknach zostają zaciągnięte. Żadnej z nas nie nazwiesz osobą o zacofanych poglądach”.

Zyski producentów artykułów pornograficznych są olbrzymie. Film krótkometrażowy, którego cena nie powinna przekraczać 4,5 dolara, kosztuje zwykle od 20 do 50 dolarów. Talia kart z pornograficznymi zdjęciami, która kosztuje producenta około 12 centów, jest sprzedawana za 3,5 dolara lub po 25 centów sztuka.

W raporcie Kinseya jest wzmianka, że prawie połowa mężczyzn w Stanach Zjednoczonych uprawia samogwałt nawet w starszym wieku. Młodzieniec w Europie, zanim się ożeni, zwykle już zna kobiety. W Ameryce zna jedną, tę ze szkoły lub z uniwersytetu, z którą się ożenił. Dlatego w obecności kobiet czuje się niepewnie.

Poza tym *shows*. „Show” znaczy pokaz, lecz w potocznej mowie tak nazywają się pokazy *strip-teas'u*. Odbývają się one w lokalach z wyszynkiem alkoholowym. W głębi scenka lub mały parkiet na samym środku. W takt muzyki z płyt produkują się girlsy, zwykle dość leciwe. Wszystko polega na rozbieraniu się do granic ściśle przez policję określonych. Jedna za drugą wychodzą kobiety na scenkę i czynią wciąż to samo. Tłum wpatrzonych mężczyzn spędza tam całe wieczory i noce aż do zamknięcia lokalu. Atmosfera podniecenia erotycznego, wzmocnionego alkoholem. Myśli krążą wokół jednego. Za progiem tego baru czy za budką sprzedającą „girly-magazyny” nastrój się zmienia. Trzeba się znów przystosować do purytańskiego obyczaju. Kiedy przyjrzeć się tej dziwnej mieszaninie obyczajów z bliska, wiele spraw staje się wtedy zrozumiałych.

Zjawisko gwałtów badał między innymi psychiatra nowojorski dr Abrahamsen i napisał nawet pracę na ten temat. Rozmawiał on w więzieniu Sing-Sing ze 102 więźniami skazanymi za to przestępstwo. Otóż ludzie ci, jak stwierdził, nie byli zбочeńcami ani osobnikami o seksualnej nadwrażliwości. W swojej publikacji autor zaznacza, że byli to zwyczajni ludzie, zupełnie normalni, o nienagannej przeszłości. Czternastu spośród badanych było ongiś doskonałymi uczniami. Trzydziestu dwóch ukończyło szkoły z bardzo dobrym wynikiem i cieszyło się nieposzlakowaną reputacją. Reszta była przeciętna. Coś się więc stać musiało, że zawiodły ich moralne hamulce i dopuścili się przestępstwa. Dodajmy jeszcze, że wszyscy oni mieli pełną świadomość czynu. Zdecydowała chwila. Odludzie, park, samotna kobieta i latami tłumione pragnienia.

Bardzo złym doradcą jest determinacja. Często się zdarza, że ludzie spokojni i zrównoważeni nagle stają się nieobliczalni i posuwają się aż do gwałtu.

Badani przez Abrahamsena mężczyźni wyjaśnili, że były wypadki, gdy kobiety napastowane nie uciekały i nie broniły się. Zdaniem psychiatry mężczyźni niejednokrotnie są prowokowani. Kobiety, według niego, czynią to podświadomie, czasem z premedytacją. Zapominają jednak o tym później, gdy oskarżają mężczyznę. Często się również zdarza - zwłaszcza gdy w grę wchodzi Murzyn - że kobieta oskarża o gwałt powodowana tylko „troską o swoją opinię”, mimo że nikt jej nie zgwałcił. Takie oskarżenie może mieć groźne następstwa dla każdego mężczyzny, dla Murzyna zaś oznacza katastrofę.

Bywa, że gwałty pociągają za sobą nawet makabryczne zbrodnie. Zdarza się bowiem, że mężczyzna w obawie przed odpowiedzialnością — za gwałt grozi w Ameryce długoletnie więzienie, a w niektórych stanach fotel elektryczny — morduje swoją ofiarę.

Pani Teresa Melchionne, dyrektorka policji kobiecej w Nowym Jorku, ogłosiła następujące zalecenia. Kobiety nie powinny:

wdawać się w rozmowę z obcymi mężczyznami; jeździć samotnie w odludne okolice; zdradzać przed obcym godzinę powrotu do domu; siadać w kinach, teatrach i miejscach publicznych obok mężczyzn; przyjmować papierosy, cukierki, napoje i jakiegokolwiek prezenty lub zaproszenia od nieznanomych;

ośmielać mężczyzn i prowokować ich uśmiechem, rozmową i w ogóle zwracaniem na nich uwagi; udawać się z mężczyzną na spacer w odludne okolice; udawać się w podróż nocą.

Poza tym pani Melchionne zaleciła płci pięknej, by starały się zapamiętać rysopis poznanego mężczyzny i numer jego samochodu.

Należy wątpić, by ostrzeżenia te i środki ostrożności mogły coś pomóc. Istota zagadnienia leży gdzie indziej. Dziedzina seksualna jest w tym kraju bardzo powikłana. Składają się na to tradycje obyczajowe, niegdyś nieodzowne, dziś już przestarzałe i we współczesnych warunkach stanowiące osobliwy anachronizm. Amerykanie jednak są konserwatystami i trzeba dużo czasu, by się coś zmieniło.

Kobiece rewolucje

W Ameryce zawsze panowały angielskie obyczaje, a więc i sytuacja kobiet w obu tych krajach była podobna. Prawo ogromnie ograniczało kobietę, uzależniając od męża, ojca lub braci. Mniej więcej od połowy XIX wieku w Anglii i w Ameryce rozpoczęła się walka kobiet o prawo głosowania (*suffrage*) i o zrównanie w prawach z mężczyznami. I tu, i tam kobiety odniosły zwycięstwo; w Stanach Zjednoczonych o osiem lat wcześniej.

Wytrwale walczyły kobiety amerykańskie o swoją emancypację. Krok za krokiem zwiększały swój „stan posiadania”, lecz właściwie dopiero po pierwszej wojnie światowej, w 1920 roku, uzyskały to wszystko, co uzyskać pragnęły. Chronologicznie wygląda to tak: w 1849 r. - kobieta po raz pierwszy zdobywa w Ameryce dyplom doktora medycyny

w 1869 r. - w stanie Wyoming kobiety zdobywają pełne równouprawnienie w 1870 r. - kobieta po raz pierwszy zdobywa dyplom na wydziale prawa

w 1872 r. - kobieta po raz pierwszy kandyduje na stanowisko prezydenta USA w 1916 r. - kobieta po raz pierwszy zostaje wybrana do Kongresu w 1920 r. - kobiety zostają zrównane w prawach z mężczyznami w 1922 r. - kobieta po raz pierwszy zostaje wybrana do Senatu w 1925 r. - kobieta po raz pierwszy zostaje wybrana gubernatorem (w stanie Wyoming). Tak wyglądały kolejne, zwycięskie etapy i zdobycze „rewolucji kobiet” w USA. Waleczne niewiasty nie spoczęły jednak na laurach. Nie zadowolili ich zrównanie w prawach z mężczyznami. Zapragnęły szerszych uprawnień i po pierwszej „rewolucji” przyszły zaraz dalsze.

Otóż już na początku XIX wieku kobiety rozpoczęły walkę o prawo do studiów na uniwersytetach. W 1833 roku uniwersytet w Oberlin, w stanie Ohio, zaczął przyjmować kobiety, ale bez prawa uzyskania dyplomu naukowego. Od 1841 roku ten sam uniwersytet zaczął już wydawać kobietom dyplomy, choć nie na wszystkich wydziałach. Potem poszło już szybko, ale dopiero po pierwszej wojnie światowej kobiety zaczęły masowo wstępować na wyższe uczelnie. Obecnie około 30 procent ogólnej ilości wydawanych dyplomów otrzymują kobiety. Nie są więc już ograniczone w prawie do nauki, jednak nie wszystkie z tego korzystają. W szkołach średnich dziewcząt jest zwykle więcej niż chłopców, a na uniwersytetach ilość studentek dochodzi do 35 procent ogółu studiujących. Z otrzymywanych dyplomów kobiety nie wyciągają takich korzyści, jak mężczyźni. Kariery zawodowe kobiet należą do rzadkości. Nie ma wprawdzie dokładnej statystyki, która by wskazywała, jakie funkcje pełnią kobiety, wiadomo jednak, że na stanowiskach kierowniczych jest ich bardzo mało. Wiele kobiet z wyższym wykształceniem zatrudnia szkolnictwo; w biurach liczne zastępy kobiet pracują w charakterze urzędniczek i sekretarek. Zdarzają się wyjątki, że jakimś biurem czy firmą kieruje kobieta. Na ogół jednak zajmują one podrzędne stanowiska.

Stan ten nie jest wynikiem męskiej konkurencji, silniejszej pozycji społecznej mężczyzn czy też uprzedzeń ze strony społeczeństwa. Po prostu tak się dzieje, że większość kobiet wychodzi za mąż jeszcze na uniwersytecie lub wkrótce po otrzymaniu dyplomu. Młode mężatki podejmują pracę, ale na tak długo, dopóki na świat nie zaczną przychodzić dzieci. Wtedy przerywają pracę zawodową, by powrócić do niej dopiero po wielu latach, gdy dzieci dorosną. W tych warunkach dojście do kierowniczego stanowiska jest dla niewiasty trudne, nawet niemożliwe. Czasem bywa i tak, że kobieta, mimo iż zostaje matką, nie przerywa pracy. Tak się jednak dzieje tylko w nielicznych wypadkach, jedynie wówczas, gdy zarobki kobiety są tak duże, że może sobie ona pozwolić na pomoc domową czy opiekunkę do dzieci. Poza tym Amerykanka jest zbyt wygodna, by dzielić swój czas między pracę, dom, męża i dzieci. Liczba pracujących kobiet jest jednak stosunkowo duża i stale wzrasta. Nie ma to jednak nic wspólnego z wykształceniem. Ogromną większość pracujących kobiet zatrudniają fabryki przy pracy fizycznej. W 1920 roku liczba pracujących kobiet wynosiła 8 milionów, a w 1955 wzrosła już do 27 milionów. Obecnie około 30 procent ogólnej liczby kobiet pracuje zarobkowo.

Kobieta amerykańska ma za sobą również „rewolucję” obyczajową. Pragnęła bowiem, by i w dziedzinie

seksualnej nie stosowano podwójnej oceny moralnej, innej dla mężczyzn i innej dla kobiet. Zbuntowała się przeciwko przywilejom, jakie w tej dziedzinie posiadali zawsze mężczyźni. Walka o te prawa zaczęła się po pierwszej wojnie światowej i w pewnym stopniu jeszcze trwa, mimo że właściwie nie bardzo jest o co się bić. W latach trzydziestych prowadzono ją najbardziej krzykliwie, z właściwą temu krajowi przesadą i szumną reklamą. Był to okres, gdy na uniwersytetach stały się modne „antydziewicze” kluby, a niektóre dziewczęta szczyliły się nawet niemoralnym prowadzeniem. Wyśmiano i wyrzucono na śmietnik romantyzm, głosząc, że miłość to wyłącznie funkcja fizjologiczna i nic więcej. Starano się zbagatelizować miłość, uprościć, zwulgaryzować. Dziś sytuacja się ustabilizowała. Dawne prominentki wolnej i niczym nie skrępowanej miłości zostały matkami i gdy teraz wchodzi w życie ich córki, zmieniały swe zdanie i zwalczają niegdyś propagowane przez siebie teorie.

Zachowanie się młodzieży jest nadal swobodne. Utał się jednak zwyczaj, że młody człowiek zwykle żeni się ze swoją *steady* dziewczyną. Często do małżeństwa zmuszają okoliczności, gdy na przykład dziewczyna zajdzie nagle w ciążę. Obecnie toczy się w USA walka o prawo jej przerywania. Walka toczy się również o zezwolenie sprzedaży i stosowania środków antykoncepcyjnych, i to we wszystkich stanach, jak również o otwarcie poradni świadomego macierzyństwa. Sprawy te natrafiają, jak dotąd, na bardzo silny sprzeciw, zarówno ze strony organizacji religijnych, jak władz i społeczeństwa.

Największe sukcesy osiągnęły kobiety przez „rewolucję form” czy też manier. Uzewnętrniło się to przede wszystkim w swobodzie ubioru. Kobiety, dawniej bardzo w tym względzie skrępowane, ubierają się obecnie nadzwyczaj swobodnie. W domu, na ulicy, w sklepach i lokalach publicznych noszą często spodnie lub nawet szorty. Poza tym kobiety piją *whisky*, palą papierosy, prowadzą samochody i lubią opowiadać „pieprzne” kawały. I to właściwie wszystko. Jest jednak wiele rzeczy, których kobiecie „nie wypada”, jeśli nie chce narazić się surowej purytańskiej opinii. O ile szorty na ulicy są już dozwolone, o tyle kostium kąpielowy musi odpowiadać przyjętym wymiarom. Na publicznych plażach zabronione jest używanie kostiumów zwanych „bikini”.

„Rewolucja rodzinna” jest dziełem ostatnich lat. Przyniosła ona też pełne zwycięstwo kobiecie. Dawna amerykańska rodzina, ta z ubiegłego czy z początku obecnego stulecia, była patriarchalna. Było to społeczeństwo wychowane na Biblii, z której patriarchalne zasady zostały przyjęte. Niektóre sekty, jak na przykład mormonów, doprowadziły patriarchalizm do wręcz karykaturalnej postaci. Poza tym mężczyzna, podobnie jak w Europie, miał największy autorytet w rodzinie. Pozycję ojca, jako głowy rodziny, kobiety w Ameryce jednak obaliły. Mężczyźni oddali prymat bez walki, abdykując na rzecz żony.

Jednakże największe znaczenie dla kobiet posiada zwycięstwo odniesione w „rewolucji stanu posiadania”.

Ugruntowało ono materialną pozycję kobiety w Stanach Zjednoczonych. Dawniej, według praw angielskich, cały majątek należał do męża, a po jego śmierci przechodził na dzieci. Kobieta, jeśli nawet miała majątek, nie mogła nim dowolnie rozporządzać, bez nadzoru mężczyzny i jego zgody. Właściwie była ubezwłasnowolniona. Dziś sytuacja zupełnie się zmieniła i pod względem ekonomicznym kobiety są całkowicie niezależne od mężczyzn. W cyfrach stan posiadania kobiet w USA przedstawia się imponująco. Są one właścicielkami:

60 procent wszystkich oszczędności w bankach USA,

50 procent akcji pozostających w obiegu,

70 procent polis ubezpieczeniowych,

50 procent wszystkich nieruchomości,

70 procent dochodu narodowego (bądź pozostającego w ich dyspozycji).

Jak widać z powyższego zestawienia, kobiety w USA nie tylko są materialnie niezależne od mężczyzn, lecz nawet i w tej dziedzinie zaczynają dominować. Przyczyna tkwi między innymi w tym, że mężczyźni żyją na ogół krócej od kobiet i zgodnie ze zwyczajem tylko żony po nich dziedziczą. Zamożna wdowa jest dla Ameryki postacią dość znaną.

Amerykanie na ogół zaprzeczają istnieniu matriarchatu; gdy zaczyna być on tematem rozmowy, zaraz się tłumaczą, że to mylne wrażenie. Jako argument podają, że w USA nie ma kobiet prezydentów, ministrów czy gubernatorów. Rzeczywiście, takich stanowisk kobiety tam nie piastują, a mimo to znaczenie ich jest decydujące. One kształtują opinię i rozstrzygają o powodzeniu książki, filmu lub sztuki teatralnej. Rządzą rodzinami i wywierają bezpośredni wpływ na wszelkie przejawy życia społecznego. Zwycięstwo kobiet w Ameryce jest pełne. Nasuwa się tylko pytanie, czy rzeczywiście wyszło im to na dobre lub czy społeczeństwo coś na tym zyskało?

Kariera pewnej pani

Pani Clara Booth Luce nie była jedyną kobietą w USA, która w służbie dyplomatycznej zajęła wysokie i odpowiedzialne stanowisko. Niemniej jej powodzenie i błyskotliwa kariera są bardzo typowe dla tamtejszych stosunków. Pani Luce stała się znaną nie tylko w Stanach Zjednoczonych, jej rozgłos daleko wykroczył poza granice kraju. Jej poprzedniczki nigdy nie zdobyły takiej popularności, mimo że również piastowały poważne stanowiska. Ogółem w służbie dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych pracowało do 1953 roku 2 167 kobiet, lecz rangę ambasadora zdobyło tylko parę. Pierwszą kobietą, która zapragnęła zrobić karierę dyplomatyczną, była pani Lucile Ackerson. Był rok 1922. Niestety, bez powodzenia. Wówczas przyjmowano do dyplomacji tylko znikomą ilość kobiet (do 1922 tylko 23) i tylko wybitnie uzdolnione. Pierwszą, która zrobiła karierę w całym tego słowa znaczeniu, była Ruth Bryan Owens, mianowana przez prezydenta Roosevelta ambasadorem USA w Danii. Oprócz niej jeszcze cztery kobiety piastowały takie stanowiska: Frances E. Willy w Szwajcarii, Florence Jaffray Harri-man w Norwegii, Eugenia Anderson w Danii i Pearl Mesta w Luksemburgu. Niezwykłość kariery pani Luce polegała na tym, że była pierwszą niewiastą, której powierzono odpowiedzialne stanowisko ambasadora w tak ważnym dla USA państwie, jak powojenne Włochy.

Ciekawe i charakterystyczne są dzieje jej życia. Pani Booth Luce pochodzi z Nowego Jorku, gdzie urodziła się w 1903 roku. Ojciec jej był skrzypkiem w wędrowniej orkiestrze, a matka aktorką w podrzędnych teatrzykach. Wkrótce po urodzeniu się córki rodzice się rozwiedli. Matka Clary nie odznaczała się aktorskim talentem, niewielkie więc czerpała ze swego zawodu zarobki. Zawiedziona, porzuciła scenę i została sprzedawczynią w domu towarowym. Dzieciństwo Clary Luce było bardzo ciężkie. Matka i córka cierpiały chroniczną biedę, czasami "nawet nędzę". Pani Booth wciąż zmieniała posady, próbowała różnych zawodów, z trudem dając sobie radę.

Przed wybuchem pierwszej wojny światowej matka z córką znalazły się w Paryżu, gdzie pani Booth otrzymała posadę w biurze okrętowym. Wybuchła jednak wojna i obywatele USA otrzymali nakaz powrotu do kraju. Na statku, w drodze powrotnej, pani Booth ciężko zachorowała. Po przybyciu do USA umieszczono ją w szpitalu w Greenwich, w stanie Connecticut. W szpitalu zaopiekował się chorą miejscowy lekarz, dr Albert Austin, i to tak gorliwie, że niebawem oświadczył się i poślubił swoją pacjentkę. Od tej chwili sytuacja materialna Clary znacznie się poprawiła.

Ukończyła szkołę średnią w Nowym Jorku, a potem wstąpiła na uniwersytet, który ukończyła z odznaczeniem „Summa cum Laude”. W 1923 roku wyjechała z matką na wycieczkę po Europie. W czasie podróży poznała zamożnego przemysłowca z Nowego Jorku, George'a T. Brokaw. Po powrocie do kraju wyszła za niego za mąż.

Wbrew przewidywaniom matki sukcesy życiowe córki na tym się nie skończyły. Małżeństwo nie było najlepiej dobrane. Clara miała lat 20 i niemałe aspiracje. Jej mąż, o 23 lata starszy, był schorowany i pragnął tylko spokojnego życia u boku młodej i wykształconej żony. Odmienność charakterów, usposobień, pragnień i upodobań przyspieszyła rozkład pożycia. Po sześciu latach (w 1929r.) małżeństwo skończyło się rozwodem. Matka Clary - w przeciwieństwie do córki - przyjęła to jak cios. Tymczasem młoda rozwódka cieszyła się odzyskaną swobodą i możliwością wypróbowania swych sił i zdolności. W 1930r., po wielu staraniach, udało się jej otrzymać posadę w znanym miesięczniku „Vogue”. Jakkolwiek stanowisko było podrzędne i źle płatne, rozpoczęła pracę jako siła pomocnicza z pensją tygodniową 20 dolarów, nie zraziło to dzielnej Clary. Pracowała z zapałem, przekonana, że jej zdolności zostaną z czasem należycie ocenione. Wygrała. Po trzech latach niełatwej próby życiowej została zastępcą naczelnego redaktora. Jej osoba wzbudziła zainteresowanie, różne pisma zaczęły się starać, by pozyskać zdolną redaktorkę.

Oferta tygodnika „Vanity Fair” była tak nęcąca, że opuściła „Vogue” i objęła stanowisko naczelnego redaktora. Pensja jej wynosiła teraz 10 tysięcy dolarów rocznie, co na ówczesne stosunki było sumą olbrzymią. Wydawać by się mogło, że osiągnęła już szczyt swej kariery i że na tym stanowisku pozostanie tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Ku zdumieniu wszystkich zgłosiła nagle rezygnację. Opuściła „Vanity Fair” i nie przeszła nawet do innego pisma, lecz postanowiła poświęcić się wyłącznie pracy literackiej. Decyzję tę umożliwiła jej niespodziewana śmierć eksmałżonka, milionera, starego pana Brokaw. Otóż, jak się okazało, zapisał on cały swój majątek byłej żonie, do której do końca swych dni żywił głęboki i szczery sentyment.

Już jako literatka pani Clara poznała Henry Luce'a, właściciela i naczelnego redaktora tygodników „Time”, „Life” i miesięcznika „Fortune”, a w 1933 roku wyszła za niego za mąż.

Dorobek literacki pani Luce jest dość bogaty i różnorodny; pisała powieści, krótkie opowiadania, drukowane w różnych czasopismach, a także sztuki teatralne. Powieści: „Suffed Shirts”, „Europę in the

Spring" oraz „Saints for now”, odniosły duży sukces i stały się „bestsellerami”. Jej dramat „The Women” był wielkim wydarzeniem teatralnym Broadwayu i grany był parę lat. Później, gdy po śmierci swej córki pani Luce popadła w bigoterię, wstydziła się tej sztuki i bardzo pragnęła, by poszła w niepamięć.

Największy jednak sukces odniosła na arenie politycznej. W 1943r., dzięki swemu wszechmocnemu mężowi, została wybrana do Kongresu z ramienia partii republikańców. W tym czasie Clara Luce była nawet popierana przez wiceprezydenta Henry Wallace'a i przez samego Roosevelta. Później pani Luce namiętnie go zwalczała. Cechował ją brak opanowania, popędliwość, a nawet złośliwość w stosunku do przeciwników. Jej przemówienia i repliki w Kongresie były zawsze cięte, pełne osobistych aluzji i niewybrednych epitetów. Nie zjednywało jej to przyjaciół, mnożyło za to nieprzejednanych wrogów. Jednym z nich był prezydent Harry Truman. W okresie jego prezydentury Clara Luce nigdy nie była zapraszana do Białego Domu. Powody tej nienawiści sięgają jeszcze czasów, gdy Truman był senatorem, a jego żona pełniła rolę sekretarki męża. Pewnego razu pani Luce złośliwie nazwała małżonkę Trumana w obecności innych „payroll Bess” (czyli „płatną Elżbietką” lub „płatną kobietką”). Truman nigdy jej nie wybaczył tego dosadnego epitetu.

Tego rodzaju afronty i nieopatrzne słowa spowodowały, że w 1948 roku zmuszona była wycofać się z życia politycznego. Wydawało się, że kariera jej jest skończona. Nie zrezygnowała jednak. W 1952 roku, gdy przed republikanami otworzyły się szanse, pani Luce znów pojawiła się na widowni politycznej. W okresie kampanii wyborczej namiętnie agitowała za wyborem Eisenhowera, wygłaszając 47 przemówień w radio i telewizji. Republikanie odnieśli zwycięstwo i „najlepiej ubrana kobieta w USA”, jak ją nazywano, osiągnęła szczyt kariery politycznej. Prezydent Eisenhower, w dowód wdzięczności i uznania jej zasług, mianował ją ambasadorem w Rzymie. Jak się wywiązała na tym stanowisku, trudno cokolwiek powiedzieć. W każdym razie po paru latach odwołano ją z Włoch i zaproponowano ambasadę w Brazylii. Z nominacją tą były bardzo poważne trudności. Senat bowiem sprzeciwił się ratyfikowaniu jej kandydatury. I tym razem główną rolę odegrały różne aspekty natury osobistej.

Szczególnie namiętnie zwalczał ją senator Morse, o którym pani Luce kiedyś wyraziła się, że „w młodości koń kopnął go w głowę”. Dzięki osobistej interwencji Eisenhowera nominacja została w końcu zatwierdzona, jednak pani Luce poczuła się tak urażona, że zrezygnowała z tego stanowiska.

Obecnie pani Luce wycofała się z życia publicznego. Jest zawiedziona i rozgoryczona na wszystkich. Może nawet ma ku temu powody. Najbardziej jednak boli ją to, że republikanie, którym niewątpliwie oddała bardzo duże usługi, wydają się być zadowoleni z takiego obrotu sprawy i cieszą się, że pozbyli się kłopotliwej niewiasty.

Rodzina

Max Lerner, amerykański socjolog i autor dzieła o Stanach Zjednoczonych („America as a Chldlization”), pisze z goryczą, że obraz amerykańskiej rodziny został skarykaturowany tak przez obcych, jak i swoich. Według opinii wielu uczonych i pisarzy rodzina amerykańska jest dziś instytucją zanarchizowaną. Kobieta rozkazująca potulnemu i zahukanemu mężowi i rozwydrzone, rozpasane dzieci; niesnaski i kłótnie małżeńskie, które kończą się sprawą rozwodową — to niektóre tylko elementy cieniów pożycia małżeńskiego. Jeśli w rodzinie panuje harmonia i względny spokój, oznacza to, że mężczyzna pogodził się już ze swoją rolą ujarzmionego i pokornego dostawcy środków do życia. Znosi pieniądze, posłusznie spełnia czynności domowe i nie przeszkadza nikomu. Małżonkowie zawsze jednak mają wiele problemów, których nie są w stanie rozwikłać własnymi siłami. Gdy są bezradni, uciekają się do mądrości podręczników, z których trzy najważniejsze spotyka się prawie w każdym domu. A więc dra Spocka o pielęgnacji niemowląt, dra Gesella o psychologii dziecka i dra Kinseya o współżyciu seksualnym.

Obraz ten ma być jakoby karykaturą, a wcale tak nie jest. W rzeczywistości tak właśnie w Stanach Zjednoczonych wygląda rodzina. Dominacja kobiety nie jest ewenementem, jak również rozpuszczone dzieci i mąż bez prawa głosu. Nawet owe podręczniki to nie przesada. Są konieczne, gdyż cóż mogą wiedzieć o wychowaniu dzieci lub nawet o miłości ludzkiej w tym wieku, w którym zwykle się pobierają. Małżeństwa w tym kraju — jak już poprzednio powiedziałem — zawiera się wcześniej, o wiele za wcześniej, pochopnie, bez zastanowienia i przemyślenia.

Młode małżeństwo zakładając rodzinę ma zasadniczo dwa cele przed sobą. Pierwszym są dzieci, drugim — awans społeczny i finansowy. Posiadanie liczного potomstwa jest w modzie. Na małżeństwo z jednym lub dwójkiem dzieci otoczenie spogląda ze współczuciem, czasem podejrzliwie. Powinno się mieć troje, a jeszcze lepiej czworo. Na różnych afiszach propagandowych, obojętnie czy to kościelnych, czy handlowych, przedstawiających wzorową rodzinę, mąż jest zawsze zdrowym chłopakiem o naiwnej

pucołowatej twarzy, żona zaś jest ładną, o mądrych oczach kobietą. Obok nich czworo dorodnych dzieci, bardzo starannie ubranych — musi być koniecznie czwórka — z których emanuje nieomal anielska natura. Dziaćki, jak przystało na dobrze wychowane dzieci, siedzą grzecznie obok rodziców; jedno gra na pianinie, drugie czyta książkę. Rodzice odpoczywają. Żona czyta książkę, mąż gazetę lub zajęty jest jakimś „hobby”. Spokój, dostatek, krótko mówiąc — „sielanka rodzinna”. Tak jednak bywa tylko na obrazku. W rzeczywistości dzieci są rozpuszczone i tylko przed telewizorem potrafią usiedzieć spokojnie. Rodzice, a szczególnie ojciec, prawdziwego wypoczynku zażywają mało lub wcale.

Owoce swej pracy zbierają na starość, gdy dzieci opuszczają dom rodzinny. Wtedy ojciec i matka mogą odetchnąć i użyć trochę życia, jeśli wiek i zdrowie na to pozwalają. Charakterystyczny dla amerykańskiej rodziny jest brak dziadków w domu. Nie znana jest instytucja starej babci, „domowego robota”. Rodzice nigdy nie są na utrzymaniu swych dzieci. Aż do śmierci żyją własnym życiem, we własnym domu lub w wynajętym mieszkaniu. Nie ma też zwyczaju wyposażania dzieci. Dopiero po śmierci obojga rodziców reszta majątku, jaka po nich zostanie, przechodzi na dzieci w drodze spadku. Zależność rodziców od dzieci jest tu zjawiskiem zupełnie nie znanym. Wyjątkiem od tej zasady są rodziny murzyńskie.

W Ameryce rozróżnia się pięć różnych typów rodzin charakterystycznych dla tego kontynentu. Pierwszy to dawna rodzina farmerska. Typ już na wymarciu, szczątkowy, spotykany jeszcze w Nowej Anglii lub na Middle West. Farmerstwo staje się coraz bardziej *businessem* do którego napływają ludzie nie mający dotychczas z farmerstwem nic wspólnego. Dzieci dawnych farmerów już przeniosły się do miast lub się przenoszą, gdzie przyjmują nowoczesny, miejski styl życia i zwyczaje *middle class*. W rodzinie tego typu mężczyzna jest wciąż jeszcze jej głową, jak był przed wiekiem. Dzieci żywią dla rodziców szacunek, metody wychowawcze stosuje się tu jak dawniej, czerpane z tradycji, a nie z podręczników.

Drugi typ spotyka się wśród starych mieszczańskich rodzin, zasiedziały tu od XVII lub XVIII wieku. Są to rodziny zamożne, które już dawniej się wzbogaciły i teraz tworzą coś w rodzaju klanu — arystokracji rodowej. Dominuje w nich już matriarchat, jakkolwiek są tu jeszcze żywe dawne tradycje. Młodzież jest bardziej trzymana w korbach, a małżeństwa są zawierane z większą ostrożnością.

Do trzeciego typu należą rodziny emigrantów z pierwszego, drugiego, a nawet i trzeciego pokolenia. Rodziny te pielęgnują swoje zwyczaje i tradycje narodowe. Część szybko się amerykańkuje, większość jednak pielęgnuje swój język i obyczaj przywieziony z rodzinnego kraju.

Czwarty typ stanowi rodzina murzyńska. Jej charakterystyczne cechy to zwartość, przywiązanie rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, oraz wspólne zamieszkiwanie starych rodziców wraz z dziećmi, co podyktowane jest nie tyle przywiązaniem rodzinnym, ile raczej koniecznością ekonomiczną. Mężowie często muszą opuszczać swe domy w poszukiwaniu zarobków, kobiety zaś pracują w fabrykach lub chodzą na posługi. Ciężar wychowania dzieci i opieki nad domem spoczywa zwykle na dziadku lub babce. Trwałość pożycia małżeńskiego jest tu o wiele większa niż w innych rodzinach, a rozwody zdarzają się nadzwyczaj rzadko.

Piątym typem, najbardziej powszechnym i najliczniejszym, jest rodzina drobnomieszczańska, tzw. *middle-class*. W tych to rodzinach matriarchat panuje najbardziej wszechwładnie. W niej również występują wszystkie te cechy, które Max Lerner nazywa karykaturalnymi, a które niestety spotyka się na każdym kroku.

Amerykanie twierdzą, że przyczyną upadku autorytetu ojca we współczesnej rodzinie jest nadmierne zaabsorbowanie pracą zawodową. Mówi się, że mężczyźni są zbyt zapracowani, by mogli zajmować się domem lub dziećmi i dlatego sprawy te pozostawiają wyłącznie kobietom. Amerykanie rzeczywiście dość ciężko pracują, lecz domem również się zajmują, i to bardzo wiele. Wydaje się, że przyczyną ukształtowania się matriarchatu jest młody wiek małżonków, a przede wszystkim mężczyzny w chwili zakładania rodziny. Amerykanie żeniąc się są zwykle w tym samym wieku, co ich żony. Jest to wiek, w którym kobiety są już zupełnie dojrzałe, poważne i do pewnego stopnia wyrobione życiowo. Ich młodzi mężowie są w tym względzie zupełnie zieloni. Bardzo często początek znajomości młodych sięga ławy szkolnej, co również sprawia, że kobiety patrzą nieco z góry na swych mężów-kolegów, z ironią i pobłażaniem. Znają przecież wszystkie ich słabości i ułomności charakteru. Często się zdarza, że jako uczennica musiała przed laty pomagać swemu przyszłemu mężowi w nauce, mając lepsze od niego wyniki. Nic więc dziwnego, że teraz także wyżej się ceni. Zna swoją wartość. Była bardziej pracowita i obowiązkowa, nie zaniedbywała nauki dla sportu, samochodu czy innego hobby. Stąd jej uczucie wyższości i przeświadczenie, że jest bardziej życiowo zaradna. Wierzy, że dla dobra rodziny nie wolno jej oddać inicjatywy w ręce męża, tego — pożałuj się Boże — mężczyzny, który według niej jest tylko dorosłym dzieckiem.

Ten stosunek matki do ojca widzą dzieci i to — rzecz jasna — nie może mu dodawać splendoru. Trudno

w tych warunkach wtrącać się ojcu do ich wychowania. Może się jednak z nimi pobawić. Dzieci wiedzą, że w rodzinie głos znaczący ma tylko matka, że ona decyduje.

Miłość według receptury

Problemem wysuwającym się na czoło i najbardziej absorbującym ogół społeczeństwa jest wielki i odwieczny problem miłości. Jest to kwestia zajmująca wszystkich. Temat ten jest wciąż poruszany w książkach, w prasie i w codziennych rozmowach. Jednym słowem, Amerykanie są niezadowoleni z siebie w tym względzie. Mimo że problem ten ma aspekt powszechny, Amerykanie nie chcą traktować go generalnie. Każdemu się bowiem wydaje, że na ogół jest świetnie i że on tylko popełnia błędy. Szuka więc gorączkowo środków zaradczych. Kupuje książki na ten temat, chodzi do psychoanalityków, a przede wszystkim dyskutuje.

Na ten stan rzeczy składa się wiele przyczyn, z zarozumiałością na czele. Wszystko jest u nich najlepsze na świecie i nic mądrzejszego nikt wymyślić nie zdoła. Nie dopuszczają wyjątków i kompromisów. Upraszczają zagadnienia i rzadko zmieniają raz powziętą opinię. Wierzą, że miłość u nich jest zawsze prawdziwa, świeża, idealna, a jej naturalnym ukoronowaniem winno być małżeństwo. Nie bardzo rozumieją lub nie chcą zrozumieć wszystkich komplikacji, jakie ze sobą niesie miłość. Dopuszczają wszakże możliwość omyłki lub popełnienia błędu. Gdy „reperacja” szczęścia nie daje rezultatu, wówczas trzeba zerwać z tym i zaczynać od nowa.

Amerykanie mają duże zaufanie do psychologii i po klucz do tych zagadek udają się do psychoanalityków, w przekonaniu, że Freud dawno już rozwiązał wszystkie zagadki ludzkiej psychiki. Jeśli więc psychologowie i psychoanalitycy nie mogą nic poradzić, to należy się rozwodzić.

Poza tym są przekonani, że małżeństwa ich są bardzo romantyczne, i to jest chyba największe nieporozumienie. Niestety, romantyzm już dawno porzucił ojczyznę Lincolna. Kiedyś był „Dziki Zachód”, kowboje, Indianie, gorączka złota. Dziś to wszystko ogląda się tylko na ekranie. Codzienne życie jest monotonne, uregulowane i bardzo mieszczańskie. I nie ma w nim romantyzmu. Amerykańska miłość, jak również i małżeństwa musiały dostosować się do nowej rzeczywistości. Są właściwie dwa rodzaje małżeństw. Pierwszy to małżeństwa zawierane szybko, z miłości „od pierwszego wejrzenia”. Te właśnie uważane są za bardzo romantyczne. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że są po prostu rezultatem lekkomyślności.

W Ameryce na ogół nie ma miłostek, flirtów, zalotności. W roli kochanków Amerykanie czują się nieswojo. Jeśli dwoje ludzi podoba się sobie, to uznawane to jest za miłość. A więc jeśli się kochają, powinni się pobrać, i do tego szybko, szkoda bowiem czasu na zbędne ceregiele. Nikt właściwie nie rozumie, że może być inaczej. Miłość — jak się już rzekło — powinna zostać uwieńczona małżeństwem. Wszyscy są wówczas zadowoleni, gdyż stało się zadość przyjętym konwenansom. Teraz już można afiszować się swą miłością. Gdy później coś nie będzie „grało”, to się rozwiodą i równie beztrudno powtórzą doświadczenie.

Drugi typ małżeństw jest wynikiem *steady going*, to jest znajomości i „chodzenia” ze sobą dwojga młodych ludzi. Zaczyna się to zwykle w szkole lub na uniwersytecie. Panuje tu zwyczaj, że już w szkolnym wieku wypada *fali in love*, zakochać się. Wyborem rządzi przypadek — wspólna ławka w szkole lub wycieczka za miasto. Z chwilą gdy taka parka zaczyna ze sobą „chodzić”, należy zupełnie i wyłącznie do siebie. Razem się uczą, robią wycieczki, chodzą do kina, jeżdżą na *weekendy*. Na zabawach tanecznych wolno im tańczyć tylko ze sobą. Powstaje sytuacja, że są właściwie izolowani od reszty młodzieży. System ten likwiduje wszelką rywalizację i eliminuje z miłości uczucie zazdrości. Odbiera też miłości romantyczne akcenty polegające na zabiegach dokoła ukochanej osoby. Miłość romantyczna nie uznaje rutyny, a w Ameryce musi się dostosować do przyjętego szablonu. Nie ma tu miejsca na wielkie uniesienia. Młodych ludzi uczy się unikania ryzyka i szukania zabezpieczenia we wszystkich okolicznościach życiowych. Problem *security* to rzecz najważniejsza, stał się już niemal narodową obsesją. Każdy postępuje nadzwyczaj ostrożnie i stara się usunąć wszystkie te czynniki, które mogłyby mu zagrażać. Zabezpiecza się wszechstronnie, czy to chodzi o przyszłą towarzyszkę życia, akcje, *business* lub dobrą posadę. Rozsądny człowiek nie dopuści do konkurencji.

Kiedy dwoje młodych ludzi zaczyna ze sobą chodzić, trwa to aż do ukończenia studiów. Często nie czekają na to. Na uniwersytetach prawie połowa młodzieży jest już pożeniona. Pozostaje jeszcze kwestia zdobycia dyplomu i cała historia jest właściwie skończona. Zacznie się pogoń za dolarem i kierat codziennego życia.

Dzieje się to w bardzo młodym wieku i dlatego mówi się, że to jest „romantyczne”. Jest jednak wręcz odwrotnie. Otóż właśnie system *steady going* wyrugował romantyzm z miłości amerykańskiej

młodzieży. Młodzi podobają się sobie, ale są w tym wieku, kiedy człowiek nie zdaje sobie w pełni sprawy z tego, co robi. Przede wszystkim nie chcą się wyróżniać i postępują tak, jak wszyscy. Miłość wydaje się im czymś nadzwyczaj prostym, zwykłym konwenansem, traktują ją wyłącznie jako zjawisko fizjologiczne. Kwestia biologiczna i nic więcej. Tak ich nauczono w domu, w szkole i na uniwersytecie. To właśnie „naukowe” podejście do sprawy odziera miłość z resztek romantyzmu. Małżeństwo to instytucja zapewniająca wygodę i konieczność życiową. Dzieci, pieniądze, szacunek i pozycja socjalna. Tygodnik „Saturday Evening Post” zamieszcza na okładkach świetne obrazki z amerykańskiego życia. Nie jest to satyra ani karykatura, lecz doskonale podpatrzone scenki z współczesnego życia. Na okładce jednego z numerów znalazłem taki oto rysunek: noc, księżyc, pod drzewem parka. Ona około 19 lat, on może 20. Siedzą przytuleni, wpatrzeni w niebo, rozmarzeni myślami o swojej przyszłości. Na chmurze delikatnymi kreskami rysownik nadał ich marzeniom realny kształt. Widać więc domek z garażem, samochód, lodówkę, odkurzacz, dziecko, psy, pianino. Poniżej drugie dziecko w wózku, drugi samochód, automatyczna pralka, telewizor, radio kieszonkowe i „Hi-Fi” (adapter). Całe niebo usiane jest marzeniami.

Rysownik nie przesadził. Młodzi ludzie, którzy gdzieś w cieniu drzewa namiętnie się ściskają, myślą zawsze praktycznie. Małżeństwo oznacza ziszczenie wszystkich marzeń, a marzenia te są zawsze bardzo materialistyczne. Poezja uczuć i proza marzeń. Małżeństwo zapewnia pozycję życiową i towarzyską oraz zwiększone dochody. Każde z tych młodych z osobna nie znaczyłoby wiele, lecz gdy stworzą rodzinę, wówczas już się liczą. W biurze będzie podwyżka, rozszerzony zostanie kredyt. No i wygodą. Nie trzeba się już kryć ze swą miłością po krzaskach przed policjantem i byle przechodniem. Młoda parka musi się wciąż pilnować, by coś się nie wydało i nie było wstydu. Zmora ciąży jest nie do zniesienia i jedynym wyjściem jest małżeństwo.

Sytuacja młodych jest istotnie niełatwa. Teoretycznie niby mają swobodę. Mówi się wiele, że dziewczęta mają te same prawa i swobodę co chłopcy. Jest to jednak tylko teoria i pozowanie na nowoczesność. W rzeczywistości obyczaj są tu bardzo surowe. W stosunku do matki nieślubnego dziecka prawo będzie wyrozumiałe, ale w otoczeniu, w którym się urodziła, wzrosła i wychowała, będzie miała trudności. Usunięcie ciąży jest w USA nie do pomyślenia, a stosowanie środków antykoncepcyjnych bardzo utrudnione. W niektórych stanach jest wprost zabronione. W stanie New Hampshire — a więc nie gdzieś na zacofanym Południu — sprzedaż środków zapobiegawczych podlega karze więzienia. Karalne jest także udzielanie porad w tym zakresie. Jeżeli ktoś zauważy, że dziewczyna zezwala swemu chłopcu na zbyt daleko posunięte pieszczoty lub spotyka się z nim w hotelu, czy jeździ nocą, może to mieć przykre konsekwencje.

Są jednak dopuszczalne, a nawet uświęcone obyczajem pewne „przedślubne” pieszczoty. Młodzi mogą więc uprawiać najpierw *necking*, a później *petting*. „Neck” znaczy szyja i stąd nazwa dla pieszczot powyżej szyi. Istnieją nawet młodzieżowe *necking party*, a więc nieco frywolne zebrania towarzyskie. *Petting* (od słowa „pet” — pieścić się) polega na „operacjach” od głowy do pasa. Pieszczoty te mają ułatwić młodym zachowanie „równowagi” i są swego rodzaju oficjalnym kompromisem. Dotyczy to — przypomnijmy — tylko narzeczonych; w Ameryce obowiązuje bowiem zasada, że kto chce szklanek piwa wypić, musi kupić browar.

Amerykańska młodzież nie szuka właściwie miłości, lecz tylko seksualnych przeżyć. Nie widzi zresztą różnicy między jednym a drugim. Poza tym miłości, w znaczeniu uczuciowym, nie bardzo potrzebuje. Wystrzega się niepokoju, utraty równowagi i stanów podniecenia — owych miłosnych perturbacji. Nikt nie ma bowiem czasu na miłosne burze i uniesienia. Freud powiada, że miłość jest siłą tak potężną, iż jest w stanie zagłuszyć nie tylko zdrowy rozsądek, lecz i zdolność logicznego myślenia. Współczesna młodzież amerykańska uważałaby taki stan za osobliwość lub psychiczne schorzenie wymagające leczenia. Według przyjętych kryteriów miłość powinna być umiarkowana, uregulowana i szablonowa. Polegać winna na stałym przebywaniu z partnerem, na prawach de niego, na gestach i słowach. Sprowadzono ją do czegoś w rodzaju obowiązku albo obyczaju, który należy przestrzegać. Najbardziej cenioną enotą jest umiejętność przystosowywania się do otoczenia i nieodbijania od niego. Dotyczy to ubioru, mieszkania, sposobu życia, jak również i miłości. Wszystko jest przeciętne i standardowe, uczucia tak samo. Miłość należy trzymać „na wodzy”, zakończyć małżeństwem i zażywać wedle przyjętej „receptury”. Jest z nią tak, jak z jedzeniem, które oblicza się na kalorie i dozjuje, by nie było ich za mało lub za wiele, jedynie tyle, ile potrzeba dla zdrowia i właściwego funkcjonowania organizmu.

Ten stan rzeczy został, być może, spowodowany warunkami ogólnej natury. Młody człowiek, który ukończył uczelnię, rozpoczyna zaraz twardą walkę o byt. Musi robić karierę, bo kto jej nie robi, ten się w

Ameryce nie liczy. Walka jest zacięta, bezlitosna i bez chwili wytchnienia. W podobnych warunkach na miłość nie ma wiele czasu.

Miłość utożsamia się z popędem płciowym, gdyż jest to najpraktyczniejsze i najłatwiej zrozumiałe. Tak samo pojmują miłość wszystkie podręczniki, które jej uczyć mają i które są tutaj w powszechnym użyciu. Są to prace mniej lub bardziej naukowe. Szczególnie poważny wpływ wywarł tzw. raport Kinseya. Są to dwa wielkie tomy, które można znaleźć w każdym niemal amerykańskim domu. Są pilnie studiowane przez starsze i młode małżeństwa, które pragną w ten sposób podnieść swą „seksualną stopę”. Tom pierwszy nosi tytuł „Sexual Behavior in the Human Male”, drugi „Sexual Behavior in the Human Female”. Alfred C. Kinsey, z wykształcenia zoolog, zbadał dokładnie życie seksualne 15 tysięcy amerykańskich małżeństw. Książka zawiera liczne wykresy, tablice i cyfry. Istny almanach seksualny. Jest w nim wszystko. A więc kto, jak często, w jakim wieku i z jakim wykształceniem. Na podstawie tego materiału obliczono średnie statystyczne. Wnioski wyciąga czytelnik. Autor zastrzegł się, co prawda, że badał tylko stronę seksualną, nie interesując się wcale aspektem emocjonalnym. Całość zagadnienia jest więc opracowana z biologicznego punktu widzenia. Właśnie taka interpretacja najbardziej odpowiada Amerykanom. Książki te osiągnęły wielkie powodzenie.

Oprócz pracy Kinseya są oczywiście setki innych książek na ten temat. Oto parę najpopularniejszych tytułów: „So you are going to get married”, „Marriage are made at Home”, „Getting along together” i wiele, wiele innych. Wszystkie udzielają młodym i starszym małżeństwom zbawiennych porad, w jaki sposób mogą osiągnąć „szczęście”.

Amerykańskie dzieła o *ars amandi* są nieco podobne do książek kucharskich. Są rzeczowe, suche i zawierają dokładną recepturę. Amerykanie bardzo sumiennie stosują się do tych rad, niestety, bez odrobiny fantazji. W miesięczniku „Cosmopolitan” przeczytałem kiedyś artykuł pewnego lekarza, dra Mortona, na ten właśnie temat. Autor przytacza tam autentyczne zdarzenie. Otóż zwrócił się do niego pewien młody człowiek z prośbą o poradę. Chodziło o to, że żona jego dość ozięble przyjmowała małżeńskie pieśczęty. Po zbadaniu sprawy lekarz poradził mu, by wstępne zaloty przedłużyć do dwudziestu minut. W jakiś czas potem odwiedził swego pacjenta, który pokazał mu z dumą budzik przy łóżku i wyjaśnił, że nastawiał go zawsze na wymagany czas, by ściśle stosować się do jego zaleceń.

Wraz z bankructwem miłości romantycznej w życiu amerykańskim zanikł ideał poświęceń i szczerzej, bezinteresownej przyjaźni. Nawet stosunki towarzyskie są sztywne i ograniczone. Pewien Amerykanin wyraził się, że w Ameryce ma się dokoła wielu życzliwych ludzi, lecz brak przyjaciół. Wszyscy są grzeczni, uprzejmi, ale zdawkowi. Uśmiech jest przyklejony do twarzy, dla wszystkich jednakowy.

Jednym z powodów jest między innymi zmaterializowany punkt widzenia we wszelkich przejawach życia. Amerykanin nie oddaje się czczym marzeniom, myśli zawsze realnie i praktycznie. Wszyscy są materialistami. Przyczyną tego jest historyczny rozwój kraju, warunki ekonomiczne i społeczne. Pamiętajmy, że czterdzieści, pięćdziesiąt czy sto lat temu nikt nie jechał do Ameryki z lekkim sercem. Ludzie emigrowali za ocean dla chleba, którego brakowało w domu, we własnej ojczyźnie. Dlatego pieniądze zawsze były i są tu głównym celem. Amerykaninowi już od najmłodszych lat wpaja się, że tylko pieniądze przedstawiają wartość i że bez nich nic nie będzie znaczyć. Stąd i miłość jest traktowana realistycznie. Sentymentalizm zastąpił romantyzm. Amerykanie lubią bowiem miłosne wzruszenia i nimi się zadowolają. Sentymentalizm najłatwiej uzupełnia wszelkie inne braki.

Wszystko to jest paradoksalne. Z jednej strony społeczeństwo zaaferowane miłością i żyjące w atmosferze erotyzmu, z drugiej zaś trzeźwe, realistyczne myślenie. Trochę jest w tym wulgarności, dużo wygodnictwa i sy-barytyzmu. W istocie jednak Amerykanie źle się z tym czują. Szukają bezustannie jakiegoś cudownego środka, ale nigdy nie pomyśleli, aby sięgnąć chociażby do literatury francuskiej, by stwierdzić, że nikt jeszcze nie nauczył się miłości z najlepszego nawet podręcznika.

Debiutantki — relik z ubiegłego wieku

Amerykanka uważa się za najbardziej postępową kobietę na świecie. Każda z nich byłaby oburzona, gdyby ktoś śmiał temu zaprzeczyć. Jest w tym oczywiście wiele przesady; w rzeczywistości kobiety w USA pielęgnują nawet takie przeżytki, o jakich w Europie już prawie zapomniano. Weźmy, na przykład, tzw. panny na wydaniu, noszące w Ameryce miano „debiutantek”.

Debiut to instytucja u nas właściwie nie znana. Coś takiego ongiś u nas istniało, lecz pamiętają to już tylko najstarsi. Był tzw. pierwszy bal, czyli wprowadzenie dziewczyny na matrymonialny rynek i poszukiwanie zamożnego partnera. Owe „targi małżeńskie” należą u nas, jak zresztą w całej Europie, do zamierzchłej przeszłości. Debiut w USA Jest celebrowany bardzo uroczyście. Formalnie biorąc, właśnie debiutantka jest dopiero panną na wydaniu.

W zasadzie debiuty zachowały swe właściwe znaczenie tylko w pewnych ekskluzywnych kołach, w których kwestia małżeństwa jest bezpośrednio związana z różnymi kombinacjami natury finansowej. W świecie wielkiego *businessu* małżeństwa są jeszcze często kojarzone pod kątem interesów. Lecz i w tym świecie zdarza się „mezalians”; dowiódł tego syn Rockefellera żeniąc się z eks-służącą. Najważniejszą sprawą jest niekiedy utrzymanie pakietu akcji w rękach rodziny, tak by nie zmalowały jej wpływy. W takich rodzinach debiut młodej panny ma zasadnicze znaczenie. Chodzi też o podkreślenie prestiżu i odpowiedni dobór kandydata pod względem towarzyskim i finansowym.

W Ameryce lubi się naśladować tak zwane „sfery wyższe”. Bale debutantek urządzają dziś wszyscy, nawet emigranci w drugim pokoleniu. Oczywiście prym wiedz *middle-class*. Debiut dla młodej dziewczyny ma inne jeszcze znaczenie oprócz matrymonialnego. Chodzi o reklamę, która może zdecydować o życiowej karierze panny. Debiut jest próbą zainteresowania, jakie potrafi wzbudzić. Dziewczeta debiutujące na balach mają już zwykle narzeczonego i dlatego chodzi przede wszystkim o zdobycie rozgłosu. Jest to sprawa ważna i dlatego organizacją debiutu nie zajmują się ani stare ciotki czy rodzice, lecz specjalne agencje. Ustalają one program, układają listę gości, a zwłaszcza listę młodzieńców, którzy zostaną zaproszeni dla uświetnienia przyjęcia. Agencja wybiera także odpowiednią suknię, przygotowuje reklamę prasową i oblicza koszty całej imprezy. Nie są one małe. Przed drugą wojną światową koszt debiutu wynosił około ośmiu tysięcy dolarów. Obecnie trzy razy tyle. Są też znacznie droższe debiuty. Debiut córki Forda w 1960 roku kosztował papę przeszło sto tysięcy dolarów. Debiutowi temu „Life” poświęcił sporo miejsca, co pociągnęło za sobą dodatkowe wydatki. Abstrahując od kosztów, niełatwo jest jednak dostać się na łamy „Life’u”. Przeciętne debiutantki nie myślą nawet o tym. Szczytem ich marzeń to ukazanie się zdjęcia w kronice towarzyskiej „N.Y. Times’u”. Inne będą szczęśliwe, jeśli zajmie się nimi miejscowa prowincjonalna gazetka. Chodzi o to, by w ogóle na dziewczynę zwrócono uwagę, oczywiście w stopniu odpowiadającym pozycji rodziny.

Organizowanie debiutów jest więc zadaniem skomplikowanym i dlatego powierza się je zawodowym agencjom. Rodzice muszą zadeklarować kwotę, jaką są skłonni poświęcić na ten występ córki. Wysokość tej sumy ma decydujące znaczenie. Na balu jest prasa i fotoreporterzy.

Onegdaj debutantki posiadały swego rodzaju monopol na wdzięk i urodę. Dziś o tym nie może być mowy.

Z trudem wytrzymują konkurencję ze strony *cali girl-sów*, modelek i eleganckich sekretarek wielkich dyrektorów. Aby podciągnąć się do ich poziomu, muszą wysilać swoją inwencję i wymyślić coś takiego, co zwróciłoby na nie uwagę. Elsa Maxwell pisała: „Cała sztuka polegała na tym, by wyglądać tak dziwnie i ekscentrycznie, aby kierowca ciężarówki osłupiał ze zdziwienia, a wszędobylski reporter zrobił natychmiast zdjęcie”. Tylko wtedy debutantka może liczyć na wielką karierę, że zostanie modelką lub zaangażują ją do zdjęć reklamowych „Coca-coli”. Potem oczywiście znajdzie się mąż milioner, willa na Florydzie i przepisowe czworo dzieci.

Miłość za dolary

W Stanach Zjednoczonych oficjalnie prostytucja nie istnieje. Jest wzbroniona i karana więzieniem. Nie jest to zgodne z prawdą. Zmieniły się tylko jej formy. Zniknął więc typ „klasycznej” prostytutki spod latarni i z ulicznego rogu. Czasem jeszcze w dzielnicy portowej lub w portorykańskim Harlemie, w Nowym Jorku, widzi się samotne kobiety siedzące na schodkach przed domami. Nigdy się jednak nie odważą zaczepić przechodnia. Ryzyko sprawia, że ten rodzaj prostytutek już zanika.

Istnienia prostytucji w USA dowodzą cyfry z oficjalnej statystyki. Otóż w 1959 roku za uprawianie nierządu zostało aresztowanych i ukaranych więzieniem 12 067 kobiet. Ponadto aresztowano 8 447 mężczyzn za stręczycielstwo lub zmuszanie kobiet do uprawiania tego procederu, a 134 osoby ukarano wieloletnim więzieniem za „hurtowy handel białymi niewolnicami”. Fakty te dowodzą jedynie, że nastąpił upadek prostytucji „starego typu”, a więc pospolitych ulicznych i domów publicznych. Dziś przybytki płatnej miłości również istnieją, lecz są zakonspirowane, dostępne tylko dla wtajemniczonych.

Prostytucja kwitnie. Znalazła sobie nowe formy „bytu” — ulepszone i dostosowane do istniejących przepisów. Prostytutek jest dużo i jest ich kilka kategorii. Wszyscy o nich wiedzą, lecz przed prawem są zabezpieczone. Obecnie prostytucja nastawiła się wyłącznie na ludzi zamożnych, gdyż jest luksusem, a przez to kosztowna. Minęły już czasy, gdy prostytutką stawała się uwiedziona wiejska dziewczyna lub córka ubogich emigrantów z Europy. Wzrost „stopy życiowej” nie ominął prostytucji. W Ameryce wszystko staje się luksusem i drogie, prostytucja tak samo. „Zawód” ten jest dziś dostępny - to znaczy opłacalny - tylko dla kobiety odpowiednio inteligentnej i o nieprzeciętnych walorach zewnętrznych. Poza tym kobieta taka nie pozbawiona jest szansy zrobienia kariery.

Oto parę tvc[^]w współczesnych prostytutek amerykańskich. Najpopularniejszym typem są tzw. „B-Girls”. Są to właściwie początkujące prostytutki czy też po prostu zdemoralizowane dziewczęta, żądne zabawy, użycia i prezentów. Ich warunki rodzinne są skromne, więc radzą sobie, jak mogą. Spotkać je można w każdym podrzędym lokalu rozrywkowym lub w halach tańca (wstęp 10 centów). Jedne żądają pieniędzy, inne chcą się tylko zabawić w porządnym lokalu i dostać prezent. Jest ich wiele, nie tylko w dużych miastach, ale i na prowincji. Część z nich wychodzi za mąż, część rozpoczyna prawdziwą prostytutyczną karierę, o ile zewnętrzne warunki im na to pozwalają. „B-girls” to najmniej płatna kategoria, najliczniej zaludniająca więzienia.

Drugi typ, również dość rozpowszechniony, stanowią tzw. „V-Girls”. Są to zazwyczaj kobiety pracujące w biurach lub w sklepach i „dorabiające” sobie na luksusowe stroje, wyjazdy na Florydę i wytworne futra. W zawieraniu znajomości są zwykle dość ostrożne i polują tylko na grubszą zwierzynę. One też przede wszystkim posługują się stręczycielami. Wiele z nich jest mężatkami, które wobec pobłażliwości skromnie uposażonych mężów „dorabiają” sobie na lepsze życie.

Kept women, czyli utrzymanki, rekrutują się również z pośledniejszych aktorek, tancerek lub modelek, spragnionych luksusów, zbyt kownych strojów, nie osiągalnych z pracy zawodowej. Ten rodzaj kobiet jest tu bardzo liczny; wśród sfer dobrze sytuowanych jest w modzie posiadanie ładnej utrzymanki.

Najbardziej znane, nie tylko zresztą w USA, są amerykańskie *cali girls*. Jest to jeszcze inna forma prostitucji, ale szczególnie zawoalowanej. Instytucja ta, obecnie bardzo charakterystyczna dla USA, została zapożyczona z Japonii. W każdym większym mieście są specjalne agencje zajmujące się dostarczaniem owych dziewcząt. Można ją nawet zamówić telefonicznie, by towarzyszyła do teatru, przy kolacji czy w podróży na Florydę. Są też angażowane do zabawiania uczestników bankietów, urządzanych przez wielkie firmy przemysłowe. Zadanie *cali girls*ów polega wówczas na nakłonieniu kontrahentów do zawarcia jakiejś umowy lub poważniejszej transakcji handlowej. Honorarium za jeden wieczór, wyłącznie za towarzystwo, wynosi przeciętnie około stu dolarów. Niektóre z nich, dobrze zorientowane w ekonomicznych problemach, pobierają honoraria wielokrotnie większe. Tak wygląda oficjalna strona. Jest jeszcze druga, dyskretna, o której wszelako wszyscy doskonale wiedzą. Poza usługami towarzysko-ekonomicznej natury *cali girls* są zwykle skłonne służyć swoimi, wdziękami, lecz oczywiście za osobną opłatą, dodajmy — bardzo wysoką.

Wymagania stawiane kandydatkom na *cali girl*ę są ogromne. Agencje żądają, by miały ukończone studia uniwersyteckie, odznaczały się inteligencją i nieprzeciętną urodą. Niezbędne są też nienaganne formy towarzyskie i znajomość jakiejś specjalności z dziedziny przemysłu lub handlu.

Mimo że *cali girls* na ogół nie cieszą się opinią przesadnie cnotliwych, nie należy przypuszczać, że wszystkie są prostytutkami. Wiele z nich uprawia swój „zawód” rzeczywiście w ramach oficjalnie zakreślonych i nie zależy im na „ubocznych” dochodach. Są wśród nich przykłady skądinąd małżonki i matki. Aby zaś odzyskać dobrą reputację po paroletniej „pracy”, wyjeżdża ona do innego miasta na drugim krańcu tego rozległego kraju i tam, nie znana nikomu i posiadając pokaźny kapitał, zaczyna „nowe życie” jako wzorowa i cnotliwa dama.

Typem najliczniejszym i cieszącym się bodaj największym powodzeniem u mężczyzn na stanowiskach (dyrektorów wielkich przedsiębiorstw, rozporządzających ogromnymi funduszami reprezentacyjnymi) jest tak zwana „kawiarniana dziewczyna”. Jest to nazwa o tyle niewłaściwa, że w Stanach Zjednoczonych kawiarni w ogóle nie ma. Chodzi tu raczej o młodą bywalczynię nocnych ekskluzywnych lokali. Jest to typ popularny, „zrobiony” według wzoru „All-American Girl”, a więc w swym wyglądzie ściśle skopiowany z „Vogue” lub innego magazynu. Musi być więc szczupła, fotogeniczna, z przyklepionym uśmiechem, modnie i elegancko ubrana i przebywać w towarzystwie znanych, wytwornych mężczyzn. Jest to kobieta jakby wiecznie upozowana do zdjęć, w każdej chwili gotowa do przyjęcia fotoreportera. Poza i ciągle dbałość o zewnętrzny wygląd wyparty z niej resztki zmysłowości, uczyniły z niej piękną, ale bezduszną lalkę. Cechuje ją „zimny erotyzm”, robiony na pokaz i zmylenie mężczyzn.

Dziewczyna taka, pochodząca niekiedy nawet z „dobrej rodziny”, chętnie świadczy usługi natury erotycznej, lecz żąda wysokiej zapłaty, a mianowicie protekcji, która ułatwiłaby jej karierę lub małżeństwo z milionową fortuną.

Wnioski

Czy rzeczywiście Amerykanie muszą się miłości uczyć? Samo pytanie jest przesadne, a odpowiedź twierdząca musiałaby wywołać zrozumiące zdziwienie. Miłości prawdopodobnie nikt się dotychczas z podręcznika nie nauczył i nigdy nie nauczy. Przyczyny istniejącego stanu rzeczy trzeba szukać w

głęboko położonych warstwach życia i natury Amerykanina.

Mężczyźni są bezpośredni, jowialni i szczerzy. Przy tym wszystkim są opanowani, powściągliwi i umieją doskonale trzymać na wodzy swe uczucia i pragnienia. Obce są im nieprzemyślane, gwałtowne odruchy, wybucho-wość i silna reakcja. Amerykanin uczy się tej sztuki już od lat młodzieńczych, nic więc dziwnego, że stosuje ją zawsze. Daje to doskonałe wyniki w *businessie*, ale miłość, trzymana w korbach, nie czuje się dobrze. Biorąc pod uwagę wrodzoną nieśmiałość mężczyzn w Ameryce, chłopięcość ich usposobień i pewną dozę łatwości, nietrudno wysnuć wnioski, że trzeźwy rozsądek w połączeniu z tymi cechami nie może dać pozytywnych rezultatów.

Zazwyczaj Amerykanin najlepiej się czuje w męskim gronie. W towarzystwie kobiet bywa nieco zażenowany i traci pewność siebie. Dlatego dość kurczowo trzyma się zdobytej kobiety. Pilnuje swego stanu posiadania, lecz równocześnie bezustannie jest trawiony chęcią zbliżenia się do innych kobiet. Zwykle patrzy na nie ukradkiem, jak dziecko na wystawę sklepu ze słodyczami. Jest też w stosunku do nich bezkrytyczny i łatwo wpada w zachwyty. Wierzy w wierność bezwzględną, lecz sam szuka okazji do wyłamania się z tej zasady. Marzy o jakiejś miłostce, flircie, ale bez pomocy i zachęty ze strony kobiety nie wie, jak się do tego zabrać. Jego pragnienia oscylują między poczuciem obowiązku, purytańskimi zasadami moralnymi a chęcią użycia. Gdy warunki materialne pozwalają mu na bardziej swobodny i beztroski tryb życia, wówczas pół biedy. Skoro jednak zmuszony jest żyć skromnie i „bogobojnie”, będzie tłumił pragnienia. Czasem to się udaje, czasem jednak - przy jakiejś okazji - nie wytrzyma. Wtedy inni się dziwią, on sam zwykle też się dziwi.

Nie należy tego oczywiście traktować jako reguły. Wyjątki są liczne, a bliskie kontakty z Europą wpłynęły nie tylko na jakość posiłków, lecz i na zmianę obyczajów.

A kobiety? Niestety, na temat kobiet amerykańskich istnieje wiele nieporozumień. Pierwszym takim nieporozumieniem jest. mylny, choć powszechny, pogląd, że Amerykanka jest najlepiej ubraną kobietą na świecie. Wprawdzie sporo kobiet ubiera się tu bardzo elegancko, ale są to zwykle te, dla których wygląd zewnętrzny stanowi kwestię bytu i decyduje o wysokości zarobków. A więc modelki, sekretarki i aktorki. Nie one jednak nadają ton, jest ich bowiem zbyt mało w stosunku do masy innych kobiet. Opinię wyrabia się na podstawie wyglądu przeciętnych kobiet, takich, jakie spotyka się wszędzie. W Paryżu wytwornie ubranych kobiet wyszukiwać nie trzeba. Na ulicach miast amerykańskich kobiet ubranych gustownie, ze smakiem widzi się niewiele. Są ubrane drogo, poprawnie, lecz nie zawsze z gustem. Właściwie inaczej być nawet nie może. Tylko milionerki szyją sobie u krawcowych, inne kupują gotową odzież w domach towarowych. Amerykanki nie przywiązują specjalnej wagi do stroju. W domu zazwyczaj chodzą w spodniach, długich i obcisłych, w lecie w szortach do kolan (*jamaica*). Na szczęście są na ogół szczupłe, więc to źle nie wygląda, ale strój taki trudno uznać za atrakcyjny. W ogóle w domu niezbyt dbają o siebie i jeśli się ubierają lepiej, to raczej na pokaz. Podobnie też ich sposób bycia jest inny niż kobiet w Europie. Zwykle są wesole, bezpośrednie i miłe, lecz bez odrobiny zalotności; są rzeczowe, zarozumiałe, pewne siebie, mężczyzn zaś traktują z lekką wyniosłością, co właśnie pozbawia je wszelkiej kokieterii. Uważają, że wszelkie problemy natury psychiczno-miłosnej można rozwiązać naukowo. Chętnie korzystają z różnych podręczników „doskonałej miłości” i starają się przestrzegać zalecanej receptury. Stanowią trzon klienteli psychoanalitycznych przychodni.

Najciekawsze jednak, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety — mimo licznych zawodów i niepowodzeń w tej dziedzinie — wierzą w doskonałość swej miłości i są pod tym względem niezwykle wytrwali.

Wierzą również, że każda ostatnia miłość jest prawdziwa. Chętnie chodzą do kina, spragnieni ujżenia wymarzonej przez siebie miłości. Każdy *happy end* na filmie odnoszą do siebie, głęboko przeświadczeni, że ich miłość jest właśnie taka.

Amerykanom brak sceptycyzmu. W to, co wierzą, wierzą niewzruszenie i nikt ich nie przekona, iż może być inaczej; wierzą również, że właśnie w Ameryce tryumfuje prawdziwa miłość, że jest najlepsza, najgorętsza. Dopóki tej wiary w siebie nie zachwieją, dopóty nic się tam nie zmieni.

Jak rozrastało się USA ?

Pokój z Anglią, zawarty w 1783 roku, zapewniał niepodległość młodemu państwu i otwierał przed nim wspaniałe perspektywy. Możliwości były rzeczywiście ogromne. Cały kontynent północnoamerykański - z wyjątkiem mroźnej Kanady - stał otworem. Dziewicze lasy, urodzajne gleby, bujne pastwiska i nieśmiałe jeszcze bogactwa we wnętrzu ziemi. Wszystko to znalazło się w posiadaniu Amerykanów. Formalnie obszary te należały do Hiszpanii, lecz okoliczności tej Amerykanie nie uważali za przeszkodę. Hiszpania była już wówczas państwem słabym i skorumpowanym, tak że fakt posiadania przez nią tych terenów miał tylko formalne znaczenie.

Rozwój terytorialny USA rozpoczął się właściwie już od chwili uzyskania niepodległości. W skład

Stanów Zjednoczonych wchodziło zrazu trzynaście stanów: Delaware, Pensylwania, New Jersey, Georgia, Connecticut, Massachusetts, Maryland, Maine, New Hampshire, Wirginia, Nowy Jork, Północna Karolina i Rhode Island. Podczas negocjacji pokojowych wytargowano od Anglików rozległy obszar nieco zasiedlony jeszcze w czasach kolonijnych, który rozciągał się od Wielkich Jezior aż ku południowi, w pobliżu Morza Karaibskiego. Na obszarze tym powstało potem prawie dziesięć stanów. Amerykanie, pochłonięci bogaceniem się i urządzaniem państwa, prawdopodobnie nieprędko pomyśleliby o dalszym rozszerzeniu granic, gdyby nie wydarzenia polityczne w Europie i ich konsekwencje na drugiej półkuli.

W wyniku zwycięstwa Napoleona Hiszpania musiała zwrócić! Francji zabrane jej w okresie rewolucji obszary położone wzdłuż rzeki Missisipi, zwane Luizjaną. Taki obrót sprawy nie podobał się Jankesom. Było im wprawdzie obojętne, że w Nowym Orleanie siedzieli Hiszpanie, nie chcieli jednak mieć tak silnego i groźnego sąsiada, jaką była Francja napoleońska. Postanowiono więc kupić Luizjanę. Liczono, że Bonaparte potrzebuje pieniędzy, gdyż prowadzenie wojen zawsze jest kosztowne. Misję przeprowadzenia tej transakcji prezydent Jefferson powierzył swemu przyjacielowi Jamesowi Monroe. Udało się znakomicie — Napoleon zgodził się sprzedać Luizjanę za piętnaście milionów dolarów. Była to pierwsza transakcja tego rodzaju, tj. powiększenie terytorium w drodze kupna. Zakupienie tego obszaru uznano za jeden z najlepszych busi-nessów, jaki kiedykolwiek Jankesi zrobili. Za akr ziemi zapłacono wtedy niespełna cztery centy!

Prezydent James Madison nie lubił wojen, a do Napoleona nie miał zaufania. Nie chciał się mieszać do jego wojennych awantur i uważał, że Stany Zjednoczone powinny trzymać się z dala. To się jednak nie udało. Amerykanie, sprowokowani przez Anglię, zostali zmuszeni do wojny. Nie wiodło się w niej Amerykanom. Anglicy zajęli kilka ważnych fortów i wkroczyli nawet do Waszyngtonu, pałac i łupiąc stolicę. Sytuacja stała się bardzo groźna, lecz, na szczęście, Napoleon powrócił właśnie z Elby. To zadecydowało. Amerykanom udało się wydostać z opresji i zawrzeć pokój z Anglią.

Nawet ta niepomyślna wojna przyniosła w efekcie zdobycze terytorialne. Indiańskie szczepy Krików i Seminoli, podburzone w czasie wojny przez Anglików do powstania przeciwko Amerykanom, niszczyły kraj i prowadziły na tyłach szeroko zakrojoną dywersję. Wojna z Indianami przeciągała się. Dopiero w 1818 roku udało się Jacksonowi, późniejszemu prezydentowi republiki, rozbić ich zupełnie. Resztki Seminoli schroniły się na terenie Florydy, stanowiącej posiadłość hiszpańską. Jackson w pościgu za niedobitkami przekroczył granicę i zajął półwysep. Hiszpanie nie protestowali. Później w drodze rokowań zakupiono Florydę od Hiszpanii za pięć milionów dolarów. Seminole do dziś dnia zamieszkują te obszary, oczywiście w rezerwach.

Następne nabytki to Teksas, Arizona i Nowy Meksyk. Były to posiadłości Meksyku, które po wojnie z tym krajem anektowano w 1845 roku, a potem zakupiono je za dwadzieścia milionów dolarów. Z Teksasem historia była bardziej skomplikowana. Został on już wcześniej oderwany od Meksyku i przez pewien czas był niezależną republiką. W 1845 roku włączono go do Stanów.

Potem kupiono Alaskę. Już w siedemnastym wieku Rosjanie przybyli na Alaskę, skąd poczęli się posuwać na południe, wzdłuż wybrzeży Pacyfiku. Dotarli aż do miejsca, gdzie dziś znajduje się San Francisco. Zbudowali tam fort, ale wkrótce się wycofali. (Kalifornia należała wówczas oficjalnie do Meksyku i dopiero po wojnie w 1846 roku została oddana Stanom Zjednoczonym). Alaskę kupili Amerykanie w 1867 roku. Kząd carski proponował sprzedaż tego terytorium jeszcze w 1860 roku, ale Amerykanie uważali cenę za wygórowaną. Ostatecznie transakcja doszła do skutku. Kupiono ją za siedem milionów i dwieście tysięcy dolarów. W 1957 roku Alaska została stanem na tych samych prawach, jak 1 wszystkie inne.

Kolejnym nabytkiem były Hawaje. W połowie ubiegłego wieku do posiadania tej wyspy pretendowały Anglia i Francja. Kraik ten jednak potrafił się obronie. Zadzierzgnął dość bliskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Najpierw handlowe, potem polityczne. W 1893 roku, przy cichym poparciu Amerykanów, na wyspie wybuchła „rewolucja”. Król został pozbawiony tronu. W 1894 roku rząd nowej republiki zwrócił się do rządu USA % prośbą o wcielenie Hawajów do Stanów Zjednoczonych. Amerykanie niby się zastanawiali nad tą kwestią, tak iż mogło się wydawać, że nie wiedzą, czy mają przyjąć ten „prezent”, czy też go odrzucić. Jankesi ociągali się cztery lata i dopiero w 1898 roku wyrazili swą „zgodę”, spłacając jednocześnie hawajskie długi państwowe w kwocie czterech milionów dolarów. Hawaje zo-stały stanem dopiero w 1960 roku.

Wojna USA z Hiszpanią, która wybuchła w 1898 roku, przyniosła Amerykanom nowe terytoria: Puerto Kico, Guam i Filipiny. Aby uniknąć sporów, zapłacili Hiszpanom dwadzieścia milionów dolarów. Puerto Rico posiada obecnie coś w rodzaju autonomii. Filipiny zaś otrzymały niepodległość w 1946 roku.

Poza tym Amerykanie zajęli wiele małych wysepek na Pacyfiku. Na Morzu Karaibskim zakupili od Danii Wyspy Dziewicze i kilka mniejszych wysp położonych w tym rejonie. Za wszystko to zapłacili dwadzieścia milionów dolarów.

W ten sposób rozrastało się terytorium Stanów Zjednoczonych. Kosztowało parę małych wojen, wiele ofiar indiańskich, trochę meksykańskich i dziewięćdziesiąt jeden milionów dolarów.

MŁODA GENERACJA

Teens

Amerykańska młodzież na pierwszy rzut oka sprawia dodatnie wrażenie. Dobrze odżywiona, starannie

ubrana, w miarę rubaszna, nieco arogancka. Jak w każdym kraju, tak i w USA jest bardzo różnolita. Posiada jednak pewne wspólne charakterystyczne cechy, które odróżniają ją od młodzieży innych krajów. Są to cechy łatwo dostrzegalne. Nawet ubiór młodzieńca z tamtej strony oceanu jest inny niż jego kolegi z Paryża lub Rzymu. Amerykański młodzieniec ubiera się starannie, pilnie naśladując w tym starszych. Zresztą naśladuje ich we wszystkim, aby wydać się w ten sposób dorosłym i poważnym. Gdy obserwuje się młodzież uniwersytecką, odnosi się wrażenie, jak gdyby była przedwcześnie dojrzała. W istocie młodość ich jest nieciekawa, ma barwę szarą. Nie widzi się tu bujnego, wesołego życia francuskiej *stu-denterii*. Pobyt w *college* ma w sobie coś z życia klasztorowego. Studenci mieszkają razem z profesorami, pochłonięci zupełnie obowiązkami akademickimi. W Cambridge - dzielnicy Bostonu, gdzie mieści się uniwersytet Harvard - panuje zupełnie inny nastrój niż na bulwarze St. Michel w Paryżu. Tchnie tu surowością, spokojem i dostojeństwem. Większość młodzieży przystosowuje się do tego. Jedynym urozmaiceniem studenta jest jego *steady* - dziewczyna studiująca w sąsiednim uniwersytecie. Spędza z nią *weekendy*, a potem się z nią ożeni.

Młodzież amerykańska bardzo wcześnie zaczyna życie serio i wcześnie bierze na siebie obowiązki. Poza młodzieżą zamożną, z „dobrych” domów, jest wiele innej, której nie stać na Harvard. Nie stać jej też zwykle na bardzo stary, używany samochód, jak i na dziewczynę. Dla wielu mało co jest dostępne; tych czeka wielka nuda. Ta młodzież buntuje się i usiłuje własnymi środkami rozwiązać zagadnienie. W dzieciństwie nauczono ją, że wszystko jej wolno. Wyróśli w tym przekonaniu, stanowią podatny materiał na chuliganów. Młodociani przestępcy są groźni i nie przebierają w środkach.

Fakty

Powszechnie wiadomo, że młodzież w Ameryce przysparza dużo trosk swym rodzicom, wychowawcom i nauczycielom. Zagadnienie to szczególnie mnie interesowało i dlatego od pierwszego dnia pobytu w Stanach Zjednoczonych zacząłem gromadzić materiały, przede wszystkim zaś fakty. Wkrótce zebrałem piękną „kolekcję”. A oto kilka próbek:

Historia pierwsza. Siedmiu wyrostków, członków gangu Little Count, z eleganckiej dzielnicy willowej Brook-lynu śmiertelnie poraniło nożami dwóch spokojnych przechodniów. Powód: pierwszy z przechodniów lekko potrącił jednego z chłopców. Przeprosił, lecz ci rzucili się na niego. Zaczęli go bić i kopać. Kiedy w obronie maltretowanego stanął drugi przechodzień, napastnicy wyciągnęli noże.

Historia druga. Pewnego wieczoru czterech chłopców, w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, spacerowało po parku w Brooklynie. Tam zauważyli siedzącego na ławce samotnego młodzieńca. Podeszli do niego i zaczęli go bić bez najmniejszej przyczyny. Wykręcili mu ręce i ogniem z zapalniczek przypiekali stopy. W końcu zaciągnęli go nad brzeg East River i wepchnęli do wody. W parę dni później ciało nieszczęśnika wyłowiono z rzeki. Ujęci sprawcy zeznali w policji, że nie znali swej ofiary i wszystko to zrobili tylko dla zabawy. Badania psychiatryczne stwierdziły całkowitą poczytalność oskarżonych.

Historia trzecia. Trzech chłopców, w wieku od ośmiu do jedenastu lat, zdemolowało szkołę powszechną w Ja-maice, w dzielnicy Queens, w Nowym Jorku. Chłopcy, rozbiwszy drzwi, dostali się do wnętrza szkoły i zaczęli wyrzucać meble przez okna, łamiąc i niszcząc, co się tylko dało. Wybili wszystkie okna i usiłowali podpalić budynek. Okoliczni mieszkańcy, sądząc, że budynek demoluje jakaś duża banda, wezwali trzy policyjne radiowozy. Wyrządzone szkody wyniosły parę tysięcy dolarów.

Historia czwarta. Do pociągu kolei podziemnej linii BMT w Nowym Jorku weszła banda chłopców w wieku szkolnym i zaczęła niszczyć urządzenia w wagonie. Cięli poduszki na siedzeniach, wybijali szyby i tłukli żarówki w lampach. Przerażeni pasażerowie zabarykadowali się w ostatnim wagonie. Wezwana policja ujęła wszystkich chuliganów. Tłumaczyli się potem, że chcieli się tylko zabawić.

Historia piąta. W Camden, stan New Jersey, dziewięcioletni John Delow wracał do domu ze swoim siedmioletnim bratem Józefem. Nagle zatrzymał ich w parku jakiś wyrostek. Popchnął obu chłopców w boczną aleję i zażądał pieniędzy. Gdy mu powiedzieli, że nie mają ani centa, zaczął ich bić. Pozdzierał z nich ubranka, skarpetki i sandały. Następnie zaczął się znęcać nad chłopcami - kłutł ich wiecznym piórem i szarpał za włosy. Z trudem chłopcom udało się wyrwać z rąk oprawcy i uciec.

Historia szósta. Jeden zabity i czterech ciężko rannych. W toku śledztwa okazało się, że kilku chłopców skradło dwa samochody i rozpoczęło wyścigi. W pewnej chwili jeden z młodocianych złodziei stracił panowanie nad kierownicą i wóz z całej siły uderzył w mur kamienicy. Jadący drugim samochodem zatrzymali się i uciekli piechotą. Stwierdzono później, że wszyscy należeli do gangu i chcieli pochwalić się przed kolegami czymś niezwykłym.

Historia siódma. Policja w Waszyngtonie urządziła wielką obławę w ogrodach wokół Kapitolu i

zatrzymała około dwustu młodych ludzi. Akcję tę zarządzono w związku z przemówieniem deputowanego Thomasa B. Courtisa z Missouri. Otóż od dłuższego już czasu w ogrodach tych po zapadnięciu zmroku systematycznie napadano na przechodniów. Bandy wyrostków zaczęły wszystkich, którzy nieopatrznie zapuścili się po zmroku w głąb parku. Ograbiano ich z gotówki, a tych, którzy usiłowali stawić opór, bito i kopano. Chuligani ograbili między innymi owego deputowanego Courtisa i towarzyszącego mu przemysłowca z Ohio. Wprawdzie władze już od dawna otrzymywały wiele skarg od obywateli, mimo to nie reagowały. Policja skrzętnie omija wszystkie parki w Waszyngtonie i woli nie zaglądać tam po zmroku.

Tych siedem przykładów ilustruje najbardziej powszechne i typowe przestępstwa młodocianych chuliganów w USA. O takich i podobnych wyczynach prasa amerykańska donosi codziennie.

Dzieci w amerykańskiej rodzinie

W mowie potocznej młodzież określa się tu zazwyczaj mianem „kids” i „teens”. „Kids” to dzieci do lat dziesięciu, powyżej ~ „teenagers”. „Teens” są bardzo niesforni i przysparzają trosk nie tylko rodzicom, lecz również władzom.

Oto trochę cyfr. W 1958 roku w Bostonie wybite w szkołach szyby kosztowały miasto siedemdziesiąt tysięcy dolarów. W ten sposób uczniowie okazywali swoje niezadowolenie z nauczycieli. W tym samym roku aresztowano przeszło tysiąc „teenagers” obojga płci za poważniejsze przestępstwa.

W Nowym Jorku jest jeszcze gorzej. W 1958 roku aresztowano tam aż 66 tysięcy młodych ludzi. Połowa stanęła przed sądem. Przestępstwa były różne, lecz bynajmniej niebłahe. A więc kradzieże samochodów, napady, rabunki, a nawet morderstwa.

Warto również wiedzieć, jak wygląda to zagadnienie w skali krajowej. W 1958 roku na ogólną liczbę 2 340 tysięcy aresztowanych na młodzież do lat 18 przypadało ponad pół miliona.

Dlaczego tak się dzieje? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw przyrzeć się metodom wychowawczym w rodzinie, metodom uznanym przez Amerykanów za „postępowe”.

Dzieci w Ameryce są inaczej traktowane niż u nas w Europie. W amerykańskiej rodzinie naczelnym miejscem zajmuje dziecko. Ono jest centralnym punktem, dokoła którego obraca się całe życie rodzinne. Rodzice dogadzają mu, zaspokajają wszelkie zachcianki i kaprysy. Na wszystko mu pozwalają. Nie mogą się bowiem wyłamywać z ogólnego zwyczaju. Protestują tylko wtedy, gdy postępowanie dzieci zagraża bezpieczeństwu, domowi, rodzinie. Dzieci, jak zdołałem zauważyć, zdają sobie z tego sprawę, wiedzą, że mogą robić, co się im podoba. Rodzice mogą tylko prosić, perswadować, tłumaczyć. Zwykle zaś ulegają i zawierają „kompromis”. Tak się zwykle zaczynają „miłe złego początki”.

Ameryka jest krajem bez autorytetów. Nikogo się tu nie tytułuje ani w listach, ani w rozmowie. Nie istnieją zwroty „panie dyrektorze”, „panie prezesie”, czy „panie profesorze”. Ludzie przeważnie mówią sobie po imieniu, a za poklepywanie po plecach nikt się nie obraża. Z tego obyczaju korzystają również dzieci.

Zdarzyło mi się kiedyś zwiedzić szkołę w Bostonie. Oprawdzał mnie uczeń, syn mego przyjaciela. Jedna pracownia była właśnie zamknięta. Wyszliśmy więc na podwórze. Po drugiej stronie siedział jakiś mężczyzna.

- Hej, George! - zawołał chłopak i zapytał, czy przypadkiem nie ma do pracowni klucza. Gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, dodał - Daj mi go! - Mężczyzna przyniósł żądany klucz i wówczas dowiedziałem się, że jest nauczycielem i wychowawcą tej klasy, do której uczęszczał mój młody znajomy.

Może to ma swoje dobre strony. Niewątpliwie jednak ma również i złe. Szacunek dla starszych tutaj nie istnieje. Młodzież zawsze jest zarozumiała. W Europie stara się nie okazywać tego tak otwarcie. Tam się nie krępuje. W stosunkach z rodzicami podkład uczuciowy łagodzi sytuację. Gdy jednak rodzice usiłują narzucić dziecku swą wolę, okazują się bezradni. Metoda łagodnej perswazji — jako środek nacisku — już przestała skutkować. Nawet małe dzieci nie liczą się z nikim. Jeśli się bawią hałaśliwie, nikt nie zwróci im na to uwagi, nawet w czasie wizyty gości i poważnej rozmowy. Nikt im nie powie, że tak jest niegrzecznie. Panuje zasada, by dzieci nie „krępować”. „Niech się dziecko bawi”, niech się „wyżywa”, to znaczy, niech robi wszystko to, co mu przyjdzie do głowy. Podobno takie zalecenia wychowawcze podają podręczniki. Przypuszczam jednak, że rodzice nie wiedzą po prostu, co robić, by zdobyć lub odzyskać szacunek dzieci.

Byłem raz świadkiem takiej sceny. Siedziałem właśnie przy obiedzie u znajomych, gdy nagle dziecko, trzyletni brzdąc, wyrzuciło ze złością szklankę mleka w stół. Szklanka pękła, mleko się rozlało. No i cóż, wytarliśmy spodnie, zrobiono porządek na stole, a dziecko dostało do picia sok pomarańczowy, którego się tak energicznie dopominało. Z ust rodziców nie padło ani jedno słowo wymówki. Usłyszałem tylko

wyjaśnienie, że dziecko samo musi zrozumieć, że źle robi i że to jest „nowoczesny system wychowania”. Kary i strofowanie, według tej teorii, „wypaczają charakter”. Nie jestem pedagogiem ani specjalistą od wychowywania dzieci i na ten temat wiele powiedzieć nie mogę, nie wydaje mi się jednak, aby powyższe teorie prowadziły do należytego wychowania młodego człowieka.

Gdy chłopiec lub dziewczyna w wieku szkolnym idzie na potańcówkę, nie pyta rodziców o pozwolenie. Po prostu zapowiada, że idzie i wróci w nocy. Byłem świadkiem takiej sceny. Chłopiec, po powrocie ze szkoły, oświadczył, że wieczorem jest potańcówka. W praktyce znaczyło to, że ojciec musi pojechać i przywieźć jego *steady*, gdyż chłopiec w tym wieku nie ma jeszcze własnego samochodu. Na matkę zaś spadł obowiązek przygotowania kolacji. Zgodnie ze zwyczajem *steady* jest zapraszana przed tańcem do domu rodziców chłopca na kolację. Potem ojciec zawozi parę na zabawę, a po północy jedzie, by odwieźć dziewczynę do jej domu i przywieźć syna.

Zachowanie dzieci w szkołach pozostawia wiele do życzenia. Nie miałem możliwości poczynienia bezpośrednich obserwacji, jednak na podstawie zebranych materiałów chciałbym przytoczyć nieco faktów. Zacznę od wypowiedzi Elima Trone'a, przewodniczącego związku nauczycieli w Nowym Jorku. Twierdzi on, że warunki pracy nauczycieli są nadzwyczaj ciężkie, że wprowadzenie dyscypliny w szkole jest wprost nieodzowne. Zwrócił też uwagę na zbytne pobłażanie dzieciom w domach. Jako przykład podał, że w pewnej szkole nauczyciel usunął z boiska chłopca, który przeszkadzał innym w grze. Następnego dnia został napadnięty i pobity. Sprawców nie ukarano, nie szukano ich nawet.

Cóż jednak mogą poradzić nauczyciele, gdy rodzice są zupełnie bierni i stosują „postępowe” metody wychowawcze. Na wystąpienie Trone'a zareplikowała pani Gladys Harburger, przewodnicząca związku rodziców. Cytuję: „Dobry nauczyciel winien sam sobie wyrobić autorytet, bez potrzeby uciekania się do dyscypliny. Po prostu trzeba więcej dbać o uczniów w szkole...”

Pewien reporter z „World Telegram and Sun” i autor licznych na ten temat artykułów pracował przez jakiś czas jako nauczyciel, by poznać młodzież. Oto charakterystyczny przykład, zaczerpnięty z jego doświadczeń.

Jeden z chłopców pobił z zemsty nauczyciela. Kiedy zdziwiony reporter zapytał go, dlaczego nie zażądał ukarania ucznia, nauczyciel wyjaśnił mu, że nie uczynił tego z obawy o swoją dalszą karierę. Władze szkolne niechętnie widzą nauczycieli, którzy narażają się uczniom. Przed zbyt surowym pedagogiem droga do kariery może zostać zamknięta. „Właściwie jest tak — pisze reporter — że nauczyciele boją się swych władz przełożonych, władze zaś obawiają się inspektorów. Ci ostatni muszą się liczyć z rodzicami uczniów, a rodzice z dziećmi. Tylko dzieci nie boją się nikogo!”

Dr Rittwagen, naczelny psychiatra sądu dla nieletnich w Nowym Jorku, jest zdania, że winę za rozwdrzenie dzieci ponoszą rodzice. W wypadku popełnienia przez dziecko występku rodzice zawsze je bronią i protestują z oburzeniem, gdy chce się je ukarać. Jeśli chłopiec zbije lub zrani kolegę, powiedzą, że syn chciał się tylko „wyładować”, że to jest w tym wieku konieczne i zrozumiałe, że stało się to „niechcący” i że w ogóle rzecz jest bez znaczenia...

Właściwie dzieci wychowują się same. Rodzice są zbyt zajęci domowymi sprawami, pracą zawodową lub kłopotami finansowymi i nie mają czasu zajmować się nimi. Poza tym w kwestii wychowania są ignorantami. Szkoła zaś tylko uczy i do spraw wychowania nie wtrąca się. Charakter dzieci w tym stanie rzeczy kształtują *comicsy*, filmy, telewizja, magazyny detektywistyczne, które uczą brutalności i kultu siły. Na wszelkie zarzuty wydawcy odpowiadają ze spokojem, że na rynek dają to, co znajduje odbiorcę. A więc błędne koło.

Nie należy jednak sądzić, że cała młodzież w USA jest chuligańska. Jest rozpuszczona, arogancka i bardzo pewna siebie. Pewien odsetek wchodzi na drogę występku. Lecz większość się temperuje, właściwie temperują ich żony. Może więc dobrze się dzieje, że w Ameryce ludzie młodo się pobierają. Z drugiej jednak strony, oni sami za kilka lat będą wychowywać nowe pokolenie!

Postrach Manhattanu

Słowo „gang” znaczy po angielsku banda. To znane słowo kojarzy się z Ameryką. Gangsterzy, Al Capone, prohibicja, strzelaniny, trupy, milionowe fortuny, zakulisowe wpływy, korupcje itd., itd. Podobno gangi zostały rozgromione i już ich nie ma. O tych „prawdziwych” gangach jest teraz cicho, głośne się stały natomiast młodzieżowe. Nie są może tak groźne jak tamte, lecz i one sieją niemały postrach. Wszyscy się ich boją. Niebezpiecznie jest wchodzić do nowojorskiego Central Parku o zmroku. Nie należy również o tej porze zapuszczać się do wschodniej części Harlemu, w pewne dzielnice Bro-nxu, Queensu, Brooklynu i w zachodnie rejony Manhattanu.

Według oficjalnych danych w Nowym Jorku istnieje około 150 gangów młodzieżowych. Należy do nich

jakoby tylko 7 500 młodocianych członków. W rzeczywistości jednak jest ich niewątpliwie o wiele więcej, gdyż z oficjalnych liczb wynika, że w 1959 r. stanęło przed sądami 35 tysięcy członków band. W tej liczbie aresztowanych było 11 570 chłopców i dziewcząt poniżej lat 16; 1 953 oskarżono o włamania, 1 011 o kradzieże samochodów, 888 o napady na przechodniów, 791 o rabunki, resztę o różne drobniejsze przestępstwa.

Skąd biorą się młodzieżowe gangi i jak powstają?

Zaczyna się niewinnie. Młodzież z jednej kamienicy lub bloku (blokiem nazywa się w Ameryce zespół domów położonych pomiędzy dwoma przecznicami) zbiera się i tworzy grupę dla organizowania zabawy. Kolor skóry, narodowość, rasa nie odgrywają tutaj roli, raczej miejsce zamieszkania. A ponieważ w Ameryce ludność zamieszkuje dzielnice grupami narodowościowymi, gangi są najczęściej narodowościowe. Najwięcej jest gangów portorykańskich; Portorykańczycy to ludność w tej chwili najbiedniejsza. Są też gangi murzyńskie, włoskie i irlandzkie. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że o polskich nie słyszałem.

W Nowym Jorku słynne były walki gangów murzyńskich i portorykańskich z włoskimi i irlandzkimi. Później rozgorzały bitwy pomiędzy Murzynami a Portorykańczykami. W walkach tych względy rasowe czy narodowościowe nie miały znaczenia. Zdarzało się często, że gangi murzyńskie walczyły również między sobą. Podobnie też portorykańskie, włoskie i irlandzkie. Gangi prowadzą swoją „politykę”, zawierają „przymierza”, wypowiadają „wojny”. Jakkolwiek jest to w gruncie rzeczy zabawa, przybiera ona nierzadko bardzo groźne formy.

Powracam jednak do załazków gangu. A więc gdzieś na pustym placu czy ulicy zbierają się chłopcy dla wspólnej zabawy. Gdy teren jest dostatecznie rozległy, grają w piłkę, *baseball*, czasem w siatkówkę. Trzymają się stale razem. Łowią ryby w Hudsonie, urządzają wycieczki za miasto. Potem jakaś zaczepka ze strony innej grupy. Pobity chłopak lub obrażona dziewczyna. I oto spokojna dotąd gromada wyrostków przeistacza się w groźny gang, w szajkę bandycką zorganizowaną na wzór wojskowy. Aby zwiększyć swą liczebność i „siłę bojową”, przeprowadzają „werbunek” i gromadzą broń. Na początek zbroją się w pałki, proce, kamienie. Gdy to nie wystarcza, sprzęt ulega ulepszeniu. A więc ciężkie pałki gumowe, rzemienie z ołowianą kulą i łańcuchy rowerowe.

Walka się zaostrza. Pokonani za wszelką cenę dążą do rewanzu. Broń w Ameryce jest tania i kupić ją można bez trudu. Jedynie młodzieży poniżej lat szesnastu nie wolno sprzedawać broni palnej. Z tym jednak nie ma kłopotu. Zawsze znajdzie się usługowiec, który za drobną opłatą załatwi sprawunek; może ją też kupić starszy wiekiem członek gangu. Kupuje się więc parę zwykłych pistoletów bębnekowych. Bardzo modne są pistolety maszynowe domowej roboty, sprzedawane „na lewo”. Choć prymitywnie zrobione, do załatwiania porachunków i innych akcji wystarczają. P»za tym noże. Z Niemiec Zachodnich importuje się duże ilości noży sprężynowych z doskonałej, słynnej solingenowskiej stali. Znajdują one w młodzieży masowych odbiorców. Można je nabyć w każdym niemal drugstorze lub sklepie z drobiazgami.

Po zaopatrzeniu się w broń następuje rozprawa. Dochodzi do strzelaniny; bitwa jak na froncie lub za czasów prohibicji. W efekcie są zabici i ranni. Gangi szybko zacierają ślady. Ofiarą padają również przechodnie. Walki gangów są zaciekle i bezwzględne.

Walki te nie wyczerpują bynajmniej repertuaru „działalności” gangów. Kiedy potrzebne są fundusze na amunicję, broń albo kino, wówczas zahartowani w bojach i przedsiębiorczy chłopcy robią „skok”. Najpierw na odludnej ulicy, w pobliżu swojej dzielnicy, bandycki debiut — pierwszy napad na samotnego przechodnia. Śmielsi idą do Central Parku. Mimo iż leży w sercu Manhattanu, znany jest jako teren zbójceckich wyczynów. Łatwo stąd uciec lub skryć się w krzakach. Policja niechętnie tam zagląda. Najprostszym sposobem zdobycia łupu jest wyrwanie torebki samotnej kobiecie. Następnie zaś napad na mężczyznę. Jeśli stawia opór, może się to dla niego skończyć tragicznie.

Wytrawny rzezimieszek unika wszystkiego, co może go zaprowadzić na fotel elektryczny, lecz chłopcy nie mają „wprawy” i rutyny-, strach i determinacja odbierają rozagę; kończy się więc strzałem lub ciosem żelaza w głowę.

Gangi organizują również napady na mieszkania. Najchętniej na zamieszkałe przez swych przeciwników lub na takie, w których spodziewają się znaleźć coś wartościowego. Chłopcy z gangów nie są jednak bandytami w całym tego słowa znaczeniu. Napad lub rabunek nie jest ich zawodem i źródłem utrzymania. Są to raczej chuligani, którzy, aby się „zabawić”, nie przebiegają w środkach. Często nawet nie zdają sobie w pełni sprawy ze stopnia przestępczości swoich wyczynów. Wreszcie oplakany finał — rozprawa sądowa i wyrok. Prawo amerykańskie jest nieubłagane.

Chuligańskich wybryków dopuszcza się młodzież nie tylko w gangach. Przeszłości popełniają również w dwójkę, trójkę lub nawet w pojedynkę. Czasem bandzie towarzyszy dziewczyna. Gdy są w dobrym „humorze” lub po paru „drinkach”, ot tak dla żartów, by zaimponować dziewczynie, zaczepiają przechodniów. Jeśli napadnięty nie ucieka, lecz usiłuje się bronić, mogą go nawet zabić. Później w sądzie będą się tłumaczyć, że stało się to „niechcący”. Nie ma w Nowym Jorku dnia, by ktoś nie został zamordowany tylko „dla zabawy”.

Innym z kolei rodzajem „rozrywki” jest kradzież samochodu. W 1958 roku w USA skradziono około 270 tysięcy samochodów. Młodzi złodzieje kradną wozy bynajmniej nie w celu ich sprzedaży czy przywłaszczenia. Chcą tylko pojeździć. Gdy kradzież się uda, wsiadają do wozu i zaczynają podróż. Jeżdżą zwykle tak długo, dopóki starczy benzyny. Potem samochód porzucają. Brak wprawy w prowadzeniu wozu i brawurowa jazda kończy się często rozbiciem wozu.

Mimo woli nasuwa się pytanie, dlaczego młodzież amerykańska, jakkolwiek żyje na ogół w dobrych warunkach materialnych, tak łatwo ulega demoralizacji.

Zwykle obwinia się - i chyba nie bez racji - rodziców za niewłaściwą metodę wychowawczą młodego pokolenia. Przykład wychowania wychodzi od rodzin inteligenckich. Rodziny robotnicze i emigranckie przejmują te wzory. Inteligencka rodzina robi jednak wysiłek, by wykształcić dzieci. W szkole średniej (*high school*) chłopak jest zajęty, i to nie tylko nauką. Bierze czynny udział w zawodach sportowych i rozrywkach organizowanych przez szkołę. Na uniwersytecie to samo. Potem się żeni - i tak oto „niebezpieczny wiek” ma już za sobą.

Nie jest to oczywiście reguła, chłopcy z rodzin inteligenckich i bardzo zamożnych również potrafią „rozrabiać”. Na ogół jednak wpływ otoczenia w tych sferach jest dostatecznie silny, by młodzieńca powstrzymać od wykołajenia. Poza tym młodzi Amerykanie, jak zresztą i starsi, są konformistami i cenią sobie wygodne życie. Znaczna część młodzieży daleka jest nawet myślami od chuligańskich ekscesów. Jest to młodzież poważna, dobrze wychowana, jaką spotyka się wszędzie. Widzi się ją w rodzinach robotniczych, farmerskich, inteligenckich i najzamożniejszych.

W rodzinach ubogich, robotniczych, emigrantów sprawa jest trudniejsza. Młodzież nie ma co robić, idzie więc do gangu, znudzona domem i niewzruszona przestrogi rodziców. Pozostawiona sama sobie, skazana na obojętność otoczenia. Jediną szansę wyżycia się widzi w gangu. Panuje tam zasada wrogości w stosunku do dorosłych. Rodzice czy policja, dla nich znaczy właściwie to samo.

Gang wypełnia młodym życie, zaspokaja niedosyt wrażeń i daje to, czego dotąd nie mieli - autorytet. W gangu bowiem trzeba słuchać „wodza”. Wymaga się oddania, wierności, poświęceń, odwagi. W zamian otrzymuje się: emocje, poczucie ważności, siły, bezpieczeństwa, uwielbienie dziewczyny, której chłopak z gangu najbardziej imponuje. Z pogardą odnoszą się do wszystkiego, co jest poza gangiem. Krótko mówiąc, gangi dają chłopcu w Ameryce to, czego nikt dotąd dać nie był w stanie. Gangi więc prosperują i — jak dotychczas — nie obawiają się konkurencji.

Chuligaństwo amerykańskiej młodzieży — a można to chyba przyjąć za pewnik — jest wynikiem nudy, monotonii życia, purytańskich obyczajów, hipokryzji, ogólnego zmaterializowania i niewłaściwych metod wychowawczych. Młodzież inteligencka szybciej przystosowuje się do przyjętego obyczaju; młodzież rodzin ubogich szamocze się, szuka i nie zawsze wybiera właściwą drogę, która, niestety, często prowadzi do więzienia.

W hiszpańskim Harlemie

W Nowym Jorku na 111 ulicy, we wschodniej stronie, mieszkają głównie Portorykańczycy. Dzielnicę tę nazywają hiszpańskim Harlemem. Nastrój panuje tu zupełnie inny niż w pozostałych rejonach tego gigantycznego organizmu miejskiego. Nieprzeliczone tłumy na ulicach. Chodniki i schodki przed domami nie pustoszeją nigdy, ani dniem, ani nocą. Dużo młodzieży, pięknych, śniadych dziewcząt; słysząc dźwięki gitar i akordeonów. Wydawać by się mogło, że domy stoją puste, a mieszkańcy dzielnicy wiodą swój skromny byt wyłącznie na ulicy. Nie słyszy się tutaj języka angielskiego; panuje tu wszechwładnie język Cervantesa. Również szyldy wypisane są przeważnie w języku hiszpańskim, a w małych sklepikach trudno dogadać się ze sprzedawcą.

Kiedyś wybrałem się na zwiedzenie tej dzielnicy, słynącej z rozpraw między gangami młodzieżowymi. Widowym znakiem ich obecności i działalności jest napis wymalowany czarną farbą na murze kamienicy — Am-basadors Territory. Teren „Ambasadorów” — suwerenne włości znanego gangu młodzieżowego. Napis spełnia funkcję nie tylko informacyjną, jest również ostrzeżeniem dla innych gangów, by nie zapuszczały się w te strony. „Ambasadorowie” mają opinię spokojnych. Nie tolerują tylko innych gangów, nie chcąc odpowiadać za ich czyny. „Ambasadorowie” pilnie strzegą swej dobrej opinii,

gdyż policja ma teraz na oku wszystkie gangi. Podczas spaceru zobaczyłem, jak prowadzono dwóch młodzieńców w kajdankach. Szli posłusznie ze zrezygnowanymi minami. Dowiedziałem się, że na terenie sąsiedniego gangu popełniono poprzedniego dnia morderstwo. Ci zaś aresztowani młodzieńcy byli właśnie podejrzani.

Znajdowałem się w samym sercu portorykańskiego getta, w dzielnicy zamieszkałej przez najuboższą ludność miasta. W Nowym Jorku mieszka 650 tysięcy Portorykańczyków, tych najbiedniejszych wśród biednych owej wielkiej metropolii. Według oficjalnej statystyki około 10 procent ludności Nowego Jorku nie zarabia nic lub tak mało, że nie może im wystarczyć na najelementarniejsze potrzeby. Pozostają więc zwykle na utrzymaniu opieki społecznej. Reszta zarabia, lecz niewiele. Cały dochód Portorykańczyków w Nowym Jorku jest szacowany na około 575 milionów dolarów rocznie. Od tej kwoty trzeba potrącić podatki w sumie około 90 milionów. Czysty dochód na głowę wyniesie wówczas zaledwie 700 dolarów rocznie. Ten nader niski poziom zarobków jest spowodowany wieloma względami. Brak kwalifikacji i zła opinia. Ponadto Portorykańczycy z trudem przyswajają sobie język angielski.

Właśnie w tej dzielnicy jest najwięcej młodzieżowych gangów, najwięcej napadów, morderstw i rabunków. Jest to dzielnica najbardziej zapuszczona, typowo slumsowa o starych zniszczonych domach, pozbawionych najbardziej elementarnych urządzeń sanitarnych. Portorykańczycy mieszkają tam ciasno sfłoczeni, po parę rodzin w mieszkaniu. Bieda rodzi tu przestępców - 22,3% wśród nieletnich i prawie tyle samo w odniesieniu do dorosłych, mimo że Portorykańczycy stanowią 7% ludności Nowego Jorku.

Żyją oni w ciągłym podejrzeniu, stale o coś oskarżani. Panuje opinia, że jeśli gdziekolwiek coś się stanie, winni są Portorykańczycy. Zwykle obwinia się ich nawet za przestępstwa popełniane przez gangi. Tyle się pisze na ten temat, iż mogłoby się wydawać, że to oni właśnie wynaleźli gangi. W San Juan, stolicy wyspy Puerto Rico, nikt jednak o gangach nie słyszał, nigdy ich tam nie było i nie ma nawet teraz. Przybysze z tej wyspy przejęli tylko nowojorskie zwyczaje, a właściwie zmusiły ich do tego społeczne i materialne warunki.

W 1928 roku ukazała się książka Herberta Asbury pt. „The Gangs of New York”. Autor stwierdza, że pierwszy gang w Ameryce został zawiązany już w 1825 roku, w pewnej gospodzie przy Center Street w Nowym Jorku. Był to gang dorosłych. Pierwsze młodzieżowe gangi zostały założone przez irlandzkich chłopców w końcu ubiegłego wieku, jako że właśnie Irlandczycy znajdowali się wtedy w sytuacji ekonomicznej zbliżonej do tej, w jakiej obecnie żyją Portorykańczycy.

Nie tylko irlandzka młodzież organizowała gangi. Mi-chael Gold, opisując swą młodość w książce pod tytułem „Jews without Money”, robi wzmiankę o żydowskich gangach młodzieżowych, działających we wschodniej części Manhattanu:

„Wschodnia strona była dla nas, dzieci, terenem wiecznej wojny, tak że samobójstwem było wyjść samemu gdzieś poza teren swego bloku”.

Gold opisuje własne przykre doświadczenie, gdy kiedyś nieopatrznie zapuścił się na teren sąsiedniego gangu:

„Napadli na mnie — pisze on — uzbrojeni w kije, kamienie i gumy. Bili pięściami i kopali. Uciekłem mając cztery dziury w głowie, podbite oczy i niezliczoną ilość sińców na całym ciele. Oczywiście, my robiliśmy im to samo”.

Emigranci żydowscy żyli wówczas w wielkiej nędzy, właśnie we wschodnich rejonach Manhattanu. Niedostatek i nędza były również udziałem Włochów i innych grup narodowościowych w pierwszych latach ich pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Dzisiaj walki między młodzieżowymi gangami nie są już prowadzone tak staroświeckimi metodami, jak to opisuje Gold. Kamienie, pałki i pięści wychodzą z użycia. Po drugiej wojnie światowej gangi młodzieżowe wyposażyły swój arsenał w broń palną. O broń było bardzo łatwo, każdy bowiem powracający z wojny żołnierz przywoził ze sobą „pamiątkę” w postaci samurajskich mieczy, bagnatów, pistoletów, granatów itp. Ta właśnie broń dostała się do rąk ich dzieci. Władze nie interesowały się tym, gdyż w Ameryce nie ma specjalnych ograniczeń posiadania broni. Dzieci portorykańskich emigrantów trafiły właśnie na okres, gdy młodzież odrzuciła kije i proce, a zaczęła swą okrutną zabawę z prawdziwą bronią palną.

Okazuje się jednak, że młodzi Portorykańczycy, powszechnie uważani za groźnych bandytów, łatwo się zmieniają, gdy ktoś się nimi zajmie. Jednym z najgroźniejszych gangów hiszpańskiego Harlemu był gang „Seneca”. Dzięki umiejętnym zabiegom i staraniom gang ten zaprzestał swej zbójckiej działalności i przekształcił się w klub towarzyski pod nazwą Manhattan Seneca Social Club. Dziś jest to

ośrodek życia kulturalnego ubogich emigrantów portorykańskich. Inny znów klub, który również powstał z gangu, nazywa się „The Enchanters”. Oba kluby zachowały dawne nazwy gangów.

Ponieważ Portorykańczycy nie cieszą się w Nowym Jorku dobrą sławą, w razie jakiegokolwiek wypadku policja aresztuje członków bardziej znanych gangów ze wschodniego Harlemu. Jednakże część Portorykańczyków opuściła już tę ponurą dzielnicę, inni stopniowo się z niej wynoszą. Nadejdzie dzień, gdy we wschodnim Harlemie nie pozostanie ani jedna portorykańska rodzina. Lecz przyjadą nowi emigranci, zajmą opróżnione slumsy i ci przejmą z kolei złą opinię — ludzi bardzo biednych. Będą gangi, bójki i napady na przechodniów. Wszystko zacznie się od nowa.

Chłopcy z Pensylwanii

Zbrodnię popełniono w gospodzie w Faterville, w stanie Pensylwania, na trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia. Tego wieczoru w gospodzie było osiemnaście osób. Przy barze stali goście i małymi łykami popijali piwo. Rozmawiali ze sobą i pokrzykiwali do Allena Hellermana i Edwarda Wunscha, pochłoniętych grą w bilard w sąsiednim pokoju. Właściciel gospody, John Naysmith, stał za barem i śledził uważnie, by klientom niczego nie brakowało. Jego żona Florencja znajdowała się w kuchni.

Około wpół do dwunastej w nocy przed gospodą zatrzymał się samochód. Naysmith wyrzął przez okno i zobaczył, że wyskoczyło z niego trzech młodzieńców. Byli to: David Darcy, Harry Zeitz i Harold Foster. Czwarty z nich, Felix Capone, który prowadził wóz, pozostał w nim.

Trzej młodzi ludzie weszli do gospody. Rozejrzeli się, uśmiechnęli, a potem nagle wyciągnęli rewolwery. Darcy krzyknął — Nie ruszać się z miejsc... ręce do góry! Zeitz podszedł do kasy i wyjął z niej 70 dolarów. Następnie Darcy kazał wszystkim ustawić się w szeregu z rękami podniesionymi do góry, a Foster i Zeitz zaczęli przetrząsać kieszenie. Zabierali portfele, zegarki, a z palców ściągali złote ślubne obrączki. Jeden z gości nie miał przy sobie ani centa. Darcy uderzył go w twarz - Żebyś wiedział na przyszłość, że należy z sobą zawsze nosić pieniądze...

Potem wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie Hellerman i Wunsch stali z podniesionymi rękami. - Oddawać portfele, zegarki i to, co macie cennego! — Posłusznie oddali. Darcy strzelił raz, a potem drugi. Hellerman, trafiony w szyję, zwałił się na ziemię. Wunscha kula ugodziła w ramię. Usiadł na podłodze i zaczął głośno jęczeć. Darcy podszedł do niego — Cicho psie... bo cię dobiję — i kopnął go boleśnie. Wunsch zamilkł. Darcy zbliżył się z kolei do leżącego Hellermana i też go kopnął. Do pokoju wszedł Zeitz. — On chyba nie żyje? — rzekł na widok Hellermana. — Darcy zaśmiał się. — Nie myślałem, że tak celnie strzelam., no, chłopcy, znikamy...

Hellerman nie zmarł, ale na całe życie został sparaliżowany.

Darcy i Zeitz wrócili do głównej sali, gdzie Foster jeszcze przeszukiwał kieszenie stojących pod ścianą gości. Darcy strzelił dwa razy w telefon. — Aby ci tylko żadne głupie pomysły nie przyszły do głowy — rzucił gospodarzowi. — Jedziemy chłopaki... wesolych świąt! — krzyknął do zebranych. Wyszli przed gospodę, a potem podeszli do samochodu.

Zeitz i Foster wsiedli, Darcy jeszcze stał i obserwował gospodę. W tej chwili otworzyły się tylne drzwi budynku i wybiegła z nich kobieta. Chciała dostać się do hotelu, stojącego po przeciwnej stronie asfaltowej szosy. Za nią biegło dwóch mężczyzn — William Kelly i Frank Walter. Darcy zmierzył i strzelił dwa razy. Kelly zwałił się śmiertelnie trafiony. Walter i kobieta cofnęli się szybko do gospody. Darcy zaśmiał się. — Teraz nie odważą się już wychylić nosa... — Wsiadł do samochodu. — Jedź do Filadelfii! — rozkazał. Capone włączył motor.

Pod miastem zatrzymał ich patrol policyjny. Przypuszczali, że to zwykła kontrola i nie stawiali oporu. Kiedy jednak zatrzymano ich na posterunku w Filadelfii, przyznali się do wszystkiego, nie próbowali się nawet wypierać. Tłumaczyli się, że bardzo potrzebowali pieniędzy na święta. Darcy, zapytany, dlaczego strzelał do Hellermana i Wunscha, gdy ci posłusznie oddali swoje portfele, nie umiał odpowiedzieć. Potem dopiero wyjaśnił swój postępek. — Nigdy nie strzelałem do ludzi... chciałem wiedzieć, jakie to robi wrażenie...

Przewód sądowy ujawnił całą przeszłość tej grupy. Chłopcy — jakich tysiące — wychowani w gangach, żyjący z dnia na dzień, bez określonego celu, bez żadnych ambicji życiowych. Myśleli tylko o jednym, w jaki sposób uprzyjemnić sobie życie. Trzech z nich ukończyło nawet szkołę średnią.

Poznali się przypadkowo w Filadelfii na ulicy. Chcieli razem spędzić święta, gdyż zdążyli się już zaprzyjaźnić, lecz potrzebowali na to pieniędzy. Darcy zaproponował więc wypad. Mieli już zaprawę, nie uważali nawet, że to coś złego. Poza tym właśnie na parę dni przed napadem postanowili kategorycznie zerwać z dotychczasowym trybem życia. W ten sposób chcieli niejako „uczcić” pożegnanie z

gangsterskim życiem. Miał to być ich ostatni „skok”.

Foster zamierzał ukończyć wakacyjną szkołę, która utorowałaby mu drogę do marynarki wojennej. Jego ojciec, robotnik fabryczny, nie był człowiekiem zamożnym, mimo to — w drodze niewątpliwych wyrzeczeń — dał dzieciom średnie wykształcenie. Z decyzji syna był bardzo zadowolony.

Ojciec Zeitza był dobrze zarabiającym majstrem w fabryce. Stać by go nawet było na opłacenie uniwersytetu. Chłopak jednak o dalszej nauce nie chciał nawet słyszeć; wolał wałęsać się i żyć wśród gangu. Ostatnio jednak pod wpływem Fostera również postanowił wstąpić do marynarki.

Najmniej możliwości miał Capone. Był synem biednych emigrantów włoskich, którzy nie znali nawet języka angielskiego i z trudem zarabiali na życie. Felix Capone skończył zaledwie parę oddziałów szkoły podstawowej, tak iż jego wykształcenie ograniczało się właściwie do umiejętności pisania i czytania.

Darcy był synem woźnego w magistracie miasta Filadelfia. Chociaż stosunki w rodzinie nie układały się najlepiej, ojciec jednak dbał o wykształcenie dzieci. Miał ich sześcioro. Jedna z córek została aktorką, druga śpiewaczką, trzecia studiowała na uniwersytecie historię sztuki. Dwaj synowie okazali się niegorsi — jeden był dentystą, drugi studiował prawo. David Darcy nie ukończył nawet średniej szkoły. Za namową Fostera i on postanowił zostać marynarzem.

Jeden wieczór przekreślił wszystkie te plany. Chłopcy za swój czyn stanęli przed sądem. Wyrok był surowy. Capone dostał karę dożywotniego więzienia, trzech pozostali karę śmierci. Wyrok jednak nie został wykonany. Chłopcy znaleźli jakichś możliwych protektorów, którzy podjęli się ich obrony. W grę weszły nawet polityczne względy. Toczyły się zakulisowe walki, ścierały wpływy. Istnieją czynniki, które chętnie korzystają z każdej okazji, by utracić swoich przeciwników lub zdobyć popularność. W rezultacie Darcy skazany został na karę dożywotniego więzienia, a trzech jego kompanów uniewinniono. Dziś są spokojnymi i pracowitymi ludźmi. Tak się zakończyła historia czterech chłopców z Pensylwanii, nadzwyczaj dla USA typowa.

„Beat Generation”

Po raz pierwszy „beatnika” zobaczyłem na nowojorskiej ulicy. Młody, chudy i bardzo owłosiony. Ubrany był dziwacznie. Brudne drelichowe spodnie, rozchełstana koszula. Na nogach miał gumowe buty z cholewami do połowy łydek. Szedł z dziewczyną w połatanej kwiecistej spódnicy, poplamionym swetrze i w czarnych pończochach. Patrzyłem ze zdumieniem na jej włosy w nieładzie, świecące od potu. Amerykanki są zwykle starannie ubrane i uczesane. Oglądałem się więc za nimi, jak zresztą wszyscy. Powiedziano mi, że to beatnicy. Coś jakby europejscy egzystencjaliści, ale niezupełnie. Można im się przyjrzeć w dolnej części Nowego Jorku, w Greenwich Village, dzielnicy artystycznej cyganerii, malarzy, przeróżnego gatunku kabotynów, próżniaków, poetów, beatników, homoseksualistów i kobiet szukających łatwego zarobku lub wrażeń.

Greenwich Village różni się wyglądem od innych dzielnic miasta. Tylko tam można znaleźć zaciszne kawiarenki, lokale dancingowe, restauracyjki dla smakoszy. Nowojorski Montparnasse. Stroje zbliżone do europejskich, nie tak standardowe. Atmosfera swobodna, pozbawiona sztywności, zupełnie nieamerykańska. W tej to dzielnicy gromadzą się beatnicy.

Prawdziwi beatnicy to młodzież buntująca się przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Walczą z tym systemem życia, jaki stara się im narzucić społeczeństwo, z konwenansami i tradycją. Nie chcą być uprzejmi, poprawni, dobrze wychowani. Nie uznają małżeństwa, polityki, banków, kas oszczędności i uniwersytetów. Uważają, że życie nie powinno być jak „automatyczna pralka”. Ale jak ma wyglądać, nie mówią; być może nie wiedzą tego. Oni odkryli istotny sens życia, tak przynajmniej twierdzą; wszystkich innych traktują z pobłażliwą wyniosłością. Nie chcą się „zniżyć” do poziomu „tłumu”, aby propagować i wyjaśniać swe cele i zasady. Uznali za prostsze odsunąć się, a swoje idee manifestować ubiorem, wyglądem zewnętrznym i zachowaniem. Wypowiedzieli walkę stereotypowej i uświęconej zwyczajem egzystencji. Bojkotują społeczeństwo, które nie ma zamiaru ich naśladować. Uważają, że jest ono schorzone, płytkie i nie rozumie sensu życia. A zatem należy się od niego separować.

W gruncie rzeczy beatnicy nie są niczym nowym. Ameryka miała i poznała już najróżnorodniej sze odmiany oryginałów-nierobów. Byli więc dadaiści, którzy znikli bez śladu, byli anarchiści, a od wieku znana jest powszechnie sylwetka pijaka-buma, typowego dla wszystkich miast amerykańskich. Poza tym masy trampów, artystów-neurasteników i przeróżnych dziwaków, których zawsze ignorowano. Natomiast beatnicy wzbudzają ciekawość. Dla amerykańskiego filistra-mieszczucha beatnik-abnegat jest czymś niepojętym. Zrozumieć nie są w stanie, że mogą być ludzie nie pragnący lodówki, obojętni na uroki Cadillaca. Budzą więc ogólne zgorszenie, ale i zainteresowanie. Tłumy Amerykanów ciągną do Greenwich Village, by przyjrzeć się z bliska tym osobliwym brodaczołom. Dbali o reklamę właściciele

kawiarenek, ściągają do siebie beatników. Z dobrze skalkulowaną hojnością częstują ich darmo kawą, oni zaś „w zamian” deklamują wiersze lub po prostu „wygłupiają się”. Krążą poza tym szeroko wieści, że beatnicy to groźni kobieciarze, co dla skromnych purytanów - szczególnie dla kobiet - stanowi prawdziwą sensację. Przychodzą więc, by przynajmniej popatrzeć.

Beatniczek jest stosunkowo mało. Kobiety nie lubią niechlujnie wyglądać. Nie lubią cygańskiego życia. W Greenwich Village przeważają „pokazowe” beatniczki, które pozują na beatniczki oryginalne. Również dużo jest tak zwanych „weekendowych beatników”, młodzieńców, którzy snobują się w beatnikowskim stylu bycia, jakkolwiek na co dzień żyją i pracują jak normalni śmiertelnicy amerykańscy. Jedynie w sobotę przebierają się w niechlujne ubrania, by w Greenwich Village zaimponować turystom. W rzeczywistości większość beatników to przeróżne nieroby, pijacy i wydrwigrosze. Cała ta zblazowana hałastrza przybrała beatnikowskie maniery, by tym łatwiej żerować na naiwności turystów i szukających przygód kobiet. Tyczy się to także bladych i posępnych dziewcząt wprawiających w podziw otoczenie swoim ekstrawaganckim zachowaniem. Pełno ich w caffeteriach i restauracyjkach. Te „zadumane” dziewczęta, tak pesymistycznie i sceptycznie zapatrujące się na życie, w gruncie rzeczy pragną tylko rozrywki i czekają na miłosną przygodę z zamożnym turystą.

W środowisku tym roi się od wszelkiej maści wykolej ęńców. Są więc poeci, których wierszy nikt nie czyta, powieściopisarze nie umiejący pisać, „niezrozumiani malarze” i aktorzy wyróżniający się brakiem talentu. Młodzież zawiedziona, której kiedyś śniły się wielkie artystyczne kariery, sława i pieniądze zdobyte bez większego wysiłku. Cała ta czereda krąży dokoła paru poetów z prawdziwego zdarzenia. „Beatnikowscy” poeci tym się odznaczają, że są zajęci wyłącznie sobą; skarżą się na społeczeństwo, że ich nie rozumie.

Założycielami ruchu beatników w Ameryce było dwóch młodzieńców: Jack Kerouac i Allen Ginsburg. Pierwszy rzucił hasło „bitej generacji”, tzw. *beat generation*, rozczarowanej po drugiej wojnie światowej. Jack Kerouac jest Amerykaninem francuskiego pochodzenia. W czasie wojny służył w piechocie morskiej, a po wyjściu z wojska rozpoczął studia na uniwersytecie Columbia, gdzie wyróżnił się... grą w piłkę nożną. Wkrótce jednak porzucił studia, twierdząc, że to nie ma sensu, i wziął się do pracy zarobkowej. Najpierw na stacji benzynowej, potem jako sprawozdawca sportowy, konduktor, marynarz na statku handlowym i kelner. Przez jakiś czas był trampem i wędrował bez grosza w kieszeni po kraju. Owocem tej włóczęgi była doskonała książka pt. „On the Way”, uznana swego czasu za *bestseller*. W pewnym wywiadzie prasowym oświadczył, że pisząc ją nigdy nie poprawiał ani jednego zdania. Złośliwi krytycy napisali, że to widać i że nie potrzeba tego mówić. Niemniej książka miała ogromne powodzenie i dla beatników stanowi coś w rodzaju Biblii. Kerouac osiadł w końcu w San Francisco, gdzie do dziś patronuje miejscowym beatnikom. W sumie napisał dwie powieści i trochę wierszy. Treścią drugiej książki — „The Dharma Bums” — jest życie pijaków-nierobów, tzw. bumsów, lecz ta nie miała już takiego powodzenia.

Drugim znanym i uznanym „prorokiem” beatników jest Allen Ginsburg, 33-letni poeta. Jest bardzo poczytny i tom jego poezji, pt. „Howl and other Poems”, rozszedł się w nakładzie trzydziestu pięciu tysięcy. Jak na Amerykę jest to nakład olbrzymi. Autor głosi zasadę, że ruch beatnikowski jest „religią” i że tylko abnegacja może człowieka napełnić uczuciem absolutnej błogości. Ginsburg, znany narkoman, pali marihuanę i prowadzi kampanię na rzecz swobodnego handlu narkotykami, dowodząc, że konstytucja gwarantuje wolność we wszystkich dziedzinach. Bardzo lubi ekstrawaganckie popisy. Kiedyś, w jakiejś kawiarence w San Francisco, Ginsburg deklamował swoje wiersze. Ktoś z publiczności, do którego najwidoczniej poezja Ginsburga nie przemówiła, zapytał autora, co znaczy to wszystko i co poeta chciał wyrazić w swych wierszach.

- Nagość — odpowiedział Ginsburg.

- Co to znaczy nagość... nic z tego nie rozumiem?

Ginsburg w odpowiedzi zaczął się rozbierać i stanął nagi wśród licznej publiczności.

Beatnicy mają swoje hobby: recytują publicznie swoje i innych autorów wiersze, przeważnie bardzo wątpliwej wartości. Nocne lokale, dancingi, przeróżne „piwnice” — oto ulubione miejsca ich popisów. Postacie beatników zaczynają pojawiać się w literaturze i filmie. Melodramat radiowy „Helen Trent” wprowadził beatników na scenę. W filmie „The Beat Generation” beatnicy są pokazani jako kobieciarze. Jakkolwiek ruch beatnikowski jest ośmieszany, to jednak rozszerza się. Jest sporo młodzieży, której szablon codziennego życia stał się nie do zniesienia; młodzi nie chcą być konformistami. Niemal na każdym uniwersytecie istnieje klub beatników. Noszą brody, jak ich koledzy z Greenwich Village, są tak samo niechlujni i tak samo trawią czas na jałowych dyskusjach. Wszyscy jednak hołdują całkowitej abnegacji. Byle jaka odzież, w mieszkaniu materac na ziemi, stołek, patefon lub bęben, i właściwie to wszystko. Jest w tym dużo snobowania się na niechlujstwo lub nędzę.

Ruch beatnikowski jest bardzo popularny na Środkowym Zachodzie i na południu Stanów Zjednoczonych. Wieczorem na ulicach Atlanty, Charlestonu czy Nowego Orleanu słyszy się często bębny — bongo, instrument beatników. W dość licznych lokalach beatnikowskich pełno niechlujnie ubranej młodzieży pijącej wódkę i tańczącej ze swymi „kociakami”. Pozują na beatników; oryginalni są tylko w Nowym Jorku, San Francisco i Los Angeles.

Beatników nikt nie traktuje poważnie. Zbyt dużo w nich pozy, zwykłego kabotyństwa. Twierdzą, że w ten sposób protestują. Nie wiadomo tylko przeciw czemu. Nie są w stanie sformułować swych celów i dążeń. Są niepoważni, karykaturalni i śmieszni. Cała ich działalność ogranicza się w zasadzie do nie kończących się dysput, nie zawsze sensownych. Najbardziej charakterystyczną cechą beatników jest ekshibicjonizm. Głównie absorbują ich sprawy seksualne, a propagowanie rozwiązłości przysparza im „wyznawców”.

Dr Francis J. Ringey, psychiatra z San Francisco, twierdzi, że około 60 procent beatników jest psychopatami, niezdolnymi do życia w normalnym społeczeństwie i jakiegokolwiek systematycznej pracy. Z pozostałych 40 procent połowa znajduje się na skraju utraty równowagi życiowej, a tylko 20 procent to normalni ludzie, którzy będą mogli powrócić do życia i codziennych obowiązków.

Młodość w Ameryce trwa krótko. Młodzież szybko kończy swój beztroski żywot, przejmuje obowiązki i staje się filistrami. Przezorny młodzieniec już na uniwersytecie ubezpiecza się na życie i myśli o rencie. Zakłada konto w kasie oszczędności i zaczyna odkładać dolary. Nie ma czasu na zabawy, flirty, miłości. Małżeństwo, dzieci, praca, obowiązki. Trzeba się szybko piąć do góry. Nie ma czasu myśleć, że jest się jeszcze młodym. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Po filistersku upływają „chmurne i górne” lata amerykańskiej młodzieży, tej solidnej, mieszczańskiej i rokującej nadzieje. Przeciwno temu buntują się beatnicy. Zresztą nie tylko oni przeciwstawiają się materializmowi, konformizmowi i rezygnacji z uroków młodości. Lecz właściwie tylko beatnicy mają odwagę głośno protestować i potępiać to, co uważają za złe, jakkolwiek czynią to w sposób śmieszny i naiwny. Są jednak młodzi, a młodzież bardzo różnorodnie manifestuje swój protest czy pogardę. Dla realizacji swych pragnień szuka ujęcia. Szuka go wśród beatników, w gangach, w chuligańskich wybrykach. Gdy napotyka zaporę, wówczas szumi, burzy się i przelewa.

Młodzież miejska i dzieci farmerów

W czasie drugiej wojny światowej i później, podczas wojny koreańskiej, pojawiły się w armii amerykańskiej niepokojące symptomy. Żołnierze załamywali się psychicznie, i to do tego stopnia, że tracili zupełnie zdolność nie tylko do dalszej walki, lecz w ogóle do służby wojskowej. Stało się to zjawiskiem masowym. Dowództwo armii amerykańskiej zostało zmuszone do utworzenia nowej, specjalnej służby zdrowia zajmującej się schorzeniami natury psychicznej. Lekarze i naukowcy, mimo licznych badań, nie znaleźli środka zaradczego ani faktycznej przyczyny tego stanu rzeczy. Amerykański uczony A. Ginzburg napisał na ten temat dwutomową pracę pt. „The Ineffective Soldier” („niesprawny” lub „bezwartościowy” żołnierz).

Opisując fakty psychicznego załamywania się żołnierzy, Ginzburg zwraca uwagę na pewien ciekawy szczegół. Okazało się bowiem, że na stu takich żołnierzy 60 pochodziło ze wsi, a 40 z miasta. Biorąc jednak pod uwagę bardzo niski w USA procent ludności wiejskiej (około 16-20 procent), łatwo dojść do wniosku, że wśród ogółu amerykańskich żołnierzy pochodzenia wiejskiego odsetek pozbawionych odporności psychicznej jest wyjątkowo duży. Ponadto autor, opisując fizyczne warunki żołnierzy, stwierdza, że rekruci pochodzący ze wsi są na ogół o wiele gorzej rozwinięci niż ich koledzy pochodzący z miasta.

Opisane zjawisko? w dziele Ginzburga zwróciły uwagę na niezwykle w USA proces „niewieścienia” młodzieży, szczególnie ostro zarysowujący się wśród młodzieży wiejskiej. Jest to tym dziwniejsze, że wszędzie, na całym niemal świecie, młodzież wiejska odznacza się dużą tężyzną fizyczną i silną odpornością psychiczną. W Stanach Zjednoczonych jest na odwrót.

Warunki, w jakich żyje społeczeństwo amerykańskie, uległy w ciągu ubiegłych trzydziestu lat bardzo dużym zmianom. Dotyczy to zarówno warunków życia w mieście, jak i na wsi. Przede wszystkim pojęcie wsi stało się tam bardzo względne. Postęp wprowadził na farmy wszystkie miejskie wygody i ułatwił pracę. Wieś starego typu istnieje jeszcze tylko na Południu; jest to wieś biednych, zacofanych małych farm murzyńskich. Stanowi to jednak wyjątek. Różnice w warunkach bytowych wsi i miasta nie są w USA zbyt wielkie.

Jeszcze trzydzieści lat temu właśnie chłopcy miejscy nie byli należycie rozwinięci fizycznie, a tak zwany *si-ssie*, czyli maminsynek, był typowym wytworem ówczesnego miasta. Chłopcy z miast stanowili obiekt

ciągłych żartów młodzieży wiejskiej, która naigrawała się z ich nieporadności i fizycznych ułomności. Wzrastająca w trudniejszych warunkach młodzież farmerska była świetnie rozwinięta fizycznie i zaprawiona do ciężkiej pracy. Syn farmera od wczesnego dzieciństwa musiał pomagać rodzicom, i to właśnie stanowiło zasadnicze źródło tężyzny fizycznej i psychicznej.

Czasy się jednak zmieniły, a wraz z nimi warunki. Dziś tężyzna fizyczna zamieszkała w mieście, a chęć i zniechęcałość na wsi. Nie są to tylko wyniki obserwacji, która może okazać się zawodna lub mało obiektywna. Jest to sprawa ogólnie znana i coraz bardziej zaprzatająca umysły amerykańskich socjologów.

Zniechęcałość wśród młodzieży męskiej w Ameryce występuje również i w miastach, jednak *sissie* częściej spotyka się na farmach. Przyczyny tego stanu są bardzo różnorodne: „zmieszczanie” farmerów, wygodne życie i daleko posunięta mechanizacja rolnictwa. Praca na farmie nie wymaga już wysiłku mięśni, a pomoc dzieci jest zbędna. Jeśli nawet wypadnie przy czymś pomóc, to praca ta jest lekka. Obecnie młodzi mieszkańcy miast mają lepsze warunki rozwoju fizycznego niż dawniej miała młodzież wiejska. W szkołach miejskich duży nacisk kładzie się na rozwój fizyczny, a poza tym działają tu liczne kluby sportowe i organizacje młodzieżowe. Na wsi tego nie ma. W szkołach wiejskich — zgodnie z tradycją — nawet gimnastyka traktowana jest po macoszemu. Dopiero w ostatnich czasach zaczęto wprowadzać do wiejskich szkół wychowanie fizyczne dla młodzieży farmerskiej.

Oczywiście nie wszystka młodzież w miastach może korzystać z klubów sportowych i ma dostęp do boisk. I tu rzecz trzeba na pochwałę gangów, że to one ratują pod tym względem sytuację i spełniają pozytywną rolę. Młodzież robotnicza, która ma utrudniony dostęp do klubów sportowych, wstępuje do gangów i tam się wyżywa, nabierając sprawności cielesnej. Jakkolwiek wypadło tu nam przypisać gangom pewne zasługi, to nie sposób jednak pominąć jak najbardziej szkodliwego ich wpływu na poziom etyczny młodzieży. Rozwojowi fizycznemu towarzyszy deprawacja moralna.

Dzieci farmerów, mimo dobrobytu, żyją samotnie, jak gdyby w pewnej izolacji od życia, wzrastając pod czułą opieką matczyną, nie znając i nie przeczuwając licznych i niebezpiecznych miazm życia. Rodzice starają się je ustrzec przed pracą i jakimkolwiek wysiłkiem. W rezultacie wyrastają zniechęceni i nieporadni życiowo ludzie. Młodzież wiejska niewiele nawet obcuje z naturą. Prowadzi typowo mieszczańskie życie, obojętne na urok otaczającego ją świata. Dawniej poprzez pracę wchodziła mimo woli w ścisły kontakt z przyrodą. Dziś postęp techniczny zerwał ten kontakt. Na wsi nie ma organizacji młodzieżowych, które by skierowały zainteresowania młodzieży w tę właśnie stronę. Ale nie ma też i gangów. W miastach jest ruch harcerski, organizacja „Audobon” i wiele innych, których celem jest poznawanie przyrody. Dziś młodzież miejska lepiej zna przyrodę niż młodzież wiejska, lepiej umie z nią współżyć i lepiej ją rozumie.

Nie dziwny się więc, że zniechęcałość czyni na farmach coraz większe postępy. System wychowania dzieci pogłębia ten proces. Młodzież wychowana w cieplarnianych warunkach, gdy znajdzie się nagle w trudniejszej sytuacji, łatwo się załamuje.

Należy tu odnotować pewne pozytywne zjawiska. Otóż podejmowane są próby wyjścia z istniejącego impasu. Dla młodzieży wiejskiej utworzono organizację pod nazwą Klubów 4-H. Skupia ona około dwóch milionów członków. Kluby te mają jednak utrudnione działanie, gdyż młodzież, jakkolwiek formalnie zrzeszona, udziela się mało i raczej stroni od życia towarzyskiego. Nie przywykła do niego jeszcze, trzeba więc sporo czasu, zanim życie społeczne na wsi nabierze rozmachu miejskiego.

Zniechęcałość zaczyna się jednak wciskać i do miast. Brak pewności siebie, asekuranctwo, lęk przed jakimkolwiek ryzykiem opanowują mentalność współczesnego Amerykanina. Twardy, zdobywczy typ pioniera stał się mitem, postacią znaną już tylko z książek lub filmów.

Życie dawno wyrugowało go ze społeczeństwa i zastąpiło zniechęcałym, nieco śmiesznym mieszcuchem.

Zdobywanie Zachodu

Już od początku XVIII wieku purytanie, usadowieni nad brzegami Atlantyku, bardzo żywo interesowali się resztą kontynentu. Pojęcie o nim mieli jednak niewielkie. Wiadomości czerpano głównie od Indian lub od kupców, którzy utrzymywali z czer-wonoskórými kontakty handlowe. Zachód kusił i nęcił wszystkich, lecz angielska administracja powstrzymywała te zapędy. Anglicy starali się za wszelką cenę unikać konfliktów z Indianami, jak również zatargów z Francją. Wbrew jednak zakazom i nie bacząc na ryzyko, ładowne wozy pionierów, zaprzężone w woły, często przebywały łańcuchy górskie Appalachów. Tam, na żyznych równinach, na ziemi kupionej od Indian za grosze, zakładano farmy. W ciągu osiemnastego wieku poszukiwacze przygód i urodzajnej ziemi dotarli aż do brzegów Missisipi. W okresie wojny o niepodległość na terenach tych osiedliło się tak wielu amerykańskich farmerów, że cały ten obszar bez trudu został przyłączony do Stanów Zjednoczonych.

W podobny sposób odbywało się również zajmowanie innych terenów. Osadnik amerykański był głównym zdobywcą terytoriów dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. On pierwszy obejmował kraj w posiadanie. Dopiero po nim zjawiały się władze i przedstawiciele Waszyngtonu, którzy przeprowadzali formalnie to, co osadnicy już dokonali.

W początkach XIX wieku Amerykanie znaleźli się w posiadaniu ogromnych obszarów. Ich zachodnie granice opierały się o Missisipi, a północne o Wielkie Jeziora. Mimo to głód ziemi się potęgował, lecz szczególnie dotkliwie dawał się odczuć brak dobrych pastwisk dla hodowli bydła. Łakomie więc spoglądano na leżące w sąsiedztwie obszary, zwłaszcza zaś na posiadłości hiszpańskie. Teksas był wtedy prawie niezamieszkałym i dzikim krajem. Koczowało tam jedynie trochę Indian i pasły się olbrzymie stada mustangów i bizonów. Już w 1820 roku Amerykanie zwrócili na ten kraj uwagę. Wówczas to u hiszpańskiego gubernatora w San Antonio (obecnie Alamo) zjawił się Janes Moses Austin i zaproponował osadnictwo amerykańskich farmerów na preriach teksaskich. Hiszpanie zgodzili się, lecz śmierć Austina pokrzyżowała te plany.

W 1821 roku Teksas przeszedł pod władzę Meksyku. W tym samym roku przybył do Meksyku syn Austina, by zrealizować pomysł swego ojca. Młody ten, lecz przedsiębiorczy mężczyzna, dziennikarz, kupiec i sędzia w jednej osobie, postanowił zarobić na osadnictwie. Meksykanie nie robili trudności, zawarł więc z nimi umowę, na mocy której Amerykanie mogli nabywać ziemię po 12 centów za akr. Austin zaś miał otrzymywać za pośrednictwo prowizję w wysokości 67 tysięcy akrów za każde dwie setki amerykańskich rodzin osadzonych w Teksasie.

Austin zabrał się do dzieła z dużym rozmachem. Zaangażował dziesiątki agentów i rozpoczął hałaśliwą kampanię reklamową. Do 1831 roku osiedliło się w Teksasie 5 700 osadników. Zachęceni klimatem i niską ceną ziemi, napływali dalsi Amerykanie; Austin szybko stał się milionerem.

W Meksyku nie spodziewano się aż tak wielkiego napływu osadników. I gdy się »spozstrzeżono, Teksas właściwie był już anglosaski i władza Meksyku nad tym krajem miała już tylko charakter formalny. Na przeciwstawianie się było już za późno. Spróbowano jednak. Wydano więc zarządzenie wstrzymujące dalszy napływ Amerykanów i zniesiono niewolnictwo. W ten sposób zamierzano zadać cios kolonistom. Nowo założonym plantacjom bawełny groziła ruina. Aby temu zapobiec Austin udał się do stolicy Meksyku. Nic jednak nie wskórał. Po jego powrocie amerykańscy osadnicy rozpoczęli powstanie i rozgromili meksykańskie garnizony. Na czele powstańców stanął Houston, dzielny, choć nieco dziwny człowiek, a właściwie typ awanturnika, licznie reprezentowany wówczas w Stanach Zjednoczonych. Jako chłopiec uciekł z domu i przez wiele lat żył wśród indiańskiego szczepu Czirokezów. „Zindiamzował” się i dosłużył nawet wysokich godności szczepowych. W tym okresie kilkakrotnie walczył przeciw Amerykanom. Potem nieoczekiwanie powrócił do cywilizacji białych i został wybrany gubernatorem stanu Tennessee. W 1832 roku prezydent Jackson wysłał go na granice Teksasu dla przeprowadzenia pertraktacji z tamtejszymi Indianami. Kraj ten jednak tak mu się podobał, że postanowił tam zamieszkać.

Gdy rozpoczęła się walka, stanął na czele „powstańców” i „ochotników”, którzy pospieszyli ze Stanów Zjednoczonych z pomocą osadnikom. Słaba i źle uzbrojona armia meksykańska została rozbita pod San Jacinto, a jej wódz i jednocześnie prezydent państwa, Santa Anna, dostał się do niewoli. W wyniku zawartego pokoju Teksas został ogłoszony niepodległym państwem, a w dziewięć lat później, w 1845 roku, przyłączył się do Stanów Zjednoczonych jako 25 stan.

W 1820 roku Joseph Smith, czternastoletni mieszkaniec miasta Palmyra w stanie Nowy Jork, powróciwszy ze spaceru oświadczył rodzicom, że spotkał... Pana Boga. W trakcie tej rozmowy Bóg zlecił mu pewną misję, która miała jednak pozostać jakiś czas w tajemnicy. W 1830 roku Smith ogłosił, że na osobiste polecenie boskie zakłada sektę pod nazwą Kościół Jezusa Chrystusa i Świętych Dnia Ostatniego. Zwano ich powszechnie mormonami od nazwiska jednego z „proroków” - Mormona.

Wkrótce Smith znalazł licznych współwyznawców. Kle byli jednak lubiani; ze szczególną antypatią odnoszono się do icii wielożęstwa, poza tym odznaczali się wyjątkową uczciwością (przez religię im nakazaną). Krwawe porachunki z sąsiadami w miastach zamieszkałych przez mormonów były na porządku dziennym. Nienawiść do nich tak wzrosła, że zmuszeni byli przenieść się do Ohio i Missouri, gdzie założyli kilka miasteczek. Lecz i tam nie zagrzali długo miejsca. Oburzona ich postępowaniem ludność wymogła na gubernatorze wygnanie sekciarzy. Przenieśli się wówczas na Północ i nad brzegami Missisipi zbudowali w dziewiczym terenie miasto Nauvoo. Miasto miało brukowane ulice i murowane domy. Ściągnęli tam jednak inni osadnicy, tak iż wkrótce mormoni znaleźli się znów w mniejszości. Zaczęły się zatargi i na ulicach Nauvoo zaczęto coraz częściej znajdować zasztyletowanych ludzi. W czerwcu 1844 roku „prorok”, oskarżony o organizowanie tych morderstw, został aresztowany i osadzony w więzieniu w Carthage. Niebawem po aresztowaniu podekscytowany tłum dokonał na nim linczu.

Następcą Smitha został Brigham Young. Nowy „prorok” powziął szalony plan. Kazał mianowicie wszystkim mormonom porzucić swój dobytek i zabrać ze sobą tylko tyle, ile można unieść na plecach lub przewieźć w ręcznym wózku. Ci, co mieli konie lub woły, mogli oczywiście wyładować wozy. Mieli udać się na zachód, do „ziemi obiecanej”, w okolicy odludne i trudno dostępne. Piętnaście tysięcy mormonów posłusznie wykonało polecenie. Opuszczono domy, farmy i sklepy. Po trzech latach wędrówek niespełna połowa dotarła w 1847 roku do wielkiego jeziora, które nazwali Słonym (ze względu na jego słone wody). Young uznał to miejsce za bardzo dogodne. Odległość i górzysty teren miały ich chronić przed przybyszami i zapewnić spokój. Wzięli się do pracy. W ciągu czterech lat zbudowali miasto Salt Lake City, odwodnili tereny i bagniste „piekło Utah” zamienili w kwitnące ogrody.

Niestety, nie tylko pracą się wstawili — również najcięższe zbrodnie nie były im obce. Po przybyciu do Utah weszli natychmiast w kontakt z Indianami, których zaopatrywali w broń i amunicję pod warunkiem, że będą mordować przybywających pionierów. Napady Indian w Utah były tak liczne i tak doskonale organizowane, że zwróciło to uwagę rządu w Waszyngtonie. Największą zbrodnią było wymordowanie grupy 140 osadników zdążających wozami nad zachodnie wybrzeże. Young, na wieść o zbliżaniu się osadników, zwołał naczelników indiańskich plemion i zakomunikował, że biali wrogowie jadą zabrać im ziemię. W dniu 6 września 1857 roku 400 wojowników indiańskich zaatakowało białych, lecz zostali odparci. Zaskoczeni pionierzy wysłali natychmiast gońca do Salt Lake City (walka toczyła się w pobliżu tego miasta) z prośbą o pomoc i ochronę. Brigham Young obiecał udzielić jej i jednocześnie polecił swemu przybranemu synowi — J.D.Lee — wymordować osadników przy pomocy „Aniołów Śmierci” (rodzaj tajnej policji mormonów).

Osadnicy, przygotowani na nowy atak Indian, z radością powitali oddział białych. Lee oświadczył im jednak, że wobec przeważającej liczby Indian nie może podjąć się ich obrony. Doradził im natomiast, aby dobrowolnie oddali broń, bydło i konie, a wtedy będą mogli spokojnie udać się w dalszą drogę. Osadnicy zgodzili się na podane warunki. Gdy tylko oddali broń, mormoni rzucili się na bezbronnych mordując ich bezlitośnie. Równocześnie wyskoczyli ukryci za wzgórzem Indianie. Z rzezi tej ocalało jedynie 17 małych dzieci. Mormoni przysięgli wówczas dochowania tajemnicy o całym zdarzeniu. Gdy do Salt Lake City wkro-ezył oddział wojska przysłany z Waszyngtonu i gdy rozpoczęto dochodzenie, wszyscy milczeli. Sprawę częściowo wydali Indianie. Wówczas całą winę wzięli na siebie syn Younga, który zeznał, że to on sam z Indianami zorganizował napad. Na mocy wyroku sądowego został rozstrzelany. Do dziś mormoni czczą go jako świętego. Jakkolwiek prawda o tym krwawym incydencie wydała się, została oficjalnie ogłoszona dopiero w 1961 roku.

Zasiedlenie Teksasu było tylko wstępnym krokiem w marszu na Zachód aż ku brzegom Pacyfiku. Wyobrażenia o Zachodzie były przesadzone, lecz właśnie dzięki temu osadnicy uparcie i stale tam podążali, nie bacząc na niebezpieczeństwa, trudy podróży i konieczność rozpoczynania życia od nowa. Nęciła ich ziemia, której mogli mieć za darmo tyle, ile chcieli, nęcili ich też wieści o niezwykłych bogactwach i sprzyjającym klimacie.

W roku 1841, gdy rozpoczęło się zasiedlanie dalekiej Kalifornii, kraj ten był słabo zaludniony. W nędznych miasteczkach: San Diego, Los Angeles, Monterey i Yerba Buena, czyli San Francisco, stacjonowały garnizony meksykańskie i działały misje katolickie. Ziemi tam nie uprawiano, miasteczka prowadziły jedynie handel z Indianami. Skorumpowani urzędnicy meksykańscy sprzedawali ziemię na własną rękę po bardzo niskich cenach.

Pierwsza grupa amerykańskich osadników wyruszyła do Kalifornii ze stanu Missouri pod wodzą Johna Bidwella. Podróż była niezwykle ciężka. Zgodnie z opinią amerykańskich historyków, warunki, jakie zastali „pielgrzymi” po przybyciu na wybrzeże Ameryki, były po prostu luksusowe w porównaniu z trudami podróży owej grupy śmiałków. Pionierzy mieli na swej drodze do pokonania góry, puszcze i pustynie. Podróżowali po zupełnych bezdrożach, jadąc na oślepie bez map i bez ściśle wytkniętego celu. Szły całe rodziny, kobiety, dzieci. Setki ludzi ginęły z pragnienia, głodu, wyczerpania lub z rąk Indian. Pierwsze amerykańskie osady powstały w dolinie Sacramento. Potem sprawy potoczyły się zwykłą koleją. Zaczęli przybywać nowi osadnicy; wkrótce były ich tam już tysiące i stanowili większość. Przestali się też liczyć z władzami meksykańskimi. Z Waszyngtonu wysłano do Kalifornii „misję naukową” pod wodzą kapitana Fremonta. Po dokładnym zbadaniu sytuacji „misja” ta rzuciła hasło „rewolucji”. Kiedy została wcielona w życie, proklamowano „niepodległość”. Jednocześnie toczyła się wojna Stanów Zjednoczonych z Meksykiem. Teksas był już wówczas stanem USA. Niebawem też zwycięskie wojska amerykańskie wkroczyły do stolicy Meksyku. W lutym 1848 roku, na podstawie traktatu pokojowego z Meksykiem, Kalifornia została „zakupiona” i przyłączona do Stanów Zjednoczonych.

Johann August Suter (Sutter) przybył do Ameryki ze Szwajcarii w 1840 roku i na skraju kalifornijskiego miasta Sacramento zakupił za grosze spory szmat ziemi, a nawet okoliczne góry, częściowo zalesione. Po paru latach na terenie tym miał już kwitnącą farmę. Zieleniły się pola kukurydzy, a na łąkach pasły się liczne stada bydła. Sutter prosperował. Posiadając lasy postanowił wybudować w górach tartak. Budowę rozpoczął w 1847 roku. Tartak miał być poruszany wodą, dlatego zlokalizowano go nad strumieniem American Fork. Przy budowie pracowała grupka mormonów, których nadzorował cieśla James Warshall.

Pracowano właśnie nad budową tamy, gdy nagle 28 stycznia 1848 roku — na miesiąc przed uruchomieniem tartaku — zjawił się u Suttera podniecony Marshall. Bez słowa wyjął z kieszeni garść grudek złota i wysypał na stół. Gdy mormoni robili wykopy pod fundamenty tamy, wśród zwalów ziemi zauważył połyskujące grudki złota. Było ich wiele. Sutter jednak nie ucieszył się tym bynajmniej. Słusznie obawiał się, że wiadomość o odkryciu ściągnie tysiące ludzi, którzy zniszczą zasiewy, a o robotnika będzie bardzo trudno. Polecił więc Marshallowi nic nie mówić nikomu, a mormonom oświadczył, że znalezione bryłki okazały się zwykłą miką. Za to on, Marshall, może sobie złoto brać dowoli, ile chce, aby tylko nie zaniedbywał pracy.

Jednakże już następnego dnia mormoni sami odkryli tajemnicę. Porzucili kopanie dołów, rozsiedli się nad strumieniem i zaczęli poszukiwanie złotego piasku. Tłumaczenia i groźby nic nie pomogły. Po południu w pobliżu tartaku zeszli się prawie wszyscy mieszkańcy rybackiej osady Yerba Buena (San Francisco) i miasteczka Sacramento.

Korespondent gazety „California” tak opisuje wygląd Sacramento w tym dniu: „W ciągu godziny miasto

opustoszało. Wydawać się mogło, że mieszkańcy wymarli lub uciekli w popłochu do lasu. Sam jeden, jak duch, błąkałem się po ulicach miasta. Wchodziłem do opuszczonych restauracji, gdzie na stołach stały niedokończone posiłki, widziałem pozostawione bez opieki sklepy pełne towarów, warsztaty bez rzemieślników i puste mieszkania. Wszedłem do hotelu, lecz i tam nie było nikogo, ani portiera, ani służby, nawet żadnego z gości. Cała ludność, ogarnięta gorączką złota, podążyła w góry".

Wkrótce wszystkie osady i wsie nad zatoką San Francisco opustoszały. Całe rodziny, uzbrojone w szpadle i motyki, podążyły na farmę Suttera. Ci, którzy nie mieli narzędzi, grzebali w ziemi rękami. W zatoce stał wtedy zakotwiczony hiszpański okręt wojenny. Gdy wieść o złocie dotarła na pokład, marynarze zaczęli masowo uciekać. W końcu na okręcie pozostał tylko kapitan; zresztą i on niebawem pośpieszył z łopatą w góry.

Prawie rok upłynął, zanim wiadomość o znalezieniu złota w Kalifornii dotarła na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Początkowo nie wierzono temu. Dopiero 28 grudnia 1848 roku nowojorski „Daily Tribune” ogłosił list generała Jessupa. Pisał on: „Mam wrażenie, że są to najbogatsze złoża, jakie kiedykolwiek znaleziono. Sam widziałem, jak ludzie z łatwością wypłukiwali tam każdego dnia złoto wartości tysiąca dolarów. Znam przedsiębiorców, panów Neilly i Croleya, którzy wynajawszy sześciu indiańskich robotników w ciągu tygodnia wydobyli 10 kg złota. W wyschniętym łożysku pewnego strumienia panowie Daily i McCooms, przy pomocy kilku indiańskich robotników, wydobywali dziennie ilość złota wartości 17 tysięcy dolarów”.

To wystarczyło, by gorączka złota ogarnęła również i wschodnie stany. Statki, które miały płynąć do Europy, zmieniły kursy. W portach tłoczyli się ludzie w poszukiwaniu statków płynących do Kalifornii. Natychmiast też wzrosły koszty przejazdu. Zwykle koszt podróży z Nowego Jorku do Yerba Buena przez Cap Horn wynosił 45 dolarów, teraz cena ta podskoczyła do 600. Mimo to statki były tak przepełnione, że tylko z największym trudem można było dostać na nich miejsce.

Podróż odbywano również konno, pieszo i wozami. W Pittsburghu i w St. Louis powstały olbrzymie firmy trudniące się zaopatrywaniem jadących w prowiant, broń i amunicję. Stolarze, kowale i rymarze pracowali dzień i noc bez wytchnienia. Jechano bezdrożami, kierując się tylko słońcem. Trzeba je było mieć wieczorem przed sobą, a rano za plecami. Indianie, bandyci, choroby, brak wody i pożywienia dziesiątkowały podróżników.

Do Kalifornii - jak do Ziemi Obiecanej - pędził kto żyw, z nadzieją łatwego zdobycia fortuny; robotnicy porzucali fabryki, farmerzy - gospodarstwa, nauczyciele - szkoły, kupcy - sklepy, a marynarze - okręty. Ludność w Kalifornii gwałtownie wzrastała. Yerba Buena w styczniu 1848 roku miała 800 mieszkańców. W sierpniu tego roku ilość ich wzrosła do osmiu tysięcy, a w rok później miasto liczyło już 30 tysięcy. Wzrastała też ludność innych osad. Powstawały masowo różne przedsiębiorstwa. Przede wszystkim bancz-ki, w których skupywano złoto, bary, szulernie i domy publiczne. Ciągnęli też kupcy z towarami. Poszukiwacze złota nie liczyli się z kosztami i łatwo zdobyte złoto wydawano z lekkim sercem.

Rosła spekulacja i pogłębiał się brak żywności. W konsekwencji kraj ogarnęła drożyzna i głód. Nikt nie produkował, a statki, które dawniej dowoziły żywność, obecnie dowoziły tylko coraz nowych, spragnionych złota poszukiwaczy. Wszystkie okoliczne farmy uległy zniszczeniu. „Nowa Helwecja” (tak się nazywała farma Suttera) pierwsza padła ofiarą. Zniszczono plony na polach, wyrżnięto bydło, a budynek rozebrano. Farmerzy nie mieli siły, by przeciwstawić się zgłodniałym i zdziczałym tłumom. Jeden kartofel kosztował dolara, zaś garść kawy — dwa dolary. Za funt mięsa żądano funt złotego piasku. Szczególnie drogie były narzędzia służące do kopania czerwonego kruszcu. Szpadel lub motyka kosztowały sto dolarów, za kawałek deski płacono sześć dolarów.

Jak gdyby w wyniku reakcji łańcuchowej na kraj spadła nowa klęska — chaos i anarchia. W sierpniu 1848 roku zawiązał do zatoki San Francisco statek z Australii. Wysadził na ląd przestępców z karnej kolonii w Nowej Południowej Walii. Przywieziono ich tu z zamiarem osiedlenia na roli. Dzika, lecz urodzajna Kalifornia doskonale się do tego celu nadawała. Zwolnieni przestępcy szybko zorientowali się w sprzyjającej dla nich sytuacji. Posłyszawszy o złocie, rozeszli się po miasteczkach, wioskach i osiedlach, rabując i kradnąc, co się tylko dało. Za najmniejszy opór zabijali bez litości swe ofiary. W San Francisco mordy, rabunki i pożary stały się zjawiskiem powszednim. Doprowadzeni do ostateczności mieszkańcy utworzyli straż ochotniczą, którą nazwano Komitetem Czujności. Energicznie zabrano się do tępienia bandytyzmu. W ciągu paru dni ujęto i powieszono 91 australijskich opryszków. Na szubienicę trafił wówczas sam herszt australijskich bandytów - Jim Stuart.

Sytuacji ogólnej to nie poprawiło. Bandyci opuścili miasto, lecz udali się w góry, gdzie czując się bezpiecznie mogli zupełnie bezkarnie grasować. Tymczasem przybywały nowe zastępy awanturników. Do Kalifornii, jak do owego wymarzonego Eldorado, ciągnęli przestępcy z całego świata.

Własną samoobronę, lecz już z mniejszym skutkiem, usiłowali stworzyć również poszukiwacze złota i farmerzy. W zasadzie jednak każdy człowiek mógł liczyć tylko sam na siebie. Przyjęły się wówczas pewne prawa, które wszyscy obowiązani byli przestrzegać. Tak na przykład, zgodnie z przyjętym „kodeksem”, wolno było strzelać tylko od przodu. Za strzał z tyłu, jako za skrytobójczy, karano śmiercią; winni wieszani byli bez sądu. Prawo to głosiło, że rację ma ten, kto pierwszy strzeli. Ta między innymi zasada sprawiła, że niektórzy awanturnicy doszli do niebywałej perfekcji w strzelaniu.

Wytworzył się też nowy typ opryszków zwanych „desperados”. Byli to awanturnicy żywiący wstret i pogardę do pracy, rozmiłowani w przygodach i żyjący z rabunku. Ich dewizą było: Moim prawem jest pięć kul w moim rewolwerze, a sędzią jestem ja sam! Łączyli się w bandy, które przeciągały przez kraj w pogoni za żywnością i złotem. Ofiarą ich padali ci, którzy, nie mając dostatecznej za sobą siły, starali się ukrócić ich samowolę. Zdarzało się i tak, że „desperados” pomagali ludności w ściganiu jeszcze gorszych od siebie złoczyńców, często z dobrym skutkiem. Wówczas otaczał ich nimb bohaterów i

niezrównanych mistrzów walki na rewolwery.

Anarchia była powszechna. W kraju panoszyli się „desperados”, a w miastach rządili bandyci. Szerzyło się pijaństwo, prosperowały szulernie, kwitła prostytucja. Złoto rodziło wszelki występki i zbrodnie, a przy tym miało niewielką wartość, podobnie jak życie ludzkie.

Kalifornia powstawała na złocie i przestępstwie.

Pomiędzy Kalifornią a brytyjskimi posiadłościami w Kanadzie leżał nad Pacyfikiem olbrzymi pusty obszar zwany Oregonem. Kraj ten dość długo nie należał do nikogo. Do Oregonu zgłaszali pretensje zarówno Amerykanie, jak i Anglicy. Nikt jednak nie odważył się zawładnąć tym krajem. W Oregonie spokojnie polowali Indianie.

W 1788 roku amerykański statek „Columbia” wypłynął w podróż dookoła świata, by w cztery lata później przybyć do Oregonu. Kapitan Gray pożeglował do ujścia wielkiej rzeki, którą ochrzcił (od nazwy statku) Kolumbia. Część Oregonu, która pozostała w Kanadzie przy Anglii, nazywa się Brytyjską Kolumbią. W 1810 roku, wielki kupiec futrzany z Nowego Jorku, John Jacob Astor, wysłał do Oregonu ekspedycję, by u ujścia rzeki Kolumbii założyć faktorię. Była ona pierwszym amerykańskim osiedlem w tym kraju. W 1812 roku, w czasie wojny z Anglikami, Astor musiał ją jednak sprzedać angielskiej firmie „North West Com-pany”. Jakkolwiek ustąpił, Astor, w obszernym liście skierowanym do prezydenta JMadisona, zwrócił Amerykanom uwagę na ten daleki kraj.

Więść o Oregonie szybko rozeszła się po Stanach Zjednoczonych. Wiadomo było, że jest to kraj wyjątkowo bogaty w zwierzęta futerkowe i że wyjątkowo cenne futra można zakupywać od Indian za bezcen. I znów tysiące wozów ruszyły na zachód. Pierwsza osada — Fort Astoria (Anglicy nazwali ją Fort Ge-orge) — wkrótce przekształciła się w miasto. W obliczu masowego napływu amerykańskich osadników i w poczuciu własnej bezsilności Anglicy zawarli umowę z Amerykanami. Od 1846 roku Oregon stał się częścią Stanów Zjednoczonych. Później podzielono go na dwa stany: Oregon i Waszyngton. Oba stany są wciąż jeszcze słabo zaludnione, obfitują w bezkresne lasy i wspaniałą zwierzynę.

Tak oto mniej więcej przebiegały w zarysie kolejne etapy podboju Dzikiego Zachodu.

SPOŁECZEŃSTWO

Ocena Adama Gurowskiego

W 1849 roku przybył do USA Adam Gurowski, emigrant z Polski, uczestnik powstania listopadowego. W Ameryce napisał książkę pt. „America and Europe” (1857) oraz pamiętnik z okresu Wojny Domowej, w której brał udział po stronie Jankesów. Autor nie wyraża zbyt pochlebnych opinii o obu walczących stronach. Amerykanie nazywają nawet tę książkę „jadowitą”, mimo iż „Diary” jest dziś obowiązkową lekturą studentów historii. „America and Europe” jest również często cytowana ze względu na bardzo trafną charakterystykę Amerykanów i stosunków panujących w ówczesnych Stanach Zjednoczonych. Z tej właśnie książki pochodzi poniższy ustęp.

„Polityczne i społeczne instytucje zwykle najlepiej obrazują charakter narodu i w pewnym stopniu są jego odbiciem. W Ameryce charakter ludności, instytucji państwowych i samorządowych rozwijał się równomiernie. Jest to w historii narodów wypadek nader rzadki. Żaden też naród nie jest tak podobny swym charakterem do swoich instytucji, jak właśnie amerykański.

Niezwykle zazdrośnie strzegą Amerykanie honoru narodowego w stosunkach z innymi państwami i są pod tym względem ogromnie wrażliwi. Są też bardzo wrażliwi w kwestii własnej niezawisłości. Będąc w posiadaniu bogactw niezmiernych, są gotowi do wszelkich poświęceń, jeśliby w grę wchodziła ich obrona i zachowanie. Nie jest to wynikiem dominującej tutaj krwi anglosaskiej, lecz wyłącznie typowo amerykańskiego sposobu myślenia. Patriotyczna egzaltacja i gotowość do poświęceń nie pochodzą z przymusu, lecz są naturalną cechą charakteru i elementem życia narodowego. Przybywający tu Europejczycy z bardzo różnych klas społecznych asy-milują się nadzwyczaj łatwo i wkrótce stają się takimi samymi, jakimi są tu wszyscy. Dla zamerykanizowanego Europejczyka powrót do dawnych warunków jest w zasadzie niemożliwy.

Za dominujące cechy w charakterze Amerykanina uważam umiejętność łączenia gwałtowności i nerwowości ze spokojem, opanowaniem i chłodną kalkulacją. A także łączenie odwagi z ostrożnością, rozważą i zuchwalstwem. Amerykanin jest uparty, zmienny, zapalczywy, zrównoważony, chytry i prostolinijny. Jest bardzo zarozumiały i dumny, lecz jednocześnie umie być skromnym i szczerze krytykować siebie.

Amerykanów cechuje również entuzjastyczny stosunek do wszystkich spraw. Jest to tak silne i powszechne, że przybysz już po krótkim pobycie w tym kraju przyswaja sobie tę cechę charakteru. Amerykanin łatwo ulega wzruszeniom i z uwielbieniem odnosi się do wszystkiego, co mu je umożliwia. Nic przeto dziwnego, że dla ich przeżycia nie szczędzi kosztów i wysiłku. Gdy jednak wzruszenie mija, łatwo o wszystkim zapomina i znów szuka nowych wzruszeń.

Wiele powodów składa się na owe właściwości charakteru. Nerwowe podniecenie i stały niepokój mogą być spowodowane surowym i zmiennym klimatem. Przyczyniła się do tego również w niemałej mierze

jednostajność dawnego życia kolonijnego i surowość purytańska. Umysł ludzki nie znosi jednostajności, nacisku i upodabniania wszystkiego do jednego wzoru. Każda przeto rzecz, która może kres położyć tej jednostajności, witana jest zawsze z wielkim entuzjazmem.

Teraz nawet, kiedy życie Amerykanów stało się już bardziej urozmaicone, monotonia jest tu uderzająca. Właściwie jest powszechna. Amerykanie wiedzą o życiu pełnym urozmaiceń i uroków w innych krajach i widzą otaczającą ich nudę. Wszystko więc, co chociażby w niewielkim stopniu wpływa na zmianę istniejącego stanu rzeczy, przyjmuje się ze wzruszeniem, podnieceniem i traktuje jako coś prawdziwie osobliwego i niezwykłego.

Jednym z zarzutów, najczęściej wysuwanych w stosunku do Amerykanów, jest ich przesadne przywiązanie do pieniędzy. Mówi się też, że są oni groszrobami. Nie ulega wątpliwości, że pasja gromadzenia pieniędzy stała się cechą charakteru większości Amerykanów. Jeśli jednak chodzi o przywiązanie do pieniędzy, to właściwość ta wydaje się być wspólna wszystkim ludziom na całym świecie. W tej czy w innej formie pieniądź wciąż jeszcze rządzi światem. Cecha ta u Amerykanów jest stosunkowo najłatwiej wytłumaczalna i zrozumiała.

Pieniądź i handel stanowiły ongiś jedyną więź pomiędzy kolonią a krajem ojczystym. Kolonie współczesnej Europy są też przedsięwzięciami typu merkantylnego. Możliwość dorobienia się jest też jedynym bodźcem działania dla każdego przybywającego do kolonii osadnika. Wszyscy oni jednak stają się przedmiotem wyzysku ze strony kraju ojczystego i właśnie dlatego żądza dorabiania się jest zrozumiała jako jedyna i główna broń przed wzwskiem.

Po uzyskaniu niepodległości charakter społeczeństwa amerykańskiego stał się jeszcze bardziej komercyjny niż poprzednio. Dobrobyt i potęga nowo powstałego państwa były zależne wyłącznie od jego sytuacji ekonomicznej i dlatego dorabianie się przybrało jeszcze bardziej intensywne niż poprzednio formy.

Wszystko to nie oznacza bynajmniej, by Amerykanie byli skąpcami. O ile bez wytchnienia potrafią gonić za zarobkiem, o tyle wydają pieniądze równie łatwo, jak je zdobyli. Jeśli można ich nazwać łowcami dolarów, to w żadnym wypadku nie można powiedzieć, by się uganiali za centami. Oszczędność nie leży w ich charakterze. W ogóle pogoń za dolarami jest raczej grą, w której nade wszystko chodzi o wygraną.

Panujące tu hasło «help yourself» (dawaj sam sobie radę) oznacza, że każdy człowiek winien sam sobie stworzyć egzystencję, w miarę swoich możliwości. Ale i nie jest ono również oznaką egoizmu i zimnej obojętności wobec bliźnich. Amerykanie należą do najostrożniejszych ludzi w świecie i dlatego bardzo niechętnie udzielają komukolwiek swych rad. Pod tym względem posiadają poczucie pełnej odpowiedzialności. Nie chcą nikogo zrażać i zmieniać czyichś planów swoją opinią. Dlatego też zapytywani w jakichś sprawach, starają się odpowiadać ogólnikami. Jeśli jednak ktoś już powziął decyzję, wówczas zawsze chętnie służą radą i pomocą. Jest to tradycyjne i wrodzone. Osadnik, który przybywał do tego kraju, musiał zawsze liczyć na pomoc otoczenia. Bez tego egzystencja jego byłaby niemożliwa. Obecnie każdy obcokrajowiec rozpoczynający uczciwe przedsięwzięcie zawsze znajdzie tu pomoc.

Żadna zapewne narodowość nie jest tak wrażliwa i niecierpliwa na krytykę, jak właśnie Amerykanie, irytuje ich nie tylko wynajdywanie słabych stron w ich charakterze, zwyczajach, manierach, instytucjach i kulturze; czują się nawet urażeni, gdy krytykuje się ich klimat, glebę, florę czy faunę. Wiele przyczyn złożyło się na tę dziwną i szczególną wrażliwość. Amerykanie zdają sobie doskonale sprawę z różnych niedociągnięć, lecz bardzo boleśnie odczuwają każdy przesadny lub powierzchowny sąd, pochodzący z ust przypadkowych sędziów. Amerykanie, jako najmłodszy naród na kuli ziemskiej, są wyjątkowo czujni i wrażliwi na swoją opinię i wszędzie wyczuwają lekceważenie lub chęć traktowania ich jako parweniuszy i dorobkiewiczów. Podobną wrażliwość przejawia zawsze młodzież. Drwinki angielskich podróżników i pisarzy, zamieszczane w angielskiej prasie, przyczyniły się niemało do powstania czegoś w rodzaju kompleksu i sprawiły, że wrażliwość ta przeszła obecnie w stan chroniczny".

Babbitt wśród Babbittów

[Babbitt — bohater powieści Sinclaira Lewisa. Tu nazwisko to użyte zostało jako termin na określenie przeciętnego, typowego Amerykanina]

Maniery Amerykanów są często tak rubaszne, że przybysz ze Starego Świata może czuć się niekiedy zaskoczony i urażony. Poklepywanie rozmówcy po ramieniu, trzymanie rąk w kieszeniach, wchodzenie do lokalu w kapeluszu na głowie nawet do wytwornych lokali, to rzecz dla nich najzwyczajniejsza i trzeba trochę czasu, by się z tym oswoić. Kultura farmerska była zawsze daleka od wytwornych manier arystokratycznej Europy. Dziś z tej kultury zostało niewiele. Tak zwane „wyższe" sfery, to jest

potomkowie pierwszych osadników, którzy dość wcześnie dorobili się fortun, starały się odróżnić od masy emigranckiej. Przyjęły one maniery i obyczaje angielskiej arystokracji i troskliwie je pielęgnowały. Reszta przejęła to i owo i stworzyła maniery zwane „demokratycznym” sposobem bycia. Tak więc spotyka się sztywną angielską etykietę, zalatującą epoką wiktoriańską, jak również farmersko-kowbojsko-mieszczkańskie maniery, rubaszne, swobodne, nierzadko trywialne.

Amerykanie odznaczają się dużą bezpośredniością, prostotą i swobodą w obejściu. Nie używają tytułów grzecznościowych, a zwrot „sir” pojawia się tylko w bardzo oficjalnych rozmowach, gdy rozmówca zwraca się do osoby zupełnie nie znanej. Mówienie po imieniu, szczególnie między mężczyznami, jest powszechne. Nie wymaga to, tak jak u nas, „bruderschaftu”, lecz tylko wyjawienia swojego imienia. Amerykanin odnosi się życzliwie do innych i na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że jest się wśród bardzo serdecznych przyjaciół. Ale to tylko wrażenie, w istocie jest to ich sposób bycia i nic poza tym. Objawy jowialności czy serdeczności, na które każdy się zdobywa, są bardzo powierzchowne i pozbawione głębszego znaczenia. Zewnętrzna forma bez żadnej absolutnie treści. Kryje się w tym czasami interes osobisty, lecz głównie chodzi o zasadę, że trzeba być przez otoczenie lubianym i popularnym. A że każdy pragnie być popularny, stara się wywrzeć na drugich jak najkorzystniejsze wrażenie, więc wszyscy są stale uśmiechnięci, grzeczni, mili, przyjacielscy. Przez cały czas pobytu w Stanach Zjednoczonych nie słyszałem nigdy podniesionego głosu, nie słyszałem, by ktoś komuś wymyślał. Grzeczni są sprzedawcy w sklepach, urzędnicy na poczcie, kierowcy w autobusach i kelnerzy w caffeteriach. Nikt nigdy nie narzeka, gdy go zapytać, jak mu się powodzi. Zawsze będzie się chwalił, nawet gdyby w rzeczywistości było jak najgorzej.

Zagadnienie to ma jeszcze inny specyficzny aspekt. Amerykanie są uczynni i chętnie pomagają, lecz tym, którzy zaczynają karierę lub już odnieśli jakieś sukcesy życiowe. Krótko mówiąc, pomaga się temu, który umie sobie dawać radę w życiu i ma głowę na karku. Gorzej, gdy się komu nagle powinie noga. Panuje zasada pomagania zdolnym i zaradnym. Jeśli ktoś nie może sobie dać rady lub robi głupstwa, wszelka pomoc uważana jest za zmarnowany wysiłek. Takiemu nikt już nie poda pomocnej ręki. Im prędzej zginie, tym lepiej. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach nikt nie przyzna się do niepowodzeń. Uśmiechy i gesty przyjaźni mają więc bardzo zdawkowe znaczenie. W rzeczywistości Amerykanie zawsze utrzymują dystans między sobą. Przyjaźń w naszym rozumieniu jest tu rzadkością. Zdarza się między kobietami, a tolerowana jest tylko między mężczyzną a kobietą. Wówczas bywa wstępem do miłości lub maskuje pożądanie. Taką przyjaźń uważa się za właściwy i uzasadniony objaw. Amerykanin zawsze odniesie się podejrzliwie do mężczyzny, który nagle zacznie mu okazywać przyjaźń i będzie się starał doń zbliżyć lub pozyskać jego względy. Stanie się wówczas nieufny, będzie wietrzył podstęp lub zręcznie ukryty interes. Po prostu nie jest w stanie uwierzyć w bezinteresowną przyjaźń. Sam jest bezinteresowny, lecz tylko wtedy, gdy ma już dużo pieniędzy i nie potrzebuje być wyrachowanym.

Zasadniczo Amerykanów cechuje nieufność. Każdy obawia się, że ktoś chce go podejść. Gdy w grę wchodzi business, kończą się wszelkie względy. W świecie interesów nie ma miejsca na sentymenty. Ten stan rzeczy ciąży na stosunkach między ludźmi. Właśnie brak ufności i szczerzej przyjaźni powoduje, że w Ameryce stosunki między ludźmi są w gruncie rzeczy formalne, grzeczne, ale sztywne i nawet nieco ozięble mimo pozornej serdeczności. Wszystko zaczyna się i kończy na miłych uśmiechach i poklepywaniu. Ludzie są bardzo ostrożni w stosunkach między sobą i unikają zbytnich zbliżeń.

Są również obojętni wobec tych, którzy są im niepotrzebni. Wystarczy wejść do jakiegoś sklepu, by zobaczyć, jak jest naprawdę. Gdy się kupuje, mierzy lub wybiera, sprzedawca prześciga się w grzecznościach, uprzejmościach, a nawet w komplementach. Cały personel sklepu tańczy dokoła klienta. Gdy się jednak zapłaci za towar, nastrój natychmiast się zmienia. Twarze obojętnieją, już cię nie widzą, jesteś dla nich niepotrzebnym człowiekiem.

Amerykanin żyje zamknięty w kręgu swej rodziny. Inni ludzie obchodzą go niewiele lub wcale, żyje właściwie sobą i dla swoich najbliższych. Można odnieść wrażenie, że egoizm włada tu niepodzielnie, ale z drugiej strony rzadko gdzie można zaobserwować tak dużą ofiarność publiczną, jak właśnie w tym kraju. Tu wciąż ludzie na coś dają i nigdy nie żałują pracy na cele społeczne. Wszystkie tzw. prywatne uniwersytety, jak Harvard, Columbia, Yale i wiele innych, utrzymują się głównie z ofiarności publicznej. Wpływy z czesnego pokrywają zaledwie drobną część budżetu. Koszty utrzymania takiego uniwersytetu sięgają setek milionów dolarów. Na przykład w Bostonie pracuje stacja telewizyjna nadająca naprawdę bardzo dobre programy. Nie przyjmuje ogłoszeń, gdyż inaczej nie mogłaby zachować swej niezależności (w USA nie ma opłat abonamentowych). Otóż stacja ta utrzymuje się przede wszystkim dzięki ofiarności publicznej, przy czym koszt eksploatacji wynosi rocznie ponad milion dolarów.

Niewątpliwie wielu ofiarodawców liczy na rozgłos; innych zmuszają do tej „ofiarności” przepisy

podatkowe. Istnieje jednak również ofiarność bezinteresowna. Podczas mego pobytu w Bostonie zmarł tam niejaki Albert Stone. Był to człowiek skromny i z racji trybu życia uważany za średnio zamożnego. Zajmował się od lat cichą filantropią. Po jego śmierci okazało się, że posiadał olbrzymi majątek wartości siedemnastu milionów dolarów, który zapisał miastu na cele dobroczynne. Warto dodać, że wiele galerii obrazów i muzeów zawdzięcza swoje powstanie i powiększanie swych zbiorów tylko zapisom, fundacjom i tym podobnym aktom filantropijnym.

Jeszcze parę słów o manierach Amerykanów i ich wzajemnych stosunkach. Wiadomo zapewne, że kobiet w tym kraju nie całuje się w rękę. Po prostu nie wypada lub stanowi dowód uczuciowego zaangażowania się mężczyzny. Przy powitaniu lub pożegnaniu ze znajomym nie zdejmuje się kapelusza. Mówi się tylko „hallo” i macha przyjaźnie dłonią. To samo obowiązuje wobec kobiet. Jednocześnie panuje dość dziwny zwyczaj: jeśli w windzie znajdzie się kobieta, mężczyzna jadący z nią powinien zdjąć kapelusz. Natomiast w *caffeteriach*, *drugsto-rach* lub w barach samoobsługowych mężczyźni siedzą w kapeluszach przy ladzie obok kobiet.

Pożegnanie następuje zwykle bez podawania ręki, nóż do ryby nie jest zakazany, a po jedzeniu nie mówi się dziękuję. Nikt się tu w drzwiach nie certuje, nikt nie robi zapraszających gestów przy wsiadaniu do autobusu lub do kolejki podziemnej. Gdy jest gorąco *mężczyźni bez* ceremonii zdejmują przy kobietach marynarki.

Przytoczę tu kilka wskazówek dla młodych Amerykanów, zaczerpniętych z książki „*Manners for Millions*”, podręcznika dobrego wychowania, który osiągnął milionowe nakłady.

„Czy pachniesz przyjemnie? Nie perfumami, pudrem czy pomadą, ale czystością, która świadczy o twoim przyzwyczajeniu do codziennej kąpieli. Powinni na to zwracać uwagę przede wszystkim młodzi mężczyźni. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, że przykry zapach bywa często przyczyną odejścia drogiej osoby i uniemożliwia wam uzyskanie popularności, której tak pragniecie. Jest też powodem niesnasek między małżonkami lub utraty dobrze płatnej posady. Wszystkich tych kłopotów łatwo unikniecie za dziesięć centów”.

Fragment ten pochodzi z rozdziału „Zapachy”; a oto tytuły innych rozdziałów: „Plucie”, „Dłubanie w nosie”, „Chrapanie” i „Wilgotne dłonie”. Autorka przestrzega mężczyznę, by w czasie rozmowy z kobietą nie dotykał jej naszyjnika, broszki czy kolczyka i nie bawił się nimi, a kiedy pali cygaro lub papierosa, nie wypuszczał dymu w twarz swojej partnerki.

Na Południu zawsze obowiązywały bardziej rygorystyczne maniery, oparte na europejskich wzorach. Wizyty, tańce, prezentacja ludzi odbywały się według przyjętego, uświęconego zwyczajem rytuału. Nawet pojedynki były tam w modzie jako jedyne zadośćuczynienie zadrażnionemu honoru. Ale to już należy do przeszłości; Południe przyjęło zwyczaje Jankesów i ich sposób bycia. Dziś w całych Stanach Zjednoczonych towarzyski bonton jest wszędzie jednakowy.

Joiner

Joiner znaczy dosłownie po angielsku „stolarz”, ale w gwarze amerykańskiej oznacza człowieka, który ma bzik na punkcie przynależności do przeróżnych klubów czy organizacji. Takim *joinerem* był Babbitt Lewisa. Należał do Elków, Boosterów i wielu innych stowarzyszeń, klubów i łóż masońskich. W USA nic się pod tym względem nie zmieniło. W żadnym chyba kraju nie ma tylu klubów, co w ojczyźnie Babbittów. Tak liczny w nich udział można wytłumaczyć samotnością i monotonią życia przeciętnego Amerykanina. Aby wyrwać się z pęt szarzyzny i nudy, szuka poza domem towarzystwa ludzi, a znaleźć je może tylko w klubie. Wobec tak wyjątkowego niedowładu życia towarzyskiego staje się to koniecznością. Godziny pracy są tu tak rozłożone, że wypełniają one prawie cały dzień, pozostawiając nieco wolnego czasu jedynie wieczorem. *Weekend* jest zarezerwowany wyłącznie dla rodziny; na towarzyskie spotkania pozostają więc tylko *party*. Jedno lub dwa *party* u siebie i kilka u sąsiadów oraz odwiedziny rodzinne w ciągu roku wypełniają życie towarzyskie Amerykanów. Żadnych spotkań z przyjaciółmi w kawiarniach, tych bowiem właściwie nie ma.

Pomijając względy natury towarzyskiej klub jest swego rodzaju zabezpieczeniem. Bez klubu Amerykanin czułby się osamotniony, a może i bezradny. Stanowi on dla niego najważniejsze „zaplecze”, odskocznię i podporę.

Będąc wśród swoich spodziewa się otrzymać w trudnych i kłopotliwych sytuacjach życiowych pomoc od kolegów klubowych. Tu również wyrabia się stosunki, niezbędne w tym kraju. Nawijuje się je już na ławie szkolnej; już w szkole bowiem zaczyna się kariera młodego Amerykanina. Dlatego ważne jest, do jakiej uczęszcza szkoły. Znajomości zawarte w drogiej, ekskluzywnej *high school* torują drogę do odpowiednich kół na uniwersytecie i umożliwiają wstęp do „lepszych” stowarzyszeń i klubów. Od tego

zależy dalsze powodzenie życiowe. Członek Elków z pewnością nie będzie tkwił na jakiejś podrzędnej posadce, nie będzie biednym, nie będzie bez znaczenia.

Kluby są różne i znaczenie ich jest bardzo rozmaite. Na samym szczycie znajduje się sieć nadzwyczaj ekskluzywnych klubów skupiających arystokrację towarzyską. Tym mianem można określić osoby pochodzące ze starych zamożnych rodzin, których członkowie zajmują czołowe stanowiska w sferach wielkiego kapitału lub we władzach państwowych. Kluby te ogromnie ułatwiają im wszelkie zadania. Gdy członek nowojorskiego klubu Tennis znajdzie się w Bostonie, niewątpliwie uda się do klubu Som-merset lub Union; tam zaś od razu nawiąże potrzebne kontakty i uzyska niezbędne informacje lub poparcie dla swojej sprawy. Są to tak zwane kluby dżentelmeńskie. Członkowie ich należą poza tym do szeregu innych, bardziej „demokratycznych” stowarzyszeń i tam wywierają odpowiednie wpływy. Kluby dżentelmeńskie istnieją we wszystkich większych miastach i mimo że składki są wysokie o należenie do nich ubiegają się wszyscy, którzy z racji pochodzenia, majątku lub stanowiska mają szansę przejścia przez balotaż. Oto nazwy kilku takich klubów: Recquest i Philadelphia Club w Filadelfii, Union Pacific w San Francisco, Links, Brook, Recquest i Tennis w Nowym Jorku oraz Sommerset i Union w Bostonie.

Oprócz nich istnieje mnóstwo innych klubów. Wystarczy ich dla wszystkich, stosownie do stanowiska, majątku, upodobań, wyznawanej religii albo zainteresowań politycznych (kluby demokratyczne i republikańskie). Działają też bractwa masońskie, kluby naukowe, karciane, golfowe, kobiece, weteranów i narodowościowe oraz tak zwane kluby usługowe: Rotarians, Lions i Kiwanis.

Max Lerner w swej książce „America as a Civilization”, powołując się na badania Warnera, podaje, że w Newburyport (stan Massachusetts), w miasteczku zamieszkałym przez 17 tysięcy mieszkańców, istnieje około 800 różnych klubów i stowarzyszeń.

W USA przeważają kluby męskie, lecz i kobiecych też nie brak. Na czoło tych ostatnich wysuwa się Women Club skupiający około 11 milionów kobiet z filiami we wszystkich prawie miejscowościach. Poza tym ogromna ilość stowarzyszeń przeróżnych „córek”. Są więc „Córki amerykańskiej rewolucji”, amerykańskich kolonistów (tych z XVI i XVII wieku), konfederatów z Południa, obrońców republiki, 1812 roku, Izabelli (?), Króla (?), Teksasu itd. Każde z tych stowarzyszeń ma swoje oddziały w miasteczkach, a często nawet i w wioskach.

Nie mniej liczne są kluby młodzieżowe. Największe to: 4-H i YMCA. Pierwszy skupia około dwóch milionów chłopców i dziewcząt w wioskach i miasteczkach, drugi jest organizacją o charakterze raczej religijnym, lecz i usługowym. YMCA prowadzi hotele, restauracje, kluby i zawodowe szkolenie młodzieży prawie wyłącznie w dużych miastach.

Poza klubami działa w Stanach Zjednoczonych około 1 700 przeróżnych stowarzyszeń, mniejszych i większych, a wśród nich sporo takich, które posiadają setki i tysiące filii. Ilość tych stowarzyszeń i ich żywotność jest rzeczywiście zastanawiająca. Po drugiej wojnie światowej zrzeszenie niemieckich studentów w USA wyraziło opinię, że jest to zjawisko niebezpieczne i niepożądane. Opinię tę oparto na wynikach badań nad życiem społeczeństwa niemieckiego w okresie poprzedzającym dojście Hitlera do władzy. W ówczesnych Niemczech aż roiło się od przeróżnych organizacji paramilitarnych i cywilnych, które ułatwiły ustanowienie totalnej dyktatury faszystowskiej.

Najliczniej jednak reprezentowane są w USA loże masońskie i one wywierają wpływ decydujący. Należenie do masonerii jest w modzie i stanowi powód do dumy. Loże różnią się rytuałem, co zresztą nie ma większego znaczenia i nie rozstrzyga o wyborze loży. Ich popularność bierze się stąd, że Amerykanie bardzo sobie cenią dreszczyk emocji i wszystko, co owiane jest mgiełką tajemnicy. Rytuału tych „bractw” nikt nie bierze poważnie, mimo to szumnie brzmiące tytuły, orientalne nazwy i skomplikowane ceremoniały budzą zaciekawienie i imponują. Do śmiesznych, groteskowych wręcz obrządków, rekwizytów i scenerii członkowie loż odnoszą się z wyjątkowym respektem i powagą. Widziałem kiedyś w Chicago zażywnych panów z cygarami w ustach, paradujących ulicami w dziwnych czapkach i w płaszczach podobnych do arabskich burnusów. Jak się okazało, byli to członkowie jednej z loż, odziani, z racji swego święta, w stroje rytualne. Najżywotniejsze są loże masońskie na Środkowym Zachodzie. Tam, w małych miasteczkach, stanowią główną atrakcję dla znudzonych mieszkańców.

Najpotężniejszą organizacją masońską jest Elks Order (Benevolent and Protective Order of Elks; zaś słowo „elk” oznacza rzadkiego już jelenia wapiti). „Elks” posiadają ogromny majątek i skupiają w swej organizacji amerykańską arystokrację rodową, plutokrację i elitę intelektualną. Do większych zaliczają się: Freemasonry, Knights of Pythias (Rycerze Pytii) i Knights of Golden Eagle (Rycerze Złotego Orła). Oblicza się — dokładne dane są niemożliwe — że do loż masońskich w USA należy około 10 milionów osób, przeważnie mężczyzn. Kobiet w masonerii jest stosunkowo mało. O wpływach i znaczeniu loż świadczy fakt, że spośród 36 prezydentów USA 15 było masonami, przy czym organizacje masońskie

wysunęły ich kandydatury (Washington, Jefferson, Madison, Monroe, Jackson, Polk, Buchanan, Johnson, Gar-field, McKinley, Theodore Roosevelt, Taft, Harding, F.D. Roosevelt i Truman).

Masoneria w USA ma stare tradycje i równie z dawna ugruntowane wpływy. Dochodzi do tego, że nawet katolickie organizacje muszą się chwytać masońskich metod dla pozyskania nowych zwolenników. Tak na przykład utworzono męską organizację katolicką pod typowo masońską nazwą Rycerze Kolumba (Knights of Columbus). W dniu świąt noszą oni stroje żywcem skopiowane z masońskich — czapki podobne do fezów i białe, powłóczyście płaszcze. Metoda ta daje doskonałe wyniki.

A teraz krótko o Ku Klux Klanie. Zasadniczo były dwie organizacje podziemne o tej samej nazwie. Pierwszą założyli w 1865 roku, po zakończeniu Wojny Domowej, dawni konfederaci w mieście Pulaski w stanie Ten-nessee. Początkowo celem tej organizacji było przeciwstawienie się naporowi Jankesów i utrzymanie na Południu „supremacji białego człowieka”. Organizacja szybko rozrosła się. Działali małymi grupkami przy użyciu brutalnych metod, obliczonych na zabobonność Murzynów. W 1867 roku Ku Klux Klan rozpoczął jawną działalność. Na czele organizacji stanął wówczas generał N.B. Forrest; w rezultacie udało się im nawet przejąć władzę w wielu stanach. Na Południu działała jednocześnie organizacja Białej Kamelii, która stawiała sobie te same cele i stosowała jeszcze bardziej bezwzględne metody. W 1869 roku obie organizacje zostały rozwiązane na mocy specjalnej ustawy państwowej.

Drugi Ku Klux Klan powstał w 1915 roku. Tym razem ostrze organizacji zostało zwrócone nie tylko przeciw Murzynom, lecz również przeciwko katolikom i Żydom. Po 1920 roku działalność jej rozprzestrzeniła się z Południa na Północ. Stany Teksas, Oklahoma, Indiana, Oregon i nawet Maine w Nowej Anglii przez długi czas były we władzy Ku Klux Klanu. Po drugiej wojnie światowej i rozgromieniu Niemiec hitlerowskich wpływy jego poważnie zmalały. Obecnie tylko w Georgii daje znać o sobie.

Istnieje opinia, że kluby i stowarzyszenia przyczyniają się w Ameryce do zachowania równowagi między indywidualizmem i biernym posłuszeństwem w stosunku do państwa. Opinia przesadna, jako że w rzeczywistości indywidualizm w Ameryce praktycznie nie istnieje. W każdym razie jest niewątpliwe, że stowarzyszenia stanowią ważne ogniwo łączące ludzi i sprzyjają wspólnocie celów i myśli. Zasadniczo Amerykanin odnosi się zwykle dość obojętnie do swoich sąsiadów lub osób postronnych, z którymi nie łączą go więzy pokrewieństwa lub interes. Pewne wspólne nici wiążą go z ludźmi tego samego zawodu lub pracownikami z tej samej instytucji. Najsilniej jednak czuje się, związany z kolegami z klubu lub organizacji.

Mimo że pęd należenia do klubów jest dość powszechny, wielu Amerykanom ta forma współzycia towarzyskiego nie odpowiada. Skąpe dane statystyczne nie pozwalają zorientować się w tym przedmiocie. Najbardziej szczegółowo badał tę sprawę Warner. Stwierdził on między innymi, że przynależność do klubów lub organizacji zależy w dużym stopniu od klasy społecznej. Przyjmuje on następujący podział klasowy Amerykanów: dwie klasy górne, dwie średnie i dwie najniższe. Z obliczeń Warnera wynika, że w klasach najwyższych do klubów lub stowarzyszeń należy 72 procent. W klasie wyższej-średniej — 64 procent, w niższej-średniej — 49 procent. W klasie wyższej-najniższej — 39 procent, w niższej-najniższej — 22 procent.

Jest zrozumiałe, że właśnie najwyższe klasy przywiązują duże znaczenie do klubów, gdyż ułatwiają one ugruntowanie wpływów i zdobycie władzy zarówno w skali prowincjonalnej, jak i krajowej. Kluby odgrywają szczególnie ważną rolę w życiu polityków; ułatwiają im uzyskanie poparcia, a w okresie wyborów — zdobycie głosów. Dla Mas najniższych sprawy te nie mają wielkiego znaczenia, dlatego też przedstawiciele tych klas raczej stronią od klubów, biorąc liczniejszy udział w organizacjach religijnych lub narodowościowych.

Dla ogółu społeczeństwa kluby stanowią wielką atrakcję. Poza kontaktami natury towarzyskiej dają rozrywkę, odprężenie; za ich też pośrednictwem przeciętny Amerykanin uzupełnia swą wiedzę z różnych dziedzin życia. To właśnie sprawia, że Amerykanie stosunkowo regularnie uczęszczają na zebrania.

Okoliczność ta jest umiejętnie wykorzystywana przez określone sfery, którym *zależy* na szerokim urabianiu opinii. Panuje mniemanie, że w USA decydujący wpływ posiada prasa. Tak jednak nie jest. Prasa raczej dostosowuje się umiejętnie do ogólnych nastrojów. Czasem tylko pozwala sobie na pewne sugestie. Główną tubą propagandową — niewidoczną z zewnątrz i przez cudzoziemca nie dostrzeganą — są mównice klubowe.

Byłem raz w klubie kobiecym na takim zebraniu. Wszystko się odbywało nadzwyczaj uroczyście i według Przyjętego od dawna konwensu. Najpierw odśpiewanie hymnu klubowego, później wzniesienie flagi — w Stanach Zjednoczonych nic się nie może odbyć bez gwiazdzistej flagi — i znowu hymn, tym razem państwowy. Dalej część oficjalno-organizacyjna. A więc jakieś sprawozdania

finansowe, zatwierdzenie wydatków i sprawy gospodarcze klubu. Następnym punktem porządku dziennego to referat naukowy, wygłoszony przez prelegenta specjalnie w tym celu zaproszonego z pobliskiego uniwersytetu. (W USA jest kilka agencji, które trudnią się dostarczaniem prelegentów na zebrania klubowe). Po referacie dyskusja, pytania. Zebranie zakończyło się wspólną herbatką z ciastkami.

Babbitt i jego sakiewka

Amerykanie mają w Europie opinię rozrzutnych. Jest to po części prawda, gdyż ilekroć się znajdują na „starym” kontynencie, lubią imponować swą zamożnością. U siebie, w kraju, są jednak oszczędni i skrzętni. Czasem może się wydawać, iż są nawet skąpi; zwykle bowiem Europejczyk nie rozumie ich nieco przesadnego szacunku dla pieniędzy. Zjawisko to, tak typowe dla Ameryki, ma dwa aspekty — ujemny i dodatni. Pierwszy powoduje nadmierny materializm, drugi objawia się w dużej praktyczności, pracowitości i chłodnej kalkulacji.

Amerykanie są bardzo kontrastowi, pełni skrajnych sprzeczności i trudno określić ich jednym mianem, w tym wypadku — oszczędnych lub rozrzutnych. Potrafią beztrąsko trwonić zarobione pieniądze, a jednocześnie żyć skromnie i oszczędnie. Ale przede wszystkim są praktyczni i w tym najlepiej wyraża się ich dobrze pojęta oszczędność i skrzętność.

Weźmy, na przykład, taki drobiazg. W Ameryce towarów w sklepach nie zawija się w papier i nie wiąże sznurkiem. Do pakowania służą wyłącznie torby. Nie o to jednak chodzi, lecz o umiejętność wykorzystania wszystkiego. Otóż w każdym domu zbiera się skrzętnie torby po sprawunkach i przechowuje w specjalnym miejscu, by je potem wykorzystać do odpadków i śmieci. W każdym mieszkaniu znajduje się zbiornik na odpadki, najczęściej plastikowe wiadro. Do niego jednak nie wrzuca się odpadków luzem, gdyż wówczas by się brudził i wymagał mycia. Odpadki i śmiecie wkłada się do wiadra właśnie w tych torbach papierowych. Wiadro jest czyste, dozorca zaś, który co drugi dzień wybiera śmiecie, ma ogromnie ułatwione zadanie.

Jeszcze jeden przykład. We wszystkich droższych restauracjach dają na żądanie torebkę z impregnowanego papieru do zapakowania kości i resztek jedzenia dla psa.

Nawet najelegantsza Amerykanka nie wstydzi się tego. Torebki takie leżą przy nakryciu na stole, nazywają się *doggie bag* i są ozdobione często psimi wizerunkami.

Skrzętność Amerykanów przejawia się nie tylko w sposobie wydawania pieniędzy, ale również w pracowitości i nieszczędzeniu własnego trudu, gdy chodzi o zajęcia gospodarskie w domu i utrzymanie porządku na zewnątrz. Wystarczy choćby taki przykład. Meble w Ameryce są drogie. Można jednak zaoszczędzić dużo pieniędzy, jeśli zakupi się je w częściach.

Po powrocie z pracy nikt w domu nie siedzi z założonymi rękami i rzadko pozwala sobie na jakąś rozrywkę. Amerykanin zwykle coś buduje bądź też naprawia. Najczęściej maszynką strzyże trawę przed domem. Małe domki i wille w osiedlach podmiejskich lub na peryferiach miasta lśnią czystością i schludnością. Wszystko jest wypielęgnowane, wyczyszczone, wypolerowane. Właściciele domków często sami naprawiają dachy, tapetują ściany i odnawiają mieszkania. Rzemieślnika do takich robót bierze tylko ktoś bardzo stary, nieporadny lub nieprzeciętnie bogaty.

Znałem, dwóch Amerykanów, urzędników bankowych, którzy sami zbudowali sobie domki. Kupili gotowe elementy i sami je zmontowali i ustawili; jedynie wymurowanie komina powierzyli murarzom. Młodzież często sama buduje sobie wozy z części karoserii i silników zebranych na cmentarzyskach samochodów.

Dowodem oszczędności i kalkulacji jest również rozpowszechniony tu zwyczaj wypożyczania ubrań. Mimo że odzież w Ameryce jest tania, nikt nie gromadzi jej w szafach. Fraki, smokingi lub garnitury sportowe po prostu się wypożycza w specjalnych firmach usługowych, jakich sporo w każdym mieście. Poza tym jest jedna wielka firma, posiadająca przeszło 600 filii w całym kraju. Wszystkie doskonale prosperują. Dla ludzi jest to nie tylko oszczędność, lecz również poważne udogodnienie. Zamawiając garnitur klient otrzymuje modne ubranie i wszelkie niezbędne akcesoria. A więc do smokinga odpowiednią koszulę, krawat i lakierki; do ubrania do konnej jazdy — buty, dżokejkę i szalik. Wypożyczenie takiego kompletu kosztuje pięć dolarów, co opłaca się szczególnie dla tego, kto rzadko potrzebuje takiej odzieży, dwa lub trzy razy w roku. Klienci tych firm bynajmniej nie rekrutują się ze sfer najuboższych. W reklamie jednej z firm wyczytałem, że jej klientami są kongresmeni i że nawet prezydent Roosevelt korzystał z jej usług.

Wypożycza się tu również masowo samochody. Można by przypuszczać, że przedsiębiorstwo wynajmu samochodów w kraju, gdzie prawie każda rodzina ma przynajmniej jeden samochód, nie może liczyć na powodzenie i powinno zbankrutować. Otóż jest wręcz przeciwnie. W USA istnieje olbrzymie przedsiębiorstwo posiadające dziesiątki tysięcy samochodów, z wynajmu których ciągnie olbrzymie

zyski. Słynie ono z tego, że swym akcjonariuszom wypłaca wysokie dywidendy. Tajemnica powodzenia tej firmy tkwi między innymi w upodobaniu do dalekich podróży samochodami. Jedni jeżdżą dla przyjemności, inni w celach zarobkowych, jak na przykład *sdlesmani*, tj. komiwojażerowie. Na takie podróże nie biorą jednak swoich samochodów. Nie chcą się narażać na duże koszty i kłopoty związane z parkowaniem wozu. Po przyjeździe do jakiegoś miasta oddają wynajęty samochód w oddziale firmy i sprawa garażu jest załatwiona. Następnego dnia otrzymuje się wóz gotowy do dalszej drogi. W ten sposób można odjechać całe Stany Zjednoczone. Płaci się od każdego przejechanego kilometra i za czas eksploatacji wozu. Firma ta ma oczywiście ekspozytury w najmniejszych nawet miasteczkach — i w tym leży jeszcze jedna tajemnica jej powodzenia.

Ciekawostką jest fakt, że w tym bogatym kraju rozwinął się szeroko handel używanymi rzeczami. Są więc sklepy sprzedające używane pralki, lodówki, radia, telewizory i odzież. Armia Zbawienia posiada w Nowym Jorku i w innych miastach coś w rodzaju wielkich domów towarowych, które sprzedają tylko przedmioty używane. Można tam dostać dosłownie wszystko, co się jeszcze do użytku nadaje i oczywiście po bardzo niskiej cenie. Inne znów firmy sprzedają używaną odzież za pośrednictwem poczty.

Agencje reklamowe szczególną uwagę zwracają na kwestię oszczędności. W ogłoszeniach często podkreśla się oszczędność, jaką kupujący uzyskuje przy zakupie takiego czy innego towaru. Możliwość zaoszczędzenia nawet małej kwoty jest często zasadniczym bodźcem dla kupującego. Amerykanie lubią drobne oszczędności, mimo że nie są drobiazgowi. Typowym przykładem są dziwaczne dla nas końcówki cen towarów, zawsze o jeden cent niższe od zaokrąglonej sumy. Jest to psychologiczny chwyt, który sprawia, że nabywcy wydaje się, jakoby towar ten był tańszy. Ten jeden cent reszty - bynajmniej niesymboliczny - jest zawsze skrupulatnie wydawany i nigdy nie lekceważony przez kupującego.

Amerykanie na ogół łatwo wydają pieniądze, lecz pilnie zważają, by z poczynionych zakupów mieć realną korzyść, wygodę lub przedmiot godny pozazdrosczenia. Możliwość imponowania innym odgrywa zawsze dużą rolę i wiąże się z mentalnością Amerykanów, których największą chyba słabością jest snobizm i próżność.

Middle-class, trzon społeczeństwa amerykańskiego

Twórcy deklaracji o niepodległości Stanów Zjednoczonych (1778) wierzyli lub chcieli wierzyć, że tworzą pierwsze demokratyczne i bezklasowe państwo na świecie. W Ameryce ludzi uprzywilejowanych było wówczas niewielu, ale jednak byli. Stany Zjednoczone stanowiły wtedy przystań czy też azyl dla wszystkich nieszczęśników. Przybywali więc prześladowani, zdesperowani i zawiedzeni w swych nadziejach. Szukali w tym kraju oparcia ideałści i awanturnicy, marzyciele i przestępcy, ci, którzy popadli w konflikt z prawem, i ci, którzy nie znaleźli sprawiedliwości dla siebie w starym kraju. Ludzie zamożni i arystokraci nie szukali szczęśnej odmiany losu za oceanem. Wydawało się więc, że ze względu na stosunkowo równy start życiowy uda się zachować równość społeczną i wyeliminować rozwarstwienie klasowe.

Było to jednak tylko złudzenie. Już wówczas, kiedy opracowywano deklarację, istniały w Ameryce grupy możnych, z dumą wynoszące się nad innych. Później szybkie porastanie w pierze jeszcze bardziej pogłębiło zróżnicowanie społeczne. Nawet wśród purytanów z Nowej Anglii, którzy zasad równości zawsze pilnie strzegli, również wytworzyły się klasy społeczne. Herby i tytuły, niegdyś nadane przez królów angielskich, są dziś jeszcze powodem dumy.

W Ameryce, wszędzie i przy każdej okazji, mówi się wiele o równości wszystkich. Formalnie tak jest. Robotnik może jowialnie poklepać po ramieniu właściciela fabryki, zawołać go po imieniu, nawet pójść z nim na „drinka” do baru, lecz nie oznacza to wcale, że obaj czują się równi. Decydujące znaczenie ma cenzus majątkowy. Miano dorobkiewicza, wyśmiewane w Europie, w Ameryce jest zaszczytne. Każdy *selfmademan* chwali się swym pochodzeniem z nizin społecznych. Istnieje jednak także coś w rodzaju „arystokracji” rodowej, której pieniądze jeszcze nie imponują i która nie otwiera *selfmademanom* drzwi do swoich domów.

W Ameryce jest tak wiele grup społecznych, że trudno wymienić wszystkie. Trudność polega na tym, że każda z nich dzieli się w tym kraju jeszcze na szereg „podklas” lub kast. Wszystkie one zazdrośnie strzegą swej ekskluzywności, separują się od niższych i żyją jedną myślą - przeskoczenia do innej, wyższej grupy.

Na samym szczycie amerykańskiej piramidy socjalnej znajdują się słynne FFV (First Families of

Virginia), czyli rodziny z „Mayflower” (teraz do nich przyznaje się tyle, że „Mayflower” musiałaby być wielkości „Queen Mary”), rodziny holenderskie z osady New Amsterdam w Nowym Jorku, rodziny z Cambridge, Bostonu (Beacon Hill), Filadelfii, Concordu, rodziny od dawna w Ameryce zasiedziały, które ugruntowały swe znaczenie majątkiem bądź jakimś chwalebny czynem, znanym przynajmniej w jednym stanie lub mieście. One to tworzą obecnie amerykańską arystokrację rodową. Cechuje ją ekskluzywność i utrzymywanie dystansu wobec nowej plutokracji. Przedstawiciele tej arystokracji rodowej żyją dawną tradycją, a ich nazwiska często spotyka się w obszerniejszych podręcznikach historii. Są zamożni, lecz majątki swe zawdzięczają zwykle prapradziadom. Starannie unikają wszelkich spekulacji, czerpiąc swe dochody zwykle z dywidend.

Jest jeszcze arystokracja ziemiska z Południa. Ta jednak od czasu Wojny Domowej straciła swe znaczenie i prestiż. Potomkowie dawnych plantatorów siedzą przeważnie na mizernych posadkach urzędniczych. Ich chwałę zaćmiło złoto purytańskich Jankesów. Nie mogą się nawet mierzyć z surową, mieszczańską arystokracją Północy.

Wszystkie te rodziny tworzą tzw. towarzystwo i dziś są one dokładnie zarejestrowane. Pierwszy taki spis sporządziła pani John Jay w końcu XVIII wieku. Ułożyła ona mianowicie listę „gości zapraszanych na obiady i kolacje”, która służyła jako przewodnik towarzyski, umożliwiający zarazem uniknięcie nieprzyjemnych gaf. Lista ta okazała się z czasem przestarzała. Mniej więcej sto lat później pewien nowojorski adwokat, Samuel Ward McAllister, sporządził nową listę najlepszych rodzin USA.

Obejmowała ona czterysta rodzin i stanowiła coś w rodzaju demokratycznego herbarza amerykańskiego. Zebrał on wszystkie najszcawniejsze rodziny posiadające dane, aby tam się znaleźć. A więc potomków tych rodzin, które w historii USA odegrały pewną rolę, plantatorów z Południa, feudalnych *patroons* z górnego biegu Hudsonu, właścicieli kopalń srebra i złota, eleganckich francuskich kreolów z St. Louis i Nowego Orleanu, bankierów z Nowego Jorku, bogatych kupców i właścicieli statków z Bostonu. Owa „księga heraldyczna” zawiera również sporo rodzin, które dorobiły się majątku dopiero w połowie XIX w. Adwokat McAllister miał dużo kłopotów z rodziną Vanderbiltdów; wprawdzie zrobiła ona wielką fortunę na budowie kolei, ale miała opinię prostackiej i nieokrzesanej.

Lista ułożona przez McAllistera z czasem również okazała się niekompletna. Bardzo wielu ludzi poczuło się dotkniętych pominięciem ich nazwisk, ponadto przybyło szereg rodzin o dużym znaczeniu. W początkach XX wieku zaczęto więc periodycznie wydawać „Rejestr towarzyski” („The Social Register”), stale uzupełniany. Zrazu rejestr ten był objętościowo dość skromny, potem zaczął się rozrastać. Od 1928 roku ukazuje się rokrocznie w objętości dwunastu grubych tomów. Tomy te obejmują obecnie około 38 tysięcy nazwisk ludzi zaliczanych do wytwornych sfer Stanów Zjednoczonych.

Plutokracja, ze względu na swe milionowe kapitały, jakimi rozporządza, dysponuje potężnymi wpływami. W 1950 roku około 14 tysięcy osób wykazało się rocznym dochodem w wysokości ponad stu tysięcy dolarów, co wskazuje, że każda z nich musi rozporządzać kapitałem paru milionów dolarów. Z tej liczby 11500 osób wykazało dochód od 100 do 250 tysięcy dolarów, 1 383 od 250 do 500 tysięcy dolarów, 379 od 500 tysięcy do 1 miliona dolarów i 120 osób dochód ponad milion rocznie. Ta 14-tysięczna warstwa tworzy właściwą plutokrację Ameryki. Dwie trzecie już się wycofało z handlu lub z produkcji i trudni się wyłącznie operacjami finansowymi. Dochody zaś czerpie z dywidend, inwestycji kapitałowych i z odsetek wypłacanych przez banki.

Na skutek niefortunnych operacji kapitałowych i katastrof giełdowych z tej grupy wypada co roku część milionerów, a na ich miejsce wchodzi inni. Każda generacja ma swoich multimilionerów. W 1900 r. był nim John D. Rockefeller, w 1925 r. - Henry Ford, w 1940 r. - H. L. Hunt, a w 1950 r. - Hugh Roy Cullen. Wybitny amerykański socjolog, C. W. Mills, badając pochodzenie majątku 275 najbogatszych rodzin, stwierdził, że w 1900 r. 39 procent nowo upieczonych milionerów zaczynało z niczego, 39 procent pochodziło z zamożnych rodzin, reszta zaś, 22 procent, dysponowała nader skromnymi środkami. W 1925 r. ilość zaczynających z punktu zerowego zmalała już do 12 procent, w 1950 r. do 9 procent, natomiast procent pochodzących z zamożnych rodzin wzrósł w 1925 r. do 56, a w 1950 r. do 68.

Ciekawe są życiorysy milionerów, szczególnie tych, którzy „zaczynali z niczego”. Nazwiska dawnych milionerów, Rockefellera czy Forda, są dobrze znane, podobnie jak historia ich fortun. Znany jest również ich jkromny tryb życia, zupełnie odmienny od współczesnych bogaczy. A oto rodowód, oczywiście w zarysie, jednego z milionerów, niejakiego Dalberta Webba, krezusa z branży budowlanej, który dorobił się swego majątku po drugiej wojnie światowej na budowie osiedli dla rencistów i emerytów.

Dalbert Webb swą życiową karierę rozpoczął jako zwykły cieśla. Ze skromnych oszczędności założył niewielką firmę budowlaną. W czasie drugiej wojny światowej skrzętny przedsiębiorca rozbudował swą

firmę, a później rzucił się w wir wielkich interesów. Jego „złotym jabłkiem” okazał się pomysł z osiedlami dla emerytów. Wspecjalizował się w budowie wielkich osiedli standardowych domków, które sprzedaje emerytom na dogodnych warunkach. Majątek jego jest dziś szacowany na 75 milionów dolarów, a dochody sięgają milionów.

Żyje w ustawicznym ruchu, gdyż we wszystkich prawie miastach posiada filie swego przedsiębiorstwa. Podróżuje wyłącznie własnymi samolotami, przelatując rocznie około 150 tysięcy kilometrów. W miastach tych ma stale zarezerwowane dla siebie pokoje w hotelach.

W 1952 roku rozwiódł się ze swą najdroższą z lat młodzieńczych (panią Hazel Church) i ożenił z młodą Toni Ince. Obecna jego żona zajmuje ważne stanowisko w dyrekcji domu towarowego w Los Angeles, będąc poważnym udziałowcem w tej firmie.

Przedsiębiorczy pan Webb nie pali i w jego biurach palenie papierosów jest surowo wzbronione. Natomiast jest zwolennikiem standaryzacji i napojów wysokokowych. Cała organizacja pracy oparta jest na ustalonym szablonie i starannie opracowanych instrukcjach. W biurach obowiązuje tzw. „niebieska księga”, dość osobliwy zbiór przepisów określających w najdrobniejszych szczegółach całość życia i pracy. Między innymi ów niecodzienny kodeks określa rodzaj garnituru dla urzędnika, wygląd kalendarzy biurowych i kształt cyfr do numeracji pokoi. Nawet kolor lakieru samochodów posiadanych przez urzędników musi być „przepisowy”. Zdarzył się kiedyś taki wypadek, że jeden z nowo zaangażowanych urzędników postawił swój samochód w kawowym kolorze na parkingu biurowym, zabrano mu go natychmiast i prze-lakierowano na obowiązujący czarny. Indywidualizmu pan Webb nie toleruje. Kto chce u niego pracować, musi się podporządkować obowiązującym w jego firmie kanonom. Specjalną grupę wśród bogaczy stanowią dyrektorzy wielkich korporacji i spółek akcyjnych. Są to ludzie, którzy na te stanowiska dostali się głównie dzięki posiadanym akcjom i stosunkom. Według C.W. Millsa tylko 60 procent dzisiejszych dyrektorów posiada wyższe wykształcenie i tylko połowa z nich poza ukończonym *college'm* ma wyższe wykształcenie zawodowe.

Wysokość ich wynagrodzenia należy do rzędu najwyższych. W 1950 roku około 900 dyrektorów zarabiało średnio w skali rocznej 70 tysięcy dolarów, nie licząc różnych tantiem i premii. C.W. Mills podaje, że w 1952 roku Crawford Greenewalt, prezes „E.I. du Pont de Nemours and Co.”, pobierał 153 290 dolarów pensji i 350 tysięcy rocznej premii. Harlow Curtice, jeden z wiceprezesów „General Motors”, otrzymywał 151 tysięcy pensji i 370 tysięcy dolarów premii, a Eugen G. Grace, prezes „Bethlehem Steel Corp.”, otrzymywał odpowiednio 150 tysięcy i 306 652 dolarów.

Ta grupa *businessmenów*, która poza pensją i premią czerpie dodatkowo ogromne dochody z dywidend, nie reprezentuje bynajmniej odpowiednio wysokiego poziomu intelektualnego. Wspólną ich cechą jest snobizm. Każdy musi mieć samochód najnowszej typu lub specjalnie zrobiony na zamówienie i jacht. Każdy posiada farmę, na której hoduje jakąś rasę bydła, konie lub świnię. Niezbędna jest też willa na Florydzie lub w Kalifornii. W domu posiadają bogate księgozbiory; zakup obrazów, książek lub dzieł sztuki — z uwagi na swą ignorancję w tym względzie — powierzają specjalnym agencjom. Czytają zaś tylko „Reader's Digest”, „Life” i miesięcznik „Fortune”, czasem jakąś książkę fachową. Źródłem potęgi i znaczenia tych magnatów finansowych są kapitały własne, jak również kapitały, którymi rozporządzają.

Grupą najliczniejszą i najbardziej zróżnicowaną jest niewątpliwie *middle-class*, czyli drobne i średnie amerykańskie mieszczaństwo. Wywodzi się z dawnych farmerów, drobnych przedsiębiorców, sklepikarzy i ubogiej inteligencji. Dawniej typowymi przedstawicielami *middle--class* byli drobni *businessmeni*, dziś natomiast reprezentują ją masy pracownicze.

Do grupy tej trzeba zaliczyć również farmerów, drobnych przedsiębiorców, a przede wszystkim ludzi pracujących zarobkowo: adwokatów, lekarzy, architektów, sprzedawców, pracowników biurowych i kwalifikowanych robotników.

Drobni *businessmeni* odgrywają w *middle-class* coraz mniejszą rolę. Jest ich stosunkowo mało, poza tym zaś znacznie zmieniły się warunki w naszym stuleciu. Pozycja klasowa zależy od dochodu. Zdarza się, że wykwalifikowany robotnik zarabia więcej niż właściciel sklepiku czy małego baru. Ilość drobnych przedsiębiorstw jest stosunkowo mała. W porównaniu z 1870 r. ilość ich wzrosła tylko o 35 procent, podczas gdy ludność Stanów Zjednoczonych zwiększyła się od tego czasu przeszło czterokrotnie. W tym samym okresie liczba robotników wzrosła o 225 procent, a pracowników umysłowych o 1.600. W rzeczywistości drobnych przedsiębiorców jest w USA mniej, niż podają statystyki, ponieważ znaczny odsetek tych „przedsiębiorców” jest nimi tylko z nazwy. Są to dzierżawcy stacji benzynowych, lodziarni, kiosków, restauracji, barów. Te ich niby „przedsiębiorstwa” należą w rzeczywistości do wielkich firm, które taką formę angażowania pracowników uznały za najkorzystniejszą dla siebie. Przedsiębiorcy ci są

więc tylko pracownikami, z tą jedynie różnicą, że nie pobierają określonej pensji, lecz procent od obrotu. W bieżącym stuleciu zaszły pewne zmiany na niekorzyść drobnego *businessu*. W Anglii zmiany takie dokonały się jeszcze w końcu ubiegłego wieku.

W zasadzie *middle-class* to masa pracownicza, utrzymująca się z własnej pracy, ożywiona myślą zdobycia majątku. Nawet ci, którzy nie mają większych aspiracji, dążą do zdobycia niezależności materialnej, by zapewnić sobie na starość byt. Wszyscy więc oszczędzają, ciułąją grosz do grosza, spekulują na akcjach lub nieruchomościach na Florydzie. Są oni główną klientelą maklerów giełdowych. W tonie *middle-class* jest też arystokracja, zarobkowa oczywiście, jest warstwa średnia i proletariąt. Do tej pierwszej należą lekarze, adwokaci, sprzedawcy-agenci i kwalifikowani robotnicy. Zdarzają się też w tej grupie ludzie o ogromnych dochodach, szczególnie wśród adwokatów i wziętych lekarzy. Proletariatem są pracownicy biurowi, głównie bankowi. Pracownicy umysłowi zarabiają niewiele; im najtrudniej jest wywalczyć sobie lepsze warunki egzystencji, gdyż większość z nich nie należy do związków zawodowych. Jeszcze w 1890 r. płace ich były dwa razy wyższe od płac robotniczych. Dziś w niektórych kategoriach zarobki ich są mniejsze, w innych się zrównały, a w większości pozostają na poziomie średnich płac robotniczych. Dlatego też w fabrykach spotyka się ludzi z uniwersyteckim wykształceniem zatrudnionych w charakterze robotników. W Ameryce nie oznacza to zdeklasowania. Miarą wartości człowieka jest tu jego zarobek, a nie rodzaj wykonywanej pracy. Pracownicy umysłowi nie cieszą się więc większym autorytetem niż zwykli robotnicy.

Ludzie, którzy tworzą kulturę tego kraju, pochodzą w ogromnej większości z tej właśnie klasy średniej. Z niej rekrutują się zastępy profesorów uniwersytetów, uczonych, pisarzy, muzyków, malarzy, wynalazców. Ona też dostarcza odbiorców kultury. Nie dotyczy to jednak całej *middle-class*. Tylko drobna jej część zasługuje na miano prawdziwie kulturalnej. Większość posiada tylko bardzo cienką warstewkę polityry kulturalnej, jest bardzo mieszczańska w gustach i nawykach. I to właśnie rozstrzyga, że społeczeństwo amerykańskie ma charakter małomieszczański. Ideały jego są ograniczone: zdobycie pieniędzy, wygodne życie i zabezpieczona starość.

Middle-class jest również bardzo snobistyczna i z niezłomnym uporem naśladowuje wyższe sfery. Pod tym względem jest może nawet jeszcze bardziej rygorystyczna od innych.

Według instytutu Gallupa *middle-class* obejmuje 87 procent ludności; według innych obliczeń należy do niej 80 procent Amerykanów, a zatem co najmniej trzy czwarte ludności śmiało można do niej zaliczyć. Do grup najniższych należą niewykwalifikowani robotnicy, zwykle nowi emigranci i wszyscy o innym niż biały kolorze skóry, tzw. „obcy element”, a więc Murzyni, Chińczycy, Meksykanie i inni nie urodzeni w Stanach Zjednoczonych. Ogółem liczebność tej grupy ludnościowej wynosi około 35 milionów.

Bumsy, ludzie z marginesu życia

W Ameryce pije się stosunkowo dużo. Piją mężczyźni i kobiety, pije się przed południem, po lunchu, w porze obiadowej, wieczorem i przy różnych okazjach, lecz w umiarkowanych ilościach. Dlatego pijanych widzi się bardzo mało. Bary, w których podaje się tylko alkohole, spotyka się wszędzie; nigdy też nie skarżą się na brak klienteli. Bez coctailbaru nie można tam sobie wyobrazić przyzwoitego hotelu.

W USA występuje jednak zjawisko dość ciekawe i specyficzne dla tego kraju. Oto w każdym prawie mieście istnieje spora grupa ludzi, dla których pijaństwo stało się jedynym celem życia i jedynym zajęciem; sylwetka zaniedbanego pijaka stała się charakterystyczna dla miast amerykańskich. Nazywa się ich bumsami. Nałogowych pijaków spotyka się wszędzie, lecz w USA zjawisko to przybrało postać masową i w większych miastach bum-sów liczy się na dziesiątki tysięcy. Są to ludzie wykolejeni, rozpici, nieroby, lecz poza tym nie wyrządzający szkody właściwie nikomu. Unikają skrzętnie pracy, lecz nie imają się bandyckiego rzemiosła.

Nawiązanie z nimi kontaktu jest zwykle dość trudne. Zasadniczo unikają styczności z „normalnymi” ludźmi, traktując ich tylko jako potencjalnych fundatorów drinka. Pewnego razu na dworcu w Bostonie podszedł do mnie Murzyn-bum i grzecznie poprosił o datek na wiadomy cel. Zaprosiłem go do baru dworcowego, starając się nawiązać z nim rozmowę. Nic z tego nie wyszło. Gdy zacząłem go wypytwać — może zbyt natarczywie — o pobudki takiego rodzaju życia, spojrzął na mnie z pogardą i zostawiwszy niedopitą szklankę wyszedł bez słowa. Później parokrotnie starałem się rozmawiać z bumsami, lecz bezskutecznie. Udało mi się to dopiero w Chicago.

Szedłem wtedy mroczną Wabash Avenue (mroczną, gdyż górą, nad ulicą, biegną tory kolejki nadziemnej). Nagle podszedł do mnie jakiś przyzwoicie ubrany, o inteligentnej twarzy mężczyzna. Mówił ładną, poprawną angielszczyzną.

- Przepraszam - powiedział - dzisiaj jest sobota, więc pan chyba rozumie, że mnie również drink się na-

leży. Czy może pan przeznaczyć na to jeden *quoter* (dwadzieścia pięć centów)?

Zorientowałem się szybko, z kim mam do czynienia.

- Dobrze - powiedziałem - ale razem pójdziemy do baru.

Spojrzał na mnie drwiąco, widać było, że nie jest zachwycony moją propozycją.

- Czy może pan jest z Armii Zbawienia? – zapytał podejrzliwie. Gdy mu ruchem głowy zaprzeczyłem, dodał - Po co właściwie ma pan się fatygować... będzie to pana drożej kosztowało. Ja piję *moonshine* (bimber) za 25 centów, a w barze zwykła *whisky* Bourbon kosztuje pół dolara. Tam, gdzie ja chcę pójść, pan nie pójdzie...

Widziałem, że nie zdradza ochoty na moje towarzystwo. Byłem jednak stanowczy i wprost mu powiedziałem, kim jestem i o co mi chodzi. On jednak wciąż stał niezdecydowany. Spoglądał na mnie z niedowierzaniem, uśmiechał się, a w końcu powiedział, bym nie starał się go nawracać. — Jest pan zapewne przedstawicielem jakiejś sekty religijnej, już ja się znam na tym. Kiedy jednak pokazałem mu paszport, uśmiechnął się i odrzekł, że pójdzie. Chciałem pójść z nim do tej knajpy, do której on chodzi, i obejrzeć innych bumsów, lecz mi to odradził. — Przecież to będzie pana majątek kosztowało — próbował perswadować. — Pan myśli, że tamci wypuszczą pana bez drinka, oni na najmądrzejszych mają swoje sposoby...

Szedł koło mnie niepewnie, jakby się wstydząc mego towarzystwa. Przez cały czas nie spuszczał ze mnie oka. Wreszcie weszliśmy do jakiegoś baru i tam usiedliśmy na wysokich stołkach. Barman postawił przed nami dwie szklaneczki z *whisky* na lodzie, on zażądał jeszcze piwa. Wypił szybko i pokazał pustą szklankę, a potem bez pytania skinął na barmana.

Jest bumsem takim jak tysiące innych. Znajduje się jednak w lepszej sytuacji, gdyż nie nocuje w Salvation Army, lecz odnajmuje kąt w pewnym mieszkaniu. Zapytałem, czy pracuje. Zaśmiał się tylko. Czy człowiek logicznie myślący pracuje? Wypił jednym haustem szklaneczkę i znów kazał sobie nalać. - ... Kiedyś pracowałem, dopóki nie poznałem prawdziwego sensu życia - podniósł w górę szklaneczkę z *whisky* — to jest jedyny mądry wymysł współczesnej cywilizacji. Czy pan uważa, że można bez alkoholu żyć w tym zwariowanym świecie?

Kiedy mi powiedział, że z zawodu jest księgowym, zdziwiłem się, ponieważ jest to stosunkowo dobrze płatny zawód.

- Praca nie ma sensu, jak w ogóle wszystko na tym świecie - powiedział filozoficznie - ja nie mogę znieść tego życia. Doprawdy, to wszystko jest nonsensem... a ludzie? Są okropni. W gruncie rzeczy jest się otoczonym wrogami. Każdy skoczyłby do gardła, aby tylko zabrać mu ostatniego centa. Nie chcę być niewolnikiem i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Przecież to jest dżungla, tym gorsza, że cywilizowana. Gdy pan zostanie tu dłużej, to się przekona, że mam rację. Może u was w Europie jest inaczej, lecz nie bardzo w to wierzę. Nie widzę celu pracy, zarabiania i wyciągania innym ostatniego kęsa z gardła. Jestem jak ptak swobodny i nikomu nie szkodzę. Uważam, że właśnie nasze życie jest wspaniałe. Pijemy, gadamy i o nic się nie troszczymy. Nie myślimy o jutrze, i to jest właśnie prawdziwe życie. Poza tym o co chodzi? Każdy przecież ciężko pracuje i wydziera innym grosze, by potem móc żyć beztrudnie i więcej nie pracować. O to przecież chodzi, to jest jedyny cel wszystkich ciułaczy i *businessmenów*. Ja to już osiągnąłem... - spojrzał na mnie tryumfująco.

Opowiedział mi wiele interesujących szczegółów z życia bumsów. Wśród nich są byli *businessmeni*, którym powinęła się noga, urzędnicy, farmerzy, robotnicy. „Mój” bum znalazł jednego, który był profesorem uniwersytetu. Bumsy w Chicago mają swoją dzielnicę. Czasem podróżują, oczywiście na gapę. Od niego też dowiedziałem się, że bumsy nigdy nie kradną, nie napadają, nie są notowani w kartotece policyjnej i nigdy nie żebrzą.

Zauważył widać moje lekko ironiczne spojrzenie, gdyż zaraz pospieszył z wyjaśnieniem. - My tylko o pieniądze prosimy, mówiąc wyraźnie, że chcemy na wódkę. To chyba jest różnica. A może beatnicy to coś lepszego?

Zasadniczo miał słuszość. Bumsy wprost proszą o pieniądze na wódkę lub czasem „pożyczają”. Bardzo często spotyka się ich na dworcach kolejowych lub autobusowych. Tam zaczepiają przyjezdnych z prowincji i proszą o „pożyczkę” na bilet. Ta jednak forma zdobywania pieniędzy jest potępiana. Pewne zasady w tym względzie są ściśle przestrzegane. Gdy jest bardzo źle, to znaczy, jeśli nie mają już ani centa na wódkę, wtedy biorą jakąś dorywczą pracę. Na alkohol muszą mieć pieniądze. — Pijemy zawsze od samego rana, ale nie dużo, po trochu.

Chodzi o to, aby się jak najdłużej zdawało, że dobrze jest na świecie...

Gdzie mieszkają? Większość nigdzie, lecz o to nie dbają. Nieliczni tylko posiadają jakiś kąt. Większość nocuje w lokalach Armii Zbawienia. Nocleg i śniadanie kosztuje 10 centów, trzeba jednak wysłuchać

kazania. — Na szczęście długo nie gadają. Można się tam wykąpać, ogolić i zostawić rzeczy na przechowanie. Gdy ktoś jest obdarty, dostaje również ubranie.

— Czy są kobiety-bumсы? — zapytałem.

— Owszem — odpowiedział — są, ale to już właściwie nie to samo. Kobiety nigdy nie potrafią zachować umiaru. — W Chicago jest parę tysięcy takich kobiet i również mają swoją dzielnicę. Bumсы-mężczyźni nie lubią, gdy koło nich zaczynają się kręcić kobiety. Jest wśród nich dużo prostytutek, wykolejonych aktorek, narkomanek. Właściwie nie są one prawdziwymi bumсыmi. — To nie to, co my, są to w gruncie rzeczy istoty wykolejone, pijaczki, które często kończą dzień w rysztołu. My nigdy się nie upijamy. — Znał pewną kobietę, którą uważał za prawdziwego bumса. Było to w Bostonie. Ta kobieta mu zaimponowała. Była zamożna i pochodziła ze znanej rodziny, z „Beacon Hillu”. Piła w szynkach z bumсыmi i fundowała im. — Mówiła mi zawsze, że dopiero od czasu, kiedy została bumsem, wie, że naprawdę żyje. O, to była wspaniała kobieta! Byłbym nawet dłużej tam został, i to tylko dla niej, lecz za jakąś awanturę zamknęli ją w areszcie. Tak to właśnie bywa... kobiety zawsze są nie obliczalne i nie można ich nigdy traktować poważnie...

Najcięższa wojna Stanów Zjednoczonych

Wciąż jeszcze uczeni nie sprecyzowali dokładnie przyczyny wybuchu Wojny Domowej w Stanach Zjednoczonych. W szkolnych podręcznikach pisze się, że chodziło o zniesienie niewolnictwa Murzynów, lecz nikt nie ma złudzeń, że był to tylko pretekst. Nie zniesienie niewolnictwa było powodem ciężkich, pięcioletnich zmagani, gdyż nie pragnęła tego ani jedna, ani druga strona. Braku szczerości w tej sprawie dowodzi „Emancipation Proclamation”, dekret ogłoszony przez rząd w Waszyngtonie w drugim roku wojny. Na jego podstawie wolność otrzymywali Murzyni, lecz tylko w tych stanach, które się od Unii oderwały i wszczęły rebelię. W innych — to jest w tych, które się opowiedziały za Północą — pozostawiono *status quo*. Społeczeństwo amerykańskie wcale nie było przychylnie usposobione do kwestii murzyńskiej, a abolicjoniści pozostawali wciąż w mniejszości. Po ogłoszeniu poboru do wojska w Nowym Jorku wybuchły rozruchy, których ostrze zwróciło się przeciwko Murzynom. Łapano ich i wieszano jako domniemanych sprawców całej katastrofy.

Prawdziwe powody Wojny Domowej maskowano skwapliwie, a były nimi kolizje natury gospodarczej między kapitalistyczną Północą a plantatorskim Południem. Chodziło o swobodę poczynań nowojorskich i bostońskich bankierów, o problem przyszłości USA, o to, czy kraj ten będzie rolniczy czy kapitalistyczno--przemysłowy. Dlatego niektórzy historycy nazywają tę wojnę rewolucją kapitalistyczną. Walka toczyła się o rządy nad krajem. Przez 24 lata poprzedzające Wojnę Domową rządy w USA sprawowali demokraci z Południa. Wybór Abrahama Lincolna na prezydenta zmienił nagle sytuację na korzyść Północy. Południe nie chciało się zgodzić z tym stanem rzeczy. Jeszcze w tym samym roku (1860), wkrótce po wyborach, rząd Południowej Karoliny ogłosił wystąpienie z Unii. Potem to samo uczyniły inne stany — Alabama, Floryda, Georgia i Missisipi. W lutym 1861 r. konfederaci dokonali wyboru swego prezydenta. Został nim przywódca demokratów Jefferson Davis. Ogłoszono konstytucję i przyłączono do Konfederacji Teksas, Arkansas, Północną Karolinę, Tennessee oraz wschodnią część Wirginii. Ludność zachodniej części tego stanu zaprotestowała. Podzielono więc Wirginię na wschodnią i zachodnią. Konfederaci zażądali uznania niezawisłości przez rząd federalny. Lincoln odmówił.

Południe jednak zignorowało stanowisko prezydenta Lincolna, licząc przede wszystkim na bezsilność Północy. Gospodarcza siła była wówczas w rękach Południa. Bez bawełny fabryki Północy musiały stać beczynne. Ponadto tylko Południe produkowało towary eksportowe. Konfederaci spodziewali się również uzyskać poparcie Francji i Anglii. Rządy tych państw niechętnie patrzyły na „demokratyczny eksperyment”, jak to wówczas określano ustrój Stanów Zjednoczonych.

Rząd w Montgomery, ufny w swoją przyszłość, zabrał się z energią do organizacji powstałego państwa. Zmieniono flagę i umundurowanie wojska. Wypuszczono własne znaczki pocztowe, jak również emisję banknotów obiegowych, lecz przede wszystkim zabrano się szybko do tworzenia armii, by w ten sposób ostatecznie zaszachować Jankesów.

Lincoln jednak nie miał zamiaru iść na żadne ustępstwa, pochodził, podobnie jak prezydent Davis, z Kentucky, był prawnikiem, lecz nie miał takiego doświadczenia. Prezydent Davis za czasów prezydenta Pierce'a zajmował stanowisko ministra wojny, a następnie senatora ze stanu Missisipi. Te braki równoważył Lincoln bardzo cenną cechą — posiadał zmysł analityczny, który pozwalał mu zawsze trafiać w sedno sprawy, bez rozpraszenia się i dekoncentrowania nieistotnymi detalami. Lincoln był człowiekiem głęboko ideowym i wierzył, że walczy o demokrację. Temu należy m. in. przypisać, że Stany Zjednoczone istnieją, zaś stany skonfederowane przeszły do muzeum historycznych osobliwości.

Unia była wyraźnie zaskoczona postawą Południa i niełatwo jej było zdobyć się na jakiś krok stanowczy. Przez pewien czas obie strony nie podejmowały żadnych zbrojnych akcji. Ten dziwny stan trwał do dnia 12 kwietnia 1861 roku. Tego dnia, wczesnym rankiem, baterie konfederatów otworzyły ogień na fort Sum-ter, położony na małej wysepce u wejścia do portu w Charlestonie. Fort ten paraliżował swobodne ruchy statków, a załoga jego odmówiła przejścia na stronę konfederatów. Niestety, brak żywności i zapasów amunicji zmusił dzielnych obrońców po dwudziestoczworgodzinym bombardowaniu do kapitulacji. Tak zaczęła się wojna. W dniu 15 kwietnia Lincoln zażądał od Kongresu prawa zwerbowania 75 tysięcy żołnierzy, sądząc, że siły te wystarczą. Otrzymał to, czego żądał, i już nazajutrz pierwszy pułk

Jankesów wyruszył z Nowej Anglii do Waszyngtonu.

Utworzenie armii nastęrczało wiele trudności. Amerykańscy farmerzy nie odznacznali się bitnością i bardzo niechętnie wdzielali mundury. Armia w tym kraju zawsze składała się z ochotników. W okresie pokoju nigdy nie brakuowało chętnych do pełnienia służby w fortach lub w oddziałach walczących z Indianami. Gdy wybuchła wojna, zaciąg do wojska szedł opornie. Ge-orge Washington skarżył się w swych listach na amerykańskich żołnierzy, że nie są zdyscyplinowani i źle się biją. Pisał on wprost, że gdyby nie cudzoziemscy oficerowie, to nie wiadomo, czy udałoby się wywalczyć niepodległość. W wojnie 1812 roku zachowanie się wojsk amerykańskich było skandaliczne. Gdy armia amerykańska miała przekroczyć granicę Kanady, by ochronić znajdujących się tam swych obywateli, niektóre pułki odmówiły wręcz posłuszeństwa. Uznały, że pora wracać do domu. Zaprzestały walki, mimo że chodziło o ratowanie ziomków pozostawionych tam na łasce Indian i Anglików. Nieraz zdarzało się, że wojska w trakcie bitwy niespodziewanie „zwiąły sztandary” i odmaszerowały na posiłek. Podczas wojny meksykańskiej, gdy generał Scott znajdował się już w odległości jednego dnia marszu od stolicy Meksyku, jedenaście pułków oświadczyło, że mają już dosyć wojny i wracają do domu; bezsilne dowództwo nie było w stanie temu przeszkodzić. Z trudem udało się nakłonić inne pułki, by kontynuowały walkę aż do jej zakończenia.

Obecnie przed Lincolnem stanęło zadanie szybkiego utworzenia armii. Po otrzymaniu od Kongresu zezwolenia na zaciąg 75 tysięcy żołnierzy znajdował wielu ochotników. Wkrótce jednak zapał bojowy ostygł i oficerowie werbunkowi musieli w portach wyszukiwać emigrantów i namawiać ich do służby wojskowej. Ochotnik po podpisaniu umowy otrzymywał 200 dolarów, co w owym czasie było sumą dość znaczną. Najliczniej do amerykańskiej armii wstępowała emigranci z wysp brytyjskich, Polacy i Belgowie. Wszystko to jednak było za mało i trzeba się było uciec do przymusowego poboru. Zarządzono też blokadę południowych wybrzeży, uniemożliwiając wywóz bawełny z Południa i dowóz broni. Cios ten trafił w najczulsze miejsce konfederatów.

Wtedy to na Południu dokonano wynalazku, który mógł decydująco wpłynąć na losy wojny. Chcąc przełamać blokadę konfederacji wynaleźli coś w rodzaju późniejszych pancerników. Stary żaglowiec „Merrimac” obili grubą blachą, czyniąc go niezwykłym. Gdyby konfederaci posiadali więcej takich okrętów, blokada została by niewątpliwie przerwana, a zwycięstwo odniosłoby Południe. Na przeszkodzie temu stanął brak odpowiedniej ilości żelaza i fabryk zdolnych do podjęcia szybkiej produkcji.

Tymczasem zaszło inne wydarzenie. Oto do rządu w Waszyngtonie zgłosił się z wynalazkiem pewien Szwed. Nazywał się John Ericson. Wynalazek pomysłowego Szweda przypominał ów „pancernik” konfederatów, lecz znacznie udoskonalony. Przedstawił on plany małych opancerzonych okrętów o napędzie parowym, wyposażonych w obrotowe wieże strzelnicze. Ericson zastosował w nich po raz pierwszy śruby napędowe w miejsce bocznych kół łopatkowych, jakie dotychczas były w powszechnym użyciu. Wynalazek został przyjęty i natychmiast przystąpiono do budowy pierwszych „Monitorów”, tak bowiem nazwano ten typ statków. Gdy kilka z nich wypłynęło na ocean i wzięło udział w akcji, stało się natychmiast oczywiste, że konfederaci blokady nie przerwą. Flotylla „Monitorów” w dużym stopniu przesądziła o dalszych losach wojny.

Wojna Domowa zakończyła się w 1865 roku. Południe poniosło klęskę, niewolnictwo zniesiono i jedność Stanów Zjednoczonych została utrwalona. Na wojnie tej pewien porucznik, Ulysses S. Grant, zrobił zawrotną karierę. Jako wychowanek szkoły wojskowej w West Point uczestniczył w wojnie z Meksykiem, zrezygnował jednak ze służby w armii i postanowił zająć się handlem. Początkowo był sprzedawcą w sklepie w St. Louis, później wyjechał do rodziny w Illinois i tam otworzył sklep. Gdy wybuchła wojna, wstąpił do wojska. Wobec braku wykwalifikowanych kadr oficerskich awansowano go niebawem do rangi pułkownika. Kariera Ulyssesa Granta potoczyła się teraz szybko. Wkrótce mianowano go generałem. Zdobył Vicksburg, pod Appomatox wziął do niewoli generała Roberta Lee z całą armią. Po wojnie Grant został ministrem wojny, a w końcu prezydentem.

On też stał się głównym bohaterem tej wojny. U schyłku życia, będąc chory na raka, zaczął dyktować swoje pamiętniki. Ukończył je dokładnie na cztery dni przed śmiercią. Przyniosły one rodzinie 450 tysięcy dolarów. Wychodzą wciąż jeszcze i są bodajże najpopularniejszą lekturą w Stanach Zjednoczonych. Zwłoki Granta spoczywają w pięknym grobowcu w Nowym Jorku nad brzegiem Hudsonu.

I jeszcze pewna ciekawostka, na ogół mało znana. Otóż w czasie Wojny Domowej powstała pierwsza w dziejach wojskowości jednostka powietrzna — oddział balonowy, zorganizowany przez Polaka, porucznika Tadeusza Sobieskiego. Balony te oddały wojskom Unii poważne usługi. Dzięki nim dokonywano zdjęć fotograficznych dyslokacji wojsk konfederatów.

Wojna Domowa była prowadzona z rzadko spotykanym okrucieństwem. Konfederaci traktowali jeńców Unii w sposób barbarzyński. Głodzili ich, trzymali pod gołym niebem i rozstrzeliwali. Unioniści postępowali z konfederatami podobnie. W wojnie tej zginęło przeszło pół miliona Amerykanów, a więc prawie tyle, ile zginęło ich w pierwszej i drugiej wojnie światowej łącznie.

Cięższe straty poniosły wojska Unii — 365 tysięcy zabitych. Armia ich liczyła 2 200 tysięcy żołnierzy, podczas gdy armia konfederatów miała około 1500 tysięcy żołnierzy. Wydaje się jednak, że liczba 150 tysięcy zabitych południowców nie może być uważana za ścisłą; straty konfederatów były z pewnością większe. Statystyki nie zajmowały się zwyciężonymi.

Południe otrzymało śmiertelny cios. Skutki tej wojny jeszcze dziś są widoczne w tej części Stanów Zjednoczonych. Wciąż panuje tam bieda i wiele upłynie jeszcze czasu, zanim stopa życiowa Południa

zrówna się z poziomem północnych stanów.

Właściwy cel wojny ujawnił się zaraz po jej zakończeniu. W tym samym roku, w którym zwrócono wolność Murzynom, Kongres USA wprowadził cła ochronne, o co od dawna zabiegali już przemysłowcy z Północy. Zatwierdzono budowę transkontynentalnej linii kolei żelaznej, nadając powstałemu spółkom ogromne nadziały ziemi. Dla uzyskania zaś taniej siły roboczej otworzono na oścież drzwi przed emigrantami z Europy. Rosły wielkie, milionowe fortuny.

SPRAWY DNIA CODZIENNEGO

Postęp a żołądek

Rewolucja techniczna i modernizacja życia nie ominęła również kuchni. W dziedzinie techniki kulinarnej różnice między Nowym Światem a starą Europą są bardzo jaskrawe. Z tradycyjnej kuchni, w naszym rozumieniu, nic tam nie zostało. Zniknęły wałki do ciasta, maszynki do mięsa, a nawet wyszły już z użycia roboty kuchenne. Zmieniła się też zasadniczo funkcja kuchni. Jest to dziś pomieszczenie do podgrzewania posiłków, a nie do gotowania. Służy również jako pokój jadalny; w kuchniach jada dziś większość ludzi i to zarówno w biedniejszych, jak i w zamożniejszych domach. Niekiedy w kuchni przyjmuje się także gości.

Część „kuchenna” zajmuje w niej niewiele miejsca. Podstawowym sprzętem jest w niej lodówka. Musi być duża, tak by mogła pomieścić tygodniowe zapasy. Zazwyczaj zakupy robi się raz na tydzień, w piątek lub w sobotę. Poza lodówką do kompletnego wyposażenia wchodzi: kuchenka elektryczna, szafka, stolik, czasem maszyna do zmywania naczyń. Kuchenki są przeważnie automatyczne; wychodząc z domu ustawia się na kuchni to, co ma być ugotowane czy odgrzane. Nastawia się zegar na każdą fajerkę i w oznaczonej porze kuchenka zaczyna grzać, a we właściwym czasie wyłącza się samoczynnie. Obecnie na wszystkich produktach żywnościowych jest dokładnie podany czas odgrzewania lub gotowania oraz temperatura pieca. Zlewozmywak już wychodzi z użycia i zaczyna go zastępować maszynka do zmywania naczyń, zresztą bardzo droga, co ogromnie utrudnia jej rozpowszechnienie.

Do takiej kuchni produkty muszą być odpowiednio przygotowane. Sklepiki spożywcze, w których kupiec odważa cukier czy kraje szynkę, można znaleźć tylko na głębokiej prowincji. Są to ostatni Mohikanie, którzy utrzymują się tylko dzięki swemu egzotyzmowi. W niepodzielnie panujących wielkich supermarketach produkty są przygotowane do spożycia w stopniu maksymalnym, a więc drób gotowy do upieczenia, nawet zamrożony farsz do indyka w tubie. Mięso pokrajane na kotlety, steki lub w większych kawałkach do pieczenia. Zupy w puszkach, umyte i pokrajane jarzyny. Każdy sklep spożywczy prowadzi sprzedaż mrożonych owoców, jarzyn i gotowych potraw przygotowanych na talerzykach z aluminiowej folii, tak aby można je było wstawić od razu do pieca. Jeżeli ktoś życzy sobie upiec w domu ciastka, nie będzie miał z tym kłopotu, nawet wówczas, gdy będzie je robił po raz pierwszy w życiu — z całą pewnością będą udane. Ciasto kupuje gotowe, zamrożone; trzeba je tylko pokrajać, nadać kształt i wstawić do piecyka na ściśle określony czas zgodnie z załączonym przepisem. W ten sam sposób są przygotowane inne desery — babki, puddingi i „paje”.

Posiłek pod względem estetyki bije tu wszelkie rekordy. Jedzenie przyrządzone jest apetycznie, pomysłowo, w sposób bardzo urozmaicony. Wygląda jak na barwnej reklamie. Gorzej natomiast przedstawia się jego walor smakowy. Potrawy - mówiąc oględnie - są po prostu niesmaczne. Jest to właśnie rezultat owego uprzemysłowienia kuchni, jak i metod produkcji artykułów spożywczych.

Narodową potrawą jest tu kotlet siekany, zwany hamburgerem. Można go dostać wszędzie, w każdej caffeterii, w wytwornej restauracji i w prywatnym domu. Wszędzie jednak, gdziekolwiek by się go nie jadło, ma smak jednakowy, jako że hamburgery w poszczególnych częściach kraju przygotowują ogromne fabryki i one dostarczają je do barów, restauracji i sklepów. Kotleciki są tak przygotowane, że można je położyć na patelni i usmażyć bez dodatku tłuszczu. Najczęściej jada się w postaci sandwi-cha na chlebie z sałatą. Nikomu nie przychodzi do głowy, by surowy kotlet czymś jeszcze przyprawić dla dodania mu odrobiny smaku.

Podobnie i zupy. Różnią się konsystencją, zawartością jarzyn i etykietą na puszcze, ale nie smakiem. Zup w domu się nie gotuje. Zbędna fatyga, poza tym gotowe są bardzo tanie (7 centów puszka zawierająca porcję na półtorej osoby). Niestety, smakują tylko przy pierwszym jedzeniu.

Wielki przemysł spożywczy opanował najprzeróżniejsze dziedziny sztuki kulinarnej i wszystkie potrawy dostarcza obywatelom w gotowej postaci. Obecnie przemysł ten odgrywa bodajże dominującą rolę w Stanach Zjednoczonych, zatrudnia przeszło milion robotników, a obroty jego w 1961 roku wyniosły przeszło 80 miliardów dolarów. Ongiś były tu setki małych fabryczek, dziś w większości opanowanych

przez wielkie trusty. Największym z nich jest „General Foods Corporation”, skupiający 54 fabryki. Firma ta dostarcza na rynek potężną masę przeróżnych artykułów spożywczych. W dziedzinie produktów mrożonych jest monopolistą. Pozycję tę zdobyła wykupując firmę „Postum Co.”, która nabyła od Birdseye'a, wynalazcy szybkiego mrożenia w bardzo niskich temperaturach, wszystkie jego patenty.

Historia wynalazku Birdseye'a jest oryginalna i wielce znamienita dla stosunków amerykańskich. Godzi się więc ją tu przypomnieć. Będąc z zawodu handlarzem futer wybrał się w 1920 roku po zakupy na daleki i mroźny Labrador. Tam stwierdził ze zdziwieniem, że ryby i mięso, mrożone szybko i w bardzo niskiej temperaturze, w nieznanym tylko stopniu zmieniają smak po rozmrożeniu. Po powrocie do Stanów zainteresował się bliżej swoim spostrzeżeniem i niebawem odkrył przyczynę tego zjawiska. Otóż stwierdził, że szybkie zamrożenie przeciwdziała tworzeniu się kryształków lodu, które niszczą komórki mięsa. Po wielu próbach opracował metodę przemysłowego mrożenia i w 1929 roku sprzedał wspomnianej firmie „Postum Co.” 168 patentów.

Amerykański przemysł chłodniczy osiągnął niebywały rozwój. W 1960 roku Amerykanie zjedli pięćset milionów porcji gotowych mrożonych potraw, wartości około 2,7 miliarda dolarów. Dodajmy, że cena tych wyrobów jest nisko skalkulowana. Ministerstwo Rolnictwa opublikowało dane, z których wynika, że gotowe dania mrożone kosztują właściwie tyle, co surowe produkty zakupione w sklepie. Sprawa ta przedstawia się następująco: gdy ktoś zakupi surowe produkty za 100 dolarów i przerobi je na gotowe dania, uzyska oszczędność w wysokości zaledwie 61 centów. Aby zwiększyć popyt na swe produkty, „General Foods” stosuje bardzo zręczny chwyt reklamowy, a mianowicie rozsyła książeczki, które zawierają dokładne przepisy kucharskie, ceny stosowanych produktów-składników oraz cenę gotowej porcji. Reklama dowiodła, że zysk sprowadza się do zaoszczędzenia wysiłku i czasu.

Mimo powodzenia patentów pana Birdseye'a, trudno wszelako zgodzić się z tym, że mrożenie nie wpływa prawie na zmianę smaku. Przypuszczalnie działają tu jeszcze inne czynniki. W każdym bądź razie amerykańskie posiłki pod względem smaku pozostawiają wiele do życzenia.

Nawet potrawy sporządzane w domu z surowych produktów mają tu inny smak niż w Europie. A więc kaczkę są bez „kaczego” smaku, kurczętą bez „kurczęciego”. Indyki monstrialnie wypasione, smakują też inaczej niż u nas. Sprawiają to metody tuczenia i konserwacji mięsa. Kurczętą, tzw. brojlery, otrzymywały w pożywieniu żeńskie hormony, które powodowały gwałtowny rozwój ptaka, niezwykle rozrost piersi i łatwość tuczenia. W ten sposób tuczono również indyki. Ich piersi podobne były do dyni, a ptak po oskubaniu wyglądał jak przedziwny jakiś stwór. Badania jednak wykazały, że hormony te są szkodliwe dla zdrowia ludzkiego, wobec czego zabroniono tuczenia tym sposobem.

Na podobnym tle wybuchła w 1959 roku afera z żurawinami. Galaretka z tych jagód lub sos do indyka należą do nieodzownego repertuaru kulinarnego szanującego się Amerykanina. W stanach New Jersey, Wisconsin i Waszyngton istnieją wielkie farmy, które zajmują się produkcją żurawin. Dla uzyskania obfitych zbiorów plantacje tych jagód spryskiwano hormonami. Lecz i w tym wypadku wyszła na jaw szkodliwość hormonów. Są podobno powodem zachorowań na raka. Cały więc zbiór zniszczono, wypłacając odszkodowanie plantatorom.

Mięso konserwuje się w specjalny sposób. Drób po zabiciu jest, podobnie jak mięso zwierząt rzeźnych, zawsze mrożony, ponieważ jednak samo mrożenie nie wystarcza, zanurza się go w płynie konserwującym i potem dopiero zamraża. Dzięki temu mięso po odmrożeniu nie psuje się i nie dostaje przykrego zapachu. Jak dotychczas nie stwierdzono szkodliwego działania tej substancji na organizm ludzki. Jednak w czasie mojej choroby lekarz zabronił mi jedzenia kurcząt, właśnie ze względu na owe chemikalia. Procesy chemiczne zmieniają mimo wszystko smak drobiu, dlatego cena świeżych kurcząt jest zawsze wyższa.

Podobną technologię stosuje się przy wszelkich rodzajach mięsa i rybach.

Masowa produkcja w ogromnych fabrykach powoduje, że także wędliny mają dziwny smak. Powiedzmy szczerze, są niedobre. Nawet parówki nie przypominają „naszych” parówek. Nie mają skórki; zamiast nich powleczone są żelatynową masą, która imituje skórę. Szynka amerykańska jest tania (tańsza prawie o połowę od importowanej polskiej), lecz w równym stopniu niesmaczna. Podobno jest to wynik metod produkcyjnych. Otóż w Ameryce szynka już w 24 godziny po zabiciu zwierzęcia znajduje się w puszcze. Dobrą kiełbasę reklamuje się tu jako „polską” (*polish sausage*). Podobnie jest z ogórkami. Dla lepszej reklamy amerykańskie wytwórnie umieszczają na słoikach orła polskiego i napis, że zostały zamarynowane „według polskiej receptury”.

Masło, również inne niż u nas, jest przeważnie solone. Natomiast świeże masło — zresztą bardzo drogie — posiada nienaturalnie silny, migdałowy zapach, niewątpliwie dorabiany sztucznie. Powszechnie używa się tu margaryny. Nie tylko w kuchni, lecz również do chleba. Ciastek w rodzaju naszych nie ma.

Wszędzie są za to „paje” — wspaniałe, o wybornym smaku placki z owocami. Jest to kruche ciasto, a w środku jabłka, czereśnie lub czarne jagody. Lecz jak się okazało, z „pajami” trzeba również być bardzo ostrożnym, ponieważ owoce, którymi się je nadziewa, są także preparowane chemicznie. Po przekrojeniu paje wyglądają bardzo apetycznie i... malowniczo. Jabłka są zielonkawe, trochę przezroczyste, czereśnie różowe, a jagody błękitne. Konsystencja tych owoców sprawia wrażenie, jak gdyby były zupełnie świeże, a nie zapiekane w cieście. W łańskiejskiej dzielnicy Nowego Jorku potężny neon z napisem „Babka-pastrys” głosi chwałę polskich babek. Dodajmy przy okazji, że polskie menu w ogóle cieszy się tu zasłużoną sławą.

Chleb w USA to właściwie bułka, lecz bez skórki. Nadaje się do jedzenia tylko w postaci grzanek, i tak też go jedzą. Ma też dobrą właściwość, że długo zachowuje świeżość. Podobno zawiera jakieś składniki chemiczne, które chronią przed szybkim czerstwieniem. Właściwość o tyle istotna, że sprzedają go pokrajany. Celofan nie zabezpiecza go dostatecznie przed szybkim wysychaniem. Dobry chleb ma obcą etykietkę, jest to tzw. chleb narodowościowy. Można więc dostać chleb polski, włoski, szwedzki i niemiecki. Trzeba tylko wiedzieć, które sklepy go sprzedają, no i drożej zapłacić.

Fabryczna produkcja artykułów żywnościowych to tylko jedna z przyczyn, że amerykańska kuchnia jest niesmaczna. Otóż w kraju tym wciąż jeszcze żywe są tradycje purytańskie, zaszczerpione przez „pielgrzymów”. Jedzenie nie jest już, co prawda, uważane za „obowiązek”, lecz nikt nie zadba o to, aby było rozkoszą dla podniebienia. Amerykanin tylko się odżywia. Owszem, zwraca uwagę, by to, co je, wyglądało apetycznie, było estetycznie podane, ale to już wszystko. Kobiety traktują gotowanie z dziwną niedbałością. Tradycje niedbale przyrządzanych posiłków wyniosły jeszcze z domów rodzicielskich. Przygotowując posiłek, starają się to zrobić jak najmniejszym wysiłkiem. Najgorzej na tym wychodzą jarzyny. Nie przyrządza się ich wcale, tylko gotuje w solonej wodzie, odcedza i tak podaje na stół. Kawy nie zaparza się, jak u nas. Po prostu gotuje się ją. Jest niesmaczna, ciemna i mocna, lecz bez aromatu.

W zakresie przyrządzania posiłków kobieta amerykańska uzyskała wiele udogodnień. Gotowanie potraw w naszym rozumieniu już nie istnieje. Obiad przygotowuje się w kwadrans, czasem w pół godziny. Mogłoby się wydawać, że zaoszczędzenie czasu i wysiłku pozwoli na lepsze przygotowanie potraw. Niestety, jest wręcz przeciwnie.

Ongiś Południe słynęło z dobrej kuchni. Murzyńskie kucharki cieszyły się uznaniem, zaś purytańskie teorie Jankesów nie docierały do tej części kraju. Dziś nie ma kucharek, gdyż służba domowa zbyt drogo kosztuje. W Nowym Orleanie, niegdyś znanym z dobrego jedzenia, jada się tak samo jak w Bostonie, Chicago lub Cincinnati. Tylko jeszcze w prywatnym domu na Południu, w którym pielęgnuje się stare tradycje, przejawia się dbałość o smak posiłków.

Lecz i w Ameryce można zjeść to i owo smacznie; słynne są tu zwłaszcza steki. Za narodową potrawę Jankesów uchodzi fasolka po bostońsku (zapiekana z boczkiem), w rzeczywistości są nią właśnie steki. Pieczone na węglach czy na patelni są doskonałe. Ponadto smakoszowi godzi się polecić wirginijską szynkę (pieczoną w cukrze) oraz wspomniane już „paje”. Niestety, wybór dobrych potraw nie grzeszy obfitością i Amerykanie zdają sobie sprawę, że dziedziną kulinarną nie zaimponują nikomu.

Postępem w przemyśle spożywczym nie wszyscy są zachwyceni. W „New York Herald Tribune” przeczytałem kiedyś list jakiejś Amerykanki do redakcji. Oto końcowy fragment tego listu:

„Cofnij się postępie tak, by można było kupować znów chleb zwyczajny albo takie obwarzanki, jakie bywały przed laty. By można było dostać ciastka z prawdziwym, bitym kremem, a nie sztucznym, wyciskanym z tuby, robionym z krochmalu. Jestem gotowa jeść tłuszcze, cukier, cholesterole i inne straszaki, aby tylko to, co jem, było po dawnemu smaczne. Chcę śmietankowych lodów ze śmietanki i ciastek z prawdziwego, drożdżowego ciasta. Pragnę świeżych owoców, jarzyn, mięsa. Cofnij się postępie — przynajmniej w tej dziedzinie...”

Menu Amerykanina

Amerykański sposób odżywiania się, przyrządzania potraw i dobór smaków jest inny niż Europejszy. Zapoznajmy się więc z podstawowym i z najbardziej powszechnym jadłospisem amerykańskim.

Śniadania jada się wyjątkowo obfite i dość urozmaicone. Zaczyna się od szklanki zimnego soku owocowego lub połówki grejpfruta. Potem je się *cereals*, tj. produkty mączne lub zbożowe. Mogą to być zwykłe płatki owsiane lub kukurydziane, które się zwykle jada ze śmietanką i cukrem. Mogą też być gorące bliny z pszennej lub kukurydzianej mąki, polane syropem klonowym. Potem jeszcze ciepłe danie z jajkami, szynką lub bekonem i na zakończenie kawa ze śmietanką, bułki, ser i wędlina.

Następny posiłek to *lunch*, spożywany zwykle w południe i traktowany właściwie jako drugie śniadanie.

Zwykle nikt go nie jada w domu, lecz w restauracji lub w *caffeterii*. Jedni ograniczają się do kilku kanapek, szklanki piwa lub filiżanki kawy, inni jedzą sandwiche. Nazwa ta ma dość rozległe znaczenie. Może to być hamburger, płat szynki lub indyczej piersi albo nawet duży befszyk na chlebie. Po prostu więc gorące mięsne danie z sosem, ale na chlebie i z paroma listkami sałaty. *Lunch* kończy się pajem i filiżanką kawy. Oto klasyczny *lunch*. Są oczywiście i inne. W domu *lunche* są przeważnie zimne. A więc płat mięsa i do tego sałata. Pomidory, ogórki, sałata i *avocado*, To ostatnie wygląda jak zielona gruszka, ma mięszk tłusty, mazisty o dość dziwnym, mdłym smaku. Paj i kawa wszędzie obowiązują.

Podstawowym posiłkiem jest kolacja, która nazywa się tu obiadem i która składa się przynajmniej z trzech gorących dań. Jedzenie tak obfitych kolacji nie można uznać za zbyt szczęśliwy pomysł; wielu też Amerykanów narzeka na ten zwyczaj. Jest jednak tak zakorzeniony, że wątpliwe, by ktoś odważył się wprowadzić jakąś innowację.

W dni świąteczne obowiązują specjalne dania. Świąt jest dużo i zawsze są skrupulatnie i uroczysto obchodzone, zwłaszcza Boże Narodzenie. Wigilijnej kolacji w Ameryce nie ma i zwyczaj ten zachował się już tylko w niektórych rodzinach polskich i włoskich, inni katolicy go zarzucili. Świętem, związanym tradycyjnie z obfitym jedzeniem, jest Wielkanoc. W dniu tym podaje się na obiad szynkę po wirginijsku. Nowy Rok wita się pieczonym indykiem lub homarami, podawanymi w rozmaity sposób. Ważnym świętem jest dzień urodzin Lincolna. Tego dnia obowiązuje uroczysty, lecz skromny obiad, przywołujący na pamięć purytańskie obyczaje. Podaje się więc czysty rosół, a potem fasolkę po bostońsku, tj. zapiekaną z boczkiem.

Podobnie i w inne święta przyrządza się specjalne jedzenie. A więc na dzień Valentine podaje się kurczaka, na urodziny Washingtona — dość skromny obiad, na św. Patryka — ryby, a w Memoriał Day urządza się w ogrodzie *barbeque*. Zależnie więc od stanu majątkowego steki pieczone na węglach lub zwykle „frankfurtery” (parówki).

W dniu święta niepodległości, 4 lipca, na obiad musi być indyk lub łosoś z rusztu. Inne święta, jak Labor Day i Halloween, nie łączą się z jakąś tradycją kulinarną. Wyjątek stanowi Thanksgiving. Kulminacyjnym punktem obiadu jest tego dnia jakaś wymyślna zupa, oczywiście z puszki, na przykład żółwiowa lub z ostryg, uzupełniona pieczonym indykiem i plackiem z dynią.

Wszystkie uroczystości rodzinne są zwykle uświetniane indykiem i jakimś specjalnym pajem. Może być także *cake*, czyli tort, koniecznie domowej roboty.

Na zakończenie parę przykładów przyrządzania potraw na sposób amerykański. A więc *comber barani* pieczony — *lamb chop grill* — z ananase, grzybami, goździkami i pomidorami. Wszystko to dla lepszego smaku posypuje się cukrem. Do pieczonej baraniny podaje się, angielskim zwyczajem, galaretkę miętową na słodko. Nieco dziwny smak dla polskiego podniebienia ma wieprzowina duszona z jabłkami, cynamonem i cukrem.

A teraz proszę wypróbować swoście przyrządzoną kiełbasę: bierze się cztery krótkie, tłuste kiełbaski i cztery duże jabłka. Jabłka się obiera, draży, faszeruje posiekanymi kiełbaskami, posypuje cukrem, polewa margaryną i wstawia do pieca. Przed podaniem — dla dodania smaku — polewa się świeżym sokiem jabłkowym.

Barbeque

Słowo „*barbeque*” znaczy „gotowanie na dworze”, jest to coś w rodzaju pikniku czy naszej majówki, z tą tylko różnicą, że odbywa się w sposób bardziej uproszczony i po mieszczańsku wygodny. Dawniej majówka łączyła się z wycieczką do lasu i posiłkiem sporządzonym przy ogniu, na modłę indiańską lub pionierską. Czasy się jednak zmieniają, a z nimi i ludzie. Po cóż jechać do lasu, skoro można w ogródku, koło domu? Przecież tak wygodniej zarówno dla gospodarzy, jak i gości.

Barbeque jest także czymś w rodzaju łagodnego buntu mężczyzn przeciwko monotonii codziennych posiłków. Od czasu do czasu nachodzi ich atawistyczne pragnienie pochłonięcia sporej porcji solidnego mięsiwa i wyżycia się przy patelni. Nie wysilają swej inwencji na żadne kulinarne wymysły. Zawsze wiadomo, że jeśli *barbeque* to będą steki, które obowiązują, zwłaszcza gdy są goście. *Barbeque* jest domeną i popisem umiejętności kucharzenia mężczyzn. Kobietom nie wypada wtrącać się do rondla ani rad udzielać.

Barbeque nie jest czymś nowym. Przy wszystkich prawie domkach z ubiegłego wieku stoją w ogródkach murowane piecyki-kuchenki. Na nich wåsaci dziadowie dzisiejszych Amerykanów piekli tradycyjne steki. Wówczas nazywało się to *garden party* i jeszcze dziś się tak nazywa, o ile w ogrodzie podają tylko *coctails*.

Nowoczesna technika wprowadziła do *barbeque*’ów udoskonalony i bardziej urozmaicony sprzęt, dość

wymyślny i drogi. Ponieważ sprzęt ten świadczy o zamożności domu, „szanująca się” rodzina nie robi na nim oszczędności. W większym stopniu od praktycznej wygody decyduje o tym snobistyczny wzgląd — pragnienie imponowania sąsiadom i znajomym. A więc przede wszystkim przenośne kuchenki elektryczne z termostatami. W porządnym piecyku powinna być dmuchawa do węgla na prąd elektryczny i rożen obrotowy. Taka kuchenka musi wyglądać bardzo nowocześnie i być zbudowana z nierdzewnej stali, aluminium i plastyku. Kosztuje od 200 do 400 dolarów.

To jeszcze nie wszystko. Porządny *barbeque* wymaga dodatkowego wyposażenia w tekturowe lub plastikowe talerzyki, które po użyciu wyrzuca się ze śmieciami. Plastikowe łyżeczki, widelczyki, specjalne papierowe serwetki i tekturowe kubeczki. Kucharze muszą mieć białe fartuchy i kucharskie czapy. Gwoli uciecze na czapce lub fartuchu wyhaftowany napis głosi: „Uwaga, niebezpieczeństwo! Mężczyzna gotuje!” Ten zaś, kto przyrządza coctaille, ma koszulkę z napisem: „Prezes klubu pijaków” lub coś w tym rodzaju.

Produkcja sprzętu do *barbeque* stała się intratną gałęzią wytwórczości. Obroty są ogromne i stale wzrastają. Do niedawna Amerykanie wydawali na to wyposażenie około 20 milionów dolarów rocznie, obecnie zaś — przeszło 100 milionów; zużywają przy tym 150 tysięcy ton węgla drzewnego i olbrzymie ilości steków wołowych.

W dniu, w którym ma odbyć się *party*, od rana wynosi się wszystko z domu do ogrodu. Kuchenkę ustawia się na środku trawnika, tak, by wszyscy mogli ją podziwiać. To duma pana domu, kosztuje przecież tyle, co podróż na Bermudy. Gościom pokazuje się nowe urządzenia, na przykład wmontowany w kuchnię aparat do wchłaniania zapachów lub elektryczny przyrząd do rozniecania węgla.

Następnie wynosi się stoły, ławki, krzesła, a kuchenkę podłącza się do kabla elektrycznego. Trzeba też przynieść węgiel, rozpalić ogień i uruchomić dmuchawę, by się dobrze rozżarzył.

Wreszcie schodzą się goście. Zgodnie z tradycją otrzymują po szklaneczce coctailu lub *whisky and soda*. Mężczyźni zaraz włączają się do pracy. Pan domu piecze steki i tej przyjemności nikt nie ma prawa mu odebrać. W towarzystwie znajdują się zawsze jacyś specjaliści. Jeden od przyrządzania sałaty, inny znów od sosów. Tymczasem damska część towarzystwa siedzi z boku, z nieukrywaniem szyderstwem obserwując zmagania się mężczyzn z rondlem. Ta zmiana ról najbardziej wszystkich bawi.

Jeśli pan domu nie jest wprawnym kucharzem, a zdarza się to często, zaczyna się — ku uciecze niewiast — tragedia. Steki są przypalone, kartofle nie dopieczone, a na domiar złego okazuje się, że zapomniał je posolić. Lecz bywa również inaczej, kiedy pan domu z tryumfem podaje świetnie przez siebie przygotowane dania.

Moda na *barbeque* rozpowszechniła się ogromnie. Nie ma już chyba rodziny, która by odmówiła sobie przyjemności urządzenia tego święta, pominęła wyborną okazję do zaimponowania gościom. Można się też czymś smacznym uraczyć.

Lecz *barbeque* to przede wszystkim jedna z prób znalezienia rozrywki, urozmaicenia i odmiany. Standard we wszystkich przejawach życia staje się męczący. Dzień jest podobny do dnia, miesiąc do miesiąca. Wszystko uregulowane, przewidziane jak w rozkładzie jazdy. *Barbeque* pozwala na chwilowe wyrwanie się z monotonii, a mężczyznom daje złudzenie swobody. Mogą zabawić się w kucharzy, smakoszy, tak jak dzieci bawią się w Indian.

Czytałem kiedyś w gazecie wywiad z jakimś bankierem czy też przemysłowcem, z człowiekiem już starszym, u schyłku życia. Na pytanie, czy lubi *barbeque*, rozmówca ogromnie się ożywił i odpowiedział, że bardzo, że jest jego największą pasją. Uzasadniając swój entuzjastyczny stosunek do *barbeque*, oświadczył, że mięso pieczone na dworze — dzięki użyciu węgla drzewnego — lepiej mu smakuje.

Dziennikarz nie dał jednak za wygraną. — Przecież... — mówił — chcąc dociec właściwej przyczyny :— węgiel drzewny nie daje dymu, nie może więc przydawać żadnego smaku.

Przemysłowiec w końcu skapitulował. — Ongiś — wyznał — w drużynie skautów byłem kucharzem i... dawne przyzwyczajenia pozostały mi na zawsze... dlatego do dzisiaj namiętnie zbieram znaczki.

Psychoza szczupłej linii

Amerykanie i Amerykanki są na ogół szczupli. Oczywiście zdarzają się również otyli, lecz bez porównania rzadziej niż w Europie. Otyłych kobiet jest bardzo mało. Amerykanie nawet cierpią na manię „szczupłości” i dobrowolnie skazują się na męki głodowe. Manię tę — ogromnie rozpowszechnioną — sprytnie wyzyskują różne przedsiębiorstwa. Poszukiwane są bowiem produkty nis-kokaloryczne, pozbawione tłuszczów i węglowodanów. Jakkolwiek są to oczywiście produkty najniższej wartości,

dzięki popytowi kosztują najdrożej. Bardzo poszukiwanym artykułem jest odciągnięte mleko i zwykła maślanka — łatwe do nabycia w każdym supermarkecie — lecz droższe od zwykłego pełnego mleka. Jedna z fabryk wypuściła na rynek dwudaniowy obiad mrożony o zawartości niespełna tysiąca kalorii. Obiad ten stał się wkrótce spożywczym bestsellerem i przyniósł producentom milionowe zyski. Inna firma wyprodukowała napój, bardzo smaczny, słodkawy, lecz bez cukru, więc niskokaloryczny. Zaczęła od produkcji 50 tysięcy butelek, teraz sprzedaje rocznie 20 milionów. Około dwustu wielkich zakładów piekarniczych wyrabia chleb nie tubzący; z każdym miesiącem wzrasta sprzedaż sacharyny.

Pewien pomysłodawca przedsiębiorca za pożyczone pieniądze otworzył w Nowym Jorku salon szczupłej sylwetki pod nazwą „Slenderella International”. Po dziesięciu latach dorobił się 170 filii w 50 miastach. Obrót ich wynosi ponad 20 milionów dolarów rocznie, zaś liczba klientów 300 tysięcy. Ukazują się setki książek zalecających różne sposoby na schudnięcie, bez specjalnej przykrości dla delikwentów, oraz przepisy przyrządzania nie tuczących potraw. W każdym prawie piśmie wyczytać można ogłoszenie o „cudownych” pigułkach odchudzających. Obok witamin jest to najbardziej pokupny artykuł farmaceutyczny.

Początki odchudzania sięgają lat trzydziestych. Szczupłą sylwetkę wprowadziły agencje reklamowe i moda. Wtedy ustalono jako „świętą” zasadę, że modelki pozujące do zdjęć reklamowych muszą ważyć o dziesięć funtów mniej niż przeciętna kobieta, Amerykanie łatwo podporządkowują się modzie. Bezkrytycznie i bez najmniejszych odchyłeń. Pod tym względem są zdyscyplinowani i nie lubią się silić na indywidualizm. Do mody na smukłą figurę odnieśli się tak samo. Zaczęło się to dość spokojnie, lecz już w 1947 roku całe społeczeństwo ogarnęła psychoza. Nie chodziło już nawet o modę czy o zgrabną sylwetkę. W propagandzie odchudzenia wzięli aktywny udział lekarze, twierdząc, że otyłość jest przyczyną różnych schorzeń, przedwczesnej starości i śmierci. Ogłoszono wyniki badań przeprowadzonych przez jakieś towarzystwo ubezpieczeń i okazało się, że 40 procent wypadków zawałów sercowych zdarza się właśnie u ludzi otyłych, że 60 procent wylewów krwi do mózgu i 90 procent chronicznych dolegliwości nerek to skutki zbyt dużego otłuszczenia. Wszystkie niedomagania wątroby i cukrzyca są typowym objawem u niepoprawnych żarłoków.

Spółeczeństwo amerykańskie ogarnęło coś w rodzaju paniki, pozbawionej wprawdzie cech gwałtowności, lecz brzemiennej w skutki dla lubiących zjeść dobrze, obficie i tłusto. Amerykanie z wiarą — niekiedy naiwną — przyjmują wszystko, co im „oficjalnie” podaje się do wiadomości. Wystarczy, że takie czy inne dane zostaną opublikowane drukiem, podpisane nazwiskiem z tytułem naukowym i poparte cyframi. Właśnie cyfry i drukowane słowo wywierają magiczny wpływ w tym kraju. Otyli, tędzy, szczupli, a nawet chudzi, wszyscy zaczęli się odchudzać. Przede wszystkim kobiety. Raczej dla wyglądu zewnętrznego. Nikogo nie zaniepokoiło, że wraz z odchudzaniem pojawiły się nowe, nie mniej przykre i groźne choroby. A więc depresje psychiczne na tle nerwowym, bóle głowy, nudności i choroby serca. Poza tym nagminnie stały się inne schorzenia — owrzodzenie żołądka lub dwunastnicy, na które cierpi co drugi prawie Amerykanin. Nikt jednak nie zastanowił się, że może to mieć związek z drakońskimi przepisami diety, stosowanej przeciw w imię zdrowia.

Niektóre diety, szczególnie stosowane przez kobiety, są rzeczywiście niezwykle surowe. Trzy jajka na surowo dziennie i trzy szklanki herbaty. Albo ser i jabłka. I tak przez dziesięć dni. Potem przez tydzień normalne jedzenie, po którym znów wraca dieta. W Hollywood odchudzano się swego czasu spożywając wyłącznie lody, zaś w Nowym Jorku jajka na twardo i herbatę.

Mania odchudzania się wciąż jeszcze trwa. Posiłki są na ogół bez tłuszczu, jałowe. Mężczyźni sarkają, lecz muszą się poddać panującej ascezie. Natomiast kobiety są bardziej zajadłe i wytrwałe w głodzeniu siebie i innych. Z niepojętym masochizmem i pasją poddają się torturom głodowym, wierząc, iż w ten sposób zachowają na zawsze wdzięczną, dziewczęcą sylwetkę, młodość i zdrowie.

W tym wszystkim jest niewątpliwie sporo przesady, lecz nie o to chodzi. Tajemnica powodzenia „chudej mody” leży prawdopodobnie w stanowisku kobiet, które chcą wyglądać szczupło, zgrabnie, a zarazem uprościć „kuchenne obowiązki” żony. Nie wiem, czy nie to właśnie decyduje?

Mężczyźni sceptycznie odnoszą się do sprawy odchudzania i jeśli stosują jakąś dietę, czynią to z dużą hipokryzją. Jeśli znajdzie sposobność uniknięcia kłopotliwej obecności żony przy posiłku, swoim talentem konsumowania potrafi wprawić w podziw przytomnych. Szczególnie szybko i nieuchronnie załamuje się, gdy na talerzu pojawi się stek.

W gabinecie eskulapa

I tak oto od spraw odżywiania przeszliśmy do zagadnienia zdrowotności. Nie jest to przypadek, wiadomo bowiem, jak sposób odżywiania wpływa poważnie na stan zdrowia. Tak też się złożyło, że w

czasie mego pobytu w Stanach Zjednoczonych musiałem się zetknąć z tamtejszą medycyną. Najpierw żołądek zareagował wrzodem na jedzenie, potem uległem wypadkowi i złamałem nogę. Byłem ubezpieczony i tylko dzięki temu nie popadłem w ruinę finansową. Zrozumiałem wówczas pośpiech, z jakim natychmiast po moim przybyciu do Stanów Zjednoczonych przeprowadzono formalności związane z ubezpieczeniem. Na chorobę w Ameryce nie każdy może sobie pozwolić. Choroba to katastrofa finansowa. Jediną ochroną jest ubezpieczenie, niestety — bardzo drogie. Są ubezpieczenia tanie, typu społecznego, lecz nie dla wszystkich dostępne.

Leczenie w Ameryce jest bardzo kosztowne a zawód lekarza w dużej estymie, jako że przynosi lukratywne dochody. Istotnie, lekarze należą do grupy najlepiej zarabiających w Stanach Zjednoczonych. Moją złamaną nogę leczył eskulap z pobliskiego miasteczka, który — dzięki swoim dochodom — mógł sobie pozwolić na coroczne wyjazdy do Afryki na polowanie.

Lekarzy bynajmniej nie brakuje. W 1955 roku w USA było 255 tysięcy lekarzy, czyli przeciętnie jeden lekarz przypadał na 720 osób. Jest to dużo, lecz nie oznacza nadmiaru. W Ameryce młodzi lekarze łatwo otrzymują dobrze płatne posady. W miesięczniku „Medical Economics” znalazłem dane dotyczące zarobków lekarzy amerykańskich. Większa część prowadzących praktykę zarabia rocznie około 16 tysięcy dolarów. Zarobki młodych lekarzy nie są zwykle mniejsze niż 10 tysięcy dolarów. Zarobki specjalistów są o wiele większe i zazwyczaj przekraczają 20 tysięcy dolarów. Wizyta u lekarza kosztuje zwykle od 8 do 20 dolarów. Za przyście do chorego opłata wynosi zwykle dwa razy tyle. Za złożenie złamanej ręki lub nogi, nie licząc kosztów prześwietlenia i nałożenia gipsu, trzeba zapłacić 150 dolarów. Koszt operacji, nawet nieskomplikowanej, sięga tysięcy dolarów.

Stosunkowo wysokie opłaty za porady lekarskie tłumaczone są wieloletnią drogą nauką na uniwersytecie. W Ameryce okres studiów i specjalizacji trwa dziesięć lat i kosztuje co najmniej 20 tysięcy dolarów. Poza tym młody, rozpoczynający praktykę medyk musi wydać około 5 tysięcy dolarów na urządzenie gabinetu i 10 tysięcy dolarów na reklamę, by zdobyć odpowiednio liczną klientelę. Dużą rolę odgrywają również koszty ubezpieczenia od odpowiedzialności za nieudane zabiegi. Pacjenci w tych wypadkach są zawsze nieubłagani, a w Ameryce za wszystko żąda się odszkodowania. Bez ubezpieczenia żaden lekarz nie odważy się podjąć leczenia.

Mimo tych niebłahych bynajmniej trudności kandydatów do zawodu lekarskiego nigdy nie brakuje. Co roku około 16 tysięcy młodych ludzi stara się dostać na wydziały medyczne 85 wyższych uczelni, przy czym ilość wolnych miejsc wynosi 8 tysięcy.

W gruncie rzeczy lekarzy jest dość, lecz Amerykanie stosunkowo często chorują. Jako naród Amerykanie nie odznaczają się zbyt wielką odpornością. Świadczą o tym oficjalne dane. Otóż z powołanych do służby wojskowej w 1941 roku dwóch milionów młodych Amerykanów zdyskwalifikowano połowę. Powodem były niedomagania natury fizycznej lub psychicznej. Później liczba odrzuconych zmalała do 33 procent w 1943 r., lecz tylko dlatego, że zmniejszono wymagania. Na początku wojny koreańskiej zdyskwalifikowano 58 procent rekrutów, potem już tylko trzecią część, i to z tych samych względów. Jak wskazują statystyki, co szósty Amerykanin cierpi na jakieś chroniczne schorzenia, a sześć do siedmiu milionów poważnie choruje.

Ze statystyki wynika również, że przyczyną połowy wszystkich zgonów są wady serca. W 1957 r. zmarło ogółem 1 636 tysięcy osób, w tym 892 tysiące wskutek zawału lub innych schorzeń serca. W tym smutnym rejestrze drugie miejsce zajmuje rak; rocznie około 250 tysięcy zgonów. Bardzo liczne są choroby i zaburzenia psychiczne. W statystyce zgonów zajmują one skromne miejsce, natomiast bardzo poczesne w statystyce zachorowań. W 1953 roku było w USA około 9 milionów osób psychicznie chorych. Liczbę tę uznać jednak należy za niepełną, wielu bowiem chorych, nie zagrażających otoczeniu, pozostaje na leczeniu w domu, z uwagi na zbyt kosztowny pobyt w szpitalu. Wśród umysłowo chorych najwięcej spotyka się nałogowych alkoholików (przeszło cztery miliony) i narkomanów.

Analiza statystyki zgonów prowadzi do stwierdzenia, że najwięcej ludzi umiera na choroby serca, raka i w wypadkach samochodowych. Najczęstsze choroby to owrzodzenie żołądka i schorzenia psychiczne. A właściwie wszyscy cierpią na jakieś bliżej nieokreślone dolegliwości. Stwierdzono na przykład, że niektóre choroby występują masowo w pewnych okresach czasu. O ile lata 1920—1930 nazywano „aspirynowymi”, gdyż tym środkiem leczono głównie grypę, o tyle dziesięciolecie 1940—1950 nazwano latami „środków nasennych”, a okres 1950—1960 okresem „środków uspokajających”. Amerykanie wciąż się leczą. W tej dziedzinie też, widać, obowiązuje moda. Najpierw więc w „modzie” były grypy, później bezsenność, bóle głowy i zaburzenia nerwowe, teraz niepodzielnie panują dolegliwości sercowe.

W ogóle Amerykanie często stosunkowo zapadają na zdrowiu. Nikt nie wie, ilu pacjentów odwiedza lekarzy, znana jest natomiast liczba chorych w szpitalach. Otóż w Stanach Zjednoczonych jest ogółem 6

818 szpitali posiadających około 1 600 tysięcy łóżek. W 1957 r. leczyło się w nich 22 992 764 chorych, a więc prawie co siódmy Amerykanin przebywał okresowo w szpitalu. Z powyższego wynika, że na jedno łóżko szpitalne przypadało 16 chorych i że w szpitalu przebywali oni przeciętnie 22 dni. Biorąc jednocześnie pod uwagę fakt, że szpitale w Ameryce są nadzwyczaj drogie i wiele ubezpieczeń nie obejmuje leczenia szpitalnego, jak również okoliczność, że szereg chorób nie wymaga leczenia szpitalnego, łatwo dojść do wniosku, iż liczba ludzi chorych w USA jest bardzo pokaźna i tym przede wszystkim należy tłumaczyć dobrobyt i powodzenie lekarzy.

Jak już wspomniałem, leczenie w USA jest rzeczą kosztowną i może doprowadzić rodzinę do ruiny. Drogie są szpitale, porady lekarskie, a lekarstwa prawdopodobnie najdroższe na świecie. Problem lecznictwa wciąż czeka w USA na rozwiązanie. Chociaż wszyscy zdają sobie sprawę z konieczności wprowadzenia powszechnego systemu ubezpieczeń chorobowych, lekarze bardzo skutecznie przeciwdziałają temu. Mimo przeciwdziałania z ich strony, mimo że w Waszyngtonie mają doskonałe *lobby*, zaznaczył się pewien postęp w tej dziedzinie. Funkcje ubezpieczalni społecznych spełniają dwie organizacje: Blue Cross i Blue Shield. Ubezpieczenia są w zasadzie dobrowolne, lecz teraz już wiele związków zawodowych, zawierając umowy z przedsiębiorcami, wprowadziło przymus ubezpieczania swych członków. Blue Cross i Blue Shield działają we wszystkich stanach. W 1957 roku instytucje te wypłaciły lekarzom i szpitalom 1,7 miliarda dolarów za leczenie. Obie te organizacje mają charakter społeczny i — zgodnie ze swym założeniem - nie powinny przynosić dochodu. Cała manipulacja jest stosunkowo prosta. Część składki płaci pracownik, a część pracodawca. Chory zgłasza się do lekarza, którego sam sobie wybiera, lub jeśli zajdzie potrzeba, idzie do szpitala. Opłaca wszystkie należności, a potem na podstawie rachunków otrzymuje zwrot wyłożonych kosztów leczenia. Dotyczy to zarówno ubezpieczonego, jak i członków jego rodziny. Za pobyt w szpitalu zwykle sam nie płaci, gdyż są to przeważnie wysokie sumy. Szpital przesyła rachunek wprost do instytucji ubezpieczającej i potem bezpośrednio inkasuje należność.

Ponadto istnieją towarzystwa asekuracyjne, które ubezpieczają na wszystkie ewentualności, w tym także na wypadek choroby. Ubezpieczenie takie jest jednak bardzo drogie i dlatego instytucje te dokonują selekcji kandydatów. Jeżeli kandydat chronicznie choruje lub jest w podeszłym wieku, nie zostanie ubezpieczony. Oprócz Blue Cross i Blue Shield istniało państwowe towarzystwo ubezpieczeń, w którym opłaty były stosunkowo niskie; przeznaczone ono było głównie dla zagranicznych studentów, praktykantów i pracowników naukowych. W 1960 r. rozwiązano jednak tę instytucję. Mówiono, że zbankrutowała, lecz w rzeczywistości wielkie firmy ubezpieczeniowe od dawna już nalegały na likwidację tego przedsiębiorstwa. Obawiały się nie tylko konkurencji, ile precedensu. Wszelka forma ubezpieczeń społecznych jest bardzo niewygodna dla wielkich rekinów ubezpieczeniowych.

W zasadzie każdy Amerykanin stara się ubezpieczyć od kosztów szpitalnych. Część pracowników wraz z rodzinami obejmuje Blue Cross i Blue Shield (96 milionów członków), reszta jest ubezpieczona w prywatnych firmach asekuracyjnych — rzecz konieczna ze względu na koszty leczenia.

Szeroko rozpowszechniony jest zwyczaj utrzymywania stałej lekarskiej opieki; mieszkającemu w pobliżu lekarzowi uiszcza się pewną stałą opłatę miesięczną i ten co pewien czas bada stan zdrowia pacjenta. Lekarz taki prowadzi kartotekę swych pacjentów i wzywa ich do siebie. Ten rodzaj profilaktyki zapewnia lekarzowi stałe i niezłe dochody i zapobiega często poważniejszym chorobom.

W dżungli lecznictwa i przemysłu farmaceutycznego

Sztukę bezbolesnego wyciągania pieniędzy bliźnim z kieszeni doprowadzono w Ameryce do doskonałości. Kwitnie ona we wszystkich niemal dziedzinach, lecz nigdzie nie występuje tak jaskrawo, jak w lecznictwie. Obok lekarzy aż się roi od przeróżnych wydrwigroszów i zwykłych szarlatanów, a przemysł farmaceutyczny ściąga ze społeczeństwa olbrzymi haracz. Wszyscy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Nawet sporo się na ten temat pisze i mówi, lecz z wiadomym efektem, jaki daje rzucanie grochu o ścianę. Kto choruje, ten musi płacić, i to zawsze dużo lub bardzo dużo.

W amerykańskich czasopismach często spotyka się ogłoszenia polecające „cudowne” i „skutecznie” działające leki na różne nieuleczalne na ogół cierpienia. Na naiwności chorych, którzy już stracili nadzieję odzyskania zdrowia, żerują przede wszystkim wszelkiej maści szarlatani.

„American Cancer Society” - towarzystwo naukowe do badań nad rakiem - ogłosiło, że 75 tysięcy osób zmarłych na tę groźną chorobę w 1957 r. można byłoby uratować, gdyby ludzie ci nie leczyli się u szarlatanów, lecz u lekarzy-specjalistów. Przypomnijmy tu historię jednego z najbardziej bezczelnych szarlatanów. Klinika onkologiczna w Dallas, pod nazwą „Hoxey Cancer Clinic”, stanowiła prywatną własność „naturopaty” Harry M. Hoxeya, który ją luksusowo urządził. Szumna reklama pana Hoxeya

obiecowała wyleczenie nową, przez niego opracowaną metodą. Hoxey był bezlitosny dla kieszeni swoich pacjentów; za zwykłą poradę lekarską pobierał czterysta dolarów. Leczył ich preparowanymi przez siebie pigułkami, których porcja kosztowała sześćdziesiąt dolarów. Chorego namawiano przy tym, by dla „pewności” pozostał na leczeniu w klinice. Mimo iż pobyt w klinice kosztował zawrotne sumy, była zawsze pełna. W 1953 r. sąd federalny w Dallas zakazał Hoxeyowi reklamowania się poza granicami stanu Teksas! W uzasadnieniu wyroku podano, że lekarstwa stosowane przez Hoxeya, jakkolwiek nieszkodliwe dla zdrowia, pozbawione były jakichkolwiek wartości leczniczych. Okoliczność ta uniemożliwiła sądowi położenie kresu działalności tego szarlatana. Hoxey bogacił się szybko i w 1958 roku uznał przezornie, że powinien zadowolić się swym dorobkiem i zlikwidować klinikę.

Zupełnie odrębny typ lekarzy tworzą tzw. psychoanalitycy. Nazwać ich szarlatanami nie można, niemniej działalność ich musi budzić pewne zastrzeżenia i obawy, tym więcej, że w zakresie schorzeń psychicznych najbardziej kompetentni są psychiatrzy. Nie ulega wątpliwości, że zabiegi poszczególnych psychoanalitików przynoszą ulgę ludziom o starganych nerwach, ale też i żadna zapewne specjalność nie daje takich możliwości nadużyć. Zawód psychoanalityka jest bardzo intratny, a cierpiących na zaburzenia na tle nerwowym jest w Ameryce wyjątkowo dużo. Za wszelkie formy udzielenia „pomocy” chorym każą sobie słono płacić, między innymi za nie kończące się, jałowe rozmowy z pacjentami.

Wszelkie jednak rekordy w naciąganiu ludzi bije przemysł farmaceutyczny, osiągający krociowe zyski. W 1960 r. Amerykanie wydali na lekarstwa dwa miliardy dolarów. Na rodzinę przypadało więc przeciętnie 50 dolarów, to znaczy dziesięć razy więcej niż w 1940 roku. Popyt na leki jest ogromny. Przed importem chronią bariery celne, dzięki czemu istnieje możliwość stałego śrubowania cen. Znajomość psychiki Amerykanina pozwala przewidzieć, że powodowany troską o swe zdrowie nie będzie się targował. Zawsze kupi to, co lekarz mu przepisze, choćby miało go to drogo kosztować. Zyskami przemysłu farmaceutycznego zainteresowały się w 1959 roku władze w Waszyngtonie, które uznały, że są one zbyt wysokie. Wysłuchano wyjaśnień, przejrano kalkulację i... wszystko pozostało bez zmian. Ujawniono jedynie pewne cyfry, dawniej trzymane w ścisłej tajemnicy.

Okazało się więc, że koszty surowca, badań laboratoryjnych i produkcji są niskie i na cenę gotowego leku wpływały nieznacznie. Koszty te kształtowały się w procentach następująco: surowiec - 4, produkcja - 3, badania laboratoryjne - 5, administracja - 5, badanie jakości - 4 i transport - 2. Łącznie wszystkie te koszty wynoszą 23 procent ceny gotowego produktu. Natomiast udział reklamy w kosztach wyniósł aż 14 procent. Jest to bardzo dużo, jeśli się zważy, że nawet przemysł samochodowy przeznaczą na ten cel 3 procenty. Przemysł farmaceutyczny tłumaczy się wielkimi wydatkami związanymi z bezpłatną przesyłką leków dla lekarzy. Dodajmy, że otrzymują je nie wszyscy lekarze, ale zawsze, bez wyjątku, specjaliści. W ten sposób przemysł wpływa na lekarzy, by propagowali leki i nakłaniali swych pacjentów do ich stosowania. 158 tysięcy lekarzy otrzymuje darmo lekarstwa, wyręczając w zamian pracowników działu akwizycji. Jak obliczono, każdy z nich otrzymuje dziennie porcję leków wartości około 40 dolarów, co dla lekarzy stanowi dość istotne źródło dodatkowych dochodów. Pozostałe koszty przedstawiają się w procentach następująco: zysk hurtowni - 15, detalistów, tj. aptek - 33 i firm produkujących - 15.

Przemysł farmaceutyczny wciąż zarzuca rynek nowymi lekami, sugerując nabywców większą ich skutecznością. Dr Louis Lasagana, profesor medycyny i farmakologii Uniwersytetu im. Johna Hopkinsa w Baltimore, wyraził się, że w gruncie rzeczy tylko bardzo znikoma część nowych leków jest rzeczywiście nowymi. W ostatnich paru latach ukazało się w sprzedaży przeszło czterysta rzekomo nowych leków, ale które tylko z nazwy i ceny - oczywiście wyższej - były nowe. Oto parę przykładów:

Cortone Acetate (nowy) - przeciwko cierpieniom na tle artretycznym – dol. 16.00

Cortisone Acetate (dawny) - 7.75

Ethisterone (dawny) – 4.00

Metocorten (nowy) -
przeciwko cierpieniom na tle artretycznym - 23.25

Prednisone (dawny) - 4.50

Reserpine (dawny) - 1.75

Oreton Methyl (nowy)

– hormon kobiecy –
9.50

Methyl Testosterone (dawny) – 3.00

Również celowość utrzymywania wielkich laboratoriów przez przemysł farmakologiczny jest kwestionowana. Dr Frederick Mayers, profesor farmakologii uniwersytetu kalifornijskiego, twierdzi, że wynalazły one w rzeczywistości zaledwie parę leków. W istocie większość zdobyczy w tej dziedzinie stanowi dorobek krajowych lub zagranicznych instytutów naukowych.

Niezależnie od śrubowania cen leków na porządku dziennym zdarzają się najzwyczajniejsze szalbierstwa. Swego czasu szeroko reklamowano preparat pod nazwą „Rub-N” jako niezawodny środek przeciw wszelkim schorzeniom reumatycznym. Badania laboratoryjne zakładów naukowych stwierdziły niezbicie, że choć lek ten zawiera substancje nieszkodliwe dla zdrowia, nie może skutecznie przeciwdziałać reumatyzmowi. Leki „Coronaid” i „Immun”, reklamowane jako wspaniałe środki na dolegliwości serca, a poza tym jakoby zapobiegające zawałom i przeciwdziałające gromadzeniu się cholesterolu, okazały się bez wartości.

Oszustw tych dopuszczają się zarówno drobni przedsiębiorcy, jak i wielkie firmy. Tak na przykład w 1955 roku powstała firma pod nazwą „Clayton Laboratories” jako oddział wielkich zakładów farmaceutycznych „Grove Laboratories”. Nowa firma rozpoczęła swą działalność od krzykliwej reklamy, ogłaszając wszem, że produkuje niezawodny i uniwersalny środek antywirusowy przeciw przeziębieniom pod nazwą „Citroid”, zapobiegający grypie, ewentualnie zwalczający ją w ciągu jednej doby. Fabryka „Grove” wydawała rocznie dwa miliony dolarów na reklamę, nic więc dziwnego, że „Citroid” znalazł się we wszystkich aptekach i wyparł inne środki przeciw-grypowe. Pudełeczko tego cudownego panaceum, zawierające 32 pastylki, kosztowało dwa i pół dolara. Firma prosperowała wspaniale, rosły dywidendy. Lekiem tym jednak zainteresowało się Amerykańskie Towarzystwo Medyczne. „Citroid” zbadano laboratoryjnie i wówczas wyszło na jaw, że nie posiada on właściwie żadnych własności leczniczych. Poza witaminą C nie zawierał innej substancji przeciwwirusowej. Chociaż wyniki badań opublikowano w prasie, potęga reklamy „Citroid” przełamała wszelkie wątpliwości chorych. Ponieważ nie jest szkodliwy dla zdrowia, nie można zakazać jego produkcji.

Ogromne możliwości takich nadużyć stwarza produkcja przeróżnych past do zębów. Reklama zazwyczaj głosi, że zawierają jakieś „cudowne” składniki zapobiegające próchnicy, chociaż zadają temu kłam autorytatywne wyniki badań laboratoryjnych.

Dziedzina, w której najliczniej żerują przeróżni szarlatani, to produkcja środków odchudzających. Setki i tysiące ogłoszeń zapełniają łamy wszystkich sensacyjnych magazynów. Bardzo głośna była sprawa „Regimen Tablets”. Był to szeroko reklamowany środek odchudzający, który — jak wiele innych — okazał się zupełnie bezwartościowy. Na mocy ustawy o nieuczciwej reklamie zakazano jedynie propagowania tego środka za pośrednictwem poczty. Natomiast nie sposób zabronić reklamowania go w prasie. Producentem „Regimen Tablets” był niejaki John Andreadis, dotychczasowy wytwórca z Hollywoodu różnych „witaminowych” i „hormonalnych” kosmetyków.

Popularyzacja witamin stworzyła dla nieuczciwych producentów szerokie pole do działania. Amerykanie wydają rocznie na witaminy przeszło pięćset milionów dolarów. Wskutek nieuczciwej propagandy prawie każdy Amerykanin zażywa witaminy bez względu na to, czy zachodzi tego potrzeba.

Na usługach przemysłu farmaceutycznego pozostają liczni lekarze, a nawet naukowcy, którzy w broszurach, na odczytach w klubach lub w pogadankach radiowych i telewizyjnych przekonują społeczeństwo o konieczności* stałego uzupełniania zapasu witamin w organizmie. Nie bierze się jednak pod uwagę faktu, że żywność w Ameryce jest wyjątkowo bogata w witaminy, sztucznie dodawane prawie do wszystkich produktów spożywczych, również ze względów reklamowych i konkurencyjnych. Dochodzi do tego jeszcze wysokie stosunkowo spożycie owoców bądź przetworów owocowych. Według zgodnej opinii fachowców z zakresu racjonalnego żywienia przeciętny Amerykanin otrzymuje dziennie zupełnie wystarczającą porcję witamin i kupowanie pastylek jest całkowicie zbędne. Oczywiście reklama firm farmaceutycznych twierdzi co innego. Poza tym reklamuje się, że witaminowe pastylki zawierają różne cenne, potrzebne dla organizmu ingrediencje. Reklama zaszła tak daleko, że potrafiła ludziom wytłumaczyć potrzebę uzupełniania zapasów chloru i sodu, mimo że oba te składniki znajdują się w dostatecznej ilości w każdym posiłku, ponieważ nic tu właściwie nie jada się bez soli.

Amerykanie kupują bardzo dużo witamin, mimo iż zostało już naukowo dowiedzione, że nadużywanie ich jest również dla zdrowia szkodliwe. Szczególne niebezpieczeństwo grozi ze strony witamin A i D. Nadmiar ich powoduje utratę apetytu, nerwowość, różne skórne schorzenia, a przede wszystkim uporczywe bóle głowy. Zwłaszcza to ostatnie cierpienie jest w Ameryce ogromnie rozpowszechnione. Wybitni i odznaczający się poczuciem odpowiedzialności lekarze wskazują na źródła tych dolegliwości i nawołują do rozsądku i zaprzestania bezsensownego witaminowego szaleństwa. Jak dotąd - bez skutku. Potęga reklamy w Ameryce jest wszechmocna.

Koszmar szpitala

Gdyby ktoś zapytał przeciętnego Amerykanina, czego się najwięcej obawia, na pewno odpowie, że szpitala. Szpital to postrach i koszmar dla każdego. Nawet ubezpieczenie nie rozwiązuje problemu. Zwykle bowiem każda polisa przewiduje tylko określoną ilość dni, które ubezpieczony może rocznie przebyć w szpitalu nie ponosząc kosztów. Gdy jednak choroba wymaga dłuższego leczenia szpitalnego, wówczas pacjent musi za wszystko sam płacić. Tego właśnie wszyscy się obawiają. Nawet dla zamożnego człowieka rachunek za pobyt w szpitalu stanowi zagadnienie. Dla żyjącego z tygodniowych zarobków jest to wręcz katastrofa. Wieloletnie oszczędności, z trudem ciułane kosztem wielu wyrzeczeń, szpital potrafi pochłonąć w ciągu paru tygodni.

Amerykańskie szpitale są prawdopodobnie najdroższymi na świecie, co gorsza — nie mogą być tańsze. Luksusowe urządzenia, liczny personel, nowoczesna aparatura. Skąd chorzy mają na to brać pieniądze, nikt się nie pyta. Przeworny się ubezpiecza, lekkomyślny ryzykuje.

Jest pewien rodzaj szpitalnej klienteli, i to nawet licznej, której bynajmniej nie zależy, aby było tanio. Właśnie oni wymagają komfortu, wygód i nawet nieco przesadnej opieki. Klientelę tę tworzą kobiety, tj. matki przebywające w klinikach położniczych. Każda szanująca się kobieta rodzi tylko w szpitalu, a na to nikt nie szczędzi pieniędzy. Na tę ewentualność wszystkie młode małżeństwa są ubezpieczone, a kto płaci, ten wymaga. Parę dni pobytu w szpitalu ma dla kobiety swoisty urok. Amerykanka chciałaby ten pobyt zamienić we wczasy na Florydzie, aby mogła się czuć jak królowa. Obecnie co dzień 48 tysięcy Amerykanek rodzi w szpitalach i one stanowią główny trzon klienteli.

Ciekawostka: dziwnym zbiegiem okoliczności żaden z dotychczasowych prezydentów Stanów Zjednoczonych nie urodził się w szpitalu. Wszyscy — wśród nich również Eisenhower i Kennedy — przyszli na świat w swych domach, jak to ongiś bywało.

Tak się złożyło, że miałem sposobność zapoznać się bliżej z jednym ze szpitali.

Otóż szpital obliczony na około 900 chorych posiadał i 2 785 osób stałego personelu. Przeciętnie przypadają więc trzy osoby na każdego pacjenta. Obowiązuje osiem godzin pracy przez pięć dni w tygodniu. Musi więc być personel zastępczy, aby zapewnić opiekę w nocy. Poza tym w niedzielę i soboty musi być zapewniona specjalna obsługa. Jest, lecz tylko częściowo. Przez te dwa dni nieczynne są wszystkie takie urządzenia, jak sztuczne płuca, aparaty rentgenowskie, laboratoria i inne wymagające wykwalifikowanej obsługi. Jeśli na przykład pacjent, którego należy prześwietlić, przybędzie do szpitala w piątek wieczorem, będzie musiał czekać aż do poniedziałku. W razie gdy zachodzi konieczność udzielenia pacjentowi natychmiastowej pomocy, wzywa się za osobną opłatą odpowiedniego specjalistę. Czekanie w szpitalu również kosztuje.

Sytuacja nie jest jednakowa we wszystkich szpitalach. Są szpitale stanowe, prywatne i prowadzone przez fundacje lub organizacje społeczne — tzw. *non profit*, tj. zakłady traktowane nie jak rentowne przedsiębiorstwo, lecz samowystarczalne. Otóż w szpitalach prywatnych personel jest dobrze płacony i wystarczający. Warunki w szpitalach *non profit* są gorsze, ale jeszcze znośne, natomiast w szpitalach stanowych trudno uznać je za należyte. Płace personelu są bardzo niskie, a same szpitale borykają się z dużymi trudnościami finansowymi. Zdarza się, że angażują one personel spośród osób pozostających na utrzymaniu opieki społecznej. W USA prawo zezwala na korzystanie z zapomóg osobom zarabiającym rocznie poniżej 1 200 dolarów. Ludzie tej kategorii chętnie przyjmują jakąś pracę w tych właśnie granicach zarobków. Oczywiście wielkiego pożytku z takich pracowników nie ma, mimo to szpitale są zmuszone do korzystania z ich usług. Płace niższego _p_ersonelu w szpitalach stanowych wynoszą przeciętnie _30 dolarów tygodniowo. Za taką dniówkę normalny pracownik nie przyjmie posady, gdyż nawet zasiłek bezrobotnego wynosi od 43 do 47 dolarów na tydzień. W efekcie personel jest niefachowy, nieliczny i obowiązki swe wykonuje nadzwyczaj niedbale. Większość ludzi, która decyduje się na pracę w szpitalu stanowym, poza lekarzami oczywiście, jest właściwie niezdolna do normalnej pracy. Są to ludzie starzy lub chorowici, którzy traktują to zajęcie jako coś dorywczego lub swoistą formę zapomogi.

W najgorszym położeniu znajdują się pielęgniarki zatrudnione w szpitalach. Zawód ten jest wybitnie niepopłacony, chociaż pielęgniarkom stawia się bardzo wysokie wymagania. Kandydatka musi ukończyć odpowiednią szkołę, a potem pracować dwa lata bezpłatnie w szpitalu, by otrzymać zaświadczenie z odbytej praktyki. W prywatnych szpitalach początkujące pielęgniarki muszą nawet płacić za praktykę 600 dolarów rocznie. Dopiero po tych dwóch latach zaczynają zarabiać. Pielęgniarki, którym uda się pozostać w prywatnych szpitalach lub innych zakładach leczniczych, są nieźle uposażone. Wprawdzie pensje ich nie są wysokie, lecz szpitale te mają zamożną klientelę, którą zwykle stać na opłacenie oddzielnej pielęgniarki. Stwarza to pewną szansę na podniesienie dochodów. Inaczej natomiast

wygląda ich sytuacja w szpitalach stanowych i nawet w owych *non profit*. Na przykład w Baltimore, gdzie najniższa płaca sprzątaczk lub niewykwalifikowanego robotnika wynosi 1,72 dol. na godzinę, pielęgniarki otrzymują za godzinę tylko 1,68 dol. W innych miastach zarobki ich są jeszcze niższe. W Bostonie wykwalifikowana pielęgniarka otrzymuje w szpitalu za godzinę pracy 1,61 dol., w Atlancie — 1,49 dol., a w Filadelfii — 1,46 dol. Nic więc dziwnego, że notuje się masową ucieczkę kobiet z zawodu pielęgniarskiego. Szpitale amerykańskie potrzebują podobno około 56 tysięcy wykwalifikowanych pielęgniarek.

Brak również innego wykwalifikowanego personelu - kucharzy-dietetyków, pielęgniarzy, techników do obsługi skomplikowanych aparatów, pracowników administracyjnych, a nawet sprzątaczek. Wszyscy unikają szpitali, gdyż wiadomo, że płace są tam wyjątkowo niskie.

Pobyt w szpitalu - jak już mówiliśmy - jest drogi. Za oddzielny pokój opłata za dobę wynosi przeciętnie 25 dolarów. Za łóżko we wspólnym pokoju płaci się 19 dolarów. Użycie sali porodowej kosztuje 37 dolarów, a za lekarstwa szpital pobiera dziennie 8 dolarów. Oddzielnie płaci się za utrzymanie, które może być drogie, lecz średnio kosztuje dziennie trzy dolary. Wszystkie zabiegi lecznicze są bardzo kosztowne. Opłata za elektrokardiogram wynosi 10 dolarów, za prześwietlenie 30 dolarów, transfuzja krwi - około 50 dolarów, a koszt najdrobniejszej operacji sięga zwykle tysięcy (zoperowanie wyrostka robaczkowego kosztuje około tysiąca dolarów. Za samo postawienie diagnozy przed operacją pobiera się zwykle trzysta dolarów.

Statystyki wykazują, że obecnie każdy Amerykanin wydaje rocznie około 95 dolarów na opiekę lekarską, rodzina zaś — 294 dolary. Od 1929 roku wzrost tych kosztów wynosi 184 procent, a od 1948 r. — 91 procent. Droga jest pomoc lekarska, bardzo drogie lekarstwa, lecz najdroższe szpitale. Prywatne szpitale są nowoczesnie wyposażone i przystosowane do zapewnienia maksymalnych wygód. Luksusowe meble, telewizory, radia, sale operacyjne, gabinet rentgenologiczny, nierzadko sztuczne płuca, aparat do prześwietlania serca, aparat do naświetlania narośli rakowych promieniami radioaktywnego kobaltu i wiele innych urządzeń — to wszystko składa się na wyposażenie każdego nowoczesnego prywatnego szpitala.

Jednakże szpitale prywatne są drogie, ponieważ mają charakter komercyjny, dochodowy. Drogie są również szpitale organizacji społecznych (*non profit*), a także stanowe, utrzymujące się z subsydiów. Ceny we wszystkich tych szpitalach prawie się nie różnią, mimo odmiennych warunków. Dzieje się tak dlatego, że szpitale stanowe i fundacyjne muszą przyjmować chorych korzystających z opieki społecznej i leczyć ich, mimo że opieka społeczna nie pokrywa w pełni kosztów pobytu leżącego.

W 1959 r. w szpitalu fundacji Johna Hopkinsa w Baltimore — wiecznie zapełnionym — przebywało na leczeniu 29 251 pacjentów. Mimo to w końcu roku szpital wykazywał deficyt w wysokości 565 tysięcy dolarów. Do tak poważnego ujemnego salda przyczyniło się 4 655 pacjentów pozostających na utrzymaniu opieki społecznej. W Pensylwanii szpitale stanowe w ciągu dwóch lat straciły na pacjentach z opieki społecznej 12 milionów dolarów. W stanie Missisipi opieka społeczna płaci szpitalom po 6 dolarów dziennie na każdego swojego pacjenta, podczas gdy koszt własny szpitala wynosi 22,23 dolara dziennie (wraz z kosztami leczenia). W większości szpitali sprawę tę rozwiązano w ten sposób, że koszty leczenia pacjentów opieki społecznej złożono na barki wszystkich płacących. Na przykład szpitale w Nowym Jorku obciążają każdego płacącego klienta dodatkową kwotą 6,25 dol. na pokrycie swego deficytu.

Rozwiązanie takie byłoby może słuszne i sprawiedliwe, gdyby obowiązek obciążania szpitali bezpłatnymi pacjentami spoczywał na wszystkich lecznicach, a więc i na prywatnych. Obecnie ciąży tylko na stanowych i fundacyjnych; pociąga to za sobą niskie płace personelu i rezygnację z wielu niezbędnych inwestycji. Wbrew bowiem panującej na ogół opinii większość szpitali amerykańskich posiada wciąż jeszcze przestarzałe urządzenia. Oczywiście nie dotyczy to szpitali prywatnych. Natomiast szpitale stanowe i fundacyjne wykazują znaczne braki. W nowojorskim szpitalu Knickebockera aparaty rentgenologiczne stale się psują, gdyż zainstalowano je jeszcze 20 lat temu i nie ma pieniędzy na zakup nowych. W tym samym szpitalu ulegają ciągłym awariom lodówki... sprzed 25 lat. W Baltimore, w szpitalu Provident, oświetlenie sali operacyjnej, zainstalowane przed 32 laty, do dziś nie doczekało się nawet remontu.

Tak oto w dużym zarysie przedstawia się problem lecznictwa w USA — jak wszystko w tym kraju bardzo skomplikowanie i różnorodnie.

Hades skomercjalizowany

Śmierć człowieka pociąga zawsze za sobą — jako logiczną konsekwencję — konieczność urządzenia

pogrzebu. Sprawa właściwie prosta, ale w tym kraju smutna ceremonia pogrzebowa jest czymś jedynym w swoim rodzaju. Pomysłowi Amerykanie uczynili ze śmierci świetny interes.

Amerykańskie zakłady pogrzebowe są urządzone nadzwyczaj przemyślnie i z dużą znajomością psychologii człowieka. Bez wielkich szyldów i prawie bez reklamy. Na ścianie domu, w którym się mieści takie przedsiębiorstwo, wisi zazwyczaj jedynie mała tabliczka informacyjna — Funeral Home, w nocy dyskretnie oświetlona, aby była tylko widoczna. Często zakład mieści się w eleganckiej willi i sprawia wrażenie prywatnego mieszkania. Kiedy indziej wygląda jak kaplica. Wszystko jest jednak tak przemyślane, by klient nie odczuł, przykrego w takich razach, komercyjnego charakteru tej, mimo wszystko, transakcji. Funeral Home stwarza pozory instytucji niosącej pomoc i ulgę zubożałej istocie. Wszelkie rekwizyty i cała sceneria podkreślają powagę chwili, aby tym sposobem ująć klienta i z kupieckim taktem skłonić go do podpisania czeku.

Właściwa dekoracja i prawdziwi aktorzy znajdują się wewnątrz zakładu, który w niczym nie przypomina biura i przedsiębiorstwa. Pokój lub raczej wielki hali tchnie powagą, dostojną elegancją i uroczystym spokojem. Tę atmosferę nieomal nabożnego skupienia stwarzają odpowiednio dobrane meble, obrazy, kwiaty, puszyste dywany i cisza. Z chwilą wejścia klienta do drogiego zakładu rozlega się muzyka organowa. Poważna, uroczysta, dyskretnie przyciszona. Nastrój powagi i żałoby z miejsca przychylnie usposabia klienta do zakładu, ogarnia go bezmiar zaufania i wdzięczności za tak wyraźnie i taktownie okazane mu współczucie.

Pracownicy biura, którzy witają klienta, są odpowiednio ułożeni, mają doskonale wystudiowane miny i gesty. Przyjazne, skupione i zatroskane twarze wyrażają współczucie i gotowość okazania jak najdalej idącej pomocy. Dopóki się nie poruszy kwestii ceny, można by przypuścić, że instytucja ta pracuje bezinteresownie, jedynie gwoli ulżenia w bolesnym strapieniu i „otarcia łez” pogrążonym w nieszczęściu. Aliści rachunek przedsiębiorcy rozwiewa wszelkie iluzje. Ceny są bardzo słone i bardzo różnorodne, zależnie od stanu majątkowego nieboszczyka. Przedsiębiorstwo pogrzebowe, zwykle doskonale zorientowane, zawsze wie, gdzie i kto umiera. W tym celu utrzymują one ścisłe kontakty z lecznicami i szpitalami. Zanim najbliżsi zdążą ochłonąć z pierwszego wrażenia, agent przedsiębiorstwa jest już u rodziny, aby polecić jej swą opiekę nad ciałem zmarłego.

Ceremonie żałobne są w Ameryce dość skomplikowane. Zmarłego przewozi się z domu lub szpitala do kostnicy zakładu pogrzebowego. Tam, po odpowiednim spreparowaniu zwłok, przygotowuje się zmarłego do ostatniego pożegnania.

W każdym domu pogrzebowym znajduje się sala, w której urządza się dla nieboszczyka ostatnie *party*. Uczestniczą w nim rodzina, przyjaciele i znajomi zmarłego. Ciało nieboszczyka leży w trumnie, bądź, dla lepszego wrażenia, sadza się go przy stole w specjalnym fotelu. Ubrany elegancko siedzi z rękami wyciągniętymi jak żywy; wydawać by się mogło, że się nad czymś zamyślił i przymknął na chwilę oczy. Tę mistyfikację osiąga się za pomocą sztucznych zabiegów, zastrzyków i specjalnego makijażu. Nazajutrz po tej uroczystości urządza się pogrzeb. Często przewozi się zmarłego do krematorium i potem odbiera się tylko urnę z prochami. Bywa jednak inaczej. Wówczas przez miasto sunie kondukt pogrzebowy. Za dużym samochodem z trumną jadą czarne limuzyny, dostarczone przez zakłady pogrzebowe.

Cmentarze, tak jak i fabryki, przynoszą tu zyski. Zarządzają nimi sekty religijne, czerpiąc z nich dochody. Niekiedy właścicielami ich są wielkie spółki, nieraz akcyjne, posiadające jednocześnie zakłady pogrzebowe. W prasie wyczytać można takie na przykład ogłoszenie: „Polecamy cmentarz w X, bardzo pięknie położony, w suchym miejscu i ze wspaniałym widokiem na rzekę”.

Chcąc założyć cmentarz, przedsiębiorstwo zakupuje teren, dobrze zlokalizowany i z możliwie ładnym widokiem. Na ten ostatni wzgląd Amerykanie są szczególnie uczuleni. Teren się grodzi, porządkuje, wytycza dróżki i kwatery, sadi ozdobne krzewy i drzewa. Zakłada się coś w rodzaju dużego parku, pomysłowo urządzonego i z piękną bramą wjazdową. Nad nią widnieje Jakiś stosowny werset z Biblii, wymalowany wielkimi, dobrze widocznymi literami. Resztę powierza się skuteczności dźwigni handlu — reklamie prasowej — zachwalającej wszelkie walory. Natrętna reklama namawia obywateli, by jeszcze za życia zapewnili sobie miejsce wiecznego spoczynku na zacisznym cmentarzu.

Zamch na prezydenta Abrahama Lincolna

Do dziś właściwie nie wiadomo, kto wydał rozkaz dokonania zamachu na prezydenta Lincolna. Znani są dobrze bezpośredni wykonawcy, lecz poza nimi nikt więcej. Tak się stało, że inicjatorzy tego mordu zostali w cieniu. Śledztwo przeprowadzono w taki sposób, że wszystkie ślady raz na zawsze zatarto. Wielki Prezydent zginął, a głównych sprawców ominęła zasłużona kara.

Zamachu dokonał John Wilkes Booth. Mierny aktor, lecz bardzo przystojny mężczyzna, cieszył się względami kobiet. Gdy wybuchła Wojna Domowa, nie wstąpił do armii konfederatów, jakkolwiek

opowiadał się po ich stronie. Pozostał w teatrze w Waszyngtonie, gdzie zarabiał olbrzymią na ówczesne czasy sumę 500 dolarów tygodniowo. Konfederaci mieli rozgałęzioną i dobrze zorganizowaną sieć szpiegowską. Booth nawiązał z nimi kontakt, świadcząc im poważne usługi.

W grudniu 1864 roku ten ulubieniec dam odwiedził niejaką panią Mary Surratt w Waszyngtonie. Później, w czasie częstych u niej wizyt, poznał swoich przyszłych współników: George'a Atzerode, pastora Levisa Paine'a, byłego subiekta aptecznego Da-vida Herolda, syna gospodyni oraz tajemniczego pana Downinga, którego nigdy nie zidentyfikowano. U niej też spędził ostatnie popołudnie przed wykonaniem zamachu. Pani Surratt twierdziła potem, że o niczym nie wiedziała.

Mordercy po aresztowaniu zeznali, że zamach był od dawna planowany, lecz jego wykonanie stale odwlekano. Początkowo zamierzano jakoby prezydenta porwać i przewieźć na Południe jako zakładnika, aby tym sposobem wytargować korzystniejsze dla siebie warunki pokoju.

Po trzech nieudanych próbach porwania podjęto decyzję o zamordowaniu Lincolna. Nie wykluczone, że wpłynęła na nią kapitulacja generała Lee w dniu 9 kwietnia 1865 roku. Zamachu miał dokonać Booth w piątek 14 kwietnia w teatrze Forda, w którym Booth występował; tego bowiem dnia prezydent miał być obecny na przedstawieniu. Tego samego wieczoru George Atzerode miał zamordować wiceprezydenta Andrew Johnsona, a Paine — sekretarza stanu Williama Sewarda. Nad całością planu podjął się czuwać Herold. W ten sposób jednego wieczoru Unia miała zostać pozbawiona swych trzech czołowych przywódców.

W ciągu ostatnich paru dni prezydent otrzymał około osiemdziesięciu listów z ostrzeżeniami. Ktoś nawet strzelił do niego, gdy jechał powozem. Sprawcy nie ujęto. Wówczas Lincoln osobiście zwrócił się do ministra wojny Edwina Stantona z prośbą o przydzielenie mu oficera do osobistej ochrony. Stanton obiecał, lecz nie spełnił prośby. Do ochrony prezydenta przydzielono policjanta, Johna Parkera, notorycznego pijaka, cieszącego się bardzo złą opinią. On to właśnie owego krytycznego wieczoru miał być w teatrze i siedzieć przed lożą prezydenta. Lecz i tym razem upił się i na służbę się nie stawił.

Brak ochrony ułatwił zamachowcom zadanie. Booth podszedł do drzwi i przez dziurkę od klucza zajrzał do wnętrza. Lincoln siedział obok żony, a z prawej strony siedzieli goście prezydenta — panna Clara Harris z majorem Rathbone, swoim narzeczoną. Booth czekał. A gdy teatrem wstrząsnął wybuch śmiechu, otworzył drzwi i strzelił z pistoletu. Głowa prezydenta opadła na piersi. Major Rathbone nic nie słyszał, lecz obejrzał się w tej chwili i ujrzał jakiś cień za Lincolnem. Dopadł napastnika, lecz ten go odepchnął i wyskoczył z loży na scenę. W chwili zeskoku zaczął ostrogą o flagę zdobiącą lożę i upadł. Podniósł się natychmiast. Na scenie była wówczas tylko aktorka, która z przerażeniem patrzyła na to, co się działo. Booth, z nożem w rękę, kulejąc, wypadł za kulisy. W pewnej chwili zastąpił mu drogę dyrygent orkiestry, próbując go zatrzymać. Booth pchnął go nożem i pobiegł dalej. Przed teatrem stał człowiek z osiodłanym koniem. Booth bez namysłu wskoczył na siodło.

Drugi konspirator, David Herold, kręcił się po mieście. Był u Atzerode'a i przypomniał mu o jego zadaniu, potem w hotelu „National” chciał spotkać się z Boothem, lecz go już nie zastał. Następnie udał się do stajni i wynajął konia wierzchowego. Właściciel zastrzegł się, że klacz musi być zwrócona do godziny dziewiętej, na co Herold przystał. Mimo to wzbudził podejrzenie i - jak się później okazało - właściciel śledził go w mieście.

Herold pojechał sprawdzić, co robi Paine. Gdy jednak zobaczył jego konia uwięzowanego przed domem Sewarda, zawrócił w kierunku drogi, na której miał się spotkać z Boothem.

W tym samym czasie Atzerode włóczył się od baru do baru, nie mogąc zdobyć się na odwagę, by pójść i zamordować Johnsona. Alkohol nie dodał mu męstwa.

Sekretarz stanu Seward mieszkał z żoną, dwoma synami i córką. Tego dnia uległ wypadkowi; powóz, którym jechał, wywrócił się, a on sam, mocno potłuczony, musiał położyć się do łóżka. Nagle ktoś zaczął się dobijać gwałtownie do domu. Syn ministra otworzył drzwi, lecz na widok dość dziwnie wyglądającego przybysza nie chciał go wpuścić do ojca. Wówczas Paine wyciągnął rewolwer. Chciał strzelić, lecz broń nie wypaliła. Wyciągnął wówczas nóż i pchnął nim w pierś chłopca. Następnie wpadł do sypialni, gdzie stoczył z Sewardem zażartą walkę, ciężko go raniąc i wszystkich prawie domowników, którzy pospieszyli Sewardowi z pomocą. Potem wypadł na ulicę, dosiadł konia i zniknął w ciemnościach.

W tym czasie ciężko rannego Lincolna wyniesiono z loży i przeniesiono do domu naprzeciwko teatru. Wkrótce zjawiał się Stanton, który pozostał tam aż do zgonu prezydenta. Jednocześnie Stanton wydał rozkazy w celu zabezpieczenia budynków rządowych i zarządził pościg za zamachowcami. Posterunki wojskowe na drogach otrzymały polecenie aresztowania wszystkich jeźdźców.

Booth uciekał drogą wiodącą do stanu Maryland, gdzie spodziewał się znaleźć bezpieczne schronienie. Mostu na rzece Anacostia strzegło wojsko. W okresie wojny zamykano go o 9 wieczorem. Dowódcą posterunku był sierżant Cobb. Około jedenastej nadjechał Booth.

— Kim pan jest? — zapytał Cobb.

— Nazywam się Booth.

— Dokąd pan jedzie?

— Do domu.

Cobb tłumaczył się później, iż sądził, że jest to jeden z zamożnych, obywateli, który, zbyt długo zabawił w mieście.

Parę minut później nadjechał drugi jeździec, David Herold. Sierżant zapytał o nazwisko.

— Nazywam się Thomas.

— Dlaczego pan wraca tak późno?

— Byłem u pewnej kobiety.

Sierżant zadowolony tym tłumaczeniem i podniósł szlaban.

Wkrótce znów zatępiły kopyta końskie i nadjechał trzeci jeździec. Był to właściciel wynajętego konia.

— Muszę dogonić osobnika, który pojechał przed chwilą. Miał mi zwrócić konia o dziewiątej, a już jedenasta. To na pewno złodziej... niech mnie pan koniecznie przepaści.

Teraz dopiero Cobb okazał się nieustępliwy.

— Most jest zamknięty — powiedział — pojedzie pan jutro, a koń nie zginie.

Właściciel musiał zawrócić. Pojechał wprost na policję i zameldował, że skradziono mu konia. Gdy podał wszystkie okoliczności, powzięto podejrzenia, że musiał to być jeden z zamachowców. Wydano więc rozkaz kawalerii, by wyruszyła w pościg za podejrzanym jeźdźcem. Rozkazu jednak nie wykonano natychmiast. Wyłoniły się różne trudności, ale główną przyczyną było zwykłe niedbalstwo. Pogoń wszczęto dopiero następnego dnia rano.

Herold wkrótce dopędził Bootha i obaj pojechali razem, kierując się na południe. Booth z trudem trzymał się na koniu. Skacząc w teatrze z łoża prezydenckiej zwiczną nogę. Kiedy uciekał z teatru, nie zważał na ból, może go nawet nie czuł, teraz jednak noga w ciasnym bucie bolała go nieznosnie.

W Surrattsville, dziesięć mil od Waszyngtonu, znajdowała się oberża. Tu przechowywano broń, której spiskowcy mieli użyć przy porwaniu prezydenta. Oberżysta John Lloyd otworzył drzwi, a potem na żądanie przyniósł dwa pistolety ze schowka. Booth wypił butelkę wódki w nadziei uśmierzania bólu. Wkrótce obaj odjechali, kierując się do Port Tabacco nad rzeką Potomac. Tam czekała na nich łódź, którą mieli się przeprawić na drugi brzeg. Booth jednak omdlewał z bólu. Postanowili poszukać lekarza i zmienili pierwotny plan. Zamiast do Port Tabacco udali się do Brytown, gdzie na farmie w pobliżu miasteczka mieszkał lekarz, dr Samuel Mudd. Przybyli około czwartej nad ranem. Booth nie był już w stanie zsiąść z konia. Herold z lekarzem wnieśli go do mieszkania. Lekarz nastawił mu nogę, a nazajutrz po południu obaj spiskowcy odjechali. Jak się później okazało, dr Mudd skierował zbiegów do farmy Coxa, który posiadał łódź i mógł ich przeprowadzić przez rzekę.

Zmylili jednak drogę 1 dopiero w sobotę o północy przybyli do Coxa. Przeprowa przez rzekę była jednak niemożliwa. Wszędzie pełno było wojska, które przetrząsało całą okolicę. Cox uznał, że pozostawanie zbiegów na farmie jest zbyt niebezpieczne i wyprawił ich na pobliskie bagna. Tam ukrywali się przez sześć dni.

W Waszyngtonie szybko zidentyfikowano morderców. Tej samej nocy, kiedy dokonano zamachów, znano już nazwiska i rysopisy sprawców. Dowiedziano się również, że Booth często bywał u pani Surratt i przyjaźnił się z jej synem. Detektywi udali się do niej, ale syna nie zastali. Dopiero w poniedziałek w nocy generał C. Augur, który kierował pościgiem, nakazał aresztować panią Surratt wraz z domownikami. Gdy policja była w jej domu, wszedł jakiś obcy wysoki mężczyzna. Przybysz przestraszył się i nie umiał podać przyczyny swojej wizyty. Ponieważ wydał się podejrzanym, aresztowano go. W czasie przesłuchania podał, że nazywa się Levis Paine. Bez większego trudu rozpoznano w nim osobnika, który ciężko ranił ministra Sewarda. Następnego dnia wpadł w ręce policji kompletnie zamroczony alkoholem George Atzerode. Wszystkich spiskowców wtrącono do więzienia. Na polecenie ministra Stantona delikwentom założono kajdany na ręce i nogi, a na głowy specjalne kaptury z otworami na nos i usta.

Poszukiwanie sprawców zbrodni przerodziło się wkrótce w wielką obławę, zbiorową histerię. Posypały się donosy, aresztowano tysiące zupełnie niewinnych ludzi; zapełniły się wszystkie areszty i więzienia. Cała bliższa i dalsza rodzina Bootha została uwięziona. Brat Bootha występował w teatrze w Cincinnati. Gdy do miasta nadeszła wiadomość o zamordowaniu prezydenta, rozwścieczony tłum zaatakował hotel, w którym mieszkał aktor. Zdołał jednak uciec, ale wkrótce został aresztowany w Filadelfii.

Na ślady Bootha natrafiono dopiero 17 kwietnia rano. Patrol kawaleryjski przyjechał do oberży Lloyda; od niego dowiedziano się o pobycie ściganego. Oberżysta dodał też, że poprzedniego dnia była pani Surratt i zapowiedziała, iż pozostawioną u niego broń zabierze dwóch jeźdźców, którzy przybędą w piątek w nocy. Z oberży kawalerzyści pojechali wprost do dr Mudda. Lekarz twierdził początkowo, że o niczym nie wie, później jednak przyznał się, że udzielił Boothowi pomocy lekarskiej. Niefortunnego lekarza aresztowano i wysłano do Waszyngtonu.

Mudd zeznał między innymi, że Booth z towarzyszem udał się do Coxa. Kawalerzyści przetrząsnęli farmę i okoliczne bagna, lecz nie znaleźli nic podejrzanego. Booth i Herold już poprzedniej nocy przeprowili się_ wpraw przez rzekę Potomac i dotarli wkrótce do samotnej chatki, zamieszkałej przez Murzyna Lncasa. Zagrozili mu nożem i kazali się przenocować. Rano zabrali mu konie i znikli. Po ich odjeździe zrozpaczony Murzyn pobiegł ze skargą na posterunek policji.

Tymczasem obaj zamachowcy spotkali na drodze trzech konfederatów wracających z pogromu w rodzinne strony. Jeden z nich, kapitan Willie Jett, doradził im, aby udali się do farmy Garretta, o którym wiadomo, że sprzyja południowcom. Pojechał nawet z nimi i przedstawił zamachowców Garrettowi jako żołnierzy, uciekinierów z niewoli. Prosił go również o udzielenie im gościny na farmie, by przez kilka dni mogli spokojnie wypocząć.

Tego samego dnia wieczorem Jett powrócił, by ostrzec Bootha, że wojsko jest na jego tropie. Booth i Herold schronili się w stodole. W chwilę potem został ujęty Jett, który wskazał miejsce ukrycia. Twierdził, że nie wiedział, kim byli jego przygodni towarzysze. Nocą oddział kawalerii otoczył farmę Garretta. Żołnierze podeszli do kryjówki zbiegów.

— Hej wy! — krzyknął oficer — wychodźcie! Daję wam pięć minut czasu do namysłu. Jeśli nie wyjdziecie, spalę was razem ze stodołą!

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Gdy oficer ponowił wezwanie, Booth zapytał — Czego chcecie od nas?

Powtórzone groźbę. W odpowiedzi Herold zawołał, że się poddaje. Kazano mu wyjść z podniesionymi rękoma. Skuto go natychmiast i przywiązano do drzewa. Booth jednak postanowił się bronić. Żołnierze zaczęli znosić chrust i słomę. Podpalona sterta buchnęła płomieniem. Wtem rozwarły się wrota i ukazał się Booth. Wyglądał okropnie. Blady, z rozwichrzonymi włosami, dzikim spojrzeniem. Nagle padł strzał i Booth zwał się na ziemię, śmiertelnie trafiony. Kto strzelił, nie wiadomo. Umierając rzekł z patosem: — Powiedzcie mojej matce, że umarłem za wolność ojczyzny...

Zaraz potem skołał.

Dowódca oddziału, porucznik Doherty, spieszył się do Waszyngtonu, by podjąć dla siebie i żołnierzy ebieeaną nagrodę — 25 tysięcy dolarów. Zabrano ciało Bootha, więźniów i ruszono w drogę. W Waszyngtonie zaczęły się jednak komplikacje, gdyż na podstawie fotografii nie można było zidentyfikować Bootha, Dentysta aktora, obejrzawszy plomby, orzekł, że jest to ktoidz inny. Zdumienie musi budzić fakt, że dla zidentyfikowania zabitego nie wezwano nikogo z bliskich krewnych, lecz natychmiast pogrzebano trupa na dziedzińcu arsenału. Właściwie do dziś dnia nie jest pewne, czy to Booth został wtedy pogrzebany. Poddawano nawet w wątpliwość, czy został w ogóle zabity?

W maju 1865 roku odbył się proces spiskowców. Levis Paine, David Herold, George Atzerode i Mary Surratt zostali skazani na karę śmierci przez powieszenie. Egzekucję wykonano następnego dnia po ogłoszeniu wyroku. Inne osoby, tylko pośrednio zamieszane w zamachu, a wśród nich dr Mudd i Lloyd, otrzymały karę dożywotniego więzienia. Tak się zakończyła cała sprawa; pośpiech, z jakim ją załatwiono, wzbudził podejrzenia, że komuś bardzo zależało, by nie ujawniono zbyt wiele szczegółów. Zginął też w tajemniczy sposób pamiętnik Bootha, znaleziony przez żołnierzy na farmie Garretta. Nie wyjaśniono, kto dopomógł w ucieczce Johnowi Surrattowi, który schronił się w Kanadzie, a potem w Anglii. W końcu został aresztowany w Egipcie. Sąd jednak z braku dowodów wydał wyrok uniewinniający.

FABRYKA DOLARÓW

Kredytowe szaleństwo

Pewnego dnia ktoś zadzwonił do mego mieszkania. Gdy otworzyłem drzwi, wszedł młody człowiek, proponując mi kupno książek. Jedna z nich zainteresowała mnie, lecz kiedy podał mi cenę, zrezygnowałem z nabycia. Wówczas rzekł:

- Przecież teraz zapłaci pan tylko 50 centów, a potem po 50 centów tygodniowo.

Kupiłem i wydatku tego nie odczułem. Podpisałem formularz, wpłaciłem 50 centów i na tym skończyły się wszystkie formalności. Potem co tydzień wkładałem do koperty 50 centową monetę i wrzucałem do skrzynki pocztowej. Tak wyglądała cała transakcja — dla firmy korzystna, a dla mnie dogodna.

W Ameryce wszystko można kupić na kredyt — towar w najbliższym supermarkecie i willę w osiedlu podmiejskim. Przeciętny Amerykanin niewiele ma do czynienia z pieniędzmi w postaci gotówki. Pensje przekazuje firma wprost na konto bankowe pracownika. Z kolei bank dokonuje spłaty rat i kredytu w sklepach.

Kredyt ma ułatwiać kupno, zachęcać do niego i zniewalać ludzi. Doszło do tego, że klient płacący gotówką wywołuje zdziwienie i podejrzliwość. Znanie czasopismo amerykańskie „New Yorker” zamieściło kiedyś rysunek satyryczny przedstawiający sklep jubilera. Klient przed ladą ogląda pierścionek z ogromnym brylantem i wyraźnie zakłopotany pyta: — Ale czy gotówkę pan także przyjmie?

Formy kredytu są bardzo różnorodne. Przede wszystkim raty. Sprzedaż ratalna umożliwia nabycie droższych rzeczy — samochodu, lodówki, telewizora i domu. Wpłata gotówkowa nie jest wielka i wynosi najwyżej 20 procent ceny towaru. Niektóre firmy dla zachęty dają towar bez wpłaty, pierwsze zaś raty przypadają dopiero po sześciu miesiącach.

Drugą formą kredytu są konta w domach towarowych i supermarketach. Wystarczy tam przyjść i zgłosić chęć posiadania otwartego konta i płacenia raz na miesiąc za pobrane towary. Należy tylko okazać jeszcze *driver li-cense*, prawo jazdy, stanowiące tu właściwie jedyny dowód tożsamości i stwierdzające miejsce zamieszkania oraz podać, gdzie oprócz tego korzysta się z kredytu. Każdy, kto nie korzystał dotąd z niego, wzbudza podejrzenie. Wówczas załatwienie formalności będzie trwało dłużej. Firma zasięga opinii jednej z agencji, by dowiedzieć się, czy osoba ubiegająca się o otwarcie kredytu jest solidnym płatnikiem. Zarówno agencje, jak i firmy nie interesują się zupełnie wysokością zarobków przyszłego płatnika ani jego stanem majątkowym lub kontem w banku. Chcą tylko wiedzieć, czy klient nie ma zwyczaju uchylać się złośliwie od obowiązku spłacania zaciągniętego długu. Jeżeli już gdzieś korzysta z kredytu, sprawa jest prosta. Biada klientowi, który nie spłaci jakiejś raty w terminie; z tą chwilą może być pewien, że nikt już kredytu mu nie udzieli. Pod tym względem Amerykanie są nadzwyczaj wrażliwi. Wrażliwość ich w tym względzie jest równa ufności, z jaką się tu każdego traktuje.

Te wszystkie formy kredytu nie są jednak groźne. Niebezpieczne stały się natomiast wprowadzone ostatnio karty kredytowe. Posiadacz takiej karty, po załatwieniu drobnych formalności, otrzymuje wszędzie kredyt bez grosza gotówki i bez ograniczeń. Ta forma kredytu zaczyna dominować i coraz więcej osób popada w tarapaty finansowe. Pokusa jest wielka i trzeba mieć dużo silnej woli, by kupować tylko w miarę swych możliwości i rzeczywistych potrzeb.

Najszerzej stosowany jest kredyt przy sprzedaży samochodów. W 1958 r., z ogólnej sumy 45 miliardów dolarów udzielonych kredytów, na samochody przypadła jedna trzecia. Nasuwa się stąd wniosek, że Amerykanie jeżdżą przeważnie samochodami, które nie są jeszcze ich własnością. Resztę tej sumy przeznaczono na zakup różnych dóbr konsumpcyjnych (9 687 milionów), na reperację i modernizację domków jednorodzinnych (1 984 milionów), na różne pożyczki (7 898 milionów), na prywatne kredyty (3 502 milionów), na kredyty na otwartych kontach firmowych (4 760 milionów), na kredyty usługowe (2 451 milionów). Wspomniane kredyty są wyłącznie typu konsumpcyjnego i nie obejmują ogromnej sumy pożyczek udzielanych na kupno domków jednorodzinnych.

W roku 1932 ogólna suma kredytów wynosiła 3 576 milionów dolarów. Suma ta stopniowo wzrastała o dwa lub trzy miliardy rocznie, osiągając w 1958 r. 45 miliardów dolarów. Tendencja wzrostu utrzymuje się nadal.

Stosowanie kredytu przy nabywaniu dóbr konsumpcyjnych ma w tym kraju wieloletnią tradycję. Nigdy jednak nie przypuszczano, że mogą być udzielone aż na tak ogromną skalę. Kredyt stał się już nieodzownym czynnikiem amerykańskiego życia gospodarczego i podstawowym warunkiem istniejącej „prosperity”. Trudno sobie nawet wyobrazić konsekwencje odmowy udzielenia kredytu przez firmy i zmuszenia klientów do płacenia gotówką. Tornado i trzęsienie ziemi nie spowodowałyby takiego zamętu i spustoszenia gospodarczego.

Stoliczku nakryj się

Dzień zaczął się normalnie. Jane Morrisey pocałowała męża, odjeżdżającego jak zwykle do pracy, i wyprawiła obu swoich synów do szkoły. Po czym — jak zwykle — zabrała się do codziennych porządków w domu. I oto tego dnia państwo Morrisey otrzymali list z rachunkami, płatnymi natychmiast, na łączną sumę około 500 dolarów. Konsekwencja 30-dniowego, beztroskiego życia i równie beztroskiego korzystania z karty kredytowej.

Okolo 15 milionów Amerykanów jest posiadaczami kart kredytowych. Obroty handlu wewnętrznego w ciągu ostatnich dziesięciu lat wzrosły niemal trzykrotnie. W rezultacie w dniu wypłaty większość ludzi nie potrzebuje się zastanawiać, na co przeznaczyć zarobione pieniądze. Są one właściwie już z góry wydane. Wśród rodzin średnio sytuowanych — o dochodach od 3 tysięcy do 8 tysięcy dolarów rocznie — 40 procent każdej wypłaty pochłania spłata towarów pobranych na karty kredytowe. Obciążenia z tego tytułu zabierają przeszło połowę dochodów czwartej części rodzin amerykańskich.

Większość ekonomistów amerykańskich uważa, że bez szerokiego stosowania kredytu osiągnięcie wysokiej stopy życiowej przez rodzinę byłoby niemożliwe. Cofnięcie kredytu odbiłoby się ujemnie przede wszystkim na rozwoju przemysłu samochodowego i zakładów produkujących lodówki, pralki, telewizory itp.

Karty kredytowe wprowadzono w 1920 roku. Na pomysł ten wpadły wielkie firmy sprzedające benzynę. Próba zdała egzamin. Ten system udzielania kredytu przejęły następnie hotele i przedsiębiorstwa wynajmu samochodów. Otóż posiadacz takiej karty po jej okazaniu i podpisaniu rachunku mógł wszędzie dostać benzynę lub pokój w hotelu. Koszty pokrywa towarzystwo kredytowe, które potem ściąga należność od posiadacza karty.

Po drugiej wojnie światowej powstały tzw. kluby obiadowe (*dinner club*); wprowadziły one dla swych członków karty kredytowe. Amerykanie zwykle jadają obiady w restauracjach. Posiadanie takiej karty pozwoliło im korzystać z obiadów we wszystkich dowolnych lokalach restauracyjnych, a rachunki regulować miesięcznie. Z początku znalazło się zaledwie dwustu amatorów takiego kredytu. Obecnie „klub” zrzesza już milion członków. Za wygodę i kredyt płaci się rocznie pięć dolarów. Bardzo łatwo więc obliczyć olbrzymie dochody z tego źródła, tym większe, że prócz tzw. opłaty członkowskiej wszystkie restauracje płacą przedsiębiorstwu pewien procent od obrotu. Za przykładem *dinner klubów* poszedł następnie przemysł i handel.

Karta kredytowa niewątpliwie ułatwia życie, lecz staje się też przyczyną łatwego popadania w długi. Towarzystwa wydające karty kredytowe starają się je wetknąć bez mała każdemu. Formularze zgłoszeniowe z zaadresowaną gotową kopertą rozsyła się pocztą do domów i można je dostać wszędzie — na dworcach kolejowych, autobusowych, w pokojach hotelowych, na stolikach w

restauracjach, w bankach, sklepach i supermarketach.

Mąż Jane Morrisey nie zastanawiał się wiele, zamawiając kartę kredytową. Wygoda była oczywista, opłata zaś niewielka. „American Express” i „Hilton”, dwa największe towarzystwa, na karty których można dostać wszystko, pobierają od klienta jedynie sześć dolarów rocznie. Dodatkowa karta dla żony kosztuje tylko połowę.

Myśl, że karta ta stwarza nieodpartą pokusę kupowania więcej, niż się zamierzało, nie przyszła Morriseyom do głowy. Zapomnieli też, że Ich piękny domek w stylu rancza nie jest jeszcze spłacony i że co tydzień trzeba płacić ratę. Za samochód winni byli jeszcze tysiąc dolarów. Nie obawiali się jednak niczego. Ostatecznie Fred już od paru lat miał kartę benzynową i nic się złego nie stało. Stanowiła nawet duże udogodnienie, a rachunki nie były wyższe, niż gdyby za benzynę przyszło płacić gotówką.

Wypełnili kwestionariusz, bardzo zwięzły i nieskomplikowany: gdzie pracuje, w którym banku posiada konto i czy dom jest jego własnością. Gdy wysłał podpisany kwestionariusz, nie wierzył, że tak łatwo, bez poręczeń czy urzędowych formalności, otrzyma kartę otwierającą nieograniczony kredyt. Ostatecznie to sprawa towarzystwa, a o sobie był najzupelniej spokojny. Zawsze płacił regularnie i w terminie wszystkie należności i nie przypuszczał, by coś mogło się zmienić.

Dochody miał średnie, sto dolarów tygodniowo, lecz jak dotychczas, wystarczały na całą rodzinę. Dziwił się tylko, że kwestionariusz nie zawierał pytania, ile zarabia, i że nie określał limitu kredytowego. Towarzystwa nie robią wiele ceremonii z badaniem zdolności płatniczych swoich przyszłych dłużników. W rzeczywistości tylko w jednym wypadku na dwanaście odmawia się udzielenia karty kredytowej. W praktyce łatwiej nawet uzyskać taką kartę niż miesięczny kredyt w miejscowym supermarkecie.

O tym, jak łatwo się ją dostaje, świadczy pewna sprawa sądowa. Osiemnastoletni młodzieniec zgłosił się o kartę kredytową. Kiedy ją otrzymał, porzucił pracę i rozpoczął hulaszczy tryb życia. Zamieszkał w drogim hotelu, jadał w najlepszych restauracjach i stał się bywalcem modnych lokali. Ubrał się elegancko i nie odmawiał sobie niczego. Wreszcie zapragnął zasmakować podróży po Stanach Zjednoczonych, bez centa w kieszeni, mając jedynie kartę kredytową, która niczym czarodziejska różdżka spełniała każde jego życzenie. Powinęła mu się noga dopiero wówczas, gdy chciał kupić zbyt drogi samochód. Sprzedawcę zdziwił młody wiek klienta. Szybko zasięgnął informacji przez agencję, a potem skontaktował się z towarzystwem kredytowym. Młodzieńca aresztowano. Mimo to z opresji wyszedł obronną ręką. Sąd zasądził tylko 10 tysięcy dolarów tytułem długu, które pod rygorem aresztowania będzie musiał odtąd spłacać.

Morriseyowie też bez trudu otrzymali kartę. Koperta zawierała ponadto list powitalny, utrzymany w nader miłym tonie, oraz książeczkę informującą, gdzie i co można nabywać bez grosza w kieszeni. Dowiedzieli się więc, że na kartę mogą dostać odzież, napoje alkoholowe, książki, biżuterię i wiele innych mniej lub bardziej cennych rzeczy.

— Właściwie mógłbym dziś pojechać do San Francisco i powrócić bez centa w kieszeni — powiedział Fred, przestudiowawszy prospekt. — Wystarczy ją pokazać i... stoliczku nakryj się! Jane nie słuchała. Zbyt była pochłonięta prospektem i rozmyślaniami, co jutro zakupi. Perspektywy były wspaniałe, cały świat stanął przed nimi otworem. Mogli pojechać na Bermudy albo na Florydę. Mogli sobie urządzić myśliwską wyprawę do Afryki (koszt? bagatelka — 60 tysięcy dolarów!). Mogli pojechać w podróż dokoła świata lub spędzić dłuższy czas w cieniu wieży Eiffla. Mogli przejechać się na wielbłądzie w Kairze, kupić fortepian w Wiedniu, meble w Kopenhadze, dywan w Persji, obraz we Florencji lub miecz samurajski w Jokohamie. Wszystko bez centa w kieszeni!

Następnego dnia Fred postanowił sprawdzić czy naprawdę jest tak, jak to obiecuje prospekt. Zdecydował się pójść do restauracji. Przeglądając spis restauracji, honorujących karty kredytowe, zauważył, że nie ma w nim tańszych lokali, w których dotychczas spożywał *lunch* za 85 centów. W restauracjach, objętych spisem, obiad kosztował cztery i pół dolara. Wzruszył ramionami, nie wyda przecież ani centa.

Po tygodniu przyzwyczał się już do jadań w drogich restauracjach. Kiedyś zaprosił nawet paru kolegów, by im zaimponować. Potem zrobił kilka sprawunków. Trochę odzieży, bielizny, para obuwia, dobry aparat fotograficzny i nieco drobiazgów. Jedyne luksusy, na jakie sobie pozwolił, to pudełko czekoladek i wielki bukiet kwiatów, które „kupił” jako prezent dla żony.

Wciąż się tylko dziwił, że nie ma żadnych ograniczeń.

— Nie robimy żadnych ograniczeń — powiedział jeden z dyrektorów w wywiadzie prasowym. — Zrobiłoby to bardzo złe wrażenie. Odebralibyśmy także ludziom złudzenie wszechwładnej mocy karty. Posiadacz jej ulega sugestii, że jest milionerem. Może mieć wszystko, na co ma ochotę, może zaspokoić każdą swoją zachciankę. Za to właśnie ludzie tak chętnie płacą!

Nie tylko Fred cieszył się z karty. Pani Morrisey także była zachwycona. Potrzebowała bardzo wielu rzeczy, których musiała sobie dotąd odmawiać. Kupiła to, co uważała za konieczne. Potem poszła do „salonu piękności”, do drogiego fryzjera, a w eleganckim domu mody sprawiła sobie piękną sukienkę wiosenną. Podobnie jak przedtem Fred, uczyniła spostrzeżenie, że może kupować tylko w drogich magazynach, mimo iż taka forma zakupu była o wiele kosztowniejsza od zwykłej. Kupowała jednak dalej, ciesząc się, że może nabywać wszystko, co jej się żywnie podoba.

Tak samo jak Morriseyowie, reagują na „czarodziejską różdżkę” tysiące innych ludzi. Karty kredytowe mają właśnie za zadanie ułatwić wydawanie pieniędzy i skłonić ich posiadaczy, by wydawali więcej niż zwykle. Badania towarzystw kredytowych wykazały, że posiadacz karty wydaje o 35 procent więcej niż normalnie. Kupuje więcej i za wszystko płaci drożej. Dlatego sklepy, restauracje, hotele i inne przedsiębiorstwa tak łatwo i chętnie użyczają kredytu, chociaż jest w zasadzie drogi, gdyż towarzystwa pobierają za pośrednictwo aż 7 procent od obrotu.

Wieczorem, gdy Jane i Fred przejrzyli rachunki, uświadomili sobie, że wydali więcej, niż pozwalał im budżet. Właściwie zapomnieli, że ciążą na nich te należności. Jednak w biurach, gdzie gromadzi się te rachunki, nie przeoczy się niczego. Należność opiewała na kwotę 469,76 dolarów.

Byli przerażeni. W banku nie mieli nawet stu dolarów, ponieważ, jak zwykle, wpłacili raty za domek i samochód. Pomyśleli o rozłożeniu należności na raty. Mylili się jednak. Rachunki za towary pobrane na karty kredytowe są płatne raz na miesiąc i nigdy nie prolongowane. Towarzystwa dają jedynie dziesięć dni na uregulowanie rachunków. Towarzystwo już zapłaciło przedsiębiorstwom za towary i teraz spieszy się z wycofaniem swoich należności.

Inkaso przebiega na ogół sprawnie. Według statystyki 15 procent posiadaczy płaci swe należności w ściśle przewidzianym terminie, 84 procent płaci z małym opóźnieniem i tylko jeden procent nie spłaca ich wcale. Dla towarzystw kredytowych ten jeden procent nie ma znaczenia. Uważają tylko, by kwota spisana na straty nie przekraczała w skali rocznej miliona dolarów. Taką bowiem „stratę” przewidziały i z góry wkalkulowały w koszty handlowe.

Fred włożył rachunki do szuflady biurka w złudnym przekonaniu, że jednak znajdzie się jakieś wyjście. Mijały dni, a nasz znajomy zapomniiał, że musi płacić. Po miesiącu znowu nadszedł list. Grzeczny, ale bardzo stanowczy. Trzeba wszystko natychmiast zapłacić, gdyż w przeciwnym razie może się narazić na duże przykrości.

Po dwóch tygodniach rozpętało się istne piekło. Na dom Morriseyów zaczął spadać deszcz listów i telegramów. Przez telefon otrzymywał upomnienia, a nawet pogróżki. Pewnego dnia jakiś urzędnik towarzystwa oświadczył z nutką groźby przez telefon, że towarzystwo potrafi stosować dość przykre metody ściągania należności. Państwo Morriseyowie — zadłużeni po uszy — byli bezradni. Nie mieli pieniędzy, by uregulować natychmiast tak dużą należność.

Trzy miesiące później przed dom Morriseyów zajechał samochód. Wysiadł z niego jakiś pan i zażądał zwrotu kart kredytowych. Groził policją, sądem, egzekutorem. Upokorzony Fred oddał karty bez sprzeciwu. Potem dopiero zwrócił się do banku o udzielenie pożyczki. Po długich staraniach — za odpowiednim poręczeniem — otrzymał pożyczkę i spłacił dług w towarzystwie kredytowym. Musiał jednak uiścić wszystkie koszty, odsetki, a także adwokata, gdyż zamierzano skierować sprawę do sądu. Razem 595 dolarów.

Nie tylko Morriseyowie korzystają z kart kredytowych. Korzystają z nich wszystkie większe przedsiębiorstwa, przeznaczając je dla swoich urzędników wysyłanych w interesach firmy, jak to się u nas nazywa — w „delegację służbową”. Urzędnik udający się do Nowego Jorku, który musi za wszystko płacić kartą kredytową, nie może spać w podrzędnym hoteliku za dwa dolary, lecz obciąża firmę rachunkiem na 15 dolarów. Również wszyscy *businessmeni* chętnie posługują się tymi kartami. Co miesiąc otrzymują rachunki i wtedy mogą dokładnie obliczyć swoje koszty handlowe i uzyskać na ich podstawie potrącenie od sumy podatkowej.

Karty kredytowe są bardzo rozpowszechnione. Dzięki nim można otrzymać lub opłacić właściwie wszystko. Towarzystwa kredytowe twierdzą, że z czasem karty całkowicie wyprą gotówkę, że każdy człowiek zamiast pieniędzy będzie miał w kieszeni taką kartę.

Jak obliczono, społeczeństwo amerykańskie płaci za karty kredytowe roczny haracz w wysokości siedmiu miliardów dolarów. Suma ta obejmuje cenę kredytu, którą obarcza się nabywców. Za każdy towar lub usługę płacą oni także cenę wyższą od normalnej. Wszystko to podraża wydatnie utrzymanie. Wymowny jest fakt, że jedno z towarzystw kredytowych proponuje swym członkom 10 procent rabatu we wszystkich sklepach, hotelach, restauracjach, o ile okazując kartę nie skorzystają z kredytu, lecz należność opłacą na miejscu gotówką!

Z każdym dniem coraz więcej ludzi korzysta z kart kredytowych. Być może, że za parę lat — zgodnie z

przewidywaniami towarzystw kredytowych — każdy Amerykanin będzie posiadaczem takiej karty. Jest to niewątpliwie wygodne, jeśli się tylko ma dostatecznie silną wolę, by oprzeć się pokusie życia nad stan. Z kartą w kieszeni można żyć bez pieniędzy, nie można tylko umrzeć. Zakłady pogrzebowe są jedynymi przedsiębiorstwami w Ameryce, gdzie za wszystko trzeba płacić gotówką. Może jednak i one zaczną honorować te swoiste czeki i wówczas ujrzymy reklamę tej treści: „Umieraj dziś, a za pogrzeb zapłacisz jutro!”

Magia czerwonych i zielonych znaczków

Henry Adams, potomek drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych, był historykiem i trochę filozofem. W książce swojej, zatytułowanej „Education of Henry Adams”, wyraził opinię, że nie byłby w stanie żyć w społeczeństwie, w którym bogactwo byłoby obowiązującym nakazem. Nie przypuszczał zapewne, że takie właśnie będzie społeczeństwo amerykańskie. Pieniądz stał się tu największym ideałem; szacunkiem darzy się tego, kto najłatwiej potrafi go wydrzeć innym, nie wchodząc, oczywiście, w kolizję z prawem. Sztuka polega na tym, by zdobyć pieniądze bez większego wysiłku, dzięki pomysłowi. Pomysłów takich jest całe mnóstwo. Są lepsze i gorsze, nieudane i takie, które przynoszą milionowe zyski. Na szczególną uwagę zasługuje pomysł z premiovanymi znaczkami.

Rzecz jest nader prosta. Na pozór wydaje się tylko reklamą, dlatego większość społeczeństwa amerykańskiego nie podejrzewa, że za kulisami owych niewinnych „premiów” kryje się milionowy *business*. Otóż w sklepach wydawane są kupującym premie w postaci znaczków, odpowiednio do wartości dokonanych zakupów. Za znaczki te można potem dostać przeróżne przedmioty jako bezpłatną premię. Przeważają zwykle znaczki zielone lub czerwone, w potocznej mowie nazywane według ich kolorów. Reklamy sklepów ogłaszają, że jako premię dają swym klientom zielone lub czerwone znaczki. Co druga amerykańska gospodyni domowa skrzętnie je zbiera i stara się kupować tylko w tych sklepach, które wydają te znaczki. System ten jest tak samo rozpowszechniony, jak karty kredytowe lub sprzedaż ratalna.

Pierwsze firmy wypuszczające znaczki premiovane dla klientów sklepowych powstały już przed piętnastu laty. Dostarczają je sklepom w książeczkach lub w rolkach, a potem bezpłatnie wydają towary posiadaczom odpowiedniej ilości znaczków. Trik polega na tym, że premia stała się źródłem dodatkowych dochodów. Głośne było następujące zdarzenie: pewna Amerykanka, właścicielka restauracji w Pueblo, w stanie Kolorado, w ciągu długich lat zbierała znaczki, jakie otrzymywała w formie premii od rzeźnika, dostawcy mięsa do jej zakładu. Gdy zebrała 1 300 pełnych książeczek, udała się do składu firmy emitującej te znaczki i wybrała sobie samochód, nowy model Buicka. Dla reklamy fotografowano ją z samochodem niezliczoną ilość razy, podkreślając, że jest to nagroda za wytrwałość i rozumnie pojętą gospodarność. Mogłoby się zrazu wydawać, że darmo otrzymała kosztowny wóz. W rzeczywistości padła ona ofiarą własnej naiwności — drogo zapłaciła za swój samochód. Przyjrzyjmy się bliżej całemu procederowi ze znaczkami.

Otóż firmy emitujące znaczki sprzedają je sklepom detalicznym po cztery dolary i pięć centów za książeczkę, zawierającą tysiąc pięćset znaczków. Aby otrzymać tę ilość znaczków, klient musi dokonać zakupów za 150 dolarów, a zatem cena książeczki wynosi 2,7 procent ceny towaru. Teoretycznie sprzedawca udziela więc kupującemu rabatu w tej właśnie wysokości. Tym przyciąga go do swego sklepu i zwiększa swe obroty. Wszystko jest logiczne, lecz tylko pozornie. W praktyce koszt premii pokrywa kupujący, a na tej znaczkowej transakcji zarabiają również sprzedawcy. Istnieje zasada, że znaczki daje się wówczas, jeśli klient zakupi w sklepie towar za co najmniej 10 centów. Jeśli więc wartość nabytego towaru wyniesie 3 dolary i 9 centów — a w Ameryce zawsze obowiązuje końcówka dziewięć — to za te 9 centów klient premii już nie otrzymuje, mimo że jest ona wkalkulowana w cenę towaru. Te właśnie końcówki dają sprzedawcy pewne sumy przewyższające przeciętny dochód.

Ministerstwo Rolnictwa USA wydało w 1959 roku tzw. raport nr 169 — „Znaczki premiovane i koszty wyżywienia”. Raport ten zawiera wnioski z badań przeprowadzonych w tej dziedzinie w latach 1953-1957. Otóż w sklepach nie wydających znaczków ceny wzrosły o 1 procent, zaś w sklepach stosujących premiovanie zakupów ceny podniosły się aż o 7 procent. Raport ten wyraźnie zaleca klientom unikanie sklepów przyznających znaczki. Ponadto wielokrotnie stwierdzono w tych sklepach niższą jakość towaru, co dla konsumenta oznacza dodatkową stratę.

Dochody kupców z tego tytułu nie są jednak tak wielkie, jak firm, które te znaczki emitują i dostarczają premii w towarach.

Firmy te zobowiązują się wydać towar wartości trzech dolarów siedemdziesięciu pięciu centów za każdą książeczkę. Trzydzieści centów różnicy na książeczce ma stanowić teoretyczny zysk tych

przedsiębiorstw. W rzeczywistości jest on jednak niewspółmiernie większy. Towar w tych firmach jest bowiem z reguły wyceniany wysoko, o czym świadczy choćby sprawa owej Amerykanki z Kolorado. Za swego Buicka musiała dać 1 300 książeczek, wartości około pięciu tysięcy dolarów! Ten sam samochód, za gotówkę czy na raty, można dostać za 3 300 dolarów. Różnica wynosi zatem około 1 700 dolarów i stanowi dodatkowy zysk firmy. Poza tym duże ilości znaczków nie są nigdy przez klientów realizowane, gdyż mając ich zbyt mało nie zgłaszają się po odbiór premii. W rezultacie obroty firm emitujących znaczki wynoszą rocznie około pięciuset milionów dolarów, a czysty zysk idzie w miliony. Nie tylko sklepy stosują znaczki premiowane. Już od dawna wprowadziły ten zwyczaj stacje benzynowe i dlatego galon premiowej benzyny kosztuje zawsze drożej o jeden cent. Ludzie jednak płacą, gdyż sądzą, że robią na tym doskonały interes. Znaczki takie wprowadziły również księgarnie, kina, teatry, a nawet stowarzyszenia religijne. Otóż T.G. Peters, prefekt szkoły i superintendent kościoła baptystów, rozesłał listy reklamowe z zielonymi znaczkami. — „Prześlij swe dziecko do naszej szkoły — proponował wielebny T.G. Peters — a za każdy dzień jego pobytu u nas będziesz otrzymywał takie dwa znaczki!”

Znaczki te wywierają demoralizujący wpływ na dzieci. Znalazło się bowiem wielu pomysłowych spryciarzy, którzy, organizując różne gry i zabawy, usiłują wyciągnąć te znaczki od rodziców poprzez dzieci. Zamiast pieniędzy, w grze używa się znaczków, a „zwycięzców” obdarowuje się cukierkami lub tanimi zabawkami. Inni po prostu wymieniają plastikowe zabawki na znaczki. Kolejną rzeczą jest taka: dzieci zmuszają rodziców do kupowania towarów w sklepach wydających znaczki, potem wyradzają je i znoszą tym przedsiębiorcom. Interes polega na powtórnym odprzedawaniu tych znaczków sklepom po niższej cenie.

W stanie Północna Dakota próbowano zakazać ustawowo stosowania znaczków premiowanych. Daremnie. Kobiety z całego stanu ostro zaprotestowały. Na gubernatora posypały się dziesiątki tysięcy listów wyrażających sprzeciw i oburzenie; oskarżono go nawet o „naruszanie wolności”. Z batalii tej znaczki wyszły zwycięsko. W trzydziestu sześciu stanach podejmowano bezskutecznie takie same próby. Walnie przyczyniły się do tego Amerykanki, które zdecydowanie sprzeciwiły się ograniczeniu działalności „firm znaczkowych”. Jedynie w stanie Kansas udało się w 1961 roku ograniczyć działalność tych firm i rozciągnąć nad nimi ściślejszą kontrolę.

Znaczki są tylko jedną z licznych odmian „premií”^{7*} stosowanych w handlu amerykańskim. Zwykle nie mają one większej wartości, a koszty ich ponosi niezmiennie naiwny konsument.

Władcy myśli i pragnień

Reklama nie jest amerykańskim pomysłem ani nowością. Istnieje wszędzie, w mniejszym lub większym stopniu, lepsza albo gorsza. Wszelako amerykańska stosuje zupełnie odmienne metody europejska. Tutaj się nie zachęca klienta do kupna towaru, lecz zmusza. Reklama w Ameryce sięgnęła po władzę nad myślą i wolą człowieka. Godzi się przyznać, że z dużym powodzeniem. Sukces ten zawdzięcza przede wszystkim nauce. Profesorowie uniwersytetów, psychologowie i psychoanalicy tworzą czołową grupę uznanych ekspertów — koryfeuszy w tej dziedzinie. Olbrzymi aparat, zbrojny w rozległą wiedzę, został wprzęgnięty do pracy nad wynajdywaniem najlepszych, naukowo opracowanych sposobów wyciągania pieniędzy z kieszeni. Nauka w służbie *businessu*.

Studia prowadzi się z największą precyzją, przy użyciu najnowszych zdobyczy. Wszystkie reakcje i słabostki ludzkie są skrupulatnie badane, a wyniki tych dociekań wykorzystywane do ulepszenia metod niewolnienia bliźnich. Przeciętny Amerykanin zdaje sobie sprawę, że jest obiektem nieustannych badań dla celów reklamy. Zna jej potęgę, sarka na natarczywość, nie docenia jednak jej ogromnych wpływów. Lecz nie przyzna się, że jej ulega i spełnia posłusznie wszystkie jej nakazy.

Praca naukowców koncentruje się zasadniczo na kilku węzłowych zagadnieniach. Pierwsze to kwestia argumentów. Po angielsku nazywa się to *motivational research* i polega na wyszukiwaniu i dostarczaniu wciąż nowych argumentów, które przekonałyby ludzi o celowości kupna tych czy innych przedmiotów. To nie jest prosta sprawa. Argumenty muszą być logiczne, zwarte i nie budzące najmniejszej wątpliwości. Z kolei kwestia przełamywania oporów nabywcy. Zadaniem reklamy jest ten opór złamać i opieszałego klienta skłonić do posłuszeństwa. Następne dwa zagadnienia to studia nad psychologią klienta i jego wymaganiami.

Zadania reklamy są wszechstronne i skomplikowane. Oczywiście chodzi o sprzedaż, lecz sprawa ta bynajmniej nie jest uważana za najważniejszą i za cel ostateczny. Klient musi być tak głęboko przekonany o słuszności decyzji zakupu, by nigdy nie pożałował wydanych pieniędzy. Nie wolno dopuścić do zrodzenia się w nim najmniejszej choćby wątpliwości. Musi się czuć szczęśliwy, a nawet dumny z wydatku. Szef dużej firmy reklamowej w Chicago tak określił zadania swego przedsiębiorstwa:

„Naszym celem nie jest reklamowanie wyrobów, lecz kształtowanie myśli człowieka, jego pragnień oraz dążeń”.

Agencje reklamowe nie opracowują już środków zachwalania towaru; do tego służą dobrze znane i wypróbowane szablony. Ich głównym zadaniem jest przekonanie nabywców, że bez takiego czy innego towaru życie ich straci na uroku i zdeklasują się w oczach znajomych. Staną się ludźmi „drugiej kategorii”.

Louis Cheskin, szef słynnej agencji reklamowej „Color Research Institute” w Chicago, sądzi, że reklama winna dostarczać ludziom argumentów do przekonywania siebie. Twierdzi on, że człowiek chce wmówić w siebie wiele rzeczy, lecz natrafia na mimowolne opory. Trzeba mu więc pomóc w ich przełamaniu. Cheskin jest zdania, że człowiek bez pomocy reklamy „żyłby w wiecznej rozterce, wciąż niezdecydowany i przez to nieszczęśliwy”.

Cheskin opowiada, jak rozpoczął stosowanie psychologicznych metod w dziedzinie reklamy. Otóż dawno, przed laty, pewna firma produkowała średniej jakości krem do twarzy i doskonałe mydło toaletowe. W ogłoszeniach podkreślano jego wysokie zalety, lecz sprzedaż szła słabo. Natomiast krem, mało reklamowany, miał duży zbył. Cheskin, do którego zwrócono się o radę, znalazł tego przyczynę. Kobieta — w myśl jego teorii — wraz ze słoiczkiem kremu kupuje nadzieję, że będzie piękniejszą. Mydło zapewnia jej tylko łatwiejsze umycie, a więc jest jej obojętne, czy kupi mydło tej czy innej firmy. Poradził więc zmienić sposób reklamy. Zamiast podawać składniki mydła, podkreślono, że dzięki niemu można będzie uzyskać „brzoskwiniovą cerę”. Skutek był natychmiastowy. Obecnie każda reklama w Ameryce coś obiecuje. Zdaniem Cheskina ludzie nie kupują pomarańcz, ale zdrowie. Nie kupują samochodów, lecz godność, a zamiast obuwia zgrabny wygląd nogi. Zadaniem reklamy jest pokazać to ludziom i kształtować ich świadomość.

Reklama powinna również skłaniać klientów do kupowania rzeczy, które są dla nich odpowiednie. Obojętne, czy chodzi o meble, kosmetyki lub samochody. Zwłaszcza w tej branży zwraca się pilną uwagę, by nabywca nie kupił wozu niestosownego do zajmowanego stanowiska czy wieku. Gdy ktoś kupi nieodpowiedni wóz, będzie ze swego nabytku niezadowolony. Będzie chciał go wymienić, zacznie narzekać na jakość produkcji danej firmy i będzie wynajdywał w nim różne, nie istniejące usterki. Reklama powinna go być zachęcić do kupna właściwego typu wozu. Kryteria są znane, klasyfikacja ustalona, a oto jej próbka:

Cadillac — dla osób o wysokich dochodach, zarozumiałych i na kierowniczych stanowiskach w przemyśle;

Ford — dla osób, które lubią szybko jeździć, młodszych wiekiem, lecz dobrze sytuowanych, z „wyższych” sfer;

De Soto — dla osób starszych o ustabilizowanych dochodach oraz dla starszych kobiet ze średnich klas społecznych;

Studebaker — dla intelektualistów, lekarzy, adwokatów i dziennikarzy;

Pontiac — dla kobiet i mężczyzn ze średnich klas społecznych, o przeciętnych dochodach;

Mercury — dla handlowców i osób o skromnych dochodach.

Bardzo duże znaczenie przywiązuje reklama do stosowania właściwych kolorów. Istnieją agencje zatrudniające psychologów, którzy studiują wyłącznie ten problem. Wadliwe opakowanie papierosów fabryki Morrisa o mało nie stało się przyczyną jego bankructwa. Za poradą agencji Cheskina wprowadzono kolor czerwony i dziś firma Morris prosperuje znakomicie. Obecnie paczki papierosów w USA są przeważnie koloru czerwonego. Naukowcy stwierdzili bowiem niezbicie, że kolor czerwony działa sugestywnie na palaczy. Oczywiście nie we wszystkich wypadkach. Na przykład opakowanie papierosów mentolowych musi być zielone, jedynie soczysta barwa zieleni daje uczucie świeżości i orzeźwiającego chłodu.

Jak wielkie znaczenie ma dobór odpowiedniego koloru, dowodzi doświadczenie przeprowadzone przez pewną firmę reklamową. Poleciała ona fabryce chemicznej wypuścić na rynek jeden gatunek proszku do prania, lecz w trzech różnych opakowaniach — w pudełkach żółtych, niebieskich i niebiesko-żółtych. Następnie ogłoszono ankietę, w której gospodynie miały się wypowiedzieć na temat jakości tych trzech, niby różnych, wyrobów. Prawie wszystkie kobiety krytycznie oceniły proszki w żółtych i niebieskich opakowaniach, przypisując im różne nie istniejące, oczywiście, braki. Natomiast, i to prawie jednogłośnie, wychwalały proszek w opakowaniu nie-biesko-żółtym. Wniosek był prosty: to jest najwłaściwsze opakowanie dla proszku do prania.

Oprócz wielkiej reklamy stosuje się drobne triki reklamowe, oparte również na znajomości psychologii klienta. Najpopularniejszym chwytem jest metoda stosowania dwóch cen. Jednej cennikowej, a więc

niby wyznaczonej przez fabrykę do detalicznej sprzedaży, i drugiej — rzeczywistej. Na przykład na ubraniu, które kupiłem, była podana *regular price* 55 dolarów, a pod nią cena sprzedażna — 27 dolarów i 99 centów. Wszyscy dobrze wiedzą, że cena pierwsza jest sztucznie podniesiona i podawana po to, by cenę sprzedaży uczynić atrakcyjną. Mimo oczywistej fikcji, chcą w nią wierzyć. I chociaż w istocie każdy wie, że to bzdura, kiedy pójdzie coś kupić, zawsze będzie szukał towaru z wyższą *regular price*, by móc się potem chwalić i cieszyć, że tak tanio udało mu się nabyć.

Innym trikiem jest obniżanie ceny o jeden cent na dolarze. Nic tu nigdy nie kosztuje dolara, lecz 99 centów, droższy towar będzie wyceniony na 99 dolarów. Jeden cent nie stanowi większej różnicy, ale wszyscy to lubią i ten jeden cent reszty skwapliwie odbierają. Owe 4,99 wydaje się w stosunku do okrągłych 5 dolarów kwotą dość istotnie zaniżoną.

Dom towarowy Kleina w Nowym Jorku przy 14 ulicy ma inną metodę — jest czynny od dziewiątej rano, ale personel musi przyjść już o ósmej i stać przed sklepem czekając na otwarcie. Firma płaci im za tę godzinę, jakby normalnie wykonywali pracę. Tłum pracowników, przeważnie kobiet, robi wrażenie, że klientki czekają na jakąś wyjątkową okazję. Dołączają się przechodnie, tłum rośnie, gdyż wszystkim się zdaje, że w magazynie tym dokonają korzystnego zakupu.

Bardzo rozpowszechnione są różne „nadzwyczajne wyprzedaże” lub ogłoszenia o likwidacji sklepu, że właściciel musi „wszystko sprzedać do końca tygodnia”. W Nowym Jorku, na Broadwayu, są sklepy, w których stale urządza się „likwidacyjne” licytacje. Ceny wywoławcze są niższe od sklepowych, lecz licytacja prowadzi w konsekwencji do jej zwyczajki, tak iż w rezultacie towar jest zawsze sprzedawany drożej. Można tam również nabyć w bogatym asortymencie wybrakowane towary po zniżonych cenach. Wszystkie te triki to tylko magnes, pułapka na naiwnych, zachęta do kupna. Metod tych nie zalicza się do dziedziny reklamy, której zadaniem jest skłonienie człowieka do kupna nawet zbędnej rzeczy. Jeśli na przykład jakaś fabryka chce wprowadzić na rynek nowy typ odkurzacza, reklama potrafi wmówić ludziom, że każdy szanujący się obywatel winien go posiadać. Udowodni każdemu, ile na tym oszczędzi i jak ogromnie wzrośnie jego autorytet w kręgu znajomych. To samo jest z lodówkami, pralkami, a przede wszystkim samochodami. Człowiek żyje tu pod ciągłą presją i w obawie, że gdy nie dorówna innym, będzie poniżony lub zgubiony. Nowy typ lodówki kupuje w błogim przeświadczeniu, że ta właśnie lodówka utoruje mu drogę do dalszych sukcesów i awansu społecznego. Reklama umiejętnie wygrywa bujnie rozkwitły w tym kraju snobizm, wygrywa pragnienie wygody, luksusu i imponowania innym.

Europa jedynie w dziedzinie mody ulega presji, ściślej mówiąc — jej piękniejsza połowa. Natomiast w Stanach moda obowiązuje we wszystkim, nawet w drobiazgach. Odnosi się wrażenie, że Amerykanie chcą, by im narzucano, co mają kupować, co jeść i jak się ubierać. Nikt nie śmie się wyłamać z ogólnie przyjętych zasad i nie odważy się być innym. Opinia otoczenia, surowa i bezwzględna dla opornych, jest naturalnym sojusznikiem reklamy.

Spółeczeństwo amerykańskie nie pragnie otrząsnąć się z wpływu agencji reklamowych i nie przejawia aspiracji do indywidualizmu. Niejaki Vance Packard opublikował książkę pt. „The Hidden Persuaders”, demaskując metody agencji reklamowych. Na końcu swego dzieła autor wygłasza taką oto opinię o reklamie:

„Świat byłby bardzo posępny, gdybyśmy wszyscy byli zbyt rozumni, rozsądni i zawsze opanowani. Gdyby nawet miało to przynieść nam ogromne korzyści, byłoby to nudne. Niekiedy przyjemnie jest lub wygodnie być trochę nielogicznym. Ja osobiście wolę to drugie. Inaczej, musiałbym dokładnie wymierzać każdy swój krok nieustannie zastanawiając się nad tym, czy postępuję właściwie”.

Kulisy telewizji w Stanach Zjednoczonych

W USA posiadanie telewizora lub radioodbiornika wolne jest od opłaty abonamentowej. 60-milionowa rzesza widzów otrzymuje program darmo. Tak przynajmniej sądzą. W istocie za telewizję płaci każdy, stale i codziennie. Płaci posiadacz telewizora i ten, który go nie ma. Płaci kupując paczkę papierosów, kostkę margaryny, buty czy krawat. Rzecz w tym, że telewizja „żyje” wyłącznie z reklamy i cały program wykupiony jest przez rozmaite firmy. Wydatki na reklamę telewizyjną stale wzrastają. W 1949 r. wynosiły tylko 63 miliony dolarów, tj. 1,2 procent ogólnych wydatków reklamowych. W 1950 r. wzrosły do 185 milionów, a w 1958 r. do 1 360 milionów dolarów, co stanowi 13,3 procent ogólnych kosztów reklamy. Każdy obywatel Stanów Zjednoczonych płaci za reklamę rocznie około 85 dolarów, z czego około 12 dolarów stanowi właśnie opłata za program telewizyjny.

W Stanach Zjednoczonych działają trzy wielkie przedsiębiorstwa telewizyjne: „National Broadcasting Co.” (212 stacji własnych i zrzeszonych), „Columbia Broadcasting System” (245 stacji) i „American Broadcasting” (94 stacje). Poza tym jest kilkanaście „niezależnych” stacji, to znaczy nie należących do żadnego z tych trzech wielkich przedsiębiorstw. Ogółem w USA są czynne 564 stacje telewizyjne,

wszystkie finansowane przez przemysł i handel; tylko jedna czy dwie nie przyjmują ogłoszeń, egzystując dzięki ofiarności publicznej.

Firmy finansujące poszczególne programy świadomie unikają bezpośredniego kontaktu z telewizją i do tych spraw wolą się nie mieszać. Od tego są eksperci, spece od reklamy z wielkich agencji rozporządzających budżetami reklamowymi poszczególnych firm. W agencjach tych opracowuje się programy jako kampanię reklamową. W istocie agencje te rządzą telewizją, radiem i w pewnym stopniu prasą. Skupiają się w Nowym Jorku na Madison Avenue i kiedy mówi się krótko „Madison Avenue”, wiadomo, o kogo chodzi. Zupełnie tak samo jak nazwa „Wallstreet” oznacza banki, i to te najważniejsze. Madison Avenue dyryguje całą telewizją, której rola ogranicza się do sprzedawania czasu, nadawania oraz realizacji technicznej programów i transmisji.

Zeznając przed komisją senacką w sprawie Van Dorena, Bob Kitner, prezes towarzystwa telewizyjnego NBC („National Broadcasting Co.”), oświadczył, że ich „sieć” telewizyjna to tylko „trochę programu i bardzo dużo drutu”. W rzeczywistości jest tego drutu około 65 tysięcy kilometrów, a więc naprawdę sporo. Za jego dzierżawę NBC płaci rocznie 17,4 miliona dolarów. Towarzystwo posiada tylko pięć własnych stacji, reszta, tj-207, należy do innych właścicieli i związana jest z NBC jedynie umową programową. Zobowiązują się one przekazywać otrzymywany program i nadawać nadsyłaną reklamę, za co oczywiście mają swój udział w podziale dochodów. Poza tym stacje te nadają jeszcze własne, lokalne programy i miejscowe ogłoszenia. NBC posiada 31 studiów. Część z nich jest na Manhattanie, część aż w Hollywoodzie. Towarzystwo zatrudnia około 6 500 stałych pracowników, wielu dorywczo angażowanych reżyserów i autorów. Stacje należące do tej sieci nadają tygodniowo 140 godzin programu.

Jeszcze w 1950 roku towarzystwo to nadawało około 90 procent własnego programu, a tylko 10 procent zajmował program dostarczany przez agencje reklamowe. W miarę jednak zwiększania czasu programowego (dziś program zaczyna się o świcie, a kończy o północy) nastąpiły zmiany. Obecnie stacja nadaje tylko 20 procent własnego programu, który trudno uznać za „własny” w całym tego słowa znaczeniu. Wypełniają go bowiem w dużej mierze dzienniki telewizyjne, serwisy informacyjne, transmisje z różnych obchodów i uroczystości, wywiady, komunikaty meteorologiczne itp. Właścivi i te „własne” programy są również sprzedawane firmom i różnią się tylko tym, że opracowywane są przez telewizję i powstają z jej inicjatywy.

Przygotowaniem programów trudnią się tzw. *producers*. Mogą to być poszczególne osoby lub duże firmy o milionowych obrotach i zatrudniające setki pracowników. Opracowują one programy i przekazują gotowe scenariusze do realizacji. Oto przykład. Kiedy na rynku ukáže się nowa książka, *producer* czyta ją i rozważa możliwość jej adaptacji telewizyjnej. Jeśli ocena wypada pozytywnie, porozumiewa się z autorem i przystępuje do opracowania scenariusza. Praca *producerów* odznacza się niewątpliwie wysokim poziomem, niestety na wykonawstwo przygotowywanych scenariuszy w studio telewizyjnym nie mają oni wpływu. Nawet w przypadku gruntownych zmian tekstowych nie mogą protestować. Równie bezradny jest sam autor.

Opracowany scenariusz składa *producer* w agencji reklamowej, z którą jest w kontakcie. Porozumiewa się z nią jeszcze w trakcie pracy, by nie być później zaskoczonym i uniknąć straty. Agencja rozstrzyga, czy scenariusz nadaje się do wykorzystania, i akceptuje bądź odrzuca. Z chwilą przyjęcia pozostaje jeszcze tylko podjąć decyzję, czy sprzedać go firmie produkującej pastę do zębów, czy środki przeczyszczające? Dla agencji problem ten ma najbardziej zasadnicze znaczenie. Gdy już się zdecyduje i porozumie z firmą finansującą ten odcinek programu, sprawa jest załatwiona. Autor i *producer* inkasują honorarium i na tym kończy się ich rola.

Właścivielem scenariusza, a więc widowiska, które będzie nadawane, staje się teraz firma przemysłowa, a rozporządza nim agencja reklamowa. Ona też, w porozumieniu z tą firmą, przystępuje z kolei do pracy nad przystosowaniem scenariusza do wymagań reklamy. Nie należy jednak przypuszczać, że w scenariusz zostaną wplecione wstawki reklamowe lub że bohater utworu będzie cały czas zachwalał pastę do zębów lub zalety sera szwajcarskiego. Reklama jest nadawana w przerwach i chodzi tylko o to, by audycja była frapująca i przykuwała widzów do ekranów. Należy wziąć pod uwagę fakt, że posiadacz telewizora ma do wyboru dość duży wachlarz programowy, gdyż audycje nadawane są na czternastu kanałach. Zadaniem *producera* jest przygotowanie tak atrakcyjnej audycji, by odbiorca wybrał ten właśnie kanał. Co się tyczy scenariusza, to należy przystosować go umiejętnie do gustów publiczności, i to tej, dla której jest przeznaczony. Ponieważ telewizja zwykle reklamuje artykuły masowego spożycia, audycje adresuje się do najszerzej publiczności nie odznaczającej się zbyt wybrednym gustem. Tym właśnie gustom schlebia się przede wszystkim.

Agencje bardzo lubią widowiska wesołe, zaprawione nie wyszukany rubasznym humorem. Jeśli nie są Humorystyczne, powinny być sentymentalne, „z łezką”, zaś *happy end* stanowi nieodzowny warunek. Tragiczny finał widowiska agencja bez skrupułów przerobi na wesele, aby publiczność była zadowolona ze spektaklu. Protest na nic się nie zda — jest zapłacone, a ten, kto kupił, decyduje.

„Kupiec nie uzależnia sprzedaży ryby od sposobu jej przyrządzenia” — taką odpowiedź pół żartem, pół serio usłyszał pewien autor, któremu zmieniono zakończenie widowiska. To jaszczce nie wszystko. Scenariusz „opracowany” reklamowo i dostosowany do gustu publiczności ulegnie dalszym przeróbkom. Wędruje bowiem z kolei do agencji, która dostarcza aktorów i wszelkie niezbędne do programu telewizyjnego rekwizyty. Firma finansująca audycję pragnie zwykle, by główną rolę kreowała jakaś popularna i lubiana gwiazda, której nazwisko ściągnie licznych widzów. Jeżeli jednak osoba aktorki nie pasuje do scenariusza, wówczas nie zmienia się aktorki, lecz przerabia scenariusz. Robi to agencja na własną rękę w myśl wskazówek aktorki czy aktora. Potem reżyser wprowadza dalsze zmiany, przystosowując scenariusz do możliwości technicznych i własnych koncepcji inscenizacyjnych. W rezultacie na telewizyjnym ekranie autor zwykle nie poznaje tego, co kiedyś napisał, a *producer* łapie się za głowę. Autorzy amerykańscy, niezależni finansowo, nie zgadzają się na adaptację telewizyjną swoich utworów. Wystarczy choćby wspomnieć Hemingwaya.

Radio w Ameryce jest również w rękach agencji reklamowych. Ogółem jest w USA 4 200 radiowych stacji nadawczych, prosperujących jedynie dzięki działowi ogłoszeń. Dochody ich są bez porównania mniejsze niż wpływy stacji telewizyjnych. Duże kampanie reklamowe omijają radio jako swego rodzaju przeżytek. Tylko telewizory skupiają dziś uwagę publiczności, radio zaś służy do wysłuchania wiadomości, i w tej dziedzinie jest nadal niezastąpione. Program radiowy jest niesłychanie prosty i nieskomplikowany. Co godzina na falach eteru płyną wiadomości, przeplatane muzyką z płyt i reklamą. Rzadziej reportaży, wywiad lub pogadanka. Kilka stacji nie przyjmuje w ogóle reklamy, nadaje dobrą muzykę i na wysokim poziomie audycje słowne. Te nieliczne stacje egzystencję swoją opierają głównie na ofiarności publicznej; jedną z nich utrzymuje znany nowojorski dziennik „New York Times”.

W bardzo dziwnym domu towarowym

W Ameryce każde większe miasto posiada przynajmniej jeden dom towarowy, podobny do naszych, lecz, jak łatwo odgadnąć, ma większy wybór towarów, sprawniejszy personel i ładniej urządzone wystawy. Każdy dom towarowy posiada *basement*, czyli suterrenę lub podziemie, gdzie odbywa się stale okazjna wyprzedaż towarów przecenionych, nieco gorszej jakości lub wybrakowanych. Sprzedaje się tam również towary, które w określonym czasie nie znalazły nabywcy. Panuje zasada, że towar może leżeć na półkach tylko sześć miesięcy, P° czym sprzedaje się go po niższej cenie. O ile po dalszych sześciu miesiącach nie zostanie sprzedany, ponownie obniża się cenę. Taki właśnie przeceniony towar, niekiedy dobrej jakości, można kupić w *hasemen-de* bardzo tanio.

Jest jednak w Ameryce dom towarowy zupełnie niepodobny do innych. Mam na myśli wielką firmę „Sears and Roebuck”, mającą swoje oddziały we wszystkich prawie miastach Stanów. Swoistość tych domów towarowych polega na tym, że sprzedają one tylko drogą pocztową.

Zwiedziłem oddział tej firmy w Bostonie. Gmach duży, solidny, lecz nic szczególnego. Siedem pięter w Ameryce

nie imponuje nikomu. Spotkała mnie tam miła niespodzianka. W firmie pracuje wielu moich rodaków. Nawet dyrektor, pan Wincenty Wojtkowski, jest Polakiem. Typowy przedstawiciel „starej” Polonii Pan Wojtkowski nie zna już ani jednego słowa po polsku, nawet własne nazwisko wymawia niezrozumiale i z wielkim trudem. Dopiero, gdy mi je napisał na kartce papieru, wiedziałem, z kim mam do czynienia. W biurze nazywają go krótko — dyrektor Vincent. Mimo nieznamomości języka polskiego pan Wojtkowski wciąż jeszcze uważa się za Polaka. Może dzięki tej właśnie okoliczności firma zatrudnia tylu Polaków. Zresztą Polacy są w Ameryce cenieni i znani jako dobrzy, sumienni i obowiązkowi pracownicy. Praca tej firmy jest ogromnie skomplikowana, a mimo to mechanizm jej funkcjonuje wyjątkowo sprawnie i precyzyjnie. Personel musi być starannie dobrany, od tego bowiem zależy istnienie i powodzenie firmy. Ekspedienta wyręcza tu katalog towarów, dokładnie opisanych i sfotografowanych. Znaleźć go można niemal w każdym domu. Ponieważ towar zamawia się na odległość, obsługa musi być nadzwyczaj sumienna. W przeciwnym razie klienci straciliby zaufanie do firmy.

Mógłby ktoś powiedzieć, że pomysł ten nie jest żadną rewelacją. Ot po prostu sprawną, dobrze zorganizowaną sprzedaż i umiejętne podejście do klienta. Nie o to jednak chodzi. Oczywiście, że akcjonariusze robią doskonałe interesy i akcje „Sears and Roebuck” są wysoko notowane na giełdzie, jako że firma płaci wysokie dywidendy. Pomysł sprzedaży przez pocztę posiada jeszcze inne znaczenie — społeczno-gospodarcze. Oddział „Searsa” w Bostonie załatwia korespondencyjnie 120 tysięcy

klientów dziennie. Te tysiące osób oszczędzają na czasie, fatydze i benzynie. Ta forma zakupu sprawia, że Amerykanin, zazwyczaj mieszkający poza miastem, zwolniony jest od konieczności używania samochodu. Najważniejsza jest jednak oszczędność na czasie. Przyjmując, że każdy straciłby przynajmniej godzinę, otrzymalibyśmy 120 tysięcy godzin dziennie, czyli czternaście lat. Co dzień oszczędność 14 lat w jednym tylko Bostonie! Wartość tego czasu jest rzeczywiście ogromna.

Firma pracuje sprawnie i solidnie. Każdy, kto kupuje „w ciemno”, musi mieć pewność, że nikt nie nadużyje jego zaufania. Hołduje się przy tym zasadzie, że klient ma zawsze racje. Może zwrócić kupiony towar i nie zapłacić, bądź może go wymienić. Jeśli zaś rachunek uregulował, pieniądze zostaną mu zwrócone. Ponosi wówczas jedynie koszty opłacenia porto.

Zakup taki wygląda następująco: Ewentualny nabywca wypisuje numery towarów z katalogu, podaje wymiary, załącza czek lub pieniądze. (W Ameryce jest zwyczaj przesyłania pieniędzy w zwykłych listach, nawet bilonu). Wysyła to pocztą lub składa w oddziale. Oddział taki posiada zwykle wymienione w katalogu towary, wystawione jako próbki do obejrzenia. Każdy więc może się zorientować, co kupuje i czego się może spodziewać, gdy jego zamówienie zostanie zrealizowane. Jest to zrobione z myślą o tych, którzy katalogowi zbyt nie dowierzają. A zatem klient może zamówić towar w miejscowym oddziale i tam wpłacić należność lub poprzez pocztę. Zamówienie do oddziału może wysłać również pocztą, gdyż odebrane tam zlecenie za parę minut przekazane zostanie do Bostonu. W cztery godziny później przesyłka znajduje się na poczcie i wędruje do klienta.

Zdziwienie budzić musi tak szybkie obsłużenie klienta. Możliwe jest ono dzięki zastosowaniu najnowocześniejszej techniki przesyłania informacji na odległość. Otóż oddziały względnie filie zbierają zamówienia we wszystkich miastach i miasteczkach i przesyłają je do magazynów „Searsa”. Przekazywanie zamówień odbywało się dotychczas za pomocą dalekopisów. Okazało się jednak zbyt wolne, gdyż można było przy ich użyciu przesłać zaledwie 12 zamówień na minutę. Obecnie zastosowano nowe teleskryptory — elektronowe. Za pomocą takiego dalekopisu przekazuje się 750 zamówień na minutę.

Dalekopis wybija zamówienie na taśmie — po prostu cyfry i znaki. Inne maszyny je tłumaczą, obliczając jednocześnie cenę i wartość zamówienia. Zamówienie musi być zarejestrowane i wciągnięte na konto klienta. Każdy klient posiada bowiem swoją kartę w kartotece, co umożliwia szybką kontrolę zamówienia. Księgowość sprawdza rachunki i wypisuje kwity do magazynu. Kopia wędruje do działu statystyki, którą firma starannie prowadzi. Wszystkie te czynności trwają minuty. Wszędzie pracują maszyny. W cztery godziny po nadejściu zamówienia paczka z towarem zostaje złożona na poczcie.

Zamówienia zgłaszać jeszcze można bezpośrednio w składzie lub telefonicznie. Aby jednak móc dokonywać zamówień przez telefon, trzeba uprzednio otworzyć w firmie konto. Manipulacja jest prosta i trwa tylko parę dni. Po założeniu konta towary wysyła się na telefoniczne zgłoszenia, a rachunki opłaca się raz na miesiąc.

Wróćmy do wspomnianej firmy w Bostonie. Na parterze mieści się wystawa towarów i przyjmuje zamówienia od klientów, którzy zjawili się osobiście po odbiór towaru. To kosztuje taniej, gdyż obejdnie się bez opłaty pocztowej, a Amerykanie bardzo lubią drobne oszczędności. Na piętrach są składy z towarami. Ktoś zamawia na przykład spinki, spodnie, buciki, opony do samochodu, zabawkę i pudełko czekoladek. Ponieważ każda z tych rzeczy znajduje się na innym piętrze, trzeba wszystko wybrać, dołączyć zamówienie i wysłać do głównej pakowni na dole. Tam sortuje się paczki, łączy według zamówienia i przenosi na taśmę, która kieruje posortowany towar do zapakowania. Tajemnica tego zdumiewającego ładu polega na tym, że poszczególne towary z jednego zamówienia dostarcza się na dół w ściśle określonym czasie. Nie wolno się spóźnić lub pośpieszyć ani o sekundę. Ścisłe przestrzeganie czasu zapewnia niezawodne działanie. Pomylenie paczek zdarza się tu rzadko. Na zakończenie mojej wizyty odbyłem rozmowę w dyrekcji, by zebrać trochę szczegółów. A więc kto pierwszy wpadł na pomysł sprzedaży towarów przez pocztę i za pomocą katalogu? Pomysł okazał się bardzo stary. Zrodziła go przymusowa sytuacja. Otóż dziad lub pradziad dzisiejszego Searsa znalazł się kiedyś bez pracy. Mieszkał na prowincji, w małym miasteczku, gdzieś na Środkowym Zachodzie. I oto pewnego razu wpadł na pomysł sprzedawania zegarków na listowne zamówienia. Zamieścił ogłoszenie w prasie i zamówienia zaczęły napływać. Z fabryki sprowadzał pocztą zegarki i sprzedawał je bardzo tanio, gdyż koszty handlowe były minimalne. Z tej właśnie sprzedaży zegarków powstało potem wielkie przedsiębiorstwo.

Zapytałem też o ceny towarów i jak się kalkulują w porównaniu z innymi sklepami, prowadzącymi sprzedaż w sposób tradycyjny. Okazało się, że taniej. Firma nie ponosi wydatków na utrzymanie sklepów i urządzenie wystaw, co pochłania ogromne sumy. Niższe są również koszty reklamy. Największe wydatki związane są z wysyłką katalogów, które spełniają jednocześnie rolę sprzedawcy i akwizytora,

oraz z utrzymaniem magazynów, biur, personelu i opłatami pocztowymi. Wszystkie te koszty są w ostatecznym obrachunku bez porównania niższe od tych, jakie ponoszą domy towarowe prowadzące sprzedaż bezpośrednią.

Ile egzemplarzy katalogów wysyła się rocznie? Tego nikt tu nie wie. Oddział „Searsa” w Bostonie sam je drukuje i wysyła do pięciu stanów Nowej Anglii. Rozprowadza prawie dwa miliony, dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Podobnie postępują wszystkie inne oddziały. Koszt własny katalogu wynosi trzy dolary. Ma przeszło 1 500 stron i kolorowe ilustracje. Katalog otrzymuje darmo każdy, kto w ciągu roku dokona zakupów za co najmniej dziesięć dolarów. Inni natomiast muszą płacić trzy dolary.

— Ile osób pracuje w tym oddziale?

— Tysiąc pięćset, razem z dyrektorami, kierowcami, gońcami i obsługą stołówek.

Podzieliłem szybko. Na pracownika przypada przeciętnie 80 obsłużonych klientów. Oczywiście na tych, którzy ich obsługują bezpośrednio, przypada o wiele więcej.

— Czy robicie remanenty?

— Tak jest — padła odpowiedź — jest to wskazane, chociażby z tego względu, ażeby wiedzieć, co należy sprowadzać. Remanenty sporządza się u nas codziennie. Ściślej mówiąc, co noc. Po opuszczeniu gmachu przez pracowników o godzinie szóstej, na piętra wchodzi nowa ekipa.

Obliczenie ilości towaru na półce trwa właściwie sekundy. Potem sprawdza się, czy ilość sprzedanych artykułów zgadza się ze stanem rachunków.

— Czy istnieją kradzieże, mam na myśli personel?

— Owszem, zdarzają się, ale są tak rzadkie i drobne, że nie zaprzątamy sobie tym głowy.

— Jeszcze jedno. Czy zdarzają się pomyłki? Na przykład ktoś zamówi koszulę, a dostanie szelki?

— Oczywiście, ale i to należy do wielkich rzadkości. Przesyła się wówczas właściwy towar i zwraca wszystkie koszty. Ponadto klient otrzymuje zwykle jakiś prezent na „przeprosiny”. Reklamacji jest mało. Spełniamy jednak wszystkie życzenia klienta, jeśli nawet grymasi ponad zwykłą miarę.

Po rozmowie jeszcze raz zszedłem na dół, by przyjrzeć się z bliska temu swoistemu mechanizmowi. Z olbrzymiego wirnika czy też węzownicy spływały potokiem paczki i paczuszki. Zwinne ręce czarnej robotnicy chwyciły każdą na sekundę... nie, na ułamek sekundy. Rzut oka i paczka wędrowała dalej. Niosły ją taśmowe transportery do miejsca, gdzie czekały inne zwinne ręce. Potem pakowanie do tekturowych pudeł, kontrola zawartości i porównanie z rachunkiem. Paczkę okleja się taśmą papierową, adresuje — i lo już wszystko.

Na gotowe paczki czekają samochody, by odwieźć je na pocztę. Na każdej paczce widnieje wybita pieczętka z dokładną datą i godziną wysłania.

120 tysięcy ludzi w Nowej Anglii, a więc tylko w pięciu stanach, oszczędza dziennie po godzinie czasu. Ludzie ci nie tłoczą się w sklepach i w tym czasie odpoczywają lub pracują. Towar doręcza do domu listonosz.

Postanowiłem sprawdzić, czy wszystko, co mi powiedziano, zgodne jest z prawdą. W poniedziałek, w południe, wrzuciłem list do skrzynki. List adresowany do „Searsa” zawierał pieniądze i zamówienie na koszulę. Włożyłem ją w środę rano.

Rdzeń amerykańskiego businessu

Byłem wtedy na farmie, na głębokiej prowincji, gdy pewnego dnia przed dom zajechał samochodem młody domokrażca. Przywiózł ze sobą proszki do prania, szczoteczki do zębów, „cudowny” płyn do wywabiania plam i wiele innych wspaniałości. Dał popis niepospolitej elokwencji, zręcznie, choć nieco hałaśliwie, zademonstrował swoje towary, stając się z każdą chwilą coraz bardziej natarczywy. W końcu coś sprzedał, pożegnał się i odjechał. Dowiedziałem się potem, że był to syn właściciela supermarketu z sąsiedniego miasta. Po powrocie z uniwersytetu rozpoczął, zgodnie z panującym tu zwyczajem, karierę handlowca od stanowiska zwykłego komiwojażera.

Najczęściej kariera amerykańskiego *businessmana* zaczyna się od zawodu akwizytora. Znałem syna milionera, który w ten sposób przygotowywał się do objęcia stanowiska w fabrykach swego ojca. Amerykanie są zdania, że umiejętność sprzedaży jest podstawą każdego interesu i kluczem powodzenia. Uważają, że *businessman* nie będzie odnosił sukcesów, jeżeli sam nie zgłębi wszystkich tajników sztuki handlowego. Dyrektorzy wielkich przedsiębiorstw, przed objęciem wyższych stanowisk, musieli się wykazać sukcesami w dziedzinie sprzedaży.

Masowa produkcja wymaga sprawnie funkcjonującego aparatu sprzedaży. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że tylko doskonale zorganizowana sprzedaż umożliwi produkcję na ogromną skalę.

Dlatego też sprzedawcy tworzą rdzeń amerykańskiego *businessu*. Cała amerykańska produkcja opiera się na masowej sprzedaży, która nawet na chwilę nie może być zahamowana. Sprzedawca powinien pamiętać, że sprzedaż musi wzrastać.

Są różne typy sprzedawców. Od domokrążców oferujących karty do czarodziejskich sztuk aż do potentatów akwizytorskich w rodzaju Jamesa Farleya, który potrafił wprowadzić „Coca-colę” do całej zachodniej Europy. Podobną karierę zrobił Paul Hoffman, który zaczął od sprzedaży wozów Studebakera, a w końcu został mianowany administratorem planu Marshalla.

Oprócz akwizytorów, zbierających zamówienia lub bezpośrednio sprzedających towary, istnieje ogromna armia wszelkiego rodzaju agentów. Odgrywają oni doniosłą rolę w amerykańskiej gospodarce. Bardzo liczne grupy stanowią tu agenci ubezpieczeniowi i pośrednicy handlu nieruchomościami. Amerykanie prowadzą niezbyt osiadły tryb życia, lubią się przenosić i dlatego obroty domkami są wyjątkowo duże.

Dla tych wszystkich sprzedawców, agentów, pośredników powstały setki szkół i kursów, na których adepci sztuki sprzedawania uczą się najbardziej wypróbowanych metod przekonywania ludzi i zdobywania ich zaufania. Słuchacze dowiadują się tam między innymi, jak i kiedy należy się uśmiechać i jak zachowywać się wobec kontrahenta. Na ten temat powstała już ogromna literatura.

Salesman, bez względu na to, co sprzedaje, jest w Ameryce zawsze *persona grata* i prosperita amerykańskiej gospodarki w niemałej mierze *zależy* od sprawności tych ludzi.

Prasa w Stanach Zjednoczonych

W USA ukazuje się 1 756 dzienników, 8 268 pism tygodniowych oraz sporo gazet w przeróżnych językach dla poszczególnych grup narodowościowych. Dzienniki grup narodowościowych nie są objęte żadną statystyką i dlatego nie sposób podać jakieś bliższe dane.

Nakład wszystkich dzienników wynosi w dni powszednie 57 milionów egzemplarzy, a w niedzielę wzrasta o 47 milionów. Jednakże tylko kilka gazet — „New York Times”, „New York Herald Tribune”, „Christian Science Monitor”, „Washington Post” — posiada czytelników w całym kraju lub w znacznej jego części, co nie znaczy bynajmniej, że wymienione gazety mają największe nakłady. Prymat pod tym względem dzierży bezapelacyjnie brukowiec nowojorski „New York News”; w dni powszednie osiąga nakład 2 014 542, a w niedzielę — 3 564 865 egzemplarzy. Dziennik ten, mimo tak potężnego nakładu, jest poza Nowym Jorkiem zupełnie nie znany. Istnieje natomiast dużo dzienników o znacznie mniejszych nakładach, które swym zasięgiem obejmują wiele stanów lub nawet całe rejony kraju. Na przykład „Boston Globe” jest czytany we wszystkich stanach Nowej Anglii, podczas gdy „Chicago Tribune” na Środkowym Zachodzie aż po St. Louis.

Kolejne miejsca po bezkonkurencyjnym „New York News” zajmują: „New York Times” (673 974, w niedzielę 1 347 036), „New York Mirror” (836 810, w niedzielę 1 345 573), „Chicago Tribune” (882 837, w niedzielę 1 253 617), „Philadelphia Inquirer” (605 617, w niedzielę 1 075 084), „World Telegram and Sun” (599 536, w niedzielę 821 873) i „Los Angeles Times” (497 873, w niedzielę 893 792).

Prowincjonalne dzienniki mają nakłady o wiele skromniejsze, wahają się od kilkunastu do stu tysięcy egzemplarzy, zależnie od wielkości miasta, w którym się ukazują. Ponadto wychodzi sporo czasopism o nakładzie od 2 do 5 tysięcy, wydawanych w małych miasteczkach, zazwyczaj w niedzielę. Prasa ta ma wyłącznie charakter lokalny. Zamieszcza ona dokładne i wyczerpujące wiadomości miejscowe, lecz informacji z zagranicy lub z pozostałej części kraju nie publikuje wcale lub bardzo mało i rzadko. Dlatego też czytelnicy muszą mieć jeszcze drugi dziennik, przynajmniej w niedzielę.

Dzienniki prowincjonalne drukują od 8 do 24 kolumn, z czego połowa lub mniej przypada na tekst; resztę zajmują ogłoszenia, stanowiące podstawę egzystencji wszystkich wydawnictw prasowych. Mają one zwykle bardzo skromne redakcje bądź kupują w koncernach prasowych (często muszą zakupywać) gotowy dziennik z dwoma lub trzema pustymi kolumnami i oczywiście bez tytułu. Jako źródło informacji dzienniki te reprezentują najpośledniej-szy poziom.

Objętość dzienników o szerokim zasięgu bije wszelkie w tym zakresie rekordy; w dni powszednie około 120 stron, w niedzielę - 400. Na ich grubość wpływa decydująco zalew ogłoszeń i reklam. Kiedyś jednak zadałem sobie trud i obliczyłem, że materiał informacyjny w niedzielnym „Timesie” wyniósł 120 stron. Materiał w wydaniach niedzielnych tak się przygotowuje, by czytelnik mógł tam znaleźć wszystko. Główną pozycję stanowi tu przegląd tygodniowy wydarzeń, przeznaczony dla czytelników prowincjonalnej prasy, którzy raz w niedzielę pragną się dowiedzieć, eo słycać na świecie. Poza tym szereg specjalnych działów starannie dobranych, by zaspokoili zainteresowanie każdego czytelnika. Jest więc zawsze kolumna dla posiadaczy ogródków, dla budujących domki, dla wędkarzy, myśliwych, filatelistów oraz obszerny dział turystyki krajowej i zagranicznej dla licznych w tym kraju miłośników podróży. A

ponadto dodatek ekonomiczny dla *businessmenów*, dodatek literacki — tylko krytyki i recenzje książek — oddzielny poświęcony sztuce oraz dział mody. Te właśnie dodatki składają się na główną treść niedzielnego numeru. W dziennikach amerykańskich nigdy nie ukazują się powieści w odcinkach ani w ogóle utwory beletrystyczne.

Poza codzienną prasą wychodzi ogromna ilość przeróżnych magazynów. Niektóre tygodniki i miesięczniki mają większe nakłady niż dzienniki. Prym dzierży miesięcznik „Reader's Digest” (12 milionów), potem „Life”, „TV Guide”, każdy po sześć milionów egzemplarzy. Nakłady od 3 do 5 milionów ma 10 czasopism, od 1 do 3 milionów — 20, od 500 tysięcy do 1 miliona — 32. Obliczyłem kiedyś nakłady 124 czasopism tygodniowych i miesięcznych — wyniosły około 133 milionów.

Bennet, Dana, Pulitzer czy Medill, wielcy dziennikarza-wydawcy, przeszli do historii. Stworzyli amerykańską prasę, ukształtowali jej oblicze, lecz dziś spuścizna po nich przeszła w inne ręce. Prasa stała się interesem, takim jak fabryka czy inne przedsiębiorstwo. Stosuje nawet te same metody — walkę konkurencyjną, „połykanie” słabszych, tworzenie koncernów i monopolii. Proces pochłaniania ma się zresztą ku końcowi; w rezultacie prasa w USA znalazła się w posiadaniu paru potężnych koncernów wydawniczych. Jedyne część drobnych gazetek prowincjonalnych pozostawiono w spokoju.

Walkę prowadzono z całą bezwzględnością — obniżano ceny poniżej własnych kosztów wydawniczych, kaperowano zdolniejszych dziennikarzy, a opornych i niewygodnych konkurentów niszczone i likwidowano gangsterskimi metodami. Liczba rywali malała z wolna. Dziś wielkie rekiny prasowe, McCormick, Patterson, Hearst, panują niepodzielnie w tej branży. Nikt nie jest w stanie konkurować z nimi. Poza koncernami utrzymały się tylko bogate dzienniki, jak „New York Times”, własność rodziny Ochsów.

Proces pochłaniania najlepiej ilustrują cyfry. W roku 1909 było w USA 2 600 dzienników, w 1958 r. pozostało 1 756 wydawanych w 1 300 miastach. Tylko w 117 miastach istnieją jeszcze gazetki niezależne od koncernów prasowych. Są to oczywiście dzienniki bardzo małe, o znaczeniu lokalnym i borykające się z trudnościami. Wielkim koncernom są po prostu niepotrzebne i dlatego pozostawiły je dotychczas w spokoju.

W 1840 roku było w Nowym Jorku 16 dzienników dla czterystotysięcznej wówczas ludności tego miasta. Dziś jest tylko siedem, natomiast ludność, wraz z podmiejskimi osiedlami, wzrosła prawie do 14 milionów. W jaki sposób upadały dzienniki, wskazuje nader wymowna historia dziennika „Sun”. Powstał on swego czasu w wyniku połączenia (czytaj: wykupienia) aż pięciu dzienników. Potem „Sun” spotkał ten sam los. Znaleźli się silniejsi, którzy z kolei jego wykupili, kładąc kres samodzielnemu istnieniu. Został nabyty przez właścicieli dziennika „World-Telegram”, powstałego również z połączenia trzech dzienników. Tak więc aż osiem pochłoniętych gazet złożyło się na powstanie „World Telegram and Sun”.

Mimo wysokich kosztów druku i papieru dzienniki w USA są tanie, i to jest zasadniczym warunkiem ich popularności. Cena niedzielnych wydań, zwykle 25 centów, tylko- w połowie pokrywa koszty. Pokrycie reszty kosztów i dochód uzyskuje się tylko dzięki ogłoszeniom. Aby je jednak dostać, trzeba się wykazać odpowiednio wysokim nakładem. Należy więc gazetę sprzedawać tanio i dbać o jej popularność. „New York News” sprzedaje swą gazetę za pięć centów, to jest za połowę przeciętnej ceny innych dzienników. Słabszy finansowo dziennik tej konkurencyjnej ceny nie wytrzyma. Będzie miał niski nakład, nie dostanie ogłoszeń i bankructwo staje się nieuchronne.

Sumy wydawane przez przemysł na reklamę są rzeczywiście olbrzymie. W 1958 roku dzienniki amerykańskie pobrały za ogłoszenia 3 miliardy 120 milionów dolarów, co stanowi 30 procent globalnej kwoty wydawanej przez przedsiębiorstwa na reklamę. W walce o ogłoszenia małe dzienniki są zupełnie bezbronne. Mogą liczyć tylko na ochłapy z „pańskiego stołu”. Dlatego też znikają lub nędznie wegetują. Względy konkurencyjne są też zasadniczym czynnikiem kształtującym oblicze amerykańskiej prasy. Aby pozyskać czytelnika, wydawca chwyta się najrozmaitszych sposobów. Przede wszystkim zaś stara się jak najbardziej usensacyjnić wiadomości. Wyolbrzymia się zdarzenia, przeprowadza się drobiazgową analizę wypadków, a zwłaszcza przestępstw popełnionych na tle seksualnym. Na łamy gazet wprowadza się rozbijające swą niedorzeczną fabułą powieści obrazkowe, tzw. *comicsy*, śmieszne w swej naiwności i prymitywizmie horoskopy i przepowiednie.

Zjawiska tego nie należy zbyt uogólniać. Niektóre dzienniki potrafiły utrzymać swą pozycję bez uciekania się do brukowych historyjek, szmiry i niezdrowej sensacji.

Na ogół jednak prasa amerykańska stara się dostosować do gustów swych czytelników. Zawsze zachowuje czujną ostrożność w narzucaniu swych poglądów, w ferowaniu sądów i opinii, w obawie, aby nie utracić lub zrazić czytelników. Jest na ogół republikańska — to znaczy jej właściciele — lecz dzienniki nigdy jawnie nie przejawiają poglądów, skrętnie ukrywając swe sympatie i antypatie. Dopiero

w czasie wyborów lub przy okazji ostrych konfliktów politycznych dają ujście swoim zapatrywaniami. Wydawcy bowiem nigdy nie zapominają, że ich celem ostatecznym są zyski. W rezultacie wpływ prasy na społeczeństwo jest stosunkowo niewielki. Choć w prasie przewaga należy do republikanów, większość miejsc w Kongresie i w Senacie przypada na demokratów. Poza tym prasa w USA nie cieszy się zbyt wielkim zaufaniem. Społeczeństwo zdaje sobie sprawę z jej zależności od wielkich firm zamieszczających w niej ogłoszenia, Amerykanie dość bezkrytycznie przyjmują propagandę szerzoną przez różne kluby i stowarzyszenia, ulegają nastrojom i psychozie, łatwo poddają się sugestiom organizacji. Wszelako do wiadomości podawanych przez prasę odnoszą się z dużą dozą sceptycyzmu, zawsze skłonni przypisywać różnym informacjom interes wydawcy.

Słabość amerykańskiej propagandy prasowej najlepiej wyszła na jaw w okresie prezydenckiej kampanii wyborczej w 1936 roku. Wówczas przeszło 85 procent prasy, i to najpotężniejszej, zwalczało zajadłe Roosevelta, prowadząc kampanię na rzecz swego kandydata republikańskiego. Nic jednak nie wskórała i Roosevelt zwyciężył. Walka konkurencyjna dzienników, tanie metody łowienia czytelników, pogoń za skandalami i niezbyt ściśle trzymanie się faktów, wszystko to sprawiło, że prasa amerykańska nie cieszy się autorytetem. Są wyjątki, lecz dotyczą one tylko dzienników unikających hałaśliwej reklamy i nie angażujących się zbyt wyraźnie w rozgrywki polityczne.

Gdy zepsuje się pralka

Ameryka nigdy nie cierpiała na nadmiar rzemieślników, lecz ostatnio sytuacja stała się wyjątkowo kłopotliwa. Mało jest krawców, po szewcach nie zostało prawie śladu, ślusarza, stolarza lub elektrotechnika tyle co na lekarstwo. Już po pierwszej wojnie światowej rzemieślnicy zaczęli masowo likwidować warsztaty i przenosić się do fabryk. Jako wykwalifikowani robotnicy lub majstrowie zarabiali tam znacznie więcej niż pracując na własny rachunek. Potem zaczęła się masowa mechanizacja we wszystkich dziedzinach życia. Najpierw proces ten ogarnął komunikację, a następnie gospodarstwa domowe. Lodówki, pralki, automaty do zmywania, radia i telewizory. Wszystkie te urządzenia mają dość skomplikowane mechanizmy, które często się psują i wymagają naprawy. Brak fachowców-rzemieślników jest w USA katastrofalny.

Obliczono, że przeciętna gospodyni amerykańska posiada w swym gospodarstwie około 25 przeróżnych mechanizmów, od lodówki począwszy, a kończąc na mikserze lub żelazku do prasowania. Dziś około 87 procent gospodarstw domowych w USA posiada pralki, zwykle lub mechaniczne, 81 procent ma telewizory, 96 procent lodówki i 67 procent odkurzacze. Reperacji wymagają ponadto różne drobne mechanizmy, instalacje elektryczne, centralnego ogrzewania - przeważnie automatyczne - i kanalizacyjne.

Byłem raz świadkiem następującego epizodu. Zatkaną się zlew. Wezwany hydraulik przyjechał Buickiem, obejrzał instalację i oświadczywszy, że to mu się nie opłaci, odjechał. Gospodarze musieli sami zakasać rękawy, powyciągać narzędzia i zabrać się do naprawy. Amerykanie inwestują setki dolarów w niezbędne w domu narzędzia, kupują podręczniki i zgłębiają tajniki budowy telewizorów, pralek lub systemu centralnego ogrzewania.

Słyszałem o takim „tragicznym” wypadku. Zacięła się kłamka od lodówki. Zaproszeni na *party* goście zeszli się punktualnie, lecz pani domu daremnie próbowała otworzyć lodówkę, by wyjąć coctaille i przekąski. Zdenerwowana zaczęła gorączkowo wydzwaniać w poszukiwaniu mechanika. Niestety, wszyscy okazali się pilnie zajęci. Innym razem pewna niewiasta zatelefonowała do warsztatu elektrotechnika z prośbą o szybkie przybycie. Jej elektryczna suszarka do bielizny zaczęła dymić. - ... Coś się w niej pali... co mam wobec tego robić? — Rzemieślnik najpierw odpowiedział spokojnie, że teraz nie ma czasu, ale za tydzień będzie wolniejszy. — Ale tam się coś pali! — krzyknęła zrozpaczona dama. — To niech się pali — odpowiedział flegmatyczny rzemieślnik. — Jak zacznie się palić pokój, to niech pani wezwie straż ogniową — wcześniej nie radzę, bo będzie kara.

Dawniej właściciele samochodów mogli utrzymać swoje samochody w jakim takim stanie i tylko w razie konieczności dokonania poważniejszego remontu oddawali wóz do warsztatu naprawczego. Właściciel nowoczesnego samochodu, z automatyczną skrzynką biegów i innymi skomplikowanymi urządzeniami, jest bezradny. Mimo że ilość warsztatów reperacyjnych stale się powiększa, nie pokrywa ona zapotrzebowania. W 1940 roku było w USA około miliona takich warsztatów, a mimo to już wtedy odczuwało się ich brak. Dziś jest około dwóch milionów warsztatów, lecz brak ich stał się jeszcze bardziej dotkliwy wobec ciągłego wzrostu liczby samochodów.

Obywatele Stanów Zjednoczonych wydali w 1961 roku blisko dwa miliardy dolarów na reperacje telewizorów. A zatem więcej niż na zakup nowych. Łączny koszt reperacji różnych elektrycznych urządzeń lub mechanizmów wyniósł 1,6 miliarda, a naprawy samochodów — 6,6 miliarda dolarów. W

1962 roku koszty te wzrosną prawdopodobnie o dalsze 6 procent. Z powyższego widać, jak olbrzymie sumy zarabiają w Stanach Zjednoczonych rzemieślnicy.

Koszty usług rzemieślniczych są horendalne. Bardzo często się zdarza, że na przykład uszkodzony telewizor po prostu się wyrzuca i kupuje nowy, gdyż naprawa zupełnie się nie opłaca. Zdarzają się — choć rzadko — również niesumienni rzemieślnicy. W Nowym Jorku wykryto aferę, która polegała na tym, że tysiące warsztatów wykupywały „na lewo” z fabryk lampy radiowe i telewizyjne z defektami. Rzemieślnicy zainstalowali te wybrakowane lampy w 600 tysiącach aparatów radiowych i telewizyjnych, każąc sobie płacić normalną cenę. Na ogół jednali rzemieślnicy amerykańscy pracują solidnie, a ich nie-najlepsza opinia wzięta się stąd, że wielu z nich nie posiada odpowiedniego przygotowania fachowego. Niekiedy do rzemiosła trafiają ludzie z zupełnie innych zawodów, którzy, znęcani zarobkiem, otworzyli warsztaty. Wpływa na to między innymi brak kontroli. Na każdym kroku czyta się ogłoszenia, zachęcające do kupna podręczników lub do zapisania się na zaoczne kursy kształcenia fachowego. Ogłoszenia obiecują szybkie ukończenie kursu i wysokie zarobki: „Już za miesiąc będziesz naprawiał telewizory i zarabiał 1 000 dolarów miesięcznie!”

Wciąż istnieje ogromny brak specjalistów w różnych branżach. Szczególnie dotkliwie odczuwa się brak dostatecznej liczby wykwalifikowanych mechaników samochodowych oraz fachowców od telewizorów i maszyn elektronowych. Ostatnio stowarzyszenie przemysłu samochodowego otworzyło kursy szkolenia mechaników, a poszczególne fabryki przystąpiły do kształcenia rzemieślników. Przemysł samochodowy będzie potrzebował rocznie około 40 tysięcy wykwalifikowanych majstrów, by uzupełnić brak personelu w garażach, w fabrycznych stacjach obsługi i w warsztatach naprawczych.

Mimo to organizacje rzemieślnicze bronią się przed przyjmowaniem nowych kandydatów, szczególnie do bardziej opłacalnych zawodów. Powiadają, że rzemieślników jest dosyć, że brak jest chwilowy, spowodowany jedynie obniżeniem się jakości produkcji fabrycznej, wskutek czego częściej zachodzi potrzeba napraw. Gdy fabryki zaczną solidniej produkować — twierdzą — obecna ilość warsztatów rzemieślniczych w zupełności wystarczy. Przyczynę tego stanu upatrują ponadto w handlu, a ściślej biorąc w niefachowej obsłudze. Teraz już nawet apceki prowadzą sprzedaż telewizorów, aparatów radiowych, mikserów i różnych mechanizmów. Sprzedawcy tacy nie są w stanie udzielić odpowiednich instrukcji Klientowi, jak należy obchodzić się z tym czy innym mechanizmem.

Wbrew zarzutom rzemieślników w istocie przemysł fabryczny — dbały o swoją reputację — wielkie znaczenie przypisuje jakości produkcji. Dyrektor „Borg-Wer-ner-Corp.”, Judson Sayese, oświadczył kiedyś, że „największym naszym nieszczęściem są koszty, jakie nasi klienci muszą ponosić wskutek napraw dostarczanych przez nas urządzeń. Człowiek, który by rozwiązał nam problem usługi reperacyjnej, zrobiłby u nas ogromną karierę...”

Fabryki z zasady usuwają uszkodzenia bezpłatnie, nie zawsze jednak są w stanie to uczynić ze względu na brak wykwalifikowanych kadr. Spółka „Detroit Edison Co.”, posiadająca szereg elektrowni i zainteresowana w sprzedaży prądu, zatrudnia od lat 275 mechaników, których zadaniem jest bezpłatne dokonywanie wszelkich napraw. Nawet spalone bezpieczniki są wymieniane za darmo. Wydatki z tego tytułu wynoszą rocznie siedem milionów dolarów, lecz podobno ogromnie się to opłaca. Inne fabryki starają się mieć własne punkty naprawcze przynajmniej w większych ośrodkach. Problem uruchomienia odpowiedniej liczby warsztatów rzemieślniczych nie został jeszcze rozwiązany i tym większe nastrożają trudności, że ilość urządzeń mechanicznych bezustannie rośnie i niewspółmiernie szybko do wzrostu kadry fachowców.

Rolnictwo zindustrializowane

Nowoczesny amerykański rolnik nie ma w sobie już nic z dawnego pioniera, zdobywcy Zachodu lub farmera z ubiegłego wieku. Różni się nawet od tego sprzed dwudziestu laty, jako że dziś „jest on w większym stopniu przemysłowcem i kupcem niż rolnikiem. Oczywiście musi być fachowcem wyspecjalizowanym w jakiejś ściśle określonej gałęzi produkcji. Ale przede wszystkim musi być *businessmanem* i kalkulatorem, ponieważ o jego powodzeniu decyduje zmysł organizacyjny i umiejętność sprzedaży. Dotyczy to zarówno wielkich, jak i drobnych farmerów. Zmiany, jakie zaszły i zachodzą w amerykańskim rolnictwie, są tak głębokie, że wymagają nie tylko innych metod prowadzenia gospodarki, lecz również człowieka myślącego nowymi kategoriami. Wyrażają się one nie tylko rozmiarami produkcji czy stopniem mechanizacji, lecz również liczbą osób zatrudnionych w rolnictwie.

USA w swej przeszłości były krajem rolniczym i dosyć długo nim pozostawały. Przeważała ludność wiejska i dopiero w końcu XIX stulecia zaczęły zachodzić zmiany. Podczas gdy w 1792 r. 95 procent

ludności mieszkało na wsi, to w 1900 r. — już tylko 30 procent. Dziś stosunek ten zmienił się jeszcze bardziej i tylko 13,5 procent ludności żyje na wsi, przy czym jedynie 10 procent całej siły roboczej kraju pracuje w rolnictwie. Procent ten cyfrowo wyraża się liczbą 7 milionów, w tym 3 miliony stanowią robotnicy rolni i drobni dzierżawcy, pozostałe zaś 4 miliony to właśnie farmerzy.

Ludność farmerska jest bardzo zróżnicowana. Połowę stanowią drobni i biedni farmerzy, którzy nie potrafili przystosować się do nowych warunków ekonomicznych. Dochód osiągany z farm zwykle nie wystarcza im nawet na skromne utrzymanie. Biorą więc pracę dorywczą w przemyśle lub angażują się do robót publicznych. Stopniowo jednak likwidują swe farmy. Od 1930 do 1960 roku ilość farm w USA zmniejszyła się z 6 300 000 do około 3 i pół miliona. Proces ten postępuje nadal i przewiduje się, że w ciągu najbliższych lat ilość farm zmniejszy się jeszcze o milion, a procent zatrudnionych w rolnictwie spadnie do 8 procent. Gdy jedne farmy upadają, inne w tym samym czasie notują wzrost produkcji.

Dla Stanów Zjednoczonych jest to proces bardzo znamieny. Jeszcze silniejsze wstrząsy przeżyło rolnictwo Nowej Anglii w początkach XIX wieku. Gdy liczne rzesze farmerów ruszyły na Zachód i na żyznych ziemiach Środkowego Zachodu rozwinęła się tania i masowa produkcja, rolnictwo zaczęło szybko upadać. Drugi wstrząs przeżyło Południe po zakończeniu Wojny Domowej. Od tego czasu rolnictwo w tej części kraju nie może się już podźwignąć. Mimo pozornie wielkich strat ogólna zdolność produkcyjna rolnictwa amerykańskiego nie tylko nie zmniejsza się, lecz wydatnie wzrasta.

Obserwowane obecnie zmiany, nie tylko zresztą ekonomiczne, wpłyną niewątpliwie jeszcze radykalniej *nn* rolnictwo. Coraz szybciej zaciera się różnica między wsią i miastem, przede wszystkim w psychice ludności, w jej sposobie myślenia. Odrębność bowiem obyczajowa znikła już dawno bez śladu.

W czasie mego pobytu w Shirley (stan Massachusetts) miałem możność zetknięcia się z dwoma typami farmerów, dawnym i nowoczesnym. Były tam dwie farmy mleczne. Pierwszą, sąsiadującą dosłownie o miedzę, prowadziła stara, zasiedziała rodzina, której przodkowie sprowadzili się jeszcze na początku XVII wieku. Kiedyś uprawiano tu zboże, kartofle, chmiel. Ale to było już bardzo dawno. Teraz właściciel ma dwadzieścia krów i z nich tylko czerpie środki egzystencji. Przed dwudziestu laty miał ich tyleż samo, lecz wtedy ta ilość wystarczała, dziś jednak jest za mała. Mimo iż posiada niezły park maszynowy i porządnie zaprowadzoną gospodarkę, cierpi biedę i z wielkim trudem „wiąże koniec z końcem”. Przyczyną tego stanu jest niska cena mleka; farmer za litr mleka odstawanego do mleczarni otrzymuje zaledwie 10 centów.

Druga farma, położona trochę dalej, różniła się od pierwszej metodą gospodarowania. Jej właściciel dość wcześnie się zorientował, że nie wystarczy produkować, lecz trzeba umieć sprzedać. Obliczył, że jeśli będzie dostarczał mleko do mleczarni, wówczas grozi mu bankructwo, a w najlepszym razie będzie skazany na vegetację, pracując na zyski akcjonariuszy mleczarni. Kupił więc pasteryzator, maszynę do mycia, kapslowania butelek i napełniania. (W USA zabroniona jest sprzedaż do konsumpcji mleka nie pasteryzowanego). Dzięki tym innowacjom technicznym mógł dostarczać mleko odbiorcom wprost do domów, biorąc za litr 25 centów, czyli dwa i pół razy tyle, co jego sąsiad. Jednocześnie dostarcza swym odbiorcom śmietankę, masło i ser, które pobiera w mleczarni, zarabiając dodatkowo na tej transakcji. Dzięki takiej organizacji stać go na utrzymywanie 40 krów, co się lepiej opłaca, gdyż w zasadzie ta liczba krów wymaga takiej samej obsługi co 20, głównie wskutek tego, że elektryczne agregaty do dojenia są zawsze dostosowane do takiej ilości. Dzięki dużym dochodom może racjonalniej karmić krowy, uzyskując mleczność o 50 procent wyższą. Wyniki są oczywiste. Pierwszy farmer vegetuje, drugi prosperuje, robi inwestycje i nawet dorabia się.

Biednych farmerów, nie umiejących dostosować się do nowych warunków, jest wszędzie wielu, a najwięcej na Południu. Jest wśród nich spora liczba Murzynów, lecz przeważają biali. Wielu nie ma nawet traktorów i jako siły pociągowej używa koni lub mułów. Traktor nie rozwiązuje jednak sprawy. Na powierzchni życia może się utrzymać tylko ten farmer, który potrafi produkować dużo i tanio. Płody rolne, produkowane na małym obszarze, są drogie, a tym samym nieopłacalne. Krótko mówiąc — trzeba umieć kalkulować i wyspecjalizować się w jednym określonym kierunku. Ci wszyscy, którzy tego nie pojęli, skazani są na zagładę.

Pewną, aczkolwiek nie decydującą rolę, odgrywa wielkość farmy. Może mieć istotne znaczenie tylko przy uprawie zboża, kukurydzy lub hodowli bydła. Widziałem farmera, który z małego skrawka ziemi uzyskiwał ogromne dochody. Posiadał łącznie sto akrów ziemi, lecz prawie wszystkie pola zapuścił i pozwolił porosnąć lasem. Do uprawy pozostawił tylko dziesięć akrów najlepszej ziemi, przeznaczając ją na plantację truskawek. Zlikwidował cały żywy inwentarz i nie trzymał nawet ani jednej kury. Cały swój wysiłek skierował na tę swoją plantację. Zapoatrzył się w odpowiednie maszyny do uprawy, a w okresie zbiorów najmuje robotników. Truskawki odstawia hurtowo do chłodni, część zaś sprzedaje w lubiankach

w swym kiosku, stojącym przy pobliskiej autostradzie. Powodzi mu się doskonale i stać go nawet na wyjazd do Europy.

Poznałem też rolnika, który ze swej farmy „wykroił” niewielki kawałek ziemi i założył plantację czarnych jagód. Daje mu ona doskonałe utrzymanie, przy czym pracę na niej ma jedynie w krótkim sezonie. Również nieźle prosperują różne inne wyspecjalizowane farmy. Współczesne rolnictwo amerykańskie cechuje właśnie specjalizacja. Tak więc są farmy uprawiające tylko marchew, kapustę, jęczmień, żurawiny, sałatę lub pomidory. Ścisła specjalizacja pozwala farmerowi zakupić potrzebne mu maszyny, na ogół drogie, lecz ułatwiające pracę i pozwalające na wykonanie wszystkich robót bez wynajmowania obcej siły roboczej. Wszystkie potrzebne produkty farmer taki kupuje, wiedząc, że „samowystarczalność” słono kosztuje.

Zmiany w metodach gospodarowania wpłynęły na wzrost produkcji. W połowie ubiegłego wieku czterech rolników musiało ciężko pracować, by wyprodukować dostateczną ilość żywności dla pięciu osób. W 1940 r. jeden rolnik zaspokajał potrzeby dziesięciu osób, a dziś z łatwością produkuje dla 24. Oto, co powiedział mi pewien farmer: „Jestem fabrykantem ziarna. Po prostu przerabiam nawozy sztuczne na kolby kukurydzy”. Istotnie, amerykańscy farmerzy, zaliczający się do przodującej grupy producentów żywności, są już tylko fabrykantami. Mięso, jaja, drób czy ziarno produkuje prawie wyłącznie metodami fabrycznymi. Na ziarno przerabia się nawozy sztuczne lub ziarno na jajka, mięso i mleko.

Przykładem nowego typu farmera-businessmana jest Jack O'Neil, właściciel olbrzymich plantacji bawełny, nie posiadający nawet wykształcenia rolniczego, gdyż karierę życiową zaczynał jako księgowy. W 1915 roku przybył do Kalifornii i tam kupił tanio ranczę. Miała 5 tysięcy akrów. Przy uprawie bawełny pracowało wówczas 500 robotników i tyleż mułów pociągowych. O'Neil nie bardzo wiedział, co robić z nabytkiem, i niewiele znał się na tym. Wyzierzał więc całą majątność. Lecz dzierżawca niebawem zbankrutował i rancza wróciła do swego właściciela. O'Neil długo borykał się z wielkimi trudnościami. W latach kryzysu popadł nawet w długi. Wreszcie -zrozumiał, w jaki sposób może zrobić interes. Miał wyrobione stosunki, uzyskał więc kredyt. Wprowadził na farmę mechanizację i zaczął stosować na szeroką skalę nawozy sztuczne. Jeszcze w 1930 roku plon bawełny z jednego akra wynosił 1 bal (200 kg), w 1959 roku — 3 i pół bala. Obniżył koszty uprawy roli i, co najważniejsze, zbioru bawełny. Właśnie zbiór był nadzwyczaj drogi, gdyż koszt jego wynosił przeszło 40 dolarów od bala. Obecnie dzięki zastosowaniu maszyn obniżył do jednej czwartej tej sumy. Wszystkie muły zastąpił traktorami, a liczbę robotników zmniejszył o 90 procent; wprowadzenie bowiem maszyn rolniczych pozwoliło zwiększyć wydajność pracy robotników rolnych o 83 procent. Dla racjonalnego wykorzystania odpadków O'Neil posiada na swojej farmie 5 tysięcy sztuk opasowego bydła. Dla podniesienia ceny sprzedaży mięsa wybudował własną rzeźnię. Woły bije na miejscu, a mięso, poćwiartowane i zapakowane w plastikowe torebki, wysyła do sklepów. Dzięki temu uzyskuje cenę o 50 procent wyższą od tej, jaką otrzymują farmerzy sprzedający żywiec. O'Neil - dziś już multimilioner — posiada własną stację telewizyjną, jako uboczny interes, rozporządza własnym samolotem i zatrudnia pilota.

Na Środkowym Zachodzie oglądałem farmę, której właścicielem była para małżeńska, oboje bliscy sześćdziesiątki. Farma miała około 150 hektarów i nastawiona była wyłącznie na uprawę pszenicy. Małżonkowie sami wykonywali wszystkie roboty. Co roku, w kwietniu, przyjeżdżali na farmę i rozpoczynali pracę. Pola zasiane pszenicą bronowali i posypywali nawozami sztucznymi. Potem czekali, aż zbiory dojrzeją. Gdy zaczynały się żniwa, on siadał na kombajn, a żona odwoziła ciężarówką worki z ziarnem do elewatora. Słomę pozostawiali na polu. Po sprzęcie pszenicy siadali na traktory i znów orali, bronowali, nawozili pola, siali pszenicę. Prace polowe kończyli w połowie października. Wówczas małżonkowie zamykali dom na farmie i jechali na Florydę, gdzie spędzali wszystkie zimy we własnym bungalowie. Obok mechanizacji olbrzymie znaczenie posiada również organizacja produkcji. Bez niej jakkolwiek sukces byłby niemożliwy. W Greely, stan Kolorado, znajduje się wielka rancza hodowlana, której roczny przychówek wynosi dziesięć tysięcy sztuk opasowego bydła. Karmienie odbywa się mechanicznie. Właściciel uruchamia ślimakowe transportery, które rozprowadzają paszę z olbrzymich silosów. Bydło trzymane jest na polu. Aby stado nie rozbiegało się, zwierzęta otrzymują w paszy środki uspokajające. Ponadto ograniczenie ruchu zwierząt wpływa korzystnie na przyspieszenie przyrostu wagi. Właściciel rancza uprawia wyłącznie kukurydzę, a całe gospodarstwo obsługuje on sam i pięciu robotników.

W pobliżu Atlanty znajduje się farma drobiu Roya Durra; w ciągu roku wykluwa się w niej pół miliona kurcząt. Nie są one przeznaczone na konsumpcję, lecz sprzedaje się je jako nioski farmerom, którzy wyspecjalizowali się w produkcji jaj. Kury tę całe życie spędzają w klatkach jako maszyny do przerobu paszy. Przed sobą mają jedzenie i wodę do picia. Znoszone jajka staczają się nieprzerwanie korytkami

do konwój erów, po czym są automatycznie sortowane i pakowane. Jeden człowiek na takiej farmie obsługuje 7 tysięcy kur i przygotowuje do wysyłki około 5 tysięcy jaj dziennie.

W Duluth, stan Georgia, gospodaruje farmer Charles Vantress specjalizujący się w chowie kogutów; roczna produkcja jego farmy wynosi 3 miliony sztuk. W Glas-tonbury, stan Connecticut, farmer Henry Sanglio produkuje rocznie 16 milionów kur. Vantress i Sanglio sprzedają swoje koguty i kury wyłącznie wylęgarniom drobiu. Z jaj zniesionych przez te kury zostają wyhodowane kurczęta, które następnie sprzedaje się producentom brojlerów.

Z dwóch miliardów kurcząt dostarczanych rocznie na rynek USA około 75 procent pochodzi od kogutów Vantressa i 50 procent od kur Sanglio. Obaj hodowcy, Sanglio i Vantress, oparli swój wychów na gatunku, który zużywa stosunkowo niewielką ilość paszy i daje najszybszy przyrost mięsa. Wnętrznosci tego gatunku kur wynoszą stosunkowo niski procent ogólnej wagi ptaka. Dawniej trzyfuntowy (1,2 kg) kurczak musiał rosnąć przez 14 tygodni i zjeść 12 funtów (4,8 kg) paszy, by osiągnąć tę wagę. Dziś, dzięki usilnej pracy hodowlanej, osiąga się ten sam wynik w ciągu ośmiu i pół tygodnia, uzyskują ten sam wynik w ciągu ośmiu i pół tygodnia, zużywając na sztukę tylko 6,75 funta (2,7 kg) paszy, ściścielem ogromnych wylęgarni drobiu. W celu dalszej hodowli rozsyła on do 270 farm jednodniowe kurczęta. Tam tuczy się je aż do uzyskania rynkowej wagi. Praca na farmie jest tak zorganizowana, że jeden człowiek może obsłużyć 36 tysięcy kurcząt. W określonym czasie samochody Jewella zabierają kurczęta i przywożą je znów na jego farmę, gdzie znajduje się również wielka rzeźnia drobiu i chłodnia. Ptaki zostają oskubane, oczyszczone, zapakowane i zamrożone. Jewell dostarcza dziennie na rynek około 50 tysięcy kurcząt.

Ogromne znaczenie dla rozwoju i dochodowości produkcji rolnej mają nawozy sztuczne, których zużycie gwałtownie wzrasta. Od 1942 od 1952 roku zużycie to wzrosło dwukrotnie. W 1959 roku sprzedano 25 milionów ton nawozów sztucznych. Nie wszyscy jednak rolnicy stosują je w równym stopniu. Biedni farmerzy bardzo mało lub nawet wcale nie nawożą ziemi. Małe farmy na Południu, należące do Murzynów i „biednych białych”, stosują, jako jedyny nawóz, obornik. Farmy stosujące obficie nawozy sztuczne, często do 1200 funtów na akr, uzyskują nieporównanie wyższe plony. Podczas gdy przeciętny zbiór kukurydzy wynosi zwykle 50 — 60 buszli (około 25 kg) z akra, wielu farmerów osiąga wydajność około 150. Nic więc dziwnego, że gdy w 1959 r. minister rolnictwa Benson zwrócił się z pytaniem do rolników, czy wolą nieograniczoną produkcję kukurydzy przy niskich cenach, czy też ograniczoną przy podwyższonych cenach (1,35 dol. za buszel), większość farmerów (71 procent) w 26 stanach głosowała za nieograniczaniem produkcji, godząc się na oddanie ziarna państwu po 1,12 za buszel.

Rolnicy amerykańscy szeroko stosują przeróżne środki chemiczne do niszczenia szkodników roślin, szkody bowiem wyrządzane przez owady pasożytnicze idą w miliony. W 1938 roku środków owadobójczych sprzedano na łączną sumę 39 milionów dolarów. W 1956 r. suma ta wzrosła do 250 milionów dolarów. Zdarzały się jednak również i kłopoty. Na przykład do spryskiwania upraw tytoniowych używano środka o dużej zawartości arsenu, szkodliwie działającego na organizm palacza. Był podobno nawet przyczyną raka płuc, tak częstej w swoim czasie choroby. Teraz już nie wolno spryskiwać tytoniu żadnymi chemicznymi środkami. Dla ochrony tytoniu przed szkodnikami plantacje okrywa się zasłonami z muślinu.

Parę lat temu odkryto, że mały dodatek *diethylstilbestrolu*, tj. syntetycznego hormonu żeńskiego, przyspiesza tuczenie zwierząt. Bydło i trzoda chlewna, pobierające w pokarmie stilbestrol, przybierały przeciętnie około 20 procent na wadze bez podwyższenia normy paszowej. Ta metoda tuczenia zwierząt szeroko się rozpowszechniła, a uzyskiwane dzięki niej sukcesy były rzeczywiście niezwykle. W 1958 roku sprzedano około 40 milionów ton paszy z dodatkiem stilbestrolu. Używano go również z niemiernym powodzeniem, w postaci roztworu, do spryskiwania roślin inspektowych. I oto pracownicy naukowiec dowiodły, że stilbestrol jest niebezpieczny dla zdrowia ludzkiego; przypisano mu nawet własności rakotwórcze. W każdym razie wydano urzędowy zakaz stosowania go zarówno przy tuczeniu zwierząt domowych, jak i spryskiwaniu roślin.

Obok wyżej wspomnianych niefortunnych pomysłów, należy zanotować szereg istotnych osiągnięć. Do nich zaliczyć wypadnie między innymi odkrycie dokonane w fabryce streptomycyny „Pfizer and Co.” w Chicago. Otóż stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że odpady z produkcji, dotychczas beztrudno usuwane do rzeki, zawierają cenną witaminę B-12, działającą pobudliwie na przyspieszenie wzrostu. Teraz firma „Pfizer” odpadki te przerabia i sprzedaje masowo producentom paszy w postaci witaminy wzrostowej B-12.

Sytuacja w rolnictwie USA jest rzeczywiście paradoksalna. Z jednej strony zmechanizowane, uprzemysłowione i wysoce dochodowe rolnictwo produkuje wiele i szybko. Z drugiej zaś prawie połowa

ogólnej liczby farmerów z trudem utrzymuje się na swym kawałku ziemi; pozbawieni widoków na przyszłość, uciekają masowo do miast. W ciągu roku opuszcza przeciętnie wieś około 800 tysięcy ubogich farmerów. Rolnictwo, ważna gałąź gospodarki Stanów Zjednoczonych, mimo wielkich dochodów musi korzystać z pomocy finansowej państwa. Obciążenia z tego tytułu wyrażają się w skali rocznej kolosalną kwotą - 6 700 milionów dolarów. Największe sumy pochłaniają dopłaty do cen ziarna i bawełny. 'Płody rolne państwo zakupuje po cenach sztywnych, magazynuje we własnych silosach i elewatorach i odprzedaje odbiorcom. Pewne nadwyżki przeznaczają się na eksport, lecz z oczywistą stratą. Gromadzą się zapasy, a magazynowanie kosztuje drogo. (Rocznie wydaje się na ten cel 476 milionów dolarów). Nic więc dziwnego, że podatnicy narzekają. Zagrożeni widmem bankructwa, farmerzy zaciągają w „Soil Bank” pożyczki pod „zastaw” ziemi, to znaczy pod warunkiem, że nie będą jej uprawiać. Za odłogi skarb państwa wypłaca odszkodowanie w wysokości 11,5 dolara za akr, starając się w ten sposób zahamować produkcję. Bardzo wielu farmerów, zwłaszcza tych biedniejszych, czyni to z chęcią i przenosi się do miasta. To samo czynią jednak również i bogaci farmerzy. „Zastawiają” w banku swoje najgorsze grunty, podnosząc jednocześnie wydajność z pozostałych. W 1957 roku ilość ziemi uprawnej zastawionej w banku wynosiła 21 300 000 akrów. Była ona własnością 914 819 farmerów, którzy pobrali od państwa, z tytułu odszkodowania za utrzymywanie odłogów, ni mniej ni więcej „tylko” 614 milionów dolarów. Obliczono, że na tym zastawionym areale można byłoby wyprodukować 225 milionów buszli kukurydzy, 175 milionów buszli pszenicy, 2 miliony bali bawełny, 300 tysięcy ton ryżu i około 50 tysięcy ton tytoniu. A mimo to ogólna produkcja rolnicza w 1957 roku wzrosła o 11 procent, w porównaniu z rokiem poprzednim.

Powyższy program rolny ma swoich zagorzałych obrońców i nieustępliwych przeciwników.

W 1929 roku udział rolnictwa w dochodzie narodowym wynosił siedem procent. W 1954 roku procent ten spadł do czterech. Przyczynił się do tego nie tylko ogólny wzrost dochodu narodowego, lecz także ciężka sytuacja poważnej części farmerów. Gdyby rząd nie utrzymywał cen ziemiopłodów na ustalonym poziomie, położenie półtora miliona biednych farmerów, tych, których dochód roczny wynosi zaledwie około tysiąca dolarów, stałoby się katastrofalne. Nawet i ci farmerzy, których dochód roczny kształtuje się w granicach czterech tysięcy dolarów, znaleźliby się w ciężkiej opresji materialnej, gdyby nastąpiła najmniejsza choćby obniżka cen produktów rolnych. Stoczyliby się wówczas do poziomu najbiedniejszych pariasów bogatej Ameryki lub zasililiby szeregi bezrobotnych w mieście.

Podatkowe kłopoty

Amerykanie płacą bardzo duże podatki. Nie tylko obowiązani są dzielić się z państwem osiągniętym dochodem, lecz poza tym muszą je płacić na każdym kroku; kupując ubranie, chleb czy bilet autobusowy, wszędzie do zasadniczej ceny jest doliczana odpowiednia kwota podatkowa. Tylko korzystanie z powietrza, jak to ktoś żartobliwie powiedział, nie podlega opodatkowaniu. Aliści Amerykanie płacą bez szemrania i dość solidnie. Oczywiście, starają się wykręcać od płacenia, gdy to jest możliwe, lecz przyznać trzeba, że z wyjątkowym hartem i pogodą ducha znoszą tak wysokie obciążenia.

W końcu roku każdy podatnik składa na poczcie zeznanie podatkowe na urzędowym formularzu. Zeznania na ogół składane są uczciwie, o czym świadczy nieznaczna ilość ukaranych podatników. Otóż w 1958 roku za złożenie fałszywych zeznań podatkowych ukarano więzieniem zaledwie 189 osób. W poprzednich latach ilość tego rodzaju przestępstw niewiele odbiegała od tej. Na stan ten wpływa niewątpliwie duże poszanowanie prawa, lecz decydujące znaczenie mają wysokie kary, jakie grożą osobie, która zataja swoje dochody.

Zasadnicze znaczenie posiada podatek dochodowy, stosunkowo wysoki i dotkliwy. Wzrósł on niewspółmiernie w ostatnich latach i nawet w porównaniu z 1939 rokiem wymiar jego jest dziś przeszło ośmiokrotnie wyższy. Wolna od opodatkowania jest tylko suma 600 dolarów rocznego dochodu. Od każdego zarobku powyżej tej sumy płaci się najmniejszy wymiar w wysokości 20 procent. Podatek jest progresywny i stopa opodatkowania wzrasta w miarę wysokości dochodu. Przy dochodzie rocznym 200 tysięcy dolarów wynosi 91 procent.

Amerykanie jednak bronią się przed tym, jak mogą, i przyznać trzeba — dość skutecznie. Ustawy podatkowe w USA przewidują bowiem możliwość zwolnienia od podatku wszelkich inwestycji oraz kosztów związanych z uzyskaniem dochodu. Podatek oblicza się w zasadzie od czystego dochodu.

Aby zmniejszyć sumę dochodu, wykorzystuje się przede wszystkim wspomniany przywilej inwestycyjny, szczególnie korzystny dla przemysłowców, gdyż zamiast odprowadzać wysokie sumy do kasy państwowej, pomnażają swój majątek. W rezultacie wszyscy przemysłowcy modernizują swoje fabryki.

Często demontuje się przestarzałe zakłady przemysłowe, zbudowane podczas drugiej wojny światowej, i buduje się nowe, zwykle w innym miejscu. Z tych samych powodów stale odnawia się park maszynowy, a zakłady przemysłowe przenosi się z wielkich miast na prowincję. Władze skarbowe są podobno zdania, że nic na tym nie tracą i że w końcu roku ktoś zawsze zapłaci, nieźle zarobiwszy na nowych inwestycjach.

Przemysł składa dowody genialnej wprost inwencji i pomysłowości, gdy chodzi o uchylenie się od płacenia podatków. Wobec progresji podatkowej przekroczenie określonej bariery dochodu jest nieopłacalne. Wzrasta niepomrotnie podatek i planowany dochód w rezultacie maleje. Otóż często się zdarza, że przemysłowcy nie obniżają cen towaru i w wypadku, gdy zależy im na zmniejszeniu dochodów, sztucznie powiększają koszty. W pewnej fabryce zobaczyłem kiedyś kosztowne elektronowe maszyny do skomplikowanych obliczeń. Ponieważ produkcja była prosta, wyraziłem zdziwienie na ich widok i zapytałem, do czego tu służą. Kierownik zakładu wyjaśnił mi z uśmiechem, że głównie używają ich urzędnicy do... wróżenia! Chodziło o to, że koszt dzierżawy tych maszyn wynosił rocznie 300 tysięcy dolarów (kupić ich nie można, lecz tylko wydzierżawić), a o taką właśnie sumę należało ze względów podatkowych zmniejszyć zysk.

Innym sposobem zmniejszania dochodu, a tym samym podatku, jest działalność „filantropijna” szeroko spopularyzowana w Ameryce. Zawsze się dziwiłem, że tak wiele ludzi w tym kraju chętnie i szczerze sypie pieniędzmi na rozmaite godne tego cele. Z filantropii utrzymują się uniwersytety, właśnie te najlepsze, muzea, instytuty naukowe i liczne fundacje stypendialne. Oczywiście, niektórzy, a jest ich dość sporo, dają bez wyrachowania, lecz inni asygnują pieniądze jedynie dlatego, że filantropia wspaniale się opłaca. Istnieje lista różnych instytucji i dotacje na ich rzecz są odliczane od dochodu. W ten sposób zachowuje się większy dochód i dodatkowo prawo do tytułu... dobrodzieja.

Najwięcej machinacji czyni się z okazji różnych odliczeń. Każdy może odliczyć wszystkie poniesione koszty. Ludzie zbierają więc rachunki i skrzętnie je chowają. W tych sprawach są bardzo skrupulatni i nawet koszt zakupu aspiryny potrafią przedłożyć urzędowi skarbowemu. Podaje się koszty przyjęć, przejazdów, hoteli, leczenia, a nawet łapówek. Czytałem swego czasu w prasie, że pewna firma budowlana odliczyła od dochodu sumę 600 tysięcy dolarów, tłumacząc, że musiała ją wypłacić na łapówki w celu uzyskania zamówienia na budowę wodociągów w pewnym mieście. Sprawa dostała się do sądu. Po jej rozpatrzeniu sąd zwolnił firmę od zapłacenia podatku od pięciuset tysięcy dolarów, gdyż sumę tę wpłacono na miejscu, tj. w stanie, w którym miejscowe prawo nie kwalifikuje łapówki jako czynu karalnego. Od pozostałych stu tysięcy dolarów, wypłaconych w Nowym Jorku, gdzie obowiązuje inne prawo, firma musiała zapłacić odpowiedni podatek.

A oto inny ciekawy wypadek, nie pozbawiony akcentu humorystycznego. Pewien Amerykanin zgłosił do potrącenia koszt zakupu niezwykle rzadkiego i drogiego psa Chihuahua, zwanego również meksykańskim psem bezwłosym. Urząd podatkowy oczywiście nie uwzględnił tej pozycji. Wówczas Amerykanin podał sprawę do sądu i wygrał ją. Przedłożył dowody, że żona jego, uczulona na psie włosy, ogromnie lubi psy, wobec czego kupił jej bezwłosego.

Pewne małżeństwo z New Jersey, właściciele dużej mleczarni, wyjechało w podróż do Afryki, a koszt tej wycieczki mąż podał potem w zeznaniu podatkowym jako „koszty handlowe”. Sprawa zakończyła się w sądzie. Małżonkowie tłumaczyli się, że przywieźli ze sobą dużo dzikich zwierząt, które podarowali miejscowemu ogrodowi zoologicznemu w celach reklamowych. Nakręcili także film krótkometrażowy, wyświetlany w kinach jako dodatek reklamowy. Udowodnili ponadto, że właśnie po tej „afrykańskiej” akcji reklamowej obroty ich mleczarni wzrosły, i to znacznie. Sąd uznał, że istotnie były to koszty handlowe.

Na porządku dziennym zdarzają się wypadki określania jako „kosztów handlowych” sum wypłaconych *cali girlsom* lub restauracjom za hektolitry wypitego alkoholu. Każdy podatnik za wszelką cenę stara się maksymalnie zwiększyć swoje „koszty”. Jeśli nawet urząd wszystkiego nie uzna, zawsze jednak coś się wytarguje. Istnieją specjalne agencje zawodowo trudniące się „tworzeniem” kosztów. Jako profit otrzymują one przeważnie pewien procent od sum, które wytargują.

Z urzędem podatkowym zetknąłem się przy wyjeździe. Gdy roczny dochód przewyższa 600 dolarów - nawet w wypadku stypendium - podatek płacić trzeba. Po prostu należy przedstawić przy wyjeździe zaświadczenie o uregulowaniu wszelkich należności podatkowych. Musiałem więc udać się do urzędu skarbowego i przedstawić swoją sytuację. Potraktowano mnie bardzo pobłażliwie. Urzędnik ustalił wysokość otrzymanego przeze mnie stypendium, pouczył, jak wypełnić formularz i jakie podać koszty. Sam wszystko obliczył tak, abym nic nie musiał płacić. Otrzymałem też zaświadczenie — formularz wypełniony przez kalkę, ozdobiony zamasztyłym podpisem.

Poza podatkiem dochodowym, Amerykanie płacą jeszcze podatek od nieruchomości, od spadku i

wszelkich darowizn. W USA opodatkowane są papierosy, drogi (trudno bowiem nazwać inaczej opłaty za przejazd autostradami) i materiały pędne. Jest to szczególnie dotkliwe dla osób dojeżdżających do pracy, zmuszonych dwa razy dziennie płacić haracz. W wielu stanach opodatkowaniu podlegają: pokoje hotelowe, samochody, artykuły mięsne, a w większości stanów płaci się podatek od każdego zakupu dokonanego w sklepie. Opodatkowane są wszędzie napoje alkoholowe, światło elektryczne, futra, biżuteria, rozmowy telefoniczne, bilety kolejowe, samolotowe i autobusowe. W niektórych stanach płaci się nawet podatek od wody — oczywiście wodociągowej.

Obok wzrostu podatków czynnikiem zmniejszającym dochody jest inflacja dolara. Sprawę tę naświetlił T. Coleman Andrews, były szef wydziału podatkowego przy Ministerstwie Skarbu, w artykule zamieszczonym w czasopiśmie „Economic Research Associates”. Opierając się na sile nabywczej dolara, obliczył on, że osoba zarabiająca obecnie 2 tysiące dolarów rocznie otrzymuje w rzeczywistości tylko 863 dolary (w stosunku do ich wartości z 1939 roku). Wpłynął na to wzrost podatków, a przede wszystkim inflacja. Osoba zarabiająca w 1939 roku 2 tysiące dolarów otrzymywała „do ręki” 1 975 dolarów, gdyż wówczas podatek od takiej sumy wynosił tylko 25 dolarów. Dziś podatki wzrosły prawie dziesięciokrotnie i od tej samej sumy trzeba zapłacić już 215 dolarów. Poza tym inflacja zabiera z tej sumy 897 dolarów. Aby dziś otrzymać równowartość 2 tysięcy dolarów z 1939 roku, trzeba zarabiać aż 4 806 dolarów. Podatek od tej sumy wyniesie bowiem 755 dolarów, zaś strata na skutek wzrostu cen — 2 051 dolarów. Łatwo więc na tej podstawie obliczyć, że realna wartość obecnych zarobków — w stosunku do ich wartości z 1939 roku — wynosi niecałe 50 procent wartości nominalnej.

Dzieje zagłady bizonów

Jechałem samochodem z Niagary do Buffalo. Przy jakimś skrzyżowaniu, obok stacji benzynowej, ujrzałem starego mężczyznę w wyszarzałym ubraniu, trzymającego na lince rosnącego bizona. Widok był niezwykle. Potężny, brodaty bizon stał obok człowieka grzecznie i potulnie jak pokojowy piesek. Obojętnym wzrokiem wodził po pędzących wozach i leniwie przymykał oczy. Sprawiał wrażenie bardzo znudzonego.

Zjechałem w bok i zatrzymałem się. Stary człowiek ożywił się. Z życzliwym uśmiechem na twarzy uczynił zachęcający gest ręką, bym się zbliżył. - Jeśli ma pan aparat fotograficzny, mogę zrobić kilka zdjęć z tym bizonem za jednego dolara. Proszę się nie obawiać, bizon jest tak spokojny, że może go pan nawet dotknąć. - Dodał jeszcze, że dla większej atrakcji i zaimponowania znajomym, może przywołać Indian znajdujących się po drugiej stronie stacji benzynowej. Kosztowałoby to dodatkowego dolara. Nie skorzystałem jednak z tej oferty. Mimo to stary człowiek zainkasował dolara, twierdząc, że zająłem mu sporo czasu rozmową, a to kosztuje. Poszedłem dalej, by zobaczyć Indian. Siedzieli przed „wigwamem” zrobionym z płótna, a może i papieru, i palili „pelmele”. Ubrani w barwne pióropusze, jakie dla dzieci sprzedaje się w drugistorach lub w sklepach z zabawkami. Na sobie mieli pasy skórzane, nabijane mosiężnymi gwoździkami, błękitne dżinsy. Jeden z nich uzbrojony był w „tomahawk” z plastyku. Widok wydał mi się przykry. Bijąca w oczy nędza i gorsze od nędzy upokorzenie dawnych władców tego kontynentu. Nasunęło mi to na myśl smutny los bizonów, dla których zjawienie się białego człowieka na kontynencie północnoamerykańskim miało równie tragiczny skutek, jak dla czerwonoskórych.

Jeszcze na początku XIX wieku ilość bizonów w Ameryce szacowano na 60 milionów sztuk. Stada ich pasły się na olbrzymich preriach Środkowego Zachodu, od wybrzeży Atlantyku po Ocean Spokojny. Z Południa docierały aż do północnej Florydy i Nowego Meksyku, a na Północy — aż po wielkie Jezioro Niewolników. Obok bizonów żyli Indianie. Nigdy jeszcze żadne zwierzę do tego stopnia nie uzależniło od siebie bytu człowieka — z wyjątkiem chyba renów — jak właśnie bizony Indian. Czerwonoskórzy ubierali się w odzież ze skór bizonów. Ze skóry sporządzali obuwie i pokrycie wigwamów. Głównym zaś pożywieniem było mięso bizonów. Bez tych zwierząt egzystencja Indian była niemożliwa.

Kiedy w końcu XVIII stulecia Stany Zjednoczone zdobyły niepodległość, stada bizonów pasły się jeszcze nad Atlantykiem. W stanie Kentucky były ich dziesiątki tysięcy, żyły w sporych ilościach w stanach Nowy Jork i Ohio. Illinois było prawdziwym rajem dla tych zwierząt. Na rozległym morzu bujnej trawy pasły się setki stad, liczących po parę tysięcy sztuk. W tym okresie rozpoczęło się wypieranie bizonów. Osadnicy jeszcze ich nie tępilli, gdyż, podobnie jak Indianie, żywili się ich mięsem. Zabijali tylko tyle, ile to było potrzebne. Stopniowo jednak wypierali na zachód wszystkie większe stada, by nie niszczyły pól i zasiewów. Mięso bizonów cenili także biali traperzy, którzy wędrowali wówczas aż za St. Louis, gdzie znajdowały się duże żeremia bobrowe. Mięso to, przerobione indiańskim sposobem na tzw. pemikan (wysuszone, zmielone na proszek i zmieszane z łojem), stanowiło ich podstawowe pożywienie. Za skóry zaś tych zwierząt kupcy z Europy płacili złotem.

Ubytek bizonów był jednak wciąż jeszcze niewielki. Indianie polowali tylko dla zaspokojenia własnej potrzeby, a wilki zagryzały jedynie stare i schorowane sztuki. Naturalnych wrogów, poza człowiekiem, bizony nie miały. Żaden drapieżnik nie ośmielił zbliżyć się do stada. Do jakiego zaś stopnia Indianie oszczędzali bizony, świadczy opowiadanie Franka Meycra, słynnego łowcy bizonów. Zaprzyjaźniony z wieloma szczepami indiańskimi, mógł swobodnie i bezpiecznie polować na ich terenach, tym bardziej że jego czerwonoskórzy przyjaciele podarowali mu „cudowną strzałę”, będącą widomym znakiem zezwolenia na polowanie. Był to owalnego kształtu płat bawolej skóry, wielkości 6 na 3 cale. Na skórze

wypisano indiańskimi hieroglifami, że wolno mu polować na terenach Indian, a w razie potrzeby należy udzielić mu pomocy. Takie zezwolenie — niezależnie od dobrych stosunków — należało opłacić dziesięcioma tresowanymi do polowania na bizona końmi. Meyer, cieszący się wyjątkowymi względami Indian, dał tylko dziesięć srebrnych dolarów i dziesięć koców wełnianych. Niestety, Meyer utracił niespodziewanie ów „żelazny list”. Otóż pewnego dnia sławny traper przywiózł do indiańskiego obozu upolowane przez siebie ciele bizona. Indianie wzięli bez słowa ciele i zaprosili go na wspólną ucztę. Zwykle gotowali mięso i podawali je w rosole, pokrajane na małe kawałki. Meyer zjadł swoją porcję i, jak każe zwyczaj, pochwalił potrawę. Wtedy podeszła do niego jedna z kobiet indiańskich i zapytała, czy mu smakowało. Myśliwy, zdziwiony tym nieco, nigdy bowiem to się nie zdarzało, pochwalił jeszcze raz posiłek. Wtedy kobieta zaśmiała się szyderczo i kazała mu pójść ze sobą. Gdy się nieco oddalili, pokazała mu leżącą na ziemi sukę ze szczeniętami.

- Za to, żeś ubił cielaka, zostałeś ukarany - powiedziała wskazując na sukę - zjadłeś miskę rosółu i mięso jednego z tych szczeniaków. Jesteś pohańbiony na zawsze, gdyż wszyscy widzieli, jak to jadłeś i jeszcze się oblizywałeś. Wynoś się teraz z naszej wioski i nie pokazuj się więcej, gdyż jeśli mężczyźni cię złapią, to my, kobiety, oskalpujemy cię...

Meyer wiedział, że nie są to żarty. Osiodłał konia i wyniósł się cichaczem.

Zabicie cielaka lub pozostawienie w prerii na pastwę wilków rannego bizona Indianie uważali za wielkie przestępstwo i najbardziej hańbiący czyn, niegodny prawdziwego myśliwego.

Indianie polowali na bizona konno. Kiedy upatrzeli już sobie kilka sztuk w stadzie, rozpoczynali gonitwę za nimi, rażąc strzałami z bliskiej odległości zwierzęta. Ranny bizon po pewnym czasie padał z wycieńczenia i upływu krwi. Wtedy dobijano go lancami lub dorzynano nożem. Do polowania czerwonoskórzy wojownicy musieli mieć odważne konie, które potrafiłyby ścigać jedną upatrzoną sztukę. Polowano również w ten sposób, że zapędzano bizona do dobrze zamaskowanej zagrody i tam zabijano je dzidami.

W owych czasach wielu białych myśliwych polowało na bizona jedynie dla sportu. Mięso oddawali Indianom, zatrzymując sobie jako trofeum czaszkę z rogami. W polowaniach tych przodowali Meksykanie. Co roku urządzali specjalne wyprawy łowieckie do Teksasu, gdzie polowali na bizona konno przy pomocy lancy. Polowali też oficerowie armii angielskiej, a potem amerykańskiej. Ci ostatni używali karabinów wojskowych lub wielkich rewolwerów Colta. Przyjeżdżali również myśliwi z Europy. Wsławił się wówczas bogaty Irlandczyk, sir Charles Gore. Urządził on wielką wyprawę w okolice Yellowstone i Tondue River, w której wzięło udział 40 myśliwych; ich łupem padło przeszło 2 500 bizonów, 40 niedźwiedzi grizzli i ogromna ilość łosi, antylop i jeleni. Skóry i mięso Irlandczyk oddawał Indianom.

Działo się tak mniej więcej do połowy XIX wieku, to jest do czasu rozpoczęcia budowy transkontynentalnej linii kolejowej. Wówczas mięso bizonów stało się cennym produktem; zapanowała też moda na bizonie skóry, z których wyrabiano odzież i pościele. Farmerzy, kowboje i robotnicy w miastach lub zatrudnieni przy budowie linii kolejowych używali płaszczy z bawolej skóry, noszonych włosami na wierzch. Wzrost popytu na skóry, a więc i cen na nie, sprawił, że na bizona zaczął polować każdy, kto tylko dysponował bronią i czasem. Tak oto zaczęła się masowa rzeź bizonów.

Wówczas to zdobył wielki rozgłos W.F. Cody, znany do dziś na obu półkulach jako Buffalo Bill. Przydomek ten zawdzięczał niesłychanej zręczności i brawurze, z jaką polował na bizona. Pewnego razu założył się o 500 dolarów z pewnym oficerem, który twierdził, że w ciągu ośmiu godzin zabije więcej od niego bizonów. Z tej okazji przybył nawet z St. Louis specjalny pociąg z publicznością spragnioną ujrzeć tego niecodziennego widowiska. Polowanie odbyło się na prerii, w odległości dwudziestu mil od miejscowości Sheridan. Już w czasie pierwszej jazdy Cody ubił 38 bizonów, a jego przeciwnik 23; podczas drugiej Cody położył 18 sztuk, tamten zaś 14. W trzeciej jeździe Cody wjechał w sam środek stada, kładąc 13 bizonów. Jego przeciwnik nie zabił wówczas ani jednej sztuki. Zwycięski pojedynek utrwalił nadany mu przez żołnierzy przydomek — Buffalo Bill. Sławnego pogromcę bizonów zatrudniło towarzystwo budujące kolej Kansas --Pacyfik za bardzo wysokim, jak na ówczesne czasy, wynagrodzeniem — 500 dolarów miesięcznie. Obowiązkiem jego było zaopatrywanie robotników pracujących przy budowie kolei w mięso. Wywiązał się z niego znakomicie — w ciągu 18 miesięcy swej służby ubił własnoręcznie 4 280 bizonów.

Cafe watahy myśliwych z prawdziwego i nieprawdziwego zdarzenia zabijały inasowem bizona wyłącznie dla skóry. Ta bowiem ogromna ilość mięsa niemożliwa była do skonsumowania. Transport zaś, z uwagi na wysokie koszty, nie opłacał się. Tysiące sztuk ginęły bez żadnego dla nikogo pożytku. Stara broń i brak strzeleckich umiejętności większości myśliwych sprawiały, że moc rannych zwierząt dogorywała na prerii, rozszarpywana przez wygłodniałe wilki. Pułkownik Richard I. Dodge, który zainteresował się tą bezmyślną masakrą zwierząt, twierdził, że każdą skórę dostarczaną na rynek opłacało życiem pięć ciężko rannych bizonów.

Zawodowi myśliwi strzelali skuteczniej. Było to bardzo intratne rzemiosło, lecz wymagało znacznych nakładów pieniężnych — dla zorganizowania wyprawy. Należało zaangażować kucharza, j obdzieraczy skór, a także zakupić wozy dla transportu zdobytych skór. Podobnie zresztą wyruszali całymi obozami dostawcy mięsa. W tamtejszym gorącym i wilgotnym klimacie mięso szybko się psuje, należało więc spieszyć się z wędzeniem, suszeniem i soleniem.

Plan polowania był dokładnie opracowany, lecz możliwy do zrealizowania jedynie przez zawodowych myśliwych. Podjeżdżali oni konno na odległość 200 metrów w pobliże stada, nie za blisko, aby go nie spłoszyć, zsiadali z koni, które kładły się na dany znak, i oparły lufy karabinów na specjalnych podpórkach, czekali na odpowiedni moment. Taka pozycja zapewniała im lepszą celność strzału. Zwykle łowy rozpoczynali bardzo wczesnym rankiem, o szarym świcie.

Kiedy się dostatecznie rozwidniło, myśliwy przez lunetę brał na cel najpierw starą krowę. Celował uważnie, bez pośpiechu, starając się jej nie zabić, lecz trafić tylko w płuca. Raniona krowa nie padała, kręciła się w miejscu, krwawiąc obficie. Stado czując krew skupiało się dokoła, wylekłe i zdezorientowane. W tej właśnie chwili myśliwy musiał strzelać szybko i celnie, w samą głowę, aby jednym strzałem zabić zwierzę. Bizony wciąż jeszcze nie rozumiejąc, co się dzieje i skąd grozi niebezpieczeństwo, kręciły się bezradnie. Gdy jednak myśliwy ranił tylko bizona, ten natychmiast rzucił się na oślep do ucieczki, pociągając za sobą całe stado. Największą sztuką było celne strzelenie z dość znacznej odległości, aby odgłos wystrzałów nie płoszył stada.

Myśliwy strzelał zwykle tak długo, dopóki stado nie zaczynało uciekać. Kiedy zaś znalazło się poza zasięgiem strzału, przywoływał oprawiaczy. Byli to wyborni specjaliści w swoim zawodzie. Ściąganie skóry wymagało dużej wprawy, gdyż łatwo ją można było uszkodzić, a wówczas traciła na wartości. Czynność tę należało wykonywać zręcznie i szybko, mięso bowiem psuło się, a nieznośny odór uniemożliwiał pracę. Myśliwi dzielili się zwykle z oprawiaczami zyskiem po połowie, ponosząc również wspólnie wszystkie koszty wyprawy.

Najlepiej opłacała się sprzedaż skór najwyższej jakości. Nazywano je jedwabistymi. Skóry te, jak nazwa wskazuje, odznaczały się miękkim, jedwabistym włosem. Za taką skórę myśliwy otrzymywał około 30 dolarów, za zwykłą nie więcej jak trzy i pół dolara.

Wojsko i rząd, zainteresowane wytępieniem bizonów, a ściślej biorąc wyparciem Indian, nieuchronnym następstwem zagłady tych zwierząt, popierały łowców bizonów, dostarczając im nawet bezpłatnie amunicji. Indianie, pozbawieni podstawy egzystencji i zagrożeni głodem, musieli wędrować na zachód lub południe w poszukiwaniu nowych terenów łowieckich. Generał Phil Sheridan oświadczył otwarcie, że myśliwi w ciągu paru lat w większym stopniu przyczynili się do eksterminacji Indian w zachodnich rejonach kraju niż wojsko w okresie trzydziestu lat.

Łowy na bizony na wielką skalę ustały w 1875 roku. Do końca ubiegłego wieku myśliwi polowali już tylko na małe, rozproszone stadka i pojedyncze sztuki. Lecz były to już tylko polowania amatorskie. Głównym celem tych myśliwych były łby bizonie, podówczas bardzo cenne, jako iż bizon stał się dość rzadkim okazem fauny amerykańskiej, a ludzie chętnie przyozdabiali nimi mieszkania. Za spreparowany łeb bizona płacono około stu dolarów.

Prerie opustoszały, resztki dziesiątkowanych bizonów schroniły się w góry i niedostępne puszcze. Na terenie Stanów Zjednoczonych zostało ich przy życiu zaledwie paręset sztuk. Na prerii natomiast leżały miliony szkieletów. Przedsiębiorczość ludzka potrafiła zużytkować dla siebie i te resztki. Stały się one nawet źródłem wielkich fortun, których dorobili się ci, eo pierwsi odkryli złoto w postaci walających się kości. Okazały się one cennym surowcem dla szeregu gałęzi przemysłowych. Powstały przedsiębiorstwa trudniące się ich zbiorem. I znów na prerie ruszyły karawany. Zbierano szczątki bizonów i dowożono do pociągów. Szły wagony pełne kości do fabryk nawozów sztucznych i do cukrowni. Znane są dane statystyczne jednej tylko linii kolejowej, mianowicie Adchison—Topeka, Santa Fe Rail-road. Linia ta w 1872 roku przewiozła 1135 080 funtów kości, a w roku 1873 — 2 743 000. W latach 1874—1890 przewoziła jnż rocznie około 7 milionów funtów. Zbiór kości trwał do roku 1895, a cena ich wyniosła od 12 do 18 dolarów za tonę.

Od początków bieżącego stulecia nikt już w Stanach Zjednoczonych na bizony nie polował. Podobnie jak Indianie, żyją już tylko w rezerwatach, stanowiąc atrakcję dla turystów. Jedyni* w Kanadzie, dzięki ofiarnej pracy paru osób, zdołano zebrać ocalałe stadka i umieścić je w rezerwatach. Obecnie żyje ich tóra około 25 tysięcy. Stany Zjednoczone, jakkolwiek obowiązuje tam ścisła ochrona bizonów, posiadają ich tylko około 5 tysięcy. Najwięcej sztuk znajduje się w słynnym parku narodowym Yellowstone.

Bizony podzieliły los Indian. Kiedy na kontynencie amerykańskim pojawił się biały człowiek, los Indian i bizonów został przesądzony.

ARKA NOEGO

Indianie

Data przybycia Indian do Ameryki — niezmiernie trudna do ustalenia nawet w przybliżeniu — jest nadal przedmiotem licznych sporów i kontrowersji. Zdania uczonych są krańcowo różne. Jedni twierdzą, że przybyli oni przed trzema tysiącami lat, inni, że stało się to 20 000 lat temu. Nie wiadomo także, czy była to jednorazowa fala napływowa, czy też przybywali stopniowo, etapami. Dziś większość Indian żyje w takiej nędzy i zacofaniu, że nie sposób dociec czegoś na podstawie poziomu cywilizacyjnego tych czy innych plemion. Wiadomo tylko, że poszczególne ludy indiańskie, szczególnie na południu, wykazywały dość znaczne zróżnicowanie rozwojowe. W północnych stanach Ameryki różnice te były mniejsze, lecz kiedyś, przed wiekami, występowały dość wyraźnie.

Na kontynencie północnoamerykańskim istniało kilka językowych grup Indian. Pierwszą stanowili koczownicy, Indianie z prerii, polujący na bizony i posuwający się za wędrującymi stadami tych zwierząt. Indianie ci potrafili oswoić dziczatego konia — po hiszpańskich konkwistadorach — i zasłynęli jako niezrównani jeźdźcy. Potem równie szybko nauczyli się obchodzenia z bronią palną i obróbki żelaza, co ogromnie ułatwiło im warunki bytu. Do grupy tej należały wszystkie plemiona Sjuksów, Czarne Stopy, Arapahowie i Czejenowie.

Drugą grupę stanowili Indianie zamieszkujący zalesione tereny wschodnie, położone w pobliżu wybrzeży Atlantyku — plemiona Irokezów i Algonkwino. Nazywano ich Indianami leśnymi. Pod względem rozwoju kulturalnego przewyższali Indian preriowych, gdyż poza myślistwem trudnili się również rolnictwem. Dzięki nim biali osadnicy zapoznali się z kukurydzą i od nich też nauczyli się uprawy tej pożytecznej rośliny. Oprócz kukurydzy uprawiali fasolę, tytoń i arbuzy, lecz gdy ziemia stawała się jałowa, przenosili się na inne tereny. Posiadali organizację państwową opartą na demokratycznych zasadach. Na wschodnim wybrzeżu działała wojownicza federacja plemion irokeskich oraz pokojowa Liga Pięciu Plemion Cywilizowanych. Od tych ostatnich wiele zasad przejęli Amerykanie, opracowując swoją Konstytucję. W skład Ligi wchodziły plemiona Krików, Czika-sów, Czirokezów, Czoktawów i Seminoli. Budowali chaty, uprawiali duże obszary ziemi i chętnie przejmowali od białych osadników zdobycze europejskiej cywilizacji.

Trzecią grupę, zamieszkałą na południowym zachodzie, stanowili Indianie P u e b l o, co po hiszpańsku znaczy „wioskowi”. Mieszkali oni w domach z gliny lub kamienia, a podstawą ich utrzymania było rolnictwo. Oprócz roślin uprawianych przez Indian leśnych znali bawełnę, z której wyrabiali tkaniny. Od Hiszpanów nauczyli się systemu nawadniania, zresztą dość prymitywnego. Do tej grupy należą plemiona tzw. penntiańskiej oraz utoazteckiej rodziny językowej.

Bardzo ciekawie przedstawia się grupa językowa plemion Dene. Obejmuje ona około 50 plemion indiańskich, z których większość zamieszkuje Alaskę i północną Kanadę i jest znana pod ogólnym mianem Eskimosów. Kilka plemion z tej grupy zamieszkuje tereny południowe i wybrzeże Pacyfiku, a wśród nich szybko emancypujące się plemię Nawahów.

Gdy biali zdobywcy przybyli na ląd amerykański, Indianie stanęli wobec nich zupełnie bezradni. Padali ofiarą nie tyle muszkietów, ile destrukcyjnego wpływu obcej kultury. Indianie nie znali handlu, obca im była spekulacja białych i metoda zawierania podstępnych umów, lecz nade wszystko zgubny w skutkach okazał się dla nich alkohol. Pojawiły się nagle nie znane im dotąd choroby zakaźne — ospa i gruźlica — które dziesiątkowały ich plemiona. Biali wyniszczyli Indian głównie przy pomocy „zimnej wojny”, okrutnej, bezwzględnej i wyrafinowanej. Straty w otwartych walkach były stosunkowo nieduże i nie miały decydującego znaczenia. Poza tym wojen było niewiele. Stanowiły one bądź odruch determinacji i rozpacz, bądź rezultat aktów prowokacyjnych ze strony białych. Niekiedy zmuszano Indian do chwytania za broń, jak na przykład stało się to w ostatniej fazie odbierania ziemi.

Na temat wyniszczenia Indian De Tocqueville powiedział między innymi:

„Hiszpanie nie potrafili przeprowadzić konsekwentnie eksterminacji Indian. Mimo brutalności i najbardziej barbarzyńskich metod, Indianie pozostali. Amerykanie ten problem rozwiązali inaczej i nadzwyczaj skutecznie. Wyniszczali Indian spokojnie i legalnie, ubolewając nad ich losem i zdobywając się nawet na akcje filantropijne. Krew przelewali tylko z konieczności. Właściwie trudno o większy humanitaryzm w wyniszczaniu ludności, i to bez uszczerbku dla godności ludzkiej”.

Zetknięcie się Indian z białymi przybyszami oznaczało zgubę krajowców. Nie można sobie bowiem wyobrazić dwóch bardziej odmiennych kultur. Z jednej strony kultura zachodnioeuropejskich zdobywców, ekspansywna, i racjonalna, prężna i oparta na wysokiej stosunkowo technice, z drugiej - irracjonalna, oparta na fantazji, dziwnych obrzędach i rytuałach, na wskroś bierna.

Brytyjczycy przywieźli ze sobą do Ameryki surowe zasady moralności, umiłowanie praworządności, wolności osobistej i religijnej. Nie dokonywali podbojów w imię religii, jak to czynili Hiszpanie. U purytanów pojęcie Boga, wolności i zysku jednoczyło się i ucieleśniało w postaci kontynentu obejmowanego w posiadanie. Ameryka była dla nich biblijną Ziemią Obiecaną. Gdyby Indianie mogli dostosować się do schematu purytańskiej filozofii życia, wówczas uniknęłyby owej straszliwej hekatombi. Purytanie przyjęliby ich z otwartymi rękoma, tak jak przyjmowali innych. To jednak było niemożliwe. Purytański światopogląd był dla Indian nie do przyjęcia, jako nielogiczny i niezrozumiały. Europejską cywilizację przyjmowali bardzo powierzchownie; szczególnie pojętni okazali się w przyswajaniu sobie umiejętności obchodzenia się z bronią palną, którą po mistrzowsku władali. Uczyli się języka przybyszów, pewnych rzemiosł, niekiedy też przyjmowali wiarę chrześcijańską. Nie pojmowali jednak stylu życia „błędnych twarzy”. Dziwili się dobrowolnej, wyczerpującej pracy, pogoni za zyskiem i dobrami doczesnymi. Z tych względów asymilacja Indian nie mogła dać spodziewanych wyników. Na przykład Czirokezi z Georgii przyjęli religię chrześcijańską i, jak się wydawało, również kulturę białych osadników. Kiedy jednak próbowano ich zmusić do osiadłego trybu życia i systematycznej pracy na roli, wówczas oparli się temu stanowczo.

Gdy się weźmie pod uwagę purytańską pewność siebie, jankesowską naturę zdobywcy, zachłanność, żądzę zysku i głód ziemi pierwszych osadników, a także determinację pionierów, to wówczas okaże się, że temu wszystkiemu nie wiele mieli do przeciwstawienia naiwni i zacofani Indianie. Osadnicy brytyjscy

reprezentowali wysoko rozwiniętą cywilizację europejską, gdy tymczasem Indianie wciąż tkwili w epoce kamiennej.

Początkowo osady białych powstawały na indiańskiej ziemi przeważnie w sposób najzupełniej legalny. Osadnicy płacili za zajmowany teren. Pasy wybrzeża Atlantyku nie przedstawiały dla Indian żadnej wartości, dlatego też odstępując je białym, sądzili w naiwności ducha, że to oni robią wspaniały interes. Osadnicy płacili świecidełkami, nożami i alkoholem, a więc artykułami dla Indian bardzo cennymi. Stosunki z krajowcami układały się dobrze, mimo że nieraz dochodziło do zatargów. Przybysze nie łapali niewolników, nie zmuszali do pracy, nie żądali złota ani innych bogactw. Potrzebowali tylko ziemi, żywności i futer, a za wszystko płacili. Towary, które dawali, wydawały się Indianom bezcenne. Wierzyli, że dostają te skarby prawie za darmo, w każdym razie w zamian za przedmioty miernej wartości. Indianom zależało więc, by stosunki z białymi układały się jak najlepiej.

Handel Indian z białymi, zwłaszcza handel futrami, był jednym z zasadniczych czynników wyniszczania krajowców i ułatwiał przybyszom penetrację amerykańskiego lądu. Handel futrami podważył solidarność Indian, a tym samym siłę i skuteczność ich oporu. W obliczu groźby utraty ziemi Indianie łatwiej się jednoczyli i przeciwstawiali zakusom białych ekspansjonistów.

Ziemia, a więc prairie, na których pasły się bizona, i lasy pełne zwierzyny stanowiły podstawę bytu. Utrata ziemi dotykała wszystkich w jednakowej mierze. Inaczej rzecz się miała z terenem łowieckim. Nie wszystkie szczepy posiadały łowiska równie obfitujące w zwierzęta futerkowe. Właśnie futra — a ściślej mówiąc bobrze łowiska — stały się przyczyną długotrwałych i krwawych wojen pomiędzy indiańskimi plemionami lub małymi szczepami. Kolonizatorzy umiejętnie podsycali te walki wykorzystując je dla różnych celów. Ważnie międzyplemienne ułatwiły im opanowanie kontynentu amerykańskiego, albowiem gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Podczas gdy skłócenia Indianie toczyli ze sobą walki, brytyjscy osadnicy rozszerzali swoje posiadłości i coraz łatwiej wdzierali się w głąb lądu. Zakładali osady, miasta, budowali drogi.

W wyniku bratobójczych sporów między Indianami i wyniszczających walk ocalały jedynie te plemiona, które, dzięki posiadaniu futer i wymianie ich na broń palną, zdobyły przewagę nad gorzej uzbrojonymi pobratymcami. Ci ostatni zostali wyparci w głąb kraju lub wybici do nogi. Znane są walki między szczepami Ottawa i Win-nebago. Szczep Ottawa, lepiej uzbrojony, zagarnął Win-nebago łowiska i zdziesiątkował swego przeciwnika. Potomkowie wojowniczego szczepu Ottawa przetrwali do naszych czasów i obecnie spora ich liczba zamieszkuje Kanadę, częściowo zaś Stany Zjednoczone.

W walkach tych udało się Irokezom ujarzmić inne plemiona i handel futrami skupić w swoich rękach. Wówczas to zaprzyjaźnione z Francuzami plemię Huronów zostało wybite.

Na początku XVI wieku wódz Irokezów, Hiawatha, utworzył federację indiańską, złożoną ze szczepów Mo-hawków, Ononida, Onondaga, Kahuga i Seneka. W XVIII wieku wódz Deganawidah powiększył federację o szóste plemię - Tuskarora. Federacja sięgała od wybrzeża Atlantyku aż po Illinois i rzekę Tennessee. Podówczas Irokezi utrzymywali z Anglikami bardzo dobre stosunki i w czasie amerykańskiej rewolucji występowali przeciwko walczącym o wolność Jankesom. Nie wyszło im to na dobre. Długoletnie walki z Amerykanami doprowadziłyby zapewne do całkowitej zagłady Irokezów, gdyby się nie schronili na terytorium Kanady.

Anglicy nawet wobec swoich najwierniejszych sprzymierzeńców nigdy nie byli uczciwi. W roku 1732 generał Jeffrey Amherst wysłał następującą instrukcję do swego podwładnego w stanie Massachusetts, zamieszkałym przez zaprzyjaźnione szczepy:

„Będzie bardzo dobrze, jeśli zdołacie zarazić wszystkich Indian ospą za pomocą koców, pod którymi spali chorzy. Każda inna metoda również będzie dobra, jeśli doprowadzi do wyniszczenia tej obrzydliwej rasy. Byłbym wielce rad, gdyby wasz projekt urządzania na nich polowań przy użyciu psów przyniósł rezultaty, lecz, niestety, pomysł ten wydaje mi się mało realny”.

Po uzyskaniu niepodległości stosunki Amerykanów z Indianami nie układały się najlepiej. W zasadzie sytuacja Indian znacznie się pogorszyła. Zachłanni na ziemię osadnicy amerykańscy zrazu kupowali ją od Indian, ponieważ administracja angielska nigdy nie zezwalała na jakąkolwiek przemoc. Później wzmógł się napór osadników na terytoria indiańskie. Ziemię usiłowano zabierać siłą, a gdy Indianie stawiali opór, zawierano z nimi traktaty, sporządzane przez władze, w których za ustępstwa terytorialne gwarantowano Indianom nietykalność reszty ich posiadłości. Z zasady wszystkie te traktaty były łamane, a Indianie wypierani na Północ i Zachód. Kiedy więc oszukani autochtoni odmawiali zawierania nie dotrzymywanych umów, osadnicy sięgali po bardziej radykalny sposób pozbycia się rdzennych mieszkańców.

Byli jednak Amerykanie, którzy sprzeciwiali się takim metodom. Niestety, bez skutku. Prezydent

Washington nawoływał do zaprzestania przemocy wobec Indian, lecz apel jego pozostał bez echa. W obronie Indian wystąpił również szef wydziału sprawiedliwości w Waszyngtonie, John Marshall. W sporze ze szczepem Czirokezów z Georgii przyznał słusność Indianom i kazał zwrócić im terytoria, lecz nikt nie był w stanie wprowadzić w czyn polecenia Marshalla. Czirokezów wygnano za rzekę Missisipi, a na ich ziemiach powstały plantacje bawełny.

- Marshall wydał decyzję, ale niech spróbuje Czirokezów wprowadzić na ich dawne terytoria... - powiedział szyderczo Jackson, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, który krwawo rozprawił się z Indianami.

Właśnie w okresie najbardziej bezwzględnej eksterminacji Indian poczęły się ukazywać romantyczno-sentymentalne powieści o „szlachetnych dzikusach”. Pojawiło się pojęcie „dobrych” i „złych” Indian, „dzielnych” i „tchórzliwych”. Ta maska obłudy miała przysłonić rzeczywisty, pełen nienawiści i pogardy stosunek do Indian i zarazem wywołać wrażenie, że tępi się tylko Indian „złych”, „tchórzliwych” i „zdradzieckich”. Jednocześnie rozkliwiano się nad ich bohaterstwem, uczciwością i wiernością.

Dla pierwszych osadników Indianin był zawsze symbolem grozy, otaczającej ich w tym nowym i mało znanym kraju. Jednocześnie handel z nimi stanowił źródło poważnych zarobków, za grosze bowiem otrzymywali od nich drogocenne towary. Indianie jednak posiadali również ziemię, której nie oddawali tak łatwo, jak futer. Aby usprawiedliwić przemoc, zaczęto rozsiewać pogłoski o ich rzekomym barbarzyńskim okrucieństwie, o skalpowaniu i strasznym losie wziętych do niewoli, w czym rzeczywiście było wiele przesady. Wszystkie te makabryczne opowieści rozgrzeszały purytańskie sumienia; biali ukazywali siebie w roli biednych owieczek, zmuszonych do „obrony”. Indian nazywano brutalnymi dzikusami i podkreślano jednocześnie własne bohaterstwo, hart i wspaniałomyślność. Indianie rzeczywiście napadali na białych i często ich zabijali, lecz na ogół były to akty rozpaczki i determinacji wydziedziczonych gwałtem i podstępem włodarzy tej ziemi. O tym jednak zdawały się nie pamiętać „niewinne” blade twarze. Gdy los Indian był już przesądzony, zaczęto się nad nimi litować, aby wzbudzić przekonanie, że ludzie o tak gołębih sercach i ożywieni subtelnym uczuciem miłości bliźniego nie mogli wyrządzić przypisywanych im krzywd i dopuścić się wobec nich niesprawiedliwości.

Po uzyskaniu niepodległości przez Stany Zjednoczone napór wobec Indian z roku na rok przybierał na sile. Już przed wybuchem wojny z Anglią w 1812 roku dwa stany, Nowy Jork i Ohio, były już prawie wyłącznie zasiedlone przez białą ludność. To sprawiło, że i w tej wojnie szczepy indiańskie solidarnie stanęły po stronie Anglików. Indianie nie odegrali w niej większej roli. Amerykanie zadali im duże straty w ludziach i wyparli dalej na zachód. Po zawarciu pokoju Amerykanie wyzbyli się wszelkich skrupułów. W obronie swej ziemi zrozpaczeni Indianie podejmowali nieustannie walkę.

W 1863 roku, jeszcze w okresie trwania Wojny Domowej, administracja Lincolna w Waszyngtonie postanowiła ostatecznie rozwiązać „problem indiański”. Osady białych były już wówczas rozrzucone po całym kontynencie. Wszędzie jednak było jeszcze dużo Indian i biali wśród nich nie czuli się zbyt pewnie. Hamowało to dalszy rozwój osadnictwa. Liczbę Indian szacowano wówczas jeszcze na 300 tysięcy, głównie na Zachodzie, gdyż z Południa i Północy (na wschodnim wybrzeżu) zostali już wyparci. Olbrzymie obszary na Zachodzie zajmowały plemiona Sjuksów, Czejenów, Arapahów, Apaczów, Koman-czów i inne ongiś wyparte z Południa aż za rzekę Missisipi. Wszystkie one miały wówczas umowy zawarte z rządem, gwarantujące im prawo do tych właśnie terytoriów. Indianie ci nigdy nie napadali na osadników. W stosunku do białych zachowywali się lojalnie i skrupulatnie przestrzegali warunków umów. Indianie jednak zajmowali zbyt rozległe obszary, stanowiące blisko połowę północnoamerykańskiego kontynentu, by biali osadnicy dobrowolnie z nich zrezygnowali.

Tak przedstawiała się sytuacja, gdy administracja prezydenta Lincolna podjęła decyzję zagospodarowania Zachodu i rozwoju osadnictwa białej ludności. Na przeszkodzie stali jedynie Indianie i dlatego postanowiono skończyć z nimi, i to raz na zawsze. Rząd federalny początkowo przypuszczał, że proces przechodzenia ziemi na rzecz białych osadników dokona się niejako etapami, w drodze ewolucji. Spodziewano się, że Indianie stopniowo wyprzedadzą ziemię za broń, alkohol i wyroby metalowe. Stało się jednak inaczej. Indianie stanęli twardo w obronie swych włości. Lecz czas naglił. Projektowano właśnie budowę linii kolejowej poprzez kontynent do wybrzeży Pacyfiku. Jednocześnie wzrastał wśród osadników głód ziemi. Zdecydowano więc rozwiązać sprawę za pomocą wojny. Trwała ona prawie dwadzieścia pięć lat. W ciągu tego ćwierćwiecza stoczono przeszło tysiąc bitew, większych i mniejszych. Pochłonęły one ogromną ilość ofiar, szczególnie indiańskich. W rezultacie wykrwawieni Indianie zostali zepchnięci w góry, na obszary pustynne, uznane za bezwartościowe zarówno dla hodowli bydła, jak i rolnictwa. Kampanią eksterminacyjną kierował generał Sheridan, który zasłynął swoim

powiedzeniem: Najlepszy Indianin, to martwy Indianin.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Hayes, przemawiając w 1877 roku w Kongresie, oświadczył: „Większość wojen z Indianami — o ile nie wszystkie — była powodem systematycznego łamania przez nas zawartych z nimi traktatów...”

Mimo tak bezlitosnej akcji Indianie walczyli długo i wytrwale. W 1876 roku Sjuksowie wybili do nogi oddziały generała Custer. Najdłużej stawiali opór Apacze, którzy dopiero w 1886 roku skapitulowali.

W 1887 roku został wydany tak zwany Dawes Act, nadający resztkom Indian obywatelstwo amerykańskie, lecz bez prawa wydalania się poza granice wyznaczonych im rezerwatów. Dopiero w 1924 roku zostali zrównani we wszystkich prawach z resztą obywateli.

Obecnie żyje w USA około pół miliona Indian. Rezerwaty ich bardzo się skurczyły. W 1876 roku obejmowały jeszcze 137 milionów akrów, obecnie tylko 56 milionów. Sytuacja ekonomiczna Indian jest bardzo różnorodna. Część żyje z zasiłków wypłacanych przez rząd federalny, część zaś utrzymuje się z hodowli, rolnictwa, rzadziej z myślistwa. Szczepy, których rezerwaty leżą w pobliżu szlaków turystycznych, ciągną zyski z pozowania do zdjęć fotograficznych i sprzedaży drobnych wyrobów ludowych. Lecz są i takie szczepy, do których los się uśmiechnął. Otóż na terenie niektórych rezerwatów znaleziono olej mineralny. Ostatnio szereg szczepów wystąpiło na drogę sądową żądając odszkodowania za ziemię, dawniej bezprawnie zabraną lub wykupioną pod przymusem za grosze. W ubiegłym roku podobne pretensje zgłosiły szczepy Pawanczów, Patawatomi i Ottawa. Roszczenia szczepu Patawatomi opiewają na przeszło 20 milionów dolarów. Pawancze i Ottawa domagają się zapłacenia im odszkodowania za 4 miliony akrów ziemi w stanach Michigan i Indiana. Jak się okazało, Indianie przechowali umowy zawarte z rządem USA w ubiegłym wieku, gwarantujące im własność tych właśnie terenów. Są to dowody nie do obalenia.

Obecnie nie ma już problemu indiańskiego, czerwono-skóry nikomu nie zagrażają, z nikim nie walczą; zmienił się więc do nich stosunek białych, którzy nie żywią wobec nich tych rasowych uprzedzeń, jak do Murzynów czy Portorykańczyków. Mieszane małżeństwa zdarzają się dość często. Indianie łatwiej też pną się po szczeblach hierarchii społecznej i łatwiej są dopuszczani do wysokich stanowisk. Charles Curtis, wiceprezydent USA w 1928 roku, był Indianinem, przy czym jego pochodzenie dopomogło mu nawet w karierze politycznej. Bardzo popularną osobistością w USA jest generał Clarence Tin-ker, również Indianin, który po japońskim ataku na Pearl Harbour zreorganizował amerykańskie siły lotnicze. Nawet w świecie *businessu* Indianie mają swych reprezentantów. William W. Keeler, milioner i wiceprezes wielkiej spółki naftowej, piastuje godność wodza plemienia Czirokezów. Lecz są to mimo wszystko wyjątki. Ogólna sytuacja mas indiańskich nie jest godna pozazdroszczenia.

U Indian Nawaho

Na terytorium trzech stanów, Arizona, Nowy Meksyk i Utah, leży duży rezerwat Indian szczepu Nawaho. Obejmuje on obszar 16 milionów akrów, a więc jest prawie tej wielkości, co Zachodnia Wirginia. Nawaho znaleźli się tu mniej więcej przed wiekiem, gdy zmuszono ich do porzucenia urodzajnych ziem na wschodzie. Pozostawiony im obszar nie przedstawiał dla amerykańskich osadników żadnej wartości jako pustynia najeżona skałami z pasmem nagich gór, z wysychającymi latem strumieniami w dolinach. Trochę ubogich w trawę pastwisk dla kóz lub owiec. Na uprawę nadawały się jedynie niewielkie skrawki gruntów leżących nad potokami.

Nawahowie wiedli nędzny żywot w ziemiankach lub w szałasach skleconych z pni i glazów. Nie znali nawet najpospolitszych gdzie indziej sprzętów. Spali wprost na ziemi, na baranich kozuchach. Skutki bytowania w tak prymitywnych warunkach nie dały długo na siebie czekać: duża śmiertelność wśród dzieci, gruźlica i inne choroby dziesiątkowały dorosłych i młodzież. Tylko nieliczni członkowie szczepu znali język angielski i posiadli umiejętność czytania czy pisania. Panowała więc ciemnota, zabobon i analfabetyzm. Trudno się dziwić, że w tych warunkach stosunek do białego człowieka był zawsze wrogi i pełen nieufności.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, życie Nawahów odmieniło się całkowicie. Najpierw niespodziewany prezent. W 1950 roku Kongres przyznał 88 milionów dolarów na zagospodarowanie tego zaniedbanego obszaru. Zaczęto budować autostrady i szkoły. Wkrótce przyczyna tego nagłego przyptywu szczodrości wyszła na jaw. Oto na terenach Nawaho odkryto ropę naftową. Rada szczepowa, idąc za poradą znanych adwokatów, podpisała umowy z firmami naftowymi. W 1953 roku poszukiwania prowadzono już na obszarze 1 594 000 akrów. Poza tym uruchomiono już kilka szybów. W 1953 roku Nawahowie otrzymali z tytułu dzierżawy i udziału w zyskach około 50 milionów dolarów. Za prawo poszukiwania ropy na terenie rezerwatu firmy płać Indianom dwa miliony dolarów rocznie.

W 1954 roku odkryto na tych terenach także pokłady uranu. Eksploatacja ich jeszcze się nie rozpoczęła,

jednak za prowadzenie badań Nawahowie otrzymują 800 tysięcy dolarów rocznie. W przyszłości, gdy rozpocznie się eksploatacja, będą otrzymywali pewną sumę od każdej wydobytej tony ziemi uranowej. Indianie bardzo rozsądnie rozporządzają otrzymywanymi pieniędzmi. Na ogół spodziewano się, że podzielą je między członków szczepu. Mimo że jest ich około 85 tysięcy, na każdego członka szczepu przypadłaby dość spora suma. Rada szczepu zdecydowała jednak pieniędzy nie dzielić, a użyć na ogólne potrzeby. Przede wszystkim zbudowano na terenie rezerwatu 25 nowoczesnych szkół, zmodernizowano stare, a 25 dalszych jest w budowie.

Jednocześnie rada szczepu wytypowała 174 uczniów do dalszego kształcenia na wyższych uczelniach, przyznając im stypendia pod warunkiem, że po ukończeniu studiów powrócą do rezerwatu i jako nauczyciele, lekarze lub inżynierowie będą pracować dla dobra szczepu. Otwarto też specjalne kursy nauki rzemiosła i wysłano 2 970 Indian do fabryk, pomagając im w znalezieniu pracy i dostarczając środków do urządzenia się w mieście. Rada szczepu usiłuje zmniejszyć przeludnienie i ograniczyć liczbę ludności w rezerwacie do 40 tysięcy, gdyż tylu właśnie mieszkańców będzie mogło tam żyć w normalnych, kulturalnych warunkach.

W 1958 roku rada szczepu wyasygnowała trzy miliony dolarów na szkolenie Indian na górników i innych wykwalifikowanych robotników. W umowie z firmą „Ship-rock”, która będzie eksploatowała uran, Indianie zastrzegli sobie, że co najmniej 75 procent pracowników fizycznych i umysłowych zatrudni ona spośród członków szczepu Nawaho.

Tereny Nawahów okazały się szczególnie szczerze wyposażone przez naturę. Otóż oprócz ropy naftowej i uranu odkryto tam jeszcze jeden cenny surowiec — węgiel kamienny, którego złoża zalegają na obszarze 26 tysięcy akrów. Rada szczepu podpisała już umowę z „Utah Constructions Co.”, która będzie płaciła po dolarze od akra jako stały czynsz dzierżawny i 25 centów od każdej wydobytej tony. Firma ta zobowiązała się zbudować na terenie rezerwatu dużą elektrownię, a w kopalniach zatrudniać przede wszystkim miejscowych Indian Nawaho.

Poza tym wykorzystane zostanie jeszcze jedno bogactwo Indian, a mianowicie lasy o powierzchni około pół miliona akrów leżące na granicy Arizony i Nowego Meksyku. Z powodu trudności transportowych nie były one dotąd eksploatowane.

Ostatnio Indianie zbudowali nie tylko drogi, ale i dwa tartaki, gdzie pod kierunkiem specjalistów przerabiają drewno na miejscu.

Rada szczepu zwróciła również uwagę na rolnictwo. Indianie, którzy chcą zostać rolnikami, są odpowiednio szkoleni oraz otrzymują inwentarz i potrzebne maszyny. W ciągu jednego roku nawodniono blisko cztery tysiące akrów ziemi i wybudowano około stu budynków gospodarczych. Buduje się też domy mieszkalne dla rodzin indiańskich, a w miejscowości Fort Defiance oddano do użytku nowoczesnie urządzonego szpitala.

W taki oto sposób Nawahowie, dotychczas uważani za dzikich, rozporządzili funduszami, które tak nagle i niespodziewanie posiadli. Dodać trzeba, że szczęście uśmiechnęło się tylko do Nawahów i do kilku jeszcze innych plemion. Pozostałe żyją nadal na skraju nędzy i w poniżeniu.

Amerykański kocioł narodowościowy

Na ląd północnoamerykański przybyło ogółem około 40 milionów emigrantów — w tym około 5 milionów z Wysp Brytyjskich. Chociaż dziś stanowią oni mniejszość, mimo to w USA zaznacza się przemożny wpływ kultury brytyjskiej. Nic w tym zresztą dziwnego. Brytyjczycy byli jednymi z pierwszych, którzy założyli w Północnej Ameryce kolonię, a potem jedynymi, którzy potrafili stworzyć samodzielne państwo. W czasach kolonialnych innej kultury poza brytyjską w ogóle nie było. Angielskie były prawa, zwyczaje i instytucje. Od początku powstania republiki cały rozwój zmierzał nadal w tym samym kierunku. Podobnie język angielski, łączący wielojęzyczną rzeszę emigrantów, stał się językiem panującym. Pragnie mu się nadać amerykański charakter, jednakże warstwy wykształcone starają się zachować czystą angielszczyznę. Amerykańska rewolucja uczyniła nowe państwo jeszcze bardziej angielskim; niż było za czasów kolonialnych. Bijąc się o niepodległość, walczono między innymi o „prawdziwie angielskie obyczaje”. Z Anglii pochodzi rozpowszechnione sekciarstwo, system dwupartyjny, architektura, samorząd lokalny, szkolnictwo, uniwersytety, życie w klubach i w stowarzyszeniach. Na wzór brytyjskiej rozwijała się literatura i prasa. Wybitnie angielskim produktem był także purytanizm, który wpajał obok wytrwałości, samozaparcia i ogromnej pracowitości, jednocześnie hipokryzję, za główny cel życia stawiając osiągnięcie bogactwa. Nie tylko Nowa Anglia była purytańska. Również stare Południe przejęło pu-rytański model.

Purytanie na Południu ściśle przestrzegali nakazów religijnych, a zasady wiary świetnie godzili z

wyzyskiem niewolników. Wierzyli oni, że Murzyni pochodzą od biblijnego Ezawa, który sprzedał swe pierworództwo za miskę soczewicy. Umowa handlowa jest rzeczą niewzruszoną, a zatem Murzynom nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się ze swoim losem i znosić go w pokorze ducha. Biblia usuwała więc wszelkie skrupuły.

W 1790 roku Stany Zjednoczone miały około 4 milionów ludności, w tym blisko milion czarnych niewolników. Większość białych (82 procent) stanowili Anglicy. W tych warunkach emigranci innych narodowości szybko się wynaradawiali, przyjmując angielskie obyczaje.

Emigracja do Ameryki rozpoczęła się na większą skalę dopiero od roku 1830. Pierwsi zaczęli masowo przybywać Irlandczycy, prześladowani przez Anglików w swej własnej ojczyźnie. Przybywali Niemcy, Skandynawowie, a od 1831 roku zaczęła napływać większa fala emigracji polskiej. Ogółem od 1800 do 1950 roku przybyło do Stanów Zjednoczonych około 40 milionów emigrantów, i to głównie (w 85 procentach) z Europy. 10 procent napłynęło z różnych krajów półkuli zachodniej, 3 procent z Azji i 2 procent z pozostałych części świata. W okresie największego nasilenia emigracji, tj. w latach 1904—1914, do USA przybyło 10 milionów emigrantów.

Do Stanów Zjednoczonych emigrowali przeważnie biedni chłopci. Inni szukali w tym kraju szczęścia, schronienia lub po prostu chleba. A więc robotnicy, rzemieślnicy, zbankrutowani kupcy, emigranci polityczni, zawiedzeni intelektualiści i przestępcy kryminalni.

Trudno dziś wyobrazić sobie warunki, w jakich wówczas odbywała się podróż przez ocean. Najpierw długie wyczekiwanie w porcie na statek, potem przepełnione kabiny, robactwo, choroby, nędzne posiłki i brak słodkiej wody. Gdy wreszcie statek dobiegał do amerykańskiego lądu, europejski wieśniak stawał zupełnie bezradny w obliczu obcego mu świata. Nie znał miejscowego języka, stosunków, ludzi; nie wiedział, do kogo ma się zwrócić o pomoc i opiekę. Brał więc każdą pracę, jaka mu się nastręczała, gdyż każdy dzień bez zarobku oznaczał głód, w błogiej nadziei, że z czasem los jego ulegnie poprawie. W pierwszym okresie swego pobytu w Ameryce przybysze często padali ofiarą różnych spekulantów i oszustów. Wyzyskiwano ich bezradność, ciężką sytuację materialną i eksploatowano niemiłosiernie. Emigrant starał się osiedlić w takim mieście, w którym mieszkali w większej grupie jego rodacy, a nawet w tej samej dzielnicy lub przy tej samej ulicy. W ten sposób powstawały narodowościowe getta i dzielnice, do dziś jeszcze istniejące w każdym mieście amerykańskim.

Emigranci w Ameryce przede wszystkim pragną się dorobić. Pracują, oszczędzają i odkładają każdy cent. Poza tym wszystkie emigracyjne grupy narodowościowe cechuje duża solidarność, poczucie wspólnoty i wola utrzymania ścisłej więzi między sobą. Być może, iż to nawet było jedną z przyczyn antyemigranckich nastrojów, jakie zapanowały w Ameryce po pierwszej wojnie światowej. Wprowadzono wówczas szereg ograniczeń i tzw. kwoty, gdyż Amerykanie pochodzenia angielskiego poczuli się zagrożeni jako władcy tego kontynentu. Wkrótce całe społeczeństwo sprzeciwiło się dalszemu napływowi emigrantów. Jankesi z Północy i z Middle Westu, arystokraci z Południa i bossowie ze związków zawodowych, intelektualiści i rzecznicy czystości rasy angielskiej — wszyscy nagle ujrzeli niebezpieczeństwo grożące ze strony nieanglosaskich przybyszów. Emigrantom zaczęto przypisywać wszystkie popełnione i niepopełnione winy. Odnoszono się do nich wrogo, z nietajoną pogardą i nieufnością. Prawie każdej narodowości przyczepiano jakieś mniej lub bardziej pogardliwe przezwisko. Zarzucano emigrantom, że wprowadzili na amerykański kontynent zbrodnie, kradzież, gangi i tajemne organizacje Mafii i Czarnej Ręki. Oskarżano ich o anarchizm, handel narkotykami, lichwiarstwo i szerzenie prostytucji. Wynędzniali przybysze z Europy, gotowi pracować za grosze i podejmujący się każdej, choćby najcięższej i najniebezpieczniejszej pracy, siali groźbę i lęk wśród 314 sytych i ustabilizowanych Anglosasów. Istotnie Anglo-sasom w wielu wypadkach władza zaczyna się wymykać z rąk. Znalazło to potwierdzenie szczególnie na prowincji, gdzie samorząd przejęli w dużej części synowie dawnych emigrantów. Na to jednak musieli oni ciężko zapracować.

Ograniczenie emigracji, czyli kwoty, potraktowano z rasistowskiego punktu widzenia, faworyzując jedne kraje, a dyskryminując inne. Wśród faworyzowanych znaleźli się Niemcy, których kwota wynosi rocznie 25 tysięcy osób, i oczywiście Anglia z kwotą 65 tysięcy osób. Do upośledzonych należy Francja (3 tysiące) i Włochy (5 tysięcy). Jeszcze bardziej ograniczono dopływ emigrantów z innych części świata. W ogóle uzyskanie prawa stałego pobytu dla jakiegokolwiek tzw. kolorowego człowieka stało się zupełnie niemożliwe. Rasiści dokonali swego, lecz zostali zaskoczeni przez liczną i wciąż rozwijającą się emigrację z Puerto Rico. Zahamowanie jej jest niemożliwe, gdyż Puerto Rico należy do Stanów Zjednoczonych, a jego mieszkańcy są obywatelami amerykańskimi. Przybysze z tej wyspy stanowią element najbardziej przez rasistów niepożądany i najzacieklej zwalczany, jako że Portorykańczycy to Hiszpanie zmieszani z ludnością murzyńską.

W cyfrach emigracja do Ameryki do 1917 roku przedstawia się następująco: z Europy najwięcej

emigrantów przybyło z Niemiec (6 664 803). Dalsze miejsca zajmują Włochy (4 932 202), Irlandia (4 662 894) i Wielka Brytania (4 543 483). Dane odnoszące się do polskich emigrantów wyglądają w oficjalnych statystykach niepozornie (w latach 1820—1958 tylko 425 295)'. W rzeczywistości liczba Polaków przybyłych do Stanów Zjednoczonych była niewspółmiernie wyższa. Ta nie odpowiadająca rzeczywistości liczba pochodzi stąd, że do końca pierwszej wojny światowej wszystkich Polaków traktowano jako przedstawicieli jednego z państw zaborczych - Niemiec, Austrii lub carskiej Rosji. Tym się tłumaczy niesłychanie duża liczba odnosząca się do Austrii (3 747 099), gdyż obejmuje ona emigrantów z wszystkich krajów wchodzących w skład monarchii habsburskiej. W latach 1820—1958 wyemigrowało z Europy do Ameryki ogółem 34 316 263 osób.

Z Azji najwięcej emigrantów przybyło z Chin (405 457) i z Japonii (313 449); łącznie przybyło do USA z tej części świata 1 050 909 emigrantów.

Liczenie reprezentowana była emigracja z różnych krajów amerykańskich. Najwięcej osób przybyło z Kanady (3 474 131) i z Meksyku (1 083 038). Razem ze wszystkich krajów Ameryki przybyło do USA 5 540 628 emigrantów.

Emigranci szybko się amerykańszują. Są grupy narco-dowościowe, które już w pierwszym pokoleniu zatracają zupełnie swą odrębność narodową. Do tych należą przede wszystkim Niemcy. Inne narodowości wolniej się „rozpuszczają” w amerykańskim kotle narodowościowym. Mimo że tu i ówdzie utrzymują się jeszcze cechy narodowe, proces amerykańszacji postępuje szybko, i jesteśmy obecnie świadkami, jak z tej różnorodnej i barwnej mozaiki narodowej kształtować się zaczyna jeden naród.

Murzyni

Pierwszych czarnych niewolników przywieziono na kontynent Północnej Ameryki w roku 1619. Zakupili ich od Holendrów koloniści z Jamestown, w Wirginii. Potem kolonia ta upadła i na pewien czas dopływ niewolników został zahamowany. W XVII wieku transporty Murzynów kierowano głównie na wyspy Morza Karaibskiego i do Ameryki Południowej. Przywóz niewolników* do Ameryki Północnej odżył w początkach XVIII stulecia, gdy koloniści brytyjscy zaczęli zakładać na Południu wielkie plantacje bawełny i tytoniu. Wówczas handel niewolnikami przejęli od Hiszpanów i Holendrów kupcy angielscy, którzy zwiększyli w tym wyjątkowo zyskowny proceder. Brak rąk roboczych na Południu był bardzo dotkliwy i dlatego transporty z Murzynami szły nieprzerwanie. I kiedy w roku 1790 przeprowadzono w Stanach Zjednoczonych spis Murzynów, okazało się, że liczba ich wynosiła 757 tysięcy, z czego zaledwie 10 procent było ludźmi wolnymi.

Na Północy, w Nowej Anglii, purytanie nie używali niewolników do pracy, choć nie ze względów humanitarnych ani natury etycznej, lecz po prostu ekonomicznych. W Nowej Anglii nie było plantacji i praca na roli wymagała dużej staranności. Niewolnik murzyński — z braku kwalifikacji — nie nadawał się także do pracy w małych fabrykach. Kupowano natomiast kobiety murzyńskie do pracy domowej, ale też raczej rzadko, gdyż oszczędni purytanie tylko w wyjątkowych wypadkach pozwalali sobie na takie udogodnienia.

W 1808 roku zabroniono przywozu niewolników do Stanów Zjednoczonych. Handel jednak nie ustawał. Wartość ich ogromnie wzrosła, a formy traktowania ich uległy pewnemu złagodzeniu.

System niewolniczy w Stanach Zjednoczonych w pewnym stopniu regulował współzycie między ludnością białą i czarną. Z jednej strony byli więc biali farmerzy lub właściciele ogromnych plantacji; z drugiej — rzesza czarnych niewolników, często traktowanych z nieludzkim okrucieństwem i pracujących w bardzo ciężkich warunkach. Dyscyplina zawsze była bardzo surowa. Jeżeli niewolnik śmiał się przeciwstawić zarządzeniom pana, był bity. Szczególnie okrutnie karano pochwyconych uciekinierów przed wprowadzeniem zakazu sprowadzania nowych niewolników. Za próbę ucieczki plantatorzy karali chłostą, a dawniej nawet wieszali pochwyconych zbiegów. Tymczasem biali bogacili się na pracy czarnoskórych pariasów, żyjąc w ustawicznej obawie przed nagłym buntem uciemiężonych Murzynów. Wynikiem tego rodzaju obchodzenia się były bunty. Doprowadzeni do rozpaczki niewolnicy mordowali swych ciemiężców, po czym uciekali w puszcze, gdzie zwykle ginęli z rąk nienawidzących ich Indian. W 1831 roku wybuchło powstanie o większym niż zwykle zasięgu, stłumione dopiero po roku.

Spółczesność na ogół potępiała istnienie niewolnictwa. Nawet na Południu oficjalnie uważano je za „zło konieczne”. Wszelkim jednak próbom przywrócenia wolności Murzynom przeciwstawiano się z całą energią. Tylko na Północy opinia była zgodna, że niewolnictwo należy czym prędzej znieść.

Bezkompromisową kampanię przeciw niewolnictwu prowadzili głównie prześladowani z tej racji kwakrzy. Ta sekta religijna od samego początku potępiała instytucję niewolnictwa i konsekwentnie walczyła o jej likwidację. W wielu kwakerskich rodzinach spotyka się jeszcze teraz duże drewniane skrzynie, okute żelazem, gdzie przechowywano dokumenty Murzynów, którym udało się przywrócić

wolność w drodze wykupu lub dzięki wpływowi najbardziej ludzkich plantatorów. Wspomniane dokumenty kwakrzy skrupulatnie przechowywali, gdyż zdarzały się wypadki powtórnego brania w niewolę wykupionych ludzi.

W 1865 roku, w rezultacie krwawej i długotrwałej Wojny Domowej, cała ludność murzyńska uzyskała wolność. Była to gorzka wolność. W pierwszych latach nawet jeszcze cięższa niż poprzednia niewola. Trudno było odczuwać zbawienne skutki oficjalnie przywróconej wolności, gdy dawni gnębiciele nadal sprawowali władzę w kraju. Kraj, wyniszczony przez wojnę, ze zrujnowanym rolnictwem, przeżywał ciężkie chwile. Trudną sytuację ekonomiczną Murzynów pogarszały jeszcze złe stosunki z białymi, którzy zaczęli uważać ich za przyczynę wszystkich nieszczęść i klęsk. Jakiegokolwiek próby emancypacji murzyńskiej tłumili brutalny terror. Na arenę wystąpił zbrodniczy Ku Klux Klan i jeszcze gorsza od niego organizacja Białej Kamelii. Na Południu wobec Murzynów stosowano jawny terror.

W tym czasie pojawił się tak zwany ruch „populi-stów”, którzy wolność Murzynów widzieli w całkowitym zrównaniu ich z białymi wobec prawa. Na jego czele stanął Tom Watson. Populiści podjęli pierwsze kroki w kierunku zespolenia białych z czarnymi w walce o wyzwolenie ekonomiczne. Niestety, ten szlachetny w swych intencjach ruch okazał się jedynie mrzonką, całkowicie nierealną w ówczesnej sytuacji. Południowe społeczeństwo w ogromnej większości odnosiło się do Murzynów wrogo. Dawni farmerzy lub wielcy plantatorzy nie mogli darować im swej klęski i ruiny materialnej, która była nieuchronną konsekwencją ekonomiczną wyzwolenia Murzynów.

Nawet opinia współczesnych historyków w sprawie murzyńskiej jest dość znamienita. Oto na przykład historyk Charles A. Beard w książce pt. „The Rise of American Civilization” wyraża pogląd, że kapitał zainwestowany w niewolników wynosił w okresie Wojny Domowej przeszło cztery miliardy dolarów i że ustawa wyzwalająca Murzynów bez żadnego odszkodowania „była najbardziej zdumiewającym aktem, jaki kiedykolwiek wydały władze anglosaskie”. Sam Lincoln, wybawca Murzynów, nie był całkowicie przekonany o słuszności podjęcia tak radykalnego kroku. W zasadzie potępiał niewolnictwo, lecz jednocześnie nagłe uwolnienie wszystkich Murzynów uważał za niewskazane. Był nawet przeciwny uwolnieniu ich w stołecznym Dystrykcie Kolumbia. Jednakże sytuacja polityczna zmuszała władze do obdarowania wolnością wszystkich niewolników. Teraz wszelako postarano się odizolować ich od prawdziwego wolnego społeczeństwa. Wprowadzono segregację rasową, zasadę ekonomicznej i socjalnej supremacji białych oraz terror jako narzędzie zapewniające realizację owych „innowacji”. W rezultacie Murzyni przez długie jeszcze lata pozostawali na swych pozycjach wyjściowych. Dopiero z wpływem czasu zaczęli stopniowo zdobywać oświatę i emigrować na Północ, aby tam wreszcie znaleźć upragnioną, prawdziwą wolność. Proces ten trwa do dziś i prawdopodobnie nieprędko zostanie zakończony.

Murzyni żyją w USA na marginesie społecznego i gospodarczego życia. W podobnej izolacji znajdują się tylko Portorykańczycy i w pewnym stopniu Chińczycy. Ci ostatni jednak lepiej sobie radzą.

Ze względu na kolor skóry Murzyni — nawet w wypadku osiągnięcia pełnej niezależności ekonomicznej i wyjścia poza obręb rasowego getta — zmuszeni są żyć w izolacji od reszty społeczeństwa.

Pierwszym krokiem w kierunku emancypacji dla każdej rodziny murzyńskiej jest opuszczenie Południa. Migracja Murzynów na wielką skalę rozpoczęła się w okresie pierwszej wojny światowej i trwa nadal. W latach 1915—1920 przybyło z Południa do Chicago 50 tysięcy Murzynów. W tym samym czasie w Detroit osiedliło się 150 tysięcy, a w latach 1940—1942 — 60 tysięcy. Jeszcze w 1940 roku 77 procent ogółu Murzynów mieszkało na Południu, w 1950 r. procent ten zmalał do 68. W 1940 roku prawie połowa Murzynów mieszkała na wsi, obecnie zaś tylko 35 procent.

W północnych miastach Murzyni zamieszkują najgorsze dzielnice, stare, zaniedbane, typowo slumsowe. Mieszkają w ścisłości i okropnych warunkach sanitarnych. Niemal każde większe miasto Północy ma swoje murzyńskie getto. Tak więc w Chicago jest „South Side”, w Detroit „East Side”, dzielnica zwana także ironicznie „Rajską Doliną”, w Nowym Jorku jest Harlem, a w Filadelfii „Inner City”. Ponadto murzyńskie getta znajdują się w St. Louis, Kansas City i w Pittsburghu. Na obraz getta składają się stare, odrapane domy, brudne, obskurne szynki, wynędzniałe prostytutki i gromady pijaków. Wysłużone, nigdy nie remontowane kamienice — ze względu na wysokie komorne — są dla właścicieli złotodajną żyłą. Właściciele odnajmują zresztą nie tylko mieszkania, lecz i pojedyncze pokoje lub nawet kąty do przespania.

Jeżeli odpowiednio sytuowana rodzina murzyńska chce się wydostać z getta i zamieszkać w spokojnej, czystej i „przyzwoitej” dzielnicy, zaczynają się piętrzyć ogromne trudności, nikt bowiem nie odważy się wynająć Murzynowi mieszkania w domu zamieszkałym przez białych. Również kupno domku, niezależnie od kosztu, jest dla Murzyna niełatwe.

Sytuacja materialna Murzynów jest wprawdzie nieco lepsza niż Portorykańczyków, lecz również ciężka.

Na Południu, gdzie mieszka jeszcze około 9 milionów Murzynów, na naukę czarnego dziecka przeznaczają się zaledwie 52 dolary rocznie, podczas gdy na każde białe dziecko — 224 dolary.

Najbardziej drażliwą i wywołującą najostrzejszą reakcję jest sprawa mieszanych małżeństw, niezwykle rzadkich nawet na Północy. Według statystyki w Nowej Anglii, gdzie teoretycznie problem rasistowski nie istnieje, na 10 tysięcy małżeństw przypada tylko pięć małżeństw mieszanych. W stosunku do całego obszaru Stanów Zjednoczonych jest to bardzo duży procent, gdyż w wielu stanach nie ma w ogóle takich małżeństw. W 29 stanach prawo przewiduje długoletnie więzienie za zawarcie mieszanego małżeństwa. Również karalny jest stosunek białego mężczyzny z czarną kobietą. Na Południu Murzyn, który się odważył na stosunek z białą kobietą, zostaje zwykle ukarany śmiercią, kobieta zaś więzieniem. W obawie przed karą białe kobiety dość pochopnie oskarżają Murzynów o gwałt. Oskarżony może zostać zliczowany lub czeka go śmierć na krześle elektrycznym.

W czasach niewolnictwa Murzynowi groziła straszliwa kara za dokonanie gwałtu na białej kobiecie. Tradycje te pozostały do dziś i właściwie lincz jest kontynuacją dawnych okrutnych zwyczajów.

Nienawiść białych do Murzynów jest na Południu rzeczywiście niezwykle, robi wrażenie ogólnej obsesji. Zagadnienie to stanowi nawet przedmiot studiów wielu psychiatrów i psychologów. John Dolard, w książce pt. „Caste and Class in a Southern Town”, wyraża opinię, że nienawiść ta ma seksualne podłoże. Jest rzeczą stwierdzoną, że na Południu biali mężczyźni bardzo często okazują zainteresowanie murzyńskimi kobietami. To samo można by powiedzieć o białych kobietach. W związku z tym wysuwa się przeróżne teorie; między innymi oskarża się czarne mamki, że to one, karmiąc białe dzieci, przekazują im te skłonności.

Konsekwentne utrzymywanie Murzynów w biedzie i w izolacji od społeczeństwa białych wyrządza szkodę zarówno jednemu, jak i drugiemu. Pozostawianie milionów obywateli w ciemności i ubóstwie wywiera zgubny wpływ na sytuację ekonomiczną całej ludności południowych stanów i powoduje ogólne zacofanie tej części kraju. Również odłam białej ludności żyje tam w niedostatku i nie ma możliwości polepszenia bytu. Zaprzęgnięcie umysłów rasistowskimi teoriami pogłębia to zacofanie i jednocześnie usuwa w cień najbardziej nawet palące i żywotne problemy. Doszło do tego, że rasizm stał się na Południu czymś w rodzaju religii, zbiorowej i spontanicznej psychozy. Utrzymywanie i podsycanie tego stanu leży jedynie w interesie wielkich plantatorów bawełny, którzy potrzebują taniego robotnika murzyńskiego. Reszta białego społeczeństwa zadowala się wątpliwą satysfakcją, płynącą ze świadomości o swojej rzekomej supremacji. Biali nędzarze — a jest ich na Południu sporo — pocieszają się, że mimo zdeklasowania są jeszcze Murzyni, którzy zawsze będą stali społecznie niżej, gorzej traktowani od białego wykołajeńca czy nawet przestępcy.

Wszyscy autorzy amerykańscy, poruszając zagadnienie Południa, zwracają uwagę na poczucie winy, jaka ciąży na całym bez mała tamtejszym społeczeństwie białych. Otóż biali stale się tłumaczą i starają się przekonać innych o słuszności swojego postępowania. Południowcy twierdzą, że nie mogą zmienić swego stosunku do Murzynów, gdyż wówczas zawisłaby nad Stanami groźba supremacji (?) czarnych. Gdy wyjaśnienia takie nie trafią słuchaczowi do przekonania, mówią, że się ich nie rozumie, jak zresztą całego zagadnienia.

Mimo to emancypacja Murzynów dokonuje się stale i czyni niemałe postępy, zwłaszcza na Północy. Wzrasta systematycznie poziom wiedzy i sytuacji ekonomicznej. Są czarni oficerowie, przedsiębiorcy, urzędnicy i policjanci. Prosperują murzyńskie banki. Proces ten jednak postępuje zbyt wolno. Powstała także dość liczna warstwa inteligencji.

Dzięki powstałej warstwie inteligencji istnieje już w Ameryce dość dobrze rozwinięta prasa murzyńska. Tak więc ukazują się 178 gazet i spora ilość różnych periodyków. Niektóre są doskonale redagowane i cieszą się dużą poczytnością również wśród białych. Wymienić tu przede wszystkim trzeba czasopisma „Ebony”, „Jet” i „One World”.

Bez względu jednak na stopień wykształcenia czy zamożności rozdział ludności białej od czarnej utrzymuje się niezmiennie. Są wyjątki, ale nader rzadkie. Około 12 tysięcy Murzynów o jasnym kolorze skóry opuszcza co roku swoje środowisko i przenosi się do świata białych, chociaż wielu z nich, co należy z uznaniem podkreślić, pozostaje wśród swoich. Żenią się z Murzynkami, rezygnując dobrowolnie i z całą świadomością z przywilejów, jakie daje biały kolor skóry.

Nowojorski „Toto-Lotek”, rzecz o nadziei

Nazwa Harlem pochodzi od rzeki łączącej rzekę Hudson z East River i odcinającej Manhattan od stałego lądu. Nazwę tę nadali holenderscy osadnicy w XVII wieku, i tak pozostało. Właśnie z tą rzeczką graniczy słynna murzyńska dzielnica Nowego Jorku. Dzielnica bardzo różnorodna, miejscami nawet

ładna i wesoła, miejscami ponura i slumsowa. Mieszkają tu Murzyni i Portorykańczycy.

O godzinie czwartej po południu na ulicach Harlemu daje się zaobserwować gorączkowe podniecenie. Przechodnie pędzą gdzieś zaaferowani, inni dyskutują zżywieniem, a wszędzie słyszy się wymieniane numery. Dziwna magia cyfr opętała tu ludzi i trudno się w pierwszej chwili zorientować, co to wszystko znaczy. Ten stan niezwykłego podniecenia - wywołuje *policy*, loteria liczbowa. Coś w rodzaju naszej „Syrenki” czy „Toto--Lotka”. Jeżeli ktoś trafi trzy numery w kolejności, w jakiej zostaną wylosowane, otrzymuje 600-krotną stawkę. Co dzień wylosowuje się jedną taką trójkę, co dzień zatem budzi się wśród naiwnych biedaków nadzieja nagłego wzbogacenia się. Każdy gracz czeka z niepokojem, aż do niego uśmiechnie się kapryśna fortuna i odmieni jego szare i smutne życie.

Gra jest nielegalna, jak wszystkie loterie w Ameryce. Władze jednak udają, że tego nie widzą, po prostu nie chcą widzieć i wiedzieć, co się dzieje w Harlemie. Kiedyś podobno próbowano położyć kres tej grze, ale zrezygnowano. *Policy* była dawniej całkowicie w rękach bankierów murzyńskich, lecz w ostatnich latach grę tę przejęli Włosi, ściślej mówiąc — włoscy gangsterzy. Nie obyło się przy tym bez przekupstw, pomocy policji, walk ulicznych i strzelaniny. W rezultacie Murzyni zostali wyparci z tego *businessu*. Wówczas na arenę wkroczył Mr. Clayton Powell, głowa abisyńskiego kościoła baptystów, człowiek wszechmocny w Harlemie. Wezwał on wszystkich wiernych do bojkotu gry, który miał trwać tak długo, dopóki Włosi z niej nie zrezygnują. Wzywał, groził, namawiał, ale bez skutku. Aliści wszechwładny Mr. Powell tu okazał się bezradny jak dziecko. Ludność Harlemu można nakłonić do bojkotu autobusów, taksówek, kolei podziemnej, nawet sklepów, ale nie gry hazardowej w *policy*. Ludność Harlemu żyje tą grą i co dzień czeka na wynik losowania. Co dzień rano każdy mieszkaniec tej dzielnicy — gra tu bowiem właściwie każdy, od sześcioletnich dzieci do niedołężnych starców — wstaje z nadzieją, że wieczorem będzie bogatym człowiekiem.

Nadzieja ta kosztuje drogo, gdyż *policy* pochłania większość tygodniowych zarobków, chociaż można grać z umiarem, stawki bowiem zaczynają się od pięciu centów. Ta ostatnia okoliczność sprawia, że gra ta stała się dostępna nawet dla dzieci, które z równą naiwnością, co dorośli, pozbywają się swych skromnych oszczędności. Losowanie odbywa się bardzo przemyślnie. Jak już wspomniałem, numery są losowane trójkami. Rano są podawane pierwsze liczby trójek, około dwunastej dalsze i dopiero o czwartej po południu następuje punkt kulminacyjny. Cała ludność czeka w atmosferze podniecenia na ostatnie numery. Przez ten czas, aż do ostatniej chwili, można ciągle stawiać na nowo lub zwiększać swoje stawki. Wszyscy gracze, którym „wyszły” pierwsze i drugie numery hazardują się do ostatecznych granic, stawiając wszystkie posiadane pieniądze. Potera przeżywa gorycz przegranej, osłodzoną złudną nadzieją, że jutro pójdzie lepiej.

Organizacja gry jest nadzwyczaj sprawna. Stawki zbierają *runners*, od których aż się roi na każdej ulicy. Funkcje agenta *policy* spełnia w Harlemie każdy fryzjer, kelner, sprzedawca gazet i kasjer w supermarkecie, zarabiając od 50 do 200 dolarów tygodniowo, zależnie od obrotu. Zgodnie z zasadą gry, 65 procent stawek odprowadza się do bankierów, z czego wypłacane są wygrane. Pozostałe 35 procent przeznaczają na koszty opłacenia personelu, zatrudnionego przy organizacji gry. Zyski są olbrzymie. Oblicza się, że w Harlemie gra codziennie, nie wyłączając niedziel, półtora miliona osób. Dienne wpłaty na grę wynoszą około 800 tysięcy dolarów, zaś miesięczne dochody bankierów dochodzą do miliona dolarów. Zyski są tym większe, że w całości pozostają w kieszeniach przedsiębiorczych Włochów, ponieważ nie płacą oni podatków od tej nielegalnej gry.

Okolo 10 tysięcy osób zatrudnia gra. Fakt ten wpływa na pobłażliwość władz. Gdyby bowiem zlikwidowano ją, dziesięć tysięcy osób natychmiast powiększyłoby armię bezrobotnych.

Grę *policy* przywieźli do Ameryki Włosi w końcu ubiegłego wieku. Samo słowo jest włoskiego pochodzenia; wyraz „polizza” znaczy kwit lub poręczenie. Lecz Włosa w *policy* nie grają. Wiedzie im się na tyle dobrze, że nie potrzebują żyć nadzieją wygranej. Wolą być bankierami i ciągnąć zyski z naiwności innych. Z chwilą gdy opuścili slumsy i przenieśli się do lepszych dzielnic, pozostawili *policy* następnym lokatorom - Murzynom i Portorykańczykom. Niedługo to trwało. Gangsterzy, również włoskiego pochodzenia, nie mogli darować zysków, jakie ciągnęli z gry bankierzy-Murzyni. Po krótkich, ale krwawych walkach grę przejęli.

Na schodkach, u progu domów siedzą kobiety z sennikami w ręku, pilnie studiując kabalistyczne znaczenie snów, aby odczytać z nich szczęśliwe cyfry.

Na Boże Narodzenie stali gracze, znani agentom z widzenia, otrzymują gratis pieczonego kurczaka, niejako premię za wytrwałość. Przed biurami agentów ustawiają się wtedy długie kolejki graczy czekających cierpliwie na nagrodę. Najczęstszą wygraną jest zwrot stawki. Większe wygrane należą do rzadkości. Niemniej każdy z graczy słyszał o kimś lub zna kogoś, kto wygrał w *policy* wielką sumę. Dziś już nie mieszka oczywiście w Harlemie, kupił dom i gdzieś szczęśliwie żyje. Tymi opowieściami dodają

sobie wszyscy otuchy. Co dzień się ludzą, że trafią trzy kolejne numery i, jak tamci mityczni znajomi, rozpoczną beztrudne i dostatnie życie.

Trudno w Harlemie żyć bez jakiegokolwiek odrobiny nadziei. Trudno też o nadzieję, która byłaby tak łatwo dostępna dla każdego. Pozwala ona wierzyć, że jutro będzie lepiej.

John Brown

Gdy w 1850 roku powstał stan Kansas, mieszkańcy mieli zdecydować w drodze głosowania, czy wprowadzić niewolnictwo, czy też go zakazać. Cała ludność natychmiast się podzieliła na dwa wrogie obozy. Zaczęło się nawet coś w rodzaju małej wojny domowej. W całym stanie zapanowała anarchia. Mieszkańcy nie respektowali władzy, a tocząc między sobą walkę nie przebierali w środkach. Terror szerzyli przede wszystkim zwolennicy niewolnictwa, mordując przeciwników i paląc ich domy.

Pastor Butler, który zdobył się na odwagę, aby wypowiedzieć się otwarcie przeciwko niewolnictwu, padł ofiarą rozbawionego tłumu. Rozebrano go do naga, wysmarowano smołą, oblepiono kłakami bawełny i tak na pośmiewisko puszczono na ulice miasta. Lecz dzielny pastor nie zmienił swego zdania. Kiedy ojca Butlera pochwycono ponownie, wsadzono go na tratwę i bez wiosła puszczono z prądem rzeki Missouri. Pastor jednak zdołał się ocalić.

Terror osiągnął swój szczyt w 1854 roku. Pierwsze wybory dały przewagę zwolennikom niewolnictwa. Odbyły się one w atmosferze terroru i prowokacji; dopuszczano się jawnych fałszerstw. Z sąsiedniego „niewolniczego” stanu Missouri tłumnie przybywali tamtejsi mieszkańcy głosować w Kansas, by nie mieć „wolnego” sąsiada. Znowu doszło do gwałtownych walk, mordowano całe rodziny, smarowano opornych smołą, palono farmy i budynki. Często znajdowano ludzi z nożem w piersi i przypiętą karteczką z napisem: „Oto ostrzeżenie dla wszystkich, którzy chcą głosować przeciwko niewolnictwu!” Władze stanowe oficjalnie i otwarcie popierały elementy proniewolnicze. Zdarzały się wypadki konfiskowania farmerom ziemi i całego dobytku w wypadku znalezienia u nich gazety „New York Tribune”, namiętnie zwalczającej niewolnictwo. Kiedyś aresztowana grupa obywateli, którzy odważyli się protestować przeciw wprowadzeniu niewolnictwa. Miejscowy szeryf odesłał aresztowanych do miasta, gdzie mieli stanąć przed sądem za „zakłócenie spokoju”. Zatrzymani nie doszli jednak do miasta, gdyż konwojenci zastrzelili ich w drodze. Incydent ten przeszedł do historii pod nazwą „masakry z Marais des Cygnes”.

Pewnego razu szeryf z hrabstwa Douglas został ranny w bójce z przeciwnikami niewolnictwa z miasteczka Lawrence, których chciał bezprawnie aresztować. Dla wywarcia zemsty zebrał około stu awanturników i ruszył do miasteczka. Napastnicy spalili szereg domów, zamordowali kilkanaście osób i zbombardowali z armaty budynek magistratu.

Przeciwnicy niewolnictwa, zwani abolicjonistami, również nie siedzieli z założonymi rękami. Człowiekiem, który z fanatyzmem zwalczał niewolnictwo i całe swoje życie tej sprawie poświęcił, był bohaterski John Brown. Pochodził z Nowej Anglii, gdzie bardzo energicznie występował na rzecz przywrócenia Murzynom wolności. W 1855 r. udał się do Kansas, by tam walczyć przeciw wprowadzeniu niewolnictwa. Na terror szerzony przez południowców postanowił odpowiedzieć terrorem. Po zniszczeniu miasteczka Lawrence Brown ze swymi ludźmi rozpoczął całą serię napadów na farmy, które już sprowadziły niewolników. Staczano formalne bitwy; po obu stronach byli liczni ranni i zabici. Proniewolnicze elementy dysponowały jednak zbyt wielką siłą by Brown mógł coś zdziałać.

Brown podjął się więc zadania niebывale trudnego i niebezpiecznego, gdyż surowo karalnego, a mianowicie — udzielania pomocy zbiegłym niewolnikom. Brown przewoził ich do „wolnych” stanów, a jedenastu pilnie poszukiwanych za bunt, wywiózł aż do Kanady.

W 1859 roku Brown zdecydował się wzniecić wielkie powstanie niewolników i wszystkich białych przeciwników niewolnictwa. W tym celu wydzierżawił farmę w Wirginii, którą przeznaczył na skład broni. Gdy zebrał szesnastu białych i pięciu czarnych ochotników, wkroczył ze swoim oddziałem do miasteczka Harpers Ferry i opanował miejscowy arsenał. Wówczas ściągnięte przeciwko niemu oddziały wojskowe rozgromiły abolicjonistów. Brown dostał się do niewoli, a jego ludzi rozstrzelano na miejscu. Dowódcą oddziałów ekspedycyjnych był porucznik Robert E. Lee, późniejszy głównodowodzący wojskami konfederatów w czasie Wojny Domowej. Brown został stawiony przed sądem w Charlestonie i skazany na powieszenie. Wyrok wykonano natychmiast.

Bohaterska postawa Browna poruszyła jednak sumienia wielu ludzi. W Kansas zaczęli brać górę abolicjoniści, w rezultacie stan ten został „wolnym”. Później, w okresie Wojny Domowej, gdy wojska północnych stanów maszerowały na Południe, żołnierze śpiewali: „John Brown's body lies a mouldering in the grave, but his soul goes marching on”. (Ciało Johna Browna leży w grobie, ale jego dusza maszeruje z nami).

W Kansas jeszcze długo trwały bratobójcze walki. Ustały one dopiero po zakończeniu Wojny Domowej i uwolnieniu wszystkich niewolników. Pamięć Johna Browna czczą dziś Stany Zjednoczone, jako jednego ze swych bohaterów narodowych.

POLACY NA DRUGIEJ PÓŁKULI

Początki polskiej emigracji w Ameryce

Kapitan John Smith lubił przygody i przeżył ich wiele. Dzięki jednej z nich — po ucieczce z tureckiej niewoli — znalazł się w Polsce. W swych pamiętnikach ze szczerym sentymentem wspomina kraj

Lechitów i poznanych wówczas Polaków. Temu też zapewne należy przypisać, że w założonej przez niego w 1608 roku kolonii Jamestown, w Wirginii, znaleźli się Polacy: Michał Łowicki, Zbigniew Stefański, Jan Mata, Jan Bogdan, Stanisław Sadowski i Karol Żrenica. Przybyli tam statkiem „Mary and Margaret”, a zostali zwerbowani jako fachowcy i zręczni rzemieślnicy. Oni to założyli w osadzie hutę szkła, smolarnię i fabryczkę mydła. Później przybyło tam więcej Polaków, tak iż z czasem liczba ich urosła w kolonii do 50 osób.

Znany z kronik wybuch strajku Polaków w Jamestown, gdy nie chciano im przyznać prawa wyborczego. W rezultacie zarząd kolonii skapitulował i zrównał ich w prawach z Anglosasami. Z dziennika kapitana Smitha wiadomo również, że Polacy byli zarówno dobrymi rzemieślnikami, jak i żołnierzami. — „Oni i Holendrzy byli jedynymi, rzeczywiście pożytecznymi ludźmi w kolonii” — pisał Smith w swym pamiętniku. W 1609 roku Polacy uratowali mu życie, uwolniwszy go z rąk Indian.

Są to jedyne udokumentowane wiadomości o Polakach w Ameryce z tego wczesnego okresu. Podobno byli już tam z Śir Walterem Raleighiem w Roanoke w Północnej Karolinie, a niejaki Franciszek Wardanowicz uczestniczył w wyprawie odkrywczej Krzysztofa Kolumba pod nazwiskiem Franciszka Fernandeza. Wszelako nie są to wiadomości stwierdzone.

Dodajmy też jako ciekawostkę, że Polska posiadała nominalnie swoją kolonię w Nowym Świecie. Mianowicie w 1652 roku lennik Polski, książę Jakub Kurlandzki, nabył od Holandii dwie wyspy: Tobago i Św. Andrzeja, które formalnie należały do Polski aż do roku 1737.

Następne udokumentowane wiadomości o pobycie Polaków w Ameryce odnoszą się do Nowego Amsterdamu (Nowy Jork). Wiadomo więc z kronik miejskich, że w latach 1647—1661 mieszkał tam zamożny obywatel polskiego pochodzenia, Karol Liczo, właściciel oberży na Wall Street i żołnierz w czynnej służbie. W tym samym okresie Aleksander Karol Kurczewski, z zawodu nauczyciel, założył w tym mieście pierwszą szkołę z łacińskim językiem wykładowym. Poza uniwersytetem Harward była to najstarsza uczelnia w Stanach Zjednoczonych. W historii amerykańskiego szkolnictwa znany jest pod nazwiskiem Alexandra Curtissa.

W połowie siedemnastego wieku osiedlili się w Nowym Amsterdamie nowi przybysze z Polski: Jan Rutkowski, Kazimierz Butkiewicz, Wojciech Adamkiewicz i kapitan Marcin Krygier. Ten ostatni przez pewien czas piastował nawet urząd burmistrza miasta, a następnie komendanta fortu „Casimir”. (Nazwa pozwala przypuszczać, że został zbudowany przez Polaków). W późniejszych latach został przemianowany przez Szwedów na fort „Cristine”.

W 1662 roku osiedliła się w Nowym Amsterdamie rodzina Zaborowskich, która pod nazwiskiem Zabriskie do dziś jeszcze istnieje. Jako pierwszy przybył Olbracht Zaborowski, skazany na banicję przez króla Jana Sobieskiego. W Nowym Jorku polski banita zajmował wysokie stanowisko sędziego, a w 1676 roku ożenił się z Machtelt van der Linden, Holenderką, pochodzącą z patrycjuszowskiej rodziny. Nabył on rozległe tereny w stanie New Jersey i trudnił się handlem z Indianami. Jego najstarszy syn Jakub, porwany przez Indian, wychował się u nich i później powróciwszy do swoich był pośrednikiem we wszystkich zatargach z czerwonoskórymi. Już w drugim pokoleniu Zaborowscy zmienili swoje nazwisko na Zabriskie, jako łatwiejsze do wymówienia dla Anglosasów. John Zabriskie, wnuk Olbrachta, był dowódcą milicji w hrabstwie Bergen. Gdy wybuchła rewolucja, pozostał wierny królowi angielskiemu. W rezultacie dobra rodzinne Zabriskie'ch zostały skonfiskowane i w roku 1783 oddane generałowi baronowi von Steuben. Rodzina Zabriskie wyniosła się do Passaic w stanie New Jersey. Wówczas też powróciła znów do dawnego nazwiska. W połowie XIX wieku Marcin Zaborowski, ożeniony z Anną Morris, córką gubernatora stanu Nowy Jork, zakupił tereny na Manhattanie. Syn jego Elliot, dzięki zwyczajom cen placów, doszedł do ogromnego majątku: kiedy umierał, pozostawił po sobie 10 milionów dolarów. Wtedy Zaborowscy znów zmienili nazwisko na Zabriskie.

Inna znana w Ameryce rodzina Sandusky, pochodzi od Antoniego Sadowskiego, który w pierwszych latach XVIII wieku przybył do Pensylwanii. W 1735 roku wraz z innymi wyruszył do Ohio, gdzie założył małą osadę handlową, która później rozrosła się w duże miasto przemysłowe Sandusky.

Specjalny rozdział w historii polskiego wychodźstwa otwiera burzliwy okres wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Wśród przybyłych wówczas polskich oficerów znaleźli się między innymi Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski.

Kościuszko przybył do Filadelfii w 1776 roku i zgłosił się do armii Washingtona jako inżynier, specjalista od budowy fortyfikacji. Przyszłemu bohaterowi spod Raclawic powierzono ufortyfikowanie i obronę Ticonderoga, Mount Independence i West Point. Jemu też Amerykanie zawdzięczają zwycięstwo pod Burgoyne oraz zdobycie i ufortyfikowanie miasta Saratoga. W uznaniu zasług Kongres USA nadał mu obywatelstwo amerykańskie oraz ofiarował mu ziemię w hrabstwie Franklin w Ohio. W armii amerykańskiej dosłużył się stopnia generała brygadiera, a od samego Washingtona otrzymał szablę z

napisem „America cum Washington suo Amico T. Kosciusconi”. Będąc już w Szwajcarii, napisał specjalnie na użytek armii amerykańskiej książkę pt. „Manouvres of Horse Artillery”. Był to regulamin artylerii konnej, który został wprowadzony do służby w czasie wojny 1812 roku. Przed wyjazdem z Ameryki sporządził testament. Wszystkie swoje dobra w Ameryce przeznaczył na wykupywanie Murzynów z niewoli i wyuczenie rzemiosła. Wykonawcą testamentu uczynił swego przyjaciela Thomasa Jeffersona. Kościuszko również został zaproszony i przyjęty na członka „Society of Cincinnati”, bardzo ekskluzywnego klubu wyższych oficerów amerykańskich, do którego z zasady nie przyjmowano cudzoziemców.

Drugim bohaterem wojny o niepodległość stał się były konfederat barski, Kazimierz Pułaski, zwany „ojcem kawalerii amerykańskiej”, jemu bowiem po przybyciu do Ameryki przypadło w udziale formowanie jazdy. Powierzono mu dowództwo nad pięcioma pułkami (First Continental Regiment of Light Dragoons, Sheldon's Connecticut Regiment, Baylor Regiment, The Third Regiment i Maryland Fourth Regiment), lecz Pułaski zrezygnował z niego i utworzył własną jednostkę — słynny „Legion Pułaskiego”. Był to oddział uformowany wyłącznie z ochotników, w dużej części z polskich emigrantów. W legionie tym służył Harry Lee, ojciec przyszłego wodza armii konfederatów, gen. Roberta Lee. Legion zasłynął wkrótce z waleczności. Pod Brandywywine i Warren Tavern swą brawurową szarżą ocalił od zniszczenia armię Washingtona, a po śmiałym wypadzie na tyły Anglików zajął Południową Karolinę i Charleston. W obronie Savannah Kazimierz Pułaski poniósł śmierć.

W 1780 roku król Francji Ludwik XVI, na skutek starań markiza Lafayette'a, wysłał do Ameryki grupę oficerów. Wśród nich znalazło się paru Polaków (kapitan Jan Kwiryn Mieszkowski, porucznik hrabia Michał Grabowski i porucznik Grzegorz Uzdowski). Później grupa ta utworzyła tzw. „Legion Lauzun”, nazwany na cześć swego dowódcy, generała Armanda de Gontaut Biron' księcia Lauzun.

Spośród licznej rzeszy Polaków przybyłych do Stanów Zjednoczonych należy odnotować pobyt Juliana Ursyna Niemcewicza. Przybył on tam w 1796 roku i po ośmiu latach powrócił do kraju. Przyszły autor „Śpiewów historycznych” z dużym zaciekawieniem zwiedzał Amerykę; on też zapewne był pierwszym Polakiem, który zwiedził i opisał wodospady Niagary. Jakiś czas mieszkał w Bostonie i w Mount Vernon jako osobisty gość Washingtona. Małżeństwo z Amerykanką, Susan Kean, ułatwiło mu zawarcie licznych i pożytecznych znajomości. Mieszkał z żoną na farmie pod Elizabeth w stanie New Jersey. Na wiadomość o utworzeniu Księstwa Warszawskiego powrócił do Polski i dzięki jego staraniom Thomas Jefferson został wybrany członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

Większe grupy Polaków zaczęły przybywać do USA dopiero po upadku powstania listopadowego w 1831 roku. Przyjmowano ich w Ameryce życzliwie, mając jeszcze żywo w pamięci bohaterską śmierć Pułaskiego i zasługi Kościuszki. Amerykanie interesowali się sprawą Polski i śledzili pilnie przebieg powstania. Nastroje były nadzwyczaj przychylnie. Społeczeństwo Bostonu ufundowało nawet dla wojska polskiego dwa sztandary, które jednak do kraju nie dotarły. Ponadto w Paryżu zawiązano komitet amerykańsko-polski, na czele którego stanął markiz Lafayette. Czynny udział w tym Komitecie brał pisarz amerykański — James Fenimore Cooper, gorący wielbiciel Mickiewicza, którego poznał w 1830 roku w Rzymie. Do komitetu należał również malarz Samuel Morse; wprawdzie nie zdobył on rozgłosu jako artysta, za to wstawił się jako wynalazca telegrafu.

Początkowo komitet postawił sobie za cel zbieranie funduszy na wspieranie polskiego powstania, lecz po jego upadku przeznaczono je na pomoc dla uchodźców z Polski. Kierował także emigracją polskich żołnierzy do Ameryki.

Myśl o emigracji Polaków do ojczyzny Washingtona, po upadku powstania listopadowego, zrodziła się w Ameryce. Dziennik „New York American” ogłosił płomienną odezwę, wzywającą Polaków, by porzucili swój kraj i przenieśli się wszyscy do Stanów Zjednoczonych. Apel ten podchwyciły inne amerykańskie gazety, choć, oczywiście, nikt tych wezwań nie potraktował poważnie. Taki był początek emigracji polskich żołnierzy. Komitet paryski zamierzał zorganizować masowe transporty i w tym celu zaczął gromadzić fundusze. Pierwsza większa grupa emigrantów polskich przybyła do Nowego Jorku w 1834 roku. Dokładna liczba osób nie jest znana, natomiast wiadomo, że w następnym roku, w 1835, przybyło 350 osób.

Jednym z pierwszych Polaków, jaki znalazł się w tym czasie w Stanach Zjednoczonych, był major Józef Hordyński. Przybył on do Bostonu jeszcze w listopadzie 1831 roku. Po przekroczeniu ze swym oddziałem granicy pruskiej udało mu się szczęśliwie nawiązać w Pile kontakt z dwoma oficerami marynarki amerykańskiej, którzy brygiem „Eliza Anna” zabrali go do Ameryki. Hordyński jechał do Nowego Świata nie z zamiarem „urządzenia się”, lecz z nadzieją, że zdoła poruszyć amerykańską opinię publiczną i uzyskać od rządu Stanów Zjednoczonych jakąś realną pomoc dla powstania polskiego. O możliwości emigracji Polaków do Ameryki w ogóle nie myślał, a nawet bardzo niechętnie odnosił się

do tej koncepcji. W Bostonie rozwinął energiczną działalność i nawiązał liczne kontakty. Poznał Francuza, profesora M. Palmeniera, który namawiał go, by zajął się sprowadzeniem polskich emigrantów do Ameryki. Palmenier, licząc na poparcie rządu amerykańskiego, uważał, że ludzie ci mogliby się naturalizować jako... Francuzi. Hordyński jednak odrzucił stanowczo ten projekt, jako przeciwnik wszelkiej emigracji. Dzielny major wyrażał pogląd, że Polacy powinni raczej cierpieć w ujarzmionym kraju niż go porzucać. Nie ustawał więc w staraniach, wciąż licząc na to, że uzyska od prezydenta Jacksona jakąś realną pomoc dla walczącej Polski, sam nie bardzo wiedząc, na czym by pomoc ta miała polegać.

By wzbudzić większe zainteresowanie Polską, zaczął pisać w Bostonie historię powstania listopadowego. Historia ta, przetłumaczona na angielski przez profesora Grettera, została wydana w 1832 roku przez firmę Car-tera i Hendee. W roku następnym ukazało się jej drugie wydanie. Później Robert Carver, pisarz amerykański, napisał na jej podstawie swoje „Stories of Poland” oraz przy współpracy Hordyńskiego — „History of the Polish Revolution”.

Hordyński napisał ponadto pamiętnik, który w 1832 roku został wydany w Ameryce pt. „Pamiętnik emigranta”. Rozgorączony na społeczeństwo amerykańskie pisze między innymi: „Polak jest tutaj z trudem rozumiany i nasz sposób myślenia wydaje się być dziwnym tej nacji spekulantów. Nasza poezja narodowa byłaby tutaj tylko ośmieszona. Nawet łańcuchem nie mógłby mnie nikt tutaj przytrzymać, tak nieznośnym dla mnie jest ten kraj wolności”. O tym, że Hordyński nie był entuzjastą Nowego Świata, świadczy wymowny fakt, że jego listy, pisane do przyjaciół w Europie, posłużyły Lelewelowi dla zniechęcania rodaków do podróży za ocean.

W 1832 roku niezłomna i konsekwentna postawa Hordyńskiego uległa już pewnej zmianie. Coraz częściej dopuszczał myśl o pozostaniu w Ameryce, chciał nawet wstąpić do armii amerykańskiej, lecz nie otrzymawszy odpowiedniego stanowiska, powrócił do Francji.

Znajdowała się podówczas w Nowym Jorku liczna grupa polskich emigrantów. Dziennik „New York American” zwrócił się nawet z apelem do społeczeństwa, by dopomogło im rozpocząć nowe życie w Ameryce.

Do Stanów Zjednoczonych wciąż napływały małe grupki Polaków. W 1834 roku na statku „Hebe” przybyła większa grupa, która wkrótce założyła pierwszą organizację polonijną. 1 kwietnia 1834 roku został utworzony Polski Komitet z siedzibą w Nowym Jorku w hotelu „Union” na Reed Street. Przewodniczącym wybrano kapitana Bańczakiewicza; Komitetem opiekował się Albert Gallatin, minister skarbu z okresu kadencji prezydentów Jeffersona i Madisona. Gallatin pochodził ze Szwajcarii, a losem Polaków interesował się z przyjaźni do Juliana Ursyna Niemcewicza.

Polacy borykali się w Ameryce z ogromnymi trudnościami. Przede wszystkim brak znajomości języka angielskiego uniemożliwiał im otrzymanie lepiej płatnej pracy. Wysyłano ich więc z Nowego Jorku z nadzieją, że w mniejszych miastach łatwiej znajdą zarobek. Dzięki temu Polacy dość wcześnie znaleźli się w Bostonie, Alba-ny i Filadelfii, gdzie wkrótce założono pierwszą szkołę dla emigrantów polskich. Założył ją Marcin Rosienkiewicz, były profesor sławnego Liceum Krzemienieckiego. Uczono w niej tylko języka angielskiego, z podręcznika specjalnie opracowanego przez Rosienkiewicza, z pierwszej w Ameryce książki wydanej w języku polskim.

W tym samym czasie szybko się wybił w Filadelfii młody Polak Paweł Sobolewski. Do USA przybył w 1832 roku, mając zaledwie 14 lat, a już w dwa lata później objął posadę w redakcji czasopisma „The Ladies Amarith”. Sobolewski poświęcił się również pracy przekładowej, tłumacząc na język angielski wiersze poetów polskich. Inny Sobolewski (Edward) skomponował operę pt. „Mohega” osnutą na tle walk o wolność Stanów Zjednoczonych, której głównym bohaterem uczynił Pułaskiego. On też zorganizował w Milwaukee orkiestrę symfoniczną. W 1834 roku poeta amerykański Thomas Dunn English przy współudziale pianisty i aktora polskiego, Jana Pychowskiego, przetłumaczył na angielski szereg bajek Ignacego Krasickiego. Obecność Polaków zaznaczyła się szczególnie w życiu teatralnym Nowego Jorku, gdzie na miejscowych scenach występowali: Julian Fontana, Edward Kański, Jan Pychowski, Ludwik Królikowski, Florentyna Szpaczek, Matylda Korszyńska, Anna Ablamowicz, Józef Sa-lomoński, Numa Leporski, Krystyna Zawistowska, Alicja Zawistowska, Hugo Potocki, Rudolf Bakowicz, Zenon Polski, Zofia Dziuba i Henryk Kowalski. Tylko poszczególnym jednostkom udało się zrobić karierę. Takim był Kazimierz Gzowski, oficer wojsk polskich z 1831 roku. Do USA przybył w 1833 roku i ożenił się z Amerykanką. W 1841 roku wyemigrował do Kanady, i tam dopiero mu się powiodło. Był projektantem i budowniczym wiszącego mostu kolejowego nad wodospadami Kanady, który do dziś uważany jest za największą budowę tego rodzaju na zachodniej półkuli. On też był inicjatorem założenia wielkiego parku rozciągającego się wokół tych wodospadów. Poczta kanadyjska uczciła jego pamięć

specjalnym znaczkiem pocztowym z jego podobizną.

Los Polaków w Ameryce wciąż jednak był godny pożałowania. Większość emigrantów, przeważnie oficerów, musiała się imać najcięższej i najgorzej płatnej pracy fizycznej. Stało się jasne, że w miastach Polacy się nie utrzymują. Powstał więc projekt osadzenia ich na roli. Komitet nowojorski wszczął starania o uzyskanie od rządu amerykańskiego większego arealu urodzajnej ziemi dla polskich osadników. Długotrwałe zabiegi w tym kierunku uwieńczone zostały powodzeniem.

30 czerwca 1834 roku Senat uchwalił ustawę o przyznaniu Polakom ziemi w stanie Illinois, którą tego samego dnia podpisał prezydent Jackson. Ponieważ przyznane tereny znajdowały się w znacznej odległości od Nowego Jorku, wyłoniły się trudności z dotarciem do nich. Polacy nie rozporządzali większymi funduszami, dorywcze i skromne zarobki z trudem wystarczały na utrzymanie i opłacenie komornego, zorganizowanie zaś wspólnej wyprawy do stanu Illinois, jak to pierwotnie projektowano, okazało się w praktyce niewykonalne. Polacy zaczęli więc wyprawiać się w drogę pojedynczo lub małymi grupkami. Wielu z nich wróciło po paru miesiącach wędrówki do Nowego Jorku, Bostonu i Albany. Tymczasem komitet założony w Illinois z niecierpliwością oczekiwał przybycia Polaków. Po pewnym czasie zjawili się trzech pierwszych polskich emigrantów, lecz nikt nie umiał im wskazać, gdzie znajdują się przyznane grunty. Oczekiwano więc przyjazdu przedstawiciela komitetu, który miał dokonać wyboru i załatwić formalności z rządem stanowym.

Tymczasem źle się działo w polskim Komitecie nowojorskim, na czele którego stali: Jan Prehal i Ludwik Chłopicki. Nie kończące się swary i niesnaski ogromnie utrudniały pracę i podrywały opinię polskiej emigracji. One też opóźniały decyzję wysłania przedstawicieli do Illinois, by objęli w posiadanie ziemię oddaną Polakom. W końcu, po długich sporach, postanowiono, że w Komitecie pozostanie jako kierownik dr Krajczy, zaś Prehal i Chłopicki udadzą się do Illinois.

Podczas podróży Prehal rozmyślił się i oświadczył Chłopickiemu, że uda się do Illinois drogą okrężną, by po drodze zebrać fundusze na zapomogi dla osadników. Chłopicki sprzeciwił się temu, mimo to Prehal postawił na swoim. Bez wiedzy i zezwolenia komitetu w Nowym Jorku rozpoczął wojażę po Stanach Zjednoczonych zbierając pieniądze na „Fundusz Osiedleńczy Polaków”. W rezultacie uzbieraną kwotę przywłaszczył sobie. W czerwcu 1835 roku dotarł do Nowego Orleanu, gdzie wsiadł na statek odpływający do Europy. Odtąd wszelki śluch o nim zaginął; ze zrozumiałych bowiem względów unikał skrupulatnie kontaktów z polską emigracją.

Tymczasem Chłopicki dotarł do Illinois i władze stanowe wskazały mu okolice, w których miał dokonać wyboru. Chłopicki wywiązał się ze swego zadania bardzo sumiennie. Obejrzał wszystkie proponowane tereny i wybrał ziemie w hrabstwie Winnebago. Niestety, Polacy nie przybywali i miejscowy komitet zaczynał się już niecierpliwic. Dla przyszłych osadników zgromadzono sporą ilość zboża na zasiewy, trochę narzędzi rolniczych oraz konie, bydło i owce. Niebawem wyłoniły się nowe trudności. Okazało się, że część gruntów wybranych przez Chłopickiego należała do rezerwatu Indian Winnebago i trzeba było im tę ziemię zwrócić. Władze stanowe, nie widząc obdarowanych, nie kwapiły się jednak z przyznaniem innych terenów. Chłopicki wrócił do Nowego Jorku i cały plan osiedlenia Polaków w Illinois spalił na panewce.

Do Ameryki przybywali tymczasem nowi emigranci z Polski.

Największe skupisko polskich emigrantów powstało w Nowym Jorku, jako że tam stosunkowo najłatwiej można było dostać pracę. Pierwszy komitet polski został rozwiązany i dopiero w 1842 roku utworzono nową organizację pod nazwą „Stowarzyszenie Polaków w Ameryce”. Istniało ono do 1848 roku, gdyż w związku z ruchami rewolucyjnymi w Europie najaktywniejsi działacze Stowarzyszenia opuścili Stany Zjednoczone.

Bardzo aktywnym działaczem był w tym okresie major Kasper Tochman, który przybył do USA z Francji w 1836 roku. Postawił on sobie za cel podnieść zachwianą reputację Polaków w Ameryce. Aby zapoznać społeczeństwo amerykańskie z problematyką polską, zorganizował ponad sto odczytów, których wysłuchało ponad 250 tysięcy osób. Wynikiem tej akcji było ogłoszenie przez rząd stanowy w Nowym Jorku w 1842 roku deklaracji wypowiedzianej się przeciw rozbirowi Polski. Podobne deklaracje ogłosiły rządy stanów Connecticut i New Hampshire. Później Tochman wspólnie z innymi polskimi emigrantami zorganizował Polsko-Słowiańskie Towarzystwo Literackie. Wzięli w nim udział: wypróbowany przyjaciel Polski Albert Gallatin oraz William H. Seward, Josiah Quincy, Jr. Jared Sparks, Theodore Sedgewick i inni.

Z wolna zaczęło się rozwijać polskie życie kulturalne, w 1842 roku ukazał się pierwszy polski miesięcznik, redagowany przez Pawła Sobolewskiego, lecz wydawany w języku angielskim — „Poland Historical Literary Monumental”. W tym samym roku w Bostonie Adam Kurek wydał swoje kompozycje muzyczne, a w Nowym Jorku J.K. Smoleński opublikował po angielsku życiorys Emilii Plater. Polka

Ernestyna Potowska brała czynny udział w ruchu abolicjonistów i w walce o równouprawnienie kobiet. Inna emigrantka, dr Maria Zakrzewska, jedna z pierwszych kobiet w USA, które ukończyły studia medyczne z dyplomem, zorganizowała w Bostonie szpital pod nazwą „The New England Hospital for Women and Children”. Dzięki jej staraniom i aktywnej współpracy założono w Ameryce pierwszą szkołę pielęgniarek.

W roku 1852 powstało Demokratyczne Towarzystwo Polskich Emigrantów z siedzibą w Nowym Jorku. Ta wybitnie radykalna organizacja od początku swej działalności ostro zwalczała niewolnictwo w USA. W czasie powstania styczniowego w 1863 roku członek tego towarzystwa, Henryk Kałusowski, był delegatem polskich władz powstańczych przy rządzie amerykańskim w Waszyngtonie i założycielem polskiej organizacji pod nazwą Polish National Alliance.

W okresie Wojny Domowej w USA przebywało już około 30 tysięcy Polaków. Z tej liczby około pięciu tysięcy walczyło w wojskach Unii, a tysiąc w armii południowej. Pierwszą śmiertelną ofiarą w tej wojnie był właśnie Polak — Tadeusz Strawiński, który, poległ od kuli konfederatów w forcie Sumter. Również pierwszym zabitym oficerem był Polak, kapitan Konstanty Blaudowski, walczący w obronie stanu Missouri. Polscy ochotnicy utworzyli wówczas legion polski, przemianowany później na nowojorski 58 pułk piechoty. Włodzimierz Krzyżanowski, były polski oficer, zorganizował polski oddział przekształcony później w pułk zwany United States Rifles. Krzyżanowski odznaczył się w wielu bitwach, a przede wszystkim pod Cross Keys, Bull Run, Chancellorsville i Gettysburgiem. Za wybitne zasługi i odwagę Lincoln mianował go generałem. W związku z tą nominacją miało miejsce zabawne zdarzenie. Otóż nominacja na stopień generała wymagała zatwierdzenia przez Senat. Równocześnie Senatowi przedłożono dwie takie nominacje: Schimmelfeniga i Krzyżanowskiego. Ku zdziwieniu Lincolna Senat odmówił zatwierdzenia nominacji Krzyżanowskiego. W odpowiedzi na interwencję prezydenta wyjaśniono, że żaden z senatorów nie był w stanie wymówić nazwiska Polaka. Po tygodniu powtórzono głosowanie i nominacja Krzyżanowskiego uzyskała akceptację Senatu. W uznaniu zdolności strategicznych Krzyżanowskiego Lincoln mianował go swoim doradcą w sprawach wojskowych.

Poza Krzyżanowskim stopnia generała w tej wojnie dosłużyli się jeszcze dwaj inni Polacy — Józef Karge i Albin Schoepf. Pierwszy odznaczył się w walkach w Wirginii i przy obronie Waszyngtonu. Po wojnie mianowano go szefem kawalerii w stanie Nevada.

W okresie poprzedzającym wybuch Wojny Domowej zaczęły powstawać w Ameryce pierwsze polskie osiedla, głównie w Teksasie. W 1854 roku grupa około 800 Polaków, prowadzona przez księdza Leopolda Moczygębę, przybyła do tego stanu i *założyła* osadę pod nazwą Panna Maria. Dziś jest to już spore miasto. Coraz liczniej napływający Polacy założyli w tym stanie szereg osiedli, nadając im nazwy: Częstochowa, Kościuszko, Polonia itp.

Od 1870 roku ilość Polaków w Ameryce zaczęła szybko wzrastać. Było ich wówczas 50 tysięcy, w pięć lat później (w 1875 r.) — dwieście tysięcy, a w 1920 roku przeszło trzy miliony. Obecnie w Stanach mieszka około siedmiu milionów obywateli polskiego pochodzenia.

Historia pewnego chłopca polskiego

Historia ta pochodzi ze wspomnień wojennych Edmunda O. Love'a wydanych w 1959 roku pt. „War is the Private Affair”.

„William Prośniak twierdził, że ma siedemnaście lat, gdy go przydzielono do kompanii Bakera. Chłopak był szczupły, o wychudłej twarzy i chytrym, trochę ironicznym uśmieszku. Osierocony w wieku trzech lat, wychowywał się na ulicach zachodniej strony Manhattanu. Zanim wstąpił do wojska, trzy lata chodził do szkoły podstawowej, i to było jego całe wykształcenie. Gdy rozpoczęła się wojna, zaczął starania o przyjęcie do służby wojskowej. Najpierw zgłosił się do piechoty morskiej, potem do marynarki, a w końcu do armii lądowej. Ze względu na młodociany wiek odrzucano go wszędzie. Wreszcie sfałszował metrykę i w ten sposób znalazł się w obozie ćwiczebnym. Tam zachowywał się niesfornie i robił wszystko, by się go pozbyli i wysłali na front. W końcu dopiął swego. W 1943 roku skierowano go do stacjonującego na Hawajach pułku piechoty. Tam też przydzielono go do kompanii kapitana Bakera.

Kompania znalazła się na froncie w lutym 1944 roku.

Wysłano ją wówczas na zdobycie wyspy Eniwetok. Przed lądowaniem sierżant wydał żołnierzom po sześć granatów i 75 naboju karabinowych. Prośniakowi to nie wystarczało. Wałęsając się po desantowej barce skradł kilka granatów i przeszło 200 sztuk amunicji.

Po wylądowaniu trafił wprost na japoński okop zbudowany w kształcie półkola. Żołnierz japoński zmierzył do niego, lecz nie zdążył wystrzelić. Prośniak strzałem z biodra położył go na miejscu. Potem sam zaatakował okop, rzucając granaty i strzelając do Japończyków, którzy mu się nawinęli. Właściwie sam zdobył pozycję nieprzyjaciela. Potem najspokojniej zaczął odpinać zabitym żołnierzom medale i

samurajskie miecze. Pochłonięty tą czynnością nie zauważył zbliżających się Japończyków; kiedy ich wreszcie dojrzał, nie tracąc przytomności umysłu, rzucił się do japońskiego karabinu maszynowego i zaczął strzelać. Niestety, amunicja szybko się wyczerpała. W chwili gdy oficer japoński wskakiwał do okopu, by przebić Prośniaka mieczem, porucznik Lumpke, dowódca plutonu, nadbiegł z pomocą. Ogniem z pistoletu maszynowego odparł nacierających Japończyków. Od tego czasu porucznik stał się obiektem wyjątkowej adoracji Prośniaka.

Jak później obliczono, Prośniak zastrzelił wówczas 80 Japończyków, za co przedstawiono go do odznaczenia i awansowano na kaprała. Nominacja napęliła go widoczną dumą, natomiast order całkowicie zlekceważył i nie chciał nawet odebrać odznaczenia. Twierdził, że medale, które zabrał Japończykom i których ma pełne kieszenie, były o wiele ładniejsze.

Wraz z kompanią trafił następnie na wyspę Saipan, gdzie z paru kolegami zdobył 75 mm działą japońskie. Tymczasem porucznik Lumpke zauważył, że co wieczór Prośniak i paru jego kolegów przepadają gdzieś na parę godzin. Zaczął ich śledzić i znalazł wszystkich w pobliskiej pieczarze. Jak się okazało, zaciągnęli tam zdobyte działą i rozebrali na części, by starannie je zapakować i wysłać do Ameryki. W ten sposób Prośniak chciał zaimponować swoim znajomym w Stanach Zjednoczonych. Kiedy Lumpke wszedł do pieczary, Prośniak i jego koledzy zastanawiali się właśnie, co zrobić z długą lufą armaty, by nie zwróciła uwagi przy wysyłce.

Pewnego dnia porucznik Lumpke został wysłany z patrolem w celu unieszkodliwienia japońskiego karabinu maszynowego, którego gniazdo znajdowało się na wysokiej i stromej górze. W czasie wspinaczki po skalistej ścianie Lumpke został ciężko ranny. Spostrzegłszy to Prośniak wziął od kolegów parę granatów i poszedł, by znieść rannego na dół. Po jakimś czasie dotarł do porucznika, opatrzył mu ranę, następnie zarzucił go na plecy i począł schodzić w dół pod japońskim obstrzałem. Kiedy dotarł wreszcie do swoich, padł bez przytomności. Okazało się, że odniósł kilka ran.

Rannego Prośniaka przewieziono do szpitala w Honolulu, gdzie spędził trzy miesiące. Miał przestrzelone uda i z trudnością chodził. Postanowiono go ewakuować do Stanów Zjednoczonych. Chory zaprotestował, żądając odesłania do kompanii. Niestety, lekarze nie chcieli się zgodzić. Traf jednak chciał, że w szpitalu Prośniak spotkał porucznika Kleina ze swojej kompanii, który dopomógł mu w uchyleniu decyzji. I oto Prośniak znów znalazł się na froncie.

Tam przydzielono go do kuchni, gdyż do służby liniowej się nie nadawał. Porucznik Klein został teraz dowódcą kompanii, gdyż kapitan Baker został zabity. Nowy dowódca twierdził, że chociaż Prośniak nie potrafi ugotować nawet jajka na twardo, to w rzeczywistości jest najlepszym kucharzem, jakiego kiedykolwiek miała kompania. Dowodził też, że w całej dywizji żołnierze nigdy nie jadali tak wspaniale, jak teraz w jego kompanii. Mówiono, że nawet w oficerskiej messie nie jadano takich posiłków.

Rzecz polegała na tym, że Prośniak umiał, choć nie zawsze legalnie, zdobywać prowiant, nie tylko z kwatermistrzostwa. Wydostawał go od nowozelandzkich lotników, marynarzy i w ogóle od wszystkich, którzy go mieli. Podpatrzył, że marynarze mają na lądzie wielkie lodówki, a dzięki nim świeżą żywność. Prośniak znalazł również słabość marynarzy do wszelkich pamiątek wojennych, do których mieli utrudniony dostęp. Właśnie u nich zaopatrywał się w główne artykuły, i to w sposób nader prosty.

Jednym z bardzo cenionych trofeów był proporczyk, jaki japońscy żołnierze nosili na brzuchu... Na kawałku tkaniny wymalowane były życzenia od ofiarodawcy i tarcza wschodzącego słońca. Prośniak «wyfasował» gdzieś parę spadochronów, pociął je na prostokąty i wynalazł specjalistów, którzy na kawałkach jedwabiu wymalowali wszystko, co trzeba.

Prawdziwa flaga kosztowała pięć dolarów. Prośniak sprzedawał swoje taniej, ale zapłaty żądał wyłącznie w postaci produktów żywnościowych, przy czym w kwestii ich jakości i gatunku był niezwykle wybredny. Na wyspie nie było magazynu z żywnością, do którego Prośniak nie potrafiłby się dostać i przewieźć samochodem przeróżne smakołyki. W końcu wybuchała na tym tle grubsza awantura; sprawa oparła się nawet o sztab dywizji. Z uwagi na waleczność Prośniaka sprawę zatuszowano. Został jednak przeniesiony. Przydzielono go do plutonu, którego zadaniem było zbieranie broni porzuconej przez ustępujących Japończyków. Prośniak, czując się upokorzony, trzykrotnie dezercerował do dawnej kompanii.

Pewnego razu, działą się to już na wyspie Okinawa, dowiedział się, że w ataku na jakiś umocniony punkt japoński poległ dowódca jego dawnej kompanii — Klein. Na wieść o tym Prośniak wykradł jeepa dowódcy plutonu, wyładował bronią i pognął do swojej kompanii. Wieś, którą jego kompania miała za zadanie zdobyć, była silnie umocniona i leżała na wzgórzu. Broniła jej kompania moździerzy i liczne gniazda karabinów maszynowych. Pod wzgórzem biegł cały labirynt podziemnych przejść, którymi Japończycy dostawali się do swoich okopów. Tylko jedna, stroma droga prowadziła do wioski. Dwa amerykańskie czołgi, które próbowały przebić się tą drogą, zostały rozbite. Prośniak niewiele się

namyślając ruszył swym jeepem prosto drogą. Japończycy nawet nie strzelali do niego, przekonani zapewne, że wezmą go żywcem. Znalazłszy się w wiosce, Prośniak zeskokczył z pojazdu i skrył się w jednym z domów. Opowiadał później, iż uczynił to z obawy, aby Japończycy nie zaczęli strzelać, cały bowiem samochód miał wyładowany amunicją. Jeden celny strzał i wóz wyleciałby w powietrze.

Ukryty w domu, spostrzegł wejście do podziemnego tunelu. Wszedł w głąb korytarza i w ten sposób odciął Japończykom łączność. Stąd też robił na nich wypadki zachodząc ich od tyłu. Przez trzy dni nękał ustawicznie Japończyków. Zdemoralizowani i pozbawieni dostawy amunicji i żywności, Japończycy uciekli. Kompania Prośniaka wkroczyła do wioski. Znalezione w niej jedynie dwóch żywych ludzi. Drugim był oficer japoński, który skrył się przed ścigającym go Prośniakiem. Ten zaś, jak zwykle, pozbiierał starannie swoje łupy — samurajskie miecze i małe flagi żołnierzy japońskich.

W lipcu 1945 roku mianowany został sierżantem, a pierś jego zdobyły liczne medale. Miał już prawie wszystkie amerykańskie odznaczenia, nadal jednak nie przywiązywał do nich znaczenia, natomiast ze stopnia sierżanta był bardzo dumny.

Po skończonej już wojnie Prośniak dowiedział się kiedyś, że do sztabu dywizji nadesłano wspaniały wieniec, który miał być złożony na grobie jakiegoś generała. Zbadał dokładnie całą rzecz, po czym ukradł wieniec i zawiesił go na grobie dowódcy kompanii Kleina.

Wkrótce sierżant Prośniak został zdemobilizowany. Powrócił do Stanów Zjednoczonych i, jak się okazało, odnalazł Lumpkego, który miał amputowane obydwie nogi. Przez sześć lat woził swego przyjaciela na wózku, wnosił i wyciągał z samochodu, przyrządzał mu posiłki i opiekował się jak dzieckiem. W 1952 roku Lumpke zmarł, co zaś stało się potem z Prośniakiem, nie wiem".

O prasie polskiej w Stanach Zjednoczonych

Tak się złożyło, że byłem świadkiem likwidacji „Kuriera Codziennego”, jedyne w Bostonie polskiego dziennika. Ponieważ prenumerowałem tę gazetę i wiedziałem, że Boston jest dużym skupiskiem polskiej emigracji, zainteresowałem się bliżej tą sprawą. Zaciekały mnie głównie przyczyny, dla których nagle przekształcono ten dziennik w tygodnik. Przy sposobności zebrałem trochę wiadomości o sytuacji prasy polskiej w USA.

Najpierw trochę historii. Zacznę od najstarszego z istniejących polskich dzienników w USA, a mianowicie od „Kuriera Polskiego” w Milwaukee (1888 r.). Założycielem i naczelnym redaktorem tego dziennika był Michał Kruszką, człowiek o niepospolitej inteligencji i przedsiębiorczości. Pismo redagował zręcznie, starając się zaspokoić nie tylko gusty, potrzeby, ale i poglądy wszystkich swoich czytelników. Na łamach swego dziennika godził on, na przykład, antyklerykalizm z nie mniej jawnym popieraniem kościoła katolickiego. „Kurier Polska” miał swego czasu bardzo duży krąg odbiorców i szeroki zasięg, obejmujący kilkanaście stanów. Po śmierci Kruszki upadł, zmienił paru właścicieli i obecnie utrzymuje się tylko z wielkim trudem, czytany jedynie przez Milwaukee i najbliższe okolice.

Oprócz Kruszki należy wymienić jeszcze dwóch wielce zasłużonych dla rozwoju polskiej prasy w USA dziennikarzy — Władysława Dyniewicza i Antoniego Paryskiego. Dyniewicz był założycielem „Gazety Polskiej” w Chicago i zasłużył się jako propagator czytelnictwa wśród mas wychodźstwa polskiego. Należy bowiem zdać sobie sprawę, że poziom kulturalny tego wychodźstwa był w owych czasach bardzo niski. Wśród emigrantów wielu było analfabetów. Podczas pobytu w USA poznałem starego chłopca-analfabeta, który przybył do tego kraju przed 60 laty. Cała jego wiedza w tym zakresie ogranicza się do umiejętności złożenia podpisu na czeku. Dziś jest nawet dość zamożnym człowiekiem i wszystkie jego dzieci otrzymały uniwersyteckie wykształcenie, on jednak nigdy w życiu nie przeczytał ani jednej gazety.

Uczniem Dyniewicza i kontynuatorem jego dzieła był wspomniany Antoni Paryski. Przeszedł on swego mistrza i w jeszcze większej mierze przyczynił się do rozwoju czytelnictwa wśród emigrantów. W końcu XIX wieku przywiózł do Toledo, w stanie Ohio, parę maszyn drukarskich i przystąpił do wydawania tygodnika „Ameryka-Echo”. Ta nieco dziwna nazwa powstała na skutek zakupu i połączenia przez Paryskiego dwóch tygodników „Ameryka” i „Echo”. Poziom nowego czasopisma nie był wysoki, lecz świetnie dostosowany do poziomu ówczesnych czytelników. Pismo prowadziło dziesiątki działów. Obok wiadomości bieżących Paryski zamieszczał w odcinkach powieści, fragmenty Biblii, wskazówki hodowlane, ogrodnicze i przepisy kucharskie. Pismo miało charakter demagogiczno-postępowy, o ile można tak to ująć; pozwalało sobie na krytykę duchowieństwa, a jednocześnie zamieszczało kazania niedzielne i wyjątki z Ewangelii.

Paryski bardzo umiejętnie spopularyzował swoje pismo. Nie czekał na zgłaszanie się prenumeratorów,

lecz rozesłał po kraju armię wyszkolonych przez siebie agentów-akwizytorów. Uczył ich znajomości psychiki ludzkiej i najnowocześniejszych metod kolportażu. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Nakład pisma wzrastał w zawrotnym tempie. Paryski zabrał się też do wydawania książek w języku polskim. Drukował je na tanim gazetowym papierze. Sięgnął przede wszystkim do powieści Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Rzewuskiego, do romansów francuskich, powieści kryminalnych, wzbogacając swój asortyment edytorski książkami kucharskimi, Biblią, sennikami i „Żywotami świętych”. Owoce jego działalności wydawniczej rozchodziły się po całych Stanach, mimo niewybrednej często treści. W sumie jednak spełniały pozytywną rolę wyrabiając w środowisku polonijnym nawyk czytania. Na tym polega niewątpliwa zasługa Paryskiego. Obecnie, choć już nie żyje, tygodnik „Ameryka-Echo” cieszy się wciąż jeszcze dużą poczytnością.

Warto też wspomnieć o braciach Worcałach, przybyłych z zaboru pruskiego. Bracia mieszkali w Stevens Point, w stanie Wisconsin, gdzie posiadali skład narzędzi rolniczych. Wykształcenia nie mieli, ale za to dużo sprytu i przedsiębiorczości. Postanowili zrobić konkurencję Paryskiemu. W tym celu skaperowali redaktora naczelnego „Ameryka-Echo”, Pawła Klimowicza, samouka, który swoją wiedzę zawdzięczał wyłącznie Paryskiemu. Założyli drukarnię i podjęli pracę wydawniczą. Nowe pismo otrzymało nazwę „Gwiazda Polarna”. Z czasem zaczęli wydawać także pismo rolnicze dla farmerów-Polaków. Konkurencja nie trwała długo. Po pierwszej wojnie światowej „Gwiazda Polarna” i inne czasopisma Worcałów przestały istnieć.

Drugim konkurentem Paryskiego był niejaki Rabinów z Chicago. Użył on tej samej metody, co bracia Worcałowie, a mianowicie ściągnął do siebie redaktora naczelnego „Ameryka-Echo”, Wojciecha Morawskiego. Był to zawodowy dziennikarz o dużym doświadczeniu, z wyższym wykształceniem, zdobytym jeszcze w Europie. Rabinów wpadł na oryginalny, na ówczesne czasy, pomysł — założył wydawnictwo pod nazwą „Zjednoczona Prasa Polska”. Gazetę drukowano w Chicago, ale bez winiety oraz bez pierwszej i ostatniej strony, a następnie wysyłano do 26 miast amerykańskich, w których Rabinów posiadał swoje oddziały. Tam dodrukowywano brakujące kolumny i tytuł, w każdym mieście inny. W ten sposób wydawał jak gdyby 26 czasopism, różniących się jedynie tytułami oraz pierwszymi i ostatnimi kolumnami. „Zjednoczona Prasa Polska” osiągnęła bodajże najwyższy wówczas poziom redakcyjny, co oczywiście było zasługą Morawskiego. Impreza miałaby wszelkie szanse powodzenia, gdyby nie osoba wydawcy. Ze względu na swe żydowskie pochodzenie wydawnictwo spotkało się z zorganizowanym bojkotem. Z inicjatywą wystąpili wydawcy innych konkurencyjnych czasopism polskich. „Zjednoczona Prasa Polska” zakończyła swój żywot jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Należy również przypomnieć, że znany autor romansów historycznych, Wacław Gąsiorowski, pełnił przez pewien czas stanowisko naczelnego redaktora „Dziennika Nowojorskiego”. Po jego ustąpieniu pismo szybko upadło.

Pragnę przy sposobności wymienić jeszcze kilkanaście tytułów pism powstałych przeważnie przed pierwszą wojną światową. Pisma te odegrały pewną rolę społeczną i wiele z nich istnieje do dnia dzisiejszego. A więc w Milwaukee ukazują się „Nowiny Polskie”; w Chicago — „Dziennik Chicagowski”, „Dziennik Narodowy”, „Dziennik Związkowy” i „Dziennik Zjednoczenia”; w Detroit — „Dziennik Polski” i „Rekord Codzienny”; w Cleveland — „Wiadomości Codzienne” i „Monitor Polski”; w Buffalo — „Dziennik dla wszystkich” i „Polak w Ameryce”; w Pittsburgu — „Pittsburchanin”; w Bostonie — „Kurier Codzienny”; w Nowym Jorku — „Telegram Codzienny”, „Dziennik Nowojorski”, „Kurier Narodowy”, „Nowy Świat”, „Wolna Polska” i „Zgoda”.

Czy prasa polska w Ameryce spełniła niełatwe zadanie czynnika utrzymującego świadomość narodową i znajomość języka wśród mas wychodźstwa polskiego? Trudno odpowiedzieć krótko i jednoznacznie na to pytanie, można natomiast zaryzykować twierdzenie, że niezupełnie jej się to udało. Za brak spodziewanych wyników nie można jednak obwiniać tamtejszej prasy, a w każdym razie nie tylko prasę. Zbyt wiele złożyło się na to powodów, tym bardziej że wpływy tej prasy nigdy nie były duże i dlatego znaczenia jej nie należy przeceniać.

Najsłabszą stroną prasy polskiej w Ameryce było i jest nadal jej zupełnie bezideowe oblicze. Wszystkie wspomniane wydawnictwa traktowano jako przedsięwzięcia natury finansowej. Przed pierwszą wojną światową, i nawet długo jeszcze po niej, wychodźstwo polskie żyło w pewnego rodzaju getcie narodowym, w izolacji. Stara generacja słabo знаła język angielski i czytała tylko gazety polskie. Stąd też istniało wtedy szerokie zapotrzebowanie na polskie drukowane słowo. Ze względów konkurencyjnych charakter czasopism dostosowywano do poziomu i smaku czytelnika, podobnie zresztą jak dziś.

Przed pierwszą wojną światową wychodźstwo polskie cierpiało na dotkliwy brak inteligencji. Wśród

personelu redakcyjnego przeważali ludzie przypadkowi, bez starannego wykształcenia. Oczywiście były wyjątki. Z czasem ukształtowała się kadra nowej inteligencji, ale po roku 1918 nastąpił poważny ubytek ludzi jako tako wykształconych. Wpłynęło na to odzyskanie niepodległości przez kraj macierzysty. Zmiana układu politycznego w Europie, nowa rzeczywistość w Polsce zdawały się sprzyjać nowym, lepszym perspektywom na przyszłość. Zamiast więc tkwić beznadziejnie za biurkami redakcyjnymi, na marnie płatnych posadach, część dziennikarzy polskich wróciła do kraju, inni zaś zajęli stanowiska na polskich placówkach dyplomatycznych lub w organizacjach emigracyjnych. Spowodowało to oczywiście spadek poziomu prasy polskiej w Stanach Zjednoczonych, który i tak daleki był od doskonałości. W kraju nie interesowano się tymi sprawami i nikt nie pomyślał o wypełnieniu powstałych luk. W okresie międzywojennym dopływ inteligencji polskiej z kraju do USA właściwie nie istniał.

Po drugiej wojnie światowej sytuacja niewiele się zmieniła, mimo że do USA przybyli licznie przedstawiciele polskiej inteligencji. Nie garnęli się jednak do działalności wydawniczej, poza tym „stara generacja” Polonii amerykańskiej odnosiła się do niej nieufnie. Zasadniczą bolączką pozostał fakt, że wydawcy nie dbali i nadal nie dbają o poziom wydawanych przez siebie czasopism. Ze względu na wysoką cenę papieru podnoszenie nakładów przestało się opłacać. Swoje zyski opierają przede wszystkim na ogłoszeniach, ponieważ ilość prenumeratorów nie odgrywa w dochodowości większej roli. Dla zwiększenia intratności starają się maksymalnie ograniczyć koszty redakcyjne, traktowane zawsze jako zło konieczne. Każde małe wydawnictwo w USA jest zwykle połączone z zakładem drukarskim, a dziennik czy tygodnik daje jedynie dochód uboczny. Komercyjnie usposobieni wydawcy unikają więc angażowania doświadczonych i zawodowych sił redaktorskich, którym oczywiście trzeba lepiej płacić. Głównym „redaktorem” czasopism polskich w Stanach Zjednoczonych są wciąż... nożyce. Opowiadano mi, jak to pewien naczelny redaktor zawołał kiedyś z rozpaczą w głosie — Panowie, na miłość Boga... jeśli się natychmiast nie znajdą nożyczki, to numer nie wyjdzie! Na porządku dziennym zamieszcza się przedruki lub dosłowne tłumaczenia z gazet amerykańskich. Wyjątkiem, i to tylko do pewnego stopnia, jest nowojorski „Nowy Świat”, najbardziej stosunkowo dbały o swój poziom.

Dzienniki polskie, mimo wielomilionowej rzeszy Polaków, mają na ogół bardzo skromne nakłady. Wspomniałem już o niechęci wydawców do podnoszenia nakładu. Jest to ważna, ale nie jedyna przyczyna. Pamiętać się godzi, że również oblicze emigracji polskiej w USA uległo pewnej metamorfozie. Obecnie stara emigracja jest już poważnie zamerykanizowana, co nie oznacza bynajmniej wynarodowienia. Wielokrotnie spotykałem ludzi, którzy nie byli w stanie sklecić po polsku jednego zdania, ale uważali się za Polaków i pamiętali o swym pochodzeniu. Ludzie ci oczywiście korzystają tylko z prasy amerykańskiej. Czytają ją również liczne rzesze tych, którzy język polski znają nieźle, lecz wolą czytać po angielsku. Dlatego w wielu polskich dziennikach ważniejsze artykuły i wiadomości podaje się również w języku angielskim. Ponadto ukazują się czasopisma wydawane przez Polaków w języku angielskim. Do nich należą gazety: „Polish-American World” i „Polish-American Journal”, oraz periodyki: „Polish American Historical Association Bulletin”, „Polish American Studies” i „The Polish Review”.

Prasa polska ma przy tym wszystkim charakter wybitnie lokalny, co powoduje, że nikt nie może poprzestać na polskiej gazecie. Jeśli jest czytana, to wyłącznie jako dodatkowa gazeta, nigdy jako jedyna. Jedni czytają ją z sentymentu, drudzy z przyzwyczajenia, inni zaś ze względu na głębsze zainteresowanie sprawami polskimi. Najlicniejszą grupę czytelników dzisiejszej prasy polskiej w Ameryce stanowi ostatnia, powojenna emigracja. Można wszakże przypuszczać, że poprzedni proces powtórzy się ponownie, i to w szybszym tempie. Prasę polską będzie czytać do końca swego życia tylko „starsze pokolenie, które 20 lub 15 lat temu przybyło do Stanów Zjednoczonych. Pokolenie młode, to znaczy ich dzieci, amerykanizuje się szybciej niż pokolenie starej, zasiedziałej emigracji. Młodzież polska, która jako małe dzieci

przybyła do USA lub tam się urodziła, mówi bardzo słabo po polsku, a prasą i wydawanymi w tym języku książkami nie interesuje się wcale. Zjawiska tego nie można jednak uznać za proces wynarodowienia, gdyż młodzież ta nie traci mimo wszystko poczucia przynależności narodowej.

Czynnikiem utrudniającym rozpowszechnienie polskich gazet jest między innymi wadliwa dystrybucja. W kioskach nigdy nie można dostać polskich gazet. Wydawcom nie opłaca się dostawa dzienników sprzedawcom; całą sprawę wolą załatwiać w drodze prenumeraty rocznej lub kwartalnej. Prenumerowanych dzienników nie dostarczają jednak roznosiciele, jak to praktykuje prasa amerykańska, lecz poczta. Oczywiście ze względu na koszty i wygodę. Gazety wysyła się tzw. *second class*, czyli drugą klasą pocztową. Prasa przychodzi więc nieregularnie i zawsze z opóźnieniem, co pozbawia ją istotnego waloru — aktualności. Mieszkając w Bostonie miejscowy „Kurier Codzienny” otrzymywałem zawsze z jednodniowym opóźnieniem, wobec czego nie mogłem się obyć bez prasy

amerykańskiej.

Wspomniałem na początku, że byłem świadkiem likwidacji polskiego dziennika w Bostonie. Stało się to dosłownie z dnia na dzień. Aby zasięgnąć wiadomości w tej sprawie, zatelefonowałem do znajomego dziennikarza. Odpowiedź była prosta. Wydawcy lepiej kalkulują się tygodnik. Papier jest drogi, poza tym można zlikwidować personel. Pozostanie jeden pracownik redakcyjny, uzbrojony w potężne nożyce. To, co się stało w Bostonie, grozi też innym polskim wydawnictwom. Rozstrzygną o tym w przyszłości względy finansowe i stopień poczucia narodowego wydawcy.

Gangsterzy

Dzieje amerykańskich gangsterów nie byłyby warte nawet drobnej wzmianki i chwili uwagi, gdyby nie fakt, że chyba po raz pierwszy w nowoczesnym państwie naszej doby przestępstwo zostało skomercjalizowane według wszelkich prawideł dobrze skalkulowanego biznesu, z całym jego nieodzownym aparatem. Tak więc „skomercjalizowani” gangsterzy mają do swej dyspozycji akwizytorów, maszynistki, księgowych, kasjerów i ekonomistów bacznie zważających, by interes rozwijał się pomyślnie. A że żaden biznes nie obył się bez aparatu kon* troll, są więc roczne sprawozdania, bilanse itp. Towarzyszy mł również walka konkurencyjna, prowadzona tylko nieco innymi metodami. Zamiast rujnować konkurenta, prościej jest go zabić zamiast zjednywać sobie odnośne władze za pomocą lobby, prościej je przekupić. Osobliwością świata gangsterskiego są feudalne metody działania. Podobnie jak w epoce średniowiecza, jeden człowiek za pomocą zbrojnej po zęby bandy opryszków terroryzuje wielkie milionowe miasto i narzuca jego władzom swoją wolę. Oslawiony Al Capone był niegdyś rzeczywistym dyktatorem, którego — na szczęście — ambicje sprowadzały się tylko do sfery „handlowej”.

Chicago nigdy nie cieszyło się dobrą sławą. Nawet na początku ubiegłego wieku nazywano tę nowo założoną osadę „bagnem prerii”. Ówczesny centralny ośrodek handlu wymiennego z Indianami, pełen szynków, szulerni i domów publicznych, gromadził „elitę” świata przestępczego i nader różnorodny wachlarz szumowin. W XIX wieku miasto szybko się rozwijało, rosły majątki, a z nimi razem „kwitło” przestępstwo. W 1860 roku Chicago słynęło z ogromnej ilości domów publicznych, szulerni i szynków, zajmując poczesne miejsce w statystyce przestępstw. W 1872 roku, po wielkim pożarze, obywatele Chicago utworzyli nawet komitet do zwalczania świata podziemnego. Niewiele jednak działali. Statystyka z 1906 roku podaje, że w Chicago, co trzy godziny popełniano kradzież, co sześć godzin włamanie, a raz na dzień kogoś mordowano. Tradycje się utrzymały.

Pierwszą ofiarą walki pomiędzy gangsterami był niejaki Steve Wisiewski, prawdopodobnie Wiśniewski. Zastrzelono go za zrabowanie transportu piwa należącego do gangu Terry Druggana i Franka Lake’a, jakkolwiek obaj ci dżentelmeni również rozpoczęli „interes” od kradzieży większej partii alkoholu należącego do Jharneya Grogana, przemytnika i właściciela licznych barów. Ale Wisiewski był tylko drobną płótką wśród gangsterów, a nazwisko jego stało się znane jedynie dlatego, że sposób zamordowania jego przejęły później prawie wszystkie gangi. Nazywała się ona „jazda w jedną stronę”; Wisiewskiego bowiem wepchnięto do samochodu, wywieziono za miasto i tam zastrzelono. Od Franka Lake’a i Druggana przejął tę metodę inny gangster, Big Tim Murphy, który pierwszy przeniknął do związków zawodowych i żywił wielkie ambicje polityczne. Po wybraniu go do Kongresu zaczął nawet myśleć o kandydowaniu do Senatu. Początkowo specjalizował się w napadach na urzędy pocztowe, później — w okresie prohibicji — porzucił fach bandycki i zajął się handlem alkoholem. W 1928 roku został zlikwidowany przez konkurencyjny gang.

W Chicago gangsterskie tradycje „handlowe” są stare i sięgają okresu sprzed pierwszej wojny światowej. Pierwszą wielką figurą chicagowskiego podziemia i pierwszym, który na gangsterstwie zrobił milionową fortunę, był Włoch — Big Jim Colosimo, W 1910 roku zorganizował świetnie wyposażony w broń gang. Zadaniem uzbrojonych bandytów było pilnowanie interesów swego „chlebobawcy” i zwalczanie konkurencji. Colosimo zaczął swą „działalność” od kradzieży. Potem zorganizował związek zmiataaczy ulic i nawet zaczął śnić o politycznej karierze. Myśl tę jednak szybko porzucił, gdy w 1902 roku ożenił się z właścicielką domu publicznego i całą swą energię poświęcił „przedsiębiorstwu” żony. W ciągu paru lat dorobił się ogromnego majątku i stał się właścicielem wielu domów publicznych, szulerni i wielkich lokali rozrywkowych. Jego roczny dochód wynosił wówczas pół miliona dolarów. Gdy sycylijska Mafia, a właściwie Czarna Ręka, zaczęła szantażować Colosima, żądając okupu, zwrócił się o pomoc do Johna Torrio, wytrawnego gangstera nowojorskiego. Torrio przybył do Chicago i rozprawił się z Mafią. Od tego czasu, to znaczy od roku 1910, pozostał już w Chicago jako naczelny „dyrektor” przedsiębiorstw Jima. Przyczynił się do wzrostu dochodów i zwiększył gang obronny. Potem zaczął rozważać możliwość pozbycia się szefa i przejęcia „interesu”. W maju 1920 roku Big Jim Colosimo został nagle zastrzelony we własnej kawiarni, kiedy siedział przy stoliku. Strzał oddano przez szybę z ulicy. Sprawcy nie wykryto, lecz w podziemnym świecie wiadano, że dokonał tego nowojorski gangster, Frank Yale, na rozkaz Torriego.

Pogrzeb Wielkiego Jima, złodzieja, szulera i właściciela domów publicznych, przeszedł do historii. Za trumną kroczyło trzech sędziów, dwóch kongresmenów, przedstawiciel rządu stanowego, sześciu radnych miejskich i dyrektor chicagowskiej opery. W kondukcje pogrzebowym szły poza tym tysiące ludzi. Nad grobem wygłoszono wniosłe przemówienia i złożono setki wieńców.

Po śmierci Colosima „bossem” podziemnego świata w Chicago został — jak można było przewidzieć — John Torrio. Wszedł on do spółki z wdową po Colosimie i tak pokierował sprawą, że stał się właścicielem wszystkich „przedsiębiorstw”. W 1920 roku prohibicja nasunęła mu olbrzymie możliwości. Zwołał więc

na konferencję całą śmietankę gangsterów chicagowskich i przedłożył im plan. Projekt swój wyłuszczył prosto i zwięźle. Alkohol będzie towarem najbardziej poszukiwanym, dlatego należy handel nim ująć w swoje ręce. Nie należy marnotrawić czasu i środków na konkurencyjne walki, lecz przystąpić do produkcji alkoholu, zorganizować przemysł i sprzedaż. Miasto będzie podzielone na rejony, które przydzielili się poszczególnym gangom. On sam weźmie na siebie obowiązek czuwania nad całością i „praworządnością”, przekupi władze miejskie, stanowe i policję, w tym celu Torrio wykorzystał nawiązane przez Colosima stosunki.

Na czele ówczesnych gangów w Chicago stali: Sheldon, O'Donnell, McGaughey, De Coursey, bracia Genna, Murray, Maddox, Cyrus, Polack, Joe Saltis, Touhy, Dion C. Banion, Big Moran. Wszyscy ci wodzowie zobowiązali się do przestrzegania przyjętych warunków porozumienia i płacenia Torriemu wyznaczonego haraczu na pokrycie „kosztów”. Torrio też oczywiście otrzymał „swoją” rejon do eksploatacji. I tak oto zaczął działać pierwszy trust gangsterski.

Wówczas to Torrio sprowadził do pomocy pewnego chłopca z Nowego Jorku. Już dawniej zwrócił na niego uwagę i postanowił zająć się nim bliżej. Chłopiec pochodził z rodziny włoskich emigrantów i nazywał się Alfonso Capone.

„Johnny” Torrio pomyślnie rozwijał swój business i utrzymywał spokój w Chicago do 1923 roku. Pierwsze zamieszanie zostało spowodowane niespodziewanym wyborem Williama E. Devesa na stanowisko burmistrza. Zmiana administracji wprowadziła dezorientację wśród gangsterów, nikt nie wiedział komu i w jakiej wysokości należy płacić łapówki. Skorzystał z tego niejaki C. Donnell i wraz z innymi gangami wszczął rebelię przeciw Torriemu. Walka trwała długo i skończyła się klęską braci O'Donnellów. Torrio jednak unikał walki i umiejętnie łagodził wszystkie zatarci pomiędzy gangami, a do gwałtów uciekał się tylko w ostateczności, jedynie w czasie wyborów na przedmieściu Chicago, Cicero, zastosował terror — pod groźbą pistoletów zmuszał wyborców do głosowania na swoich kandydatów. Torrio ściągał haracz od innych gangów i czerpał ogromne zyski z kilku domów publicznych, szulerni i 20 tysięcy zamelinowanych szynków. Jego roczny dochód, według pobieżnych obliczeń, wynosił około 70 milionów dolarów. Ale i koszty ponosił niemałe, zwłaszcza związane z utrzymaniem gangu; poza tym dość hojną ręką szafował łapówkami, dzięki czemu mógł mówić bez cienia przesady, że policja zarówno miejska, jak i stanowa „należy do niego”.

W połowie lat dwudziestych władze Chicago zostały przekupione. W mieście rządziły bandy gangsterskie. Obok wielkich i bogatych gangsterów działali na własną rękę dobrze wyszkoleni w bandyckim fachu ich „ubodzy krewni”, równie spragnieni złota. Zbrojne napady na banki były wówczas na porządku dziennym, zaś co noc notowano około dwustu akcji rabunkowych dokonywanych na przechodniów i mieszkania zamożniejszych obywateli. Aby zapewnić sobie ochronę osobistą i zabezpieczyć swe safesy przed pożądlivością gangów, co bogatsze rodziny wynajmowały prywatnych detektywów. Bez uzbrojonej straży nikt nie śmiał zapuszczać się w ulice miasta. Gazety pisały: „Chicago jest pełne bandytów. Na każdym kroku można spotkać zwalczających się gangsterów, strzelających dla zabawy, rzucających granaty i pędzących w wielkich samochodach. Gangsterów jest wszędzie pełno, tylko nie ma ich w więzieniach”.

Torrio znalazł się w trudnej sytuacji. Z jednej strony energiczna ingerencja władz mogłaby popsuć doskonale prosperujący interes, z drugiej zaś należało w jakiś sposób uspokoić opinię publiczną.

Wreszcie głos zabrał burmistrz miasta — Big Bill Thompson, któremu gangsterzy polecili uspokoić ogólne wzburzenie. W oficjalnym przemówieniu usiłował przekonać opinię powszechną, że w Chicago panuje normalne, jak w każdym innym mieście, bezpieczeństwo i że przesadą jest wywoływanie nastroju zagrożenia ze strony gangów. Thompson, pozostający na żołdzie gangsterów i zawdzięczający im swoje wyniesienie na stanowisko burmistrza, liczył nadal na swoich protektorów i śnił nawet o wprowadzeniu się do Białego Domu.

Kłopoty Torriego nie odbijały się jednak niekorzystnie na jego interesach. I cały ten gangsterski business rozwijałby się zapewne dalej, gdyby nie O'Donnell. Ten niepośledniej kategorii gangster, znany z bezczelnej wprost śmiałości i niechęci do Sycylińczyków, nosił przy sobie z reguły trzy rewolwery, a na jednym trzymał zawsze rękę. Miał ponoć na sumienia 25 morderstw, lecz ani jednego mu nie dowiedziono. Zajmował się przede wszystkim alkoholem i polityką. Początkowo pracował na rzecz demokratów, później przeszedł na stronę republikanów i brał czynny udział w wyborach prezydenckich. Dla lepszej orientacji należy tu parę słów dodać o współpracy i powiązaniach działaczy politycznych ze światem przestępczym. W owych czasach wybory organizowali z zasady gangsterzy i partia, która potrafiła sobie ich pozyskać, miała zapewnione zwycięstwo. Gdy Chicago stało się domeną demokratów, Edward Kovalinka, przywódca republikanów w Cicero, zwrócił się do Al Capone'a z prośbą o pomoc. Zawarto szybko umowę, którą Torrio potwierdził, i demokraci ponieśli w Cicero sromotną klęskę.

Na wieść, że O'Donnell zamierza przejść do republikanów demokraci, by go pozyskać, urządzili w salach hotelu Webster bankiet. Obok gangsterów wzięły w nim udział różne polityczne osobistości oraz szef policji w Chicago, Michael Hughes. Podczas bankietu przywódca demokratów obdarował O'Connora, właściciela licznych szulerni, spinką z olbrzymim brylantem, zaś O'Donnella platynowym zegarkiem, wysadzonym brylantami. Gangster przyjął upominek, lecz przeszedł do republikanów, którzy obiecali mu w razie wygranej całkowitą bezkarność, najlepszy, jaki mogli mu ofiarować prezent. Oni też zwyciężyli w wyborach. Brawura O'Donnella nie podobała się Torriemu. Kiedyś, przy szczelnie wypełnionej widowni teatralnej, zastrzelił dwóch ludzi z innej bandy, a przy jakiejś okazji wdał się w bójkę z policją. Aby pohamować nieobliczalnego opryska, Torrio ofiarował mu do eksploatacji część rejonu Cicero. Teren ten dawał miesięcznie 15 tysięcy dolarów czystego dochodu, lecz O'Donnell potrafił

wycisnąć sto tysięcy miesięcznie, nie przebierając oczywiście w środkach. Innym razem zrabował samochód załadowany whisky, której wartość sięgała stu tysięcy dolarów, a w jakiś czas potem transport wartości miliona dolarów. Gdy wysłano do O'Baniona ludzi z ostrzeżeniem, by przestał rabować i mordować ludzi, odpowiedział hardo, że nie ma zamiaru słuchać „sycylijskich bandytów”. Torrio i inni Sycylijczycy poczuli się tym dotknięci i poprzysięgli mu zemstę.

Torrio i Al Capone — wówczas już zastępca Torriego — do swych najwierniejszych ludzi zaliczali sześciu braci Genna. Wszyscy bracia, Sam, Jim, Pete, Angelo, Antonio i Michael, byli gangsterami i odgrywali poważną rolę w Unione Siciliana (Związku Sycylijczyków).

Jeden z braci Genna, Antonio, otrzymał zezwolenie od władz na prowadzenie fabryczki produkującej alkohol drzewny dla celów przemysłowych. W rzeczywistości był to tylko kamuflaż służący do zamaskowania masowej produkcji alkoholu. By się zemścić na C'Banionie i skompromitować go, Antonio zaczął rzucać na jego rejon trujący spirytus drzewny po bardzo niskich cenach. C'Banion wykrył szybko machinację Antonia i cały transport tego alkoholu, wartości około 30 tysięcy dolarów, rozkazał wylać do rzeki.

Między gangiem braci Genna a C'Banionem rozpoczęła się wojna. Torrio i Al Capone bezskutecznie starali się załagodzić cały spór.

W tym czasie, to jest w 1925 roku, zmarł nagle Mikę Merlo, prezes osławionej Mafii. Ponieważ zmarły i cały ten związek stali na usługach gangsterów, postanowiono urządzić pogrzeb z niebywałą pompą i przepychem.

Ulubionym zajęciem i swoistym hobby O'Baniona była sprzedaż kwiatów. W ogóle poza gangsterstwem lubił tylko kwiaty. Gangsterzy zamówili u niego wieńce na grób Mike'a Merlo. Torrio za dziesięć tysięcy dolarów, a Al Capone za osiem tysięcy.

Zamawiali też inni. Wszystkie zamówienia opiewały na łączną sumę około stu tysięcy dolarów. Nawet sam Jim Genna, jeden z zaciekleńców wrogów miłośnika kwiatów, zjawił się w sklepie i zamówił wieniec za 750 dolarów. W południe, 10 listopada 1925 roku, trzech mężczyzn weszło nagle do sklepu. O'Banion zapytał, czy przyszli po wieńce. Tamci skinęli głowami, podeszli bliżej i zaczęli strzelać. O'Banion, podziurawiony kulami, padł na miejscu. Sprawców nie wykryto, chociaż tajemnicą poliszynela było, że zabójstwa dokonali John Scalise, Albert Anselmi i Frank Yale na polecenie braci Genna. Wszyscy trzej zarobili na tym po trzydzieści tysięcy dolarów i po pierścionku z brylantem.

C'Banionowi wyprawiono istic królewski pogrzeb. Wzięło w nim udział 40 tysięcy ludzi, a za trumną jechało 26 ciężarowych samochodów wyładowanych wieńcami.

Następcą C'Baniona został Hymie Weiss. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Wojciechowski. Przed wprowadzeniem prohibicji specjalizował się w kradzieży samochodów i już wtedy współpracował z C'Banionem. Objąwszy szefostwo nad jego gangiem rozpoczął natychmiastowe przygotowania do generalnej rozprawy z Sycylijczykami. Przede wszystkim zawarł przymierza z innymi gangami, o których wiedział, że mają z nimi na pieńku, a więc z gangiem O'Donnella, Saltisa i McErlane'a oraz kilkoma innymi mniejszymi gangami irlandzkimi i żydowskimi. W styczniu 1925 roku dokonano nieudanego zamachu na Al Capone'a, a w kilkanaście dni później, gdy Torrio zjechał samochodem pod swoją willę, „nieznani” sprawcy oddali do niego serię strzałów. Torrio, trafiony w pierś, zwałił się na chodnik. Napastnicy przypuszczając, że ofiara ich napadu nie żyje, odjechali samochodem.

Lecz Torrio był tylko ranny. Kiedy wrócił do zdrowia, został wezwany przed sąd i skazany na dziewięć miesięcy więzienia za... nieścisłości w zeznaniach podatkowych. Celę, w której odsiadywał karę, wysłano dywanami i urządzono z komfortem rzadkim nawet w hotelach. W marcu 1926 r. Torrio formalnie zdał swoją władzę w ręce Al Capone'a i wyjechał na rekonwalescencję do Włoch. Po powrocie osiadł w Nowym Jorku, gdzie nawiązał kontakt z tamtejszymi szefami gangów, a przede wszystkim z Lucky Luciano i Albertem Anastasią. Do Chicago zraził się i był zdania, że nie warto tam wracać.

W Chicago pozostał Al Capone. Nowy szef stanął w obliczu trudnych do rozwiązania problemów.

Któregoś dnia w maju 1926 roku Angelo Genna, jadąc samochodem, spostrzegł nagle za sobą czarną limuzynę, która towarzyszyła mu nieodstępnie. Jechali w niej Weiss, Moran i Drucci.

W pewnej chwili prześladowcy zaczęli strzelać. Angelo, trafiony w głowę, poniósł śmierć na miejscu. Był to dla rodziny Genua cios bardzo dotkliwy. Właśnie przed paru tygodniami Angelo ożenił się z córką wielce wpływowego Sycylijczyka. Ślub był niezwykle uroczysty. Wzięło w nim udział około trzech tysięcy osób, między innymi liczni przedstawiciele świata politycznego i władz stanowych.

Al Capone w gruncie rzeczy z zadowoleniem powitał wiadomość o śmierci Angela, mimo że bracia Genna byli jego najwierniejszymi sprzymierzeńcami. Groźny następca Torria zawsze obawiał się, że któryś z nich zechce zająć jego miejsce. Obawy Al Capone'a wzrosły, gdy Angelo został ostatnio wybrany prezesem Mafii. Po jego śmierci stanowisko to objął z kolei Sam Samoots Amatuna, również wkrótce po wyborze zlikwidowany. Teraz Al Capone skorzystał ze sposobności i wysunął na stanowisko prezesa Unione Siciliana swojego kandydata, człowieka zaufanego, Lombarda. Kandydatura ta została przyjęta.

Weiss jednak był zawzięty — mścił się konsekwentnie i wytrwale. W miesiąc po śmierci Angela zginął następny z braci Genna, Michael, a w lipcu — Antonio. Te trzy zabójstwa złamały siłę gangu braci Genna. Na trzech pozostałych przy życiu padł strach. Dwaj bracia ukryli się na przedmieściach Chicago, a trzeci udał się do Włoch. W Chicago pozostał Al Capone i Weiss. Inni się nie liczyli. W świecie gangsterskim zapanowała prawdziwa anarchia; nic nie pozostało z doskonałej organizacji Torriego. Między gangami rozpętała się szaleńcza walka. Trup padał gęsto. Mający się na baczności Al Capone ze wszystkich zamachów wyszedł cało. Wciąż jeszcze nie czuł się na siłach, aby rozprawić się ostatecznie z Welsem i zlikwidować groźnego konkurenta. Poszczególne grupy gangsterów działały na

własną rękę i coraz częściej naruszały tereny jego wpływów. Postanowił więc działać ostrożnie i powoli, wyczekując stosownej okazji.

Rozwiązanie nastąpiło niespodziewanie. Pewnego dnia w 1926 roku, gdy Al Capone siedział ze swymi ludźmi w kawiarni na przedmieściu Cicero, nagle zajechał sznur samochodów. Wskoczyli z nich uzbrojeni bandyci, wpadli do lokalu i otworzyli ogień. Padło wielu zabitych, lecz Al Capone wyszedł cało z tej strzelaniny. W trzy tygodnie później Weiss został zastrzelony. Stało się to w chwili, gdy wracał z sądu, gdzie zeznawał w charakterze świadka w sprawie Joe Saltisa. Po śmierci Weissa Al Capone zaprosił przywódców pozostałych gangów na konferencję „pokojową”. Znowu podzielono miasto na rejony wpływów i zobowiązano się uszanować ten podział.

Pokój trwał tylko dwa i pół miesiąca. Po czym gangsterzy znowu zaczęli załatwiać między sobą stare i nowe porachunki. Jedną z kul raniła samego Al Capone'a, który postanowił wreszcie rozprawić się raz na zawsze z nieposłusznymi. W okresie kampanii wyborczej Al Capone popierał kandydata republikańskiego, podczas gdy inne gangi opowiedziały się za demokratami. Przy tej okazji wystrzelano w toku zażartych walk wielu przywódców konkurencyjnych gangów. Scalise, Guinta i Anselmi zostali zaproszeni na bankiet przez Al Capone'a, a w parę dni później ciała ich wydobyto z jeziora Wolf. Al Capone został panem sytuacji w Chicago.

Gangster i szantażysta Salvatore Moretti, zapytany w 1950 roku przez komisję senacką, czy wie, co to jest Mafia, odpowiedział, że nigdy o niej nie słyszał. Nie mniej zdziwione miny robili inni „czołowi” gangsterzy — Tonny Gizzo, Jack Gragna i D'Andrea. Znaczna część społeczeństwa amerykańskiego przypuszczała, że znaki Czarnej Ręki, którymi podpisywane były listy z wyrokami śmierci lub z żądaniem okupu, są wymysłem dziennikarzy, obliczonym na wzrost poczytności gazet. Nikt właściwie nie wierzył w istnienie „ponadbandyckiej” organizacji, tj. sycylijskiej Mafii. Komisja senacka po długich dochodzeniach stwierdziła jednak ponad wszelką wątpliwość istnienie działalności Mafii w USA. Jej przypisała liczny rejestr morderstw, rabunków, szantaży, wypadki oprowadzenia kobiet do domów publicznych, udział w handlu narkotykami, w nielegalnej produkcji alkoholu i w prowadzeniu szulerni. Niewiarę w istnienie Mafii przełamało dopiero pewne zdarzenie. W listopadzie 1957 roku sierżant policji w stanie Nowy Jork, Edgar Crowell, zwrócił uwagę na niezwykłą ilość Cadi-Ilaców, Chryslerów, Lincolnów i innych drogich samochodów zaparkowanych obok domu niejakiego Josepha Barabara, w miejscowości Apalachin. Wydało mu się to podejrzane, wszedł więc do domu i zażądał od obecnych okazania legitymacji. Wśród licznie zgromadzonych gości zapanowała konsternacja, jako że uczestnicy tego inwentyku ubrani byli w insygnia Mafii (Capo Mafioso), a każdy z obecnych miał uzasadnione powody do nie-ujawniania swoich personaliów przedstawicielowi władzy. Zgromadzeni reprezentowali prawie wszystkie stany, byli też goście zagraniczni — Kuby, Włoch i krajów Ameryki Łacińskiej.

Pięćdziesięciu sześciu spośród nich było już wielokrotnie karanych za rozmaite przestępstwa. Przyjechali tu na zebranie, jako przedstawiciele gangów. Sierżant Crowell nie miał podstaw do aresztowania przybyłych, jednakże sensacja grubego kalibru polegała na tym, iż sami się przyznali, że należą do Mafii i odbywają tu swe doroczne spotkanie.

W 1960 roku senator Kefauver oświadczył autorytatywnie, że Mafia w USA jest obecnie wyjątkowo silna i nadal prowadzi swą przestępczą działalność.

Początki instytucji Mafii sięgają jeszcze IX lub XII wieku. Słowo to powstało jakoby od pierwszych liter ówczesnego hasła antyfrancuskiego: Morte alla Francia Italia anela (Śmierć Francuzom jest hasłem Włochów). Wydaje się jednak, że zaczątki tej organizacji pochodzą z okresu znacznie późniejszego, a mianowicie z XVIII wieku, gdy pod srogimi rządami Burbonów ludność Sycylii zmuszona była uciec się do konspiracyjnej walki.

Wszystkich członków tej organizacji obowiązują pod karą śmierci następujące rygory: członek Mafii musi pomagać swemu bratu w trudnościach, nawet ę narażeniem swego życia i majątku; członek Mafii musi być całkowicie posłuszny rozkazom rady starszych braci; krzywdę wyrządzoną bratu członek Mafii musi uważać za krzywdę osobistą i pomścić ją; członkowi Mafii nie wolno nigdy zwracać się o pomoc do policji, sądu lub jakiegokolwiek władzy rządowej; członkowi Mafii nie wolno nigdy przyznać się do istnienia bractwa lub wymienić nazwiska swych braci. W Stanach Zjednoczonych Mafia wprowadziła jeszcze jedną zasadę, która musiała być respektowana tak samo, jak poprzednie. To nowe przykazanie brzmiało: członek Mafii musi być zdyscyplinowany, posłuszny i opanowany, musi prowadzić skromne życie, bez względu na posiadany majątek, i być dobrym mężem i ojcem.

Członkowie Mafii przybyli do USA jeszcze w ubiegłym stuleciu i dość szybko rozwinęli swoją organizację ukrywając ją pod kryptonimem Czarna Ręka. W latach 1900—1920 policja chicagowska zanotowała trzysta wypadków wymuszenia okupu przez Czarną Rękę, co najmniej trzy razy tyle wypadków pozostało nieujawnionych. Wiele osób mordowano w tajemniczych okolicznościach, wiele ginęło bez śladu.

Gdy Jim Colosimo otrzymał od Czarnej Ręki wezwanie do zapłacenia okupu w wysokości 25 tysięcy dolarów, umiejętnie zagrał na zwłokę i sprowadził Torriego. Torrio poszedł na spotkanie z przedstawicielami Czarnej Ręki, lecz zamiast wręczyć, im pieniądze, zastrzelił wszystkich trzech wysłanników. Później bardzo szybko doszedł do porozumienia z Mafią i całą swą działalność prowadził w ramach tej organizacji. Z czasem został nawet jej szefem. Kierował również Związkiem Sycylijszczyków, który powołano do celu osłaniania działalności Mafii. Oficjalnie Unione Siciliana była stowarzyszeniem emigrantów Sycylii.

Al Capone nie będąc Sycylijszczykiem miał trudności z Mafią. Dość długo nie chciano z nim w ogóle rozmawiać, lecz kiedy został panem Chicago, Unione Siciliana poddała mu się, a potem Mafia. Al Capone był zręcznym politykiem i zdawał sobie sprawę, że narzucenie swej władzy Mafii nie będzie

rzeczą łatwą. By zjednać sobie lokalnych przywódców Mafii, zwołał w maju 1929 r. zjazd do Atlanty, na który przybyli wszyscy seniorzy „capi mafiosi” z całej Ameryki — notoryczni i od dawna notowani przestępcy. Al Capone przedstawił im plan wielkiego syndykatu przestępczego. Otóż wszyscy mieli się połączyć pod jego kierownictwem i zmonopolizować w swym ręku nie tylko produkcję i przemyt alkoholu — na to już nie liczone wobec spodziewanego zniesienia prohibicji — lecz także wszystkie domy gry, jawne i tajne, prostytutkę, szantaż i wszelkie formy wymuszania pieniędzy. Al Capone rzucił ponadto hasło stopniowego opanowywania związków zawodowych, aby pod przykrywką ich działalności tym łatwiej uprawiać swój proceder. Plan ten przyjęto, a następnie poszczególnym gangom przydzielono rejony. W ten sposób Al Capone utworzył wielki kartel zbrodni i sam został jego naczelnym „dyrektorem”.

W celu zapewnienia zgodności działania, karania nieposłusznych i utrzymywania wszystkich w należytych korbach i dyscyplinie utworzono specjalny gang egzekucyjny zwany „Murder Inc.” (Zrzeszenie Morderców) pod kierunkiem Alberta Anastasii. Odtąd wszelkich zabójstw — dla uniemożliwienia zidentyfikowania sprawców — dokonywali ludzie z innych miast, nikomu w miejscu zbrodni nie znani.

W oparciu o doskonale zorganizowaną Mafię i Unione Siciliana Al Capone rozpoczął ostatni etap swej gangsterskiej dyktatury w Stanach Zjednoczonych.

Al Capone urodził się 6 stycznia 1895 r. w Castel Amara pod Rzymem, lecz miał zwyczaj ukrywania swego prawdziwego wieku i jako datę urodzenia podawał zawsze rok 1900.

Ukrywał także fakt, że urodził się we Włoszech. Również swoje nazwisko odmienił nieco, w rzeczywistości bowiem nazywał się Capom. Rodzina Caponi przybyła do Stanów Zjednoczonych w 1897 r. i zamieszkała w slumsach Brooklynu. Al (Alfonso) miał czterech braci i siostrę. Z wyjątkiem jednego brata, Ryszarda, całe rodzeństwo weszło na drogę przestępstwa.

Al Capone nie ukończył nawet szkoły podstawowej. To było powodem, że nigdy nie nauczył się poprawnie mówić i pisać po angielsku. Miał duże trudności z otrzymaniem lepszego zajęcia, często zmieniał pracę i dopiero w wieku 22 lat dostał nieźle płatne zajęcie jako rzeźnik w Atlantic City. Długo tam jednak nie popasał; niebawem USA przystąpiły do wojny i został powołany do wojska.

Po powrocie z wojny chwalił się swymi wyczynami na froncie i pokazywał dwie duże blizny, które w istocie pochodziły od ciosu nożem, jaki otrzymał w bójce z niejakim Frankiem Gal-lucio. Nie spieszył się ze znalezieniem pracy, wałęsał się po szynkach, przebywając stale w mocno podejrzanym towarzystwie.

W końcu warunki zmusiły go do pracy zarobkowej. Dostał ją w kabarecie „Harward Inn”, na Coney Island; właścicielem kabaretu był gangster Frank Yale. Capone rozpoczął tam pracę jako zmywacz talerzy, a po pewnym czasie awansował na barmana. Wówczas wstąpił do słynnego gangu Five Points, którego szefem był Irlandczyk — Paul Kelly.

W 1920 r. Johnny Torrio zaproponował mu wyjazd do Chicago. Wyzaczył mu godziwy zarobek i skromne na początek stanowisko — pomocnika kierownika domu publicznego w Burnham, Wkrótce Al, po odbyciu owej praktyki, został przeniesiony do bardziej reprezentacyjnego lokalu w Chicago przy Wafoash Avenue. Na parterze był bar i restauracja, na pierwszym piętrze kabaret, na drugim mieszkania i biura, na trzecim szulernia, a na czwartym „wesole” dziewczęta. Z czasem Torrio mianował go sekretarzem, a w końcu swoim zastępcą.

Gdy wreszcie sam został bossem, udoskonalili „dzieło” Torrie-go. Nie poprzestając na zbrojnych gangsterach, zorganizował sprawnie funkcjonujący wywiad. Wszędzie miał swoich ludzi — w urzędach, restauracjach, barach i hotelach. Podobno na jego żołądźce pozostawało dziesięć tysięcy osób, od ulicznych pucybutów poczynając, a na wysokich urzędnikach kończąc. Jak już wspominaliśmy, na jego usługach pozostawała później również i Mafia.

Al Capone, idąc w ślady swego poprzednika, umiejętnie przekupywał urzędników miejskich, stanowych oraz sędziów. Jak dalece panował nad władzami, dowodzi następujące zdarzenie.

Dwóch drobnych gangsterów uciekło z więzienia. Zbiegowie skryli się w pewnej kawiarni, która była meliną Al Capone’a. Za uciekającymi podążył pościg złożony z kilkunastu policjantów. Wszedłszy do kawiarni policjanci kazali wszystkim podnieść ręce do góry i przystąpili do rewizji. Okazało się, że goście siedzący przy stolikach mieli przy sobie broń; na rozkaz policjantów zaczęli ją rzucać na podłogę. Wezwane posiłki policyjne przewiozły zatrzymanych do komisariatu. Zabrano też broń i amunicję. Gdy oficer dyżurny dowiedział się, gdzie ją zabrano, kazał natychmiast zwolnić zatrzymanych, a broń zwrócić. Innym razem ktoś z przybocznej straży Al Capone’a został ujęty przy napadzie rabunkowym i postawiony przed sądem. Al natychmiast interweniował. Obiecano mu, że jego człowiek zostanie zwolniony następnego dnia. Gdy jednak to nie nastąpiło, wściekły boss zatelefonował do sędziego: — Za co właściwie bierze pan pieniądze?

Skonfundowany sędzia tłumaczył się nieśmiało, że właśnie tak fatalnie się złożyło, że dziś zastępuje go nowy sędzia, nie obeznany jeszcze ze swymi „obowiązkami”. Prosił o cierpliwość i zapewnił, że już nazajutrz wszystko będzie załatwione.

— Wcale nie mam zamiaru czekać aż do jutra i nic mnie nie obchodzi tamten giupi sędzia — wrzasnął Al Capone. — Czekam na cłtiopca jeszcze pół godziny, a jeśli w ciągu tego czasu nie zjawi się, to sam pójdę po niego i wówczas policzę się z wami...

Na letnią rezydencję Al Capone kupił sobie piękną willę na Florydzie w Palm Island. Wkrótce okoliczne wille wykupili snobistyczni gangsterzy, chcąc mieszkać w pobliżu tak wielkiej znakomitości. W Chicago Al Capone miał piękny dom na Prairie Avenue i tam zawsze mieszkała jego rodzina. Był troskliwym ojcem, bardzo dobrym mężem i zawsze czułym dla rodzeństwa bratem. Gdy jego siostra Maialda

chodziła do szkoły w Chicago, często przyjeżdżał do niej i dowiadywał się o jej postępy w nauce, obsypywał ją podarkami, a także jej nauczycieli.

W Chicago urzędował w Metropole Hotel. Mieścił się on w samym środku miasta, przy ruchliwej ulicy. Strzegli go uzbrojeni ludzie, pilnie obserwujący obecnych. Al Capone zajmował 50 pokoi, całe dwa piętra. Posiadał do swej dyspozycji oddzielną windę i oddzielną salę restauracyjną. W hallu siedzieli w miękkich fotelach gangsterzy, wysocy urzędnicy, adwokaci, politycy, sędziowie i prokuratorzy w oczekiwaniu na audiencję u wielkiego „wodza”. Umundurowani policjanci pilnowali porządku.

O parę domów dalej znajdowała się jeszcze inna, bardziej intymna kwatera. W kamienicy przy Michigan Avenue 2146 mieściło się mieszkanie z tabliczką na drzwiach „Dr Brown” — kwatera głównego sztabu Al Capone'a i miejsce najbardziej poufnych narad.

W owych latach 1926—1930 osobisty majątek Al Capone'a oceniano na około 40 milionów dolarów, natomiast dochody jego gangu wynosiły rocznie około 300 milionów dolarów. Pod jego bezpośrednią kontrolą pozostawało 7 509 domów gry i około 20 tysięcy tajnych szynków. Niezależnie od dochodów ze sprzedaży alkoholu i z gier hazardowych, banda jego wyciągała rocznie około 150 milionów dolarów z szantaży i wymuszeń. Budżet Al Capone'a olbrzymie kwoty przeznaczał na opłacanie policji, urzędników administracji i organów sprawiedliwości.

O zasięgu korupcji ówczesnych władz amerykańskich świadczy pewne autentyczne zdarzenie. W czerwcu 1930 roku został zamordowany w koleji podziemnej Alfred L. Lingle, reporter kryminalny chicagowskiej „Tribune”. W świecie dziennikarskim zawrzało. Wszyscy byli przekonani, że to nowa ofiara zbrodniczych gangsterów. McCormick, właściciel „Tribune”, zamieścił na pierwszej stronie ogłoszenie obiecując nagrodę w wysokości 25 tysięcy dolarów za udzielenie informacji o mordercach. Podobną nagrodę wyznaczył drugi dziennik, „Merald and Examiner”. Prasa dowodziła, że dziennikarz został zamordowany, ponieważ zbyt wiele wiedział o gangach.

Nagle w stanowisku dzienników zaszła zmiana. Przestano pisać o zabitym i wyraźnie próbowano zatuzszować całą sprawę. Oto redakcje dzienników otrzymały dokładne informacje na temat śmierci Alfreda Lingle'a, który — jak się okazało — został zabity przez policję. Zamordowany dziennikarz był człowiekiem o dwóch obliczach. Posada reportera miała jedynie na celu maskowanie jego prawdziwej działalności. W istocie był bliskim przyjacielem i współpracownikiem Al Capone'a; pełnił u niego funkcję łącznika z liczną plejadą wybitnych osobistości, a przede wszystkim z policją. Pogrzeb Lingle'a, urządzony przez Al Capone'a, rozwiął resztki wątpliwości. Sławny gangster „udekorował” pośmiertnie zabitego „diamentowym pasem”, który stanowił rodzaj nagrody czy też odznaczenia nadawanego najbliższym i najbardziej zasłużonym członkom bandy.

Al Capone przez długi czas panował nad sytuacją. Pierwsze niepowodzenia spotkały go w 1929 roku, kiedy to został niespodziewanie aresztowany w Filadelfii, gdzie bawił przejazdem. Po wyjęciu z kina zatrzymało go na ulicy dwóch detektywów i poddało rewizji. Znalaziono przy nim rewolwer i na tej podstawie zatrzymano. Sędzia zażądał kaucji w wysokości 35 tysięcy dolarów. Al Capone nie miał takiej sumy przy sobie. Próbował grozić, lecz sędzia odpowiedział spokojnie:

— Może w Chicago boją się pana, panie Al Capone, ale tu w Filadelfii nie będziemy cackać się z gangsterami.

Następnego dnia został postawiony przed sąd i skazany na rok więzienia za noszenie broni przy sobie. Natychmiast po wyroku został osadzony w więzieniu w Holmesburgu. Wszelkie wysiłki zmierzające do uzyskania zwolnienia nie odniosły skutku. Przyjaciele w Chicago wyjednali tyle, że zezwolono mu na luksusowe urządzenie celi.

Więzienie opuścił w marcu 1930 roku. Po powrocie do Chicago zastał „organizację” w stanie rozprzężenia i chaosu. Pod wpływem kryzysu gospodarczego dochody gangu ogromnie zmalały. Ludzie coraz mniej wydawali pieniędzy na wódkę, i gry hazardowe. Al Capone trzy dni spędził na studiowaniu ksiąg rachunkowych i na badaniu sianu interesów. Lecz oto czwartego dnia zjawili się u niego nagle: szeryf policji i dwóch prokuratorów. Niezapowiedziani goście oświadczyli mu bez ogródek, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast wyniesie się z Chicago. Jeśli zaś pozostanie i nie zaniecha swej dotychczasowej działalności, musi się przygotować na wszelkie ewentualne niespodzianki. Al Capone, nie czując się zagrożony, zlekceważył ostrzeżenie. „Geniusz” zbrodni nie wziął pod uwagę faktu, że w czasie jego rocznej nieobecności stosunki w mieście zmieniły się bardzo niekorzystnie dla niego. Zmieniły się władze w Chicago, zmienił się stosunek Waszyngtonu, który polecił uwolnić miasto z plagi przestępców, zmienił się wreszcie stosunek szerokiego ogółu do niego. Przestał być „wielkim” Al Capone, natomiast stał się wrogiem publicznym numer jeden. Sprawą zajął się osobiście prezydent Hoover. Gdy Al Capone siedział w Chicago i planował nowe zbrodnie, w stolicy kraju zastanawiano się nad sposobami ostatecznego unieszkodliwienia groźnego bandyty. Sprawa nie była prosta; chociaż wiadano, że ponosi odpowiedzialność za dokonanie przeszło czterystu morderstw, władze nie posiadały bezpośrednich, niezbitych dowodów winy. W końcu postanowiono użyć jego zeznań podatkowych jako podstawy do osadzenia w więzieniu.

W 1930 roku Al Capone realizuje swój nowy plan działania; opanował szereg związków zawodowych i pod ich płaszczykiem rozwinął akcję wymuszania okupów od tych, którzy jeszcze posiadali pieniądze. Robił też „różne interesy”. Wszedł na przykład w porozumienie z właścicielami garaży. Kazano im podnieść znacznie ceny za usługi. Aby zaś napędzić klientów do garaży, gangsterzy zaczęli masowo przekłuwać opony u wozów parkowanych na ulicy. Od razu powstał run na garaże. Lwią część osiągniętych w ten sposób zysków ściągał oczywiście Al Capone.

Niepowodzenia spotykały teraz Al Capone'a coraz częściej. Zmniejszyły się też jego dochody, do 20

tysięcy dolarów miesięcznie. Miał nawet kłopoty w kształceniu swych dzieci. Nie chciano ich przyjmować do szkół. Utracił zupełnie osobistą popularność. W 1931 roku wybrał się kiedyś ze swym przyjacielem na mecz piłki nożnej. Kozpoznano go i obrzucono wyzwiskami. Koalicja publiczności była tak spontaniczna, że musiał pospieszyć opuścić stadion. Coraz częściej sadzano do więzienia jego współpracowników pod różnymi błahymi pretekstami. Aresztowano też członka jego „sztabu” — Terry Bruggaaa. Policja w czasie szczełoiowej rewizji znalazła w jego mieszkaniu, pei-nym perskich dywanów, drogocennych sreber i antyków, korespondencję prowadzoną z innymi gangami. W listach tych była mowa o taktyce obranej na najbliższe lata.

Pod nogami Al Capone'a zaczął się z wolna usuwać grunt. Unikał ludzi, ukrywał się po różnych melinach i nawet na. slu-bie swej siostry Mafaldy wołał się nie pokazywać.

Tymczasem w ręce prokuratury sądu federalnego dostała się lista osób opłacanych z kasy gangsterów. W kompromitującym rejestrze figurowali kongresmeni, wysocy funkcjonariusze administracyjni, federalni i stanowi, wielu sędziów i prokuratorów, politycy i oficerowie policji. Lista obejmowała sześć tysięcy nazwisk. Al Capone'a wezwano do złożenia zeznań w tej sprawie, lecz wezwanie to zlekceważył. Za niestawienie się został zaocznie skazany na osiem miesięcy więzienia i natychmiast aresztowany. Wkrótce jednak zwolniono go za kaucją pięciu tysięcy dolarów do czasu rozprawy apelacyjnej.

Przygotowania do ostatecznego uderzenia były na ukończeniu. W listopadzie 1931 roku wytoczono mu proces o ponad pięć tysięcy wykroczeń przeciwko ustawie o prohibicji oraz za złożenie fałszywych zeznań podatkowych. Przed sądem przesunęło się kilkuset świadków. Na podstawie ich zeznań i innych dowodów sąd ustalił rozmiary wydatków i dochodów Al Capone'a. W rezultacie został skazany na jedenaście lat więzienia i natychmiast po rozprawie aresztowany.

Tylko nieliczni w historii Stanów Zjednoczonych zdobyli sobie popularność i rozgłos na miarę Al Capone'a. Należy bowiem wiedzieć, że opinia publiczna była podzielona i tylko część społeczeństwa potępiła go. Nie dla wszystkich bynajmniej był wrogiem publicznym numer jeden, jak go potem nazywano w prasie. Al Capone budził strach, lecz zarazem i podziw. Imponował swym gestem, odwagą i „przedsiębiorczością”. Tłumom imponował władczą postawą i umiejętnością prowadzenia wielkiego *businessu*.

Prawdopodobnie od czasów Cezara Borgii dzieje powszechne nie znały człowieka, który by potrafił sterroryzować i podporządkować sobie wielomilionowe miasto. Paul Sann w swej książce „The Lawless Decade” pisze, że Al Capone był właściwie burmistrzem Chicago i gubernatorem stanu Illinois. Zresztą jego władza rozciągała się daleko poza obręb tego miasta i w pewnym stopniu obejmowała całe Stany Zjednoczone. Jednocześnie był mistrzem w zjednywaniu sobie ludzi, zręcznym politykiem. Umiejętnie przeprowadzał wybory, obsadzając ważne dla siebie stanowiska oddanymi sobie ludźmi.

Przede wszystkim był jednak *businessmanem*. Jego „interes” budził ogólne zdumienie. Podlegało mu około 20 tysięcy barów i szynków, olbrzymie składy hurtowe napojów alkoholowych, rozlewnie, gorzelnie, browary, domy towarowe, przedsiębiorstwa transportowe, warsztaty naprawcze, kabarety, restauracje, domy publiczne, tory wyścigowe, kasyna gry, a nadto był udziałowcem w wytwórniach filmowych i w pół tuzina różnych zakładów przemysłowych. Przez jego ręce przepływały setki milionów dolarów, a czysty zysk roczny wynosił około 20 milionów dolarów. Jako *businessman* stawiał siebie w jednym rzędzie z takimi potentatami, jak Ford, Vanderbilt czy Morgan, (idy w obronie Al Capone'a podnosiły się głosy, to podkreślały one, że żaden z owych milionerów nie dorobiłby się takiej fortuny, gdyby nie zakulisowe wpływy i magiczna potęga dolara. Cóż bowiem począłby Ford ze swym samochodem „T-20”, który mu przyniósł miliony, gdyby nie spowodował — poprzez odpowiednie wpływy — masowej budowy dróg za publiczne pieniądze. Vander-bildt nigdy by się nie wzbogacił, gdyby nie spowodował darmowego przydziału olbrzymich terenów dla budujących się kolei. Również Rockefeller nie doszedłby do fortuny, gdyby nie najmował bandytów przeciw konkurentom. Al Capone zamiast montować *lobby* przekupywał miejscowych urzędników.

Gdy prohibicja się skończyła i handel alkoholem przeszedł w ręce zwykłych kupców, Al Capone bardzo szybko znalazł inne źródła dochodu. Terenem jego działalności stały się związki zawodowe. Dysponował funduszami związków i wymuszał za „spokój” haracze od przedsiębiorców. Z ezasem opanował następujące związki: palaczy i czyścicieli ulic, kelnerów, barmanów, żydowski związek rzeźników drobin, elektrotechników, dozorców, pracowników fabryk opon, pracowników hurtowni złomu, domokrażców, handlarzy ryb, pracowników garaży, pracowników fabryk cukierków, rzeźników i fotografów. W zarządzie miasta Chicago poobsadzał swoimi ludźmi wszystkie kluczowe stanowiska i w magistracie dysponował pięcioma tysiącami posad. Przydział je w nagrodę swoim zasłużonym współpracownikom.

Umiał też dbać o swoją popularność. Gdy w 1927 roku lotnik włoski Francesco de Pinedo odbywał podróż dokoła świata, Al Capone wziął udział w komitecie mającym powitać lotnika i pokrył wszystkie koszty tej imprezy. Obok niego w komitecie zasiadły takie osobistości, jak konsul włoski Leopold Zupini i sędzia Bernard P. Barasa. Z okazji zaś walki między Dempseyem a Tunneyem wydał przyjęcie dla obu bokserów, na którym byli obecni miejscowi politycy, *businessmeni*, gwiazdy filmowe i wybitni działacze sportowi. Prowadził też stałą akcję filantropijną wspomagając najuboższą ludność datkami pieniężnymi, odzieżą lub opalem. Gdy w 1930 roku szerzyło się bezrobocie, Al Capone pierwszy wysłał na miasto kotły z darmowym obiadem, a gdy odbywały się ciekawsze zawody sportowe, kupował często większą ilość biletów wejściowych i rozdawał je młodzieży.

„Dobrotliwość” wodza gangsterów miała też swoją „drugą stronę”. Wiadomo na przykład, że około 30

ludzi własnoręcznie zamordował i wydał około 400 wyroków śmierci na swych przeciwników. Wszystkie zostały przez jego ludzi wykonane. Wobec tych, którzy mu się w czymś przeciwstawiali, potrafił być bezwzględny.

Lubił też imponować. Gdy przez ulice Chicago mknął z wyciem syren jego pancerny samochód, w eskorcie samochodów pełnych zbrojnych ludzi, przechodnie ze strachem chowali się po bramach, a policja dyskretnie schodziła im z drogi. Al cheia!, by się go bano, wielbiono i podziwiano.

Potem, kiedy zaczął tracić popularność i odsiadywał więzienie w Atlancie, próbował odzyskać sympatie społeczeństwa. Otóż ogłosił, że podejmie się odnaleźć uprowadzone wówczas przez kidnaperów dziecko sławnego lotnika — Lindbergha, pod warunkiem, że zostanie w tym celu zwolniony z więzienia. Lecz kiedy władze sprzeciwiły się temu, a później dziecko Lindbergha znaleziono martwe, ogłosił ponownie, że jeśli go zwolnią, to zobowiąże się odnaleźć zbrodniarza. I z tej oferty również nie skorzystano. Wówczas wyznaczył 10 tysięcy dolarów na nagrodę dla tego, kto wskaże winowajcę.

W sierpniu 1934 roku Al Capone został przeniesiony do ciężkiego więzienia w Alcatraz, na małej wysepce na Pacyfiku. W 1935 roku nadeszły wiadomości, że za bójkę * z więźniem zakuto go w kajdany i że stan jego zdrowia pogorszył się poważnie. W 1936 roku niejaki James Lucas z Teksasu pchnął go nożyczkami w plecy, mszcząc się za rzekome „sypnięcie”, a w istocie za odmowę pieniędzy.

Po tym zdarzeniu Al Capone długo leżał w szpitalu i wyszedł z niego dopiero w 1938 roku, zupełnie złamany, panicznie lękając się wszystkich więźniów. Przewieziono go nawet na obserwację do San Pedro, podejrzewając, że jest psychicznie chory. Ze względu na zły stan zdrowia został zwolniony przedterminowo 17 listopada 1939 roku.

Powrócił do swej willi na Florydzie chory, postarzały i zupełnie zmieniony. Stronił od ludzi i raz tylko pokazał się publicznie na ślubie swego syna. W dniu 25 stycznia 1947 roku z marł nagle na atak serca. Pochowano go na cmentarzu Mount Olivet w Chicago.

Gangsterzy przyczynili się mimo woli do rozwoju jazzu. Gdyby bowiem nie prohibicja i pijackie meliny, muzyka jazzowa nie tak szybko zdobyłaby sobie tak ogromną popularność w Ameryce, a potem na całym świecie. Na Południu muzykę synkopo-waną znano już od dawna, lecz nie wyszła ona poza knajpy portowe i kabarety Nowego Orleanu. Pierwszy przybył z Południa do Chicago w 1918 r. kornecista Joe Oliver. Początkowo grał tam w jakiejś orkiestrze. Dopiero w 1920 roku, po wprowadzeniu prohibicji, gdy wzrosło zapotrzebowanie na zespoły muzyczne, zorganizował własną orkiestrę. Wówczas ściągnął z Nowego Orleanu Louisa Armstronga.

Okres dziesięciu lat prohibicji stał się etapem wielkiego rozwoju jazzu w Chicago. Do miasta zaczęli ściągać muzycy zainteresowani jazzem, jak również znęceni łatwymi zarobkami. Orkiestry zarabiała dużo, lecz praca ich wymagała wiele zimnej krwi i odwagi. Podczas pewnej zabawy sylwestrowej, na której przygrywał zespół Wolverines, na sali wybuchła strzelanina między dwoma konkurencyjnymi gangami. Zespołowi polecono grać dalej.

Gangsterzy-melomani płacili sowicie i opiekowali się muzykami, którzy coraz liczniej napływali do Chicago z całej Ameryki. U Olivera grały takie sławy, jak Eddie Condon, Magsy Spanier, Pee Wee Russel, Mezz Mezzrow i inni. W zespole Woiverines grał słynny Gene Krupa, Wigny Manone, a potem Magsy Spanier.

Po zniesieniu prohibicji wszyscy ci muzycy rozjechali się po miastach Stanów Zjednoczonych, popularyzując nową formę jazzu.

W gabinecie osobliwości chicagowskiego cyrku obok dziwacznych luster, strzelnic i różnych akcesoriów stoi wielki, ponury Cadillac, skonstruowany jak czołg. Zbudowano go w 1928 roku na zamówienie Al Capone'a, za cenę 30 tysięcy dolarów. Waży trzy i pół tony, boczne ściany ma opancerzone grubą blachą stalową, szyby w oknach są pięciocentymetrowej grubości, odporne na kule karabinowe, a w tylnym okienku ma wmontowane dwa karabiny maszynowe. Jest to wóz Al Capone'a. I to właściwie wszystko, co po nim zostało.

SPRAWY WSTYDLIWE

Gangsterskie podziemie

Gdyby się dziś zapytać kogoś w USA, czy istnieją jeszcze gangsterzy, wrzuciłby pewnie ramionami i powiedziałby, że owszem, kiedyś byli, lecz ich rozgromiono i chyba zlikwidowano. Taka panuje opinia; o działalności gangsterskiej słyszy się bowiem niewiele. Prasa również zachowuje na ten temat powściągliwe milczenie. Lecz sielanka jest pozorna, gdyż gangsterstwo istnieje. Zmieniły się tylko metody „pracy” po pogromie w okresie prezydentury Roosevelta. Zaszyli się w podziemie, zakonspirowali i unikają rozgłosu. Zwykle działają pod cudzym szyldem, a terror, jaki sieją, odczuwają jedynie ci, wobec których jest wymierzony.

Rejony działalności gangów były zawsze ściśle określone, a przekroczenie ustalonych granic wywoływało zacięte walki. Obecnie podział istnieje nadal, choć nie zawsze jest przestrzegany. Jednakże porachunki między gangami są załatwiane możliwie dyskretnie, bez zbędnego hałasu.

Na terenie USA działają cztery wielkie szajki, inne mniejsze nie wchodzą w rachubę. Największy gang działa na terenie Chicago i całego Środkowego Zachodu. Są to resztki dawnego gangu Al Capone'a, które po nim przejęli Tony Accardo i Paulo Ricca. Lecz i oni się skończyli. Wielki gang istnieje także w

okręgu Nowy Jork — New Jersey, kierowany niegdyś przez Franka Costello i Lucky Luciano. Obaj już nie żyją, a ich następcy jeszcze nie są znani, wolą pozostawać skromnie w cieniu i prowadzić ożywioną działalność „gospodarczą”. Dwa następne gangi są słabsze. Jeden działa w Detroit pod wodzą Angela' Medi, drugim, w Cleveland, kieruje Bebe Tricaró.

Dziś oblicze gangów, jakkolwiek odmienne od tradycyjnego, nadal ma charakter *businessu*; tworzą one podziemny świat gospodarczy i żerują wszędzie, gdzie nadarza się sposobność.

Najpierw podporządkowali sobie przedsiębiorstwa taksówkarzy, a następnie przedsiębiorstwa pralnicze. W Ameryce pralnie to bardzo dochodowy interes, dlatego walka konkurencyjna przybrała tu szczególnie ostre formy. Gangi szybko „uporządkowały” teren. Wyznaczyły pralniom rejony, a za utrzymywanie „porządku” ściągają odpowiedni haracz. Opłacać muszą się wszyscy, zarówno właściciele wielkich przedsiębiorstw, jak i biedni Chińczycy, którzy piorą bieliznę ręcznie. Wyłamanie się spod opieki gangu jest praktycznie niemożliwe. Nikt w obawie przed zemstą nie odważy się złożyć skargi w policji. Niewiele to zresztą pomoże, gdyż zazwyczaj policja jest w kontakcie z gangami.

Również w niektórych miastach przemysł browarniczy znalazł się pod kuratelą gangsterów mających w tej gałęzi przemysłu dość stare tradycje. Już bowiem w pierwszym roku wprowadzenia prohibicji w USA wiele browarów zwróciło się do gangsterów z propozycją „współpracy”. Gangsterzy ofertę skwapliwie przyjęli (Torrio) i tak gorliwie zajęli się interesem, iż wkrótce większość akcji szeregu browarów przeszła w ich posiadanie. Później, gdy stosunki się unormowały, wystarczyło, aby jeden z browarów wszedł w porozumienie z gangami, by „swój” teren oczyścić z konkurencji. Za stałą opłatę od każdego galona wyprodukowanego piwa gang przejmował browar pod „opiekę”. Konkurencję likwidowano radykalnie i w sposób nader prosty. Członkowie gangu udawali się do restauracji i barów w danej dzielnicy miasta i zapowiadali, że od dnia dzisiejszego nie wolno właścicielom trzymać innego piwa, jak tylko danej firmy. Po jakimś czasie sprawdzali, czy restauratorzy zastosowali się do ich zarządzenia. Opornych karano bez litości. Do restauracji wchodziła grupa podchmielonych mężczyzn. Stawali przy barze, pili i nagle pod byle pretekstem wszczynali bójkę, która kończyła się zdemolowaniem lokalu i pobiciem właściciela. Gdy ktoś zameldował policji, że jest szantażowany, wkrótce żegnał się ze światem. W tych warunkach cnota milczenia lepiej popłacała. Siłą rzeczy inne browary musiały także wejść w porozumienie z gangami, gdyż w przeciwnym razie groziło im bankructwo. Teraz wszystko działa według „planu”. Gangi „przydzielają” browarom rejony sprzedaży i czuwają, by nikt nie wyłamał się spod kontroli. Nawet dziedzina finansów nie pozostała wolna od wpływów gangsterskich. Rzecz oczywiście nie dotyczy większych czy mniejszych banków, lecz pokątnych bankierów oferujących pożyczki na „dogodnych” warunkach. Udzielają oni pożyczek bez najmniejszych trudności, prawie lekkomyślnie i za byle poręczeniem. Czasem żądają weksła, przeważnie jednak zadowolają się zwykłym kwitkiem. Nie żądają też żyrantów. Sprawdzają jedynie miejsce zamieszkania przyszłego dłużnika. Niechętnie tylko udzielają pożyczek kawalerom i kobietom niezamężnym, jako że ludzie wolnego stanu to element raczej niepewny, który nazbyt łatwo może się przenieść w inną stronę kraju. Za udzielone pożyczki bankierzy ci pobierają wysokie, prawdziwie lichwiarskie odsetki — od 3 do 5 procent w stosunku miesięcznym. Pożyczkodawcy doliczają zazwyczaj różne koszty. Za ową „lekkomyślnością” w udzielaniu pożyczek kryje się porozumienie lichwiarzy z gangami, które potrafią wyegzekwować pieniądze. Gdy dłużnik zaczyna przejawiać opieszałość w spłacie lub choćby spóźnia się z terminowym uiszczeniem raty, z tą chwilą wkracza gang. Zwykle zaczyna się od „ostrzeżenia”. Do mieszkania delikwenta przychodzi dwóch lub trzech drabów o kompleksji zawodowych bokserów wagi ciężkiej, o potężnych bicepsach i ponurych gębach. Dyskretnie pokażą pistolet, trochę zbokszą - jednak tak, by nie uczynić krzywdy, nastraszą żonę i powiedzą, że następnym razem będzie gorzej. To zazwyczaj wystarcza; przerażony dłużnik spod ziemi wydobędzie pieniądze i zapłaci ratę. Jeśli ktoś zlekceważy przestrożę lub, co gorsze, doniesie policji, wówczas może mu się przytrafić nieszczęśliwy „wypadek” uliczny. Samochód przejedzie go „niechcący”, a potem umknie bez śladu. Aby sobie na przyszłość zaoszczędzić roboty, gang umiejętnie, z właściwą sobie dbałością o dyskrecję, przypomni ostrzeżonemu w stosownej chwili o tym „nieszczęsnym wypadku”. Czasami stosują inny rodzaj kary. Uprawdają nie wypłacalnego dłużnika do jakiejś piwnicy, umieszczają go w cebrze pełnym gipsu lub cementu. Gdy masa zastygnie i dobrze stwardnieje, wywożą ofiarę nad rzekę i wrzucają w jej odmęty.

Gangi opanowały też wszystkie gry hazardowe, prowadzone legalnie w Las Vegas i nielegalnie w reszcie kraju. Gangsterzy prowadzą grę *policy* w Harlemie i inne gry tego rodzaju w różnych skupiskach biedoty.

Największe jednak zyski czerpią z nielegalnej produkcji alkoholu. Jest to olbrzymi przemysł, który podobno zatrudnia około 60 tysięcy ludzi (przy samej tylko produkcji). W dystrybucji tego bimbru, zwanego poetycznie „księżycówką” (*Moonshine*), pracuje około 150 tysięcy ludzi. Zarobki pracowników i

„przemysłowców” są bardzo wysokie. Zasadniczo każdy galon wyprodukowanego w USA alkoholu jest obłożony podatkiem federalnym w wysokości 10,5 dolara i wcale nie małym podatkiem stanowym. Pomijając inne obciążenia, fabrykanci muszą płacić podatek od dochodu. „Bimbiarze” od wszystkich podatków są wolni. Pędzą alkohol z importowanego cukru, gdyż ten surowiec kalkuluje się najtaniej, choć jest to zakazane. Kukurydza, żyto lub ziemniaki nie opłacają się, gdyż ceny tych produktów są sztucznie podnoszone. Legalnie alkohol wolno pędzić ze zboża.

Okoliczności te stwarzają doskonałe warunki dla po-kątnej produkcji. Oblicza się, że około 20 procent spożywanego w Stanach Zjednoczonych alkoholu pochodzi ze źródeł nielegalnych. O rozmiarach tego przemysłu dowodzą cyfry. W 1950 roku policja w Stanach Zjednoczonych wykryła około 20 tysięcy tajnych destylarni, których produkcja wynosiła 55 milionów galonów wartości miliarda dolarów.

Nie ludźmy się jednak, że to policja tak energicznie zwalcza nielegalny przemysł. W sukurs organom ścigania przychodzą... gangi. Otóż co roku powstają liczne drobne „prywatne” destylarnie, bez porozumienia z gangami i ich zezwolenia. W walce z konkurencją gangi wskazują po prostu policji te zakłady. Zdarza się też, że jeśli jakiś gangsterski zakład zmienia swoją aparaturę w ramach inwestycji, stary, wysłużony sprzęt ujawnia się policji. Oszczędza się w ten sposób kosztów demontażu, a jednocześnie oddaje przysługę policji, która może się pochwalić „wykryciem” tajnej bimbrowni. Duże gorzelnie gangów są dla policji tabu. Nowy Jork, Detroit, Cleveland i Chicago pławią się dosłownie w „księżycówce”. Również całe Południe konsumuje przeważnie bimber, gdyż jest tani i dostępny dla tamtejszej biedoty.

Złoto ze śmietników

Pod Nowym Jorkiem, w dzielnicy Westchester, znajduje się wielkie osiedle mieszkaniowe. Kilkanaście tysięcy domków jednorodzinnych, kilkaset sklepów, kilka kin, sporo barów i stacji benzynowych. Pewnego dnia do miejscowego związku zawodowego kierowców samochodów ciężarowych przybył delegat związku z Nowego Jorku i oświadczył, że został przysłany pi-zez nowojorską centralę z zadaniem podniesienia zarobków kierowców.

W Westchester wiedziano wprawdzie, że w zarządzie nowojorskiego związku zaszły zmiany personalne, lecz kim byli nowi członkowie kierownictwa, tego nikt nie wiedział.

Przybysz wyjaśnił, że chce „uporządkować” sprawę wywózki śmieci i liczy w tym na poparcie miejscowego związku. Pomyślne rozwiązanie tej kwestii pozwoliłoby, zdaniem delegata, zwiększyć zarobki kierowców.

Wywózką śmieci na tym terenie trudniły się dwie firmy rozporządzające dużym taborem. Oczywiście mogły one zatrudniać tylko szoferów należących do związku. Przybysz udał się do obu firm i oświadczył, że w myśl decyzji zarządu opłaty za wywózkę śmieci mają być podwyższone. Z osiągniętej podwyżki firma ma prawo zatrzymać 20 procent i tę kwotę powinna użyć na podwyższenie zarobków, resztę zaś winna wpłacać na ręce osoby wskazanej przez związek, przy czym suma ta przeznaczona będzie na „fundusz specjalny”. W razie niezastosowania się do tych poleceń zostanie zarządzony strajk. Firmy nie były zadowolone z takiego obrotu sprawy, lecz ze związkiem wołały nie zadzierać.

Przybysz podyktował pismo do mieszkańców osiedla komunikujące, że opłata za wywóz śmieci zostaje podniesiona z jednego dolara do dwóch dolarów. Sklepom podniesiono opłatę z 15 dolarów do 28, a restauracjom w jeszcze wyższym procencie.

Właściciele domków sarkali nieco, lecz dość łatwo zgodzili się na podwyższenie opłaty. Sklepy jednak zaprotestowały. Porozumiały się z przedsiębiorcami z sąsiedniej miejscowości, aby zlecić im wywózkę śmieci. Zanosilo się na to, że wszyscy odmówią płacenia według nowej taryfy. Wówczas w osiedlu zjawił się osobiście nowy „boss” z centrali na Manhattanie, Bernard Adelstein, bez jednej nogi. Kuśtykając na drewnianej kuli obszedł sklepy ostrzegając, że w razie nieustępliwości mogą mieć „kłopoty”. Gdy to nie poskutkowało, wydał nakaz wstrzymania wywozu śmieci od opornych. Ponieważ sklepy te były tylko filiami wielkich nowojorskich magazynów, posiadających setki i dziesiątki oddziałów rozsianych po całym mieście i w osiedlach, został wydany zakaz wywożenia śmieci ze wszystkich sklepów opornych firm, bez względu na to, gdzie się znajdowały.

Miejscowy związek kierowców powziął tymczasem pewne podejrzenia. Sprawa wyglądała bowiem dosyć dziwnie. Mimo tak znacznego podniesienia opłat zarobki szoferów wzrosły minimalnie. Wobec powyższego kierownik związku w Westchester, John Acropolis, wręcz odmówił Adelsteinowi podporządkowania się zarządzeniom centrali i oświadczył przy tym, że zgodzi się na to pod warunkiem, jeżeli cała podwyżka przeznaczona zostanie na podniesienie wynagrodzeń kierowców. Adelstein nic nie odpowiedział i wyjechał, a w parę dni później znaleziono Acropolisa z przestreloną głową. Sprawców nie wykryto. Po tej złowróżbnej przestrodze kierowcy samochodów skapitulowali, podobnie jak właści-

ciele sklepów.

W innej stronie Nowego Jorku leży wielka dzielnica Nassau na Long Island. Kilkadziesiąt tysięcy domków, setki lub tysiące sklepów. Interes „śmieciarski” rozkwitał tu bujnie, jakkolwiek wywożeniem śmieci w Nassau trudniło się kilkuset drobnych przedsiębiorców, właścicieli małych ciężarówek. I oto do Nassau zjechał z Nowego Jorku Vincent Squillante, stary wytrawny gangster, karany już za przemyt narkotyków. Squillante załatwił sprawę z niezwykłą zręcznością. Zadał sobie trochę trudu i obszedł po kolei wszystkich właścicieli ciężarówek. Jednych postraszył, drugim coś obiecał, a wszystkim kazał zapisać się do związku, by zmusić ich do podporządkowania się jego poleceniom. Doprowadził do usunięcia dotychczasowych miejscowych władz związku i przeprowadził wybory, w wyniku których kierownikiem został człowiek przysłany z Nowego Jorku, C. Don Modica, były profesor języka angielskiego na którymś z prowincjonalnych uniwersytetów amerykańskich, a poza tym znaczna figura w świecie gangsterskim.

Modica był mężem zaufania gangu. Jemu to właśnie powierzono wychowanie i opiekę nad synem nie żyjącego potentata gangsterskiego — Anastasii. Chłopiec, mimo szkolnego wieku, do szkoły nie chodził z różnych względów. Głównie zaś z obawy, aby wrogowie Anastasii nie wywarli na nim zemsty. Chłopiec uczył się więc w domu, a jego edukacją zajął się „profesor” Don Modica. Później, gdy już całą tę szajkę rozgromiono, okazało się, że Modica był wychowawcą nie tylko syna Anastasii, lecz także dzieci innych gangsterów. Interes ze śmieciami w Nassau musiał mieć duże znaczenie dla gangu, skoro wysłano tam aż takiego „asa”.

Sprawa w Nassau została załatwiona. Następnie w ten sam sposób opanowano wszystkie podmiejskie miejscowości, monopolizując wywózkę śmieci. Szajka gangsterów przez parę lat prowadziła bezkarną działalność. Można by rzec, że w ich rękach śmiecie zamieniały się w szczerze złoto. Nikt jednak nie ośmielił się donieść o tym władzom, ani żaden dziennik nie odważył się napisać słowa. Lęk przed gangami paraliżował usta i wytrącał pióro z ręki dziennikarzy.

W końcu jednak odważny się znalazł. Sprawą zajęła się komisja senatora McClellana do ścigania przestępstw w organizacjach. Komisja wezwała Jima Hoffę, prezesa związku kierowców, o którym wiadano, że stanowisko objął tylko dzięki gangsterom, w zamian zaś udzielał wszechstronnego poparcia swym mocodawcom i protektorom.

Hoffa na pierwsze wezwanie w ogóle się nie stawił, a potem zachował się arogancko, tym bardziej że nie potrafiono mu udowodnić żadnego przestępstwa. Osadzono w więzieniu tylko kilku gangsterów, kierowników oddziałów związku. Jim Hoffa do dziś włada związkiem kierowców i oficjalnie pobiera 75 tysięcy dolarów pensji rocznie. Ostatnio amerykańska centrala związków zawodowych AFL-CIO usunęła „Teamster Union” - związek kierowców samochodów ciężarowych - ze swych szeregów, czym Hoffa bynajmniej się nie przejął.

Gangsterzy opanowali niejedyną związek. Powszechną tajemnicą było, że chicagowskim związkiem pracowników gastronomicznych rządzą resztki bandy Al Capone'a. Gdy jednak komitet McClellana rozpoczął swą działalność, gangsterzy szybko wycofali się z niego. Związek pracowników destylarni był przez długi czas domeną gangsterów, ale gdy udowodniono im kradzież 500 tysięcy dolarów z funduszy związkowych, zostali aresztowani i skazani na kary więzienia. Podobnie było ze związkiem pracowników pralni. Kierownik tego związku Eugeno „Himmy” James, stary gangster, ustąpił wówczas, gdy na jaw wyszła kradzież 900 tysięcy dolarów, za co skazany został na długoletnie więzienie.

Prawo i sprawiedliwość

Amerykańskie ustawodawstwo powstało na gruncie praw angielskich, wprowadzonych tam przez administrację kolonii, oraz w oparciu o prawa zwyczajowe pierwszych osadników. W XVII wieku istniała możliwość stworzenia własnego amerykańskiego prawodawstwa, lecz nie uczyniono tego. Później nie chciano już nic zmieniać, koloniści bowiem uznali prawa angielskie za najdogodniejsze dla własnych interesów. W starym kraju służyły one za oręż do walki z absolutyzmem monarchii, a w zamorskiej kolonii były używane do zwalczania samowoli władz administracyjnych. Po uzyskaniu niepodległego bytu państwowego uprzywilejowane siły społeczne nie dopuściły do zmian, aby nie poszły one zbyt daleko i nie pozbawiły ich atrybutów władzy. Przede wszystkim chodziło o to, że angielskie prawa najlepiej zabezpieczały prawo własności. W XIX wieku ponownie rzucono hasło zmiany starych praw, tak, by dostosować je do właściwości tego kraju. Z inicjatywą tą wystąpiły elementy liberalne — sędziowie, adwokaci i paru polityków. Zdaniem liberałów Amerykanów stać na wprowadzenie ustawodawstwa bardziej nowoczesnego, opartego na własnym doświadczeniu. Przeciwstawili się temu konserwatyści, wciąż pełni obaw o swój stan posiadania, oni też zwyciężyli — i wszystko pozostało po dawnemu.

Przedstawicielami prawa w Ameryce są: policjant, oskarżyciel publiczny, sędzia i adwokat.

Policja nie cieszy się w Ameryce zbyt dobrą opinią. Policjanci są niewspółmiernie nisko uposażeni w stosunku do swej ciężkiej pracy. Powszechnie wiadomo, że funkcjonariusze policji biorą łapówki, często też bywali zamieszani w afery gangsterskie. Właśnie na skutek postawy organów policyjnych bandy gangsterskie mogą istnieć i działać bezkarnie. Policjanci są na ogół grzeczni, lecz nie należy przypuszczać, że grzeczność jest jednakowa dla wszystkich obywateli. Na Południu biały policjant nieporównanie gorzej odnosi się do Murzyna niż do białego. Również emigrant, mający trudności z językiem angielskim, nie może oczekiwać, że będzie traktowany, jak pełnoprawny obywatel. Policja wie dobrze, z kim trzeba się liczyć, do kogo uprzejmie się odnieść, a z kim można sobie na wszystko pozwolić. Część policji służy zawodowo, część pochodzi z wyboru.

Miejscowa policja pochodzi z wyboru, zaś stanowa i federalna (FBI) jest zawodowa. Kompetencje tych policji są ściśle określone i każda z nich strzeże pilnie swych uprawnień.

Z wyboru pochodzą natomiast sędziowie i oskarżyciele publiczni. Wybierani są również specjaliści sędziowie do spraw spadkowych i upadłościowych. System wybierania funkcjonariuszy aparatu sprawiedliwości ma ten skutek, że kandydaci szukają oparcia w partiach politycznych. Ta właśnie zależność sędziów od tzw. „politycznej maszyny”, która wybór ich przeforsowała, powoduje, że wymiar sprawiedliwości zatracą niekiedy obiektywizm i bezstronność.

Dla osób, które w jakiś sposób weszły w kolizję z prawem, decydującą postacią jest obdarzony ogromną władzą prokurator. Od niego zależy, jakie sprawy zostaną skierowane do sądu, a jakie umorzone. W dużych miastach tylko 6 procent spraw rozpatruje się na sali sądowej. Reszta zostaje załatwiona w urzędzie prokuratorskim.

Sędzia w amerykańskim sądzie nie dochodzi prawdy, jak to się dzieje w Europie. Ogranicza się wyłącznie do roli rozjemcy. O winie rozstrzyga ława przysięgłych. Sędziowie przysięgli od dłuższego czasu stanowią obiekt licznych ataków. Najczęściej zarzuca się im nieznaną przepisy i niechęć w spełnianiu swoich obowiązków. Dają się zwodzić sprytnym adwokatom, ulegają krasomówczym popisom prokuratorów i z trudem zdobywają się na własne zdanie. Instytucja przysięgłych wywodzi się w Ameryce od czasów prezydenta Jacksona, który uważał, że każdy przeciętnie inteligentny człowiek posiada zdolność odróżnienia czynów złych od dobrych.

Powyższe okoliczności nasunęły konieczność, aby w przypadkach bardziej skomplikowanych i poważniejszych procesów dochodzeniem prawdy zajął się nie tylko sędzący trybunał, lecz całe społeczeństwo, a przede wszystkim prasa. Amerykanie bardzo lubią bawić się w prywatnych detektywów, co się zaś tyczy prasy, to wpływ jej na trybunał jest zawsze bardzo poważny. ¹ W Ameryce nikt nie musi się przygotowywać specjalnie do zawodu sędziowskiego. Jest to stanowisko, a nie profesja, gdyż urząd sędziego pochodzi z wyboru, i to na czas ograniczony. Sędziami zostają zwykle adwokaci, którzy po upływie kadencji ponownie wracają do swych kancelarii. Dlatego między innymi sędzia w Ameryce nie zażywa takiego poważania, jak w Europie. Jedynie na Południu sędzia cieszy się szacunkiem i zajmuje eksponowaną pozycję społeczną. Pochodzi to jeszcze z dawnych czasów, kiedy uważano, że dżentelmenowi przystoi tylko służba w armii lub urząd sędziego.

Organizacja sądownictwa amerykańskiego jest dość skomplikowana. W zasadzie istnieją dwa niezależne od siebie rodzaje sądów: federalne i stanowe. Sprawy cywilne podlegają sądom stanowym, lecz od ich wyroku można odwoływać się do sądu federalnego.

Sąd Najwyższy — The Supreme Court — zajmuje się tylko sprawą właściwej interpretacji przepisów konstytucji oraz przestrzegania ich przez rząd i władze stanowe. Każdy akt prawny rządu, o ile nie jest w zgodzie z konstytucją, może być zaskarżony do Sądu Najwyższego i ewentualnie przezeń uchylony. W skład Sądu Najwyższego wchodzi zwykle doświadczeni adwokaci i długoletni sędziowie.

Sądów okręgowych (federalnych) jest około dwustu. Zajmują się one przede wszystkim sprawami karnymi, jak również cywilnymi, o ile podpadają one pod prawa federalne. W myśl konstytucji sąd okręgowy składa się z sędziego i ławy przysięgłych. Do spraw kryminalnych, rozpatrywanych przez sądy okręgowe, należą wszystkie wykroczenia przeciw ustawie antytrustowej, przemyt towarów i porwania - *kidnaping*. Wyroki tych sądów mogą być zaskarżane do sądów apelacyjnych, lecz tylko w razie jakiegoś uchybienia proceduralnego lub wydania wyroku sprzecznego z postanowieniami konstytucji. Apelacje rozpatrują sądy apelacyjne, złożone z trzech sędziów, którzy rozstrzygają sprawę ostatecznie, a do Sądu Najwyższego przekazują jedynie sprawy mające znaczenie polityczne lub wymagające właściwej interpretacji przepisów konstytucji.

Poza tym funkcjonują jeszcze inne federalne sądy, jak Sąd Zażaleń, Sąd Podatkowy, Sąd Celny i Patentowy. Charakter sądu posiada także Federalna Komisja Handlowa, zajmująca się głównie wypadkami naruszenia ustawy antytrustowej i nieuczciwej reklamy. Oprócz tego działa Federalna Komisja Komunikacyjna oraz komisje do spraw ubezpieczeniowych i giełdowych; zajmują się one

wyznaczaniem cen oraz ściganiem spekulacji i nadmiernych zysków.

Sądy stanowe zostały utworzone na wzór federalnych. Tak więc w każdym stanie istnieje Sąd Najwyższy, sprawujący nadzór nad prawami stanowymi i nad przestrzeganiem zasad konstytucji. Sądy stanowe są bliższe społeczeństwu niż sądy federalne, gdyż zajmują się prawie wszystkimi sprawami. Prawa stanowe są rozmaite i różnice w tym względzie pomiędzy poszczególnymi stanami są często bardzo poważne. Podczas gdy w jednym stanie ten sam czyn podlega karze, w innym jest legalny. Prawa poszczególnych stanów tworzą przeważnie na wzór praw angielskich; jedynie w stanie Luizjana prawo stanowe opiera się na kodeksie Napoleona.

Poza tym w amerykańskim sądownictwie stanowym stosuje się niekiedy zasadę prawną, tzw. „Equity” (duch prawa). Jest to stara tradycyjna instytucja prawna o charakterze ponadsądowym i z racji przywileju pozostająca wyłącznie w gestii króla. Chodziło wówczas o uniemożliwienie nadużywania prawa lub też błędnej jego interpretacji przez różnych kauzypetów. Sprawy te należały w Anglii do kompetencji urzędu kanclerskiego. W niektórych stanach USA istnieją specjalne sądy tego typu, tzw. sądy kanclerskie.

Najniższym sądem stanowym jest sąd miejski lub policyjny, który ma prawo ukarania winnego najwyżej 30-dniowym aresztem. Sądy te, zwykle opanowane przez miejscowe kliki, słyną z przekupstwa i korupcji. Nad nimi są zwykle sądy powiatowe, w których obok sędziego zasiadają sędziowie przysięgli. Sędziowie sądów stanowych również pochodzą z wyboru.

Amerykanie posiadają na ogół opinię ludzi przestrzegających prawa i zarządzenia. Na przykład przepisy porządkowe respektuje się tu w całej rozciągłości. Na drogach panuje porządek, nikt nie wejdzie do autobusu tylnym wejściem. Nie depta się trawników, a tam, gdzie trzeba, ludzie ustawiają się posłusznie w kolejkę. Wszystko to sprawia na pozór wrażenie, że Amerykanie tworzą zdyscyplinowane i praworządne społeczeństwo. Niestety, obywatele USA nie grzeszą poszanowaniem prawa. Dowiodła tego najlepiej ustawa prohibicyjna, którą łamano na każdym kroku; oddają się grom hazardowym, chociaż są ustawowo zabronione. To samo dotyczy przemytu narkotyków i prostytucji. Ilekroć jakiś proceder zaczyna się opłacać, obchodzi się lub łamie prawo.

Oto co mówi o praworządności Amerykanów Max Lerner:

„Amerykańskie prawo można przyrównać do luźno dopasowanej szaty, niedbale narzuconej na figurę amerykańskiego życia. Zwisa ona swobodnie, lecz w niektórych miejscach jest przyciasna i uwiera. Amerykanie już się jednak nauczyli, jak trzeba ją nosić, aby im było w niej wygodnie. Prawdopodobnie nawet źle by się czuli, gdyby leżała nienagannie i gdyby nie trzeba było jej wciąż odpowiednio układać. Przyjęli oni bowiem postawę Francuzów lub Włochów wobec nakazów kościoła katolickiego. Przestrzegają mianowicie wszystkich rytuałów, i to bardzo pilnie, natomiast do przykazań stosują się tylko wówczas, jeśli nie kolidują z ich własnymi pragnieniami i zamiarami. Są wspaniale wierni w swojej niewierności”.

Przestępczość w cyfrach i kategoriach

Przestępczość każdego kraju daje w pewnym stopniu obraz stosunków w nim panujących, jak również wskazuje na najłagodniejsze ogniwa moralne tego społeczeństwa. Istnieją określone kategorie przestępstw typowych dla pewnych krajów czy kontynentów. W Europie specjalnością świata przestępczego są machinacje czarnorynkowe i zwykłe kradzieże. W Ameryce — gangsterstwo, gwałty na kobietach i porwanie dzieci dla uzyskania okupu. W Europie przestępcami są przeważnie dorośli, natomiast w Ameryce 53,1 procent aresztowanych stanowi młodzież.

Bardzo charakterystycznym dla Ameryki przykładem przestępstwa jest kradzież samochodów, powszechna, trudna do zwalczania plaga. Przestępstwa tego dopuszcza się przeważnie młodzież po prostu dla zabawy. W 1961 r. skradziono 326 200 samochodów (w 1959 r. — 288 300) o łącznej wartości 249 milionów dolarów. Większość tych samochodów zostaje porzucona. W 1961- r. odzyskano skradzione samochody na sumę 232 milionów dolarów. Strata wynosiła więc 17 milionów dolarów. To właśnie jest łup zawodowych złodziei. Samochody po przemalowaniu są sprzedawane do Kanady lub odległych stanów. Suma 17 milionów dolarów obejmuje również wartość samochodów zniszczonych po dokonaniu kradzieży. Najwięcej samochodów ginie w Nowym Jorku i w Los Angeles.

Urowadzenie, czyli *kidnapping*, ma w USA stare i bogate tradycje. Pierwszy wypadek porwania zdarzył się jeszcze w XIX wieku, a mianowicie w 1874 roku. Porwany został wówczas chłopiec Charles B. Ross. Okupu nie wpłacono, a dziecko zostało zamordowane. Sprawca porwania został później zastrzelony podczas jakiegoś włamania. Przed śmiercią przyznał się do tamtego czynu. Głośną na cały świat była sprawa uprowadzenia syna słynnego lotnika Lindbergha. Mimo wpłacenia żądanego okupu, dziecko zgładzono. Sprawca zbrodni został ujęty i skazany na fotel elektryczny. W grudniu 1963 roku prasa

doniosła o uprowadzeniu syna sławnego piosenkarza i aktora amerykańskiego, Franka Sinatry. Po złożeniu okupu w wysokości 240 tysięcy dolarów Frank Sinatra-junior został uwolniony, a w kilka dni później sprawcy porwania zostali aresztowani i cały prawie okup został odzyskany. Wypadki porwania zdarzają się rzadko, lecz nie ustają. W 1945 r. skazano za ten czyn 20 osób, w 1952 r. — 42, a w 1958 r. — 26 osób.

Do najbardziej rozpowszechnionych i specyficznych przestępstw należy w USA handel narkotykami, stanowiący obecnie poważny problem społeczny ze względu na to, że nałóg ten przybiera coraz szersze rozmiary. W 1959 roku policja stwierdziła istnienie 45 tysięcy narkomanów, jakkolwiek liczba ich — trudna do ustalenia — jest prawdopodobnie trzykrotnie większa.

Organizacja przemytu narkotyków została zawiązana na słynnym zjeździe gangsterów spod znaku sycylijskiej Mafii w Atlanta w 1929 roku. Część organizatorów tego przedsięwzięcia osadzono już w więzieniach, wielu jednak nadal prowadzi swoje „przedsiębiorstwa”. W celu zwalczania tej plagi utworzono specjalną policję — The Bureau of Narcotics — która rozporządza potężną armią agentów i podlega bezpośrednio władzom federalnym. Za handel narkotykami sądy skazały w 1960 roku 10 562 osoby, a w 1961 — 25 080 osób.

Do gangsterskich przedsięwzięć należy również organizowanie potajemnych gier hazardowych, zabronionych w całym kraju z wyjątkiem stanu Nevada. Za uprawianie tych gier aresztowano w 1961 roku aż 108 571 osób. Oblicza się, że roczne obroty z gier hazardowych wynoszą przeszło 50 miliardów dolarów. Łatwo sobie wyobrazić, jak kolosalne zyski ciągną z tego procederu gangsterzy.

Szereg przestępstw można określić jako masowe. A więc rozmaite awantury, bójki i tym podobne wypadki zakłócania spokoju publicznego pod wpływem alkoholu. W 1961 roku aresztowano za podobne wykroczenia 1 409 293 osoby, w tym 112 984 kobiety. Około 40 procent wszystkich aresztowanych stanowią notoryczni pijacy.

Drugie miejsce w rejestrze masowych przestępstw zajmują włamania. W 1961 roku było ich 852 500; liczba ta jest o tyle zastanawiająca, że przedmioty używane są w USA tanie i trudno znaleźć na nie nabywcę. Warto dodać, że policja ujęła zaledwie 72 739 osób, a zatem mniej niż 10 procent sprawców. Bardzo częste są także kradzieże. Statystyka notuje tylko większe, kiedy wartość skradzionych rzeczy przekracza 50 dolarów. Wypadków kradzieży zanotowano w 1961 r. 428 800, przy czym stopień wykrywalności sprawców kradzieży wynosi 25 procent.

Wykrywalność przestępstw w Stanach Zjednoczonych w ogóle przedstawia się nie najlepiej. Na przykład, na 9 140 morderstw dokonanych w 1961 roku sprawców wykryto tylko w 2 448 wypadkach. W tym samym roku zgłoszono 1 925 090 poważniejszych przestępstw, lecz policja ujęła tylko 295 054 sprawców, tj. około 15 procent, co nie świadczy zbyt pochlebnie o jej sprężystości.

Era „payoli”

Słowo „payola” jest nowotworem i istnieje zaledwie od kilku lat. Nie ma go w żadnym słowniku i nie zostało jeszcze przetłumaczone. Przyjęło się jednak łatwo i dziś znajduje się w powszechnym użyciu. Oznacza łapówkę. Dotychczas mówiło się „bribe”. Lecz słowo „payola” brzmi podobno lepiej, nie tak wulgarnie i dosadnie. Poza tym nie jest obraźliwe. Słowo to coraz częściej pojawia się w mowie potocznej i na szpaltach gazet. *Payola* spopularyzowała pogoń za pieniędzmi. Nie ma dochodów, które by wystarczyły. Chęć użycia i luksusu przerasta możliwości zarobkowe przeciętnego obywatela USA. Pieniądze są potrzebne Amerykanom do imponowania. Imponuje się dochodem, podnoszeniem swej „stopy”, czy jak się tam mówi *standardu* życiowego. Imponuje się domem, urządzeniem mieszkania, modelem samochodu, własnym samolotem lub podróżą do Moskwy. Chęć imponowania przybiera chorobliwą postać. Oto drobny przykład. W gazecie „Journal” przeczytałem kiedyś następujące ogłoszenie: „Poszukuję na *weekend* Cadillaca, model 1959. Mam zjazd koleżeński w dwudziestą rocznicę ukończenia szkoły. Pragnę zaimponować swym dawnym przyjaciółom”. Ogłoszenie wyciąłem i schowałem na pamiętkę.

Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych odniosłem wrażenie, że znalazłem się w społeczeństwie wyjątkowo uczciwym. Wystarczyło pójść do zawałonego towarem supermarketu, by stwierdzić, że klientów nikt nie pilnuje. Istotnie, kradzieże zdarzają się rzadko, wobec czego nie oplaci się trzymać personelu. Kradną kleptomani, którzy są już znani, więc tylko się uważa, by nie kradli za wiele, oraz dzieci, ale drobiazgi. Skąd ta uczciwość. Kraść się w Stanach nie oplaci. Za parę dolarów ryzyko więzienia. Kary są wysokie, a sądy surowe. Tak więc zdrowa kalkulacja rodzi uczciwość.

Widziałem jednak również inne objawy uczciwości. Na przykład listy polecone są tu prawie nie znane. Używają ich wyłącznie sądy, by mieć dowód doręczenia. Nalepia się na kopertę znaczek czterocentowy i wrzuca list do skrzynki. Niekiedy do koperty wkłada się banknoty, a nawet bilon, gdyż przekazów

pocztowych nie używa się tutaj. List z pieniędzmi wrzuca się także do skrzynki. To jeszcze nie wszystko. Paczki i czasopisma listonosz zwykle zostawia przy wejściu do domu. Lokatorzy przechodząc zabierają swoje przesyłki. Odbierałem w ten sposób paczki i nie było wypadku, aby przez „pomyłkę” ktoś mi zabrał przesyłkę. Bieliznę z pralni i paczki ze sklepów doręczyciele kładą przy schodach, czasem nawet przed wejściem do kamienicy. Mieszkania zostawia się często nie zamknięte i nigdzie nie ma płotów przy ogródkach, przed domami. Na jednej z ulic nowojorskich widziałem, jak sprzedawca gazet poszedł na *lunch*, zostawiając gazety na miejscu. Ludzie je kupowali, kładli pieniądze i sami wydawali sobie resztę. Nie wiem, czy go oszukano, myślę jednak, że musiał mieć w tym doświadczenie. Na wielu dworcach kolejowych tylko w ten sposób sprzedaje się gazety.

Kredyt jest również oparty na ogólnym zaufaniu. Owszem, zaufanie istnieje. Można by mniemać, że w tej sferze nie sposób dopatrzeć się uchybień. Nikt nie weźmie gazety, nie ukradnie skarpetek czy chustki do nosa. Wszyscy płacą punktualnie raty. Nie widziałem i nie słyszałem, by ktoś jeździł *subwayem* na gapę, nie sprzedawano mi zgniłych gruszek lub tandetnego towaru. Nikt tu nie okłamie, nie „nabije w butelkę” frajera. Na podstawie powierzchownej obserwacji można by wysnuć wniosek, że etyka i solidność przyjęły postać cechy narodowej. Zasadniczo panuje uczciwość, lecz do pewnych granic. Drogich futer, zegarków czy kosztowności nikt nie położy w domu towarowym na ladzie i nie pozwoli w nich grzebać. Uczciwość istnieje, ale w pewnej skali. Po prostu „nie wypada” naciągać sprzedawcę gazety na pięć centów. Inną wszelako miarę stosuje się, gdy w grę wchodzi tysiące, gdy kontrahentem jest firma ubezpieczeniowa lub urząd podatkowy. Poza tym *payola*...

Pewien szczegół zwrócił moją uwagę. Jak wiadomo, w USA kierowcy mają zawsze kłopot z parkowaniem wozów. W myśl przepisów na bocznych ulicach wolno parkować wozy bądź po parzystej stronie, bądź po nieparzystej. Jedna strona zawsze musi być wolna, aby w razie pożaru duże samochody straży pożarnej mogły dojechać na miejsce wypadku. Za postawienie wozu po niewłaściwej stronie grozi mandat 5 lub 10 dolarów. Policja objeżdża na motocyklach dzielnicę i sprawdza, czy wszyscy właściciele wozów przestrzegają przepisów. Widziałem jednak nieraz samochody zaparkowane po niedozwolonej stronie. Na samochodach tych nie było mandatowej kartki, którą zwykle policja przykleja do szyby. Odkrycie tajemnicy nie przyszło mi trudno. Właściciele tych wozów płacą policji *payolę*. Nawet nie tak wiele, ale za to stale. W zamian mogą ustawić swoje auta, gdzie im się podoba.

Odtąd zacząłem się bliżej interesować zagadnieniem uczciwości. Zwracałem uwagę jedynie na poważniejsze afery. I tak w ciągu roku zebrałem aż nadto obfity materiał. W Nowym Jorku mayora dzielnicy oskarżono o branie łapówek w formie „prezentów”. Jakiś tam domek, urządzenie mieszkania, oczywiście luksusowe, i coś jeszcze. Upominki pochodziły od firm, które dostawały od miasta zamówienie. Przedstawiciele firm twierdzili, że dawali z „sympatii i bezinteresownie”. Potem w tym samym mieście wybuchła afera mięsna i benzynowa. Oszukano społeczeństwo na miliony dolarów. Miejscy inspektorzy byli przekupieni i wszystkie wagi tarowano oszukańczo. Z każdego litra benzyny ileś tam „odlewano”, a mięso nie doważano i sprzedawano w gorszym gatunku. Ten złodziejski *bushiness* napędzał do kieszeni inspektorów sówite „prowizje”.

Kiedy indziej w Chicago wybuchł większy skandal — oficerów policji oskarżono o współpracę z gangsterami, i to pośledniejszego autoramentu. Dalej wielka firma samochodowa zafundowała pewnemu generałowi pobyt na wyspach Bahama za zamówienia na samoloty dla lotnictwa wojskowego. W stanie Missisipi ława przysięgłych niespodziewanie zwolniła od kary bezspornych morderców.

Szczególnie dwie sprawy odbiły się głośnym echem w całym świecie. Pierwsza to afera Charlesa van Dorena. Profesor uniwersytetu Columbia, dobrze sytuowany koryfeusz słynnej uczelni, zgodził się na zwykle oszustwa w telewizji. Po zdemaskowaniu oświadczył, że mu bardzo przykro. Pieniądzy jednak nie zwrócił, uznał je bowiem za „zarobione”.

Druga sprawa miała posmak jeszcze grubszego skandalu. „Bohaterem” afery był Sherman Adams, doradca prezydenta USA. Wielki rekin finansowy z Bostonu, Bernard Goldfine, obsypywał Adamsa szczerze prezentami. W zamian otrzymywał informacje telefoniczne, które ułatwiały mu operacje giełdowe.

Obie afery wywołały w Stanach Zjednoczonych duże poruszenie. Tygodnik „Look” zdobył się na wielkie przedsięwzięcie. Rozesłał mianowicie reporterów po całym kraju w celu przeprowadzenia błyskawicznych ankiet. Mieli oni wysondować opinię publiczną, co ludzie sądzą na temat moralności i obu ujawnionych afer. Rozmowy przeprowadzono z około 10 tysiącami osób, które reprezentowały przeróżne zawody. Wyniki ankiety były nader wymowne.

Mniej niż 10 procent uczestników ankiety zajęło stanowisko, że uczciwość stanowi pierwszy i jedyny warunek wszelkiego sukcesu. Jednocześnie twierdzili, że przywrócenie tej uczciwości powinno się stać

naczelnym zadaniem ogółu. Trzy czwarte pytanym na temat afery van Dorena odpowiedziało, że właściwie nikogo nie okradł i że sami, gdyby tylko mieli taką sposobność, uczyniliby to samo. Szczególnie młodzież wyrażała podobną opinię.

Reporterzy ci zastosowali w miastach bardzo prosty sprawdzian uczciwości. Podrzucali na ulicy portmonetki z niewielką zawartością pieniędzy i adresem właściciela. W 99 procentach portmonetki zwracano. Indagowani znalazcy odpowiadali przeważnie — Myślałem, że portmonetka jest własnością niezamożnego człowieka. — Kiedy wyprowadzano ich z błędu, byli wyraźnie rozczarowani.

Na podstawie zebranego materiału redakcja tygodnika „Look” wyciągnęła następujące wnioski:

1. W stosunkach między sobą ludzie są jeszcze uczciwi.
2. Istnieje presja społeczna podnoszenia stopy życiowej. Zmusza to wielu ludzi do zwiększania swych dochodów wszelkimi sposobami. Wpływa to na zacieranie granicy między dobrym a złym postępowaniem. Panuje zasada, aby pozostawać «mniej więcej» w zgodzie z prawem.
3. Zasady moralności uległy rozluźnieniu, szczególnie jeśli chodzi o młode pokolenie. Nie ma już podziału na dobre lub złe czyny. Są czyny możliwe, konieczne i takie, o które nikt właściwie nie może żywić pretensji, chociaż kolidują one raczej z etyką niż kodeksem prawa.
4. Brak ściśle określonej etyki stworzył nową etykę. Rozgrzesza ona łatwo z niewłaściwych czynów, tłumacząc je sytuacją i potrzebą. Zezwala ona na wszystko, gdy działalność nie wyrządza szkody konkretnej osobie.

Pięćdziesiąt lat temu publicysta amerykański Lincoln Steffens pisał:

„Społeczeństwo, którego ideałem i głównym celem życiowym staje się zdobywanie bogactw lub władzy, pcha ludzi do korupcji, wzmaga ją, utrwała i uświęca jako jeden ze zwyczajów”.

Van Doren — żywy przykład payoli

„Teraz dopiero wiem, jak wygląda życie. Nauczyłem się wiele i zrozumiałem odpowiedzialność, jaka ciąży na każdym z nas w stosunku do innych ludzi. Umiem już odróżniać dobro od zła. Zostałem omotany, otumaniony i doprowadzony do upadku. To, że mnie wykorzystano i użyto jako narzędzia, nie zwalnia mnie od odpowiedzialności, przed którą nie chcę się uchylać. Wiem, że jestem żywym symbolem tego, co się stało...”

Tymi słowami van Doren rozpoczął swoje zeznania przed komisją senacką, przed którą został wezwany w związku ze skandalem. Afera van Dorena była niezwykle skandalem, a on sam stał się żywym symbolem *payoli*. Właściwie tylko dzięki osobie jej głównego „bohatera” zasługuje na bliższe zainteresowanie. Ilustruje też doskonale wszechmoc i urok dolara, któremu nawet intelektualista, człowiek o tak świetnie zapowiadającej się przyszłości, nie był w stanie się oprzeć. Kim więc był van Doren?

Van Dorenowie są w Ameryce znani i należą do rzędu rodzin wybitnych, tzw. „prominent families”. Nazwisko to spotyka się w każdej amerykańskiej encyklopedii i zna je niewątpliwie każdy, kto z kulturą amerykańską wszedł kiedykolwiek w bliższy kontakt. Są w tej rodzinie wybitni wydawcy, pisarze, poeci, uczeni. Charles van Doren był profesorem uniwersytetu Columbia. Szczegół ten ma tu istotne znaczenie. W Ameryce bowiem różnica między profesorem z uniwersytetu Columbia, Harvard czy Yale a jego kolegą ze stanowego, małego, prowincjonalnego uniwersytetu jest ogromna. Jako profesor uniwersytetu Kolumbia van Doren mógł zrobić świetną karierę. Jeśli zaś chodzi o stronę finansową, to zarabiał dużo więcej niż wykładowcy innych uczelni.

A teraz o aferze. Otóż bardzo popularną audycją stacji telewizyjnej NBC był turniej quizowy pod nazwą „Dwadzieścia jeden”. Odpowiadano na pytania i zdobywano nagrody, i to bynajmniej niebłahe; wygrywano tysiące dolarów, niekiedy zaś wielką nagrodę wynoszącą 64 tysiące dolarów. Nic więc dziwnego, że audycja wzbudzała sensację i ogólne zainteresowanie. Ową „Zgaduj-zgadulę” finansowała firma „Revlon Inc.”, która przy sposobności reklamowała swoje wyroby kosmetyczne.

W okresie, gdy van Doren zetknął się z *producerem*, tj. autorem i reżyserem tej audycji, Albertem Freedmanem, w teleturnieju „Dwadzieścia jeden” pierwszym blaskiem jaśniał geniusz niejakiego Herberta Stempela. Trzeba zaznaczyć, że takich „geniuszy” poprzednio było sporo i telewizja wciąż odkrywała niezwykle, fenomenalne talenty, nadludzkie nieomal umysły. Herbert Stempel był reklamowany jako „cudowny chłopak z Brooklynu”. Ten domniemany „chłopak z ludu”, samouk o niezwykłych zdolnościach, „posiadał” wszechstronną wiedzę encyklopedyczną. Zadziwiał wszystkich, gdy bezbłędnie odpowiadał na najtrudniejsze pytania, zgarniając wielkie i mniejsze nagrody i bijąc na głowę swoich konkurentów. Właśnie Freedman zaproponował van Dorenowi, by został następcą Stempela, kiedy pojawiły się wśród widzów symptomy zubożenia i znudzenia. Reżyser gwarantował stu procentowy sukces, a za wystąpienie w jednej audycji obiecał tysiąc dolarów. Aby

zwycięstwo było pewne i całkowite, van Doren miał dostać odpowiedzi na wszystkie pytania. Musiał się ich tylko nauczyć na pamięć, a potem przed kamerami telewizyjnymi dobrze odegrać rolę wszechwiedzącego człowieka. W ten sposób Stempel miał zostać pobity. Van Doren twierdził później, że nie chciał się zgodzić i miał zamiar wystąpić przeciwko Stempelowi z zasobem swoich własnych wiadomości. Freedman jakoby roześmiał się ironicznie i odpowiedział, że wtedy nie będzie miał żadnych szans. Pytania są bardzo trudne i nie ma na świecie człowieka, który by mógł posiadać aż tak rozległą wiedzę, by dać trafne odpowiedzi. Gdy van Doren wyrażał skrupuły, Freedman, chcąc je rozwiązać, zapewnił go, że tego rodzaju metody są praktykowane na porządku dziennym, gdyż inaczej impreza straciłaby na atrakcyjności i zakończyłaby się fiaskiem. Zapewnił też profesora, że biorąc udział w audycji spełni ważną misję „społeczną”, gdyż tysiące ludzi dzięki teleturniejowi uzupełniają swą wiedzę i zdobywają nowe wiadomości.

Pod presją argumentów van Doren „zmiękł” i przyjął ofertę. Oczywiście Stempela „zwyciężył”, i to bardzo łatwo. Zdetronizowany konkurent nie dał jednak za wygraną, nie mając zamiaru rezygnować z tak intratnej „posady”. Chciał nawet splatać dotkliwego telewizji figla. Dotąd ukazywał się - telewidzom w dzinsach, wiatrówce i w kraciastej koszuli, tak jak się ubiera młodzież robotnicza. Gdy zorientował się, na co się zanoszą, przyszedł w eleganckim ubraniu postanowiwszy wyznać przed publicznością prawdę i zdemaskować całą tę telewizyjną mistyfikację. Freedman jednak zorientował się w porę i niewygodnego „aktora” nie wpuścili do studia. Stempel zaprzysiął zemstę.

Tymczasem van Doren robił błyskawiczną i błyskotliwą karierę. Uzyskał niewiarygodną wprost popularność. Profesor zadziwiał wszystkich swą encyklopedyczną wiedzą, a sprzedaż kosmetyków firmy „Revlon” szybko wzrastała. Zaczęły się sypać nagrody; istny złoty deszcz spadał na van Dorena. W ciągu paru miesięcy zarobił 129 tysięcy dolarów! Poczta doręczała mu dziennie setki, tysiące listów. Prośby o autografy, wyrazy podziwu, rozmaite propozycje.

Ale taka już jest natura ludzka, że nie znosi monotonii i lubi nade wszystko różnorodność. Wciąż oglądana ta sama twarz na szklanych ekranach musiała z czasem znużyć spragnionych nowości telewidzów. Znudziła się więc i fizjonomia van Dorena. Krzywa zbytu firmy „Revlon Inc.” zaczęła znów spadać. Był to sygnał alarmowy, że osoba van Dorena przestała bawić. Z van Dorenem jednak nie postąpiono tak brutalnie, jak z Herbertem Stempem. Oświadczone mu, że musi dać się „pobić” „fenomenalnej” kobiecie, uroczej pani Vicienne Nearing. Dodano też, że nie chcą jednak rezygnować z jego współpracy; proponują mu w zamian stałą posadę z pensją 50 tysięcy dolarów, a swoje stanowisko na uniwersytecie może zatrzymać. Van Doren chętnie przystał na proponowane warunki.

Wtedy właśnie wybuchł wielki skandal. Herbert Stempel, który przez dłuższy czas starał się oskarżyć telewizję o brudne machinacje, zadał w końcu cios. I oto w prasie ukazało się jego oświadczenie demaskujące całą inscenizację. Dowiedziano się, kim są ci wszyscy mędrcy o encyklopedycznej wiedzy i na czym ona polega. Wielu dziennikarzy ruszyło do ataku obierając za cel van Dorena i Freedmana. Freedman wszystkiemu zaprzeczył i zobowiązał van Dorena, by nie ujawniał prawdy. Sprawą zainteresowały się władze sądowe. Freedman spotkał się z van Dorenem i przestrzegł go, że jeśli piśnie słowo, to koniec z kontraktem. Dlatego van Doren, wezwany przez prokuratora, wyparł się wszystkiego. Potem szybko wyjechał na dłuższy *weekend* do Nowej Anglii.

Sąd sprawę umorzył, gdyż właściwie nikt nie został bezpośrednio poszkodowany, sama zaś afera nie miała wyraźnych cech przestępstwa. Skandalem zajęła się jednak komisja senacka, a to już było groźne.

Na wieść o tym van Doren natychmiast przerwał „wypoczynek” i powrócił do miasta. Zrozumiał, że teraz nie ma żartów. Zdecydował się wyznać całą prawdę. Porozumiał się ze swym adwokatem i powiedział, co zamierza uczynić. W odpowiedzi usłyszał tylko: — Niech cię Bóg błogosławi!

Z tym „błogosławieństwem” udał się do Waszyngtonu, gdzie wyznał wszystko z największą szczerością. Z siebie zrobił ofiarę, całą winę zwałił na Freedmana, bił się w piersi, płakał i powtarzał, że bardzo żałuje, iż dał się w to wciągnąć. Ale pieniądze zatrzymał i słowem nie wspomniał, że je zwróci lub przeznaczy na jakieś cele.

Rozprawa przed komisją senacką ujawniła szereg tajemnic, skrzętnie dotychczas ukrywanych przez towarzystwa telewizyjne. Głównym gniazdem korupcji była właśnie audycja „Dwadzieścia jeden”. Jak się okazało, demoralizowano i wciągano do tej sprawy nawet dzieci.

Kilkunastoletnia Patty Duke, dziecięca „gwiazdka” zgaduli, również otrzymywała odpowiedzi na zadawane jej potem pytania. W muzycznym *quizie* podzieliła się otrzymaną nagrodą (64 tysiące dolarów) ze swym partnerem Eddie Hodgesem.

Pewien muzyk, Xavier Cugat, zeznał, że wygrał 16 tysięcy dolarów tylko dzięki temu, że otrzymał odpowiedzi od producenta Merta Koplina. Z sumy tej wypłacił 10 procent pewnemu dziennikarzowi,

który zetknął go z Koplinem. Ten zaś bez żenady oświadczył, że dwie trzecie nagrodzonych stanowiły osoby podstawione. Tłumaczył się następnie, że musiał zadowolić firmy finansujące imprezę. Kto płaci, ten wymaga. Trzeba było tak robić, by audycje były zajmujące i ściągały jak najwięcej widzów do telewizora.

Znów zawrzało w prasie. Opinie społeczeństwa były podzielone. Gdy towarzystwo telewizyjne NBC ogłosiło o zerwaniu umowy z van Dorenem, zaraz pierwszego dnia nadeszło przeszło siedemset listów od niezadowolonych widzów. Niektórzy nawet żądali, by van Doren nadal pracował w telewizji. Gdy zaś uniwersytet Columbia przyjął jego rezygnację ze stanowiska wykładowcy języka angielskiego, szereg uniwersytetów zwrócił się do van Dorena z propozycjami objęcia doskonale płatnych posad. Nowojorski magazyn „Leisure” zaproponował mu stanowisko redaktora, a studenci z uniwersytetu Columbia urządzili burzliwą demonstrację na jego cześć. Van Doren stał się znowu bohaterem. Redakcje pism były zasypywane listami. Szczególnie gorąco broniła go młodzież. Jej zdaniem van Doren był w porządku. Nie ukradł tych pieniędzy, nie wyłudził, lecz dostał, a więc miał prawo je brać i zatrzymać. Ogólnie twierdzono, że był to tylko *business*, a to każdemu wolno.

Nawet pastor Jackson z Tullahoma stanął w obronie van Dorena. Gdy wezwano go przed komisję senacką w charakterze świadka, gdyż specjalnie zajmował się *quizami* i na ich temat napisał nawet książkę, oświadczył między innymi: „Jestem wyświęconym pastorem, lecz to wcale nie znaczy, bym miał być świętym. W każdym człowieku drzemie chęćka do złodziejstwa i to po części usprawiedliwia taki krok. Sam nie wiem, jak bym się zachował, gdybym spotkał się z taką propozycją”.

Znaleźli się i tacy, którzy na tym skandalu chcieli ubić interes. Zaskarżyli telewizję i zażądali odszkodowania. Skarżyli ci, którzy występowali w „zgaduli” i oczywiście przegrywali. Pani Ethel Davidson, adwokat, domagała się od telewizji odszkodowania w wysokości 1 200 000 dolarów. Swego czasu stanęła ona do *quizu*, lecz przegrała, otrzymując jedynie nagrodę pocieszenia w wysokości stu dolarów. W skardze dowodziła, że wygrałaby na pewno sto tysięcy dolarów, gdyby turniej prowadzony był uczciwie. Pozostałe 1 100 000 dolarów żądała jako odszkodowania z tytułu poniesionych strat moralnych, ponieważ musiała znieść „wstyd i upokorzenie” z powodu przegranej. Pewien podstawiony taksówkarz, Tome Kane, został zaskarżony przez swych kontr-partnerów o bezprawne odebranie nagrody w wysokości stu tysięcy dolarów. Szofer ten występował jako „niezrównany znawca języka angielskiego i dzieł Szekspira”.

Van Dorena nikt jednak nie zaskarżył i nikt nie potępił; uznano go jedynie za ofiarę. Potępiono natomiast Stempela za brak „solidarności”. Van Doren imponował tłumom swą przedsiębiorczością, tak jak imponuje tam każdy, kto potrafi łatwo, bez wysiłku zdobyć fortunę.

Sprawa Chessmana

Amerykański wymiar sprawiedliwości najlepiej charakteryzuje sprawa Chessmana. W Europie byłoby nie do pomyślenia, aby skazańca trzymano przez 12 lat w celi śmierci pod nieustającą grozą wykonania wyroku. W USA opinia publiczna również potępiła sposób postępowania z Chessmanem, lecz to bynajmniej niczego nie zmieniło.

Caryl Chessman dość wcześnie zetknął się z policją, sądami i domami poprawczymi. Pierwszy raz aresztowano go za kradzież samochodu, kiedy miał szesnaście lat. Przewieziony do sądu dla nieletnich w Los Angeles, uciekł przez okno. Już jednak następnego dnia został ujęty, tym razem na plądrowaniu apteki. Za karę został wysłany na osiem miesięcy do zakładu poprawczego w San Quentin.

Zaledwie w kilka miesięcy po odbyciu kary został aresztowany za kradzież samochodu. Wrócił więc do zakładu poprawczego, ale za wzorowe sprawowanie zwolniono go przedterminowo. W rok później znalazł się znów w tym samym zakładzie San Quentin, mając na sumieniu dwa rabunki i jedno włamanie. Po dwuletnim pobycie odesłano Chessmana do nowoczesnego zakładu w Chino, gdzie młodociani przestępcy przebywali właściwie na swobodzie. Chessman skorzystał z okazji i uciekł. Ponownie złapany, został tym razem osadzony w więzieniu. W 1947 roku ulaskawiono go i wypuszczono na wolność.

Wkrótce potem, w okolicach Los Angeles, zaczął grasować w szarym Fordzie jakiś nieuchwytny bandyta. Używał czerwonej latarki, jaką posługuje się policja. Za pomocą tej latarki zatrzymywał samochody i pod groźbą pistoletu obrabowywał jadących pasażerów. Zgwałcił też parę samotnie jadących kobiet. Jedna z dziewcząt doznała w następstwie gwałtu ataku schizofrenii i długie lata zmuszona była przebywać w zakładzie dla umysłowo chorych.

Pewnego dnia policja została zaalarmowana, że paru bandytów obrabowało kasę w dużym magazynie odzieżowym. Podano również, że sprawcy uciekli szarym Fordem. Wreszcie patrolom policyjnym udało się zatrzymać szarego Forda. Jechał nim Caryl Chessman.

Aresztowany zaprzeczył, jakoby dokonywał napadów na drogach, jak również nie przyznał się do obrabowania sklepu. Lecz zebrane dowody niezbicie przemawiały na jego niekorzyść. Okazało się, że szary Ford został skradziony i był to ten sam samochód, którym *jeździł* nie znany przestępca. Decydujące jednak znaczenie miała okoliczność, że trzy ofiary napadów rozpoznały Chess-mana oraz jedna ze zgwałconych kobiet.

W lipcu 1948 roku Chessman stanął przed sądem w Los Angeles i za dokonane gwałty został skazany na karę śmierci. W myśl ustawy obowiązującej w tym stanie miał być stracony w komorze gazowej. W czasie całego przewodu sądowego Chessman uparcie twierdził, że nie popełnił zarzucanych mu przestępstw. Potem zaś twierdził, że został niewinnie skazany. Rozpoczął natychmiast zażartą walkę o życie. W tym celu przeczytał około tysiąca dzieł prawniczych i według opinii sędziów stał się bodajże najlepszym znawcą prawa w Stanach Zjednoczonych. Z pomocą swoich obrońców, którymi kierował przez dwanaście lat bezustannie, apelował i wynajdywał przeróżne nieścisłości i uchybienia proceduralne. Jego skarga apelacyjna, własnoręcznie napisana, obejmowała dwa tysiące stron maszynopisu.

Chessman z uporem odrzucał rady adwokatów, aby zwrócił się do gubernatora z prośbą o uchylenie wyroku śmierci i zamianę na dożywotnie więzienie. Wciąż dowodził, że jest niewinny i nie ma nic wspólnego z bandytą z „szarego Forda”. Żądał ponownego zbadania sprawy i uniewinnienia.

W oczekiwaniu na wykonanie wyroku śmierci Chessman napisał w więzieniu książkę pt. „Celi 2455 Death Row” (Cela 2455 — uliczka do śmierci). Opisał w niej sugestywnie swoje wrażenia i p|ł|fez^cia więzienne. Książka rozeszła się w Stanach Zjednoczonych w ilości 500 tysięcy egzemplarzy i została przełożona na 12 języków. Dzięki tej publikacji. Chessman stał się znany na całym świecie; spowodowała ona ponadto liczne interwencje. Interweniowały przeróżne stowarzyszenia, instytucje, a nawet poszczególnie osoby. Z Paryża przyjechała śpiewaczka Georgie Vienne, by osobiście prosić gubernatora Browna w Sacramento o uchylenie kary. O ulaskawienie skazanego prosił też przewodniczący brazylijskiego Sądu Najwyższego, Nelson Hungria, autor brazylijskiego kodeksu karnego, wybitny autorytet w zakresie prawa. W całej niemal prasie ukazały się artykuły w obronie Chessmana. Między innymi wysuwano argument, że żyjąc przez dwanaście lat pod grozą wykonania wyroku śmierci, wycierpiał tyle, że zasługuje na ulaskawienie. Twierdzono również, że książka jego dowodzi, iż w człowieku tym zaszły tak wielkie zmiany, że stracenie go byłoby okrucieństwem. Życie Chessmana nazywano „nieustanną agonią” i „zalegalizowaną torturą”. Gdy w końcu Sąd Najwyższy znów wyznaczył nową datę egzekucji, ósmą z rzędu, na 19 lutego 1960 roku, rząd urugwajski zwrócił się z oficjalną notą do rządu Stanów Zjednoczonych komunikując, że o ile egzekucja nie zostanie odroczone, rząd Urugwaju nie będzie w stanie zagwarantować bezpieczeństwa prezydentowi USA w czasie jego zapowiadanej wizyty w tym kraju.

Opinia publiczna w Ameryce Południowej była sprawą Chessmana niezwykle poruszona, podobnie zresztą jak w Ameryce Północnej. Pod petycją o ulaskawienie zebrano 384 podpisy profesorów uniwersytetów. Pewien nauczyciel, Norbert Nicholas, rozpoczął głodówkę protestacyjną. Przed budynkiem Kapitolu w Sacramento odbywały się nieustannie demonstracje. Egzekucję nazywano morderstwem, a tego rodzaju wymiar sprawiedliwości „zemstą policji”. Poczta przynosiła gubernatorowi dziennie około tysiąca listów w tej sprawie. Na ulicach śpiewano balladę o Carylu Chessmanie, a na półkach księgarskich ukazała się książka pod tytułem „Sprawiedliwość i Caryl Chessman”.

Gabinet gubernatora szturmowali telefonicznie mieszkańcy obu półkul. Do Browna zwróciła się listownie w tej sprawie belgijska królowa-matka i partia włoskich socjaldemokratów. Sekretarz stanu Herter wyraził się na konferencji prasowej, że sprawa Chessmana wyrządziła Stanom Zjednoczonym ogromne szkody; prestiż USA ucierpiał szczególnie w Ameryce Południowej. Nadeszło stamtąd około 2 500 000 listów. W Holandii doszło do demonstracji antyamerykańskich, a angielski „Daily He-rald” napisał, że „wielki naród amerykański poniżył się, zezwalając na powolną agonię Chessmana”.

Przypomniano przy okazji historię Jimmie Wilsona, Murzyna, skazanego w roku 1958 na karę śmierci za kradzież jakiegoś drobiazgu wartości niespełna dwóch dolarów. Ponieważ kradzież popełniono w nocy, czyn zakwalifikowano jako rabunek (za rabunek w nocy karze się w stanie Alabama śmiercią), i w ten sposób Wilsona skazano na krzesło elektryczne. Wówczas z całego świata posypały się protesty. Interweniował nawet amerykański Departament Stanu. Pod naporem opinii publicznej Wil-sonowi zamieniono w drodze łaski karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Walka o życie Chessmana trwała dalej, lecz władze stanowe były nieugięte. Tygodnik „Life” ogłosił sprawozdanie z drastycznej wizyty, jaką w więzieniu złożyli Chessmanowi dwaj detektywi, którzy go ujęli, a potem w sądzie złożyli najbardziej obciążające zeznania. Spotkanie odbyło się w gabinecie

naczelnika więzienia w San Quentin. Po chwili oczekiwania wprowadzono Chessmana.

— Halo, Caryl, jak się pan miewa? — powiedział jeden z detektywów, Goosen.

Chessman usiadł i rozejrzał się po obecnych.

— Ah, to pan Goosen i pan Forbes.

— Dawno już nie widzieliśmy się, chyba ostatni raz przed dziesięciu laty — rzekł Goosen.

— Nie... — poprawił Chessman. — Nie wiem, czy pan tu był, ale Forbes był tu w 1954 roku, aby asystować jako świadek przy mojej egzekucji. Spotkał pana zawód... co?

— To było chyba w 1952 roku — zaznaczył Forbes.

— Nie, w 1954... — powiedział twardo Chessman.

— Ja jestem tu pierwszy raz — powiedział Goosen — cieszę się widząc pana...

— Możliwe, że to ostatnia okazja... mógł się pan spóźnić — odrzekł Chessman.

Przecucia go nie myliły.

Datę egzekucji wyznaczono ostatecznie na dzień 4 maja 1960 roku. Wciąż napływały nowe petycje, lecz tym razem władze okazały się nieubłagane. Być może chodziło o kwestię natury osobistej. Tak czy inaczej postanowiono egzekucji więcej nie odwlekać i w wyznaczonym dniu Chessman został stracony. Opinia publiczna była wzburzona, ale tylko przez pewien czas. Potem ucichło i o Chessmanie zapomniano, jako że pamięć o nieżyjących szybko wygasa. Gubernator Brown odetchnął z ulgą.

„Żelazna maska” amerykańskich więźni

Sprawa Chessmana przypomniała Amerykanom o istnieniu jeszcze innego osobliwego więźnia, zwanego tu powszechnie „Ptasznikiem z Alcatraz”. Więźniem tym jest niejaki Robert Stroud, przebywający za kratami już 54 lata. Skazany odsiadyuje wyrok tylko w najcięższych więzieniach, jak McNeil Island, Leavenworth i Alcatraz. Od czterdziestu pięciu lat Stroud przebywa w całkowitej izolacji i tylko słynna „żelazna maska” z Bastylii mogłaby z nim konkurować. Jada tylko w swojej celi — w amerykańskich więzieniach są wspólne jadalnie — nie zetknął się nigdy z żadnym więźniem, jest pozbawiony wszelkich praw i nie odbył ani razu spaceru na wolnym powietrzu. Nazwano go „duchem” ciężkich więzień. Wszyscy ci, którzy kiedyś byli przy jego uwięzieniu, jak i ci, którzy go oskarżyli i zasądzi w 1909 r., dawno już nie żyją. Od osiemnastu lat Strouda może odwiedzać poza adwokatami tylko jeden człowiek, a mianowicie jego brat. Nawet jego matce zabroniono odwiedzania skazanego. Wydawać by się mogło, że jest to niezwykły zbrodniarz, tymczasem opinie są podzielone.

Stroud dostał się do więzienia za zamordowanie w 1909 roku na Alasce właściciela baru o nazwisku Charlie Dehmer. Później wytoczono mu sprawę za zamordowanie w 1916 roku w więzieniu w Leavenworth strażnika. Odosobnienie jest właśnie specjalną karą za ten czyn. Strouda skazano wówczas na śmierć przez powieszenie, lecz prokurator generalny i władze więzienne uznały, iż winien żyć i przebywać w specjalnie ciężkich warunkach więziennych — jako przykład i ostrzeżenie dla wszystkich innych więźniów.

Stroud nigdy nie prosił o ułaskawienie lub choćby o złagodzenie surowych przepisów i nigdy nie okazał skruchy. Karę swoją znosi spokojnie i cierpliwie. W 1955 roku Thomas E. Gaddis napisał o nim książkę pt. „Birdman of Alcatraz”. Wkrótce z całego świata zaczęły nadchodzić tysiące listów, wyrażające współczucie dla więźnia. Gaddis odkrył, że Stroud posiadał w więzieniu wyjątkową znajomość życia ptaków i napisał ciekawe i jedyne w swoim rodzaju dzieło pt. „Digest of the Diseases of Birds” (Wykaz chorób ptaków). Pracę tę napisał po dwudziestu latach gruntownych studiów nad ptakami, które hodował w swojej celi. Pracę więźnia uznano za najbardziej wyczerpujące i gruntowne dzieło naukowe na ten temat. Po jej opublikowaniu posypały się petycje o ułaskawienie Strouda. Dwadzieścia trzy razy wnoszono bez skutku prośbę o ułaskawienie. Nie rozpatrzono ani jednej. Federal Board of Parole, tzn. Sąd Apelacyjny, z zasady odrzucał wszystkie petycje, prośby i wnioski.

Stroud miał trzynaście lat, gdy opuścił dom i udał się na Alaskę. Skłoniły go do tego ciężkie warunki i żądza przygód. Na Alasce los nie był dla niego łaskawy. Cierpiał biedę. Wąty chłopiec z trudem zdobywał pracę. Gdy miał lat osiemnaście, zachorował na zapalenie płuc. Zaopiekowała się nim wtedy 36-letnia kelnerka Kitty O'Brien. Po powrocie do zdrowia Stroud zamieszkał z nią. Wówczas na widowni pojawił się Charlie Dehmer, właściciel baru, w którym pracowała Kitty. Dehmer nakazał jej wyrzucić chłopca, ale spotkał się ze stanowczym sprzeciwem. Dehmer wpadł w wściekłość i zbił swoją pracownicę.

Kiedy Stroud wrócił wieczorem po pracy do domu, Kitty opowiedziała mu całe zajście. Wzburzony chłopiec wybiegł na ulicę z pistoletem w kieszeni. Począł przed barem i gdy Dehmer się ukazał, zastrzelił go. Potem udał się wprost na policję i powiedział, że zabił Dehmera za maltretowanie Kitty.

Stroud został osadzony w więzieniu McNeil Island, gdzie panował wyjątkowo surowy regulamin. Wyrok

opiewał na 12 lat więzienia. Pewnego razu któryś z więźniów oskarżył go fałszywie o kradzież chleba. Stroud, z natury porywczy, chwycił za nóż i pogroził nim kłamacy. Współwięzień poskarżył się strażnikowi. Incydent ten przekreślał jakąkolwiek szansę skrócenia kary. Wkrótce przeniesiono Strouda do jeszcze cięższego więzienia w Leavenworth.

25 marca 1916 roku Stroud znalazł po powrocie z pracy do celi koszyk z owocami. Załączona karteczka pochodziła od brata, który przybył do niego w odwiedzin. Niestety, nie był to dzień odwiedzin i brat Roberta musiał parę dni poczekać. Stroud był niezwykle podniecony, gdyż miały to być pierwsze odwiedzin po siedmiu latach więzienia. Przy kolacji zwierzył się ze swego szczęścia sąsiadowi przy stole, mimo iż rozmowy były tu surowo wzbronione. Pech chciał, że stał za nim strażnik.

— Podaj mi swój numer! — rozkazał.

Stroud stał chwilę oniemiały, po czym wyjąkał — Osiem, jeden, pięć, cztery... — Wiedział, co to znaczy. Będzie ukarany, a więc nie będzie mógł zobaczyć się z bratem. Zrozpaczony, spędził bezsenłą noc.

Strażnik Turner był znany ze swej zaciętości. Stroud jednak podszedł do niego i zapytał, czy złożył raport. Strażnik skinął potakująco głową, a potem krzyknął ostro, by wrócił na swoje miejsce przy stole. Wtedy podobno więzień wyciągnął nóż i przebił nim Turnera. Strażnik zmarł po kilkunastu minutach. Stroud zaprzeczał potem, jakoby był sprawcą zabójstwa. Wokoło było wielu więźniów i ktoś inny miał pchnąć znenawidzonego przez wszystkich więźniów strażnika.

Odbyły się trzy procesy, gdyż Stroud dwa razy apelował, twierdząc, że jest niewinny. Mówił, że wie, kto dokonał morderstwa, lecz nie chce obciążać kolegi. W rezultacie został skazany na śmierć przez powieszenie. Na siedem dni przed wykonaniem wyroku prezydent Woodrow Wilson zmienił wyrok śmierci na dożywotnie więzienie. Zastosowano jednak specjalnie ostre przepisy, mające na celu stworzenie mu wyjątkowo ciężkich warunków więziennych. Całkowicie izolowano go od pozostałych więźniów. Po wielu latach zezwolono mu jedynie na trzymanie kanarków. Stroud zbudował klatki, a koszty materiałów pokryła rodzina. Pielęgnował swe ptaki pieczołowicie i wkrótce miał ich około dwustu. Hodowla kanarków rozwinęła w nim zainteresowanie chorobami tych ptaków. Otrzymał odpowiednie książki i rozpoczął systematyczne studia. Później zezwolono mu na pisywanie artykułów do czasopism fachowych. Podpisywał je oczywiście pseudonimem, ponieważ osoba autora musiała dla wszystkich pozostać nieznana. Prowadził również korespondencję z dwoma tysiącami hodowców kanarków ze Stanów Zjednoczonych i innych krajów. Hodowcy adresowali swoje listy: skrzynka pocztowa 7, Leavenworth. W 1930 roku Stroud dzięki artykułom i sprzedaży kanarków zarabiał już tyle, że mógł wspomagać swą matkę.

W 1931 roku przeprowadzono reformę więziennictwa w Stanach Zjednoczonych. W oparciu o nowe przepisy, które między innymi nie pozwalały na jakąkolwiek pracę zarobkową więźniów, zabroniono mu dalszej hodowli. Stroud jednak nie chciał się rozstać ze swymi skrzydłatymi ulubieńcami i podjął walkę. Prowadził ją - należy przyznać - z pewnym powodzeniem, przyczyniając władzom więziennym wiele kłopotów. Okazało się niebawem, że amatorzy-hodowcy kanarków znajdują się wszędzie. Jakiś hodowca-strażnik przemyślił z więzienia list Strouda, a inna wielbicielka ptaków, Delia May Jones, powieliła ten list w tysiącach egzemplarzy i rozesała do wszystkich hodowców. Posypały się interwencje najwyższych osobistości rządowych, kongresmenów i senatorów. Rozpoczęto kampanię prasową, a około stu członków Kongresu zaprotestowało przeciwko wprowadzonej reformie więziennictwa. Władze więzienne próbowały pertraktować ze Stroudem, chcąc skłonić go do ustępstw i zamiany na inne przywileje. On jednak trwał przy swoim. W końcu władze skapitulowały i zezwoliły Stroudowi na dalszą hodowlę.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, możliwości korespondencyjne Strouda zostały ograniczone do dwóch listów tygodniowo. Wówczas oświadczono mu, że jako krnąbrny więzień zostanie przeniesiony do cięższego więzienia Alcatraz. Stroud, wertując wówczas bibliotekę więzienną, znalazł stary traktat paryski z 1803 roku dotyczący sprzedaży Stanom Zjednoczonym Luizjany przez Napoleona. Otóż jeden z przepisów traktatu zastrzegał sobie prawo zawierania małżeństw przez zwykłe podpisanie umowy. Ponieważ stan Kansas, z którego Stroud pochodził, należał do terytorium dawnej Luizjany, postanowił skorzystać z postanowień tego traktatu. Poza tym istniał jakiś stary przepis, w myśl którego więzień powinien odbywać karę w miejscowości zamieszkałej przez współmałżonka.

Na parę dni przed terminem przeniesienia go do Alcatraz w redakcji gazety „Star”, wychodzącej w Kansas City, zjawiała się wspomniana już Delia May Jones i okazała dokument podpisany przez Strouda, stwierdzający, że jest jego żoną. Jednocześnie oświadczyła, że wbrew przepisom władze chcą przenieść jej męża do innego stanu. W rezultacie Stroud pozostał w dotychczasowym więzieniu, lecz zemszczono się na nim. Wydano zarządzenie zabraniające widywania się z żoną.

W tym czasie Stroud przystąpił do pisania swej rozprawy o chorobach ptaków. Zajęło mu to dziewięć lat

pracy. Dzięki staraniom żony otrzymał nawet stary mikroskop, ofiarowany przez uniwersytet Wesleyan. Posiadał też skalpel, nożyk do golenia oraz szkiełko do preparatów i jedno lustro. By napisać jeden tylko rozdział o krwi ptaków, zużył na przeprowadzenie potrzebnych badań przeszło trzy tysiące godzin. Byłby niewątpliwie jeszcze bardziej wzbogacił naukę w tej dziedzinie, gdyby nie nowa decyzja władz. Znalazły one mianowicie jakąś lukę w przepisach i przeniosły go do Alcatraz.

Pojechał tam, niestety, już bez niczego. Kazano mu pozostawić zarówno kanarki, jak i przyrządy. W nowym więzieniu zastosowano wobec niego obostrzony rygor. Osadzono go w celi bez wentylacji i pozbawiono nawet miednicy. W tych warunkach spędził osiem długich lat. Nie wolno mu było doręczać gazet i tylko czasami otrzymywał jakąś starą książkę z biblioteki więziennej. Pod wpływem wyczerpania psychicznego próbował popełnić samobójstwo, lecz go w porę odratowano.

Kiedy już zaczęto o nim zapominać, książka Gaddisa przypomniała wszystkim o istnieniu tego osobliwego więźnia. Znalazł się nawet adwokat, który podjął się obrony. Znowu posypały się petycje i różni dygnitarze-hodowcy kanarków zaczęli się wstawiać za nim. Uzyskano tyle tylko, że Strouda przeniesiono z więzienia w Alcatraz do Springfield, gdzie umieszczono go w lepszej celi i traktowano na równi z innymi więźniami.

Tak wygląda historia Strouda. Dziś jest to już schorowany i znękaný starzec, o którym coraz głośniejsze mówi się i pisze, iż władze mszczą się na nim za to, że nigdy nie chciał przyznać się do winy, okazać skruchy i prosić o ułaskawienie.

Jak się rabuje banki w Ameryce?

Trzydziestotrzyletni pracownik umysłowy, William Levine, wszedł pewnego dnia rano do Boverly Savings Bank w Nowym Jorku i skierował się do kasy. Rozejrzał się trwożliwie dokoła, po czym nagłym ruchem wyciągnął z kieszeni dziecienny pistolet i grożąc nim kasjerowi zażądał wypłacenia trzech tysięcy dolarów. Minę przy tym miał tak przerażoną, że kasjer nabrał odwagi i zaczął krzyczeć. Rozdzwoniły się sygnały alarmowe, na dachu zawyła syrena. Levine cisnął swój pistolecik na ziemię i rzucił się do ucieczki. Na ulicy bez trudu ujeli go przechodnie.

Policja stwierdziła, że Levine nie figuruje w kartotekach przestępców, a w miejscu pracy i wśród sąsiadów cieszył się nieposzlakowaną opinią.

— Co za diabeł skusił pana? — zapytał policjant. — Jak może tak solidny człowiek napadać na bank, i to... w tak głupi sposób?

— Myślałem — odpowiedział Levine spokojnie — że jeśli inni tak łatwo i bezkarnie rabują banki, to i mnie się uda. Bardzo potrzebowałem pieniędzy, właśnie trzech tysięcy dolarów...

Zdarzenie typowe, a wydawać by się mogło, że nieprawdopodobne. Rabowanie banków przez laików i zupełnych dyletantów w „kasiarskim fachu” stało się w USA niemal sportem, a w istocie groźną epidemią społeczną. Levine jest właśnie okazem amatora-rabusia, jakich w ostatnich pięciu latach pojawiły się setki. W 1959 roku obrabowano w USA 764 banki, właśnie w ten sam mniej więcej sposób, jak to chciał uczynić Levine. Sprawcami tych napadów są z reguły dyletanci, nie mający pojęcia o „fachowej robocie”. Do postraszenia strażników często używają dzieciennych pistoleczków, gdyż prawdziwej broni wolą nie brać do ręki.

W Nowym Jorku pewna starsza niewiasta, Vera Wilson, obrabowała kilka banków przy pomocy innej metody. Pani Vera, niska, gruba, już po sześćdziesiątce, emerytowana urzędniczka pocztowa, wchodziła do banku, uśmiechała się mile i mówiła „dzień dobry”. Potem, przy okienku kasjera, wyjmowała z torebki mały flakonik z płynem i z groźną miną oświadczała kasjerowi, że to jest kwas solny. Nie omieszkała oczywiście nadmienić, że o ile nie poda jej natychmiast tyle a tyle dolarów lub zrobi alarm, to mu tym kwasem wypali oczy. Tak zastraszeni kasjerzy posłusznie wypłacali pieniądze, a starsza pani sprytnie się wycofywała i znikła w tłumie. Znalazł się wreszcie jakiś kasjer-śmiałek, który odważył się wyrwać jej z ręki groźną buteleczkę. Jak się okazało, zawierała zwykłą wodę.

Dyrektor pewnego banku w wywiadzie prasowym oświadczył, że straty, jakie ponoszą banki, są wprost śmieszne. Nie chodzi nawet o strach, jaki sieją bandyci, lecz jedynie o wstyd. „Wszyscy się z nas śmieją i niech mi pan wierzy, że nie tak łatwo dziś znaleźć amatora na stanowisko kasjera”.

Banki są zasadniczo doskonale zabezpieczone przed włamaniami czy napadami, lecz wyłącznie przed takimi „z prawdziwego zdarzenia”. Istnieją więc skomplikowane systemy alarmowe, poza tym wszędzie są rozmieszczone kamery filmowe. Z chwilą gdy kasjer nieznacznie naciśnie nogą guziczek, ukryty aparat zaczyna filmować. System ten znakomicie ułatwia policji wykrycie bandyty. Wszystkie te urządzenia nie mają jednak praktycznego znaczenia w nowej sytuacji. Obecnie rabusie nie pochodzą nigdy ze świata przestępczego, są zupełnie policji nie znani i stoją poza wszelkimi podejrzeniami.

W każdym banku znajduje się zawsze jeden lub więcej uzbrojonych strażników. Są nimi zwykle emeryci,

którzy zupełnie nie zdradzają ochoty „kłaść zdrowej głowy pod ewangelię”. Gdy więc spostrzegą, że w banku coś się dzieje, odwracają się i udają, iż nic nie widzą.

Nie można ich nawet winić o brak bohaterstwa, podobnie jak kasjerów. Bankom właściwie nie zależy na pochwyceniu przestępców. Są one ubezpieczone i nie ponoszą żadnych strat. Chodzi jedynie o to, by w banku nie doszło do strzelaniny. Tego właśnie się obawiają. Strzelanina bowiem odstręczyłaby klientów. Ludzie unikają niespokojnych miejsc. Dlatego więc kasjerzy i strażnicy z wielkimi pistoletami mają nakaz, by nie interweniować i nie prowokować rabusiów do żadnych desperackich czynów. Dopiero gdy złoczyńca nieco się oddali, można wszczać alarm i zawiadomić policję. Tym należy sobie tłumaczyć fakt, że napady na banki tak łatwo się udają.

Te właśnie okoliczności zachęcają innych do podjęcia ryzyka. Stwierdzono niejednokrotnie, że ludzie, dotychczas spokojni i uczciwi, pod wpływem tych opisów, podejmują nagle niezwykłą decyzję. Jeśli bowiem sześćdziesięcioletniej staruszce udawało się rabować banki — rozumują — dlaczego nie miałoby się im poszczęścić? W Newark, w stanie New Jersey, zdarzył się dość zabawny wypadek. Kasjerką w banku była tam pani w starszym wieku, korpulentna, o dość groźnej powierzchowności. Pewnego razu do okienka kasy zbliżył się jakiś mężczyzna, wyciągnął rewolwer i zażądał pieniędzy. Nie zrobiło to na kasjerce najmniejszego w*ażenia. Ofuknęła rabusia: — Czyś pan zwariował! Odkąd to pieniądze za nic się daje... Uciekaj pan natychmiast, bo jak pana złapią, to źle będzie! — Tamten zgłupiał. Wsunął pistolet do kieszeni i szybko się oddalił.

W ostatnich latach miało miejsce tylko jedno rzeczywiste włamanie — w Brockwille w maju 1958 roku. Pięciu mężczyzn, wyposażonych we wszystkie potrzebne narzędzia, rozbiło skarbiec banku i zrabowało dziesięć milionów dolarów. Lecz amatorskie napady stały się czymś tak zwykłym, częstym i mało ciekawym, że prasa codzienna niewiele się nimi zajmuje.

Czy lincz jeszcze istnieje?

Właśnie na parę dni przed moim przybyciem do Stanów Zjednoczonych zdarzył się lincz, oczywiście na Południu. Gazety szeroko rozpisywały się o tym wypadku.

W miejskim areszcie w Poplarville, w stanie Missouri, przebywał Murzyn Mark Charles Parker. Parkera uwięziono pod ciężkim zarzutem zgwałcenia białej kobiety. Poplarville jest małą miejsciną żyjącą z bawełny, której plantacje rozciągają się w całej okolicy. Atmosfera w tym prowincjonalnym miasteczku jest wybitnie południowa. Między białym a czarnym człowiekiem wznosi się nieprzebyty mur uprzedzenia rasowego. Po jednej stronie strach, a po drugiej — nienawiść.

W nocy 24 kwietnia 1959 roku grupa zamaskowanych mężczyzn wtargnęła do biura szeryfa. Tak się właśnie złożyło, że wtedy szeryf był w domu, o sto kroków dalej, i o niczym nie wiedział. W takich wypadkach zawsze nikt nic nie widzi, nie słyszy i o niczym nie wie. Z terrorem Ku Klux Klanu wszyscy się tu liczą, przede wszystkim policja.

Napastnicy zabrali z biura klucze, poszli do aresztu i wyciągnęli Parkera z celi. Zbili go, a potem wsadzili do samochodu. Podobno przed aresztem stał cały sznur wozów.

Przez dziesięć dni los Parkera był nie znany. Lecz 4 maja rzeka Pearl River, nad którą leży miasteczko, wyrzuciła na brzeg podziurawione kulami ciało Murzyna. Władze miejscowe i stanowe szybko orzekły, że sprawców nie można znaleźć. Poczyniono także kroki, by policja federalna nie mieszała się do tej sprawy. Zasadniczo policja ta ma prawo prowadzenia śledztwa w sprawie przestępstw popełnionych na terenie co najmniej dwóch stanów. Jeżeli na przykład samochód skradziony zostanie w jednym stanie, a sprzedany w innym — sprawa należy do kompetencji FBI. Są jeszcze inne przepisy regulujące zakres działalności policji federalnej, jednak zbrodnia linczu nie jest nimi objęta.

Głębokie poruszenie społeczeństwa skłoniło władze do wszczęcia dochodzenia w celu ukarania sprawców zbrodni. Wiedzano też, że miejscowe władze, jak zwykle, postarają się zatuszować całą sprawę. FBI wkroczyła jednak do Poplarville na tej zasadzie, że Parker przed zamordowaniem został porwany. Porwanie, od czasów Lindbergha, jest zbrodnią, której sprawy podpadają pod orzecznictwo sądów federalnych. Łatwo więc sobie wyobrazić nastroje, jakie panowały w Poplarville, gdy dla ochrony 60 agentów przysłano cały batalion wojska.

Sprawnie i szybko wykryto sprawców zbrodni. Nawet ich aresztowano, lecz rząd stanowy sprzeciwił się wydaniu ich sądowi federalnemu. Gubernator stanu Missouri bardzo energicznie protestował i w końcu postawił na swoim — winnych stawiono przed sąd stanowy.

Wydany wyrok, był oczywiście, niewspółmiernie łagodny w stosunku do charakteru przestępstwa.

Lincz istnieje w Stanach Zjednoczonych od dawna. Nazwa jego wywodzi się podobno od nazwiska pułkownika Charlesa Lyncha, który w czasie wojny o niepodległość, piastując godność sędziego, odznaczył się ściganiem lojalistów, nie troszcząc się zbytnio o to, czy byli nimi naprawdę. W każdym

razie instytucja linczu, jako swoistego sądu doraźnego, istniała w Ameryce już w XVII i XVIII wieku. Sąd ten, złożony z mieszkańców danego osiedla, albo wydawał wyrok śmierci przez powieszenie, albo uniewinniał. Przed takimi sądami stawiano tylko podejrzanych o kradzież koni, bydła lub o popełnienie gwałtu na kobiecie. Po Wojnie Domowej Ku Klux Klan zastosował lincz jako formę samosądu i środek terroru przeciwko Murzynom.

Ile osób zlinczowano w XVIII i XIX wieku — nie wiadomo. Nikt — rzecz jasna — takiej statystyki wówczas nie prowadził. Dopiero od początku bieżącego stulecia Instytut Tuskegee zaczął prowadzić statystykę tych barbarzyńskich zbrodni. Według danych od 1900 roku zlinczowano w USA 1990 Amerykanów, w tym 1 795 Murzynów i 195 białych. Tylko w latach 1952, 1953, 1954 i 1957 nie zdarzył się ani jeden wypadek samosądu. Dane statystyczne nie są jednak dokładne. Instytut Tuskegee podaje, na przykład, że w 1937 roku miało miejsce osiem wypadków linczu, chociaż powszechnie wiadomo, że było ich 77. Miejscowe władze w stanach południowych starają się w miarę możliwości zatuszować taki wypadek i nie dopuścić do rozgłosu. Z zasady sprzeciwiają się ingerowaniu władz federalnych i wszelkimi sposobami utrudniają im śledztwo. Miejscowi politycy oficjalnie wyrażają ubolewanie i potępiają lincz, lecz w istocie przejawiają karygodną indolencję i niedbalstwo, nierzadko świadomie, lub zwykłe tchórzostwo, aby swoją nazbyt energiczną postawą nie narazić się określonym i — dodajmy — wpływowym kołom.

Spółeczeństwo amerykańskie, szczególnie na Północy i Zachodzie, zawsze z oburzeniem reaguje na wiadomość o wypadku linczu. W południowych stanach niby też każdy się oburza, ale w szczerej rozmowie „w cztery oczy” można często usłyszeć opinię, że jest to zło konieczne. Zdaniem rozmówców lincz stanowi rodzaj „klapy bezpieczeństwa”, dającej ujście wszelkim złym nastrojom, instyktom i namiętnościom.

Słowo „lincz” kojarzy się niebezpiecznie z Ku Klux Klanem; ta zbrodnicza organizacja ma na sumieniu szczególnie wiele ofiar samosądu.

Ku Klux Klan powstał w mieście Pulaski w stanie Tennessee. W dniu 24 grudnia 1865 roku w mieszkaniu adwokata zebrało się grono znaczniejszych obywateli Południa. Przybył generał N. B. Forrest, John B. Kennedy, James Crowe i jeszcze paru plantatorów, by omówić aktualną sytuację wewnętrzną i znaleźć środek, za pomocą którego udałoby się powstrzymać Murzynów od udziału w wyborach. Wówczas to zebrani doszli zgodnie do przekonania, że da się to osiągnąć jedynie przy zastosowaniu terroru i wykorzystaniu zabobonności Murzynów. Właśnie niedawno została zawiązana w Nowym Orleanie tajna organizacja terrorystyczna pod nazwą Rycerzy Białej Kamelii (Knights of White Camelia), utrzymująca z powodzeniem w ryzach wszystkich Murzynów w delcie Missisipi. Zgromadzeni owego pamiętnego dnia postanowili zawiązać analogiczną organizację i nazwać ją Ku Klux. Później dodano jeszcze słowo „Klan”. Dwa lata trwało organizowanie komórek w poszczególnych miastach i miasteczkach Południa.

W 1867 roku Wielkim Wizardem, czyli szefem Ku Klux Klanu, wybrano generała Forresta. Organizacja z miejsca rozwinęła energiczną i szeroką „działalność”. Wszędzie, gdzie Murzyni okazywali najmniejszy objaw samodzielności, natychmiast na wzgórzach zapalały się krzyże i błąd strach padał na okoliczną ludność. Pałący się krzyż był zapowiedzią rychłego mord. Czasem zapalano krzyż wprost przed domem Murzyna, a sparaliżowana ze strachu ofiara z rezygnacją oczekiwała na nadejście końca. Zapowiedź zawsze się spełniała. W nocy zjawiali się jak widma, ubrani w białe płaszcze i w kapturach na głowy, prześladowcy. Szeregi białych postaci z pochodniami w rękach budziły grozę swym niesamowitym wyglądem. Na wpół żywą z przerażenia ofiarę wywlekali z domu, prowadzili na pustkowie i tam wieszali lub mordowali strzałem z pistoletu.

W 1868 roku Ku Klux Klan oficjalnie ogłosił swój statut, który stwierdzał między innymi, że organizacja ma na celu krzewienie ducha „rycerskości, humanitaryzmu, miłosierdzia i patriotyzmu”. Oczywiście nikt — łącznie z władzami — nie żywił najmniejszych złudzeń, co się kryło za tą szlachetnie brzmiącą frazeologią. W 1869 roku nakazano rozwiązanie Ku Klux Klanu. Lecz organizacja nie zastosowała się do zarządzenia i przeszła do działalności nielegalnej. Tymczasem popularność jej wzrastała, tak iż właściwie wszyscy biali na Południu w ten czy inny sposób byli z nią związani.

Władze, nie mogąc się uporać z Ku Klux Klanem, wydały specjalną ustawę w 1870 roku, tzw. Force Bili, przewidującą wysokie kary dla tych, którzy przeszkadzaliby w wyborach i uniemożliwiali innym głosowanie. Ku Klux Klan szerzył terror bardzo umiejętnie — nikogo nie można było przytapać na gorącym uczynku i udowodnić mu przestępstwa. Wystarczyło przecież, by w przeddzień wyborów zapalono krzyż w pobliżu jakiegoś miasteczka, a wiadomo było, iż żaden Murzyn w dzień wyborów nie opuści swego domu.

Wobec bezskuteczności Force Bili w 1871 roku wydano nową ustawę, dającą specjalne uprawnienia prezydentowi państwa w stosunku do osób lub organizacji sabotujących zarządzenia rządu. Wkrótce Ku Klux Klan został rozwiązany i rzeczywiście przestał wtedy istnieć. Drugi Ku Klux Klan został zawiązany w 1915 roku. Pierwsze organizacyjne zebranie odbyło się w miejscowości Stone, w stanie Georgia. Tym razem bez owijania rzeczy w bawełnę organizacja podała w statucie, że jej celem jest „utrzymanie supremacji białego człowieka” oraz zwalczanie Murzynów, Żydów i katolików. W istocie organizacja zwracała się przeciwko wszystkim nie urodzonym w Stanach Zjednoczonych. Władze organizacji nie zostały ujawnione. Fala nacjonalistycznego szowinizmu, jaka przeszła wówczas przez USA, spowodowała, że Ku Klux Klan rozprzestrzenił się szybko. Terror szalał nie tylko na Południu, lecz i na Północy. Odtąd w żadnym stanie Murzyni nie czuli się bezpieczni. W 1921 roku Ku Klux Klan miał w swej władzy wszystkie stany południowe, stany, w których dotąd ra-siści rzadko dochodzili do głosu (Teksas, Oklahoma, Indiana, Oregon, Floryda), a nawet jeden stan północny (Maine). Doszło do tego, że w wielu miastach członkowie Ku Klux Klanu oficjalnie defilowali w dniach świąt narodowych w swych białych płaszczach i z pochodniami.

W okresie wielkiego kryzysu szeregi Ku Klux Klanu ogromnie zmalały; zachował on swe wpływy jedynie w stanach południowych.

Po drugiej wojnie światowej czyniono bezskuteczne wysiłki w kierunku zwiększenia szeregów organizacji. Mimo niewątpliwego osłabnięcia jego wpływów i siły, Ku Klux Klan przetrwał na Południu i krwawymi czynami przypomina wciąż o swym istnieniu, dając do zrozumienia, że nie zamierza bynajmniej rezygnować ze swego „szczytnego posłannictwa”.

Po raz pierwszy w historii USA

W 1507 roku pojawiło się słowo „Ameryka”. Terminu tego użył w swoim traktacie „Cosaiographiae Introductio” niemiecki geograf Martin Waldseemüller.

3.V.1536 r. na Florydzie wylądowali Hiszpanie pod dowództwem Kernando de Soto.

W 1540 roku przywieziono konie na ląd amerykański. Przywiózł je podróżnik hiszpański Francisco Co-ronado, którego ekspedycja odbyła podróż przez Kansas. Wówczas to Hiszpanom uciekło około 260 koni, dając początek mustangom.

18.II.1562 r. zjawił się pierwszy francuski osadnik — Jean Ribaut, który osiedlił się na Florydzie.

8.IX.1565 r. powstała pierwsza stała kolonia na lądzie północnoamerykańskim. Założyli ją Hiszpanie na Florydzie. Osada rozwinęła się później w miasto St. Augustin.

W 1565 roku przywieziono do Ameryki zwierzęta domowe — bydło, owce i świnię. Przywieziono je do osady St. Augustin na Florydzie.

18.VIII.1587 r. urodziło się pierwsze dziecko osadnikom anglosaskiego pochodzenia — Virginia Dare. Przy-szia ona na świat w Roanoke Island, kolonii założonej przez Sir Waltera Raleigha.

30.IV.1598 r. odbyło się pierwsze na lądzie amerykańskim przedstawienie teatralne, urządzone w El Paso dla żołnierzy hiszpańskich.

13.V.1607 r. Anglosasi założyli pierwszą większą kolonię w Ameryce, w Jamestown w Wirginii.

W 1607 roku powstał pierwszy zakład przemysłowy w kolonii Jamestown. Była nim huta szkła zbudowana przez Polaków

W 1608 roku biali osadnicy zasiali kukurydzę.

W 1612 roku Holendrzy założyli swą kolonię na Manhattanie, nazywając ją Nowym Amsterdamem

W 1619 roku został przywieziony do Ameryki niewolnik murzyński.

22.03.1622 r. wybuchło powstanie Indian,

W 1620 roku założono publiczną bibliotekę (w Huenco).

W 1631 roku wybuchł wielki pożar miasta (w Bostonie),

W 1634 roku sporządzono wielki plan budowy dróg.

W 1635 roku założono pierwszą szkołę miejską (w Bostonie),

W 1638 roku założono urząd pocztowy.

W 1638 roku założono uniwersytet w Cambridge, później nazwany uniwersytetem Harvard.

W 1638 roku założono pierwszą drukarnię (w Cambridge),

W 1643 roku otworzono pierwszą restaurację (w Bostonie),

W 1648 roku została zawiązana pierwsza organizacja robotnicza. Utworzono ją w Bostonie i nazywała się „Szewcy Bostonu”.

W 1648 roku stracono „czarownicę” Margaret Jones w Charlestown w Massachusetts.

W 1653 roku wydrukowano książkę w języku indiańskim. Była to książka treści religijnej, wydana w celu nawracania Indian.

W 1654 roku wybuchła wojna domowa między purytanami a katolikami w stanie Maryland.

W 1658 roku utworzono policję (w Nowym Amsterdamie),

W 1658 roku powstał szpital publiczny (w Nowym Amsterdamie).

W 1659 roku ogłoszono publicznie w Cambridge teorię Kopernika.

W 1660 roku został przeprowadzony rozwód (w Delaware).

W 1660 roku wprowadzono cenzurę purytańską dla wszystkich wydawnictw drukowanych,
W 1664 roku pojawił się bestseller - powieść napisana przez Richarda Baxtera pt. „A call to the Unconverted”.

W 1673 roku wprowadzono w Massachusetts prawo autorskie.
W 1674 roku postawiono budynek na terenie dzisiejszego miasta Chicago.
W 1678 roku pojawił się na jeziorze Ontario statek żaglowy „Griffin” pod komendą Francuza, Roberta Cavelier de La Salle, którego ekspedycja miała za zadanie spenetrowanie okolicy Wielkich Jezior.
W 1681 roku zjawił się w Bostonie nauczyciel tańca. Wkrótce jednak uznano go za szerzyciela demoralizacji i wygnano z miasta.
W 1682 roku założono pierwszą lożę masońską w Burlington w stanie New Jersey.
W 1684 roku nałożono podatek na napoje alkoholowe (w Pensylwanii).
W 1684 roku osiedlili się pierwsi biali osadnicy w Teksasie. Byli to Francuzi wysłani tam przez La Salle'a.
W 1690 roku wypuszczono (w Massachusetts) papierowe pieniądze.
W 1690 roku ukazała się (w Bostonie) gazeta; nosiła ona tytuł „Public Occurrence”.
W 1697 roku zorganizowano stałą, zawodową straż ogniową (w Nowym Jorku).
W 1703 roku powstał (w Charlestonie, Płd. Karolina) stały teatr, w którym grali zawodowi aktorzy,
W 1710 roku zbudowano podziemny kanał ściekowy (w Bostonie).
W 1716 roku zbudowano (w Williamsburgu, stan Wirginia) budynek specjalnie przeznaczony na teatr,
W 1719 roku ustawiono (w Bostonie) pierwsze latarnie uliczne.

26.VI.1719 r. obywatel Bostonu, Zabdiel Boylston, dokonał próbnego szczepienia ochronnego przeciwko ospie. Zaszczepił on swego syna i dwóch niewolników murzyńskich. Doświadczenia tego dokonał na podstawie opowiadania pewnego niewolnika, że w ten sposób znachorzy w szczepach murzyńskich chronili ludzi przed zarazami. Podekscytowany tłum, dowiedziawszy się o dokonanym doświadczeniu, zlinczował Boylstona.

W 1725 roku zdarzył się wypadek oskalpowania Indian przez białych. Dokonał tego oddział pod dowództwem kapitana Lovewella w celu otrzymania w Bostonie nagrody, wypłacanej w wysokości 100 funtów za dostarczony skalp. Oskalpowano wówczas 10 Indian.

W 1735 roku wystawiono (w Charlestonie, Płd. Karolina) operę.
W 1738 roku weszły w użycie parasole wbrew ostrej opozycji kwakrów.
W 1741 roku powstała (w Bethlehem) orkiestra symfoniczna, zorganizowana przez osadników przybyłych z Moraw.

W 1740 roku uruchomiono browar (w Georgii).
W 1743 roku powstała kawiarnia. Otworzono ją w Filadelfii i podawano w niej prócz kawy czekoladę i herbatę. Poza tym do dyspozycji gości były wszystkie ukazujące się w Ameryce czasopisma.
W 1753 roku uruchomiono maszynę parową sprowadzoną z Anglii.
W 1754 roku został zbudowany zegar wieżowy. Konstrukctorem jego był Murzyn Benjamin Benneker, który nigdy poprzednio nie widział zegara.
W 1758 roku założono rezerwat dla Indian (w New Jersey) na obszarze około 3 tysięcy akrów, przeznaczając go dla około 100 Indian z plemienia Unami.

14.XII.1774 r. nastąpiło starcie ludności amerykańskiej z angielskimi wojskami w forcie William i Mary.

W 1775 roku powstało towarzystwo akcyjne.
W 1775 roku założono stowarzyszenie walczące o zniesienie niewolnictwa.
W 1776 roku skonstruowano okręt podwodny, nazwany „The Turtle”.
W 1776 roku został sporządzony coctail przez barmankę Betsy Flanagan.
W 1777 roku zniesiono niewolnictwo i udzielono kobietom prawa głosowania (w stanie Vermont).
W 1786 roku zademonstrowano przed Wasliingtonem łódź motorową.
W 1793 roku odbył się lot balonem w Filadelfii.
W 1800 roku zastrajkowali marynarze, żądając podwyżki płac.
W 1801 roku założono wodociągi (w Filadelfii).
W 1802 roku zbudowano hotel (w Saratoga).
W 1811 roku powstała regularna komunikacja na rzece Missisipi. Właścicielami statku było małżeństwo Roosevelt.

3.III.1812 r. Kongres amerykański uchwalił pomoc dla zagranicy. Udzielono wówczas zapomogi w wysokości 50 000 dolarów na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w Wenezueli.

W 1813 roku dokonano zaciemnienia miasta. Dokonano tego w mieście St. Michaels, w stanie Maryland, kiedy to angielskie okręty wojenne podpiły pod miasto w nocy, by je zbombardować. Zaciemniono wówczas miasto, zaś w pobliskim lasku porzuczano latarnie.

W 1814 roku powstała zmechanizowana fabryka odzieży (w Wattham, stan Massachusetts).
W 1814 roku spuszczone na wodę parowy okręt wojenny, nazwany „Denioiogos”.
W 1819 roku statek parowy przebył Atlantyk.
W 1820 roku grupa Murzynów wyemigrowała do Afryki.
W 1826 roku zbudowano lokomotywę parową, skonstruowaną przez Johna Stevensa.
W 1829 roku została wydana historia literatury amerykańskiej i pierwszy tom Encyklopedii Amerykań-

skiej.

W 1829 roku został w Bostonie otwarty „Tremont Hotel” istniejący do dnia dzisiejszego, a wówczas uchodzący za najnowocześniejszy na świecie. Posiadał on 170 pokoi, salę restauracyjną, lecz chlubę jego stanowiło 8 klozetów splukiwanych wodą. Było to wówczas jedyne tego rodzaju urządzenie w USA. W 1830 roku Robert L. Stevens wynalazł szynę kolejową; w tym samym roku zbudowano pierwszą stację kolejową.

W 1832 roku ukazało się czasopismo sportowe CTfae Spirit of the Times”).

W 1833 roku skonstruowano pług ze stalowym lemieszem.

W 1835 roku zastosowano gazowe oświetlenie w hotelu (w Bostonie).

W 1840 roku powstało stałe połączenie między USA a wyspami brytyjskimi za pomocą statków parowych.

W 1840 roku użyto wyrażenia „O’Key”. Pochodziło od pierwszych liter słów „Old Kinderhook”, nazwy miejsca urodzenia prezydenta Van Burena i nazwy klubu demokratów w Nowym Jorku.

W 1840 roku ograniczono ustawowo dzień pracy do 10 godzin.

W 1844 roku wysłano depeszę (z Waszyngtonu do Baltimore).

W 1844 roku utworzono (w Bostonie) szkołę medyczną dla kobiet.

1.VII.1847 r. Kongres wydał ustawę wprowadzającą do obiegu znaczki pocztowe.

W 1850 roku zbudowano snopowiązałkę.

W 1850 roku zatrudniono dziewczęta jako ekspedientki w domu towarowym (w Filadelfii).

W 1851 roku zastosowano elektryczny system alarmowy w straży pożarnej (w Bostonie).

W 1851 roku wydano patent I. M. Singerowi na maszynę do szycia.

W 1852 roku zbudowano prototyp hydraulicznej windy pasażerskiej. Wynalazek ten umożliwił budowę „drapaczy chmur”.

W 1855 roku zostało utworzone przedsiębiorstwo do eksploatacji ropy naftowej — „Pennsylvania Rock Oli Co.”

W 1855 roku wprowadzono w stanie Nowy Jork prohibicję.

W 1855 roku otwarte zostało stałe połączenie kolejowe Boston - Nowy Jork.

W 1856 roku w „New York Times” ukazało się ogłoszenie matrymonialne.

W 1856 roku zbudowano most kolejowy na rzece Missisipi.

3.03.1857 r. wypłacono Cyrusowi Fieldowi subsydium na założenie kabla podmorskiego między USA a wyspami brytyjskimi.

16.VIII.1858 r. została wysłana depesza kablem podmorskim do Anglii.

W 1859 roku zbudowano pierwszy wagon sypialny, skonstruowany przez G.M. Pullmana.

3.IV.1860 r. zorganizowano stałe połączenie pocztowe (konne) pomiędzy Kalifornią a wschodnim wybrzeżem, tzw. Pony Express.

W 1860 roku wydano ustawę wprowadzającą podatek dochodowy.

W 1881 roku został utworzony pierwszy oddział wojsk powietrznych w armii amerykańskiej. Był to Korpus Wojsk Balonowych zorganizowany przez wynalazcę — por. Tadeusza Lowe Sobieskiego. On również dokonał rekordowego lotu balonem z Cincinnati do Południowej Karoliny.

W 1882 roku dokonano lotu rekonesansowego balonem nad wojskami konfederatów. Dokonał go Tadeusz Lowe Sobieski.

W 1862 roku wydano patent na karabin maszynowy.

W 1863 roku wydano patent na rotacyjną maszynę drukarską.

17.11.1864 r. użyto do działań wojennych okrętów podwodnych. Zastosowali je konfederaci, zatapiając w porcie Charleston dwa okręty Unii.

24.XII.1865 r. została zawiązana w mieście Pułaski, stan Tennessee, organizacja Ku Klux Klan. Dwa pierwsze człony nazwy pochodzą od słowa greckiego „kyklos” (koło, krąg). Nazwę zaproponował John B. Kennedy. Następnie James R. Crowe dodał słowo „klan” jako bardziej zrozumiałe dla szkocko-irlandzkiej ludności tej części kraju.

5.V.1865 r. dokonano napadu na pociąg (w stanie Ohio).

W 1867 roku ukazały się w sprzedaży papierosy.

W 1867 roku Christopher L. Sholes skonstruował maszynę do pisania.

W 1869 roku otwarto transkontynentalną linię kolejową.

W 1869 roku powstał związek robotników murzyńskich.

W 1870 roku Murzyn został wybrany do Kongresu (Hiram R. Revels).

W 1877 roku George B. Seldon skonstruował pojazd z silnikiem o napędzie elektrycznym.

W 1877 roku Thomas Edison opatentował fonograf.

W 1878 roku założono pierwszą spółkę do produkcji prądu elektrycznego.

W 1879 roku zbudowano linię telefoniczną (między Bostonem a Lovell).

W 1880 roku Thomas Edison wynalazł żarówkę.

W 1881 roku zbudowano (w Nowym Jorku) elektrownię.

W 1885 roku Ottmar Morgenthaler skonstruował linotyp.

W 1886 roku powstała federacja związków zawodowych.

W 1887 roku uruchomiono w Richmond (Wirginia) trolejbusy.

W 1888 roku wprowadzono przy wyborach tajne głosowanie. Ostatnim stanem, który wprowadził tajne głosowanie, była Południowa Karolina (w 1959 roku).

W 1888 roku wyprodukowano w fabryce Kodaka pierwszy aparat fotograficzny.

W 1889 roku Thomas Edison wyświetlił film
6.VIII.1890 r. w więzieniu w Auburn stracono skazańca na fotelu elektrycznym.
W 1891 roku wydano Thomasowi Edisonowi patent na aparat radiowy.
W 1892 roku został zbudowany samochód poruszany motorem elektrycznym. Skonstruował go William Morrison.
W 1892 roku Frank i Charles Duryea zbudowali samochód z motorem o napędzie benzynowym.
W 1893 roku Henry Ford zbudował prototyp swego samochodu.
W 1896 roku ukazał się wielki *bestseller*. Był to przekład na angielski „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza.
W ciągu roku sprzedano dwa miliony egzemplarzy tej powieści.
W 1896 roku użyto aparatu rentgenowskiego do prześwietlenia chorego na raka.
W 1897 roku zbudowano kolej podziemną (w Bostonie),
15.IV.1900 r. odbyły się wyścigi samochodowe (w Springfield).
W 1903 roku odbyły się loty samolotem. Dokonali ich bracia Orville i Wilbur Wright.
W 1904 roku wydano ustawę określającą maksymalną szybkość pojazdów mechanicznych. Dopuszczalna wówczas szybkość na drogach wynosiła 30 km na godzinę. W miastach wolno było jeździć z szybkością 15, a w wioskach 20 km na godzinę.
W 1905 roku założono oświetlenie elektryczne w wagonach kolejowych.
W 1906 roku prezydent USA opuścił kraj, udając się 9 listopada na inspekcję Kanału Panamskiego,
W 1906 roku została nadana pierwsza znana stacja audycja radiowa. Nadał ją Reginald A. Fessenden; w tym samym roku nawiązał on stały kontakt drogą radiową ze Szkocją.
W 1807 roku urządzono pokaz filmu kolorowego i dźwiękowego (w Cleveland). Przedstawiał scenę z opery i walkę byków.
W 1908 roku wybudowano drapacz chmur (gmach Singera).
W 1908 roku władze zabroniły oficjalnie kobietom palenia papierosów w publicznych miejscach (Nowy Jork).
W 1908 roku wprowadzono cenzurę filmów (Nowy Jork).
W 1809 roku wyświetlono film rysunkowy („Gertie the Dinosaur”).
W 1909 roku wyprodukowano bakelit wynaleziony przez Leo H., Backelanda.
W 1910 roku wystawiono operę napisaną przez Amerykanina („The Ape of Desire” Fredericka Converse'a).
W 1910 roku samolot wystartował z pokładu statku.
W 1910 roku wydano ustawę mającą na celu zwalczanie handlu żywym towarem.
W 1912 roku wydano ustawę wprowadzającą ośmiogodzinny dzień pracy dla pracowników rządowych.
W 1912 roku Amerykanin, Alexis Carrel, otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny.
W 1912 roku dokonano odkrycia witamin A i B (prof. Elmer McCollum).
W 1913 roku zapoczątkowano taśmową produkcję w przemyśle (H. Ford).
W 1914 roku zbudowano wielki stadion sportowy na 80 tysięcy widzów (Yale).
W 1914 roku zorganizowano stałe połączenie radiowe z Europą.
W 1915 roku wynaleziono teleskryptor (Thomas Edison).
W 1915 roku wprowadzono taksówki samochodowe (w Nowym Jorku).
W 1915 roku przeprowadzono transkontynentalną rozmowę telefoniczną (między Nowym Jorkiem a San Francisco).
W 1915 roku dokonano zamachu na Senat. Wybuch bomby zniszczył salę posiedzeń Senatu. Zamachowcem był Niemiec, Erich Meunter.
W 1916 roku wynaleziono ręczny karabin maszynowy (gen. J. T. Thompson).
W 1917 roku kobieta została wybrana do Kongresu (Jeanette Rankin).
W 1919 roku otwarto pocztową linię lotniczą (między Nowym Jorkiem a Chicago),
W 1919 roku wybuchł strajk policjantów (Boston),
31.VIII.1919 r. powstała Komunistyczna Partia Pracy,
W 1919 roku otwarto miejski port lotniczy (w Tuscon, Arizona).
17.1.1920 r. wprowadzono na całym terenie USA prohibicję.
W 1920 roku otwarto stałe pocztowe połączenie lotnicze (między Nowym Jorkiem a San Francisco),
W 1920 roku stacja radiowa (KDKA) rozpoczęła nadawanie stałych programów.
W 1920 roku Ku Klux Klan urządził publiczny pochód (w Jacksonville, Floryda).
W 1921 roku wprowadzono ostre ograniczenia przeciwko emigrantom.
W 1921 roku powstało stowarzyszenie mające na celu krzewienie świadomego macierzyństwa (American Birth Control Ligue).
W 1922 roku wynaleziono radar (dr Hot, A. Taylor i Leo Young).
W 1922 roku wyprodukowano udany film kolorowy (systemem technicolor).
W 1922 roku kobieta została wybrana do Senatu (M.H. Felton).
W 1922 roku przeprowadzono transmisję radiową z boiska sportowego.
W 1923 roku pociągnięto do odpowiedzialności aktorów za występowanie w sztuce uznanej przez cenzurę za niemoralną („Bóg Zemsty” Szolema Asza).
W 1924 roku wysłano obraz drogą radiową (z Nowego Jorku do Londynu).
W 1925 roku gubernatorem stanu wybrano kobietę (Nellie Taylor w stanie Wyoming).
W 1925 roku wyprodukowano suchy lód.

W 1926 roku dokonano przelotu nad biegunem północnym (9 maja, Richard E. Byrd).
W 1926 roku powstał pierwszy klub książkowy, jako nowa forma upowszechniania literatury.
W 1926 roku powstało stałe połączenie lotnicze (Boston – Nowy Jork).
W 1927 roku dokonano przelotu nad Oceanem Atlantyckim (20 i 21 maja, kapitan Charles A. Lindbergh, który przebył przestrzeń 3 600 mil z Nowego Jorku do Paryża w 33,5 godziny na samolocie „Spirit of St. Louis”).
W 1927 roku zastosowano sygnalizację radiową do kierowania samolotów.
W 1927 roku nadano transmisję telewizyjną (z Nowego Jorku do Waszyngtonu).
W 1927 roku wybudowano tunel podwodny dla ruchu kołowego (pod rzeką Hudson w Nowym Jorku).
W 1927 roku wyprodukowano film dźwiękowy („The Jazz Singer” z Al Johnsonem).
W 1928 roku rozpoczęto nadawanie stałego programu telewizyjnego.
W 1928 roku zmontowano świetlną gazetę (na szczycie budynku „N. Y. Timesa”).
W 1929 roku dokonano przelotu nad biegunem południowym (Richard E. Byrd).
W 1930 roku dokonano przelotu szybowcem przez Atlantyk (kapitan Frank M. Hawk).
W 1931 roku uzyskano izotop wodoru (dr Harold C. Urcy).
W 1931 roku dokonano lotu prototypem samolotu odrzutowego (przeleciał około 400 metrów na wysokości 40 metrów).
W 1933 roku kobieta została ministrem (Frances Perkins, minister pracy).
W 1933 roku zbudowano lotniskowiec.
W 1936 roku wybuchł strajk okupacyjny („General Motors”).
W 1938 roku wydano patent na nylon (du Pont).
W 1938 roku użyto w armii urządzeń radarowych.
W 1939 roku rozpoczęto regularną komunikację lotniczą przez Atlantyk.
W 1940 roku zademonstrowano mikroskop elektronowy (dr Władysław Marton).
W 1940 roku dokonano lotu helikopterem.
W 1942 roku odbył się lot wojskowego samolotu odrzutowego.
W 1945 roku dokonano eksplozji bomby atomowej (16 lipca na pustyni w okolicy Alamogordo w stanie Nowy Meksyk).
06.08.1945 r. użyto w wojnie bomby atomowej; rzucono ją na miasto Hiroshima.
W 1947 roku dokonano lotu na samolocie o szybkości ponaddźwiękowej.
02.10.1950 r. rozpoczęto nadawanie kolorowych obrazów w telewizji.
W 1951 roku uzyskano prąd elektryczny z elektrowni napędzanej energią atomową.
W 1952 roku wyprodukowano działo atomowe.
W 1952 roku spuszczone na wodę okręt podwodny o napędzie atomowym („Nautilus”).
W 1954 roku uruchomiono fabrykę o napędzie atomowym (w Pittsburgu).
W 1954 roku wyprodukowano bombę wodorową.
W 1955 roku rozpoczęto budowę pierwszego amerykańskiego sztucznego satelity.
14.IX.1957 r. dokonano podziemnej eksplozji atomowej w Las Vegas.
31.1.1958 r. wystrzelono pierwszego amerykańskiego sztucznego satelitę ziemskiego („Vanguard”), który wszedł na orbitę.
W 1959 roku spuszczone na wodę okręt podwodny -zaopatrzone w pociski rakietowe.
W 1959 roku został spuszczone na wodę statek handlowy o napędzie atomowym („Savannah”).
W 1980 roku wystrzelono satelitę meteorologicznego.
W 1960 roku dokonano podróży podwodnej dokoła świata.
5.V.1961 r. wystrzelono w Kosmos pierwszego Amerykanina. Był nim Alan B. Shepard.

WSZYSTKIEGO PO TROCHU

Koczownicy

Amerykanie nie lubią zbyt długo siedzieć na jednym miejscu i chętnie wędrują. Do miejscowości, w której wzrosli lub się urodzili czują raczej sentyment, a nie przywiązanie. W ich naturze leży chęć podróży, szukania nowych wrażeń, nowego otoczenia. Właśnie ów pęd szukania wciąż czegoś nowego zawiódł amerykańskich osadników na żyzne ziemie Środkowego Zachodu, a potem nad brzegi Oceanu Spokojnego. Ówczesna migracja Amerykanów na Zachód była żywiołowa i spontaniczna. Jechano w nieznaną, niebacząc na niebezpieczeństwa, trudy i dzikość kraju. Później wędrowano po złoto do Kalifornii. Słynny był wówczas „exodus Janke-sów”. Młodzi ludzie z Nowej Anglii masowo opuszczali swe domy i bez grosza w kieszeni, nie znając nawet dobrze kierunku zamierzonej wędrowki, udawali się na spotkanie Wielkiej Przygody i w nadziei wyrwania się z beznadziejnej egzystencji. Potem wędrowano do Klondike, a w ostatnich latach odbyła się wędrowka, co prawda w skromniejszych już rozmiarach, na Florydę, gdy powstał tam *boom* na placach budowlanych. Mając perspektywę poprawy bytu, Amerykanin bez żalu i zastanowienia porzuci swój dom, przyjaciół, a nawet rodzinę. Żaden wzgląd na pamięć przeżytych lat w rodzinnym domu ani sentymentalne przywiązanie do kogokolwiek nie powstrzymają go przed tym. Bez wahania sprzeda dom, meble, całe urządzenie i przeniesie się tam, gdzie — jego zdaniem — będzie mu lepiej.

Stałe przenoszenie się z miejsca na miejsce jest tu typowym zjawiskiem. Podróżują wszyscy, a zwłaszcza ludzie, którzy zaczynają swoją karierę życiową. Według danych statystycznych 28 procent ludności Stanów Zjednoczonych w wieku 18—34 lat co roku zmienia miejsce zamieszkania. W wieku 45 lat już tylko 10 procent rodzin przenosi się co roku do innych domów. Następnie wędrowniacy zaczynają się znów na starość. Amerykanin, po przejściu na emeryturę, zwykle nie pozostaje tam, gdzie poprzednio pracował. O ile dotychczas kierował się tylko wysokością zarobków, to na starość szuka miejsca, w którym czułby się najlepiej. Jedni wracają do swych stron rodzinnych, inni, szukając odpowiedniego klimatu, jadą do Kalifornii lub na Florydę.

Poza przenoszeniem się z jednej okolicy kraju do drugiej, Amerykanie często zmieniają miejsce zamieszkania w obrębie swego miasta. Zmusza ich do tego sytuacja, panujący zwyczaj, a przede wszystkim snobizm. Na nieustanny ruch ludności wpływają również warunki gospodarcze. Typowym tego przykładem jest stały *exodus*. Murzynów z Południa do miast Północy lub Środkowego Zachodu. Jednocześnie wielu białych wędruje z Północy do stanów południowych, co wiąże się z przenoszeniem przemysłu, który na Południu ma lepsze warunki rozwoju — chociażby ze względu na niższe podatki. Wędrują też robotnicy rolni. Zależnie od sezonu przenoszą się oni z jednych stanów do drugich. Poza tym wciąż jeszcze odbywa się zasiedlanie dziewiczych terenów. W USA są jeszcze stany na wpół dzikie i słabo zaludnione. Ziemia tam jest bardzo tania i otrzymuje się ją od rządu za symboliczną opłatę. Ostatnio ludność stanów Waszyngton, Oregon i Wyoming zaczyna gwałtownie wzrastać. Ciągną tam farmerzy i różni przedsiębiorcy, znęcani możliwością wzbogacenia się na ziemi.

Zresztą nawet Amerykanin mieszkający na jednym miejscu żyje w ciągłym ruchu. Jak obliczono, spędza on w samochodzie mniej więcej tyle czasu, co u siebie w domu. Co dzień musi jeździć do pracy, a dwa dni w tygodniu, sobotę i niedzielę, spędza zawsze w drodze. W dniach weekendowych podróżuje około 60 milionów Amerykanów, zaś w lecie, w okresie urlopów, tyleż osób podróżuje codziennie.

Amerykanie jeżdżą na *weekendy* nie tylko latem, ale i zimą. O tej porze roku jazda samochodem jest nieco uciążliwa, dlatego Amerykanie chętnie korzystają z kolei. W piątki i soboty odchodzą z każdego miasta pociągi wycieczkowe. Bilety kolejowe są tanie, a w ich cenie jest już wliczona opłata za nocleg w hotelu. Podobne wycieczki urządzają linie lotnicze i autobusowe.

Pęd do podróżowania przynosi Amerykanom bardzo duże korzyści, stanowiąc bardzo ważne źródło dochodu przemysłu, handlu i sporej części ludności. Temu właśnie zawdzięczają swój potężny rozwój przemysł motoryzacyjny oraz linie komunikacyjne — powietrzne, lądowe i wodne. Dzięki temu też powstał wielki przemysł hotelarski, motelowy i związany z nimi — gastronomiczny. W Stanach Zjednoczonych prawie wszędzie, na największym nawet pustkowiu, znajduje się stacja benzynowa, jakiś mały motelik, *caffeteria* i sklepik z podstawowymi artykułami.

Życie na autostradzie

W Europie ludzie dzielą zazwyczaj swój czas na pobyt w miejscu pracy i domu. W Ameryce dochodzi jeszcze trzeci czynnik, a mianowicie — autostrada. Te wielkie arterie przelotowe odgrywają doniosłą rolę w życiu każdego Amerykanina. Na autostradzie bowiem spędza on codziennie kilka godzin w czasie jazdy do pracy i do domu. Po drodze wstępuje zwykle na posiłek, załatwia sprawunki lub korzysta z rozrywki w samochodowym kinie, na wolnym powietrzu. Tak więc amerykańska autostrada spełnia nie tylko rolę czysto funkcjonalną, ale stanowi dla każdego pewien wycinek życia, dość specyficznego, lecz nie pozbawionego uroku. Autostradą nie tylko się jedzie — można się przy niej pożywić, zamieszkać, kupić sobie to i owo, a nawet zabawić.

Życie przydrożne zapuściło w Ameryce głębokie korzenie. Amerykanie zawsze dużo podróżowali. Dziś jeszcze często się spotyka gospody z osiemnastego wieku na starych szlakach, które obecnie stały się bocznymi drogami. Niegdyś gospody te tętniły życiem. Ze względu na swe staroświeckie urządzenia stanowią dziś obiekt zainteresowania przygodnych turystów lub służą jako azyl dla zakochanych par, unikających natrętnych, niepożądanych świadków.

Owe właśnie gospody dały początek przydrożnemu życiu, służąc ku wygodzie gości z dylizansów. Słynęły z przednich trunków i wybornego jadła. Lecz przyszła oto kolej żelazna i dylizanse zniknęły, a oberże stały się zbędnym prawie rekwizytem minionej epoki. Odrodzenie życia przydrożnego w dobie autostrad i „krażowników” szosy nic nie zmieniło w sytuacji gospod. Wytyczono nowe szlaki, przy których powstały przedsiębiorstwa dawniej przy drogach nie znane, ale lepiej przystosowane do rytmu współczesności. Przede wszystkim stacje benzynowe. Owe oazy koni mechanicznych znajdują się dziś wszędzie. Stacja taka jest ponadto składem podstawowych części samochodowych i opon oraz warsztatem reperacyjnym. Stacja benzynowa dba też o wygodę podróżnych. Znajduje się przy niej WC, automat z mrożoną „Coca-colą” i drugi z papierosami. Można tu dostać także darmo mapę

samochodową.

Przy stacjach tych grupują się różne przedsiębiorstwa dla obsługi podróżnych – kioski z lodami, restauracje, motele, sklepy, a czasem i kina. Największą popularnością cieszą się chyba restauracje, gdyż jadąc zawsze widzi się przy nich długie rzędy samochodów. Restauracje należą do wielkich firm, które posiadają setki takich zakładów. Na wschodnim wybrzeżu wszystkie drogi są opanowane przez Johnsona. Mieszczą się one w bliźniaczo do siebie podobnych budynkach z dachami krytymi czerwoną dachówką. Zakłady restauracyjne Johnsona słyną z najlepszych bodaj w Ameryce lodów w 26 gatunkach. Niekiedy posiłek można zjeść nie wychodząc z samochodu. Podjeżdża się do słupka i dzwoni na kelnerkę. Dania przynoszą na tacy, tak pomyślanej, że można ją zawiesić na drzwiach samochodu. Konsumpcja w samochodzie pozwala zaoszczędzić cenny czas i fatygę wiecznie spieszącym się Jankesom.

Restauracje przydrożne, zwane „łańcuchowymi”, są zorganizowane na szczególnych zasadach. Zwykle dyrekcja znajduje się w jakimś większym, położonym w centrum kraju mieście, a poszczególne zakłady prowadzą pracownicy firmy, wynagradzani zależnie od dochodu. Aby otrzymać posadę kierownika restauracji, kandydaci wpłacają odpowiednią kaucję lub składają poręczenie. Otrzymują oni budynek z pełnym wyposażeniem, a wszystkie produkty, zwykle gotowe już potrawy, muszą pobierać z centrali firmy i sprzedawać po ściśle określonych cenach.

W stadium zaniku znajdują się małe restauracyjki prowadzone przez indywidualnych przedsiębiorców; dla podtrzymania swej egzystencji muszą się odznaczać jakąś wyjątkową specjalnością, zdolną pobudzić klientów do pozostawienia tu pewnej sumki.

Autostrady doskonale wykorzystali okoliczni farmerzy. Na wielu odcinkach trasy widzi się baraki zbudowane wzdłuż drogi. Sprzedaje się w nich kwiaty, owoce, miód, sok jabłkowy i oryginalny syrop klonowy. Jesienią piętrzą się stosy wielkich czerwonych dyń. Przy autostradach widzi się nawet sklepy, i to doskonale zaopatrzone. Nawet wielkie domy towarowe otwierają filie pod miastami, by ułatwić samochodowej klienteli zakupy.

Nikt nie wie, ile wynosi dokładnie łączna długość autostrad w Ameryce, gdyż dane statystyczne w tym kraju nie są zbyt ściśle. Oblicza się, że na ogólną ilość dróg o długości 3 074 193 mil na autostrady przypada około 700 tysięcy mil. Buduje się wciąż nowe; na ten cel wydaje się rocznie 5,5 miliarda dolarów. Inwestycje te przeprowadzają głównie władze stanowe, gdyż rząd federalny buduje stosunkowo niewiele. Ogólna długość autostrad federalnych w całym kraju wyraża się liczbą około 100 tysięcy mil. Zwykle drogi asfaltowe budują i konserwują miejscowe zarządy komunalne.

Koszt budowy jednej mili autostrady wynosi około 2 milionów dolarów! Wielkie sumy pochłania niwelacja terenu, budowa mostów i długich niekiedy wiaduktów. W Bostonie budowa trzymilowego odcinka autostrady przelotowej przez miasto nad brzegami Charles River kosztowała miasto 125 milionów dolarów. W Los Angeles budowa podmiejskiej autostrady, długości kilkunastu mil, kosztowała przeszło 880 milionów. Warunki terenowe są czasem bardzo ciężkie, tak że autostrady muszą być prowadzone wiaduktami. Zdarza się nawet, że nad jednym wiaduktem zostaje wybudowany drugi, jak na przykład pod Nowym Jorkiem.

Budowa i konserwacja autostrad wymagają potężnej armii ludzi. Personel zatrudniony przy budowie, konserwacji i administracji autostrad liczy w USA 525 tysięcy osób, a koszt utrzymania tych arterii wynosi miesięcznie 161 milionów dolarów. Kosztują wiele, lecz przynoszą dochody. Przed wjazdem na autostradę trzeba przejechać przez barierę i opłacić należność. Bariery takie są ustawione w pewnych odległościach, by pobierać opłaty za przebyty odcinek. Istnieje też prostszy sposób. Otóż wjeżdżając na autostradę, otrzymuje się kartę, na której dziurkaczem oznaczone jest miejsce wjazdu. Później trzeba kartę okazać, a urzędnicy obliczają i pobierają należność stosownie do długości przebytej trasy. Nawet za przejazd mostem należy płacić, zwykle 10 centów.

Bariery przecinają w poprzek całą autostradę, nieco szerszą w tym miejscu. Przez barierę jest zwykle 10 przejazdów. Obok każdego stoi budka, a w niej siedzi poborca. Pieniądze wręcza się lub wrzuca do metalowego kosza. Wówczas gaśnie czerwone światło, a ukazuje się zielone — znak, że można jechać. Wysokość opłaty waha się od 10 do 50 centów za 50-milowy odcinek. Opłata za przejazd z Bostonu do Nowego Jorku autostradą wynosi około trzech dolarów. Biorąc pod uwagę ogromne ilości jadących dniem i nocą samochodów, łatwo sobie wyobrazić, jak olbrzymie sumy wpływają z tego tytułu do kas rządów stanowych. Wpływy te przeznaczają się na konserwację autostrad i budowę nowych.

Można powiedzieć bez przesady, że Amerykanin najlepiej czuje się na autostradzie, za kierownicą wozu. Tam dopiero jest w swoim żywiole. Małomieszczańskie nawyki pozostawia w domu, groszorbstwo w biurze i staje się czymś w rodzaju kowboja. Bez konia i siodła, w wygodnym samochodzie, ale za to z fantazją. Rzeczywiście, jest on dziś tak zrosnięty z samochodem, jak kowboj z

koniem. Autostrada jest jego prerią, po której gna swego „mustanga” na czterech kołach. Nic więc dziwnego, że życie częściowo wyprowadza się z miast na drogi, by dostosować się do wymogów czasu. Autostrady stają się nawet w pewnym sensie azylem miłości. W mieście para młodych czuje się skrępowana, na autostradzie zaś zażywa w pełni swobody. Może spokojnie posiedzieć u „Johnsona”, może zjechać gdzieś na boczną drogę lub skorzystać z motelu.

Zwycięskie motele

Motele są wszędzie i wciąż wyrastają nowe. Niektóre zostały przerobione z dawnych zabudowań farmerskich. Większość jednak to nowoczesne budynki o przyjemnym wyglądzie. Jest ich obecnie przeszło 59 tysięcy, dwa razy więcej niż zwykłych hoteli. Goszczą one dziennie około półtora miliona przejezdnych i posiadają 1 241 000 pokoi. Obrót dzienny tych zakładów sięga do 5,5 miliona dolarów, tzn. rocznie blisko dwóch miliardów dolarów. Swego czasu były przysłowiową żyłą złota, a „motelarze” dorabiali się nadzwyczaj szybko. Dziś już tak nie jest, choć motel pozostał przedsiębiorstwem dochodowym.

Słowo „motel” pojawiło się stosunkowo niedawno, dopiero w naszym stuleciu. Po raz pierwszy użył go kalifornijski architekt Hieneman, który zaprojektował hotelik przy drodze i nazwał go „Mo-Tel” (od słów: motor i hotel). „Wynalazca” bezskutecznie starał się zastrzec sobie prawo wyłącznego używania tej nazwy; procesy sądowe i rozgłos, jaki nadała im prasa, spopularyzowały tę nazwę, tak iż wkrótce weszła ona do potocznego języka.

Pierwsze prymitywne amerykańskie motele, pozbawione elektryczności, kanalizacji i telefonów, spełniały funkcję tanich domów noclegowych. Wyposażone były w proste meble, a wodę do mycia podawano w dzbanach. W latach dwudziestych wybudowano kilka elegantszych moteli, które spełniały rolę domów schadzek dla zamożnych gości. Weszło bowiem w zwyczaj, że tam właśnie urządzały sobie spotkania zakochane pary. Pokoje wynajmowano na godziny; niektóre z nich zajmowały, jako stałe lokatorki, prostytutki. W czasach prohibicji służyły przemysłnikom i gangsterom za meliny.

Przed drugą wojną światową moteli było mało i nie cieszyły się dobrą sławą. Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, tysiące żon z dziećmi podążyły w pobliże obozów ćwiczebnych, w których przebywali ich mężowie. W rezultacie zaczęły tam powstawać masowo motele, tańsze i mniej krępujące od hoteli. Od tego czasu datuje się ich rozwój. W 1955 roku było ich już 4 tysiące. Zwiększyła się również ilość pokoi w pojedynczych motelach, mimo to nadal przeważają motele małe, skromnie urządzone i tanie. Właśnie ta ostatnia cecha przysparza im popularności. Na przykład w hotelu pokój kosztuje przeciętnie około 10 dolarów, w motelu zaś od 3 do 4 dolarów. Parkowanie wozów, dość kosztowne w mieście, w obrębie motelu nic nie kosztuje. Inne są oczywiście ceny w dużych, luksusowych motelach, zbudowanych dla zamożnych ludzi. Każdy pokój w takim motelu ma łazienkę, garnitur nowoczesnych mebli, dywany, telewizor. Takie właśnie buduje Hilton — wielka spółka dysponująca paroma setkami komfortowych hoteli w USA, w Madrycie, Istambule, Kairze, Mexico City i Berlinie zachodnim. Można oczekiwać, że nadejdzie chwila, kiedy właściciele małych moteli będą musieli zwinąć interes lub zostaną pochłonięci przez wielkie spółki akcyjne.

Właściciele małych moteli, a tych jest większość, ciężko muszą pracować, by zamortyzować wkłady i coś na tym zarobić. Koszt urządzenia małego nawet motelu jest duży i wymaga kapitału od 20 do 30 tysięcy dolarów. Kapryśni klienci wymagają, aby pokoje były solidnie urządzone, wyposażone w fotele, telewizor lub przynajmniej radio. Mały motel obsługują zwykle sami właściciele. Sami sprzątają pokoje, przynoszą swym gościom do pokoi śniadanie. Sami piorą bieliznę pościelową i dokonują drobniejszych remontów. Tę samowystarczalność dyktują nieublagane warunki ekonomiczne; w przeciwnym razie interes przestaje być opłacalny. Podatki i płatna służba pochłonięłyby wszelkie przewidywane nadwyżki.

Aby ściągnąć jak najwięcej gości, używa się najrozmaitszych chwytów reklamowych: pomysłowe neony, różne zachęcające napisy i drobne prezenciki dla gości. Lecz do najbardziej udanych chwytów należy zręczne wykorzystanie kłopotów gości z psami. Otóż w wielu motelach robiono trudności osobom podróżującym z psami. Nie pozwalano zabierać czworonogów do pokoi i zamykano je na noc w specjalnych pomieszczeniach. Niekiedy też gościom z psami wręcz odmawiano wynajęcia pokoju. Tę okoliczność wykorzystała spółka pod nazwą „Holiday Inns”. Zbudowała ona kilka moteli specjalnie przeznaczonych dla podróżujących z psami, ogłaszając dla większej zachęty, że psy będą otrzymywały jedzenie bezpłatnie. Pomysł chwycił i dziś motele te cieszą się ogromną popularnością wśród właścicieli psów.

Okoliczność tę wykorzystali również drobni motelarze. Przed jakimś małym motelem wyczytałem tej treści oświadczenie jego właściciela umieszczone na tablicy:

„Szanowny Panie!

Prowadzę ten motel już od dziesięciu lat i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, bym musiał wzywać policję o trzeciej nad ranem w celu uspokojenia pijanego psa, demolującego pokój. Nigdy też nie stwierdziłem, by jakkolwiek pies zabrał przez pomyłkę z pokoju ręcznik, popielniczkę lub inny drobiazg. Nigdy żaden pies nie wypalił mi dziury cygarem w dywanie i nie zniszczył pościeli paląc papierosy w łóżku. Żaden pies nie zepsuł mi radia i nie uciekł nad ranem nie uregulowawszy rachunku. Proszę mi wierzyć, że Pański pies będzie tu wyjątkowo serdecznie przyjęty.

P.S. Jeśli Pański pies nie będzie miał nic przeciwko temu, uprzejmie proszę o przenocowanie z nim w moim motelu”.

Śmierć czyha na highwayach

Gdy po przybyciu do Stanów Zjednoczonych wsiałem do samochodu w nowojorskim porcie, spostrzegłem przymocowane do siedzenia dwa białe brezentowe pasy.

Spojrzałem ze zdziwieniem, a gdy mi powiedziano, bym się jednak zapiął, wzruszyłem obojętnie ramionami. Później dowiedziałem się, że najczęściej śmiertelnych wypadków zdarza się przy gwałtownym hamowaniu lub najechaniu na samochód jadący na przedzie. Nagłe, raptowne zahamowanie wozu przez kierowcę wywołuje niekiedy swego rodzaju reakcję łańcuchową — pociąga za sobą dwa lub trzy zderzenia. Zdarza się to szczególnie często w okolicy miasta, na zatłoczonych autostradach, na których samochody jadą „w ogonie”, jeden za drugim. Wszystkie pędzą z jednakową szybkością, aby nie wyjść z rytmu, którego zachwianie grozi zablokowaniem jezdni lub tragiczną katastrofą. Wystarczy, aby w jakimś samochodzie coś się stało i już kraksa gotowa. Jadące z tyłu wozy wpadają jeden na drugi; pociąga to za sobą nieuchronnie ofiary.

Według oficjalnych danych w wypadkach samochodowych ginie w USA co 14 minut 1 człowiek, a co 23 sekundy ktoś odnosi ranę. Liczba śmiertelnych wypadków w USA wynosi rocznie około 38 tysięcy. Trzeba jednak wziąć pod uwagę ogromną ilość samochodów — około 75 milionów różnych pojazdów mechanicznych — i wówczas okaże się, że liczba wypadków w Europie jest znacznie wyższa. Jak wskazuje statystyka, ilość wypadków śmiertelnych, oczywiście w stosunku do wciąż wzrastającej liczby samochodów, bezustannie maleje. W 1928 roku, gdy ilość samochodów wynosiła około 25 milionów, zanotowano 28 tysięcy śmiertelnych ofiar. W 1943 roku, przy 31 milionach samochodów, śmierć poniosło 23 tysiące osób. W 1950 roku ilość samochodów wzrosła do 50 milionów, a ilość wypadków do 35 tysięcy. W 1957 roku na 68 milionów samochodów 38 tysięcy ludzi straciło życie. W 1960, gdy ilość samochodów osiągnęła liczbę 75 milionów, ilość wypadków utrzymała się na poprzednim poziomie.

Wzrost bezpieczeństwa na drogach osiąga się dzięki bardzo ścisłej kontroli ruchu kołowego, doskonale pomyślanym znakom drogowym i sygnalizacji świetlnej. Przede wszystkim jednak dzięki kontroli. Patrole policyjne spotyka się wszędzie. Do akcji wprowadzono specjalne aparaty radarowe do pomiaru szybkości. Kontrolę prowadzi się głównie pod kątem przestrzegania przepisowej szybkości. Zresztą każde najmniejsze naruszenie obowiązujących przepisów jest surowo karane odpowiednio wysoką grzywną (od 5 do 500 dolarów) lub pozbawieniem prawa jazdy na rok lub na czas jeszcze dłuższy.

Liczba ukaranych kierowców w całych Stanach nie jest mi znana. Udało mi się jedynie otrzymać dane odnośnie do stanu Connecticut, Otóż w 1956 roku odebrano tam 10 055 praw jazdy. Ilość wypadków śmiertelnych w tym stanie zmniejszyła się wówczas od roku 1955 z 324 do 288. W 1957 r. odebrano 9 285 praw jazdy (ilość wypadków śmiertelnych 283, przy znacznym wzroście liczby samochodów w ciągu tego roku). W 1958 r. odebrano 9 020 praw jazdy (wypadków śmiertelnych 283, mimo że ilość samochodów nadal wzrastała, i to dość gwałtownie). W 1959 r. odebrano 8 346 praw jazdy (ilość wypadków - 248). Procentowo, w stosunku do przejechanych kilometrów, ilość wypadków śmiertelnych kształtowała się w stanie Connecticut następująco: na każde 100 milionów mil śmiertelnych wypadków w 1955 zanotowano - 3,8, w 1956r. - 3,3, w 1957r. - 3, w 1958r. - 2,7 i w 1959r. - 2,5.

Przeprowadza się również kontrolę trzeźwości kierowców, a kary za prowadzenie wozu w stanie nietrzeźwym są wyjątkowo surowe.

Istnieją jednak stany, gdzie odpowiedzialność za wypadek jest zawsze jednakowa bez względu na okoliczności, w jakich został spowodowany. Dotyczy to tylko stanów południowych; w pozostałej części kraju zawsze bierze się pod uwagę, czy kierowca był absolutnie trzeźwy.

W walce z wypadkami drogowymi doniosłą rolę odgrywa wspomniana już energiczna i stała kontrola, ale nie bez znaczenia są także proste przepisy drogowe i wyraźne znakowanie na drogach. Prawie wszędzie, nawet na głębokiej prowincji, skrzyżowania dróg i ulic mają sygnalizację świetlną. Gdzie jej nie ma, widnieje sygnał „Stop”, który obowiązuje właściwie na każdym skrzyżowaniu bez sygnału świetlnego. Do tej zasady stosuje się każdy, bez względu na to, czy wyjeżdża na główną, czy na boczną

drogę.

Przyjęto za zasadę, że w razie najechania przechodnia winę ponosi zawsze kierowca. A zatem jeśli nawet kierowca nie został ukarany przez policję, obowiązany jest wypłacić ofierze odszkodowanie. Stąd też każdy kierowca jest ubezpieczony od podobnych ewentualności. Lecz przy ponownym wypadku towarzystwo asekuracyjne odmawia mu ubezpieczenia lub podnosi miesięczną składkę.

Może dlatego właśnie wszyscy jeżdżą tu nadzwyczaj ostrożnie. W Nowym Jorku nie przy wszystkich przecenicach można przechodzić ulicę. W parę dni po moim przyjeździe, gdy jeszcze nie byłem dostatecznie obznajmiony z przepisami, doszedłszy do rogu ulicy, chciałem przejść na drugą stronę. Było pusto, więc śmiało wkroczyłem na jezdnię. Nagle zmieniono światła i z dwóch stron nadjechały sznury samochodów. Na mój widok wszystkie samochody natychmiast stanęły. Pozwolono mi przejść swobodnie i dopiero na drugim chodniku ktoś z przechodniów pouczył mnie, że w tym miejscu ulicy przechodzić nie wolno. Można powiedzieć bez przesady, że w Nowym Jorku, mimo tak olbrzymiego ruchu, nawet małe dziecko może bezpiecznie przejść przez ulicę.

Ogólna ilość wypadków, których ofiarą padli przechodnie, wygląda następująco: w 1928 r.- 11420, w 1943 r.- 9 900, w 1950 r. - 9 100, w 1958 r. - 7 800.

Jak widać z powyższego, zastosowanie dość ostrych kar wobec kierowców dało rezultaty. Należy dodać, że najechanie przechodnia na pasach czy tylko zmuszenie go do skoków lub biegu powoduje z reguły mandat i utratę prawa jazdy.

Staruszka kolej - wciąż nieodzowna

Kolejom w Ameryce przepowiadano już wielokrotnie śmierć. Wbrew tym zapowiedziom wciąż jednak istnieją, są potrzebne i niezastąpione. Samochody i samoloty przewożą miliony osób, lecz przed kolejją wciąż jeszcze stoją poważne zadania, zwłaszcza w dziedzinie transportu towarowego.

Przewozy samochodami ciężarowymi są zbyt drogie i stosuje się je tylko w odniesieniu do bardzo kosztownych lub szybko psujących się towarów. W 1935 r. przewieziono kolejją 1 503 590 185 ton towarów, zaś w 1956 r. - 2 855 855 771 ton. Również i wzrost dochodów kolei z tego tytułu podniósł się bardzo znacznie. W 1935r. kolej pobrała za przewóz towarów 2 831 139 271 dolarów, zaś w 1956r. - 9 088 637 405 dolarów.

W ostatnim ćwierćwieczu nastąpiły oczywiście zmiany na niekorzyść kolei. Nie mają one jednak decydującego znaczenia. Jeżeli bowiem wziąć pod uwagę olbrzymi przyrost samochodów - w 1940r. - 32 453 233, w 1958 r. - 68 698 000 i w 1961 r. prawie 75 milionów - i ogromny rozwój transportu lotniczego, okaże się, że z tej walki konkurencyjnej kolej wychodzi obronną ręką. W 1935 r. kolej przewiozła 448 milionów pasażerów, a w 1956 r. - 430 milionów. Tak więc tylko o 18 milionów mniej. W 1959 r. zaznaczył się już gwałtowniejszy spadek ilości pasażerów, których przewieziono tylko 360 milionów. Różnica w porównaniu z 1935 r. wynosi więc 88 milionów. Należy jednak uwzględnić okoliczność, że długość pasażerskich linii kolejowych uległa skróceniu. Obecnie jest ich mniej o blisko 22 tysiące mil, mimo że w tym samym czasie zbudowano 542 mile nowych linii kolejowych. Ubytek spowodowało zamknięcie niektórych linii dla przewozu pasażerskiego, którymi teraz przewozi się tylko ładunki towarowe, ponieważ ruch pasażerski przestał być opłacalny.

Mimo że ilość pasażerów spadła od 1935 roku, ilość przejechanych mil „pasażerskich” znacznie wzrosła. W 1935 r. wynosiła ona 18 509 497 000 mil, zaś w 1956 r. - 28 215 728 000 mil. Ludzie przebywają obecnie dłuższe trasy, a poza tym korzystają w większym niż kiedykolwiek stopniu z biletów miesięcznych i tygodniowych. Należy zaznaczyć, że amerykańskie statystyki obliczają ruch pasażerski na podstawie ilości sprzedanych biletów.

Obok przewozu towarów, właśnie ruch podmiejski czyni kolej żelazną coraz bardziej potrzebną, bez której nikt sobie nie wyobraża możliwości rozwiązania problemu dojazdu do pracy ludzi zamieszkałych w podmiejskich osiedlach. Kolej bowiem gwarantuje stosunkowo najszybsze połączenie z miastem. Spośród 66 milionów pracujących około 10 milionów musi dojeżdżać do pracy z bardziej oddalonych miejsc. Z tej liczby — 6 milionów jeździ samochodami, 3,5 miliona autobusami i tylko 500 tysięcy kolejją. Cyfra ta nie jest ścisła. Wiele osób dojeżdża samochodami do stacji kolejowej, posiadającej większy plac do parkowania; tam pozostawia swoje wozy i resztą podróży odbywa kolejją. Dojazd samochodem do miasta napotyka zawsze poważne trudności. W godzinach szczytu, ze względu na zatłoczenie autostrad, jedzie się bardzo wolno. Są też duże trudności z zaparkowaniem wozu. Nie jest również łatwy wyjazd z miasta. To wszystko sprawia, że ludzie wciąż jeszcze chętnie korzystają z usług kolei i autobusów.

Kolejowe bilety miesięczne na liniach podmiejskich cieszą się niesłabnącym powodzeniem;

pasażerowie ci jednak są dla towarzystw kolejowych bardzo uciążliwi. Jest to właściwie serwitut, który kolej musi spełniać. Jak obliczono, połowę pasażerów kolei żelaznych stanowią właśnie osoby dojeżdżające do pracy. Oni jednak dostarczają tylko 20 procent ogólnych wpływów z ruchu pasażerskiego. Ten przewóz pasażerów jest dla kolei deficytowy. Podobno przejazdy, za które pasażer płaci jednego dolara, kosztują kolej półtora. Linia kolejowa New Haven, łącząca Nowy Jork z Bostonem, dołożyła w 1960 roku do pasażerów z okresowymi biletami przeszło osiem i pół miliona dolarów. Na podobne straty finansowe skarżą się wszystkie inne linie kolejowe.

W ciągu ostatnich lat koleje w Ameryce poważnie zdrożały, przeciętnie o 30 procent. Nie wystarcza to jednak na pokrycie deficytu. Dla osób korzystających z biletów miesięcznych kolej stanowi wciąż najtańszy środek komunikacyjny. Przejazd odcinka 20-milowego kosztuje posiadacza biletu okresowego 50 centów. Samochód kosztowałby go dwa razy drożej, nie licząc kosztów parkowania i opłat za korzystanie z autostrady.

Z racji ponoszonych strat towarzystwa kolejowe wciąż żądają subsydiów, grożąc likwidacją najmniej opłacalnych linii. Proces kasowania linii kolejowych postępuje nieprzerwanie. Likwiduje się także stacje. Pociągi zatrzymują się w tych miejscach tylko na żądanie. Zdarza się, że większe dworce kolejowe są odnajmowane na zupełnie inne cele. W Waterbury, w stanie Connecticut, na dworcu kolejowym mieszczą się lokale redakcji miejscowej gazety i biura różnych przedsiębiorstw przemysłowych.

Zmiany zaszły też w taborze kolejowym. Przede wszystkim zmniejszyła się ilość lokomotyw. W 1935 roku amerykańskie koleje posiadały ich 49 541, przeważnie parowych. Dziś parowozów jest bardzo mało (około 2 000). Są one używane już tylko do prac przetokowych oraz na bocznych liniach, gdzie na Południu i Dalekim Zachodzie. W użyciu są wyłącznie lokomotywy dieslowskie lub elektryczne. Razem jest ich obecnie 32 593.

Zmniejszyła się również ilość wagonów pasażerskich. W 1935 r. było ich 42 426, a w 1956 r. już tylko 30 817. Mniej jest nawet wagonów towarowych. Ubyło ich w tym okresie 128 750; amerykańskie koleje posiadają ich 1 738 631. Do tej liczby trzeba jednak dodać dużą ilość wagonów towarowych stanowiących własność różnych firm.

Pociągi w USA rozwijają dużą szybkość, natomiast z punktualnością jest gorzej. Opóźnienia, i to dość poważne, zdarzają się na porządku dziennym. Na niektórych liniach są zjawiskiem chronicznym. Przyczyną tego jest brak lokomotyw.

Towarzystwa kolejowe nie kwapią się z podejmowaniem nowych inwestycji. Bywa więc często, że na wyjściowej stacji siedzi się godzinę w pociągu i czeka na lokomotywę. Szybkość pociągów amerykańskich bije przeciętne tempo w Europie. Wiele pociągów kursuje ze średnią szybkością 82 mil na godzinę, a szybkość 60—70 mil (ok. 100 km) jest właściwie przeciętną dla pociągów pospiesznych. Króciutko jeszcze o pewnej osobliwości. Otóż większość pociągów dalekobieżnych ma tu swoje nazwy (Challenger, City of Denver, Morning, Zephyr, Dazlight itp.). Nawet poszczególne wagony miewają „imiona”.

Na ogół jednak — mowa o kolejnictwie — rzuca się w oczy duże zaniedbanie. Cały wysiłek towarzystw kolejowych zmierza w jednym tylko kierunku — wyciągania od rządu maksymalnych dotacji. W tym celu prowadzi się hałaśliwe kampanie prasowe, grożąc zamknięciem tej czy innej linii kolejowej.

Samochodowe przeobrażenia

Do samochodów przyzwyczał Amerykanów Henry Ford. On ich posadził za kierownicami i pozwolił wyżyć się do woli w pasji podróżowania. Zrobił na samochodach fortunę, tak jak Vanderbilt na kolei. Samochody zmieniły całkowicie życie w kraju, a nawet krajobraz amerykański. Przeobrażenia tego dokonał Ford swoim modelem „T”.

Przedtem samochód był drogi i dostępny tylko dla bogatych. Obniżając stopniowo cenę, Ford udostępnił go szerokim rzeszom. W 1924 roku ilość tych samochodów wynosiła już 10 milionów. Ówczesna cena 290 dolarów

była najniższą ceną, jaką kiedykolwiek płacono. Potem bowiem zaczęto cenę stopniowo podnosić.

Ford oczywiście myślał nie tylko o uszczęśliwianiu swych współziomków, ale i o własnym interesie; wiedział, że najpierw trzeba ludzi do samochodów przyzwycząć, stworzyć taką sytuację, by stały się nieodzowne. Chodziło też i o to, by je stale kupowano. Produkowane przez niego samochody były trwałe i mogły służyć latami. Już wtedy więc obmyślił chyttrze środki do niewolenia ludzi, by stale zmieniali poprzedni model na nowy. Już w 1923 roku Ford wysunął jako zasadę, że wciąż muszą się ukazywać nowe modele, które będą różniły się wyglądem, coraz bardziej nowoczesną, modną sylwetką. Wówczas nieublagane prawa mody zmuszą ludzi do wydawania pieniędzy. Na tej zasadzie opiera się do dziś cały

przemysł amerykański, nie tylko samochodowy. Fabryki wciąż poszukują nowych, estetycznych form dla produkowanych przez siebie wyrobów, by nadać im ultranowoczesny i modny wygląd. Co roku więc każda „szanująca się” fabryka wypuszcza nowy typ samochodu, a „szanujący się” obywatel niezwłocznie go kupuje. Pomysł nie jest nowy. Ford skopiował po prostu to, co od dawna wynaleziono w dziedzinie mody damskiej i męskiej, głównie tej pierwszej.

Poza drobnymi zmianami, wprowadzanymi co roku, od czasu do czasu wprowadza się zmiany zasadnicze, podyktowane względami koniunktury. Dotąd zaszły trzy takie zasadnicze zmiany. W Ameryce nazywają je „samochodowymi rewolucjami”. Pierwszej dokonał Ford swym modelem „T”. Chodziło mu wówczas o masową produkcję; wyprodukował więc samochód prosty, tani i przystosowany do ówczesnych bardzo złych dróg. Samochód ten, o niewyszukanej linii, był przede wszystkim praktyczny. Ford wiedział, że ta właśnie zaleta zachęci Amerykanów do kupna. Dopiero później, wraz ze wzrostem produkcji, zaczęto budować coraz elegantsze wozy, no i oczywiście droższe.

Druga „rewolucja” poszła tylko w tym kierunku. Już przed wybuchem drugiej wojny światowej wielkie fabryki zdecydowały, że produkowanie tanich wozów nie ma racji bytu. Ludzie już tak dalece przyzwyczaili się do samochodów, że będą kupowali to, co się im narzuci. Postanowiono więc budować samochody drogie, a zatem wielkie i reprezentacyjne. Liczono na snobizm Amerykanów i wrodzoną im chęć imponowania. I nie mylono się. „Krażownicy szos” znalazły nabywców.

Potem z roku na rok prześcigano się w ich wielkości, mocy silników i luksusowym wykończeniu. Wyglądały rzeczywiście imponująco. Podnosiły się liczne głosy, że samochody te są istnym absurdem, że olbrzymia masa błyszczącego pudła zajmuje bezużytecznie zbyt dużo miejsca. Moda jednak obowiązywała i bez szemrania nabywano je, mimo że były drogie, mało zwrotne i sprawiały moc kłopotów z parkowaniem. Typ taniego samochodu zniknął bez śladu.

Te wielkie i drogie samochody utrzymywały się na rynku przez prawie piętnaście lat. W końcu jednak, od 1955 roku, sprzedaż zaczęła spadać. Właśnie ów rok 1955 był szczytowy. Sprzedano wówczas 7 920 000 samochodów osobowych. W następnym roku już o półtora miliona mniej, a w 1958 zaledwie połowę tej rekordowej ilości.

Jednocześnie zaczęła wzrastać w USA sprzedaż importowanych wozów europejskich, mniejszych i wcale nie tak tanich, gdyż obciążonych cłem i kosztem transportu. Były jednak wygodniejsze, i to decydowało. W 1956 roku sprzedano w USA 98 tysięcy importowanych samochodów europejskich, w roku 1958 już 377 tysięcy, a w 1959 r. — 668 tysięcy.

Dziwiono się, że potężny amerykański przemysł samochodowy zezwala na taką penetrację rynku krajowego.

Posiada przecież olbrzymie wpływy, potężne *lobby*, tj. oficjalną agenturę w Waszyngtonie w celu wywierania wpływu na władze ustawodawcze i rządowe, tak że mógłby bez trudności zahamować wszelką konkurencję. W rzeczywistości było mu to na rękę. Chodziło mianowicie o przyzwyczajenie Amerykanów do małych samochodów. Po latach propagandy i przekonywania ludzi, że tylko duży wóz jest ekonomiczny i bezpieczny, trzeba było dowieść z kolei, że mały wóz jest jeszcze lepszy. Decyzja co do zmiany typu została podjęta już znacznie wcześniej.

O zmianie tej, tak bardzo zasadniczej, zadecydowały względy ekonomiczne. Stare typy, co roku piękniej i efektowniej zdobione, stale wzrastały w cenie. Jednak za zwykłą cen bynajmniej nie nadążał wzrost zarobków przeciętnego obywatela. I oto nastąpił spadek sprzedaży. Przestraszono się też wzrostu europejskiej produkcji. Samochody te były tańsze niż amerykańskie, co sprzyjało wzrostowi ich produkcji w Europie. W 1958 roku zdarzyła się rzecz bez precedensu, a mianowicie amerykański przemysł samochodowy wyprodukował mniej samochodów niż przemysł europejski.

Nie było to bynajmniej zaskoczeniem. Spodziewano się tego i w przewidywaniu takiej sytuacji już od 1956 roku przygotowywano w tajemnicy nowe modele samochodów, zupełnie odmienne od dotychczasowych. Czyniono to wszystko w największym sekrecie, ponieważ szpiegostwo konkurencyjnych firm samochodowych jest w Stanach Zjednoczonych bardzo szeroko rozwinięte.

Nad nowym typem małego wozu rozpoczęły pracę prawie równocześnie trzy wielkie amerykańskie koncerny samochodowe: „General Motors”, „Ford Motor” i „Chrysler”. Dla prototypowego wozu, który miał być wypróbowany na drogach, „General Motors” sporządził specjalną karoserię, maskującą najistotniejsze cechy wozu. Koncern Chryslera przeprowadzał próby tylko w nocy, lecz najściślej przestrzegano tajemnicy u Forda. Rysunki nowego wozu zostały sporządzone u Forda w sześciu kopiach, a po zatwierdzeniu przez zarząd zachowano jeden egzemplarz, resztą zaś spalono komisyjnie. W toku prac nowy wóz otrzymał nazwę „19XK Thunderbird”, by wywołać wrażenie, że pracuje się nad ulepszonym typem dotychczasowego wozu. Stu robotników, pracujących nad budową prototypu, otrzymało zamknięte na kłódki skrzynki. Do nich musieli wrzucać zużyte rysunki. Chrysler zaś

wybudował specjalny budynek fabryczny, oddzielony od innych wysokim murem, gdzie dwuosobowa załoga opracowywała nowy typ samochodu. Pracownikom tym przez cały czas pracy nie wolno było opuszczać fabryki, na terenie której mieszkali. Rozpuszczono też wieści, że opracowuje się tam nowy typ czołgu dla armii amerykańskiej.

Zmiana typu wozu nie jest bynajmniej prosta. Wymaga to nie tylko opracowania projektu, lecz zmiany parku maszynowego i wielu urządzeń. Zmiana typu wozu kosztowała Chryslera 450 milionów dolarów. Koszt matrycy do tłoczenia jednego tylko błotnika dla „Falcona” kosztował fabrykę przeszło dwa miliony dolarów. Z tego właśnie powodu „General Motors” został zmuszony do wybudowania odlewni aluminium. Wybudowano ją nad Rzeką św. Wawrzyńca za około 100 milionów dolarów.

Wkrótce okazało się, że nie tylko te trzy fabryki pomyślały o zmianie. Z małym wozem wystąpiła również firma „American Motors”, która zaprezentowała na rynku chyba najbardziej udany typ — „Ramblera”. Wozy te już nie są tak drogie, jak poprzednie. Są nawet tańsze od europejskich i cena ich nie przekracza dwóch tysięcy dolarów.

Z chwilą pojawienia się tych samochodów zaczęto natychmiast przekonywać społeczeństwo, że to właśnie jest najbardziej odpowiedni typ wozu. Nie krytykowano wprawdzie dawnych modeli, lecz podkreślano na każdym kroku zalety mniejszego wozu. Zmniejszył się też natychmiast import, i to tak znacznie, że w 1961 roku europejskie fabryki sprzedały w USA tylko 279 tysięcy wozów.

Szał turystyczny

Sobota i niedziela — to dwa dni świąt w tym kraju. *Weekend* jest zawsze połączony z wyjazdem za miasto — kto mieszka na prowincji, ten jedzie do miasta. W mieszkaniach pozostają wyłącznie chorzy, leniwi lub mający „na karku” pilną robotę w domu. Nie wyjeżdża się tylko w słotę lub podczas silnych mrozów w obawie przeziębienia dzieci. Chodzi o to, że weekendowe podróże odbywa się zawsze z całą rodziną, z odeskami włącznie. O każdej porze roku w piątek wieczorem sznury samochodów ciągną z miasta. Kto nie ma samochodu lub nie chce mieć z nim kłopotu, jedzie koleją albo autobusem. Przez te dwa dni miliony Amerykanów przeistaczają się we wszędobylskich turystów. Zwolnieni chwilowo od codziennych zajęć i trosk, jeżdżą, oglądają, spacerują, zwiedzają. Nawet starzy ludzie, jeśli brzemię lat nie obarcza ich zbyt silnie, ulegają wszechwładnej pokusie i porzucają miasto.

Istnieje jeszcze turystyka wakacyjna. W Ameryce urlopy są dwutygodniowe zarówno dla pracowników umysłowych, jak i fizycznych. Zamożniejsi spędzają ten okres na zagranicznych wояażach, lecz większość pakuje rodziny do samochodów i zaczyna włóczyć się po kraju. Jedni nocują w motelach lub w pensjonatach; inni, zamiłowani koczownicy, i takich jest najwięcej, zabierają namioty, kuchenki i naczynia, aby umilić sobie czas na biwakach.

Ludność wielu stanów czerpie zyski głównie z turystyki. Pomyślano więc o różnych udogodnieniach dla turystów i uatrakcyjnieniu im pobytu w swojej miejscowości.

Przy autostradach i bocznych drogach spotyka się specjalnie przygotowane miejsca na odpoczynek, tzw. „rest area”, a także miejsce na samochody, wkopane w ziemię stoły, ławy, kosze na śmiecie. Zwykle znajduje się też murowana kuchenka, urządzenie przeznaczone dla tych, którzy chcą odpocząć na świeżym powietrzu i sporządzić sobie pod gołym niebem posiłek. Rozniecanie ognia na ziemi jest surowo wzbronione i dlatego kuchenki są murowane. Wszyscy doceniają tu niebezpieczeństwo pożaru, a pożary lasów są prawdziwą klęską. W 1960 r. pożary w USA strawiły prawie milion hektarów lasu. Wyszuszone podszycie zajmuje się łatwo i ogień błyskawicznie rozprzestrzenia się po lesie. W Maine, na Desert Island, widziałem olbrzymie wypalone przestrzenie. Na obszarze paru tysięcy hektarów, jak okiem sięgnąć, wszędzie zwęglone kikuty drzew. Nie ma prawie dnia, aby gazety nie doniosły o pożarze lasu. Ostrzeżenia o ostrożnym obchodzeniu się z ogniem w lasach znajdują się wszędzie — w *subway*, na stacji kolejowej i na przydrożnych tablicach.

Obóz można rozbić wszędzie, lecz ostrożnie z ogniem, gdyż grozi wysoka grzywna. Jeżeli turysta nie wziął ze sobą przenośnej kuchenki, a w pobliżu nie ma *rest area*, wówczas musi jechać na miejsce obozowania. Opłaty są niskie, gdyż obozowiska prowadzą zwykle władze komunalne. W obozowisku można skorzystać już z pewnych wygód. A więc murowane kuchenki i do nich darmo drzewo, woda z kranu, kanalizacja, WG, umywalnie z prysznicami i wanny. Wszystko to dość tanie, lecz bez filantropii. Cel zasadniczy to ściągnięcie turystów, by tu zostawili pieniądze.

Byłem kiedyś w miasteczku Urbana na Środkowym Zachodzie. Obok jest drugie, Champagne. W każdą sobotę w Urbana na głównej ulicy przygrywają orkiestry dc tańca. Tego dnia ulicę zamyka się dla ruchu, a na jej rogach, na ciężarowych samochodach grają dwie orkiestry. Jedna, w strojach kowbojskich, gra tylko stare amerykańskie melodie dla amatorów dawnych tańców regionalnych. Druga, w smokingach, wygrywa nowoczesne melodie. Na dokładkę dla każdego gratisowo „Coca-cola”. Wszystko to dlatego,

że w Champagne zbudowano „wesole miasteczko”. Niegdyś turyści tam jeździli i tam wydawali pieniądze. Obecnie zaś odwiedzają Urbana.

Dla przyciągnięcia turystów weekendowych różne miejscowości prześcigają się w pomysłach, nie szczędząc nakładów pieniężnych. Każda gmina, miasteczko, nawet najmniejsze, stara się zaprezentować jakąś miejscową osobliwość, coś szczególnego, co mogłoby zainteresować przyjezdnych. Regionalne muzea, zrekonstruowane stare farmy i oberże z osiemnastego wieku, kolekcje samochodów sprzed pięćdziesięciu lat, muzea indiańskie lub sekt religijnych. Są całe wsie zrekonstruowane według starych wzorów, a ich mieszkańcy w soboty przebierają się w kostiumy pionierów.

Dla celów turystycznych udostępniono wszystkie jeziora (szczególnie liczne w Nowej Anglii), rzeki i strumienie. Nad ich brzegami pobudowano kolonie domków weekendowych i urządzono wygodne przystanie, wyposażone w łodzie do wynajęcia.

Nie tylko wieś, ale i większe miasta, aby przyciągnąć uwagę turystów, urządzają specjalne festyny. Rokrocznie w Bostonie odbywają się w czerwcu festiwale sztuki. W tym miesiącu artyści Nowej Anglii mają okazję zaprodukowania się przed liczną publicznością; park miejski zamienia się wówczas w salę teatralną, koncertową i wielką galerię sztuki. Na specjalnie wzniesionej estradzie co dzień można obejrzeć w okresie trwania festiwalu wystawioną sztukę dramatyczną lub operę.

W młotki koncertuje orkiestra miejscowej filharmonii. Pod gołym niebem, na trawnikach, urządza się wystawę współczesnej rzeźby, a w namiotach wystawia się obrazy miejscowych malarzy. Są też wystawy wyrobów artystycznego rzemiosła.

Nie tylko atrakcje czekają turystów, lecz również i wygody, a przy drogach sklepy, w których można nawet nabyć antyki. A więc latarnie do powozów, koła, sanie, stare szyldy z XIX wieku i lampy naftowe. Te niezwykle „precjoza” zawsze znajdują chętnych nabywców.

Good-bye, America!

Wreszcie nadszedł czas rozstania się z Ameryką. I znów znalazłem się w nowojorskim porcie, tym razem w drodze powrotnej do kraju. Ostatnie spojrzenie na huczące miasto i na zasłaniające horyzont drapacze chmur. Ostatnie uściski dłoni, pożegnania, formalności celne. Wielki statek wolno odbija od przystani, ciągniony przez małe holowniki.

Długo stałem na pokładzie pełen mieszanych uczuć. Cieszyłem się, że już wracam, lecz równocześnie z żalem opuszczałem amerykański kontynent. Pozostawiałem wielu przyjaciół i miasta, z którymi zdążyłem się żyć. Przystosowałem się do nowych obyczajów i do obowiązującego tu tempa życia. Ze szczególnym jednak żalem rozstawałem się z ludźmi.

Właśnie oni, Amerykanie, najbardziej mnie intrygowali i im głównie poświęciłem swoje wspomnienia. Staralem się przedstawić ich jak najwierniej, choć zdawałem sobie sprawę, że niełatwo jest zdobyć się tu na obiektywizm i dać bezbłędną ich charakterystykę. Zwłaszcza jeśli chodzi o Amerykanów jest to zadanie wyjątkowo trudne, tym trudniejsze, że Amerykanie są pełni przeróżnych sprzeczności, które godzą ze sobą doskonale, choć może się to wydawać nieprawdopodobne. Łatwo więc o błędną ocenę, o fałszywą opinię i powierzchowny, niepełny sąd. Jakże na przykład pogodzić ich zamiłowanie do hazardu z ostrożnością, trzeźwością, spokojem i wyrachowaniem. Nie chodzi tylko o hazard przy zielonym stoliku. Amerykanie chętnie hazardują się wszędzie i przy każdej okazji, przy zawieraniu transakcji handlowych i w zawieraniu... małżeństwa. Lubią ryzyko, choć jednocześnie starają się zabezpieczyć przed nim. Kompleks *security* dominuje nad wszystkim.

Trudno też pogodzić ich szczerą i dobroniosną z czujnością i podejrzliwością — przede wszystkim gdy w grę wchodzi pieniądze. To samo odnosi się do zapobiegliwości, skrzętności i oszczędności, które nie kolidują u nich z pasją wydawania pieniędzy i rozrzutnością, gdy chodzi o zaimponowanie. Doskonale godzą materializm z idealizmem, rubasznosć z delikatnością, szczerą z chy-trością, bezwzględność z sentymentalizmem, purytanizm z dążeniem do wyrafinowanego luksusu, lenistwo z pracowitością i ascetyzm z rozwiązłością. Skłonność do wygodnictwa łączą w sobie z naturą awanturnika; mają w sobie coś z emeryta i przedsiębiorczego pioniera, ze zniewieściałego mieszczaucha i z pełnego fantazji kowboja.

Dzisiejsi Amerykanie różnią się nie tylko od swych dziadów, lecz również od swych rodziców. Są narodem młodym i wciąż jeszcze kształtującym swoje zasadnicze cechy.

Gdy w latach 1830-1835 De Toqueville oglądał Stany Zjednoczone, największe wrażenie zrobiła na nim amerykańska demokracja, wówczas niewątpliwie jedyna tego rodzaju. W Amerykanach jednak widział raczej Anglików w „kolonialnym wydaniu”. Wpływy angielskie i teraz jeszcze są tam bardzo silne, co sprawia, że jego książka, mimo stuletniej przeszłości, wciąż zdumiewa aktualnością. Jakkolwiek

wiele się zmieniło od tego czasu, jednak wiele identycznych cech Amerykanie zachowali do dziś. Lekceważenie wszystkiego, co nieamerykańskie — z wyjątkiem angielskiego — pochodzi niewątpliwie z wysp brytyjskich. Być może jest to jedna z przyczyn, że o historii i kulturze innych krajów wiedzą mało. Przez długi czas w ogóle nic wiedzieć nie chcieli. Dopiero po ostatniej wojnie światowej zaczęli zdradzać zainteresowanie przeszłością innych narodów. Teraz też zaczynają się uczyć obcych języków, w tym również słowiańskich. Jest to postęp ogromny. Dla wielu Amerykanów nowożytna era zaczęła się z chwilą wylądowania „pielgrzymów”, a ośrodkiem cywilizacji światowej jest Ameryka Północna. Często można się spotkać u Amerykanina z ignoracją rzeczy powszedniej dla każdego przeciętnego inteligenta z Europy. A przecież kraj ten ma stare kulturalne tradycje. Tak na przykład już w szesnaście lat po wylądowaniu „pielgrzymów” został założony, w 1636r., pierwszy w Ameryce Północnej uniwersytet (Harward).

Zresztą i nasza wiedza o Nowym Świecie i jego mieszkańcach nie grzeszy zbyt dużą rozległością i głębią; najczęściej sprowadza się ona do powierzchownej znajomości tych czy innych realiów życia Amerykanów. Bądźmy więc i my wyrozumiali. Łatwo tu pobrać. A chociaż rzeczą ludzką jest błędzić, proszę i ja o wybaczenie wszelkich ewentualnych nieścisłości

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej składają się z 50 stanów i niezależnego Dystryktu Kolumbia. Poza tym do USA należy szereg terytoriów. Każdy ze stanów posiada własne ustawodawstwo, odrębną stolicę z kapitołem, kongresem i rządem stanowym. Posiada też własną policję i milicję (rodzaj wojska). Gubernator stanu jest wybierany, podobnie jak prezydent, na okres czterech lat Oddzielnych flag i herbów stany nie posiadają, natomiast mają swoje barwy i jako symbol — ptaka, kwiat lub drzewo. Posiadają nadto hymn, motto i charakteryzujący je pseudonim.

ALABAMA. Obszar: 134 700 km¹. Ludność: 3 266 740. Motto: Musimy bronić swych praw. Pseudonim: stan bawełniany. Stolica: Montgomery. Najbardziej uprzemysłowiony stan Południa. Do Unii Alabama przystąpiła w 1819 roku jako 22 z kolei stan. Alabamę pierwsi odwiedzili i opisali Hiszpanie (Cabeza de Vaca, Hernando de Soto i de Narvaez). Na terenie tego stanu Andrew Jackson odniósł pod Talladega i Horseshoe decydujące zwycięstwo nad Indianami. Główne miasta: Birmingham, Mobile, Gadson, Tuscaloona.

ALASKA. Obszar: 1 518 717 km⁵. Ludność: 152 000. Motto jeszcze nie posiada. Pseudonim: stan kresowy. Stolica: Juneau. Do Unii została przyjęta w 1959 roku jako 49 stan. Alaska jest największym pod względem obszaru stanem USA. Obecnie rozwija się tam przemysł spożywczy; obfituje w złoto, fosfory i niedźwiedzie. Główne miasta: Anchorage, Fairbanks, Katchika.

ARIZONA. Obszar: 294 900 km². Ludność: 1 302 161. Motto: Bóg wzbogaca. Pseudonim: stan kanionów. Stolica: Phoenix. Do Unii przyjęta została w 1912 roku jako 48 stan. Jest to stan ubogi, pustylny. Nazwa stanu pochodzi od słowa indiańskiego, które znaczy „małe źródło”. Arizona posiada liczną ludność indiańską (plemiona Apaczów i Nawahów). Na terenie Arizony znajdują się kopalnie miedzi, srebra, uranu i złota. Rolnictwo jest ubogie, nieco lepiej rozwinięta jest hodowla bydła. Główne miasta: Tucson, Mesa, Douglas.

ARKANSAS. Obszar: 137 518 km*. Ludność: 1 786 272. Motto: Lud rządzi. Pseudonim: kraina okazji. Stolica: Little Rock. Do Unii Arkansas przystąpił w 1836 roku jako 25 stan. Stynie z gorących źródeł i jedynej w Ameryce Północnej kopalni diamentów. Poza tym jest to stan rolniczy, produkujący bawełnę, pszenicę i kukurydzę. Rozwinięta jest również hodowla bydła. Główne miasta: Fort Smith, Pine Bluff i Hot Springs.

CONNECTICUT. Obszar: 12 972 km². Ludność: 2 535 234. Motto: Kto się przesiedli, ten się utrzyma. Pseudonim: stan konstytucji. Stolica: Hartford. Do Unii przystąpił w 1788 roku jako 5 stan. Connecticut ma szeroko rozwinięty przemysł. Rolnictwo ogranicza się do farm drobiu, mlecznych i nielicznych plantacji tytoniu. W stolicy stanu skupiają się (ze względu na podatkowych) zarządy prawie wszystkich towarzystw ubezpieczeniowych USA. Connecticut szczyci się najstarszą pisaną konstytucją (z 1639 r.). Główne miasta: New Haven, Bridgeport, Waterbury i Stanford.

DAKOTA POŁUDNIOWA. Obszar: 199 529 km*. Ludność: 680 514. Motto: Pod władzą Boga rządzi lud. Pseudonim: stan kujotów. Stolica: Pierre. Do Unii przyjęta w 1889 r. jako 40 stan. Stan rolniczy i turystyczny. Stan ten ma liczną ludność indiańską z plemienia Sjuksów, którzy najdłużej stawali opór białym i zadali w 1876 roku klęskę gen. Custerowi. Stan posiada bogate kopalnie złota i rozwiniętą hodowlę bydła. Główne miasta: Sioux Falls, Rapid City, Huron,

DAKOTA PÓLNOČNA. Obszar: 183 000 km*. Ludność: 632 446. Motto: Wolność i unia. Pseudonim: stan Sjuksów. Stolica: Bis-marck. Do Unii przystąpiła w 1889 roku jako 39 stan. Jest to jedyny w USA stan, w którym rząd stanowy posiada własny bank, duże młyny zbożowe, elewatory i parę fabryk przemysłu spożywczego. Stan ten jest największym w USA producentem jęczmienia. Miasta: Fargo, Grand Forks, Minot, Jamestown.

DELAWARE. Obszar: 5 327 km*. Ludność: 446 202. Motto: Wolność i niepodległość. Pseudonim: pierwszy stan. Stolica: Dover.

Do Unii przystąpił w 1787 roku jako pierwszy stan. Stan przemysłowo-rolniczy. Główne miasta: Newark, New Castle, Wilmington. W tym ostatnim znajdują się wielkie fabryki chemiczne firmy „Du Pont de Nemours”.

DYSTRYKT KOLUMBIA. Obszar: 179 km⁸. Ludność: 763 956. Dystrykt Kolumbia nie jest stanem, lecz obszarem niezależnym, na terenie którego leży stolica USA — Waszyngton.

FLORYDA. Obszar: 151600 km². Ludność: 4 951560. Motto: Ufamy Bogu. Pseudonim: słoneczny stan. Stolica: Tallahassee. Słynie z pięknych plaż (w Miami), pomarańcz, luksusowych hoteli, 30 tysięcy jezior i olbrzymiego rezerwatu ptasiego, założonego na rozległych bagniskach. Do Unii Floryda przystąpiła w 1845 r. jako 27 stan. Na Florydzie znajduje się najstarsze miasto w USA St. Augustin. Główne miasta: Miami, Jackson-ville, Tampa, SL Petersburg.

GEORGIA. Obszar: 152 471 km⁸. Ludność: 3 943 116. Motto: Rozum, sprawiedliwość, umiarkowanie. Pseudonim: brzoskwiניowy stan. Stolica: Atlanta. Do Unii przystąpiła w 1788 roku jako 4 stan. Rozwija się produkcja bawełny, tytoniu i owoców. Farmy w większości zacofane. Główne miasta: Savannah, Columbus, Augusta.

HAWAJE. Obszar: 16 636 km². Ludność: 632 712. Motto: Życie kraju jest wieczną sprawiedliwością. Pseudonim: stan Aloha. Stolica: Honolulu. Do Unii przyjęte w 1959 roku jako 50 stan. Stan rolniczy o wysokiej produkcji trzciny cukrowej i ananasów. 75 proc. światowej produkcji soku ananasowego i ananasów w puszkach pochodzi z plantacji hawajskich. Główne miasta: Wahiawa, Wailuku.

IDAHO. Obszar: 216 388 km². Ludność: 667191. Motto: Jest wieczny. Pseudonim: Klejnot. Stolica: Boise. Do Unii przystąpił w 1890 r. jako 43 stan. Nazwa pochodzi od indiańskiego słowa oznaczającego wschód słońca. Słynie z produkcji ziemniaków. Posiada kopalnie złota, srebra, miedzi, cynku i węgla. Stan wyjątkowo bogaty w zwierzynę. Główne miasta: Pocatello, Idaho Falls, Twin Falls, Nampa.

ILLINOIS. Obszar: 146 059 km⁸. Ludność: 10 081158. Motto: Władza stanu, unia narodu. Pseudonim: stan preriowy. Stolica: Springfield. Do Unii przyjęty w roku 1818 jako 21 stan. Posiada nowoczesne rolnictwo, potężny przemysł, zwłaszcza kopalnie węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego. Tucz trzody chlewnej na olbrzymią skalę. Główne miasta: Chicago, Peoria, Rockford.

INDIANA. Obszar: 93 983 km². Ludność: 4 662 498. Motto: Krzyżujące się drogi Ameryki. Stolica: Indianapolis. Najbardziej uprzemysłowiony stan USA. Posiada również rozwinięte i nowoczesne rolnictwo. Do Unii Indiana została przyjęta w 1816 roku jako 19 stan. Główne miasta: Gary, Fort Wayne, Evansville.

IOWA. Obszar: 145 748 km². Ludność: 2 757 537. Motto: Wolność cenimy, a prawa chcemy utrzymać. Pseudonim: stan jastrzębiego oka. Stolica: Des Moines. Stan rolniczy. Do Unii przystąpiła Iowa w 1846 roku jako 29 stan. Iowa posiada bardzo urodzajne gleby i mały procent nieużytków. Szeroko rozwinięta hodowla bydła i trzody chlewnej. Główne miasta: Sioux City, Davenport, Cedar Rapids i Waterloo.

KALIFORNIA. Obszar: 410 967 km². Ludność: 15 717 204. Motto: Zwycięstwo, znalazłem! Pseudonim: złoty stan. Stolica: Sacra-mento. Do Unii przystąpiła w 1850 roku jako 31 stan. Kalifornia to kraj rolniczy, przemysłowy, o rozwiniętym górnictwie. Produkuje ropę naftową. Kopalnie złota są na wyczerpaniu. Główne miasta: Los Angeles, San Francisco, Oakland, San Diego, Long Beach.

KANSAS. Obszar: 213 070 km². Ludność: 2 178 614. Motto: Do gwiazd poprzez trudności. Pseudonim: stan słonecznika. Stolica: Topeka. Do Unii przystąpił w 1861 r. jako 34 stan. Stan rolniczy o największej produkcji pszenicy. Kansas posiada duży przemysł. Miasto Wichita stanowi centrum przemysłu lotniczego, natomiast Kansas City posiada olbrzymi przemysł spożywczy i wielkie rzeźnie. Kopalnie ropy naftowej. Główne miasta: Wichita, Kansas City, Hutchinson.

KAROLINA POŁUDNIOWA. Obszar: 80 423 km². Ludność: 2 382 594. Motto: Gdy oddycham — żyję. Pseudonim: Palmetto. Stolica: Kolumbia. Do Unii przystąpiła w 1783 r. jako 8 stan. Był to kraj rolniczy, biedny i zacofany. Obecnie uprzemysławia się w dość szybkim tempie. Dużo zakładów przemysłowych przenosi się z Północy do Karoliny ze względu na niskie podatki obowiązujące w tym stanie. Rolnictwo jest wciąż jeszcze bardzo zacofane. Ważniejsze miasto: Charleston.

KAROLINA PÓLNOČNA. Obszar: 136 508 km². Ludności 4 556 155. Motto: Być, a nie widzieć. Pseudonim: stan podstawowy. Stolica: Raleigh. Do Unii przystąpiła w 1789 r. jako 12 stan. Stan rolniczo-przemysłowy. Duża produkcja tytoniu, kukurydzy i bawełny. Przemysł papierniczy, meblowy i spożywczy. Na terenie tego stanu powstała pierwsza kolonia angielska założona w 1585 r. w Roanoke. Główne miasta: Charlotte, Winston-Salem, Greensboro.

KENTUCKY. Obszar: 104 611 km². Ludność 2 038 156. Motto: Zjednoczeni utrzymamy się, podzieleni upadniemy. Pseudonim: stan niebieskiej trawy. Stolica: Frankfort. Do Unii przyjęty w 1792 r. jako 15 stan. Stan rolniczy i uprzemysłowiony, znany z produkcji doskonałych gatunków tytoniu. Główne miasta: Louisville, Covington, Lexington, Owensboro, Paducah.

KOLORADO. Obszar: 269 968 km². Ludność: 1753 947. Motto: Nic nie dzieje się bez opatrności. Pseudonim: stan stulecia. Stolica: Denver. Do Unii przystąpił w 1876 roku jako 38 stan. Jest to stan górzysty i pustylny. Rolnictwo istnieje tylko w sztucznie nawadnianych dolinach; stan posiada natomiast dość rozwinięte górnictwo (kopalnie miedzi, cynku i ropy naftowej). Ważny ośrodek turystyczny. Główne miasta: Pueblo, Kolorado, Greeley.

LUIZJANA. Obszar: 125 660 km². Ludność: 3 257 022. Motto: Zjednoczenie, sprawiedliwość i zaufanie. Pseudonim: stan pelikanów. Stolica: Baton Rouge. Do Unii stan ten przystąpił w 1812 roku jako 18. Luizjana jest stanem dostarczającym największych ilości futer (nerek, oposów, szopów, piżmowców). Duża produkcja cukru, bawełny, ryżu i tytoniu. Posiada wielki przemysł petrochemiczny. Główne miasta: Nowy Orlean, Shreve Port, Lake Charles.

MAINE. Obszar: 86 017 km². Ludność: 969 265. Motto: Prowadzimy. Pseudonim: stan drzewny. Stolica: Augusta. Do Unii przyjęta w 1820 roku jako 23 stan. Jest to stan lesisty; przoduje w produkcji celulozy. Dominuje przemysł papierniczy, meblowy i drzewny. Stosunkowo ubogie rolnictwo dostarcza

ziemniaków, czarnych jagód i drobiu.

MARYLAND. Obszar: 27 391 km². Ludność: 3 100 689. Motto: Męskie czyny, kobiece słowa. Pseudonim: stan wolności. Stolica: Annapolis. Do Unii przyjęty w 1788 roku jako 7 stan. Szeroko rozwinięty przemysł, szczególnie tytoniowy. Baltimore jest wielkim przemysłowym miastem. Znajduje się w nim znana Akademia Medyczna i szpital im. Johna Hopkinsa. Główne miasta: Baltimore, Cumberland, Hagerstown, Frederick, Salisbury.

MASSACHUSETTS. Obszar: 21 383 km². Ludność: 5 148 576. Motto: Mieczem wywalczymy pokój, lecz pokój o pełnej wolności. Pseudonim: stara kolonia. Stolica: Boston. Do Unii przyjęty w 1788 r. jako 6 stan. Nazwa pochodzi od plemienia Indian zamieszkujących ongiś te tereny. Stan bardzo uprzemysłowiony; największy producent obuwia w USA. Rolnictwo prawie nie istnieje. Główne miasta: Worcester, Springfield, New Bedford.

MICHIGAN. Obszar: 150 762 km². Ludność: 7 823 184. Motto: Jeśli szukasz pięknego miejsca, rozejrzyj się tutaj. Pseudonim: stan rosomaka. Stolica: Lansing. Do Unii przyjęty w 1837 roku jako 26 stan. Na terenie tego stanu znajdują się fabryki największych koncernów samochodowych (Ford, „General Motors” i „American Motors”). Stan rolniczy o bardzo intensywnej produkcji. Posiada też kopalnie soli potasowej. Główne miasta: Detroit, Grand Rapids, Flint, Dearborn, Saginaw.

MINNESOTA. Obszar: 217 711 km². Ludność: 3 413 864. Motto: Gwiazda polarna. Pseudonim: stan gwiazdy polarnej. Stolica: St. Paul. Do Unii przystąpiła w 1858 roku jako 32 stan. Stan przemysłowo-rolniczy, położony na rozległej prerii. Na terenie tego stanu znajduje się około 5 mln sztuk bydła. Główne miasta: Minneapolis, Duluth, Rochester.

MISSISSIPPI. Obszar: 123 750 km². Ludność: 2 178 141. Motto: Cnota i orężem. Pseudonim: stan magnolii. Stolica: Jackson. Do Unii przystąpił w 1817 roku jako 20 stan. Stan ten produkuje duże ilości bawełny i trzciny cukrowej. Przemysł dopiero obecnie zaczyna się rozwijać. Stan charakteryzują liczne rzesze ubogiej ludności białej i murzyńskiej oraz olbrzymie plantacje i małe, zacofane farmy. Główne miasta: Meridian, Biloxi, Greenville, Hattlesburg.

MISSOURI. Obszar: 180 435 km². Ludność: 4 319 813. Motto: Dobrobyt ludności naczelnym zadaniem. Pseudonim: Pokaż mi ten stan. Stolica: Jefferson City. Do Unii przyjęty w 1821 roku jako 24 stan. Stan przemysłowo-rolniczy. Słynął z hodowli mulów i koni, a obecnie dostarcza koni wyścigowych, kawaleryjskich oraz do gry w polo. Główne miasta: St. Louis, St Joseph, Springfield.

MONTANA. Obszar: 381 043 km². Ludność: 674 767. Motto: Złoto i srebro. Pseudonim: stan skarbiec. Stolica: Helena. Do Unii przystąpiła w 1889 roku jako 41 stan. Liczne kopalnie węgla, miedzi, złota, srebra, cynku i ropy naftowej. Jedyne stan, w którym jeszcze zachowały się mustangi. Rolnictwo ogranicza się do hodowli bydła. W stanie tym są wciąż jeszcze żywe tradycje dawnego Dzikiego Zachodu. Główne miasta: Great Falls, Butte, Billings, Missoula.

NEBRASKA. Obszar: 200 021 km². Ludność: 1 411 330. Motto: Równość przed prawem. Pseudonim: stan wołów. Stolica: Lincoln. Do Unii przyjęta w 1867 r. jako 37 stan. Nazwa pochodzi od indiańskiego słowa oznaczającego płytką wodę. Jest to stan rolniczy o bardzo rozwiniętej hodowli bydła. Miasta: Omaha, Grand Island, Hastings.

NEVADA. Obszar: 286 265 km². Ludność: 285 276. Motto: Wszystko dla naszego kraju. Pseudonim: stan srebrny. Stolica: Carson City. Do Unii przystąpiła w 1864 roku jako 36 stan. Stan rozwodów i gier hazardowych. Jest jedynym stanem, w którym wszelkie gry hazardowe są zalegalizowane. W Las Vegas istnieją setki domów gry, prowadzone przeważnie przez byłych gangsterów. Liczne kopalnie węgla, miedzi, cynku i uranu. Rolnictwo słabo rozwinięte. Główne miasta: Reno, Las Vegas, Sparks.

NEW HAMPSHIRE. Obszar: 24 095 km². Ludność: 606 921. Motto: Żyj i umieraj jako wolny człowiek. Pseudonim: stan granitowy. Stolica: Concord. Do Unii przyjęty w 1788 roku jako 9 stan. Stan górzysty o kamienistej glebie nie sprzyjającej rozwojowi rolnictwa; kraj uprzemysłowiony i stanowiący ważne centrum turystyczne. Główne miasta: Manchester, Nashua, Portsmouth.

NEW JERSEY. Obszar: 20 293 km². Ludność: 6 066 782. Motto: Wolność i dobrobyt. Pseudonim: stan ogrodów. Stolica: Trenton. Do Unii przystąpił w 1787 roku jako 3 stan. Stan bardzo uprzemysłowiony. Dominuje przemysł farmaceutyczny, chemiczny, metalowy i budowy statków. Posiada też rozwinięte sadownictwo, warzywnictwo. W stanie tym zbudowano pierwsze w USA autostrady. Główne miasta: Newark, Jersey City, Paterson, Elizabeth, Camden.

NOWY JORK. Obszar: 128 387 km². Ludność: 16 782 304. Motto: Zawsze naprzód. Pseudonim: naczelnym stan. Stolica: Albany. Do Unii przyjęty w 1788 roku jako 11 stan. Stan przemysłowo-rolniczy. Przez pewien czas miasto Nowy Jork było stolicą USA i siedzibą pierwszego prezydenta — George’a Washingtona. Nowy Jork jest obecnie ośrodkiem finansowym, kulturalnym i artystycznym Stanów Zjednoczonych. Stan wybitnie uprzemysłowiony, produkuje w produkcji gotowej odzież. Główne miasta: Nowy Jork, Buffalo, Rochester, Syracuse, Yonkers.

NOWY MEKSYK. Obszar: 315 078 km². Ludność: 951 023. Motto: Idąc naprzód, wzrasta. Pseudonim: czarowny kraj. Stolica: Santa Fe. Do Unii przyjęty w 1912 roku jako 47 stan. Jest to stan jeszcze bardzo zacofany, licznie zamieszkały przez Indian w rezerwach. Obecnie zaczyna się tam rozwijać górnictwo. Powstają kopalnie węgla, miedzi i ropy naftowej. W Nowym Meksyku znajduje się amerykańskie centrum badań atomowych (w Los Alamos). Główne miasta: Albuquerque, Roswell, Carlsbad, Clovis.

OHIO. Obszar: 106 753 km². Ludność: 9 706 397. Motto: Z Bogiem wszystkie przedsięwzięcia są możliwe. Pseudonim: stan kasztanów. Stolica: Columbus. Do Unii przystąpiło w 1803 roku jako 17 stan. Posiada nowoczesne rolnictwo, rozwinięty przemysł oraz liczne kopalnie węgla, rudy żelaza i ropy naftowej. Cleveland jest dużym ośrodkiem przemysłu hutniczego. Główne miasta: Cleveland, Cincinnati, Toledo, Akron.

OKLAHOMA. Obszar: 181 068 km². Ludność: 2 328 284. Motto: Praca zwycięża wszystko. Pseudonim: stan osadników. Stolica: Oklahoma City. Do Unii przyjęta w 1907 roku jako 46 stan. Był to biedny stan, zanim na jego terenie odkryto bogate źródła ropy naftowej. Obecnie miasto Tulsa jest uważane (pod względem • dochodu na głowę ludności) za najbogatsze na świecie. Nazwa pochodzi od indiańskiego słowa, które znaczy „czerwoni ludzie”. Główne miasta: Tulsa, Muskogee, Enid.

OREGON. Obszar: 251 152 km². Ludność: 1 768 687. Motto: Unia. Pseudonim: stan bobrów. Stolica: Salem. Do Unii przyjęty w 1859 roku jako 33 stan. Jest to stan lasów, gór i strumieni. Raj rybaków i myśliwych. Szeroko rozwinięty przemysł drzewny; liczne fabryki mebli, papieru i celulozy. Ważną gałąź gospodarki stanowi również połów łososi. Główne miasta: Portland, Eugene, Medford, Corvallis.

PENSYLVANIA. Obszar: 117 399 km². Ludność: 11 319 365. Motto: Cnota, wolność i niepodległość. Pseudonim: stan kluczowy. Stolica: Harrisburg. Do Unii przyjęta w 1787 roku jako 2 stan. Stan rolniczo-przemysłowy z wielkim centrum hutniczym w Pittsburghu. Filadelfia była siedzibą pierwszego rządu USA i tam została podpisana deklaracja niepodległości. Główne miasta: Filadelfia, Pittsburgh, Erie, Scanton, Reading.

RHODE ISLAND. Obszar: 3144 km⁸. Ludność: 859 488. Motto: Nadzieja. Pseudonim: mały Rhode. Stolica: Providence. Do Unii przystąpił w 1790 roku jako 13 stan. Stan przemysłowo-rolniczy. Jest najmniejszym ze wszystkich stanów USA. Główne miasta: Newport, Pawtucket, Cranston, Warwick.

TEKSAS. Obszar: 692 328 km². Ludność: 9 579 677. Motto: Przyjaźń. Pseudonim: stan jednej gwiazdy. Stolica: Austin. Do Unii przystąpił w 1845 roku jako 25 stan. Jest drugim co do wielkości stanem w USA. Posiada nowoczesne rolnictwo, rozwiniętą hodowlę bydła i drobiu, bogate złoża ropy naftowej oraz duży przemysł. Główne miasta: Houston, Dallas.

TENNESSEE. Obszar: 109 404 km². Ludność: 3 567 089. Motto: Rolnictwo. Pseudonim: stan ochotników. Stolica: Nashville. Do Unii przystąpił w 1796 roku jako 16 stan. Był to jeden z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych stanów, lecz dzięki inicjatywie prezydenta F.D. Roosevelta zbudowano tam liczne zapory wodne i elektrownie. Obecnie do tego stanu masowo przenosi się przemysł z Północy i Środkowego Zachodu. Powstały tu również kopalnie miedzi, cynku, rudy żelaza i węgla. Farmy produkują bawełnę, tytoń, drób i jaja. Główne miasta: Memphis, Chattanooga, Knoxville. UTAH. Obszar: 219 907 km². Ludność 890 627. Motto: Przemysł. Pseudonim: pszczeli stan. Stolica: Salt Lake City. Do Unii przystąpił w 1896 roku jako 43 stan. Stan bogaty w różne kopaliny. Wydobywa się tam miedź, złoto, srebro, cynk, rudę żelaza, węgiel i uran. Ostatnio odkryto złoża ropy naftowej. Posiada duży przemysł i nowoczesne rolnictwo. Główne miasta: Ogden, Logan.

£87

VERMONT. Obszar: 24 884 km*. Ludność: 389 881. Motto: Wolność i jedność. Pseudonim: stan zielonej góry. Stolica: Montpel-ler. Do Unii przystąpił w 1791 roku jako 14 stan. Jest pierwszym stanem, w którym zostało zakazane niewolnictwo (w 1777) i wprowadzono powszechne głosowanie. Od 1777 do 1791 r. Vermont był niepodległym państwem. Główne miasta: Burlington, Rut-land, Barre.

WASZYNGTON. Obszar: 176 597 km¹. Ludność: 2 853 214. Motto: Al-Ki. Pseudonim: zielony stan. Stolica: Olympia. Do Unii przystąpił w 1889 roku jako 42 stan. Jest to stan rolniczo-leśny, słabo zaludniony, bogaty w zwierzynę. Główne miasta: Seattle, Spokane, Tacoma, Yakima.

WIRGINIA. Obszar: 105 699 km⁸. Ludność: 3 966 949. Motto: Zawsze przeciw tyranom. Pseudonim: stare dominium. Stolica: Richmond. Do Unii przystąpiła w 1788 roku jako 10 stan. Na terenie tego stanu powstała pierwsza anglosaska kolonia w James-town. Również niewolnictwo zostało najpierw wprowadzone w tym stanie. Stan rolniczy o rozwijającym się dopiero w ostatnich czasach przemysłu. Główne miasta: Norfolk, Koanoke, Port-smouth.

WIRGINIA ZACHODNIA. Obszar: 62 622 km*. Ludność: 1 869 421. Motto: Górale są wolnymi ludźmi. Pseudonim: stan górzysty. Stolica: Charleston. Do Unii przyjęta w 1863 roku jako 35 stan. Posiada liczne huty produkujące stal, aluminium i szkło. Stan węglowy, pod względem rolniczym zacofany. Główne miasta: Runtington, Wheeling, Clarksburg, Parkesburg.

WISCONSIN. Obszar: 145 439 km⁸. Ludność: 3 851 772. Motto: Naprzód. Pseudonim: stan borsuków. Stolica: Madison. Do Unii przystąpił w 1848 r. jako 30 stan. Jest to stan rolniczy, słynny z produkcji serów i masła. Przoduje również w dziedzinie reform socjalnych. Wisconsin jest też pierwszym stanem, który w czasie wielkiego kryzysu wprowadził zapomogi dla bezrobotnych. Ważniejsze miasto: Milwaukee.

WYOMING. Obszar: 253 568 km¹. Ludność: 330 066. Motto: Równe prawa. Pseudonim: stan równości. Stolica: Chayenne. Do Unii przystąpił w 1890 roku jako 44 stan. Pierwszy stan, w którym przyznano kobietom pełne równouprawnienie. Jest to stan górzysty, bogaty w węgiel, ropę naftową. Na jego terenie* znajduje się słynny park narodowy Yellowstone. Główne miasta: Casper, Laramie, Sheridan.

Terytoria Stanów Zjednoczonych

PUERTO RICO jest wyspą na Morzu Karaibskim; do USA należy od 1899 roku. Obszar: 8 896 km¹. Ludność: 2 349 544. Stolica: San Juan. Ludność zajmuje się głównie rolnictwem. Główne miasta: Ponce, Mayagieez, Arecibo.

SAMOA należy do USA od 1899 r. Obszar: 197 km⁵. Ludność: 20 400. Stolica: Pago. Głównymi produktami wyspy są: kopro, maty i przetwory rybne.

Wyspy BAKER, HOWLAND i JARVIS, położone na Pacyfiku, należą do USA od 1936 r. Są to małe wysepki-atole, bardzo słabo zaludnione.

Teren KANAŁU PANAMSKIEGO położony jest między Pacyfikiem a Oceanem Atlantyckim. Obszar: 1 432 km². Został oddany w dzierżawę USA przez republikę Panama.

Wyspy CANTON i ENDERBURY leżą na Pacyfiku; w 1939 r. zostały odstąpione przez Anglię Stanom Zjednoczonym.

GUAM jest największą z Wysp Mariańskich. Obszar: 534 km². Ludność: 65 000. Stolica: Agafia.

WYSPA JOHNSTONA — mała wysepka na Pacyfiku.

RAFA KINGMANA jest bezludną wyspą, położoną w północnej części Pacyfiku.

Wyspa MIDWAY leży na Pacyfiku; obecnie sianowi bazę marynarki amerykańskiej.

WYSPY DZIEWICZE zostały zakupione od Danii w 1917 r. Obszar: 344 km². Ludność: 30 261. Ludność przeważnie murzyńska.

Wyspy WAKE należą do USA od 1899 roku. Były jeszcze niedawno bezludne; obecnie stanowią bazę lotnictwa amerykańskiego.

Indeks szczegółowy

ADAMS. Rodzina polityków i intelektualistów amerykańskich, pochodząca z Nowej Anglii, ze stanu Massachusetts. Założycielem jej był JOHN ADAMS (1735—1826), drugi z kolei prezydent USA w latach 1797—1801. Jego syn JOHN QUINCY (1767—1848) był szóstym z rzędu prezydentem USA w latach 1825—1829. Syn Johna Quincy, CHARLES FRANCIS (1807—1886), był ambasadorem USA w Wielkiej Brytanii. Syn jego, również CHARLES FRANCIS (1835—1915), był historykiem i wybitnym znawcą kolejnictwa. Piastował stanowisko prezesa towarzystwa kolejowego „Union Pacific”; jest autorem historycznego dzieła pt. „Three Episodes of Massachusetts History”. Jego bracia, BROOKS i HENRY, byli również historykami. Ten ostatni napisał „Mont San Michel and Chartres”, „The Education of Henry Adams” oraz studium o prezydenturze Jeffersona i Madisona.

ADAMS, SHERMAN. Doradca prezydenta Eisenhowera, zamieszany w aferę korupcyjną. 17 lipca 1958 r. złożył w tej sprawie zeznania przed komisją senacką, jako oskarżony o dostarczanie poufnych wiadomości swemu przyjacielowi — Bernardowi Goldfine'owi, finansście z Bostonu, za co otrzymywał kosztowne prezenty. Goldfine używał tych wiadomości do machinacji giełdowych. Sprawa nie została całkowicie wyjaśniona.

ALAMO. Cytadela w San Antonio w stanie Teksas. Słynna z rozpaczliwej obrony osadników amerykańskich przed oblegającymi wojskami meksykańskimi w 1836 r. Po zdobyciu cytadeli Meksykanie w okrutny sposób obeszlą się z wziętymi do niewoli Amerykanami. Później, w bitwie pod San Jacinto, wojska amerykańskie, idąc do ataku na Meksykanów, zagrzewały się do boju okrzykiem „Remember Alamo!” (Pamiętaj o Alamo).

ALAMOGORDO. Miasto w stanie Nowy Meksyk. Ludność: 6 783. Ośrodek handlu drzewem i artykułami rolnymi. W rejonie Alamogordo, w miasteczku Los Alamos, została wyprodukowana pierwsza bomba atomowa. W 1945 r. na pustyni leżącej w pobliżu przeprowadzono jej eksplozję. W okolicy miasta leży również pustynia białych piasków, która jako osobliwość stanowi obecnie rezerwat przyrodniczy.

ALBANY. Miasto w stanie Nowy Jork (od 1797 r. stolica tego stanu), położone nad rzeką Hudson. Założone w 1623 r. przez Holendrów i przez nich nazwane Fort Orange. W 1664 r. Anglicy przemianowali miasto na Albany. Miasto przemysłowo-handlowe i ważny węzeł komunikacyjny. Ludność: 134 995. W 1754 r. w Albany został podpisany traktat pomiędzy siedmioma brytyjskimi koloniami a federacją Indian Irokezów.

ALCATRAZ. Wyspa w zatoce San Francisco. W XVII w. Hiszpanie silnie ją ufortyfikowali. W 1853 r. Amerykanie założyli tam więzienie wojskowe. W 1933 roku zamieniono je na ciężkie więzienie karne.

AMHERST, JEFFREY (1717—1787). Generał brytyjski. Dowodził wojskami angielskimi w wojnie z Francuzami i Indianami. Zdobył Louisburg (1758) i Montreal (1760). Miasta Amherst w stanie Massachusetts i w Kanadzie zostały nazwane na jego cześć.

APPOMATOX. Miasteczko w stanie Wirginia. Ludność: 1 094. W dniu 9 kwietnia 1865 roku pod Appomatox gen. Robert Lee poddał się ze swą armią generałowi Ulyssesowi Grantowi.

ARMIA ZBAWIENIA. Międzynarodowa organizacja religijno--filantropijna, założona w Londynie w 1865 r. przez Williama Bootha. Początkowo nazywała się Misją Chrześcijańską. Nazwę Armia Zbawienia przyjęto dopiero w 1878 r. Wówczas też do stowarzyszenia została wprowadzona organizacja wojskowa (pastorzy są oficerami, a członkowie szeregowcami). W 1890 E. Armia Zbawienia rozwinęła się szeroko na terenie USA oraz w Indiach i Australii. W 1904 r. generałem A. Z. na terenie USA była Evangelina Booth, zaś od 1934 r. jest ona generałem tej organizacji na całym świecie.

ARTHUR, CHESTER ALAN (1830—1886). Prezydent USA w latach 1881—1885.

ASTOR, JOHN JACOB (1763—1848). Kupiec amerykański pochodzenia niemieckiego. Założył wielką firmę „American Fur Company”, która prawie całkowicie zmonopolizowała handel futrami w USA. W chwili swej śmierci był najbogatszym człowiekiem w USA. Jego wnuk, WILLIAM WALDORF ASTOR, przeniósł się do Anglii, gdzie otrzymał tytuł wicehrabiego.

ASTORIA FORT. Fort założony w 1811 r. nad rzeką Kolumbia przez ekspedycję wysłaną przez Astora do Oregonu. Miała to być faktoria do handlu futrami z Indianami. Obecnie jest to miasteczko handlowe, zamieszkałe przez 12 531 ludzi.

AUDOBON SOCIETY. Organizacja skupiająca młodzież szkolną 1 starszą w celu krzewienia wiedzy o faunie krajowej i właściwego stosunku do przyrody. Nazwa pochodzi od nazwiska wybitnego ornitologa amerykańskiego Johna Jamesa Audobona (1780—1851).

BALTIMORE, CALVERT GEORGE, lord (1580—1632). Angielski podróżnik i kolonizator. Założył w 1632 r. kolonię Maryland. Na jego cześć nazwano założone w 1729 roku miasto Baltimore.

BETHLEHEM. Miasto w Pensylwanii, założone w 1787 roku i zasiedlone początkowo emigrantami z

Moraw. Centrum przemysłu hutniczego i wielkich stalowni. Siedziba uniwersytetu Lehigh, założonego w 1807 r. Miasto znane również z dorocznych wielkich festiwali muzycznych.

BIAŁY DOM. Siedziba prezydentów USA. Znajduje się w Waszyngtonie, na północnej stronie Pensylwania Avenue. Biały Dom jest najstarszym gmachem publicznym w Waszyngtonie. Budowę jego rozpoczęto w 1792 r., a pierwszym prezydentem, który w nim zamieszkał, był John Adams (wprowadził się w 1800 r.). W 1814 r. Biały Dom został spalony przez Anglików. Po odbudowie ściany pomalowano na biały kolor, czemu zawdzięcza swą nazwę. Oficjalnie została ona wprowadzona jednak dopiero przez prezydenta Theodore'a Roosevelta. W latach 1902, 1942, 1949 i 1952 Biały Dom był przebudowywany i znacznie powiększony.

BIDWELL, JOHN (1819—1900). Pionier osadnictwa amerykańskiego w Kalifornii, a także polityk republikański.

BINGO. Gra w rodzaju loteryjki lub lotta, szeroko rozpowszechniona w USA.

BRONX. Północna dzielnica Nowego Jorku. W 1641 r. została zasiedlona przez Holendrów. W 1898 r. przyłączono ją do Nowego Jorku. W Bronx mieszczą się nowojorskie ogrody: botaniczny i zoologiczny.

BROWN, JOHN (1800—1850). Ofiarny działacz ruchu abolicjonistów. Bezskutecznie starał się wywołać powstanie Murzynów. Zginął powieszony, nie chcąc odstąpić od swych przekonań.

BROOKLYN. Dzielnica Nowego Jorku. Zasiedlona w 1636 r. przez Walonów i Holendrów. Nazywała się początkowo Breucklen i była małą wioską. W 1889 r. została przyłączona do Nowego Jorku jako dzielnica miasta.

BUCHANAN, JAMES (1791—1868). Prezydent USA w latach 1857—1861.

BUFFALO BILL. Prawdziwe nazwisko WILLIAM FREDERICK CODY (1846—1917). Znakomity łowca bizonów. Od 1893 r. organizował w cyrkach kowbojskie pokazy, w których popisywał się swą wyjątkową zręcznością.

BULL RUN. Mały strumień w Wirginii, 30 mil na południe od Waszyngtonu. Nad jego brzegami zostały stoczone dwie bitwy w czasie Wojny Domowej. Pierwsza, w dniu 21 lipca 1861 r., zakończyła się zwycięstwem konfederatów i poważnym zagrożeniem Waszyngtonu. Druga rozegrała się 29 i 30 sierpnia 1862 r. i również zakończyła się zwycięstwem konfederatów pod dowództwem gen. R. Lee.

CHIPMUNK (*Tamias atriatus*). Zwierzętko blisko spokrewnione z wiewiórką. Żyje tylko w Północnej Ameryce. Długość od 15 do 20 cm. Żywi się orzechami i owadami. Zamieszkuje nory, dziury w murach lub nisko położone dziuple.

CLARK, WILLIAM (1770—1836). Kierownik ekspedycji mającej za zadanie znalezienie przejścia przez Góry Skaliste oraz zbadanie wybrzeży Pacyfiku. Później został gubernatorem stanu Missouri.

CLEVELAND, STEPHEN GROVER (1837—1901). Dwukrotny prezydent USA w latach 1885—1889 i w 1893—1897.

CONCORD. Historyczne miasto w stanie Massachusetts, założone w 1635 r. 17 kwietnia 1775 r. została pod tym miastem stoczona potyczka z wojskami angielskimi, która zapoczątkowała rewolucję amerykańską.

COOLIDGE, JOHN CALVIN (1872—1933). Prezydent USA w latach 1923—1929.

COOPER, JAMES FENIMORE (1789—1851). Pierwszy pisarz amerykański, który uzyskał światowy rozgłos. Był synem bogatego plantatora. Pięć lat spędził na morzu jako marynarz, po czym powrócił na plantację. Napisał między innymi następujące powieści: „Szpieg”, „Ostatni Mohikanin”, „Pilot”. Lata 1826—1833 spędził w Europie, gdzie zaprzyjaźnił się z wieloma Polakami.

CONTINENTAL CONGRESS. Ciało ustawodawcze trzynastu kolonii, a następnie Stanów Zjednoczonych w okresie rewolucji amerykańskiej (1774—1789). Pierwszy kongres (w 1774 r.) wysłał petycję ze skargą na władzę kolonialną do króla angielskiego. Drugi kongres (w 1775 r.) powziął decyzję o utworzeniu armii kontynentalnej i uchwalił deklarację niepodległości 4 lipca 1776 roku.

CORONADO, FRANCISCO VASQUEZ (1510—1554). Hiszpański podróżnik. Wierzył w istnienie bajecznych siedmiu miast „bogactwa i szczęśliwości”. Poszukując ich dokonał wielu odkryć na lądzie północnoamerykańskim.

CÓRKI AMERYKAŃSKIEJ REWOLUCJI (Daughters of the American Revolution). Organizacja kobieca założona w 1890 r., do której teoretycznie mogą należeć kobiety, których przodkowie brali udział w wojnie o niepodległość USA. Jednym z celów tej organizacji jest zwalczanie wszelkich idei postępowych.

CUSTER, GEORGE ARMSTRONG (1839—1876). Oficer armii amerykańskiej, mianowany generałem w czasie Wojny Domowej. Później dowodził wyprawą przeciwko Indianom. W okolicy Little Bighorn Sjuksowie zadali mu klęskę. W bitwie tej gen. Custer i 200 jego żołnierzy poległo na placu boju.

CZARNA RĘKA (Black Hand). Organizacja przestępcza, wyłoniona z sycylijskiej Mafii XIX wieku. Przeniesiona do USA przez emigrantów włoskich, kontynuowała tu swoją działalność. Podobny do niej charakter miała organizacja Camorra, która powstała w 1830 r. w Neapolu. W USA obie organizacje współpracowały ze sobą.

DARE, VIRGINIA. Pierwsze dziecko anglosaskich rodziców, urodzone na północnoamerykańskim kontynencie 18 sierpnia 1587 r. Jej rodzicami byli Ananias i Ellinor Dare, którzy przybyli do Ameryki z sir Walterem Raleighiem i osiedlili się w założonej przez niego kolonii w Roanoke Island. Ellinor Dare była córką gubernatora Johna White'a, założyciela kolonii w Chesapeake.

DAWES ACT (Dawes Severalty Act). Ustawa uchwalona przez Kongres USA 8 lutego 1887 r., zredagowana przez Henry Dawesa. Miała ona na celu zapoczątkowanie łagodniejszej polityki wobec Indian oraz zachęcenie ich do przystosowania się do nowej rzeczywistości. Ustawa ta przewidywała również podział gruntów pomiędzy rodziny indiańskie, którym miano nadawać po 160 akrów. Ziemię te

miały być przez 25 lat pod rządowym nadzorem, by zapobiec spekulacyjnemu wykupowi jej przez białych osadników. Henry Dawes (1816—1903) był senatorem ze stanu Massachusetts.

DAVIS, JEFFERSON (1808—1889). Polityk, prezydent Stanów Skonfederowanych w latach 1861—1865. Był senatorem ze stanu Missisipi, potem ministrem wojny i ponownie senatorem. Scenarzysta władz budząc tym niezadowolenie wśród społeczeństwa. Nie zezwolił gen. R. Lee na poddanie się pod Appomatox. Jefferson Davis, ujęty przez wojska Unii, został osadzony w forcie Monroe, gdzie przebywał przez dwa lata. Wypuszczono go w 1867 r. bez procesu sądowego.

DU PONT de NEMOURS Co. Koncern chemiczny rodziny Du Pont de Nemours. Założycielem tej rodziny, przemysłowców i milionerów, był Pierre Samuel du Pont de Nemours, filozof i pisarz francuski, który w 1799 r. przybył do Ameryki. Jego

córka Eleuthere Irene du Pont (1771—1834) założyła w Wilming-ton, w stanie Delaware, małą fabryczkę prochu (w 1802 r.), która dała początek wielkiemu koncernowi „B.I. du Pont de Nemours & Company”.

EISENHOWER, DWIGHT DAVID. Urodzony w 1890 r. Prezydent USA w latach 1953—1961.

ELKS, BENEVOLENT AND PROTECTIVE ORDER OF. Stowarzyszenie masońskie założone w 1868 r. w Nowym Jorku. Prowadzi liczne kluby oraz działalność filantropijną. Wydatki na te cele wyniosły w 1958 r. 7 mln dolarów.

EMANCIPATION PROCLAMATION. Edykt uwalniający Murzynów, lecz tylko w stanach objętych rebelią, w czasie Wojny Domowej. Wydany 1 stycznia 1863 r. miał na celu osłabienie Południa i podniesienie popularności Unii w Europie.

FARLEY, JAMES. Ur. w 1888 r. Polityk i minister poczt w latach 1933—1936 i 1937—1940. W latach 1932 i 1936 z powodzeniem kierował akcją propagandową demokratów na rzecz prezydenta F. D. Roosevelta.

FBI (Federal Bureau of Investigation). Federalny Urząd Śledczy utworzony w 1908 r. na podstawie uchwały Kongresu. Początkowo zadaniem FBI było zbieranie danych statystycznych o przestępstwach popełnianych w poszczególnych stanach. Obecnie FBI posiada wyłączne prawo w prowadzeniu śledztwa w sprawach szpiegowskich, zdrady stanu, porywania ludzi i handlu „żywym towarem”.

FIELD, CYRUS (1819—1892). Wynalazca, technik. Całe swoje życie poświęcił realizacji idei ułożenia kabla podmorskiego pomiędzy Ameryką a Anglią. Pierwsze zamierzenia podjęte w tym kierunku (1857—1858) skończyły się niepowodzeniem. Kabel się urwał i musiano przerwać prace, ponosząc poważne straty. Ostatecznie projekt został zrealizowany w 1866 roku.

FILLMORE, MILLARD (1800—1874). Prezydent USA w latach 1850—1853.

FLANAGAN, BETSY. W 1776 r. była barmanką w Hali Cor-ners w Eladorf (stan Nowy Jork). Jej przypisywany jest wynalazek cocktaili. Podobno ściana za barem była udekorowana kogucimi piórami. Wtajemniczeni, żądając od niej „koguciego ogona”, otrzymywali mieszankę specjalnie dobranych trunków. Do wymieszania używała owych kogucich piór.

FORD, HENRY (1863—1947). Przemysławiec amerykański, multimilioner. Urodził się na farmie, w pobliżu Detroit. W młodości pracował w Detroit jako robotnik. Zbudował samochód swego pomysłu, opatentował i następnie zawiązał spółkę mającą na celu budowę tego rodzaju pojazdów. Mała początkowo fabryczka rozrosła się do rozmiarów olbrzymiego koncernu. W okresie drugiej wojny światowej Ford okazywał jawną sympatię dla Niemiec hitlerowskich. Tego rodzaju stanowisko pozbawiło go na starość popularności, jaką cieszył się poprzednio.

FORREST, NATHAN BEDFORD (1821—1877). Generał kawalerii konfederatów. Odniósł szereg zwycięstw nad wojskami Unii. W 1867 roku został obrany szefem zbrodniczej organizacji Ku Klux Klan.

FORT SUMTER. Jeden z dwóch fortów u wejścia do portu w Charlestonie. Gdy w 1860 r. konfederaci zażądali poddania fortów, komendant ich, major Anderson, opuścił fort Moultrie i przeniósł załogę do lepiej umocnionego fortu Sumter. W dniu 12 kwietnia 1861 roku konfederaci rozpoczęli bombardowanie fortu. Po 36 godzinach ostrzeliwania załoga fortu poddała się.

FREEMASONERY. MASONERIA. Do USA przeniesiona z Anglii w 1733 roku. Poszczególne stopnie „wtajemniczenia” są następujące: Symbolic Lodges (3 stopnie), Royal Arch, Council of Royal, Select Masters, Knights of Templar i Schottish Rite. MASONERIA posiadając tysiące klubów i łóż w całym kraju prowadzi ożywioną działalność polityczną, starając się przeciwstawić ideom postępowym.

FUGITIVE SLAVS ACT. Ustawa nakazująca zwrot zbiegłych niewolników. W zasadzie zostały wydane dwie tego rodzaju ustawy. Jedna z roku 1793 została wydana w związku z likwidacją niewolnictwa w północnych stanach. Miała ona jednak małe znaczenie praktyczne, ponieważ północne stany zupełnie lekceważyły jej istnienie i wydały nawet ustawy chroniące zbiegłych Murzynów. Policja miała zabronione zatrzymywanie Murzynów i osadzanie ich w stanowych aresztach. Kompromis zawarty w 1850 r. spowodował wydanie drugiej ustawy, która dawała właścicielom zbiegłych niewolników szereg praw w ściganiu ich na całym terytorium USA. Obie ustawy zostały uchylone przez Kongres w 1864 roku.

GALLUP, GEORGE HORACE. Ur. w 1901 r. Statystyk. W 1935 roku założył American Institute of Public Opinion, zwany w skrócie Instytutem Gallupa. Jest to przedsiębiorstwo prywatne, które na zlecenie firm, partii politycznych lub rządu przeprowadza badania opinii społeczeństwa w odniesieniu do różnych zagadnień.

GARFIELD, JAMES ABRAM (1831-1881). Prezydent USA; zamordowany w 1881r., wkrótce po wyborze na prezydenta. GIRLY MAGAZINS. Popularna nazwa czasopism pornograficznych lub półpornograficznych, ilustrowanych zdjęciami nagich lub nieco odzianych dziewcząt.

GRANT, ULYSSES SIMPSON (1822—1885). Prezydent USA w latach 1869—1877.

GRAY, ROBERT (1755—1806). Żeglarz amerykański, odkrywca Kolumbii brytyjskiej. Został wysłany celem zwiedzenia Oregonu. Był też pierwszym Amerykaninem, który opłynął dokoła kuli ziemskiej.

GREENWICH VILLAGE. Dzielnica w dolnym Manhattanie. Początkowo była to oddzielna wioska, która z czasem złączyła się z Nowym Jorkiem w jedno miasto. Obecnie dzielnica cyganerii artystycznej.

GUROWSKI, ADAM (1805—1866). Pochodził z rodziny arystokratycznej. W młodości został usunięty ze szkoły za zbyt radykalne poglądy. Przebywał potem w Niemczech na studiach, skąd wrócił do Polski, by wziąć udział w powstaniu listopadowym. Po upadku powstania emigrował do Paryża i tam brał czynny udział w pracach Polskiego Komitetu Narodowego. Tu również wydał historię Polski. Z Francji udał się ponownie na studia do Niemiec. Nieco później wykładał na uniwersytecie w Bernie. W 1849 r. wyruszył w podróż do USA. W okresie Wojny Domowej pełnił w Departamencie Stanu funkcję tłumacza. Pozostawał w bliskich stosunkach z Lincolnem. W tym okresie powstał jego „Diary”, dziennik opisujący dzieje tej wojny. W uprzednio napisanej pracy, „America and Europe”, opisał stosunki panujące w ówczesnych Stanach Zjednoczonych.

HALLOWEN. Święto obchodzone 31 listopada; wywodzi się ze starych tradycji celtyckich. Są to właściwie Zaduszki, które się święci w dość swoisty sposób. Wieczorem tego dnia przebrana młodzież obchodzi domy otrzymując poczęstunki. Urządzane są też zabawy i tańce.

HARDING, WARREN GAMALIEL (1865—1923). Prezydent USA w latach 1921—1923.

HARLEM. Dzielnica w górnym Manhattanie. Harlem został jako wioska założony w 1658 r. przez Holendrów. Tym samym mianem ochrzczono pobliską rzeczkę, odcinającą Manhattan od stałego lądu. Od 1910 roku stał się dzielnicą zamieszkałą głównie przez Murzynów i ubogich emigrantów.

HARRISON, BENJAMIN (1833—1901). Prezydent USA w latach 1889—1892.

HARRISON, WILLIAM HENRY (1773-1841). Prezydent USA; zmarł wkrótce po wyborze na prezydenta.

HARWARD. Pierwszy amerykański uniwersytet, założony w 1636 r. w Cambridge (Massachusetts). Otrzymałszy duży zapis od Johna Harwarda (1607—1638) został nazwany jego nazwiskiem.

HAYES, RUTHEFORD BIRCHARD (1822—1893). Prezydent USA w latach 1877—1881.

HEARST, WILLIAM RANDOLPH (1863—1951). Magnat prasowy. Syn George'a Hearsta, właściciela wielu kopalni węgla i cynku. Początkowo był dziennikarzem, potem wydawcą. Na życzenie ojca zakupił w San Francisco dziennik „Examiner”, a potem w Nowym Jorku „Morning Journal”. Założył wielki trust wydawniczy, posiadając 30 dzienników z ogromną ilością prowincjonalnych mutacji. Dzienniki wydawane przez Hearsta odznaczały się niezdrową sensacją i obliczone były na niewybrednego czytelnika.

HOLLYWOOD. Przedmieście Los Angeles. Ludność: 185 000. Założone w 1880 r. Centrum przemysłu filmowego. Pierwszy film wyprodukowano w Hollywood w 1911 r. Obecnie znajduje się tam również ośrodek radiowy i telewizyjny Kalifornii.

HOOVER, HERBERT CLARK. Ur. 1375. Prezydent USA w latach 1929—1933.

HOUSTON. Miasto w stanie Teksas, nazwane nazwiskiem gen. S. Houstona, bohatera Teksasu. Ludność: 938 210. Miasto Houston rozrosło się w szybkim tempie pod koniec XIX w., gdy stało się ważnym węzłem kolejowym i portem morskim. Drugi gwałtowny rozwój miasta nastąpił w XX w. po odkryciu w pobliżu niezwykle bogatych złóż ropy naftowej. Houston posiada duży przemysł metalowy, spożywczy, papierniczy oraz liczne rafinerie ropy naftowej.

HOUSTON, SAMUEL (1793—1863). Jeden z amerykańskich bohaterów narodowych. Dowodził -wojskami Teksasu podczas wojny meksykańskiej. Był prezydentem republiki Teksas w latach 1836—1838 i 1841—1844. Po przystąpieniu Teksasu do Unii był senatorem z tego stanu i jego gubernatorem. Ze stanowiska tego usunęli go konfederaci, gdy odmówił współdziałania z nimi.

JACKSON, ANDREW (1767—1845). Prezydent USA w latach 1829—1837.

JAY, JOHN (1746—1828). Polityk amerykański. Sekretarz stanu w pierwszym rządzie USA w latach 1784—1789.

JEFFERSON, THOMAS (1743—1826). Prezydent USA w latach 1801—1809. JOHNSON, ANDREW (1808—1875). Prezydent USA w latach 1865—1869.

JOHNSON, LYNDON B. Ur. w 1901 r. Prezydent USA od 22.XI.1963 r.

KALB, JOHANN DE, baron (1721—1780). Francuz niemieckiego pochodzenia, generał amerykański w okresie wojny o niepodległość. Zmarł po odniesieniu śmiertelnej rany w bitwie por* Camden.

KENNEDY, JOHN FITZGERALD (1917—1963). Prezydent USA od roku 1961, zamordowany w Dallas (Teksas) 22.XI.1963 r.

KIWANIS (Kiwanis International). Kluby grupujące ludzi wolnych zawodów oraz businessmenów, założone w 1915 r. Oficjalnie stawiają sobie za cel „służenie młodzieży, społeczeństwu i narodowi”.

KLONDIKE. Terytorium nad rzeką Yukon, na granicy Kanady i Alaski. W latach 1897—1898 dziesiątki tysięcy ludzi z Kanady i z USA ruszyły na te tereny na wieść o odkryciu złota.

KNIGHTS OF COLUMBUS (Rycerze Kolumba). Katolicka „loża” założona w New Haven w 1862 r.

KNIGHTS OF PYTHIAS (Rycerze Pytii). Organizacja masońska założona w 1864 r. Posiada przygotowawcze organizacje, przez które musi przejść adept pragnący dostąpić najwyższego wtajemniczenia (Dramatic Order of Knights Khorossan, Junior Order of Princess of Syracuse i Order Pythian Sisters — ten ostatni wyłącznie dla kobiet).

KOLEJE ŻELAZNE w USA. Budowę pierwszej kolei żelaznej w USA rozpoczęto w 1823 r. Była to linia z Baltimore do stanu Ohio. Na linii tej ruszyły pociągi w 1831 r. Jednocześnie prawie rozpoczęto budowę szeregu innych połączeń. Największy rozwój kolejnictwa w USA rozpoczął się po Wojnie Domowej. Wówczas rozpoczęła się bezpardonowa walka konkurencyjna pomiędzy poszczególnymi przedsiębiorstwami usiłującymi zapewnić sobie zyski z jak największej ilości linii kolejowych i już wówczas dążących do monopolu. W walce tej nie przebierano w środkach. Urządzano napady na pociągi konkurencyjnych linii, wykolejano lokomotywy i przekupywano wpływowych urzędników w Waszyngtonie, by uzyskać darmowe przydziały ziemi. Wyzuwano farmerów z ziemi i okradano

społeczeństwo na machinacjach giełdowych. Wypuszczano mianowicie wciąż nowe akcje, które znajdowały dość chętnych nabywców. Następnie akcje te deprecjonowano, wykupując je za połowę lub czwartą część wartości.

KRIKOWIE (Creek Indians). Konfederacja około 50 plemion indiańskich na terenie Alabamy i Georgii. Wojny z nimi, prowadzone w 1813 i 1818 r., doprowadziły do ich zupełnego rozgromienia przez gen. Adrew Jacksona.

KWAKRZY. Sekta religijna pochodząca z Anglii. Właściwa nazwa brzmi: Society of Friends. Do Ameryki przybyli wraz z pierwszymi osadnikami. W Nowej Anglii byli prześladowani W 1682 r. William Penn założył dla nich specjalną kolonię w Pensylwanii. Religia zabrania im pracowania przy budowie kościołów, składania przysięg, noszenia broni, służby w wojsku, używania tytułów. Przestrzegają bezwzględnej równości W 1947 r. kwakrzy brytyjscy i amerykańscy otrzymali pokojową nagrodę Nobla.

LABOR DAY. Święto pracy, obchodzone corocznie w pierwszy poniedziałek września.

LA FAYETTE, MARIE JOSEPH PAUL YVES ROCH GIL-BERT DU MOTIER, markiz de (1757—1834). Francuski generał i polityk. Do USA przybył w 1777 r. Został przez Kongres mianowany generałem. W bitwach pod Brandywywine i Valley Forge odniósł rany. Po podróży do Francji, w sprawie pomocy dla walczących Amerykanów (1779—1780), powrócił znów do USA. Następnie znów udał się do Francji i wziął udział w rewolucji jako dowódca gwardii narodowej. Wkrótce jednak musiał uciekać z kraju. W latach 1792—1797 był więziony w Austrii. Po zwolnieniu z więzienia powrócił do USA i w 1824 r. odbył triumfalną podróż po kraju. Jest jednym z bohaterów narodowych amerykańskiej wojny o niepodległość.

LEAVENWORTH. Fort nad rzeką Missouri. Zbudowano go w 1827 r. dla obrony dawnego szlaku komunikacyjnego z Santa Fe. Obecnie znajduje się tam szkoła wojskowa i ciężkie więzienie.

LEE, ROBERT EDWARD (1807—1870). Bohater narodowy USA. Dowódca szkoły wojskowej w West Point (1852—1855). Po klęsce konfederatów był prezesem Uniwersytetu im. Washingtona w Lexington w Wirginii (obecnie Uniwersytet im. G. Washingtona i gen. R. Lee). Jego dwaj synowie również byli generałami w armii konfederatów. Jeden z nich później był też prezesem uniwersytetu w Lexington.

LERNER, MAX. Ur. w 1902 r. Profesor uniwersytetu Brandeis, gdzie wykłada dzieje cywilizacji amerykańskiej. Napisał następujące dzieła: „It is Later Than You Think” (1938), „Ideas are Weapons” (1939), „Ideas for the Ice Age” (1941), „The Mind and Faith of Justice Holmes” (1948), „Public Journal” (1945), „Actions and Passions” (1949) i „America as a Civilization” (1957).

LEWIS, MERIWETHER (1754—1844). Amerykański podróżnik, kierownik wyprawy w latach 1803—1806. Celem tej ekspedycji było znalezienie wygodnej drogi do Pacyfiku, zebranie wiadomości o Indianach i zbadanie Dalekiego Zachodu. Przewodnikiem tej wyprawy była Indianka Sacajawea, dzięki której znaleziono dogodny przebieg przez Góry Skaliste. Wyniki wyprawy były bardzo owocne.

LEXINGTON. Miasteczko w Massachusetts. Ludność: 17 335. Założone w 1640 r. W dniu 19 kwietnia 1775 r. została tam stoczona pierwsza potyczka z wojskami angielskimi.

LIGA PIĘCIU NARODÓW lub **LIGA WIELKIEGO POKOJU**. Konfederacja plemion irokeskich, utworzona w 1570 r. Dała ona początek irokeskiej grupie językowej. Liga miała doskonale zorganizowaną armię i administrację państwową. Od początku była sprzymierzona z Anglikami i walczyła z nimi przeciwko Francuzom. W okresie rewolucji amerykańskiej również dopomagała Anglikom. Została potem całkowicie rozbita przez Amerykanów w 1779 r.

LINCOLN, ABRAHAM (1809—1865). Prezydent USA w latach 1861—1885.

LINDBERGH, CHARLES AUGUSTUS. Urodzony w 1902 r. Pierwszy lotnik, który przeleciał Atlantyk. Lotu dokonał z Nowego Jorku do Paryża w 1927 r. W 1932 r. został porwany jego syn dla wymuszenia okupu. Po stwierdzeniu, że dziecko jego zostało zamordowane, Lindbergh zamieszkał w Anglii. Tam, wraz z uczonym Alexisem Carellem, wynalazł sztuczne serce. Odmówił służby w armii podczas ostatniej wojny światowej, pełniąc rolę doradcy wojskowego. Jego żona, Anna Morrow Lindbergh, jest znaną pisarką.

MADISON, JAMES (1751—1836). Prezydent USA w latach 1809—1817.

MANHATTAN. Dzielnica Nowego Jorku, stanowiąca śródmieście tego miasta. Ludność: 1 960 000. Manhattan został zakupiony od Indian plemienia Manhattan za 24 dolary w 1626 roku przez Holendrów. Osadę tam powstałą nazwano najpierw Nowym Amsterdamem. W 1654 r. Anglicy zajęli Nowy Amsterdam i nazwali go Nowym Jorkiem.

MARSHALL, JOHN (1775—1835). Prezes Sądu Najwyższego USA w latach 1801—1835. Trzymał się ściśle konstytucji i obalał wszelkie wykrętne interpretacje. Starał się również bronić Indian przed stosowanym bezprawiem. Dzięki swemu bezkompromisowemu stanowisku popadł kolejno w konflikty ze wszystkimi prezydentami USA w czasie swej długiej kadencji. Starał się też ograniczać prawa rządów poszczególnych stanów i podporządkowywać je ogólnemu prawu federalnemu i konstytucji.

McALLISTER, SAMUEL WARD (1827—1897). Adwokat. Uwiecznił swoje nazwisko sporządzeniem pierwszego spisu „najlepszych rodzin amerykańskich”.

McARTHUR, DOUGLAS (1880—1961). Generał, szef sztabu armii amerykańskiej, dowódca armii walczącej na Dalekim Wschodzie w czasie drugiej wojny światowej. Został zdymisjonowany przez prezydenta Trumana, niezadowolonego z jego polityki w stosunku do Chin. W 1952 r. McArthur został prezesem firmy „Remington Rand Inc.”

McCORMICK, JOSEPH MEDILL (1877—1925). Wydawca „Tri-bune” w Chicago i deputowany do Kongresu (1917—1919). Jego ojciec, CYRUS McCORMICK, był wynalazcą żniwiarki, co mu przyniosło wielomilionową fortunę.

McKINLEY, WILLIAM (1843—1901). Prezydent USA w latach 1897—1901.

MEMORIAL DAY, zwany też DECORATION DAY. Święto zostało ustanowione w 1868 r. dla uczczenia pamięci poległych w Wojnie Domowej. Obecnie święto to czci pamięć uczestników wszystkich wojen. W stanach północnych obchodzi się je 30 maja, zaś w stanach południowych 26 kwietnia.

MONROE, JAMES (1758—1831). Prezydent USA w latach 1817—1825.

MOUNT VERNON. Prywatna siedziba George'a Washingtona. Dom został zbudowany w 1743 r., a potem przebudowany według dokładnych wskazówek Washingtona. W ogrodzie znajduje się grobowiec żony Washingtona — Marty.

NAWAHOWIE. Szczerp Indian południowo-zachodnich. Prowadzili życie koczownicze. Utrzymywali się głównie z hodowli owiec, którą rozpoczęli w XVII w. i potrafiliby ją postawić na bardzo wysokim poziomie. Od początku zjawienia się białych stawiali im zacięty opór. Dopiero Kit Carson ujarzmił ich wybijając im wszystkie owce. Do czasu utworzenia dla nich strzeżonego rezerwatu byli trzymani w obozie pod strażą.

OTTAWA. Plemię Indian sprzymierzonych z Francuzami. Zostali wyparci ze swych siedzib przez Irokezów i zmuszeni do osiedlenia się w zachodnim rejonie Wielkich Jezior. W 1670 r. odzyskali przy pomocy Francuzów swe dawne tereny, położone nad jeziorem Huron. Słynny wódz indiański Pontiac pochodził z tego plemienia.

PATROONS. Właściciele ziemscy w stanie Nowy Jork, osiedleni jeszcze przez Holendrów i posiadający pewne przywileje typu feudalnego.

PAWANCZE. Indianie nazywani także Pani. Plemię zaprzyjaźnione z Amerykanami. Przy budowie linii kolejowej Union Pacific ochraniaли zatrudnionych przy budowie robotników. Mimo to zostali później zamknięci w rezerwacie w Oklahomie (w 1870 r.).

PIERCE, FRANKLIN (1804r—1889). Prezydent USA w latach 1853—1857.

PIKĘ, ZEBULON MONTGOMERY (1779—1813). Oficer zawodowy, podróżnik. Prowadził ekspedycję rozpoznawczą do Kolorado. Wyprawa była zorganizowana przez armię. Z podróży tej napisał bardzo interesującą książkę.

POISON IVY (*Rhus radicans* lub *Toxicon radicans*). Roślina trująca. Nawet jej dotknięcie powoduje ostre, bardzo trudne do wyleczenia podrażnienie skóry i wysypkę.

POLICJA. W USA istnieje szereg przeróżnych policji: stanowa, FBI, tajna policja skarbowca, policja Białego Domu, straż skarbcza, policja do walki z handlem narkotykami oraz policja ochrony brzegów. Policja skarbowca została utworzona w 1860 r. dla przeciwdziałania licznym wówczas wypadkom fałszowania banknotów dolarowych. Od 1951 r. otrzymała jeszcze inne zadanie, a mianowicie ochronę osoby prezydenta USA i jego rodziny poza Białym Domem. Również osoba wiceprezydenta jest przez tę policję chroniona. Poza tym należy do niej tropienie wszelkich przestępstw skarbowych, przede wszystkim na tle podatkowym. Policja Białego Domu została utworzona w 1920 r. Policja ochrony wybrzeży pełni właściwie funkcje zwykłej straży granicznej.

POLK, JAMES KNOX (1795—1849). Prezydent USA w latach 1845—1849,

PONTIAC. Wódz indiański, który wzniecił powstanie kilkunastu plemion indiańskich przeciwko Anglikom. Prowadził on długie oblężenia miasta Detroit. Nie mogąc zdławić Indian podpisano z nimi pokój. Pontiac zmarł w 1769 r. Jego imieniem nazwano dwa miasta, jedno w stanie Illinois, drugie w Michigan.

PONY EXPRESS. Poczta konna zorganizowana między miastem Sacramento w Kalifornii a St. Joseph w Montanie. Trasa wynosiła 1 950 mil. Pierwsze przesyłki pocztowe wysłano 3 kwietnia 1860 r. Po drodze było 190 stacji do zmiany koni i jeźdźców. Ogółem linię tę obsługiwało 420 koni i 90 jeźdźców. Konie zmieniano co 10 mil. Linia była czynna rok i ze względu na zbyt wielkie koszty została w 1861 r. zlikwidowana.

PROSTYTUCJA. Prostyucja w USA zwalczana jest między innymi na podstawie tzw. Mann Act. Jest to ustawa zabraniająca przewożenia kobiet z jednego stanu do drugiego w „niemoralnych zamiarach”. Do walki z prostytucją służy też tzw. May Act z 1941 r. Według tej ustawy uprawianie prostytucji w miejscowościach, w których znajduje się wojsko, jest przestępstwem, którego sądenie leży w kompetencji sądów federalnych. Również prowadzenie śledztwa w tej sprawie i ściganie tego rodzaju przestępstw ustawa powierza policji federalnej — FBI. Utrzymywanie domów publicznych zostało uznane za przestępstwo i jest we wszystkich stanach — z wyjątkiem Arizony i Nevady — surowo wzbronione i ścigane prawem. PUEBLO'. Najbardziej cywilizowany szczerp Indian spośród wszystkich indiańskich plemion północnoamerykańskich. W 1580 r. zostali oni podbici przez Hiszpanów. W 1680 r. Indianie ci wznieśli powstanie i uwolnili się od panowania hiszpańskiego. W 1692 r., po wieloletnich i ciężkich walkach, zostali pobici ponownie. Prowadzili zawsze życie osiadłe i bardzo łatwo przyswajali sobie europejską cywilizację od Hiszpanów. Obecnie są znani z artystycznych wyrobów ceramicznych i tekstylnych.

PULASKI. Miasto w stanie Tennessee. Ludność: 5 762. W mieście tym w 1865 roku została zawiązana organizacja Ku Klux Klan. Drugie miasto o tej samej nazwie znajduje się w Wirginii. Poza tym istnieje jeszcze Pułaski Fort w stanie Georgia, zbudowany w 1829 r.

PULITZER, JOSEPH (1847—1911). Dziennikarz i wydawca gazety „Post Dispatch” w St. Louis. W 1883 r. kupił w Nowym Jorku dziennik „World”, a następnie „Telegram” i połączył je w jeden dziennik. Ufundował wydział dziennikarski na uniwersytecie Columbia i nagrodę swego Imienia przyznaną dorocznie za najwyższe osiągnięcia w pracy dziennikarskiej. Nagroda im. Pulitzera przyznawana jest też za osiągnięcia w dziedzinie literatury, historii i muzyki.

PULLMAN. Niegdyś oddzielne miasto, obecnie dzielnica Chicago. Zostało zbudowane w 1880 r. przez G. M. Pullmana, właściciela fabryki wagonów, jako osiedle dla jego robotników. Miało być ono swego

rodzaju wzorowym osiedlem. Po wielkim strajku w fabrykach Pullmana osiedle straciło swój dawny charakter i obecnie jest jedną z dzielnic Chicago.

PURYTANIZM. Ogół społecznych, religijnych, etycznych i politycznych idei, przyjętych przez większość sekt protestanckich w Anglii i Ameryce. Wszyscy pierwsi osadnicy w Nowej Anglii i w stanach południowych byli purytanami. Ideałem ich było stworzenie organizacji społecznej opartej na teokracji. Uważali, że społeczeństwo winno być poddawane bardzo ścisłej kontroli nawet w życiu osobistym i kierowane przez pastorów jako jego bezpośrednią władzę. Wymagali, by każdy człowiek w swym życiu stosował się ściśle do przepisów zaczerpniętych wyłącznie z Biblii.

QUEENS. Dzielnic Nowego Jorku. Ludność: 550 849.

QUINCY, JOSIAH (1744—1775). Amerykański pisarz-patriota z okresu rewolucji. Jego syn, JOSIAH QUINCY, był deputowanym do Kongresu i prezesem uniwersytetu Harvard w latach 1829—1845.

RALEIGH, SIR WALTER (1552—1618). Angielski polityk, podróżnik, kolonizator i pisarz. Faworyt królowej Elżbiety. Zapoczątkował ekspedycje do Ameryki. Sprowadził do Anglii kar-tofie i tytoń. Oskarżony o zdradę stanu, został ścięty.

ROANOKE. Wyspa położona u wybrzeży Północnej Karoliny. Na wyspie tej Walter Raleigh założył w 1585 r. pierwszą kolonię angielską w Północnej Ameryce. Los tej kolonii jest nie znany i jedynym śladem, jaki pozostał, są znalezione w XVII w. tajemnicze słowa „Croatoan” wyrzeźbione na drzewie. Znaczenia ich dotychczas nie wyjaśniono.

ROOSEVELT, FRANKLIN DELANO (1882—1945). Prezydent USA w latach 1933—1945.

ROOSEVELT, THEODORE (1858—1919). Prezydent USA w latach 1901—1909.

ROTARY INTERNATIONAL. Kluby założone w 1905 r. W myśl statutu mają służyć zbliżeniu i wzajemnemu poznaniu się bu-sinessmenów na całym świecie.

SANTA ANNA, ANTONIO LOPEZ DE (1794—1876). Meksykański generał, polityk i wielokrotny prezydent państwa. Początkowo jako rewolucjonista walczył z armią królewską, potem połączył się z rojalistami, a mianowicie z gen. Augustinem Iturbidom, który w rezultacie walk sam siebie obwołał cesarzem Meksyku. Klęska w Teksasie na pewien czas uniemożliwiła mu dalszą karierę polityczną, lecz jego sukces w odparciu Francuzów w 1838 r. przywrócił mu popularność. Przegrana wojna z USA w 1846 r. spowodowała wygnanie z kraju. Wkrótce jednak powrócił, by się obwołać „wieczystym dyktatorem”. Po dojściu do władzy Benito Juareza Santa Anna znów został wygnany. Zmarł w dwa lata po powrocie do kraju.

SAVANNAH. Miasto w stanie Georgia, położone u ujścia rzeki Savannah. Ludność: 119 638. Pod miastem tym w czasie szarży został śmiertelnie ranny Kazimierz Pułaski. W obronie Savannah odznaczył się też Tadeusz Kościuszko. Zbudował on fort, który obecnie nazywa się Fort Pułaski.

SEMINOLE. Indianie stanowiący właściwie część szczepu Kri-ków, od których odłączyli się jeszcze w początkach XVII w. i osiedlili na Florydzie. Z Florydy przesunęli się potem na tereny dzisiejszych stanów Georgia i Alabama. W latach 1817—1818 Andrew Jackson rozbił ich i wówczas Seminole podzielili się. Część z nich uszła na Florydę, ścigana przez oddziały Jacksona, gdzie przebywają do dziś, trudniąc się częściowo rolnictwem, polowaniem na aligatory i służąc turystom za przewodników.

SENEKA. Plemię Indian odznaczających się dużą odwagą i bitnością. Należeli do federacji irokeskiej.

SEWARD, WILLIAM HENRY (1801—1872). Polityk, senator ze stanu Nowy Jork i sekretarz stanu w okresie prezydentury Abrahama Lincolna. Po śmierci Lincolna był nadal sekretarzem stanu w rządzie Johnsona. Z jego inicjatywy zakupiono od Rosji Alaskę.

SHERIDAN, PHILIP HENRY (1831—1888). Generał w okresie Wojny Domowej. Odniósł szereg zwycięstw nad wojskami konfederatów. Jego armia odcięła odwrot gen. R. Lee pod Appomatox, przez co Lee został zmuszony do kapitulacji.

SINGER, I. M. (1811—1875). Wynalazca, przemysłowiec. Dorobił się wielkiej fortuny na wynalazonej przez siebie maszynie do szycia, którą opatentował w 1875 r. Opatentował również wiele innych wynalazków.

SMITH, JOHN (1580—1631). Angielski podróżnik, żołnierz, awanturnik i kolonizator. Założyciel kolonii w Jamestown. Parokrotnie udawało mu się wyrwać z rąk Indian. Legenda głosi, jakoby życie uratowała mu Indianka Patahontas, córka wodza, która potem wyszła za mąż za Anglika Johna Rolfa i odbyła podróż do Anglii. Dzięki niej został zawarty pokój z Indianami.

SMITH, JOSEPH (1805—1844). Założyciel sekty w stanie Nowy Jork, która przyjęła nazwę mormonów. Smith twierdził, że miał „spotkanie” z Bogiem, który mu wręczył złote tablice z przykazaniami. Tablice te stanowią największą świętość mormonów i są przechowywane w ich świątyni w Salt Lake City. Smith wprowadził wielożeństwo, które jednak już około 50 lat temu zostało przez władze zabronione. Społeczeństwo odnosiło się początkowo bardzo wrogo, do mormonów, wobec czego musieli się najpierw przenieść ze stanu Nowy Jork do Ohio. Tam również ustosunkowano się do nich bardzo nieprzychylnie. W 1844 r. Smith został zlinczowany, zaś wyznawcy jego sekty porzucili swe siedziby i wywędrowali na Zachód, gdzie założyli miasto Salt Lake City.

SOBIESKI, TADEUSZ (THADDEUS SOBIESKI COULINCO-URT LOWE). Polak, inżynier, lotnik, wynalazca. 20 kwietnia 1861 r. odbył rekordową podróż balonem z Cincinnati (Ohio) do Południowej Karoliny. Przelot ten trwał 9 godzin. 1 lipca 1861 r. został mianowany przez A. Lincolna dowódcą po raz pierwszy uformowanego oddziału wojsk powietrznych, balonowych (Army Balloon Corps). W 1863r. dokonał z balonu zdjęć pozycji konfederatów pod miastem Richmond w Wirginii. Zdjęcia dokonywane były na wysokości 1 000 stóp.

SOCIETY OF CINCINNATI. Stowarzyszenie oficerów armii amerykańskiej, zawiązane w Cincinnati 13

maja 1783 r. Członkostwo jest w stowarzyszeniu dziedziczne, lecz przechodzi tylko na najstarszego syna. Pierwszym prezesem był gen. George Washington, drugim Alexander Hamilton. Na członka stowarzyszenia przyjęto Tadeusza Kościuszkę. Był to szczególny wyraz uznania dla polskiego bojownika o wolność USA, bowiem statut stowarzyszenia zabraniał przyjmowania na członków oficerów cudzoziemskich i osób nie urodzonych w USA.

SOTO, HERNARDO DE (1500—1542). Hiszpański podróżnik. Prowadził bezskuteczne poszukiwania legendarnych skarbów na terenie od Florydy do Oklahomy. Zmarł w czasie tych poszukiwań.

SPARKS, JARED (1789—1866). Historyk, wydawca i pedagog. Wydawca „North American Review”. Prezes uniwersytetu Harvard (1849—1853). Napisał kilka dzieł historycznych.

STANTON, EDWIN McMASTERS (1814—1869). Minister wojny w okresie prezydentury Lincolna. Republikanin, konserwatysta, był przeciwny polityce prowadzonej przez Lincolna.

STEFFENS, JOSEPH LINCOLN (1886—1936). Wydawca, publicysta, historyk. Napisał „The Shame of the Cities” (1904), „Upbuilders” (1909) oraz ciekawą autobiografię (1931).

STEUBEN, FRIEDRICH WILHELM, baron von (1730—1794). Oficer pruski, generał amerykański w okresie walki o niepodległość. Organizował armię amerykańską i układał dla niej regulaminy.

STEVENS, JOHN (1749—1838). Technik, wynalazca. W okresie rewolucji amerykańskiej walczył w szeregach armii, potem był prokuratorem i autorem pierwszego amerykańskiego prawa patentowego. Wspólnie z Nicholasem J. Rooseveltem zbudował stateczek parowy „Phoenix”, który potem kursował między Filadelfią a Trenton. Od 1810 r. zaczął się zajmować kolejami żelaznymi i zbudował lokomotywę. Jego syn, ROBERT LIVING-STON STEVENS, był również technikiem i wynalazcą. Interesował się głównie statkami parowymi i koleją. Był wynalazcą szyny kolejowej w jej obecnej postaci. Drugi syn Johna Stevensa, AUGUSTUS STEVENS, wynalazł nowy typ pługa ze stalowym lemieszem. Zbudował też prototypy opancerzonych okrętów wojennych. Był on założycielem i fundatorem Instytutu Technologicznego im. Stevensa.

SURRATT, MARY EUGENIA (1820—1865). Właścicielka pensjonatu w Waszyngtonie, oskarżona o udział w zamachu na Lincolna. Wyrokiem sądu została powieszona 7 lipca 1865 r. Najnowsze badania dowodzą, że prawdopodobnie została skazana niewinnie i o planowanym zamachu nic nie wiedziała. J.W. Booth i inni spiskowcy używali tylko jej mieszkania do swych konspiracyjnych spotkań.

SUTTER, JOHN AUGUSTUS (1803—1880). Pionier pochodzenia szwajcarskiego. Jego nazwisko brzmiało pierwotnie Johann Su-ter. Wybudował on w swej posiadłości duży tartak, młyn i fort, który nazwał swym nazwiskiem. Znalezienie złota na jego terenach doprowadziło go do ruiny, gdyż przybyli tłumnie poszukiwacze całkowicie zniszczyli jego posiadłość.

TAFT, WILLIAM HOWARD (1857—1930). Prezydent USA w latach 1909—1913.

TAYLOR, ZACHARY (1784—1850). Prezydent USA w latach 1849—1850.

THANKSGIVING DAY. Święto narodowe w USA ustanowione na pamiątkę zebrania pierwszych plonów przez osadników kolonii Plymouth. Początkowo było obchodzone nieregularnie i tylko w Nowej Anglii; dopiero George Washington, zarządzeniem z dnia 26.XI.1789 r., ustanowił je jako święto narodowe obowiązujące na całym terytorium USA. Obchodzi się je w ostatni czwartek listopada.

TOCQUEVILLE, ALEXIS DE (1805—1859). Francuski polityk liberalny i pisarz. Przebywał w USA i napisał o Ameryce głośną pracę. W 1835 r. wydał ją pt. „Democracy in America”.

TRUMAN, HARRY S. Ur. 1884. Prezydent USA w latach 1945—1953.

TRUMPET CREEPER albo TRUMPET VINE. Roślina pnąca, wieloletnia z rodziny *Campris*. Posiada szkarłatne lub pomarańczowe duże kwiaty, przysmak kolibrów.

TUSKEGEE INSTITUTE. Założony w 1881r. jako szkoła, w 1927 r. zamieniona na uniwersytet. Nazwę instytutu nadano mu w 1937 r. Uniwersytet nigdy nie stosował ograniczeń na tle rasowym. W Instytucie Tuskegee prowadzone są różne badania naukowe.

TYLER, JOHN (1790—1862). Prezydent USA w latach 1841—1845.

VALENTINE DAY. Dzień św. Walentyna, zwany też „dniem kochanków”. W dniu tym (28 lub 29 lutego) panuje zwyczaj wymiany kart lub listów między osobami sympatyzującymi ze sobą.

VAN BUREN, MARTIN (1782—1862). Prezydent USA w latach 1837—1841.

VANDERBILTÓW rodzina. Założycielem jej był CORNELIUS VANDERBILDT (1794—1877), magnat kolejowy. Rozpoczął budowę linii kolejowych w okresie Wojny Domowej i dorobił się na tym wielu milionów dolarów. Był fundatorem uniwersytetu swego imienia w Nasłwille (Tennessee). Jego syn, WILLIAM HENRY VANDERBILDT (1821—1885), był prezesem towarzystwa kolejowego „New York Central Railroad”. Syn Williama, CORNELIUS VANDERBILDT (1843—1899), ufundował kościół St. Johna w Nowym Jorku. Drugi jego syn, GEORGE WASHINGTON VANDER-BILDT (1862—1914), zapisał w testamencie duże tereny uniwersytetowi Columbia w Nowym Jorku.

WALDSEEMULLER, MARTIN (1470—1522). Kartograf niemiecki. Pierwszy nazwał nowo odkryty przez Kolumba ląd Ameryką.

WASHINGTON, GEORGE (1732—1799). Pierwszy prezydent USA w latach 1789—1797.

WEST POINT. Wojskowa szkoła oficerska w stanie Nowy Jork. Od 1802 r. w West Point mieści się również Akademia Wojskowa. W okresie rewolucji amerykańskiej była to forteca strzegąca brzegów Hudsonu. Przebudował ją i umocnił Tadeusz Kościuszko, którego pomnik tam się znajduje.

WILSON, THOMAS WOODROW (1856—1924). Prezydent USA w latach 1913—1921.

WINTHROP, JOHN (1588—1649). Gubernator kolonii Massachusetts Bay. Skrajny purytanin. Wprowadził teokratyczne rządy w kolonii. Wygnał z Massachusetts Annę Hutchinson, która wraz ze swą sektą starała mu się przeciwstawić. Ona i jej zwolennicy wyemigrowali do Rhode Island i tam założyli

miasto Port-smouth.

WRIGHT, ORVILLE i WILBUR (1871—1948 i 1867—1912). Bracia, wynalazcy w dziedzinie lotnictwa. Samolotem swojej konstrukcji, zaopatrzonym w silnik benzynowy, dokonali rekordowego lotu nad Kitty Hawk 17 grudnia 1903 roku.

YALE. Uniwersytet w New Haven, w stanie Connecticut Otwarty w 1702 r. Nazwa została nadana na cześć Elihu Yale, który uniwersytetowi temu zapisał dużą część swego wielkiego majątku. Był to początkowo uniwersytet purytański, obecnie studiuje na nim przeważnie młodzież pochodząca z najzamożniej-szych rodzin USA.